

@ Copyright by Tadeusz Binek, Kraków 1999

Projekt okładki Tadeusz Binek

***Moim synom :
Maciejowi i Grzegorzowi
poświęcam***

Kraków 1999
Wydawca F-ma „BETA”

PRZEDWOJENNY GÓRNY ŚLĄSK

Drzewo genealogiczne * Lata dziecięce * Przedszkole * Szkoła podstawowa * Skrócone wakacje 1939

Moje rozpoznane przeze mnie drzewo genealogiczne sięga jedynie moich dziadków. Wprawdzie ojciec twierdził, że jego prababka była księżną rosyjską, ale wszyscy w rodzinie uważaliśmy te opowiadania za przejaw wybujałej fantazji.

Tata mego ojca był rolnikiem, miał spore gospodarstwo rolne we wsi Kuźnica Bobrowska w powiecie ostrzeszowskim województwa poznańskiego. Miał też przez wiele dziesiątków lat warsztat kuźniczy, spełniając, jakby to się dzisiaj powiedziało, usługi wobec ludności.

W rodzinie było 6 dzieci, dwie córki i czterech synów. Czworo z nich pozostało rolnikami i gospodarowali na roli w tejże Kuźnicy Bobrowskiej lub w sąsiednich Bobrownikach. Najstarszy syn wyemigrował do Westfalii, tam założył rodzinę i już pozostał na zawsze. Najmłodszy, to jest mój przyszły ojciec, poszedł w jego ślady i również wyjechał za pracę do Westfalii kilka lat przed I wojną światową. Pracował tam przez pewien czas w kopalni węgla kamiennego.

Z wybuchem wojny został powołany do wojska i brał udział, oczywiście po stronie niemieckiej, w walkach nad rzeką Sommą i pod Verdun. Pod koniec wojny, nie chcąc dalej walczyć za obcą sprawę, ojciec przestrzelił sobie z karabinu ramię przez papkę z chleba, żeby nie było śladu prochu. Trafił wtedy do lazaretu w Ostrowie Wielkopolskim, gdzie przebywał do listopada 1918 r.

W grudniu 1918 r. brał udział w powstaniu wielkopolskim, walcząc w rejonie Ostrzeszowa i Wieruszowa, zaś w maju 1921 r. w trzecim powstaniu śląskim, dowodząc kompanią powstańczą w walkach o miasto Olesno. Następnie zatrudnił się jako zawodowy wojskowy w Straży Granicznej. W 1923 r. został oddelegowany do służby na granicy czechosłowackiej w Worochcie we Wschodnich Karpatach. Tam pracując, ożenił się w miasteczku Monasterzyska w województwie tarnopolskim.

Mama pochodziła również z licznej rodziny, bo miała 7 rodzeństwa. Rodzice jej posiadali kilkunastohektarowe gospodarstwo, zaś ojciec pracował dodatkowo w fabryce tytoniu w Monasterzyskach. Obydwoje wywodzili się ze staropolskich, czy ruskich rodów szlacheckich Pielichatych i Lipków. O tym rodowodzie świadczył, między innymi, odziedziczony po przodkach typowy dworek szlachecki z dwukolumnowym portykiem, usytuowanym na osi budynku, w którym zamieszkiwali, oraz usytuowany za nim spory sad i ogród.

W przygranicznej miejscowości Jabłonica koło Worochty rodzice mieszkali w drewnianym budynku posterunku Straży Granicznej. W 1925 roku urodziła się moja siostra Helena, natomiast ja w roku następnym, otrzymując na chrzcie imiona Tadeusza i Kazimierza. Osobiście nic, a nic nie pamiętam z tej ponoć uroczej miejscowości, zagubionej w huculskich lasach, gdyż rodzice przenieśli się na Górny Śląsk, gdy miałem dwa lata. Nie przeszkadzało mi



Rodzice po ślubie

to później określać się jako Hucuł. Zresztą również uważałem się za Ślązaka, a także za Wrocławia, zależnie od rozmówcy i okoliczności.

Zanim ojciec załatwił mieszkanie na Śląsku, mieszkaliśmy przez kilka miesięcy u dziadków na wsi w Kuźnicy Bobrowskiej. Tam zdarzyła mi się ciężka choroba, o której rodzice nieraz mi później opowiadali.

Mianowicie raz, w okresie zimy, wszyscy domownicy przebywali w ogrzewanej kuchni, gdzie biesiadowali i grali w karty. Ja spałem w sąsiednim pokoju sypialnym wujostwa, w którym, podobnie jak w kuchni, było bardzo gorąco. Ale po skończonej grze w karty, w środku nocy, mama zabrała mnie do naszego gościnnego pokoju na poddaszu. Pomieszczenie to nie było ogrzewane, przeziębilem się wówczas i nabawiłem obustronnego zapalenia płuc. Stan mego zdrowia wkrótce był tak beznadziejny, że zapalono na już gromnicę. Wbrew pesymistycznym rokowaniom lekarza, organizm mój zmógł jednakże chorobę i szybko ozdrowiałem. Wtedy dziadkowie orzekli zgodnie, że będę żyć długo i w dobrym zdrowiu, co jak dotąd sprawdza się mniej więcej.

Na Śląsku, w miejscowości Łagiewniki Śląskie, ojciec został przodownikiem Straży Granicznej. Wkrótce objął kierownictwo placówki granicznej. Stanowisko to sprawował do wybuchu wojny w 1939 roku.

Łagiewniki Śląskie była to osada górnicza, usytuowana bezpośrednio przy granicy państwowej z Niemcami, pomiędzy niemieckim Bytomiem, a Świętochłowicami i Chorzowem. Liczyła 26 tysięcy mieszkańców, ale nie miała statusu miasta. W miejscowości tej przebywałem do 13. roku życia, przeżyłem tam więc najbardziej beztroskie lata dzieciństwa i nauki w szkole podstawowej.

Pierwsze moje wspomnienia związane są z miejscem zamieszkania, to jest z samym mieszkaniem, podwórkiem i najbliższym otoczeniem. Mieszkanie, jakie zajmowaliśmy początkowo przy ulicy Sienkiewicza, to była jedna izba, mniej więcej o wymiarach 4 * 2,5 metra, na pierwszym piętrze pod dachem. Był to właściwie strych adaptowany na izbę mieszkalną. Nieduże okno znajdowało się na krótszej ścianie izby naprzeciwko drzwi, sufit częściowo był skośny, schodząc do około 1,6 m wysokości. Dalej był nieco niższy schowek. Tam stały kosze z rzeczami, pościelą i ubiorami.

Na tymże pierwszym piętrze po obu stronach drewnianych, jednobiegowych schodów były jeszcze dwa mieszkania po dwa nieduże pokoje. Mieszkały w nich dwie rodziny górników. Podobnie na parterze. W sumie był to właściwie spory murowany dom jednorodzinny, podnajmowany pięciu lokatorom przez właściciela działki, na jakiej znajdował się budynek. Na parceli były jeszcze zabudowania gospodarcze: obora i stodoła, wraz z gnojowiskiem i sławojką, zaś od strony ulicy nowszy parterowy dom mieszkalny. Przed nim znajdowała się mała sadzawka - basen.

Pamiętam, jak raz siedziałem na brzegu i wpatrywałem się w koliste fale, powstające po wrzuceniu przeze mnie kamyczków. Tak intensywnie i z uwagą je obserwowałem, że wpadłem do wody. Byłbym chyba się utopił, ale ktoś mnie szybko z sadzawki wyciągnął. Pamiętam też, że wielokrotnie zjadałem zaprawę wapienną, jaką wydrapywałem ze spoin ściany naszego domu. Najwidoczniej uzupełniałem w ten prosty sposób braki wapna w organizmie.

Byłem z natury zawsze bardzo spokojny i grzeczny, ale też i zawzięty i zdeterminowany w razie potrzeby. Na podwórku podczas zabawy ciągle obrywałem lanie od nieco starszego kolegi. Raz, płacząc, poszedłem ze skargą do ojca. On jednakże ani myślał interweniować, najspokojniej doradził mi, abym się odwzajemnił tym samym. Wróciłem więc na podwórko i zawzięcie zacząłem kolegę okładać pięściami, nie zważając, że był ode mnie wyższy i znacznie silniejszy. Faktycznie, ta moja determinacja przemówiła widocznie do niego, bo od tego czasu dał mi już spokój.

Bardzo często mama zabierała mnie ze sobą na zakupy do pobliskich sklepów. Pomagałem też przy różnych zajęciach domowych. Byłem także od najmłodszych lat niepoprawnym domatorem. Bawiłem się chętnie sam pod stołem, lub w kąciaku, czym popadło. Często rodzice musieli mnie zachęcać, abym poszedł na podwórko do kolegów.

Gdy coś mnie zaciekawiło, to zapomniałem całkowicie o bożym świecie. Raz mama posłała mnie po południu do pobliskiego sklepiku po ocet. Zapewne potrzebny był do obiadu. Dostałem nań 80 groszy, które trzymałem mocno w prawej dłoni.

Ale kilkadziesiąt metrów za sklepikiem, przy głównej ulicy Mickiewicza, był spory plac targowy. W tym dniu akurat zajęchały na plac konne wozy z budami oraz karuzelami. Właśnie zaczynało się montować. Poszedłem więc, żeby się temu ciekawemu zdarzeniu przypatrzeć z bliska. Do dziś pamiętam cały montaż kolorowej, pięknej karuzeli z huśtawkami. Nie zauważyłem, że zrobił się zmrok i dopiero, gdy było już zupełnie ciemno, pobiegłem do domu. Starłem się jak najciszej iść po schodach do góry, lecz schody były drewniane i skrzypiały. Otworzyły się drzwi do naszego pokoiku i zobaczyłem ojca, który dawno już wrócił z pracy. Porwał mnie i po sprawdzeniu, że nie mam ani octu, ani pieniędzy, przełożył na kolanie i zaczął okładać z całej siły swym służbowym pasem. Cierpiałem straszliwie, ale nie wydałem żadnego głosu. Z opresji wyratowała mnie, oczywiście, matka, która z krzykiem stanęła w mojej obronie. Było to największe lanie, jakie doświadczyłem w swym życiu.

Gdy byłem na targowisku, matka z siostrą przeszukały całą okolicę i wypytywały o mnie wszystkich sąsiadów. Zachodziły nawet na ten plac targowy, ale tam w zgiełku i rejewachu nie mogły mnie dostrzec, siedzącego w jakimś zakamarku i wpatzonego w montaż „boskiej” karuzeli. Na drugi dzień razem z siostrą szukaliśmy rano te 80 groszy na całej drodze i na placu targowym, lecz bezskutecznie.

Takie zapominanie się w czymś, co mnie interesowało, towarzyszyło mi potem przez całe moje życie. Niezależnie od tego, czego to dotyczyło: klejenia zabawek, lektury, uczenia się, rysowania, czy pracy zawodowej.

Te karuzele przyjeżdżały do Łagiewnik co roku. Z przyjemnością jeździłem chyba na wszystkich, również na diabelskim kole, z którego widać było pół osiedla. Marzyło mi się też wdrapanie na drewniany „słup szczęścia”, na szczycie którego zawieszane były pęta kielbasy. Byłem świadkiem, jak udało się to nieco starszemu ode mnie chłopcu. Ćwiczyłem takie wdrapywanie się na słupie oświetleniowym, ale bez efektu - do tego trzeba było mieć zręczność małpy.

Gdy miałem pięć lat zapisany zostałem do przedszkola, znajdującego się niedaleko na tej samej ulicy Sienkiewicza. Prowadziły je zakonnice. Z tego przedszkola pamiętam właściwie tylko jedno zdarzenie. W okresie Świąt Wielkanocnych siostry ukryły na terenie obszernego ogródka cukrowego zajęczka. My, przedszkolaki, mieliśmy go odszukać. Oczywiście słodki zajęczek miał przypaść temu, który go znajdzie. Bardzo chciałem być tym szczęśliwcem i skrupulatnie i z przejęciem szukałem ukrytego skarbu. Nie ja go jednakże znalazłem. Za to do dzisiaj mam w oczach ten ogródek, drzewka, grządki i ogrodzenie z siatki na działce przedszkola.



W atelier fotograficznym

W ogóle wszystkie moje wspomnienia polegają na pamięci wzrokowej. Pamiętam wygląd rzeczy, osoby, całe panoramy widokowe. Natomiast zawsze miałem problemy z zapamiętaniem nazwisk, tytułów, dat, lektur i wszelkich pojęć abstrakcyjnych.

Jeszcze w okresie przedszkolnym miałem jednego serdecznego kolegę Dyjusia, syna górnika, który mieszkał obok nas w tym samym budynku. Grywalismy z innymi chłopakami w szmacyaną piłkę na pobliskiej łączce i wałęsaliśmy się po okolicy. Najdalej zapuszczaliśmy się na tereny biedaszybów pod Chorzowem. Trzeba tam było uważać, by nie wpaść do głębokich dołów. Były to szybiki, w których odbywał się nielegalny urobek węgla kamiennego, zwłaszcza w okresach kryzysowych.

Polegało to na tym, że bezrobotni górnicy spuszczeni byli przy pomocy przewoźnego kołowrotu w głąb szybu-studni, gdzie kilofem wybierali węgiel do wiader. Wiaderka te były następnie wyciągane na powierzchnię, a przez ten czas górnik chował się w boczną niszę studni. Wiaderko z węglem zaraz było zabierane, zaś na dół spuszczano puste. Wydobyty węgiel odwożono do domów małymi wózkami. Wszystkie czynności na powierzchni wykonywali nieletni chłopcy, synowie górników. Rozstawieni byli też wokół na czatach i, gdy tylko ktoś niepowołany się zbliżał, natychmiast gwizdem dawali o tym znać. Te boczne nisze w szybkach, niewidoczne z góry, służyły niekiedy za schowek górnikom w przypadku „nalotu” policji na teren biedaszybów.

O tej niebezpiecznej, nielegalnej pracy bezrobotnych górników dowiedziałem się wiele lat później, gdyż żaden z kolegów nigdy nie zdradził się przede mną ze swego udziału w czatach i chowaniu wydobytego węgla. Chociaż dziwiłem się niekiedy, że nie ma chłopaków do gry w piłkę, zwłaszcza gdy dni były zamglone lub ciemne i pochmurne.

Obok tej łąki, na której graliśmy w piłkę, było kilka niedużych familoków z czerwonej cegły. Na parterze jednego z nich mieszkał mój szkolny kolega Zyguś. Odwiedziłem go kilka razy, przywołani przez jego mamę, która częstowała nas pajdkami chleba ze smalcem. Zauważyłem, że Zyguś i jego starszy brat z bardzo wielkim szacunkiem odnosili się do swego ojca. Był on górnikiem, ale w tym czasie chyba okresowo nie pracował w kopalni i najprawdopodobniej trudnił się właśnie nielegalnym urobkiem węgla na biedaszybach. Pamiętam, raz w trójkę siedzieliśmy na zydelkach, a on mówił o niesprawiedliwościach tego świata. Mówił składnie i przekonująco, być może był jakimś działaczem robotniczym.

Niekiedy wraz z Dyjusem chodziłem do niedalekich ogródków pracowniczych, gdzie jego rodzice mieli działkę. Była na niej spora altanka, w której latem przebywali całą rodziną, często przez wiele dni, podczas pięknej, słonecznej pogody. Takie działki miały praktycznie wszystkie śląskie rodziny. Uprawiano na nich warzywa i owoce dla swoich potrzeb, często hodowano również króliki i gołębie. Dodatkowym celem hodowli tych zwierzątek, obok dostarczenia relaksu ich właścicielom, było zapewne pozyskiwanie smacznego mięsa oraz skórek króliczych na kołnierze płaszczy i kurtek.

Nie mniej rozpowszechniona była na Śląsku hodowla kanarków w drucianych klatkach, zdobiących mieszkania zwłaszcza górników i hutników. Dla nich te piękne, śpiewające i barwne, żółtozielone, małe ptaszki stanowiły niewątpliwie antidotum na ich znojną, czarną pracę.

Natomiast w rodzinach miejskich prawie zupełnie nie trzymano kotów ani psów. Te zwierzęta przypisane były do gospodarstw wiejskich, w których pełniły określone, praktyczne funkcje. Ja przez pewien czas miałem ślicznego, biało-rudego chomika. Był to zwierzak bardzo czysty, ruchliwy i ciekaw świata i ludzi. Tak bardzo, że uciekł mi przy okazji spaceru na łączce przed domem.

Mój ojciec zawsze gustował w różnych nowinkach technicznych. Między innymi postarał się o aparat radiowy wtedy, gdy ten wynalazek stał dopiero u progu swej wiel-

kiej kariery. Była to niewielka skrzynka drewniana, na której u góry wmontowana była jedna lampa radiowa, trochę jakichś oporników i pokrętko. Sercem aparatu, oprócz lampy, był jakiś kryształek i dlatego mówiło się, że jest to radio kryształkowe. Słuchało się go przy pomocy blaszanych słuchawek zakładanych na uszy. Regulacja głośności następowała przez kręcenie wspomnianym pokrętkiem. Radio to odbierało tylko jedną najbliższą radiostację w Katowicach.

Do tych nowinek należał też aparat fotograficzny z wysuwanym miechem, zegarek kieszonkowy z dewizką i wreszcie, znacznie później, niemieckie radio wielozakresowe, z wbudowanym głośnikiem, w fornirowanej obudowie.

W wieku siedmiu lat zacząłem naukę w szkole podstawowej w Łagiewnikach Śląskich przy ul. Mickiewicza. Budynek szkoły był okazały, dwupiętrowy, z czerwonej cegły. Miał solidne murowane ogrodzenie, podwórkę o długości 100 metrów, oddzielny budynek mieszkalny dla nauczycieli i murowane szalety na podwórku. Zapewne służy celom dydaktycznym do dzisiaj.

Wyposażenie szkoły, jak na warunki przedwojenne, było bardzo bogate. W przyziemiu znajdowały się łaźnie z natryskami i szatnie, na piętrach gabinety fizyki, chemii i geografii, wyposażone w sprzęt specjalistyczny; sala gimnastyczna, świetlica.

Klasa, do której chodziłem, była bardzo liczna, gdyż liczyła 44 uczniów, samych chłopaków. Siedzieliśmy w dwuosobowych ławkach, ja zawsze w pierwszej. Ławki były drewniane, z oparciem, miały półkę na książki i zeszyty oraz blat z rowkiem na obsadki i wydrążeniem na kałamarz.



Pierwsza klasa w komplecie. Ja w drugim rzędzie, trzeci od lewej

Bardzo aktywny był samorząd rodzicielski, który organizował oraz finansował różne przedstawienia dziecięce i imprezy okazjonalne. W kole rodzicielskim cały czas udzielała się wydatnie moja matka, pełniąc różne funkcje. Pamiętam, jak sam brałem udział w jakimś przedstawieniu, w którym grałem rolę Żyda. Miałem bowiem długie, kręjące się włosy. Nie wyszła mi ta rola, gdyż zawsze byłem wstydlivy i miałem dużą tremę. Po przedstawieniu dzieci otrzymały bardzo słodki, smakowity tort, którym się potwornie

objadłem.

Staraniem szkolnego koła rodzicielskiego odbyły się raz występy prestidigitatorów w świetlicy, urządzone dla młodszych klas. Byłem bardzo sceptyczny w stosunku do prezentowanych sztuczek z kartami, polykaniem sztyletów, zapalaniem zwykłej wody na talerzu i innych podobnych magii. Ale naprawdę zafascynowało mnie przekuwanie i zawieszanie klódek na policzkach zgłaszających się ochotniczo kolegów. Oczywiście po tych przekluciach nie było żadnych śladów.

Gdy chodziłem do trzeciej klasy prezentowałem się bardzo mizernie. Byłem chudy, blade, nadmiernie chorowity, a prześwietlenie płuc wykazało, że mam początki gruźlicy. Ojciec wystarał się więc o skierowanie mnie do Dziecięcego Sanatorium Przeciwgruźliczego w Istebnej.

Wiele z pobytu w nim pamiętam. Przy przyjęciu wszyscy pensjonariusze byli strzyżeni oraz starannie kąpani, zaś zdezynfekowana odzież w workach wędrowała do depozytu. Przy tej okazji straciłem swoje długie włosy z grzywką, czego nie żałowałem, bo już wstydzilem się nosić włosy jak dziewczynka.

W sanatorium panowała ścisła dyscyplina i określony porządek dnia. Rano pobudka, mycie się, ścielenie pościeli, apel, śniadanie, normalna nauka w małych klasach. Po obiedzie leżakowanie w słońcu na obszernych balkonach, czasem spacer w pobliżu sanatorium. Wieczorem gry i dowolne zabawy. Ja najczęściej grywałem wtedy w szachy, warcaby lub młynek. Czytałem też sporo przygodowych, młodzieżowych książek. W sanatorium nauczyłem się pewnych pożytecznych zajęć, jak składanie koszul i pidżamy, czy prasowanie spodni przez podłożenie ich na noc pod prześcieradło. Miałem też okazję nauczenia się używania różnych brzydkich słów i nieprzyzwoitych zachowań, z czego raczej nie skorzystałem. Na sali rej wodzili samozwańczy przywódcy, wymuszający siłą uległość i posłuszeństwo innych. Ja jednakże nie byłem przez nich napaństwany, bo ogrywałem wszystkich w warcaby oraz damkę i nie szukałem zwady z nikim.

Miałem wówczas wilczy apetyt i potrafiłem po kilka razy repetować co bardziej smakowite zupy, czy inne posiłki. Przytyłem więc i zmężniałem w czasie miesięcznego pobytu w sanatorium tak, że ojciec nie poznał swego synka, gdy przyjechał zabrać mnie do domu.

Krótko po powrocie dostałem kilka dni zwolnienia od nauki, ponieważ miałem narysować obraz na wystawę prac szkolnych, urządzaną w Katowicach. Temat miałem zadany, wiązał się z propagandą oszczędzania w Pocztowej Kasie Oszczędności. Treść rysunku też bodajże była mi zasugerowana. W każdym bądź razie przedstawiał on na pierwszym planie tonący statek i rozbitków na wzburzonych falach, a z boku podpływające rekiny z napisami: głód, bieda, choroby itp. Zaś na drugim planie płynął piękny statek z zadowolonymi pasażerami na pokładzie. Ci rozbitkowie symbolizowali nędzny los ludzi nie oszczędzających w PKO, zaś szczęśliwi pasażerowie dostatni los zapobiegliwych ciułaczy. Rysunek był tak duży, iż górne jego partie rysowałem klęcząc na stole.

Tak nawiąsałem mówiąc, to właściwie nikogo w okresie międzywojennym do oszczędzania nie trzeba było zachęcać. Robiło to samo życie. Nie było wszak powszechnych, obowiązkowych ubezpieczeń społecznych. Ktoś, kto tracił zdrowie, czy pracę, a nie miał jakichś oszczędności ni majątku - praktycznie staczał się na dno węgietacji. Dlatego też oszczędzanie na tak zwaną „czarną godzinę” było absolutnym kanonem działania ówczesnego społeczeństwa. Wpojony przez wychowanie i ustrój ekonomiczny reżym oszczędzania był bezwzględny. Na życie dostatnie i rozrzutne pozwolić sobie mogła tylko bardzo nieliczna warstwa ludzi bogatych. Zaś lekkomyślni utracjusze, żyjący beztrosko z dnia na dzień, często marnie kończyli.

Jakże odmieniło się pod tym względem polskie społeczeństwo po drugiej wojnie światowej. Zresztą nie tylko polskie, ale we większości krajów Europy. Tej odmienności stylu życia w Polsce młode pokolenie zapewne nie jest w stanie sobie wyobrazić i zrozumieć. Tu dodam, że to wielkie lanie, jakie od ojca dostałem, zainkasowałem nie dlatego, iż zawieruszyłem się na kilka godzin, lecz dlatego, że zgubiłem owe 80 groszy na ocet. I doskonale rozumiem i oceniam pozytywnie reakcję ojca.

Ale, gdy później mego małego synka posyłałem do sklepu po zakupy, to specjalnie dawałem mu banknoty o większym nominale. Chciałem, żeby je zgubił, żeby poczuł potem swą winę i nauczył się sam dbać o materialne wartości tego świata. Oczywiście nie dostałby ode mnie nawet marnego klapsa.

Sam ongiś byłem niepoprawnym sknerą. Często mama dawała mi do szkoły kilkadziesiąt groszy na kupno jakiejś kanapki w kiosku spożywczym przed szkołą. Ja poważnie głodowałem, zaś grosiki wkładałem do swej skarbonki: fajansowej, bruchatej świnki. Gdy była ona już pełna monet, musiałem ją rozbić, gdyż nie miała żadnych drzwiczek, jedynie szparę na grzbiecie na wrzucanie bilonu. Zaoszczędzone pieniądze oddawałem ojcu.

To moje sknerstwo nie brało się oczywiście z powietrza, lecz było efektem wychowania i obserwacji zachowań ludzi dorosłych, zwłaszcza rodziców. Na przykład, gdy byłem w wieku przedszkolnym, to podczas jazdy pociągiem, rodzice, gdy tylko mogli, to szmuglowali mnie na gapę. Pamiętam, jak raz jechałem, stojąc na ławce przy oknie, skryty przed konduktorem za wiszącymi płaszczami. Czułem się jak przysłowiowa mysz pod miotłą.

W tym jednoizbowym mieszkaniu przy ul. Sienkiewicza mieszkaliśmy około 6 lat. Ojciec starał się oczywiście cały czas o coś lepszego, lecz nie była to łatwa sprawa. W całym przygranicznym powiecie świętochłowickim, do którego Łagiewniki należały, nowe budownictwo było bardzo ograniczone. Nie wiem co było tego powodem, może to, że powiat ten był najgęściej zaludnionym w całej Polsce, gdyż liczył 320 mieszkańców na 1 km kwadratowy.

Wreszcie jednak uzyskaliśmy nowe mieszkanie na terenie kopalni węgla kamiennego i Huty Zygmunt w osiedlu Hubertus. Składały się nań dwa pokoje i przedpokój, wcześniej wykorzystywane na jakieś biuro, o czym świadczyły okienka podawcze. Posadzki były cementowe, kuchnię rodzice urządzili w mniejszym pokoju, gdzie był zlew. Było to mieszkanie znacznie większe i wygodniejsze od poprzedniego. Budynek znajdował się na ogrodzonym terenie kopalni. Wejście prowadziło przez portiernię, którą przechodziliśmy bez żadnych przeszkód. Plusem lokalizacji była możliwość korzystania z łaźni, jaka znajdowała się w pobliskiej cehowni.

Dla mnie dodatkowym walorem było to, że wraz z kolegami mogłem się bawić na pobliskim terenie kopalni. Znajdowała się tam bocznicą wąskotorowa z licznymi, zdezelowanymi kolebami i nieczynny, wielki komin. Te koleby służyły wcześniej do transportu węgla w kopalnianych chodnikach. W ogóle urobek węgla wyglądał w ten sposób, że po wywierceniu świdrem otworów w ścianie wydobywczej, założeniu i odstrzeleniu lasek z dynamitu - węgiel kamienny rozbijany był kilofami i ładowany łopatami do takich właśnie koleb. Następnie ręcznie przesuwano je po rozkładanych torach, przy pomocy obrotnicy, na główny tor w chodniku. Po zestawieniu kilku koleb napęcznionych węglem w jeden pociąg, zaprzęgano do niego specjalnie oślepionego konia, który ciągnął wagoniki do szybu windowego. Pełne wędrowały do góry, na powierzchnię, zaś na dół zjeżdżały puste.

Koleby te doskonale nadawały się do zabawy w chowanego. Raz jednakże spadłem z takiej koleby i potwornie rozciąłem sobie stopę. Biegaliśmy bowiem na

bosaka, gdyż buty się oszczędzało. Były one drogie, bo były wykonywane przez szewców na zamówienie. Dopiero w ostatnich latach 30-tych można było nabyć tańsze obuwie produkowane fabrycznie przez czeską firmę „Bata”, której wytwórnię uruchomiono w Chelmku na Śląsku. Od tego czasu zawsze nosiłem już trampki od „Baty”.

Do komina wchodziliśmy od dołu. Był wysoki na kilkadziesiąt metrów i nawet w dzień, przy pogodnym niebie, widoczne były przezeń gwiazdy. W zimie obok tego komina, a przed szybem kopalnianym, robiliśmy sobie lodowisko, na którym jeździłem na łyżwach. Często na jednej, bo drugą pożyczałem koledze. Na tym terenie przebiegała również droga, na której nie było żadnego ruchu. Uczyłem się na niej jazdy na rowerze.

W ogóle rower był moją pasją przez wiele lat. Rodzice kupili wtedy zgrabną damkę dla siostry i mnie. Całymi godzinami jeździłem sam, lub z kolegami, po okolicznych drogach i ścieżkach. Bardzo dbałem o rower i czyściłem go regularnie. Miałem zresztą pod swoją opieką dwa rowery, również rower ojca. Był on bardzo stary i odrapany, gdyż ojciec używał go w czasie służby, goniąc przemysłników. Przerzucał go przez ogrodzenia, jeździł po absolutnych bezdrożach, często porzucał rower w jakimś przypadkowym miejscu. Zabierał zaś po kilku godzinach lub zgoła w następnym dniu. Na takiego wraka nikt oczywiście się nie pokusił i rower zawsze się odnajdywał. Do mnie należało czyszczenie tego wysłużonego grata oraz staranne oliwienie piasty i łożysk kulkowych.

Wielką mą namiętnością było też wycinanie z kartonu części okrętów, samolotów, domków, lub innych obiektów i staranne sklejanie w całość. Kartony z wydrukowanymi kolorowymi wycinankami kupowała mi mama. Zawsze ich było za mało.

Bawiłem się także często różnymi wyrafinowanymi zabawkami, jak elektryczne kolejki, sterowane samochodziki Strzelające czołgi itp. Przynosił mi je ojciec do pobawienia się przez kilka dni. Nie mogłem ich uszkodzić i bawiłem się nimi bardzo ostrożnie. Mianowicie zabawki te pochodziły z przemytu, jaki ojciec wyłapywał na granicy. Na odcinku, który podlegał placówce ojca, funkcjonował największy przemyt w skali kraju. Z Niemiec do Polski przemycano w wielkich ilościach owoce cytrusowe, właśnie zabawki mechaniczne, różne przyprawy kuchenne, słodczyce, sacharynę, kamyki do zapalniczek. Gdy zabawki były luzem, to ojciec przynosił mi je na kilka dni do zabawy, potem zabierał i przekazywał, gdzie należało, zgodnie z przepisami i protokołarnie.

Zgoła inaczej miała się sprawa z bananami, mandarynkami, pomarańczami, a także innymi egzotycznymi owocami, jakich ojciec również sporo przynosił do domu. Kupował je na wyprzedaży towarów nietrwałych, dokonywanej po obniżonych cenach w pobliskim urzędzie celnym. Ja zjadałem się bananami i mandarynkami, zaś wręcz brzydziłem się pomarańczami. Siostra akurat odwrotnie. Te nasze smaki pozostały nam do dzisiaj. Oczywiście owa egzotyczna konsumpcja dotyczyła tylko pewnego określonego czasu.

Do szkoły usytuowanej w centralnej części Łagiewnik było z osiedla Hubertus około 600 metrów. Szedłem prosto drogą przez wzniesienie terenowe, mając po jednej i drugiej stronie tylko pola i ogrody. Na tej drodze zimą dobrze się jeździło na sankach, zwłaszcza w kierunku huty. Gorzej w stronę Łagiewnik, bo drogę przecinała linia tramwajowa i dość ruchliwa ulica Mickiewicza. Na zboczach tej drogi lepił się bałwana lub



Siostra z nową damką

robiliśmy orla na śniegu, leżąc na wznak i ubijając śnieg wachlarzowo rękoma.

Przy skrzyżowaniu z ulicą Mickiewicza znajdowała się okazała willa na sporej, zadrzewionej parceli, otoczonej wysokim ogrodzeniem z pionowych prętów metalowych na ceglanej podmurówce. Willę zamieszkiwała rodzina niemieckiego sztygara, ale nikogo nigdy za ogrodzeniem nie widziałem. Natomiast miał się tam prawie zawsze wielki, czarny, kudłaty wilczur. Musiał bardzo nie lubić chłopaków, bo ujadął na nas straszliwie z pianą na pysku. Myśmy zwykle nie zostawiali mu dłużni i rzucaliśmy w niego patykami, kasztanami i grudkami ziemi. I uciekaliśmy, żeby nie było, że to my drażnimy wściekłego psa, podczas gdy to on nas prowokował i napastował bezzasadnie.

W szkole, oprócz wcześniej znanego Dyjusia, miałem jeszcze dwóch serdecznych kolegów. Jeden z nich, Janek Sobol, był synem lekarza internisty. Drugi, Jurek Szalonka, miał ojca restauratora, który posiadał również sporą salę widowiskową, wynajmowaną na różne imprezy. Na tej sali bawiliśmy się często w chowanego, natomiast na scenie urządzaliśmy np. strzelanie z armatek i inne zabawy.

O nas trzech można by chyba tylko powiedzieć, że mieliśmy bogatych rodziców i chyba tylko my nie używaliśmy gwary śląskiej. Najprawdopodobniej ich rodzice również nie byli rdzennymi Ślązakami. Bywałem niekiedy w ich mieszkaniach. Były obszerne, bogato i nowocześnie urządzone. Wyraźnie różniły się od 2-izbowego mieszkania rodziców Dyjusia. To ostatnie jednakże, mimo ubogich mebli i sprzętów, było zawsze czyste i schludne, a było też w nim wiele obrazów oraz makatek z wyszywanymi kolorowymi kwiatami i ludowymi sentencjami typu „Kto rano wstaje - temu Pan Bóg daje!” lub tp.

Inaczej niż dzisiaj, w szkołach przedwojennych nauczyciele za przewinienia wymierzali uczniom kary cielesne. Posługiwali się przy tym różnymi przedmiotami. Najczęściej pokrywką od piórnika, linijką, specjalną trzcinką, paskiem albo rzemykiem. Opiszę historijkę takiego zbiorowego lania.

Na jakiejś przerwie nie wyszliśmy na korytarz, ani na boisko. Prawie wszyscy zostali w klasie, ja również, coś tam czytałem. Większość strasznie wrzeszczała, biła się i czymś rzucała. W pewnym momencie rozległ się łoskot. To gipsowe godło z białym orłem na czerwonym tle, zawieszone nad portretami I. Mościckiego oraz Rydza - Śmigłego, pękło na drobne kawałki i spadło na podłogę.

Nastąpiła śmiertelna cisza, zaś za chwilę pojawił się nasz wychowawca, świetny nauczyciel matematyki i fizyki. Zapytał krótko: kto to zrobił? Lecz odpowiedzi nie było. Wygarnął więc nas wszystkich do rozległej sali fiz.-chem., ustawił wzdłuż katedry demonstracyjnej i zamknął drzwi. Ponowił swe pytanie, ze skutkiem jak poprzednio. Wtedy wyciągnął z szuflady swą wiotką trzcinkę i zaczął obrzęd wielkiego lania, poczynając od lewego końca szeregu. Bił z całej siły, delikwenci skamlali i klękali z bólu, ale nikt nic nie powiedział. Byłem może dziesiąty w szeregu, który kurczył się coraz bardziej. Czuję, że pocę się ze strachu, wyciągnąłem już rękę i zamknąłem oczy, gdy nagle „kat” odsunął mnie niespodziewanie z szeregu i zabrał się do następnego delikwenta.

No tak, byłem w klasie pupilikiem wychowawcy, najlepszym w jego przedmiotach, zawsze grzeczny i uładny. I dlatego zapewne zostałem wyjątkowo oszczędzony przy zbiorowej egzekucji. Drugi za mną przyznał się do winy, dostał podwójną porcję razów i na tym przeryga do wielkim biciem się zakończyła.

Na przerwach międzylekcyjnych, a przynajmniej na dużej przerwie, przebywaliśmy zwykle na podwórku szkolnym. Ścigaliśmy się wzdłuż ogrodzenia, skakaliśmy do skrzyżni z piaskiem lub graliśmy w jakieś zbiorowe gry. Najczęściej w klipę, jaką sami sobie strugaliśmy, albo w guziki przy ścianie szaleatów. Dziewczyny bawiły się w różne skanki, wyznaczane na podwórku lub przy użyciu linek.

Na podwórzu szkolnym odbywaliśmy też w pogodne dni zajęcia gimnastyczne. Były to konkretne ćwiczenia gimnastyczne albo niekiedy gra w palanta, jaka była ulu-

bioną grą naszego wychowawcy. On sam potrafił wybić piłkę prawie na całą długość stumetrowego podwórka.

Do swego rodzaju ćwiczeń gimnastycznych można by zaliczyć także zjeżdżanie po poręczy schodów. Schody były szerokie, zaś poręcz dębowa, bez żadnych zabezpieczeń, które by uniemożliwiały zjeżdżanie po niej.

W 1936 roku znowu zmieniliśmy mieszkanie. Oczywiście na nieco większe, również przy ul. Sienkiewicza. To nowe mieszkanie mieściło się w budynku, będącym własnością kopalni węglowej „Łagiewniki”. Na I piętrze mieszkała rodzina nauczyciela. Na parterze były dwa mieszkania, w których zamieszkiwaliśmy my oraz rodzina policjanta. Mieszkanie nasze miało dwie izby, ale wewnątrz znajdowała się jeszcze mała kuchenka i łazienka.

Parcela ze sporym ogrodem otoczona była wysokim murem ceglanym. W tym ogrodzie często przebywaliśmy. Moi rodzice grali bowiem namiętnie w szachy i tam odbywały się prawie turnieje szachowe, na które przychodzili szachiści z całej miejscowości. Na ogół zwycięzcami byli moi rodzice. Kto z nich dwojga lepiej grał, to trudno było ocenić, bo ojciec, gdy przegrywał, to zrzucał figury z szachownicy.

Mniej więcej od piątej klasy najlepszym byłem ja. Ogrywałem bezwzględnie większość partnerów w Łagiewnikach. Posiłkowałem się teorią, korzystając z czasopism szachowych. Najchętniej posługiwałem się debiutem hetmańskim. Znałem też na pamięć szereg gier z turniejów mistrzowskich, w tym głównie Aljechina, ówczesnego mistrza świata.

W tym czasie do moich obowiązków domowych, prócz dbałości o rower ojca, doszło również sporadyczne czyszczenie karabinu. Był to bardzo solidny, pięciostrzałowy karabin typu „Mauser”. Czyszczenie rozpoczynałem od ewentualnego wyciągnięcia łódki z nabojami, jeśli nie uczynił tego wcześniej ojciec. Wymontowywałem następnie zamek i czyściłem i oliwilem go starannie. Lufę przeciągałem specjalnym wyciorem na długim sznurku. Broń musiała być zawsze w należytym stanie. Nie skłamię, jeśli powiem, że czyszczenie karabinu dokonywałem z przyjemnością, bez żadnego nalegania ze strony ojca.

Od około 10. roku życia corocznie latem rodzice wyprawiali siostrę i mnie do wujków mieszkających we wsi Kuźnica Bobrowska w powiecie ostrzeszowskim w Poznańskim. Polegało to na tym, że wsadzano nas do pociągu, a my sami uważaliśmy już bacznie, aby wysiąść na stacji w Ostrzeszowie. Tam czekała na nas bryczka z którymś z wujków lub starszych kuzynów.

Jeździliśmy najczęściej trzecią klasą. Wagony pierwszej klasy miały wydzielone separatki z wyściełanymi, zwykle pluszowymi, fotelami i firanki w oknach. Druga klasa to też były separatki, lecz ciśniejsze i z drewnianymi ławkami. Natomiast trzecią stanowiły wagony jednohalowe z dwustronnymi drewnianymi ławkami po obu stronach przejścia. Na wschodnich rubieżach państwa istniała jeszcze czwarta klasa. Stanowiły ją kryte wagony towarowe wyposażone w ławy wokół ścian oraz w uchwyty, zwisające z dachu. Jechało się w nich więc przeważnie na stojąco. Do środka wagonów wchodziło się z otwartych platform, znajdujących się z przodu i z tyłu wagonów.

Nawiasem mówiąc, to kolejnictwo było chyba najlepiej funkcjonującą dziedziną gospodarki w Polsce przedwojennej. Cenione było zwłaszcza za punktualność pociągów, o których mówiło się, że kursują z dokładnością zegarków szwajcarskich.

Lato na wsi miało wiele swych uroków i pozostało mi z tych zielonych wakacji mnóstwo wspomnień i wrażeń. Gospodarstwa czterech wujków, u których przebywaliśmy, były względnie duże. Liczyły po 50-100 mórg poznańskich ziemi ornej. Każdy z wujów

posiadał solidny murowany dom mieszkalny wraz z licznymi budynkami gospodarczymi, zgrupowanymi wokół sporego podwórza. Składały się na nie głównie wolnostojąca stodoła na zboże i obszerny budynek, mieszczący stajnię, oborę, chlewnię, kurniki, warsztat, magazyny itp.

Całość obejścia wraz z niedużym ogródkiem i sadem było ogrodzone drewnianym płotem. Na podwórkach usytuowana była pompa lub studnia z żurawiem, buda dla groźnego psa, uwiązanego na długim łańcuchu, natomiast za oborą gnojownik i ustęp z szambem. Za obejściami gospodarczymi znajdowały się wyгородzone wybiegi dla drobiu, świń i największe dla krów. Wybiegi dla świń miały zwykle nieduże, błotniste stawki-bajora, w których z lubością się one tarzały. Zaś wybiegi dla krów i koni to były wielkie łąki-pastwiska.

Każdy z wujów prowadził różnej wielkości hodowlę krów, świń, kur, gęsi, kaczek i posiadał po kilka koni, które stanowiły podstawową siłę roboczą w gospodarstwie. Wszystko to wymagało bardzo wielu zabiegów i pracy. Siostra i ja też staraliśmy się być użyteczni. Pomagałem spędzać krowy z pastwiska, zaganiać świnię do wybiegu, pasłem i karmiłem gęsi i kaczki. Pomagałem też przy ładowaniu snopków żyta na wozy i w układaniu w stogi lub w sásieku, przy omłocie zboża, wyrzucaniu obornika itp.

Należały do mnie też pomniejsze obowiązki, jak odwirowywanie mleka na ręcznej centryfudze, klepanie masła, zbieranie owoców w sadzie, przynoszenie we wiadrze wody ze studni z żurawiem i zamiatanie wiklinową miotłą podłóg, które przedtem posypywało się wilgotnym piaskiem. Karmiłem również psa i koty. Oczywiście pies był uwiązany na łańcuchu i pilnował obejścia, zaś koty nocą łowiły myszy w stodole, a we dnie wygrzewały się w ogródku.

Wiele bawiłem się ze swymi rówieśnikami w budowę tam na pobliskim strumyku, strzelanie z łuku, łapanie motyli, wspinanie po słomianym dachu stodoły do gniazda bocianiego itp.

Chodziłem, jak wszyscy, na bosaka i pamiętam, że miałem z początku kłopoty z poruszaniem się po świeżo ściętym rżysku. Trzeba się było tego nauczyć, podglądając starszych krewniaków. Mianowicie należało tak chodzić, aby przyginać rżysko w kierunku jego nachylenia, stawiając posuwiste kroki. Chodząc „pod włos” można było łatwo pokaleczyć sobie stopy, zwłaszcza gdy skóra na nich nie była odpowiednio zahartowana.

Jeździłem też sporo na „dorosłym” rowerze po okolicznych drogach. Przy tym nie jeździło się samymi drogami, które były piaszczyste i rozjeżdżone koleinami, lecz pobocznymi, wąskimi ścieżkami dla pieszych. Była to nie lada sztuka, ale rowery na wsiach poznańskich były bardzo rozpowszechnione i służyły na przejazdy do szkoły, sklepów, a nawet do kościoła.

Wieczorami wszyscy domownicy, w jednej największej izbie, graliśmy w domino, a częściej w karty, zwykle w tysiąca lub kierki. Ja czasami czytałem książki, ciocia zawsze coś wyszywała. Oczywiście wszystko przy świetle naftowej lampy, bo oświetlenie elektryczne na wsiach wówczas było nieznanne.

Niekiedy były dalsze wycieczki do boru na grzyby lub poziomki albo nad rzekę Prosnę. Często po kilka dni mieszkalem u innych wujków w sąsiednich Bobrownikach. Jednak najbardziej lubiłem przebywać u cioci Stasi, która była dla mnie szczególnie serdeczna i opiekuńcza, dbała o moją odzież i przygotowywała różne smakołyki. Często pomagałem jej w przeróżnych pracach domowych i w gospodarstwie. Bardzo lubiłem też towarzyszyć jej córkom, a mym starszym kuzynkom Celce lub Władzi, przy robieniu masła, bo wtedy w rytm pracy mówiły wiersze Mickiewicza lub Słowackiego, których obie wiele znały na pamięć.

To klepanie masła w dużych drewnianych donicach odbywało się w piwnicy, czyli

ziemiance, zbudowanej w ogrodzie. Służyła ona za magazyn-chłodnię do przechowywania produktów spożywczych. Rzeczywiście było tam zawsze znacznie chłodniej niż na otwartej przestrzeni.

Wszyscy na tych poznańskich wsiach byli bardzo pracowici. Każdy miał swe obowiązki od najmłodszych lat do późnej starości. Mój dziadek, na przykład, obsługiwał jeszcze kuźnię, gdy miał 90 lat. Pomagałem mu poruszać miechy i obserwowałem jak wyrabia podkowy i inne przedmioty z rozpalonego do białości żelaza. Poza tym każde gospodarstwo specjalizowało się dodatkowo w jakiejś jednej dziedzinie. W przypadku moich czterech wujków było to pszczelarstwo, hodowla gęsi, mała stadnina koni, sadownictwo, kuźnia i usługi weterynaryjne.

Powrót z wakacji wyglądał podobnie jak przyjazd, tylko w odwrotnym kierunku. Bryką zawożono mnie i siostrę na dworzec kolejowy w Ostrzeszowie, natomiast w Chorzowie czekali na nas mama lub tato.

Kilka razy byliśmy całą rodziną w Kuźnicy Bobrowskiej, przez kilka dni, z okazji różnych uroczystości rodzinnych. W tym w listopadzie 1934 roku, z okazji diamentowych godów seniorów rodu, czyli 60-lecia ślubu mych dziadka i babci. Faktycznie odbył się wówczas pierwszy zjazd rodu, w którym wzięły udział wszystkie ich sześcioro dzieci, ze swymi rodzinami, łącznie 37 osób.



1932 r. Ojciec przy orderach, obok mama, siostra i ja z dziadkami.

Piekarach Śląskich. W tym dniu odbywały się tam wielkie uroczystości, związane z obchodami rocznicy 250-lecia przemarszu wojsk Jana III Sobieskiego w drodze na odsiecz Wiednia. Natomiast sami rodzice raz wyjechali na kilka dni do Krakowa w celu wzięcia udziału w sypaniu Kopca Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Dzięki staraniom szkoły byłem w 1937 roku, wraz z całą klasą, na wycieczce w Krakowie i Wieliczce. Pamiętam przejazd łódką po jezioru w głębinach kopalni soli. Również staraniem szkoły dwa razy moja klasa była w lasach mikołowskich na biwaku harcerskim. Bawiliśmy się w Indian i w różne gry sprawnościowe.

Zestawienie tych moich wakacji i wyjazdów w okresie do ukończenia szkoły podstawowej, z podobnymi wyjazdami moich synów, jest prawie nieporównywalne. Oprócz wielokrotnych wyjazdów do dziadków, byli z nami kilkanaście razy na różnych wczasach krajowych i zagranicznych, na obozach harcerskich w Bieszczadach i we Francji, oraz

Nigdy nie byliśmy z rodzicami na żadnych wczasach w miejscowościach letniskowych w okresie wakacji. Zresztą instytucja wczasów, w dzisiejszym rozumieniu, była wówczas w ogóle nie znana. Z wyjazdów urlopowych do wód, czy kurortów, jak się wtedy mówiło, korzystała bardzo nieznaczna część społeczeństwa o bardzo wysokim statusie zamożności.

Byliśmy jedynie raz na wycieczce-pielgrzymce tramwajem tranzytowym przez niemiecki Bytom w

wiele razy na autokarowych wycieczkach, organizowanych przez szkołę.

W rodzinie wyraźnie ja byłem maminsynkiem, zaś siostra przysłówiowym „oczkiem” w głowie ojca. Często towarzyszyłem mamie w zakupach, również tych dalszych, do domów towarowych „TIC” i „Wholesale” w Chorzowie. Wtedy mama nie raz fundowała mi gorące kielbaski z musztardą w barze na estakadzie kolejowej obok huty Batory. Faktycznie to prawie stutysięczny Chorzów nazywano wówczas jeszcze z przyzwyczajenia Królewską Hutą, gdyż zmiana nazwy miasta miała miejsce całkiem niedawno w 1934 roku.

Zaś w domu pomagałem w różnych pracach porządkowych i przy kuchni. Ale przede wszystkim uczyłem się. Miałem ku temu dobre warunki: potrzebne książki, przybory, swój stół w mieszkaniu i zapewniony spokój. Rodzice w zasadzie nigdy nie interesowali i nie wypytывali się o moją edukację. Nigdy też nie musieli zaganiać mnie do nauki, bo zawsze pilnie odrabiałem zadane lekcje. Raczej mama, zaś zwłaszcza ojciec, wyganiali mnie na podwórko do kolegów, gdyż, ich zdaniem, zanadto przesadywałem w domu. Inaczej moja siostra, która była znacznie ruchliwsza ode mnie, miała zawsze chmarę koleżanek i kolegów i ciągle gdzieś wychodziła.

Ja sporo wtedy czytałem. Do 13. roku życia przeczytałem prawie wszystkie dostępne w bibliotece książki Karola Maya o Indianach, o Tarzanie i w ogóle książki dla młodzieży. Czytałem też pisma dla dzieci z komiksowymi historyjkami „Świat Przygód”, a później także „Karuzelę” i „Światowid”.

Chodziłem często do jednego w Łagiewnikach kina na filmy przygodowe, zwłaszcza kowbojskie. Niektóre filmy pamiętałem bardzo długo, zaś film „King Kong” do dzisiaj; zapewne byłem na nim kilka razy. Oglądałem też liczne, grane wówczas filmy komediowe z Flipem i Flapem, z Patem i Patachonem, czy Charles Chaplinem. Natomiast moja siostra i w ogóle dziewczyny i kobiety pasjonowały się słodziutkimi filmami z małą, rezolutną Shirley Temple oraz szalonymi romansami z Rudolfem Valentino i Marleną Dietrich. Na niektóre filmy, np. z Janem Kiepurą i Martą Egerth, chodziliśmy do kina razem z rodzicami.

Uczęszczałem do kina najczęściej sam lub z kolegami. Nie miałem problemów z przyzwoleniem rodziców, mama zawsze dawała mi tych kilkadziesiąt groszy, ile kosztowało miejsce w pierwszych rzędach. Gdy wracałem późnym wieczorem, to zastawałem uchylone okno, przez które cichutko dostawałem się do mieszkania.

Na salę kinową wchodziło się w dowolnym momencie, również w czasie trwania projekcji. Tak, że w czasie seansu na widowni panował prawie ciągły ruch, zaś obsługa sali wskazywała miejsca latarkami elektrycznymi. Nikomu to nie przeszkadzało, bo ludzie oglądali filmy bardzo emocjonalnie. Często na sali wybuchały salwy śmiechu, okrzyki zgrozy lub płacz.

W drugiej połowie lat trzydziestych większość nowych filmów była już udźwiękowiona, ale sporo wyświetlano jeszcze filmów niemych. Miały one zwykle akompaniament muzyczny. Pianista, grający na fortepianie z boku ekranu, starał się grać w rytm i stosownie do nastroju filmu. Same filmy nieme miały często wstawki tekstowe z objaśnieniami lub tytułami kolejnych fragmentów filmu.

W roku 1939 widziałem pierwszy, króciutki film kolorowy, bodajże o Hawajach. Był pokazany jako dodatek i robił wielkie wrażenie. Ale na pełnometrażowe filmy kolorowe trzeba było poczekać jeszcze kilkanaście lat.

Na ulicach i podwórkach Łagiewnik często pojawiali się różnego rodzaju domokrażni rzemieślnicy, oferujący swe „obnośne” czy „obwożne” usługi. Żeby zasygnalizować swoje przybycie wykrzykiwali: „garnki lutować!”, „noże, nożyczki ostrze!”, „szklenie okien!”, „szmaty skupuję!” lub tp. Powszechnie praktykowane było również roznoszenie przez wieśniaczki w bańkach na plecach, mleka „prosto od krowy” dla swoich stałych

odbiorców.

Zaś w miejscach publicznych, na placu targowym, przed kościołem, uwijali się zwykle gazeciarze, sprzedający świeże wydania prasy i wykrzykujące przy tym co pikantniejsze tytuły gazetowych artykułów. Wszystko to funkcjonowało oczywiście w miastach również w czasie wojny i jeszcze kilka lat po jej zakończeniu.

W okolicy różnych świąt tudzież dni targowych, pojawiała się w Łagiewnikach podwórkowa kapela, złożona z kilku grajków grających i śpiewających gwarowe, śląskie piosenki. Zaś znacznie rzadziej stary, ślepy kataryniarz, chyba ze swym wnukiem. Starzyk kręcił korbką swej grającej skrzynki, natomiast chłopiec podchodził do gapiów i zbierał pieniądze.

Mniej więcej w okresie, gdy chodziłem do piątej klasy, stałem się bardzo religijny. Przejawiało się to w codziennym chodzeniu do pobliskiego kościoła na popołudniowe nabożeństwa. Znałem na pamięć po łacinie całą liturgię mszy oraz „Pater Noster”, a także wiele popularnych pieśni religijnych. Sam lubiłem śpiewać w kościele, choć nie miałem dobrego głosu.

Była to moja własna inicjatywa, nie inspirowana przez nikogo. Moi rodzice nigdy nie przejawiali większego zaangażowania religijnego. Nawet nie mieliśmy w mieszkaniu obrazów religijnych. Jedynie ojciec dbał o wspólne, demonstracyjne wyjście na niedzielne msze. Mam takie zdjęcie: ojciec w paradnym mundurze przy orderach, spodnie z lampasami, białe rękawiczki w dłoni, mama w modnym kapelusiku z piórkiem i my, grzeczne dzieci, po obu stronach.

Mama była zawsze pluralistyczna, tolerancyjna i wyrozumiała we wszystkich sprawach etyki i moralności oraz krytyczna do dogmatów religii i kleru. Czytała sporo książek i czasopism kobiecych, które zawsze prenumerowała. Miała realne, zdroworozsądkowe spojrzenie na świat i ceniona była za swe rady i uwagi przez sąsiadów, znajomych, krewnych, w Komitecie szkolnym.

Pewnego popołudnia, gdy szedłem właśnie do kościoła, usłyszałem za sobą na ulicy jakieś krzyki i tumult. Odwróciłem się i zobaczyłem po przeciwnej stronie ulicy biegnącego, starego Żyda z długimi pejsami i w czarnej jarmulce, zasłaniającego głowę obu rękoma. Za nim środkiem ulicy biegło kilku wyrostków, którzy rzucali w niego kamieniami, wykrzykując jakieś obelgi i przezwiska, a także popularne, szowinistyczne hasło tamtych lat „Żydzi na Madagaskar!”. Scena ta poruszyła mnie do głębi i utkwiała w pamięci na zawsze.

Od tego momentu zacząłem się interesować problemem antysemityzmu, jaki wtedy ogarnął Polskę. Czytałem gazety, rozmawiałem o tym z mamą. Na Śląsku praktycznie Żydów nie było. Nie miałem w szkole żadnego kolegi pochodzenia żydowskiego i znałem tylko jednego Żyda, który prowadził mały sklepik spożywczy na naszej ulicy. Więcej ich było w Chorzowie, gdzie należała do nich znaczna część sklepów, zwłaszcza domy towarowe.

Właśnie na Śląsku ogłoszony został przez prawicowo-nacjonalistyczne organizacje bojkot handlu żydowskiego. Na naszej ulicy polegało to na tym, że ludzie przestali kupować w sklepiu żydowskim, obawiając się szyszan i przezwisk typu „bolszewik”, „żydokomuna” itp. Wzrosły natomiast obroty w drugim na naszej ulicy sklepiu, należącym do Niemca. Moja mama zdecydowała się jednak nadal zaopatrywać w tym sklepie żydowskim. Z tym, że zakupy należały teraz wyłącznie do mnie. Chodziłem o zmroku z kartecką, na której były wypisane zamawiane towary.

Sklepek był mały, wąski, z jedną szybą wystawową (w czasie bojkotu wybitą), ale wszystko w nim można było kupić. O takich sklepikach mówiło się pogładowo, że jest tam „szwarc-mydło-powidło”. Największe obroty dotyczyły cukru, mąki, kasz różnego

rodzaju, mydła, soli i innych przypraw, nafty, zapalek, octu oraz tytoniu. Sympakie towary były w przeróżnych szufladach, pakowało się je do papierowych tytek. Ogórki kiszone, kapusta i solone śledzie były w beczkach; marmolada, cukierki w słoikach; masło w osekach; nafta w bańkach; ocet, oliwa we flaszках.

Nie płaciłem za otrzymane towary, jedynie właściciel sklepu odnotowywał ich wartość w odpowiednim zeszycie. Należność za cały miesiąc regulowała mama po otrzymaniu pensji. Niezależnie od tego kredytowania, za całomiesięczne zakupy mama dostawała jeszcze spory rabat. I to było też jedną z przyczyn, obok solidności i absolutnej uczciwości właściciela sklepu, że, mimo bojkotu, zaopatrywaliśmy się w tym sklepiku.

Antysemityzm, krzewiący się wówczas w Polsce, obejmował cały kraj, a przejawiał się w różnych formach, zależnie od środowiska i regionu. Był on pochodną sytuacji w Niemczech hitlerowskich, którym oficjalne władze polskie starały się jak najbardziej przypodobać.

Między innymi przejęto od nich aspiracje kolonialne. Wyrażało się to w żądaniu przyznania Polsce kolonii zamorskich, w szczególności Madagaskaru. Na prawo akurat do tej wyspy, większej od Polski, powoływano się dlatego, że w 1774 roku opanował ją polski kondotier Maurycy Beniowski, dowodzący francuskim korpusem. Dziesięć lat później, walcząc już o niepodległość Madagaskaru, Beniowski został obrany królem wszystkich plemion malgaskich. Tę legendę krzewiła w społeczeństwie, zwłaszcza wśród młodzieży, masowa i zasłużona dla gospodarki morskiej Liga Morska i Kolonialna. Ja także byłem jej członkiem.

W ogóle naśladownictwo faszystowskiego niemieckiego i przyjaźń z Niemcami były głoszone powszechnie. Za znaczący przykład, jakby symbol tej przyjaźni, przedstawiany był przez radio i prasę ślub uwielbianego przez polskie społeczeństwo „chłopca z Sosnowca”, światowej sławy tenora operowego, Jana Kiepury z piękną niemiecką śpiewaczką sopranową Martą Egerth. Po ślubie zamieszkali oni do 1939 r. w Berlinie, gdzie nakręcono z ich udziałem kilka „śpiewających” filmów, cieszących się potem wielką popularnością w całym świecie.

Przyjaźń Polski i Niemiec wyrażała się również we wzajemnych wizytach oraz hucznych polowaniach prominentnych dygnitarzy obu krajów, w poparciu inwazji Włoch na Abisynię i puczu frankistowskiego w Hiszpanii, a także we wzmożonym szykanowaniu i zwalczaniu wszelkich lewicowych ruchów i organizacji w kraju.

Między innymi istniał w tamtym czasie ostry konflikt między władzami i bardzo lewicowym Związkiem Nauczycielstwa Polskiego. Różne strajki, petycje, spory na tym tle, zdarzały się i w naszej szkole. Raz, wraz z kilku uczniami z innych klas, udaliśmy się do przyszłolnego mieszkania naszej nauczycielki od przyrody, która leżała chora w łóżku, a niedawno została zwolniona z pracy z przyczyn politycznych. Wręczyliśmy jej kwiaty oraz pieniądze, zebrane przez szkolny komitet rodzicielski. Bardzo się wtedy wzruszyła i popłakała.

W połowie 1937 r. po raz trzeci zmieniliśmy mieszkanie. Tym razem zamieszkaliśmy z powrotem w osiedlu Hubertus, w bloku urzędniczym, w sąsiedztwie placówki granicznej, kierowanej przez ojca.

Mieszkanie obejmowało 3 pokoje w amfiladzie, przy czym pierwszy był kuchnią z dużym piecem kaflowym i zlewem. Ubikacja była wspólna z sąsiadami, zlokalizowana na podeście klatki schodowej. Rodzice zakupili do mieszkania nowe gustowne meble, dywany, firany itp. Najwidoczniej miało to być mieszkanie na wiele lat. Mieliśmy też swój spory ogródek, który rodzice starannie zagospodarowali.

Do szkoły chodziłem tą samą drogą, co podczas poprzedniego zamieszkiwania na terenie kopalni i Huty Zygmunt. W najwyższym punkcie tej drogi roztaczał się rozległy

widok na okoliczne osady i miejscowości. W szczególności widoczne były dziesiątki kominów, głównie kopalń węglowych Łagiewnik, Lipin, Chropaczowa, Świętochłowic, Siemianowic, Rudy Śląskiej, Chorzowa, a także całego Bytomia.

Idąc tą drogą do szkoły pewnego jesiennego dnia 1937 roku coś zdumiało mnie w krajobrazie. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że z żadnego komina po polskiej stronie nie wydobywa się dym. Nie rozumiejąc przyczyny, tego tak niezwykłego zjawiska, poczułem wyraźny niepokój oraz strach i jakby przeczucie czegoś bardzo niedobrego. Rozglądałem się długo dokoła i liczyłem te nieszczęsne, „bezrobotne” kominy.

Dopiero znacznie później, po latach, poznałem przyczyny tego, wielomiesięcznego zresztą, przestoju śląskich kopalń węgla kamiennego. Otóż należały one wszystkie do niemieckich koncernów, w których posiadaniu były również kopalnie na Śląsku niemieckim oraz w zagłębiu Saary i Westfalii na zachodzie Niemiec. Gdy w 1937 roku na rynkach europejskich spadło znacznie zapotrzebowanie na węgiel, koncerny te zmuszone były do obniżenia swej produkcji. Oczywiście zrobiły to kosztem swoich kopalń w Polsce, utrzymując w pełni produkcję w kopalniach niemieckich. Sytuacja ta wyraźnie obrażowała polską mizериę gospodarczą oraz zależność od kapitału zagranicznego.

W II Rzeczypospolitej nie wybudowano na Górnym Śląsku ani jednej nowej kopalni, ani nawet szybu wydobywczego. Nie uczyniono też prawie nic w zakresie mechanizacji robót górniczych. Nic więc dziwnego, że produkcja węgla kamiennego w Polsce w 1938 r., wynosząca 38 milionów ton, była niższa od wydobycia w istniejących kopalniach w 1913 r., tj. przed I wojną światową.

Ojciec, jak zawsze, był zapracowany, prawie nie było go w domu. Otrzymywał wysokie premie za wychwytywanie wciąż wzrastającego przemytu granicznego. W tym okresie rodzice najwidoczniej zaczęli myśleć o zainwestowaniu swych dochodów i oszczędności ulokowanych na kontach bankowych. W żadnym wypadku nie dotyczyło to jednakże zwiększenia wydatków na bieżące utrzymanie i konsumpcję. Smalec, marmolada, tańsze gatunki wędlin, kasze, warzywa z własnego ogródka to było podstawowe menu w naszym jadłospisie. Zaś odzież, ubranka i sukienki dla mnie i siostry szyla sama mama na swej maszynie „Singer”. Oczywiście skarpety, zrobione na drutach, podlegały ciąglemu cerowaniu, zaś ubranka starannemu łataniu.

Poczynione przez rodziców inwestycje do września 1939 r. dotyczyły zakupu jednorodzinnej domku mieszkalnego i kilku mórg gruntu ornego i lasu w Monasterzyskach w województwie tarnopolskim oraz 3-rodzinnej domu mieszkalnego ze sporą działką w Kępnie w woj. poznańskim. Jakże to się potem przydało na burzliwy czas wojny i po wojnie. A właściwie, to ta majątność na kresach zdecydowała chyba w ogóle o przeżyciu przez naszą rodzinę okresu wojny.

Jesień 1938 r. minęła na Śląsku, i chyba w całej Polsce, pod znakiem aneksji Zaolzia. Po wchłonięciu czeskich Sudetów przez III Rzeszę w wyniku jej ugody w Monachium z Anglią, Francją i Włochami - Polska przyłączyła się do wrogiej polityki Niemiec w stosunku do Czechosłowacji. W dniu 2 października wojsko polskie wkroczyło zbrojnie na tereny czeskiego Śląska Zaolziańskiego, zamieszkiwanego w większość przez Polaków.

Pamiętam, jak ojciec złorzeczył, że taka polityka wyjdzie kiedyś Polsce bokiem. Ale oczywiście taką opinię głosił skrycie, jedynie wobec mamy. Oficjalnie funkcjonowała niebywała euforia patriotyzmu i propagandy antyczeskiej. Obejmowała także dzieci i młodzież szkolną. Braliśmy udział w różnych capstrzykach i uroczystościach z tej okazji, pokrzykując „Bić Pepików!” itp. Przypominało mi to sytuację z wiosny tegoż roku, gdy na wiecach wykrzykiwaliśmy „Wodzu, prowadź na Kowno!”, wspierając ultimatum polskiego rządu w sprawie nawiązania stosunków dyplomatycznych z Litwą.

Wziąłem też udział 11 listopada 1938 r. w uroczystości związanej z dwudziątą rocznicą odzyskania niepodległości przez Polskę. Odbyla się ona w piękny wieczór na dużej hałdzie, bezpośrednio przy granicy, na wprost niemieckiego Bytomia. Głównym akcentem wiecu, obok przemówień dygnitarzy, było zapalenie wielkiego stosu, złożonego ze smołowanych bali. Odśpiewano też oba hymny „Jeszcze Polska nie zginęła!” i „Pierwsza Brygada!”. Tu nadmienię, że na Śląsku ten drugi hymn śpiewało się nieco inaczej, niż w reszcie kraju. Zamiast „My, Pierwsza Brygada, strzelecka gromada ...” śpiewało się „My, Pierwsza Brygada Komendanta dziada ...”. Otóż słowo „dziad” miało wśród Ślązaków bardzo pejoratywne znaczenie. Gdy się sprzeczano i wyzywano, to właśnie najczęściej używano przezwiska „Ty dziadu!”, a lepiej „Ty sakramencki dziadu!”.

Ta zmiana tekstu piosenki wynikała z wielkiej niechęci, wręcz nienawiści Ślązaków do Piłsudskiego. Brało się to z okresu powstań śląskich, których Piłsudski jakby nie zauważał, a także z dominacji i opanowania wszelkich stanowisk i urzędów na Śląsku przez „goroli”, to jest ludzi z byłej Kongresówki oraz z Galicji. Podobnie Ślązacy dyskryminowani byli w sferze średniego i wyższego szkolnictwa. Na przykład w gimnazjum w Chorzowie, do którego w 1938 roku uczęszczała moja siostra, przeważały w klasie uczennice rekrutujące się z rodzin napływowych Polaków. Te nierówności usunięte zostały dopiero po wojnie w Polsce Ludowej.

Owe ogniska nad granicą doskonale można było zinterpretować jako manifestowanie wobec Niemiec zawartości i siły Polski, jak też woli wzajemnej współpracy i przyjaźni między obu państwami. Niemcy nie byli nam długo dłużni. Przy jakiejś okazji urządzili w Bytomiu przy granicy wspaniały pokaz ogni sztucznych. Faktycznie tylko raz jeszcze widziałem tak bogate ognie sztuczne podczas Wystawy Ziem Odzyskanych we Wrocławiu w 1948 r.

W ogóle w 1938 r. i pierwszej połowie 1939 r. brałem udział w wielu wiecach i capstrzykach z okazji różnych uroczystości państwowych. Na te wiece młodzież szkolna maszerowała zwykle zbiorowo szwórkami, robiąc tłum i wznosząc ochoczo państwowotwórcze okrzyki. Dziwiłem się bardzo, że dorośli uczestnicy wieców nie przejawiali nadmiernego entuzjazmu i nie ekscytowały ich wznoszone hasła.

Charakter tych wieców, treści transparentów i śpiewane piosenki, zmieniły się radykalnie w marcu 1939 r., po zajęciu przez III Rzeszę całej Czechosłowacji. Rozsypał się też wtedy cały worek dalszych zdarzeń politycznych, groźnych dla Rzeczypospolitej. Niemcy zajęły część Litwy z jej największym portem Kłajpedą, obsadziły swymi wojskami nowoutworzoną Słowację i zawarły układ z Rumunią, podporządkowując sobie jej gospodarkę. W ten sposób otoczyły swym militarnym kordonem nasz kraj z trzech stron. Zaraz potem Hitler zażądał od Polski zgody na włączenie Gdańska do Niemiec i wydzielenia na Pomorzu eksterytorialnego „korytarza”, to jest pasa terenu na budowę linii kolejowej i autostrady, które miały połączyć Rzeszę z Prusami Wschodnimi.

Od tego momentu stosunki Polski z nazistowskimi Niemcami znacznie się pogorszyły, zwłaszcza po serii ostrych, antypolskich demonstracji w Gdańsku. Wtedy jeszcze raz zebraliśmy się przed szkolnymi głośnikami radiowymi, by wysłuchać w patriotycznym uniesieniu, że „Polska od Bałtyku odepchnąć się nie da!” i że „nie oddamy Niemcom nawet guzika!”.

Wówczas to, wzdłuż granicy po naszej stronie, rozpoczęła się szybka, intensywna budowa linii fortyfikacyjnej. Jeden z fortów był widoczny z okna naszego mieszkania, drugi mijałem codziennie w drodze do szkoły. Zaangażowane w budowę były wielkie rzesze robotników, zwerbowanych w Polsce centralnej i liczne podwozy konne, również spoza Śląska. Stanowiska budowy były zamaskowane, transport materiałów odbywał się nocami. Niekiedy nocą podglądałem lornetką roboty w tym najbliższym forcie. Między innymi widziałem montaż ciężkiego działła, dowieszonego przez zaprzęg 6 koni.

Oprócz fortów na linii obronne składały się rozległe rowy strzeleckie, zasieki z drutu kolczastego oraz zapory drogowe i przeciwczołgowe.

Nie wiem, czy do dnia wybuchu wojny całość tych solidnych fortyfikacji została zakończona. Wiem jednakże, że nie zostały one w najmniejszym stopniu wykorzystane. Z dział fortecznych nie oddano ani jednego strzału, ponoć dowieziono niewłaściwą amunicję. Okopy nie zostały obsadzone, potem zdobyły je przez zaskoczenie małe dywersyjne oddziały niemieckie już w pierwszych dwóch dniach wojny.

W tym okresie miały miejsce masowe ucieczki Polaków przez granicę do Niemiec. Związane to było z agitacją prowadzoną przez specjalne ośrodki niemieckie, które obiecywały zbiegłym z Polski młodym mężczyznom natychmiastowe zatrudnienie i wysokie zarobki. W Polsce cały czas panoszyło się wówczas wielkie bezrobocie i było w związku z tym wielu amatorów na zatrudnienie się w Niemczech.

Ucieczki odbywały się pod osłoną nocy, pojedynczo lub grupami, czasem przy pomocy specjalnych przewodników. Chodziło o to, aby obejść pilnujących granicy strażników. Samo przekroczenie granicy państwowej na naszym odcinku Łagiewnik i Bytomia nie przedstawiało większego problemu. Była nią nieduża rzeczka Bytomka, nawiasem mówiąc przypominająca bardziej ściek, niż normalną rzekę.

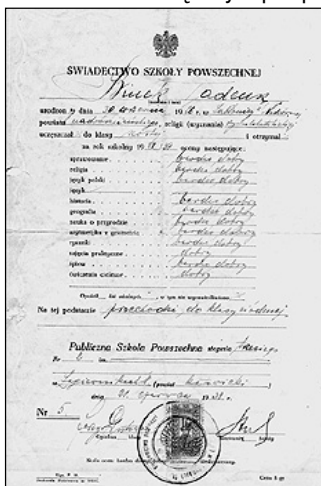
Sam widziałem kilka razy grupki młodych mężczyzn, snujących się koło hałd, blisko granicy. Mówiłem o tym ojcu, a on śmiał się, że łapie takich uciekinierów tuzinami, odstawia do Katowic, zaś tam najwyczejniej ich natychmiast zwalniali. Oczywiście próbowali oni ponownie za dzień-dwa przedostać się przez granicę do obiecanego „Eldorado”.

W ostatnim miesiącu roku szkolnego odbyła się w Katowicach olimpiada, sprawdzian testowy dla kandydatów do śląskich szkół średnich. Wziąłem w niej udział. Sprawdzian polegał na tym, że każdy uczestnik otrzymał kilkustronicowy tekst z różnymi zadaniami, które w określonym czasie, bodaj 1,5 godziny, należało rozwiązać. Były tam jakieś szeregi cyfr i znaków do uzupełnienia, zadania matematyczne do rozwiązania, pytania z kilkoma odpowiedziami, z których należało wybrać właściwe, oraz różne zadania tekstowe. Siedzieliśmy na dużej sali, każdy z nas miał oddzielny mały stolik. Nie można więc było podpatrywać odpowiedzi u kolegów.

Zadania te nie sprawiły mi większych trudności i rozwiązałem je przed czasem. Oddałem pierwszy testy przy stoliku komisji i wyszedłem z sali. Z trudem przepychałem się przez tłumek rodziców i starszego rodzeństwa olimpijczyków, wypytujących mnie jakie były tematy zadań. Mnie ojciec towarzyszył jedynie przy przyjeździe na olimpiadę, zaś sam wracałem tramwajem do Łagiewnik.

W dniu 21 czerwca otrzymałem świadectwo ukończenia szóstej klasy szkoły podstawowej, ostatecznie jakiś znaczący kawałek życia. Tylko dwa stopnie dobre z zajęć praktycznych i cielesnych (gimnastyka), reszta bardzo dobre. Dopiero po kilku dniach mama powiedziała mi, że uzyskałem w olimpiadzie najwyższą punktację. Miało to prawdopodobnie jakiś wpływ na zwolnienie mnie z licznych przedmiotów przy egzaminie wstępnym do gimnazjum w Chorzowie, jaki zdawałem w ostatnich dniach czerwca. Również i ten egzamin zdałem raczej bez większego trudu. A więc mogłem się czuć gimnazjalistą. Chyba nieźle zasłużyłem na dobre wakacje.

Wakacje 1939 r. były bardzo piękne. Jak zwykle, przebywałem wraz z moją siostrą



u cioci Stasi na wsi w Kuźnicy Bobrowskiej. Utkwiła mi w pamięci z tych ferii bardzo gwałtowna burza z piorunami, którą potem w dramatyczny sposób opisałem w jakimś wypracowaniu szkolnym. Widziałem też autentyczne tornado. Trąba powietrzna sięgała do chmur, porywając do góry kolejne stogi siana i wędrując po nieodległych polach.

Zginął mój ulubiony kotek Mruczuś, podcięty kosą podczas żniw. Przybył na krótki urlop kuzyn Franek w stopniu porucznika. Uczyłem się tańczyć w ogródku przy dźwiękach patefonu, jaki po raz pierwszy w życiu widziałem i jaki bardzo chętnie obsługiwałem i kręciłem korbką, gdy starsi ode mnie tańczyli i bawili się wesoło. Brylowała zwłaszcza moja siostra oraz porucznik Franek.

Brałem udział w ćwiczeniach, związanych z użyciem masek przeciwgazowych, jakie odbywały się na placu przed kościołem dla miejscowej ludności i młodzieży. Wysłuchałem również instrukcji, jak paskami papieru zaklejać szyby w oknach, aby uchronić je przed skutkami eksplozji. Na placu prowadzona też była zbiórka pieniędzy na zakup karabinu maszynowego dla wojska. Zaś z rozmów mych krewnych i znajomych wyczuwało się już wyraźną groźbę nadciągającej wojny.



Z wiejskich wakacji wróciliśmy wcześniej niż w poprzednich latach. Wszędzie w Łagiewnikach były porozwieszane plakaty z napisami „Do broni!”, „Silni, zwarci, gotowi!” z marszałkiem Rydzem-Śmigłym na tle eskadr samolotów itp. Natomiast radio i gazety apelowały do społeczeństwa o udział w Pożyczce Obrony Przeciwlotniczej, jaką rząd polski rozpiął w marcu, celem uzyskania środków pieniężnych na produkcję samolotów i dział przeciwlotniczych. Wykup obligacji pożyczki przyniósł faktycznie bogaty plon w postaci kilkuset milionów złotych. Moi rodzice także wpłacili jakąś sporą kwotę, otrzymując w zamian duże, ładne blankiety, podobne do banknotów, jakie potem przez dziesiątki lat przechowywali na pamiątkę.

Matka powróciła właśnie z województwa tarnopolskiego, gdzie finansowała ostatnie zakupy majątkowe. Ojciec nie mógł jej towarzyszyć, gdyż w Straży Granicznej tego pięknego lata trwało pogotowie wojskowe i nie udzielano urlopów funkcjonariuszom. Był podniecony i zabiegany w pracy jeszcze bardziej, niż kiedykolwiek.

Pracując w Straży Granicznej oraz w Wywiadzie Wojskowym znał doskonale sytuację i przygotowania wojenne, czynione na Śląsku niemieckim. Mówił o koncentracji wojsk pancernych w lasach, o szerokim szkoleniu Ślązaków niemieckich do działań dywersyjnych, o przenikaniu przez granicę tychże dywersantów, wyposażonych w broń i środki łączności. Szczegółowe meldunki słał do centrali w Katowicach, ale spotykały go za to tylko różne reprimendy i połażania za defetyzm. Oficjalne władze, rządzący, faktycznie chyba nie dopuszczali myśli o możliwym, bliskim konflikcie z Niemcami.

Mimo ciągłego wzrostu napięcia w Gdańsku i prowadzenia coraz ostrzejszej kampanii przeciwpolskiej w Niemczech - strona polska starała się tuszować konflikty i znosiła cierpliwie różne antypolskie prowokacje. Rząd Polski bowiem uparcie starał się realizować politykę „zbliżenia z Niemcami”, zainaugurowaną przez Piłsudskiego w 1934 r. dwustronnym paktem o nieagresji. Swą wolę kompromisu oraz utrzymania przyjaźni z hitlerowską Rzeszą akcentowano zwłaszcza wzmoczoną propagandą antyradziecką. Pod wielkimi tytułami typu „Kolos na glinianych nogach!” gazety opisywały słabość i rozkład armii i gospodarki Rosji. Artykułom tym towarzyszyły różnego rodzaju karykatury, z których najczęstszą był rysunek białego niedźwiedzia, oblepionego plastrami i

Siostra tańczy z kuzynem

wspierającego się na szczudłach.

Ja sam kupiłem sobie spory obrazek z rysunkiem świni, na którym, gdy patrzyło się nań nieco z boku, to pokazywał się portret Stalina. Oczywiście żadnych tego typu karykatur Hitlera wtedy nie było. Wręcz przeciwnie, dość szeroko okazywany był podziw i chwalono niemieckie państwo w ogóle, a ustrój faszystowski w szczególności. Na przykład w podręczniku mej siostry do nauki języka niemieckiego dla II klasy gimnazjalnej były entuzjastyczne czytanki o dokonaniach w Niemczech. Okraszone były zdjęciami Hitlera, paradnych marszy Wehrmachtu, budowy nowoczesnych autostrad itp. Natomiast o Związku Radzieckim pisano niezmiennie jak najgorzej.

Prasa rozpisywała się też o mającym nastąpić niedługo uderzeniu Niemiec na ZSRR, celem przyłączenia wielkiej Ukrainy do małej Rusi Zakarpackiej, którą zajęły Węgry po niemieckiej okupacji Czechosłowacji w marcu 1939 r. Było to takie naiwne zachęcanie do militarnego zaangażowania się Niemiec przeciwko Rosji, byle poza granicami Polski.

Z dystansu czasu, oceniając politykę i dyplomację władz polskich, można by je zarzucić w zdaniu: nieustająca nadzieja na miłość z Rzeszą Niemiecką i niezłomna wrogość i nienawiść do Rosji bolszewickiej. I dopiero w tym kontekście można zrozumieć nagłą i niespodziewaną decyzję pragmatycznej Anglii udzielenia wówczas Polsce gwarancji pomocy w wypadku niemieckiej agresji. Obawiała się bowiem ona, że ewentualny przyjazny i pokojowy mezalians Niemiec z Polską, mógłby je za bardzo wzmocnić.



Była też tego pamiętnego lata wielka moda na różnego rodzaju bale i rauty. Bawiono się wiele i bez troski, zwłaszcza w kręgach elitarnych, na szczytach zasobności i władzy. Z konieczności służbowych i moi rodzice chodzili na różne oficjalne i strojne bale. Rodzice świetnie tańczyli, mama szła sobie modne, gustowne kreacje i miała zawsze duże powodzenie. Ale ojciec skrycie bardzo złorzeczył na to „balowanie”, jak mawiał, i na beztroski marazm i bałagan polski. I konsekwentnie i z determinacją przygotowywał się do naszej ucieczki ze Śląska.

Rodzice oficjalnie

Jeszcze jedna sprawa bulwersowała wszystkich w sierpniu 1939 r., emanując ze szpalt gazet i radia. Mianowicie słynny poszlakowy proces Gorgonowej, sądzonej za domniemane zabójstwo swej własnej córeczki. Proces trwał przez kilka miesięcy i podzielił dokładnie całe społeczeństwo. Moja mama uważała, że Gorgonowa jest niewinna, zaś ojciec twierdził, że na pewno jest morderczynią. Rodzice więc kłócili się porywczo między sobą z tego powodu, wszak bez jakiegokolwiek rezultatu, gdyż żadne z nich nie chciało zmienić swego przekonania w rzeczonej sprawie.

Pod koniec sierpnia byliśmy spakowani i gotowi do wyjazdu. Wpierw w dniu 28 sierpnia rodzice wyekspediowali bagażem kolejowym duży kosz z rzeczami i ubiorami. Zaś następnego dnia, mama, siostra i ja, objuczeni kilkoma walizkami, załadowaliśmy się w Katowicach do pociągu osobowego, jadącego do Stanisławowa. Przy wsiadaniu do pociągu pomagał nam ojciec, w mundurze i przy broni, gdyż na stacji działy się dantejskie sceny. Pociąg z Poznania przyjechał już pełny, a na stacji czekał jeszcze tłum podróżnych. Mnie, siostrę i walizy ojciec podawał przez okno.

Separatka, do której weszliśmy była zajęta przez młodych poborowych z Poznańskiego, jadących do Rzeszowa w ramach zarządzonej w nocy powszechnej mobilizacji wojskowej (odwołanej zresztą tego samego dnia). Zrobili oni miejsce dla mamy, ja sie-

działem na jej kolanach, zaś siostra stała w środku przedziału razem z kilkoma innymi pasażerami.

Poborowi śpiewali, zachowywali się niezbyt sympatycznie. W pewnym momencie otworzyli drzwi do korytarza i wciągnęli do środka niskiego, starego Żyda. Przez kilka chwil popychali go między sobą i targali za pejsy, śmiejąc się przy tym i coś wykrzykując. Po czym wypchali go z powrotem na korytarz. Inni pasażerowie nic nie mówili, tylko moja mama nieśmiało stanęła w obronie starego człowieka.

Po południu przejeżdżaliśmy przez Tarnów. Widziałem przez okno zburzone skrzydło tarnowskiego dworca kolejowego, zamienione w stertę gruzów, usuwanych przez pracowników kolejowych i żołnierzy. Te zniszczenia, i śmierć kilkunastu osób, spowodowane zostały przez wybuch dużej mocy bomby zegarowej, ukrytej w walizce w przechowalni bagażowej na dworcu. Była to jedna z wielu sabotażowych akcji, przeprowadzonych przez dywersantów niemieckich.

W nocy przesiedliśmy się w Stanisławowie na lokalny pociąg do Monasterzysk. Do tego miasta, będącego celem naszej podróży, przyjechaliśmy rano w dniu 30 sierpnia. Za dwa dni, w piątek 1 września dowiedzieliśmy się, że Niemcy napadły w godzinach wczesnorannych na Polskę, rozpętując wojnę między obu krajami. Byliśmy przerażeni. Co z ojcem, który pozostał na granicy z karabinem w ręku? Co będzie z nami trojga, tutaj, na drugim krańcu Polski?

Dobrym znakiem było to, że 2 września dotarł do nas bagażem kolejowym duży kosz z naszymi rzeczami. Mama już nie liczyła, że go odzyskamy. Uwzględniając walizy, które mieliśmy ze sobą, to właściwie przewiezione zostały ze Śląska na nowe miejsce pobytu prawie wszystkie nasze rzeczy, prócz mebli, garnków i talerzy. Były sztucce, maszyna do szycia, radio, książki, a nawet część pościeli i prawie wszystko z ubioru. Nie miało się bowiem wówczas nazbyt wielu rzeczy. Dzisiaj w takim koszu i walizkach nie zmieściłyby się nawet moje książki.

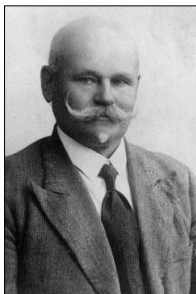
MONASTERZYSKA NA KRESACH

Przyjazd ojca * Czołgi z czerwoną gwiazdą * Gimnazjum w Stanisławowie * Dwie klasy 10-latk

Monasterzyska to ok. 10-tysięczne miasteczko na kresach wschodnich, położone około 80 km od rzeki Zbrucz, ówczesnej granicy Polski i ZSRR. Najbliższym dużym miastem był Stanisławów, leżący po drugiej stronie Dniestru w odległości ok. 40 km.

Przez Monasterzyska przepływała niewielka rzeka Koropiec, na której znajdowało się kilka drewnianych mostów. Największym obiektem w mieście była fabryka tytoniu, położona w centrum, obok placu targowego. Stanowiła ona główne miejsce pracy dla miejscowej ludności i źródło dochodów dla licznych plantatorów tytoniu w całym regionie. Przez miasto przechodziła linia kolejowa od Stanisławowa do granicy i leżało ono na rozwidleniu szosy od granicy ZSRR i Rumunii na Lwów oraz Stanisławów.

Ludność miasteczka, podobnie jak wielu innych w tych granicznych województwach, stanowili w połowie Polacy, zaś w jednej czwartej Ukraińcy oraz Żydzi. W ogóle Polska południowo-wschodnia stanowiła tygiel trzech narodowości: ukraińskiej, polskiej i żydowskiej. Ten podział narodowościowy w znacznym stopniu pokrywał się z podziałem społecznym. Ukraińcy to byli przede wszystkim chłopci. Polacy stanowili połowę ludności miejskiej i zdominowali prawie całą administrację oraz słabo rozwinięty przemysł. Zaś Żydzi skupiali w swych rękach praktycznie całe rzemiosło i handel w miastach. Tak było we wschodniej Galicji od ponad stu lat i pod tym względem międzywojenna Polska niewiele zmieniła.



W mieście mieszkała spora rodzina mej matki. Dziadek, Rudolf Pielichaty, miał stosunkowo duże gospodarstwo rolne i był już na emeryturze. Podobnie gospodarował na roli wuj Ferdynand, zaś ciocia Janka miała sklepik spożywczy, w którym pomagał jej młodszy brat Zbyszek. Wujek Henryk aktualnie był w wojsku, podobnie jak najmłodszy Edward, służący ochotniczo w Korpusie Ochrony Pogranicza. Dwoje dalszych rodzeństwa mamy, Waclaw i Aniela, przebywało od dawna poza Monasterzyskami.

Mieliśmy więc solidne oparcie w nowym miejscu przebywania. Zakwaterowaliśmy tymczasem u wujka Ferdka. Równocześnie mama od razu rozpoczęła starania o zamieszkanie we własnym niedużym domku, jaki rodzice nie tak dawno zakupili. Musiała się jednakże wcześniej wyprowadzić rodzina tam zamieszkująca na zasadach wynajmu, co wymagało trochę czasu. W nowym miejscu zamieszkania nie miałem żadnych istotnych zajęć, trochę tylko pomagałem wujowi w pracy w polu. Poza tym wałęsałem się po okolicy.

Wygląd, stan gospodarczy, w ogóle poziom cywilizacyjny tych południowo-wschodnich terenów Polski, różnił się znacznie na minus od tego, co dotąd widziałem i znałem na Górnym Śląsku i w Poznańskim. Przede wszystkim bardzo nędzne były wsie, w których dominowały gęsto zabudowane chaty-lepianki z gliny, kryte słomą. Na roli zaś podstawowymi narzędziami pracy były motyka, sierp oraz cep. Do pługów zaprzęgano niekiedy krowy, gdyż na wynajem, czy posiadanie konia, mogli sobie pozwolić tylko

nieliczni, bogatsi chłopci.

Gospodarstwo Ferdka stanowił budynek mieszkalny, połączony z oborą i stodołą w jedną bryłę na kształt litery „L”. Całość z cegły i drewna, pokryta blachą ocynkowaną. Działka położona była na osobności, z dala od innych zabudowań, w pobliżu drogi wyłotowej z miasteczka w kierunku Podchajec, Brzeżan i Lwowa. Od tej drogi oddzielało nas niewielkie wzniesienie. Otóż na nim, przez kilka dni ciągle upalnego, pięknego września, przy samej drodze, urządziłem sobie punkt obserwacyjny na to, co na niej się dzieje. A działo się w tych dniach wiele ciekawych rzeczy.

Od około 9 września jechały drogą z kierunku Lwowa długie sznury samochodów osobowych. Prawie wszystkie koloru czarnego i obciążone do granic możliwości walizkami i tobołami, lokowanymi także na dachach. Jechały nimi rodziny dygnitarzy i wojskowych, głównie z Warszawy i Lwowa, a także ewakuowane instytucje i urzędy centralne. Wszystkie te samochody wyjeżdżały z Monasterzysk w kierunku Zaleszczyk na granicy rumuńskiej.

Od 14 września pojawiły się na drodze konne tabory wojskowe. Aut osobowych było coraz mniej, zaś narastała rzeka podwodów, krytych plandekami i prowadzonych przez uzbrojonych żołnierzy. Wozy często zatrzymywały się, gdyż tworzyły się zatory. Wtedy zwykle żołnierze siadali na skarpie przydrożnej, palili papierosy i przewijali onuce. Tabory te świadczyły, że linia frontu zbliżała się nieubłaganie. Faktycznie Niemcy byli już wtedy pod Lwowem, czyli niewiele ponad 120 km od naszej miejsciny.

W dniu 17 września zdarzyła się rzecz dla mej rodziny bardzo radosna i szczęśliwa. Przyjechał ojciec cały i zdrowy, choć straszliwie umęczony. Przebył w ciągu tego dnia na rowerze prawie 120 kilometrową trasę z Brodów do Monasterzysk.

Niesamowite były jego losy od naszego rozstania się 29 sierpnia. Otóż, już tamtej nocy ojciec stoczył znaczącą potyczkę na granicy z grupą uzbrojonych dywersantów niemieckich. Byli oni ubrani po cywilnemu, zaś każdy z nich uzbrojony był w karabin, czeski pistolet i pałkę gumową z prętem metalowym. Zajęli prawie cały teren Huty Zygmunt, odległej około 500 metrów od granicy. Próbowali też zdobyć placówkę Straży Granicznej, usytuowanej na terenie zakładu.

Kierowana przez ojca 9-osobowa obsada placówki stawiała jednakże skuteczny opór ponad dwie godziny do czasu uzyskania pomocy ze strony kompanii wojska polskiego, jaka kwaterowała akurat w szkole podstawowej w Hubertusie. Wówczas Niemcy wycofali się za granicę, zabierając swych kilkunastu rannych i zabitych. Starcie to skończyło się około godziny trzeciej w środę 30 sierpnia, a więc miało miejsce dwie pełne doby przed otwarciem ognia przez pancernik „Schleswig-Holstein” na Westerplatte w Gdańsku, co uważane jest za początek wojny.

Od wczesnego ranka 1 września placówka graniczna ojca znajdowała się pod ogniem karabinu maszynowego z terenu przygranicznego szybu kopalnianego, zajętego w nocy przez Niemców. Ostatecznie ojciec, wraz ze swym zastępcą, wycofali się jako ostatni z bronionej placówki Straży Granicznej nocą 2/3 września.

Kiedy podeszli do zabudowań Łagiewnik, to zostali przywitani ogniem karabinowym z okien szkoły podstawowej. Natomiast po cofnięciu się w kierunku Hubertusa zostali z kolei ostrzelani przez polską załogę znajdującą się tam fortu, która sądziła, że są to przebrani w polskie mundury dywersanci niemieccy. Musieli więc przedzierać się przez pola i bezdroża między Lipinami i Świętochłowicami.

Nawiasem mówiąc, po latach moja siostra we Wrocławiu spotkała człowieka, który był dowódcą tego fortu w Hubertusie. Opowiadał jej jak to odparli atak dywersantów niemieckich na bunkier forteczny. Dopiero od siostry dowiedział się, że strzelali wówczas do Polaków.

Gdy ojciec zjawił się na punkcie koncentracyjnym w Katowicach, koledzy powitali go z radością, bo sądzili, że już nie żyje. Mianowicie bojówki niemieckie, które opanowały przygraniczne miejscowości na Śląsku, miały przygotowane listy proskrypcyjne byłych powstańców śląskich, wojskowych, funkcjonariuszy Straży Granicznej itp. Aresztowano ich i rozstrzeliwano na miejscu. Tak było w Łagiewnikach, Cieszyźnie i wielu innych miejscowościach już w pierwszym dniu wojny.

W Katowicach ojciec, wraz z innymi swymi kolegami, włączony został do regularnej jednostki wojskowej, która zaczęła się wycofywać zaraz do Krakowa, po czym zajmowała kolejne pozycje obronne na przestrzeni aż do Brodów na wschodnich kresach Polski. Wyglądało to tak, że gdy tylko oddział umocnił się na jakiejś linii, wkrótce przychodziła wiadomość o zbliżaniu się czołgów niemieckich i rozkaz wycofania się do następnej linii obronnej. I tak oddział, bez oddania jednego strzału, po kilkunastu dniach pieszych marszów znalazł się w Rawie Ruskiej niedaleko Lwowa, a następnie w Brodach ok. 80 km od wschodniej granicy. Wobec rozprężenia i braku łączności, dowódca wydał rozkaz rozformowania oddziału. Każdy z żołnierzy miał działać odtąd na własną rękę. Ojciec wiele się nie zastanawiał. Oddał karabin, kupił rower, zdjął bluzę wojskową, zabrał z jakiegoś rozbitego sklepu walizkę z czekoladą na bagażnik roweru i pojechał do nas do Monasterzysk.

Po drodze, przejeżdżając samotnie przez ukraińskie wsie, zdejmował swe solidne buty i jechał na bosaka. Obawiał się bowiem, że może ktoś połakomić się na te buty i napaść na niego. Miał oczywiście na taką ewentualność jeszcze pistolet z zapasem amunicji. Przyjechał jednak do nas z poranionymi stopami, które długo musiał potem leczyć. Walizka ze słodyczami, przywieziona przez ojca z Brodów, zawierała smakowite czekoladki, galaretki, cukierki. Objadaliśmy się nimi łakomie, ja i siostra, przez kilka dni.

Następny dzień 18 września też był brzemienny w wydarzenia. W godzinach południowych usłyszeliśmy potężny warkot od strony drogi prowadzącej do Stanisławowa. Krótki odcinek tej drogi, łączący miasto z przedmieściem, wraz z mostem na Koropcu, był doskonale widoczny z domu, w którym zamieszkiwaliśmy. Drogą z miasta w kierunku Halicza-Stanisławowa jechały czołgi. Były to czołgi rosyjskie, z wielkimi czerwonymi gwiazdami na wieżach, wszystkie jednakowe, z niedużymi działkami. Zacząłem je liczyć. Liczyłem do zmroku i również w nocy, obserwując światła reflektorów. Przestałem później liczyć, gdy przejechało 500 maszyn. A jechały jeszcze w następnym dniu.

Zaraz potem udałem się na mój punkt obserwacyjny przy drodze lwowskiej, skąd też dochodził szum motorów. Na szosie nadal stał sznur furmanek polskich taborów wojskowych, które wolno przesuwały się w kierunku miasta. Tam przy fabryce tytoniowej żołnierze byli rozbierani, zaś wozy i przewożony sprzęt przejmowane przez świeżo urządzoną wojskową, rosyjską komendanturę miasta.

Jednakże tabory zajmowały tylko skrawek szosy i jej pobocze. Środkiem natomiast w kierunku Lwowa jechały nieprzerwanie samochody ciężarowe z czerwonoarmistami. Wszystkie samochody były jednego typu. Jak się potem dowiedziałem, były to słynne ZIS-y budowane w Moskwie na licencji amerykańskiej w setkach tysięcy egzemplarzy. Na samochodach siedzieli gęsto żołnierze w szarych szynelach, w szpiczastych czapkach i z karabinami, wyposażonymi w bagnety. Większość załóg śpiewała głośno jakieś marszowe, wojskowe pieśni. Wiele samochodów ciągnęło nieduże działka polowe i przeciwczołgowe.

Tak więc od strony Buczacza, od granicy, jechały zapewne dwa szeregi pojazdów, które rozdzielały się w Monasterzyskach na dwa kierunki, czołgi na pld.-zachód do Stanisławowa, samochody zaś w kierunku ptn.-zachodnim na Lwów. Gdy tak leżałem na łączce, przystanęło przy mnie kilku chłopów ukraińskich. Byli odświętnie ubrani w lnia-
ne, białe koszule, wyszywane kolorowo i wykładane na spodnie, Byli boso, ale na ra-

mionach mieli przewieszone buty, jakie wzuwali przy wejściu do miasta. Zapewne wracali lub szli do cerkwi. Słyszałem ich słowa kilka razy powtarzane: „Idut na Germańca!”.

Niedługo jednakże sądzone mi było leżeć na swym punkcie obserwacyjnym nad szosą, gdyż wkrótce rozległa się od strony miasta kanonada ciężkiego karabinu maszynowego. Karabin strzelał długimi seriami, zaś pociski przelatwały ze świstem, wydawało mi się, że tuż nad moją głową. Uciekłem więc chyłkiem do domu, cały czas słysząc gwizd pocisków nade mną. Ustał dopiero, gdy dobiegłem zdyszany do domu.

Już tego wieczoru dowiedziałem się, co się zdarzyło. Mianowicie na głównym placu miasta grupa Żydów i Ukraińców witała czołgistów spontanicznie kwiatami. W odpowiedzi jeden z czołgów, zapewne dowódca, wystrzelał na wiwat kilka taśm pocisków. Narobił tym spore zamieszanie wśród witających, którzy raczej nie spodziewali się tak głośnej repliki. W tym samym czasie również moja siostra wraz z cicią Janką wybrały się z ciekawości w kierunku centrum miasta. Uciekły natychmiast przerażone, gdy usłyszały przeraźliwą kanonadę i sądziły, że czołg ostrzeliwuje mieszkańców. Tegoż wieczoru widziałem jeszcze wielkie romby-taflę po 64 samolotów bombowych, lecących wysoko i powoli na zachód. Więcej samolotów jednocześnie oglądałem później tylko raz w 1944 roku, gdy eskadry superfortec amerykańskich leciały nad Warszawę.

Wojska rosyjskie przejeżdżały przez nasze miasteczko jeszcze przez kilka dni. Wszyscy myśleliśmy, że rozpoczyna się wojna rosyjsko-niemiecka. Słowa „Idą na Niemca!” powtarzali moi krewni, znajomi, przechodnie. Tak samo niewątpliwie myśleli i oceniali sytuację polski rząd i marszałek Edward Rydz-Śmigły, przekraczając w nocy 17 września granicę rumuńską w Zaleszczykach. Tak też zapewne sądził cały świat.

Rzeczywiście do Polski weszły dwa fronty Armii Czerwonej, liczące ponad 1,5 miliona żołnierzy, 5 tys. czołgów i wozów pancernych oraz 2 tys. samolotów. Była to więc chyba nawet większa siła, niż Niemcy zaangażowały w kampanię polską. Można to wytłumaczyć tylko faktycznym zamiarem podjęcia ofensywnych działań wojennych przeciwko Niemcom, gdyby ci nie wycofali się szybko do linii demarkacyjnej na Sanie i Bugu i gdyby przejawiali zamiar podjęcia wojny z ZSRR.

Hitler realizował jednakże swój długofalowy plan stopniowego podbicia całej Europy i ani myślał wikać się, na tym etapie, w wojnę z Rosją. Zaś Stalin również nie miał żadnego interesu podejmować w pojedynkę wojny z potężnym przeciwnikiem. I chociaż było to marzeniem polityków zachodnich państw demokracji parlamentarnych, których dyplomacja okresu międzywojennego cały czas o to usilnie zabiegała - do wojny między Rzeszą Niemiecką i ZSRR w 1939 roku nie doszło.

Według późniejszych zgodnych ocen historyków Hitler do kwietnia 1939 r. był zdecydowany w pierwszej kolejności podbić Zachodnią Europę, odsuwając nieco w czasie opanowanie Polski i realizację swego głównego celu życia, to jest zniszczenie komunizmu i ZSRR. Przeszkodą w urzeczywistnieniu tego planu stała się jednakże Polska, która w maju zawarła świeże sojusze wojskowe z Anglią i Francją. W zaistniałej sytuacji Hitler mógł faktycznie obawiać się, iż, po jego ataku na Francję, Polacy przyjdą jej z pomocą wszystkimi swymi siłami. Stąd Niemcy musiały wpierw rozprawić się z Polską i w sierpniu zaproponowały Związkowi Radzieckiemu pakt o nieagresji, w zamian za nie przeszkadzanie w tym zbrojnym dziele. Kombinacja ta udała się w pełni i ostatecznie skończyła się podziałem Polski według linii ustalonej 23 sierpnia pomiędzy J. Ribbentropem i W. Mołotowem w Moskwie w tajnym załączniku do wspomnianego paktu.

W związku z tym w najbliższych tygodniach i miesiącach obserwowaliśmy więc powrót części wojsk rosyjskich na wschód, poza Zbrucz. Konsekwencją agresji niemieckiej na Polskę było też przystąpienie w dniu 3 września Anglii i Francji do wojny przeciw Niemcom. Jednakże po formalnym wypowiedzeniu wojny, oba te państwa,

zgodnie z przewidywaniami Hitlera, nie podjęły, praktycznie biorąc, żadnych działań militarnych, by faktycznie realizować swe wcześniejsze gwarancje udzielenia Polsce wsparcia wojskowego.

Gdy po krótkiej jednomiesięcznej kampanii wojennej zdano sobie sprawę, że Polska sromotnie ją przegrała, zaczęło się powszechne narzekanie i szukanie winnych. Obwiniano przede wszystkim władzę państwową za słabą, zacofaną gospodarkę, nie przygotowanie do wojny, okłamywanie społeczeństwa, beztroskę rządzących itp. Złożono na Francję i Anglię, które faktycznie nic nie zrobiły, by pomóc militarnie Polsce. Obruszano się też na Rosję za "nóż w plecy" i współpracę z Niemcami, mimo głoszonego przedtem potępienia faszyzmu niemieckiego.

Po 17 września w naszym mieście jakby niewiele się zmieniło. Żydzi uruchomili swe sklepy i zakłady rzemieślnicze, zaś w obiegu pozostawały nadal polskie złote z Piłsudskim na awersie. Wprawdzie większość towarów podróżowała, niektóre trudno było nabyć, ale w zasadzie handel i usługi ludności funkcjonowały. Również uruchomione zostały niektóre urzędy, ruszyły też pociągi.

Dla mnie i siostry najważniejsze było to, że wkrótce także otwarte zostały wszystkie szkoły. Niestety w Monasterzyskach nie było żadnej szkoły średniej. Wprawdzie społeczność miasteczka od lat dopominała się o zorganizowanie na miejscu gimnazjum, lecz bez rezultatu. Młodzież z miasta, chcąc się dalej uczyć, musiała jeździć pociągami do Buczacza lub Stanisławowa, albo zamieszkać tam na stacji. Od października zaczęliśmy więc dojeżdżać codziennie pociągami do Stanisławowa. Ja do pierwszej klasy tamtejszego III Państwowego Gimnazjum i Liceum im. St. Staszica, zaś siostra do trzeciej klasy Gimnazjum Sióstr Urszulanek. Przyjęci zostaliśmy bez żadnych dodatkowych egzaminów. Chodziłem, jak w szkole podstawowej, do klasy, w której byli tylko chłopcy.

W klasie wyróżniało się kilku chłopaków, ale nie według zdolności, czy zapału do nauki, lecz według udawanej siły fizycznej i grubiańskiego zachowywania się. Polegało to na używaniu wulgarnych słów, opowiadaniu sprośnych kawałów, poniżaniu i maltretowaniu słabszych kolegów oraz na wywyższaniu się przy każdej okazji. Celowali w tym zwłaszcza młodzieńcy z tak zwanych „dobrych domów”. Ich widoczna zamożność, elegancja w ubiorach i tupet nie przekładały się jednakże na zdolności, wiedzę, czy pracowitość. Sądzę, iż gdyby klasa była koedukacyjna, to nawet przy tej samej męskiej klienteli, jej zachowanie byłoby łagodniejsze, nie tak agresywne. Wszak dziewczyny, jak muzyka, łagodzą ponoć obyczaje.

W ciągu trzech miesięcy uczęszczania do gimnazjum nie zawarłem żadnych znaczących przyjaźni. Nie utrwalił mi się też w pamięci żaden profesorowie. Jako języka obcego uczyłem się francuskiego, z którego zapamiętałem do dziś liczebniki i wierszpiosenkę po francusku „Panie Janie!”.

Dojazd do odległego Stanisławowa był oczywiście bardzo uciążliwy. Wstawaliśmy o piątej rano, wracaliśmy około siódmej wieczorem. Jechało się w jedną stronę dwie godziny, przy czym pociąg prowadził 2 wagony specjalnie dla młodzieży szkolnej. W połowie drogi, przed Niżniowem nad Dniestrem, było znaczne wzniesienie, żeby nie powiedzieć góra, na którą niekiedy lokomotywa nie mogła wjechać. Wtedy pociąg się cofał, maszynista ładował większą porcję drewna do paleniska, zaś gdy było już w kotle dużo pary, pociąg się rozpędzał i forsował wzniesienie. Dla zabawy niekiedy wyskakivaliśmy z wagonów przy pierwszym nieudanym podejściu, natomiast wskakiwaliśmy z powrotem na górcę za drugim razem.

Obiady jadałem w stołówce szkolnej, do miasta wychodziłem bardzo rzadko. Stanisławów liczył około 50 tys. mieszkańców. W tym ponad połowę stanowiła ludność polska, jedną czwartą Żydzi, a nieco mniej Ukraińcy. Charakterystycznym dla miasta było

to, że znaczna część domów miała fasady w białym kolorze.

Raz z całą klasą byliśmy na defiladzie czołgów z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej, gdy w Stanisławowie stacjonował garnizon wojsk pancernych Armii Czerwonej. Wszyscy czołgiści, salutujący w wieżyczkach pojazdów, mieli skórzane hełmofony i kombinezony. Intrygowało mnie to wówczas, ale głęboki sens skózanego ubioru czołgistów zrozumiałem znacznie później, gdy na wojennych kronikach zobaczyłem jak łatwo palą się czołgi. A skóra się nie pali.

W międzyczasie rodzice przenieśli się do naszego własnego domu przy ul. Mołodeckiego 2. Usytuowany był około 300 metrów od fabryki tytoniu, przy bocznej uliczce, naprzeciw stacji kolejowej, od której oddzielała nas rozległa podmokła łąka i strumień, płynący tuż przy naszym ogródku. Budynek zawierał 3 izby mieszkalne, w tym kuchnię, oraz niewielką spiżarkę z podpiwniczeniem i werandę. Dach dwuspadowy, kryty dachówką, mieścił obszerny strych. W krótkim czasie ojciec pobudował też na działce mały budynek gospodarczy ze stanowiskiem dla jednej krowy, dwu świń i z kurnikiem. Na stryszku było miejsce na siano i zboże.

Te koszmarnie dojazdy do Stanisławowa trwały do grudnia. Zaś od początku 1940 roku rozpoczęły się przeróżne zmiany, organizowane przez nowe władze. Powstawały jakieś urzędy, realizowano nacjonalizację dużych majątków ziemiańskich i kościelnych, wprowadzono do obiegu nowe pieniądze karbowane.

Alte mnie to wszystko nie dotyczyło i nie interesowało w większym stopniu. Dla mnie najważniejszym było to, że w Monasterzyskach otwarte zostały dwie szkoły średnie: 10-latki, ukraińska i polska. Czyli mieliśmy możliwość kontynuowania nauki na poziomie średniego wykształcenia na miejscu.

Szkoła polska powstała na bazie istniejącej 6-klasowej szkoły podstawowej. Było więc ciasno i niektóre oddziały uczyły się na drugiej zmianie. Zacząłem chodzić do klasy szóstej, zaś moja siostra do siódmej, które były mniej więcej odpowiednikami pierwszej i drugiej klasy gimnazjalnej. Obowiązywał program 10-latki radzieckiej. Cechowało go to, że przedmioty ścisłe stały na stosunkowo wysokim poziomie, ale gorzej było z przedmiotami humanistycznymi. Mieliśmy nowe podręczniki, częściowo tłumaczone z rosyjskiego. Wszystkie one miały kartonowe okładki i wydrukowane były na marnym, szarym papierze. Również wszystkie zeszyty miały twarde okładki, zaś pisało się fioletowym atramentem. Był komplet profesorów, w większości młode kobiety.

Szkoła położona była tuż za fabryką tytoniu, przy rozwidleniu drogi buczańskiej na lwowską i stanisławowską. Mieściła się w sporym, piętrowym budynku, usytuowanym na ogrodzonej działce, obejmującej podwórkę rekreacyjną i ogródek przyszkolny. Do szkoły miałem obecnie ok. 400 metrów i już to samo diametralnie odmieniło tryb mego życia. Przedtem, przez kilka miesięcy, czas upływał na przejazdach do i z gimnazjum w Stanisławowie, na uczeniu się i spaniu. Obecnie zostałem wciągnięty także w wir prac w gospodarstwie, prowadzonym przez rodziców. Ale przede wszystkim nadal się uczyłem. Mogę szczerze powiedzieć, że włączając okres stanisławowski, aż do czasu przyścia Niemców w połowie 1941 roku, główną osią mego życia była nauka. Do czerwca 1940 r. chodziłem do klasy szóstej, potem do czerwca 1941 r. do klasy siódmej dziesięciolatki, funkcjonującej w Monasterzyskach.

Na początku 1940 r. rodzice kupili młodą, mleczną krowę, na którą wołaliśmy „Basia”. Otóż do moich podstawowych obowiązków należało wypasanie tejże Basi. Bardzo wstydziłem się, gdy prowadziłem ją sąsiednimi uliczkami. Najwidoczniej nie wiedziałem wtedy, że Wincenty Witos swe młode lata spędził również za krowim ogonem, a był potem trzykrotnie prezesem rady ministrów. Najczęściej pasłem krowę w głębokim jarze

obok Góry Buczackiej. Tam nikogo nie było, uwiązana do palika, pasła się spokojnie, natomiast ja czytałem książki i uczyłem się, niekiedy na głos. W tym jarze ćwiczyłem też dykcję oraz siłę swego głosu, gdyż oceniałem, że mówię zbyt cicho. Wzorując się na Demostenesie wkładałem kamyczki i żwirki do ust. I starałem się przekrzyczeć szum drzew. Jednakże jedynym efektem tych zabiegów było płoszenie się mej łaciatej krasuli. Niekiedy robiłem sobie ognisko, które podsycałem chrustem z jaru. Piekłem w nim ziemniaki, wygrzebane na sąsiednim polu mego dziadka. Sam je oczywiście potem konsumowałem, a smakowały znakomicie.

Raz, pasąc krowę, byłem świadkiem jak na tym polu mój dziadek i jego najmłodszy syn, a mój wujek Zbyszek, kłócili się ze sobą potwornie, bodaj o podział ziemi. Bąłem się wtedy bardzo, bo krzyczeli na siebie i machali motykami tak, że myślałem, że się pozabijają.

Do moich wyłącznych obowiązków należało też przynoszenie wody wiadrami od sąsiada, gdzie była pompa, oraz rąbanie drewna na opał. Wraz z ojcem jeździliśmy do własnego lasu i tam pilowaliśmy upatrzone drzewa. Po odrąbaniu gałęzi i okorowaniu pni, cięliśmy je na metrowe odcinki. Już w domu pilowaliśmy je na małe kawałki. A ja sam rąbałem je potem na szczapy, które układałem w małej drewnutni i przy południowej ścianie domu, celem przesuszenia.

Najcięższą pracą, jaką wykonywałem, było mielenie mąki na żarnach. Był to spory, splaszczony walec kamienny, przed którym siedziałem okrakiem i obracałem go za pomocą wystającego, drewnianego uchwytu. Do otworu w środku tego „koła młyńskiego” wsypywałem garściami kukurydzę, lub pszenicę, zaś mąka wysypywała się dołem na obwodzie na kamienne podłoże. Do cięższych prac należało również młócenie zboża drewnianymi cepami, oraz kranie łodyg kukurydzy, względnie słomy na ręcznej sieczkarni, ustawionej na podwórzu. Do najlżejszych prac zaliczyć można było łuszczenie kukurydzy, a także nawijanie na sznury liści tytoniowych, celem ich przesuszenia, ale też były to prace wyjątkowo nudne.

Do prac polowych chodziliśmy najczęściej wszyscy razem, w czwórkę. Główne roboty, w jakich brałem udział to: sadzenie kukurydzy, ziemniaków i tytoniu; okopywanie ziemniaków i tytoniu; plewienie, łuskanie i ścinanie kukurydzy; zbiór tytoniu oraz wykopki ziemniaków i buraków cukrowych. Bardzo nie lubiłem wszelkich prac, wiążących się z grzebaniem w ziemi, za co ojciec się niekiedy na mnie obruszał. Raz, przy ścinaniu kukurydzy, skaleczyłem się groźnie zębatym sierpem w mały palec lewej ręki, na którym do dziś mam długą bliznę.

Do orania ziemi ojciec wynajmował konia z pługiem. Sam natomiast ścinał zboże przy pomocy kosy, skonstruowanej przez siebie. Był w tym zakresie pionierem w okolicy, bo wszędzie do zbiórki zboża stosowano jedynie sierpy. Często chłopci, przechodzący obok koszącego ojca, przystawali z ciekawości i medytowali, że używanie cudacznej kosy powoduje duże straty ziarna. Oczywiście nie było to prawdą, ale „stare” zawsze wygrywa jakieś argumenty, broniąc się przed „nowym”.

Produkty z pobliskiego pola zwoziliśmy wózkami ręcznymi, z dalszego wynajmowanym wozem konnym. Mieliśmy około 5 morgów (austriackich) ziemi ornej, na co składały się zakupy z lat tuż przed wybuchem wojny i rodzinne wiano mamy. Ziemia ta dzieliła się na pięć odrębnych kawałków, z których dwa oddalone były kilka ładnych kilome-



Prace polowe - wujek, siostra, tata

trów od miasta..

Nie byliśmy w stanie uprawiać całej tej ziemi. Dwa najdalsze fragmenty rodzice podnajmowali więc dwóm, chyba bezrolnym, chłopom z najbliższej polskiej wsi, nazywającej się Stara Huta (nieco dalej była też wieś Nowa Huta). Otrzymywaliśmy w zamian jakąś część, bodajże połowę, uzyskiwanych przez podnajmców plonów. Byli oni analfabetami i na umowach podpisywali się jeden dwoma, a drugi trzema krzyżykami.

Było także jeszcze sporo zajęć okołodomowych, związanych z karmieniem zwierząt, pracami w ogrodzie warzywnym, przygotowywaniem posiłków, utrzymywaniem czystości, które głównie wykonywała mama. Pomagała jej w tym siostra, rzadziej również ja. Wykonywałem wtedy najczęściej takie czynności, jak rozpalamie ognia w piecach, zmiatanie podłóg, prasowanie. Do prasowania mieliśmy dwa żelazka - jedno z duszą, którą się rozgrzewało do czerwoności w piecu, zaś drugie na rozżarzone węgle.

Wzorem rodzin wiejskich, byliśmy prawie samowystarczalni. Kupowaliśmy jedynie naftę, sól i zapalki. Zamiast cukru używaliśmy syropu z buraków cukrowych, jaki mama sama warzyła. Nawet mydło mieliśmy własnego wyrobu. Robiła je mama, wytapiając potwornie śmierdzący łój. Ja przygotowywałem tekturowe foremki, w których odlewałem wytopione mydło w zgrabne kostki. Część wyprodukowanego mydła sprzedawaliśmy sąsiadom, a nawet siostra woziła je na sprzedaż do Stanisławowa.

Oczywiście smakowity chleb wypiekała mama sama w dużym piecu chlebowym, mieszczącym się z boku trzonu kuchennego. Takie piece chlebowe były, praktycznie biorąc, we wszystkich mieszkaniach na wsiach i w miasteczkach.

W okresie jesiennym mama robiła mnóstwo słoików z przetworami i sokami warzywnymi oraz owocowymi. Zawsze też kisiło się na zimę sporą beczkę kapusty. Jej krajanie, na wypożyczonej od sąsiada szatkownicy, wykonywała mama. Zaś ja miałem monopol na ugniatanie posiekanej kapusty w beczce nogami, jakie przedtem oczywiście starannie szorowałem.

Również mięso mieliśmy z własnej hodowli kur, królików i świń. To pozyskiwanie mięsa wiązało się, rzecz jasna, z uśmiercaniem hodowanych przez nas zwierząt. W normalnych rodzinach wiejskich proceder ten, to jak świt lub zachód słońca. Ja do tego nie mogłem się przyzwyczaić.

Wszystkie egzekucje wykonywał ojciec. Z kurami i kogutami nie było prawie żadnego problemu. Trochę gwałtownego kwokania i szamotania się - w efekcie kilka kropel krwi na pniaczku i siekierze. Oskubanie, skróconych o głowę ptaków, należało już do mamy. Króliki umierały cichutko. Ojciec zgrabnie ściągał z nich futerka, jakie następnie przekazywał gdzieś do wygarbowania i wyprawienia. Nosiliśmy je potem poprzyszywane do kołnierzy naszych kurtek.

Natomiast świnioobicie to była dużo grubsza sprawa. Wieprzki, zabijane obuchem siekiery, kwiczały straszliwie. Ja chowałem się wtedy w jakimś kącie i zatykałem uszy. Ale ojciec twardo wzywał mnie do pomocy. Razem wciągaliśmy zwłoki do dużej, blaszanej balii, polewałem je wrzątkiem i pomagałem skrobać szczecinę specjalnie naostrzonym nożem. Na tym rola moja w zasadzie się kończyła. Rodzice nic więcej ode mnie już nie wymagali, choć sami mieli jeszcze bardzo dużo pracy przy patroszeniu, rozbiorze mięsa, a następnie przy wyrobie przeróżnych kiełbas, kiszek, salcesonów. Niekiedy tylko ochotniczo pomagałem przy wyrobie kiełbas i ich wędzeniu w ogródku, we własnej wędzarni, skonstruowanej przemysłnie przez ojca.

Świnie ubijane były zwykle po osiągnięciu przez nie optymalnej wagi 100-120 kilogramów. Jednak pamiętam również, że przy jakiejś okazji, ojciec uśmiercił małe kilkukilogramowe prosię. Upieczone można było jeść razem z kosteczkami.

Ale najstraszniejszą śmierć zwierzęcia, jaką widziałem i autentycznie przeżywałem

potem ze ściśniętym sercem przez wiele dni, to była śmierć konia. Do dziś pamiętam tego pięknego, karego rumaka wierzchowego i jego oczy, jakimi patrzył na mnie, konając powoli. Lecz tego mordu, dokonanego zresztą przez mego wujka, profesjonalnego rzeźnika, nie opiszę.

Przetwory mięsne były przechowywane w piwnicy w bryłach lodu, które ojciec w czasie zimy wyrąbywał na pobliskim potoku. Lód z kolei mieszało się z trocinami, wówczas topniał bardzo powoli. Specjalnie długo mogła przechowywać się słonina peklowana w soli kuchennej. Po dłuższym czasie nabierała ona żółtego koloru i smakowała znakomicie. Była też, obok tytoniu, jakby żelazną walutą, za którą wszystko można było otrzymać.

W okresie lata-jesieni matka „robiła” dużą butlę wina, najczęściej z płatków róży, w czym się wyspecjalizowała. Wienńczyło ono potem, przez długie miesiące, wszelkie uroczystości, przyjęcia i poczęstunki przy różnych okazjach. Natomiast rodzice nigdy nie podejmowali się produkcji samogonu, tak popularnego w czasie wojny i zastępującego trudnodostępne monopolowe trunki alkoholowe. Wytwarzanie bimbru było bowiem zawsze nielegalne i ostro karane przez wszystkie władze. Zaś rodzice za dużo mieli do stracenia, by w ten nierozważny sposób ryzykować jakieś represyjne działania aktualnych „stróżów porządku”.

Głównym naszym pożywieniem przez cały okres przebywania na kresach było mleko i kukurydza. Mleka mieliśmy w nadmiarze, bo nasza Basia dawała po pół wiaderka na każdy udój, tak, że nawet odsprzedawaliśmy mleko sąsiadom, którym nosiłem je w małych bańkach. Kukurydzę spożywało się w różnych postaciach, zwykle jako podstawowe danie z mięsem, sosami, warzywami, na słodko z sokami, zaś najczęściej z mlekiem. Na te dania mleczne mówiło się kulesza, albo mamałyga, w zależności od konsystencji gotowanej mąki kukurydzianej.

Praca fizyczna i zdrowy sposób odżywiania spowodowały, że nabrałem siły, żeby nie powiedzieć krzepy, gdy zawsze przedtem byłem raczej cherlawy i niepozorny. Nie chorowałem też, jeśli nie liczyć pewnej epidemii grypy, która położyła do łóżka całą moją rodzinę.

Również w zakresie ubiorów i obuwia byliśmy prawie zupełnie samowystarczalni. Wszelkie koszule, sukienki, ubrania, płaszcze szyla mama na tej samej bardzo dobrej maszynie, jaką zabraliśmy ze Śląska. Zaś sandały i trepy wyrabiał ojciec na własnoręcznie wyciosanych drewnianych kopytach. Kupował do tego tylko dratwę i skórę lub stare obuwie i je przerabiał. Zimą wypłatał zgrabne, różnej wielkości, koszyki z wikliny, zebranej z pobliskich mokradeł. Te kosze były niekiedy sprzedawane lub wymieniane na rzeczy nam potrzebne.

Ojciec własnoręcznie skonstruował też dwie ławy skrzyniowe, tak zwane bambetle, które stały w kuchni. Po rozsunięciu ławy tworzyło się łóżko do spania, gdyż w skrzyni był siennik wypchany słomą i puchowa pierzyna. Oczywiście skarpety oraz swetry robiły mama i siostra na drutach. Ja też się nauczyłem, ale do mnie należało raczej prucie starych sweterków i zwijanie włóczki w kłębki.

Przy tych wszystkich polowych i domowych pracach i czynnościach dla mnie oraz siostry najważniejsza była jednak nauka. Rodzice oszczędzali nas i dbali o to, byśmy mogli bez przeszkód chodzić do szkoły i spokojnie odrabiać zadane lekcje w domu.

Po raz pierwszy byłem w klasie koedukacyjnej. Chłopaków było jednak wyraźnie więcej niż dziewczyn. Koledzy w klasie byli w większości bardzo ruchliwi, psocili, na przerwach krzyczeli tak, że nie można było normalnie rozmawiać. Dziewczyny były o wiele spokojniejsze, zwłaszcza dwie Żydówki, które siedziały w pierwszej ławce, podobnie jak ja. One też, obok mnie, uczyły się w klasie najlepiej. Prześcigaliśmy się niekiedy

w zgłaszaniu się do odpowiedzi.

Mieliśmy w siódmej klasie aż 12 przedmiotów. Wprost lubiłem algebrę, geometrię, fizykę, geografę i rysunki. Gorzej było z historią, polskim, nauką o konstytucji, najgorzej z językami ukraińskim i niemieckim.

W przypadku języka ukraińskiego istniała poważna bariera w opanowaniu tego języka. Mianowicie wpięrow należało nauczyć się czytać i pisać cyrylicą, starosłowiańskim alfabetem, używanym w krajach obrządku greckokatolickiego i prawosławnego. Ja tę umiejętność opanowałem jeszcze w 1939 roku przy pomocy mamy, przy czym korzystałem w nauce prawie wyłącznie z ukraińskich gazet.

Matematyki uczyłem się chętnie i szybko, przerabiałem na wyrost zadania z podręcznika, na lekcjach nieraz wyrываłem się z odpowiedzią, zanim profesorka skończyła pytanie. Raz w czasie lekcji zostałem zawezwany do klasy ósmej, do której chodziła moja siostra i tam przy tablicy rozwiązałem jakieś zadanie matematyczne. Nikt w klasie nie potrafił sobie poradzić z tym zadaniem. Nie było to zapewne właściwe postępowanie pod względem pedagogicznym ze strony wykładowcy, ale ja byłem dumny z tego wyróżnienia.

Bardzo lubiłem geografę, orientowałem się szybko na mapie. I gdy były z tym kłopoty w klasie, to nauczyciel wzywał mnie do mapy. Chętnie sam wertowałem w domu świetny atlas geograficzny E. Romera, jaki kupiliśmy tuż przed wojną. Zdecydowanie najlepiej w klasie rysowałem. Moje rysunki wisiały na korytarzu i zamieszczałem je w klasowej gazecie ściennej. Kilka moich rysunków zostały przez szkołę wysłanych na wystawę rysunków szkolnych do Kijowa i Charkowa.

Bardzo szczególne były wykłady z historii. Nasz wykładowca profesor Pohorille był oryginałem w każdym calu. Świetny znawca historii świata i Polski mówił ze swadą oraz tubalnym głosem, jednakże nigdy nie patrzył na rozmówcę, tylko bokiem w jakiś nieokreślony punkt. Wykorzystując to, chłopcy urządzali psoty, jakby żywcem wzięte z powieści „Szatan z siódmej klasy” Kornela Makuszyńskiego. Obrzucali się papierowymi kulkami, w powietrzu latały samolociki, zaś tablica, na której zawieszona była mapa, wędrowała po klasie, ciągnięta skrycie na sznurku. Oczywiście zauważał to, pieniał się ze złości i wykrzykiwał bezradny jakieś pogrożki. Ale nigdy nie orientował się, kto jest sprawcą psoty.

Raz przełaziła się miarka, gdy w klasie wybuchła petarda z hukiem, jakby detonował granat. Przerwał wtedy lekcję i krzycząc, że sabotaż, pobiegł do dyrektorki. Potem, do końca lekcji, było jej kazanie, które wszyscy wysłuchaliśmy stojąc na baczność, i przesłuchanie, ciągnące się tak długo, aż znalazł się winowajca. Zgłosił się sam wobec groźby ściągania wszystkich rodziców itp.

Przez dwie godziny w tygodniu mieliśmy lekcje z przysposobienia obronnego, jakie prowadził młody oficer rosyjski, oczywiście po rosyjsku. Uczyliśmy się obsługiwać broń ręczną, rzucać granaty, były też wykłady o tematyce wojskowo-politycznej. Prowadzący lekcje oficer pokazywał nam na mapach przebieg wojny w Libii i na Bałkanach. Pamiętam, że mówił nam wprost, że niedługo będzie wojna Rosji z Niemcami i że ZSRR wykorzystuje czas pokoju na intensywne zbrojenia wojenne.

Obserwowaliśmy akurat wyrazisty przykład, gdyż w odległych o około 30 kilometrów Podhajcach budowano pośpiesznie duże lotnisko wojskowe. Na budowie tej zatrudnionych było wielu mieszkańców naszych Monasterzysk i okolicznych wiosek, wraz z konnymi podwodami.

W ramach tych zajęć z „osoawiachim”, jak się mówiło, mieliśmy raz całodzienną manewry na okolicznych polach i w lasach. Biegaliśmy tyralierą po polach z drewnianymi karabinami, a w lesie starliśmy się z „wrogiem”, którym byli chłopcy ze szkoły ukraińskiej. Różniliśmy się kolorem opasek, jakie mieliśmy wszyscy na lewym ramieniu.

Oni mieli opaski zielone, my niebieskie. O wynikach „bitwy” miało zadecydować zerwanie nieprzyjacielowi ich opasek. Przegraliśmy, my ze szkoły polskiej, bo oni, łobuzy, mieli opaski przypisywane do rękawów bluzek.

Nie przyjaźniłem się specjalnie z nikim w mojej klasie, natomiast miałem serdecznego kolegę Jurka w równoległej klasie VIb, a potem VIIb. Ja chodziłem wówczas do klasy VIa i VIIa. Mieliśmy wyjątkowo zgodne charaktery i zainteresowania. Potrafiliśmy godzinami błądzić po okolicy i dyskutować o nauczanych przedmiotach, przeczytanych książkach, filmach, astronomii, a nawet o systemach filozoficznych.

Graliśmy obaj w szachy w klubie młodzieżowym, przy czym ja byłem w tym lepszy. Mocniejszy też byłem w matematyce i fizyce, on natomiast był znakomitym humanistą. Pisywał piękne wypracowania z polskiego. Obaj redagowaliśmy gazetki ściennie w swych klasach. Moja nazywała się „NA PRZEBÓJ” i byłem autorem większości zamieszczanych w niej artykułów, rysunków, zadań i krzyżówek. Pamiętam, jak raz z zazdrością czytałem, już po godzinach lekcyjnych, fantastyczny artykuł pod banalnym tytułem „Widok z mojego okna”, napisany przez Jurka Kruszkę w jego gazetce.

Miałem także kilku kolegów z najbliższego sąsiedztwa. Chodziliśmy do jedyne go kina w miasteczku. Pamiętam jeden film z tego okresu z Lubow Orłową pod tytułem „Świat się śmieje”. Jeździliśmy też na rowerach, najczęściej w kierunku Buczacza. Wprawdzie po drodze musieliśmy pokonać górę, pod którą trzeba było rower prowadzić, ale za to zjeżdżało się potem z szybkością wiatru. Wszystkie boczne drogi były grun towe, zaś główne i wylotowe miały nawierzchnię z kocich łbów. Jeździło się po nich rowe rem jak po palce, więc zwykle korzystaliśmy ze ścieżek wydeptanych na poboczach.

Kąpałiśmy się w pobliskim stawie-gliniance, który był bardzo głęboki. Raz najzwyczajniej topiłem się, lecz kolega wyciągnął mnie na brzeg. Od tego czasu mam awersję do kąpania się, za wyjątkiem kąpieli w wannie, oczywiście.

Moja siostra miała znacznie bogatsze życie koleżeńskie. Otoczona była stale rojem koleżanek i kolegów. Większość z nich dojeżdżała wcześniej do Stanisławowa, potem razem chodzili do ósmej klasy. Umawiali się na majówki pod miastem oraz na prywatki, urządzone w mieszkaniach. Takie potańcówki były i u nas w domu, jak również często przychodziły do nas koleżanki i koledzy siostry. Oczywiście, poszczególne pary sympatyzowały ze sobą. Także moja siostra miała, jak mi się wydawało, coraz to inną sympatię. Wszyscy byli co najmniej o rok-dwa starsi ode mnie. Przy moich 15 latach to była duża różnica i ja w żadnym razie nie pasowałem do ich „paczki”. Te koleżeństwa i znajomości siostra utrzymywała również po wojnie przez dziesiątki lat.

Mój ojciec przeobraził się całkowicie w gospodarza. Miał więc status hadziaja, czyli rolnika, co było świetnym kamuflażem jego przedwojennego stanowiska zawodowego wojskowego. Nikt o jego przeszłości praktycznie nie wiedział, za wyjątkiem członków rodziny.

Rodzice skrupulatnie płacili podatki i wywiązywali się z kontyngentów w naturze, należnych z tytułu posiadanej ziemi, żeby w żadnym wypadku nie spowodować jakiegoś zadrażnienia z władzami. Szczególnie pozytywne znaczenie miała plantacja tytoniu, jaką posiadaliśmy. Wszelkie sprawy w urzędach załatwiała sama mama, która świetnie znała język ukraiński, podczas gdy ojciec nie potrafił przeczytać po ukraińsku nawet kilku zdań. To też ograniczał swoje znajomości tylko do Polaków z najbliższego sąsiedztwa.

Rodzice mogli czuć się zagrożonymi, zwłaszcza w pewnych, szczególnie groźnych dla nas sytuacjach. Już w pierwszych miesiącach miało miejsce przekazywanie Niemcom rodzin polskich, zamieszkałych przed wybuchem wojny na terenach zajętych przez

III Rzeszę. To byłoby dla ojca i dla nas tragiczne. Ale w danych ewidencji ludności w urzędzie miejskim nie było żadnej wzmianki o naszym zamieszkiwaniu na Śląsku. Przyczynił się do tego zapewne ojciec mamy, który w 1939 r. był jeszcze radnym miejskim i miał odpowiednie znajomości w biurze meldunkowym. Niemale znaczenie miało zapewne też to, że mama pochodziła z Monasterzysk oraz, że moja siostra i ja urodziłyśmy się na tych terenach, na Pokuciu.

Generalnie dokonywała się wówczas degradacja pozycji polskich i zaczęły się różnego rodzaju represje w stosunku do ludności polskiej. W wyborach do władz lokalnych pod koniec października wybrani zostali głównie Ukraińcy miejscowi lub przybyli ze Wschodu. Po czym 15 listopada południowo-wschodnie tereny Polski, zajęte przez ZSRR, włączone zostały administracyjnie do Ukraińskiej SRR, północno-wschodnie do Białoruskiej SRR, a Wileńszczyzna przekazana Litwie.

Już sama kampania wyborcza prowadzona była w atmosferze wrogości do Polaków i „jaśniepańskiej Polski”, jak mówiono. Rugowano masowo Polaków z urzędów, służb komunalnych, poczty, kolei. Konfiskowane były majątki ziemiańskie oraz kościoł-
ne, które rozparcelowano między ludność ukraińską.

Zaś od lutego 1940 r. rozpoczęły się deportacje polskiej ludności w głąb ZSRR. Pierwsza deportacja objęła osadników wojskowych i rodziny chłopów mazurskich, osiedlone na kresach po niekorzystnym dla Polski plebiscycie na Warmii i Mazurach. Ich los w międzywojennej Polsce był bardzo marny, nie lepszy niż chłopów rodzimych. Ci zaś, co pozostali, w następnych latach w pierwszej kolejności, ulegli eksterminacji przez UPA. Ich ziemie i pozostawiony inwentarz żywy przypadł ludności ukraińskiej. Deportacje odbywały się w krytych wagonach towarowych z zakratowanymi okienkami. Widziałem je kilka razy na stacji kolejowej w Monasterzyskach. Wówczas przenosiliśmy się na dzień-dwa do wuja Ferdka, gdzie skrycie nocowaliśmy.

Następne wywózki w kwietniu i czerwcu 1940 r. objęły głównie rodziny wyższych urzędników, policjantów, wojskowych i ziemiaństwo. Kwalifikowaliśmy się jak najbardziej do tych transportów, ale we wszelkich oficjalnych dokumentach ojciec figurował jako drobny rolnik, najwidoczniej bez jakiegokolwiek wzmianki, że przez 18 lat był zawodowym wojskowym Straży Granicznej. To też wszelkie represje, nękające innych współrodaków w tamtych, niedobrych latach, omijały moją rodzinę, zaś ja nawet z tych zagrożeń nie w pełni zdawałem sobie sprawę.

Gdzieś od połowy 1940 r. rodzice wynajmowali jeden pokój z werandą rodzinie uciekinierów z Krakowa. On jednakże od razu wyjechał, bodaj za pracą do Stanisławowa, pozostawiając żonę i 10-letnią córeczkę, Mirkę. Pani ta była wcześniej nauczycielką i zdecydowanie różniła się od mojej mamy. Przede wszystkim tym, że moja mama potrafiła wszystko zrobić, była bardzo pracowita i potrafiła się przystosować nawet do tak różnych warunków egzystencji, jakie mieliśmy tam na wschodzie w stosunku do sytuacji na Śląsku.

Nasza sublokatorka tymczasem była niezwykle sympatyczna, rozmowna i dbająca o siebie, ale pochodząc z mieszczańskiej rodziny nie potrafiła dostosować się do ciężkiej rzeczywistości. Nie mogąc pracować w swym zawodzie, nie miała szans na zapracowanie na swe i córki utrzymanie. Żyła z jakichś posiadanych oszczędności, ze sprzedaży biżuterii, czy czegoś podobnego.

Córeczka była prześliczna, pełna życia i pięknie śpiewała. Oczywiście podkochi-



Rodzice w Monasterzyskach

wałem się w niej, jeśli tak można powiedzieć, na skalę moich 15 lat. Mirka towarzyszyła mi w różnych moich pracach, pomagałem jej w rachunkach, graliśmy w karty i chińczyka. Zaręczyliśmy się nawet drucianymi obrączkami, przy czym była to, oczywiście, wyłączna jej inicjatywa. Gdy wracała z mamą z miasta, wyprzedzała ją jodlując, i przechodziła do ogródka przez dziurę w płocie. Ja na nią już tam czekałem.

Wiosną 1941 r. wyjechała nagle wraz ze swą mamą do Stanisławowa. Były wówczas wielkie opady deszczu i powódzie. Uszkodzony został nawet przez żywioł wodny most kolejowy na Dniestrze. Zaś ja przez dłuższy czas byłem niepokieszony, naturalnie nie z powodu tego mostu.

W ciągu 1940 i pierwszej połowy 1941 r. zasadniczo zmieniła się mapa oraz sytuacja polityczna i wojskowa Europy. W okresie trzech miesięcy kwiecień-czerwiec 1940 r. Niemcy podbiły w błyskawicznych kampaniach wszystkie państwa kontynentalne Zachodniej Europy. Broniła się już tylko wyspiarska Anglia, nękana nalotami oraz wojną na Morzu Północnym i Oceanie Atlantyckim.

W czerwcu przeszły przez Monasterzyska w kierunku Buczacza i Zaleszczyk wielkie oddziały kawalerii. Jeźdźcy jechali stępą po czterech w szeregu prawie na całej szerokości jezdni. Żeby przejść na jej drugą stronę, musiałem długo czekać, by wykorzystać przerwę w szwadronach, czy pułkach. Za kilka dni Rosjanie zajęli wtedy Besarabię i Górą Bukowińską, stanowiącą terytorium Rumunii. Państwo to zresztą niedługo, bo we wrześniu tego roku, utraciło również prowincję Siedmiogrodu na rzecz Węgier i Południową Dobrudżę na rzecz Bułgarii. Po czym, po abdykacji króla Karola II i przejęciu władzy przez gen. Antonescu - Rumunia przyłączyła się do „Paktu Trzech”, jaki tworzyły III Rzesza, Włochy i Japonia.

W krótkim czasie to samo uczyniły Węgry, Słowacja, Bułgaria i Finlandia. Natomiast w ostatnich dniach sierpnia trzy państwa bałtyckie Litwa, Łotwa i Estonia zostały włączone do ZSRR, zresztą po wcześniejszym o dwa miesiące zajęciu tych państw przez Armię Czerwoną. Zaś w następnym 1941 r., w miesiącu kwietniu, w krótkiej, trzytygodniowej kampanii wojennej Niemcy opanowały Jugosławię i Grecję.

W ten sposób w Europie, jeśli pominąć neutralne Szwecję i Szwajcarię, państwa „Osi”, to jest Niemcy i Włochy miały już tylko jednego aktywnego wroga, z którym prowadziły wojnę - Wielką Brytanię i drugiego, potencjalnego wroga - Związek Radziecki.

Późną wiosną 1941 r. miały miejsce wystąpienia nacjonalistycznej organizacji ukraińskiej OUN wobec władz „Zapadnoji Ukrainy”, jak określano byłe pld.-wsch. województwa. Między innymi w Monasterzyskach zabity został prokurator rejonowy, Rosjanin. Władze dopiero wtedy zorientowały się, że w podziemiu, w oparciu o pomoc niemiecką, Ukraińcy rozbudowywują struktury organizacyjne do walki z ZSRR. Nacjonaści ukraińscy chcieli bowiem utworzenia całkowicie niepodległej Ukrainy, o której myśleli, że powstanie po wojennym zwycięstwie Niemiec.

Rozpoczęły się wtedy pewne aresztowania Ukraińców, związanych z podziemnymi organizacjami wojskowo-politycznymi, sposobiącymi się do walk dywersyjnych u boku Niemiec. Ale na uczynienie im jakichś większych szkód nie było już czasu, wobec bliskiego terminu napaści Hitlera na Związek Radziecki.

Dnia 12 czerwca 1941 r. otrzymałem świadectwo ukończenia siódmej klasy. Obejmowało ono oceny kwartalne, roczne, ustne, pisemne i ogólne - razem 66 stopni. Wszystkie bardzo dobre z wyjątkiem dwóch dobrych ocen z konstytucji.

TRZY FRONTY WOJENNE

**Fabryka się pali * Przyszli Niemcy * Samonauczanie * Holocaust *
Obrona przed UPA * Niepoważne wojsko * Sztukasy**

W dniu 22 czerwca 1941 roku Niemcy rozpoczęły wojnę przeciwko ZSRR. Ludność kresów wschodnich nie była tym zaskoczona, bo wszyscy przewidywaliśmy, że to starcie się dwóch wrogich sobie ideologii nieuchronnie nastąpić musiało. Przeważał pogląd wśród Polaków, dla wielu będący odzwierciedleniem ich nadziei, że oto dwie wrogie Polsce potęgi wzajemnie się wykrwawia i osłabia tak, że warunki zakończenia II wojny światowej dyktować będzie Anglia, oczywiście z korzyścią dla Polski. Ale faktycznie to nikt nie mógł być pewny, jak potoczą się dalsze losy wojny i jego losy osobiste.

Główny wysiłek wojenny armii niemieckich skierowany został na Mińsk i Moskwę, oraz na północ w kierunku Leningradu. Na kierunku Tarnopol, Stanisławów tymczasem niewiele się działo. Przez Monasterzyska nie przechodziły żadne większe oddziały Armii Czerwonej, ani na zachód, ani nie wycofując się na wschód. W rejonie miasta przez kilka dni odbywały się bardzo widowiskowe pojedynki lotnicze, jednakże nie było żadnych innych działań wojennych.

W pierwszych dniach lipca tylne, małe oddziały Rosjan wycofały się z miasta, wysadzając stalowy most kolejowy na Koropc i podpalając fabrykę tytoniu. Widziałem z daleka jak elementy tego mostu powoli wznosiły się i opadały ponad dachami domów i dopiero po chwili usłyszałem łoskot dalekiego wybuchu.

Na okrzyk „nie ma wojska, fabryka się pali!”, wielu ludzi z najbliższych uliczek podygotało do fabryki. Mieszkaliśmy niedaleko i również pobiegłem tam razem z ojcem. Ludzie gromadzili się głównie w rejonie magazynów, to gasząc pożar, to wynosząc bele zmagazynowanego w nich tytoniu. Także my wyciągnęliśmy z jednego palącego się magazynu bele sprasowanego, przesuszonego już tytoniu, przygotowanego do produkcji papierosów. Wózkiem przewieźliśmy cenny ładunek do domu. Był to mniej więcej metr sześcienny tytoniu, który stanowił później, obok gospodarstwa, podstawowe źródło dochodów naszej rodziny.

W międzyczasie przyszła siostra z wiadomością, że niedaleko stacji kolejowej jest wielki magazyn z jajkami. Wzięliśmy wiadra oraz kosze i poszliśmy w dwójkę. Były tam ogromne, betonowe baseny pełne kurzych jaj w roztworze wapiennym. Klęcząc na brzegu zbiornika, nabierałem wiaderkiem te jajka, po czym przelewałem je do zatopionych koszy. Wróciliśmy do domu z pełnymi koszami, z setkami jajek. Na drugi dzień na śniadanie jedliśmy największą w życiu jajecznicę z 30 jaj. Oczywiście nie dysponowaliśmy możliwością długiego ich przechowywania i zmuszeni byliśmy, w miarę szybko, je skosztować.

Bezkrólewie, w czasie gdy nie było już Rosjan, a nie przyszły jeszcze wojska niemieckie, trwało kilka dni. Na drugi, czy trzeci dzień, gruchnęła straszna wiadomość. W sąsiedniej wsi Czechów, oddalonej od Monasterzysk ok. 4 km, doszło do pierwszej w okolicy rzezi kilkunastu Polaków, dokonanej przez Ukraińców. Zamordowani zostali w okrutny sposób wszyscy Polacy, mieszkający w tej wsi, bez względu na płeć i wiek, przy czym większość tragedii rozegrała się wewnątrz mieszanych rodzin.

Wówczas po raz pierwszy zorganizowaliśmy, na naszych polskich uliczkach, spontaniczną samoobronę: gongi, warty, siekiery, wiadra na wodę itp. Tyle razy to potem przerabialiśmy. Na dużą skalę pacyfikacje ludności polskiej rozpoczęły się jednak

znacznie później, w połowie 1943 roku.

W tej wsi Czechów kilka miesięcy wcześniej byłem z mamą, żeby w tamtejszej olejarni wytlóczyć olej słonecznikowy dla naszych własnych potrzeb. Była tam bowiem najbliższa, samoobsługowa olejarnia, dostępna dla wszystkich za niewielką opłatą. Pamiętam, że wyglądem wioski byłem wprost przerażony. Stanowiły ją małe chatyny-lepianki, przylutone do siebie wzdłuż szerokiej, rozjeżdżonej, błotnistej drogi. Wszystkie kryte słomą, z małymi okienkami i drzwiami. Jedyne większe obiekty we wsi to była właśnie ta olejarnia o drewnianej konstrukcji, z halą, w której środku znajdowało się urządzenie do wytłaczania oleju. Prawdopodobnie pochodziło ono jeszcze z XIX wieku. Poruszane było siłą ludzką przy pomocy jakby kierału. Do mnie ta praca należała, mama zaś dogadywała się z właścicielem.

Wokół hali, pod ścianami znajdowały się ciągle ławy. Pomieszczenie to bowiem było równocześnie świetlicą - miejscem spotkań mieszkańców wioski, zwłaszcza młodzieży. W tym czasie także było tam kilka osób. Gdy z mamą czekaliśmy na swą kolejkę do wytłaczarni, i również w czasie samej pracy, nie odezwałem się ani słowem, by nie zdradzić, że jesteśmy Polakami.

Później, już pod koniec niemieckiej okupacji, wieś ta spłonęła niemal doszczętnie w ciągu kilku godzin. Pożar spowodowany został jedną, jedyną bombą zapalającą, zrzuconą z samolotu na skraju wioski. Panował wtedy silny wiatr, wiejący w kierunku zabudowy, i nie było żadnych szans na ratowanie od ognia wysuszonych słomianych strzech i drewnianych pował.

Tymczasem przyszli Niemcy i Węgrzy. Też nie pamiętam wielkich rzesz wojska. Natomiast bardzo szybko naprawiono, a raczej wybudowano nowy, prowizoryczny most kolejowy na rzece Koropiec i za kilka dni ruszyły linią kolejową na wschód transporty z wojskiem, czołgami, artylerią oraz innym sprzętem i zaopatrzeniem wojskowym.

Te wojskowe transporty towarzyszyły nam potem przez prawie 3 lata. Od ich intensywności można było ocenić natężenie walk na wschodnim froncie. Składy pociągów liczyły często po 50 wagonów, ciągnionych przez dwie duże lokomotywy parowe. Zwykle pierwsza miała na przedzie wielki znak „V”, będący pierwszą literą łacińskiego słowa „Victoria”, oznaczającego zwycięstwo. Ten znak był zresztą używany przez niemiecką propagandę na plakatach, w kronikach filmowych oraz przez żołnierzy, jadących w wagonach czy samochodach i robiących palcami „króliczka” na użytek mijanej ludności. Do czasu!

Administracyjnie tereny byłych południowo-wschodnich województw: lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego włączone zostały do Generalnego Gubernatorstwa, obejmującego również pozostałe centralne i zachodnie tereny Polski, poza przyłączonymi do Rzeszy Niemieckiej. Te trzy województwa stanowiły tzw. Dystrykt Galicyjski. Zarządzany on był z Krakowa przez niemieckiego gubernatora Hansa Franka i jego rząd.

Wbrew nadziejom społeczności ukraińskiej, Niemcy nawet nie myśleli o utworzeniu „samostijnej” Ukrainy. Całe swe zainteresowanie dystryktem skierowali na utworzenie aparatu eksploatacji gospodarczej oraz aparatu policyjnego, który miał umożliwić tą eksploatację i zwalczać wszelki opór ze strony miejscowej ludności.

W tym celu, po przejściu armii frontowych, instalowano, zwłaszcza w większych ośrodkach miejskich, wojskowo-cywilne grupy do zadań specjalnych tzw. Einsatzgruppen. Nie były one liczne, wspomagane dlatego dorywczo przez jednostki Wehrmachtu, za to wyspecjalizowane do określonych zadań: gospodarczych, grabieży dóbr kulturalnych, zabezpieczenia siły roboczej, wyniszczania określonych kategorii ludności. To ostatnie dotyczyło zwłaszcza wszystkich Żydów, jeńców rosyjskich, komunistów oraz

uczonych i intelektualistów polskich. Te eksterminacje realizowane były z różnym natężeniem przez cały okres okupacji. Lecz już w lipcu 1941 r. zmroziła Monasterzyska wieść o rozstrzelaniu we Lwowie trzydziestu kilku profesorów wraz z ich rodzinami.

Mimo ewidentnej „zdrady” przez III Rzeszę sprawy niepodległej Ukrainy, przynajmniej w oczach części zawiązanych Ukraińców, Niemcy, realizując zasadę całkowitego podporządkowania sobie Galicji, oparli się na nacjonalistach ukraińskich. Wykorzystywali ich nienawiść do Polaków, Żydów i Rosji radzieckiej. Przy czym sami tę nienawiść ciągle podsycali.

Po pewnym czasie w miasteczku zainstalowało się kilku Niemców, którzy sprawowali naczelną władzę, mając do dyspozycji administrację i policję ukraińską. Zmienił się, oczywiście, skład osobowy lokalnych organów władzy, z jednych Ukraińców na drugich, ale dla ludności polskiej nie miało to większego znaczenia. Natomiast radykalnie na gorsze odmienił się los ludności żydowskiej.

Pewna część Żydów, zwłaszcza tych bogatszych i zaangażowanych w pełnieniu różnych stanowisk, ewakuowała się w ostatnich dniach czerwca do ZSRR, podobnie jak nieliczni napływowi Rosjanie.

Ale absolutna większość biedoty żydowskiej, tej wielkiej rzeszy drobnych rzemieślników i kupców, pozostała na miejscu. Ich czekały represje i szykany od pierwszych dni rządów niemieckich. I to nie tylko z rąk czy na rozkaz samych Niemców, ale również z rąk i z inicjatywy nacjonalistów ukraińskich. Rekwirowali oni mienie i mieszkania rodzin żydowskich, jak również rugowali Żydów z ich sklepów i warsztatów rzemieślniczych, przydzielając je sobie samym.

W sierpniu władze niemieckie wydały rozporządzenie zobowiązujące całą ludność żydowską do noszenia na ubraniu, na lewej piersi, naszywek z żółtego materiału w kształcie sześcioramiennej gwiazdy Dawida, z czarnym okonturowaniem. Zaś później, w ciągu kilku miesięcy, została ona stłoczona w getcie, utworzonym w centrum miasteczka.

Moja rodzina faktycznie nie odczuła większych zmian w swym życiu. Zajmowaliśmy się nadal głównie swymi licznymi pracami w polu i w gospodarstwie. Natomiast skończyły się możliwości dalszej edukacji szkolnej, zwłaszcza dla mnie. Z nastaniem nowego roku szkolnego okazało się, że nie będzie żadnych ponadpodstawowych szkół dla ludności polskiej. Zgodnie z dalekosiężnymi planami Hitlera, Polacy mieli stanowić kastę robotników i pracowników fizycznych na użytek Wielkiej Rzeszy i nowej Europy w epoce zwycięskiego faszystu. Do tego wykształcenie średnie i wyższe było zbędne. Uruchomiono jedynie w dużych miastach szkoły handlowe, dostępne dla Polaków.

Do takiej 1-roczej Zawodowej Szkoły Handlowej w Stanisławowie zapisała się moja siostra. Do Stanisławowa dojeżdżała codziennie pociągiem, podobnie jak dwa lata wcześniej. Ponieważ było to bardzo uciążliwe, więc w pewnych okresach czasu mieszkała na stacji. Później pracowała jako księgowa w Monasterzyskach w Rolniczej Spółdzielni Handlowej.

Część młodzieży w naszym miasteczku kształciła się na różnych nielegalnych kursach, bądź korzystała indywidualnie z prywatnych wykładów. Ja przez cały czas pobytu Niemców, w miarę istniejących możliwości, doksztaltałem się jako samouk. Przede wszystkim korzystałem z książek siostry z poprzedniej ósmej klasy, zaś na bieżąco ze szkoły handlowej. Oczywiście tylko z niektórych przedmiotów, takich jak matematyka, przyroda, geografia, język niemiecki. Ale również ze stenografii, której podręcznik posiadała siostra. Przez kilka miesięcy bardzo intensywnej nauki opanowałem biegle pismo stenograficzne wg systemu J. Polińskiego z połowy XIX wieku. Pisałem 100 słów na minutę, czyli z szybkością potocznej mowy. Ta niecodzienna, rzadko spotykana,

umiejętność pozostała mi do dziś.

Zgłębiałem również podręcznik astronomii, jaki pożyczyłem od kolegi. Wg map gwiazdnych rozpoznawałem gwiazdozbiory i gwiazdy na niebie, zaś wg tabel, podających deklinacje i rektascencje najlepiej widocznych planet, odszukiwałem ich położenie. Obserwacji dokonywałem w różnych godzinach nocy. Wtedy starałem się nocować na stryszku w budynku gospodarczym i dla obserwacji nieba usuwałem kilka dachówek w dachu.

Chcąc przyswoić sobie słówka obcego pochodzenia z encyklopedii, przepisałem wszystkie do dużego zeszytu. Podobnie, ucząc się niemieckiego, przepisywałem całe fragmenty z podręcznika. Do dziś mam te zeszyty zapisane maczkiem fioletowym atramentem.

Uczyłem się również gry na skrzypcach. Ojciec miał dobre, stare skrzypce jeszcze z czasów swej młodości. Znał kilka skocznych poznańskich melodii ludowych, które od czasu do czasu grywał ku pokrzepieniu ducha. Mnie lekcji gry na skrzypcach udzielał młody Janko Muzykant, jak go wszyscy zwali, grywający na weselach i zabawach w miasteczku. Nie znał on nut, to też czytania nut nauczyłem się sam z podręcznika. Ostatecznie grywałem z nut, nawet z upodobaniem, piękne walce wiedeńskie J. Straussa i inne melodie, ale najwyraźniej bez polotu i chropawo. Po prostu do skrzypiec, jak i zapewne do innych instrumentów, trzeba mieć słuch i talent. Mnie tego najwyraźniej brakowało.

Oczywiście ta cała przypadkowa samoedukacja nie mogła zastąpić regularnej nauki w normalnym gimnazjum. Ale i tak znajdowałem się w korzystniejszej sytuacji niż wielu innych moich rówieśników, którzy nie mieli choćby dostatecznych warunków materialnych i czasu na jakąkolwiek naukę albo odpowiednich predyspozycji do samokształcenia się.

Wiele czasu poświęcałem też na rysowanie, zwłaszcza na malowanie akwarelowych obrazków. Niektóre z nich mam do dziś na ścianach mego mieszkania. Sporo czytałem, różne wypożyczane z biblioteki książki, ale też dwa roczniki „Kurier Warszawskiego” z ostatnich lat przedwojennych. Były dla mnie kopalnią wiadomości o Polsce, których na bieżąco, jako zbyt młody, nie śledziłem.

Szczególnie interesowały mnie artykuły o gospodarczych problemach i rozwoju kraju. Nie były one zbyt budujące. Wiele pisano o realizacji kilku, czy kilkunastu, obiektach przemysłowych w nowotworzonym COP tj. Centralnym Okręgu Przemysłowym oraz o rozbudowie portu i miasta Gdyni. I to były niewątpliwie osiągnięcia. Lecz bardzo dużo było też relacji o panoszącym się w Polsce bezrobociu i świadczących o mizernym stanie polskiej gospodarki w ogóle.

Pamiętam np. reportaż o niszczącym nasypie przerwanej budowy linii kolejowej z Rozwadowa na południe oraz o kopalni boksytów, gdzieś w Kieleckiem. Te ostatnie wydobywano prawie bez użycia maszyn i następnie transportem konnym przewożono kilkadziesiąt kilometrów do najbliższej stacji kolejowej. W końcowym efekcie uzyskiwano niewielkie ilości drogiego kwasu siarkowego. A przecież już wtedy produkcja tego kwasu była jednym ze wskaźników uprzemysłowienia i rozwoju technicznego krajów. Gdyby porównać tę przedwojenną produkcję kwasu siarkowego do wielkości osiągniętych potem w Polsce Ludowej, to mielibyśmy mniej więcej proporcję pchły do słonia.

Jednak przede wszystkim pracowałem sezonowo w polu, zaś stale w domu, pomagając rodzicom w prowadzeniu gospodarstwa, będącego przecież podstawą naszego bytu. Do moich obowiązków doszło jeszcze krajanie tytoniu i wyrób papierosów. Mianowicie ten tytoń, jaki „uratowaliśmy” z palących się magazynów fabryki tytoniowej, kroilem na małej gilotynie na drobną krajanekę. Można ją było używać do ręcznego skręcania papierosów. Papierosy robiłem przy pomocy małej maszyny, którą wy-

pełniało się tą krajanką, a następnie wypychało tytoń do skleionej bibułki. Te papierosy i tytoń to była nasza waluta, na którą zawsze znajdowali się chętni, zwłaszcza żołnierze.

Informacje ze świata uzyskiwaliśmy od zaprzyjaźnionego sąsiada p. Piotrowicza, który przychodził do nas często, aby pograć z rodzicami lub ze mną w szachy. Miał on ukryte radio i słuchał wiadomości nadawanych w języku polskim z Londynu. Narażał się bardzo, gdyż za posiadanie radioodbiorników w czasie okupacji niemieckiej groziła Polakom kara śmierci. Mieliśmy jednakże, w miarę wiarygodne, informacje o tym, co dzieje się na frontach wojennych. Wiedzieliśmy, między innymi, że jeszcze latem 1941 r. zawiązana została Wielka Koalicja państw, walczących przeciwko państwu Osi, obejmująca głównie Wielką Brytanię i ZSRR, zaś wspomagana przez Stany Zjednoczone w ramach tzw. Karty Atlantycznej.

Radio londyńskie podawało też obszernie wiadomości o działalności emigracyjnego rządu londyńskiego gen. Władysława Sikorskiego. W lipcu, po wznowieniu polsko-radzieckich stosunków dyplomatycznych, zawarł on układ, w ramach którego miała powstać w ZSRR samodzielna armia polska. Cała społeczność polska bardzo sprzyjała Sikorskiemu i wiązała z nim swe nadzieje na odbudowę państwa polskiego. Natomiast powszechnie potępiano rządzących do 1939 r., obarczając ich winą za złą gospodarkę, błędną politykę i klęskę wrześniową.

W ogóle często odwiedzali nas zaprzyjaźnieni sąsiedzi i znajomi, gdyż rodzice prowadzili, można by powiedzieć, nieco przesadzając, „otwarty dom”. Celem tych wizyt było zaciąganie porady w sprawach kulinarnych u mamy, zaś gospodarczych u ojca, jakieś drobne pożyczki, wzajemna wymiana usług i towarów, wreszcie podzielenie się informacjami lokalnymi i ze świata. Mama zawsze dla gości wyczarowywała skromny poczęstunek, często spotkania zwieńczone były grą w szachy, a zwłaszcza w karty. Grało się w tysiąca, sześćdziesiąt sześć, rzadziej w oczko lub skata za pieniądze. Ojciec wtedy przeważnie wygrywał, bo miał w tej karcianej profesji duże wyczucie i szczęście.

Niekiedy kupowaliśmy gazety, zwykle lwowskie. Nazywało się je szmatławcami lub gadzinówkami. Również podobnie niesympatycznie wyrażano się o megafonach, rozwieszonych na słupach w Rynku i nadających wiadomości dla ludności po polsku i ukraińsku. Nazywano je szczekaczkami.

Chodziłem też, chociaż bardzo rzadko, do kina. Filmy poprzedzane były przez tygodniki z najnowszymi wiadomościami z frontów. Zaczynały się one od słów: „Naczelne dowództwo Wehrmachtu informuje ...”. Niemcy straszliwie blefowali, na przykład własne cofanie się na froncie było zawsze tylko zajmowaniem nowych, dogodniejszych pozycji, zaś swe zwycięstwa mocno koloryzowali.

Pamiętam tylko jeden film pełnometrażowy z tego okresu: melodramat w bawarskiej scenerii pt. „Krzywoprzysięstwo”. Film kończył się sceną zasypania krzywoprzysięzcy lawiną kamienną, z której wystawała dłoń z palcami, złożonymi jak do przysięgi.

Nadal przyjaźniłem się z Jurkiem, swym dotychczasowym najlepszym kolegą szkolnym, ale spotykaliśmy się rzadko. Również przygasty moje sąsiedzkie koleżeństwa.

Późną jesienią 1941 r. nawiedziło Monasterzyska nieduże trzęsienie ziemi, którego epicentrum znajdowało się niedaleko w Karpatach rumuńskich. Tu i ówdzie w mieście były niewielkie szkody. Trzęsienie miało miejsce w nocy. Obudziliśmy się wszyscy, odczuwało się wyraźnie drżenie sprzętów i kołysanie lampy. Trwało to, z przerwami, przez kilka minut i sprawiało niesamowite wrażenie, uczucie strachu, oraz bezradności i bezsilności wobec zjawiska.

Zima tego roku była bardzo mroźna i długotrwała. Pod tym względem wyróżniała się nawet w stosunku do ówczesnych zim, zwyczajnie zawsze mroźnych oraz śnieżnych. Mrozy dochodziły do 40-kilku stopni poniżej zera, wszystkie rzeki i stawy pokrywała gruba warstwa lodu. Mimo to zdarzało się, że chodziłem bez nakrycia głowy, bo nie podobąca mi się kolorowa, wełniana marusarzówka z pomponikiem, zrobiona przez mamę. W efekcie odmroziłem sobie uszy, które potem przez wiele lat czerwieniły mi się przy zmianach temperatury.

Ojciec zainstalował wtedy w jednym pokoju dodatkowy żelazny piecyk tzw. żeleżniak. Paliliśmy w nim do czerwoności, oraz spaliliśmy pod grubymi pierzynami. Kury trzymaliśmy w przedsionku, natomiast krowa w obórce opatulona była kocami. Również drzewka owocowe w ogródku ojciec ogacił wiechciami słomy. Szyby w oknach pokryte były grubym, wzorzystym lodem, w którym ja, codziennie rano, wydmuchiwałem ciepłym oddechem dziurkę-wizjer na oszroniony świat.

Jeszcze większe mrozy panowały w głębi Rosji, gdzie na rozległych terenach od Murmańska po Morze Azowskie trwały gigantyczne zmagania milionowych armii państw „Osi” i ZSRR. Właśnie te siarczyste mrozy i śniegi przyczyniły się w grudniu do pierwszej dużej porażki Niemców pod Moskwą. Liczyli oni bowiem na pokonanie Rosji w błyskawicznej wojnie przed nastaniem zimy i nie przygotowali się do niej dostatecznie. W konsekwencji „generał Mróz” sprawił, że unieruchomione zostały ich czołgi i wszelkie pojazdy mechaniczne, zaś żołnierze, pozbawieni ciepłego umundurowania, po prostu zamarzali w okopach. W Monasterzyskach wówczas policja dokonywała rewizji po domach i rekwirowała kożuchy, futra itp.

W grudniu 1941 r. nastąpiła też eskalacja II wojny światowej, gdy Japończycy zbombardowali bazę morską USA w Pearl Harbor na Hawajach, a następnie rozpoczęli podbój południowo-wschodniej Azji, Filipin i wielu innych wysp na Pacyfiku, będących w kolonialnym posiadaniu W. Brytanii, Francji, Holandii i Stanów Zjednoczonych. Spowodowało to bezpośrednie przystąpienie USA do wojny przeciwko Japonii i blokowi państw faszystowskich w Europie. W ślad za nimi uczyniły to samo Meksyk, Brazylia i wiele innych państw obu Ameryk.

Po ciężkiej zimie, wiosna 1942 r. przebiegała pod znakiem wielkich roztopów oraz powodzi. Wylał również potoczek, płynący obok naszego domu, zalewając łąki, położone naprzeciwko naszego domu, aż do torów kolejowych. Zaś na przednówku w całym dystrykcie galicyjskim zapanował głód. Moja rodzina nie odczuwała tego prawie zupełnie. Mieliśmy zapasy własnej kukurydzy, pszenicy, słoniny, zaś krowa, kury, wreszcie ogródek warzywny żywiły nas na bieżąco.

Jednakże rodziny miejskie, zdane na ciągle zaopatrywanie się w żywność w sklepach, znalazły się w wielkich tarapatach. Ustały prawie całkowicie dostawy produktów rolnych ze wsi, gdyż były one bezlitośnie grabione przez specjalne oddziały niemieckie, które rekwirowały całą żywność, jaką znajdowały w obejściach. Za jej ukrywanie Niemcy stosowali różne drakońskie kary ze śmiercią włącznie. Głodowała więc także część ludności wiejskiej i brakowało potem ziarna na siew.

Na skutek panującego głodu zmarły w dystrykcie tysiące ludzi. Głód dotknął drastycznie również mieszkającą niedaleko nas mieszczańską rodzinę, mającą czworo dzieci. Wynajmowali oni spory ogród, ale zawsze uprawiali go nieumiejętnie. On był z profesji notariuszem i nie miał możliwości pracy zawodowej. Żona miała arystokratyczne pochodzenie i też nigdzie nie pracowała zarobkowo. Byli bardzo niezaradni życiowo, jak na tamte bezlitosne czasy. Udzielaliśmy im trochę pomocy żywnościowej, ale ich było sześcioro i potrzeby mieli wielkie.

Pamiętam, jak przychodził do mnie codziennie najstarszy, już ok. 20-letni syn, który

zabierał worek ściętej przeze mnie sierpem na brzegu potoku, a następnie pokrajanej na sieczkarni, świeżej, soczystej pokrzywy. Dziwiłem się, że w tych czynnościach nigdy mi nie pomagał, a tylko stał i patrzył jak ja pracuję. Ja na jego miejscu nie zachowywałbym się tak beczynnie, ale nic mu nie mówiłem. Na tej pokrzywie i na zmarzniętych, nieumiejtnie przechowywanych, ziemniakach gotowali zupe, jaka stanowiła chyba ich podstawowe pożywienie. Wszyscy byli popuchnięci z głodu, mieli duże, wzdęte brzuchy i pomarszczone, żółte twarze.

Gdy więc w 1981 r. w Krakowie odbył się tak zwany „marsz głodowy”, zorganizowany przez NSZZ „Solidarność” - poszedłem zobaczyć ten marsz ze zrozumiałą ciekawością. Wróciłem rozśmieszony, gdyż znaczna część maszerujących miała wprawdzie duże brzuchy, ale policzki różowe i nie pomarszczone.

Wkrótce dopełnił się tragiczny los ludności żydowskiej w Monasterzyskach, jak również w całym dystrykcie. Już od sierpnia 1941 do lata 1942 r. rodziny żydowskie przesiedlano i wywożono z miasta do jakichś robót, zaś najczęściej do obozów koncentracyjnych, o których istnieniu oni sami, jak również pozostała ludność, właściwie nie wiedzieliśmy. Latem 1942 r. specjalne niemieckie oddziały „Einsatzkomando” przystąpiły do całkowitej likwidacji pozostałej ludności żydowskiej. Umęczonych ludzi zabijano strzałami z karabinów na cmentarzu żydowskim, położonym na skraju miasta, lub na miejscu, w domach i na ulicach. Po tych potwornych pacyfikacjach, prowadzonych przy udziale policji ukraińskiej do października 1942 roku - w Monasterzyskach przy życiu pozostało bardzo niewiele osób narodowości żydowskiej. Część z nich ukrywała się w polskich domach, część uciekła w okoliczne lasy.

Przez jakiś czas i u nas ukrywał się pewien lekarz, zbiegły wcześniej z Berlina, mówiący tylko po niemiecku. Zobaczyłem go przypadkowo przerażonego, ukrytego w sianie na stryszkach. Nie wiem, jak długo u nas przebywał i gdzie potem się udał. Nie pytałem rodziców, nie powiedziałem im nawet, że wiem, że się u nas ukrywa. Znałem go stąd, że jesienią 1941 r. był u nas w domu, sprowadzany przez naszego sąsiada. Panowała wówczas epidemia grypy i lekarz ten leczył wszystkich chorujących oraz profilaktycznie. Stosował własną, bardzo prostą metodę leczenia. Mianowicie osłuchiwał przez słuchawki lekarskie pacjenta i następnie rozprasowywał określone partie pleców przy pomocy gorącego żelazka.

Zapewne rodzice bardzo się obawiali nie tylko rewizji policji, lecz również jednego z sąsiadów, Polaka-konfidenta, który poszukiwał ukrywających się Żydów. W jego obecności nie wolno mi było nic mówić. Zwykle mama zabawiała go grzecznościową rozmową, unikając wszelkich dygresji politycznych, gdyż miał on faszystowsko-nacjonalistyczne przekonania.

Faktycznie raz przeprowadził u nas rewizję żandarm niemiecki w asyście policjanta ukraińskiego. Ja byłem wówczas w ostatnim pokoju i przechodziłem na werandę, gdy zobaczył mnie policjant, wchodzący akurat do tego pokoju. Najwidoczniej pomyślał, że jestem żydowskim chłopcem i wycelował we mnie karabin. Miałem bowiem kręjące się włosy, typowe dla narodowości żydowskiej. Lecz ojciec, idący obok, złapał za karabin i uchylił go w dół, krzycząc po niemiecku: „Das ist mein Sohn!”.

Z powodu swego wyglądu nie wychodziłem w ogóle z domu, w tych okropnych miesiącach. Zaś do pola przez miasto udawałem się zawsze co najmniej w towarzystwie ojca. Natomiast w domu na strychu miałem bardzo przemyślny schowek. Otóż drewniana weranda, przybudowana od frontu do budynku, miała sufit na wysokości ok. 70 cm poniżej polepy strychu. Zrobiłem nad nim drugi stropik z desek i wciskałem się w tą przestrzeń, nasuwając kilka luźnych desek nad siebie. Wpierw musiałem przecisnąć się przez ołacenie dachu, w którym kawałek łaty skrycie się uchylało. Oczywiście był to

dobry schowek przed ludźmi, ale nie przed psem.

Z tego okresu pamiętam też nieludzką scenę z głównej ulicy miasta. Przechodząc z muru fabryki tytoniowej na główną ulicę miasteczka, zobaczyłem biegnącego truchtem starego Żyda, do którego doskakiwał wielki, czarny wilczur, gryząc go w krwawiące łydki. W niewielkiej odległości szli sprężystym krokiem dwaj młodzi, przystojni i wymuskani podoficerowie niemieccy, najwidoczniej bardzo zadowoleni z siebie oraz rechocący coś głośno. Kierowali się wszyscy w stronę nieodległego cmentarza żydowskiego.

Społeczność polska była bezradna w stosunku do okrutnej eksterminacji ludności żydowskiej. Sama zresztą była sparaliżowana i zagrożona przez mnożące się wrogie wystąpienia podziemia ukraińskiego.

Rok 1942 był nadal przychylny państwu Osi, przynosząc im dalsze wielkie zwycięstwa na prawie wszystkich frontach II wojny światowej. Niemiecki Afrika-Korps odnosił błyskotliwe sukcesy w pancernych bitwach na piaskach Libii, zaś niemieckie okręty podwodne, topiąc setki statków i okrętów alianckich, paraliżowały w znacznym stopniu dowóz przez Atlantyk sprzętu wojskowego z USA do Europy. Również na froncie radzieckim dywizje Wehrmachtu parły wciąż zwycięsko na wschód, dochodząc do Wołgi, Donu i gór Kaukazu. Oczywiście te wszystkie wspaniałe zwycięstwa oręża niemieckiego oglądaliśmy niezwłocznie w kolejnych tygodnikach filmowych. Pamiętam na przykład, jak w jakiejś kronice pokazano wejście grupy żołnierzy niemieckich na Elbrus, najwyższy szczyt Kaukazu. Zaś potem niekończące się kroniki o walkach w Stalingradzie.

Pojedyncze, rozproszone napady i mordy Polaków, dokonywane przez Ukraińców, zdarzały się przez cały czas okupacji niemieckiej. Były one organizowane przez różne nacjonalistyczne organizacje ukraińskie, z których największą stanowili banderowcy pod kierownictwem Stepana Bandery. Stąd, już do końca, to jest do 1944 roku, o wszystkich napadach na Polaków mówiło się, że są dziełem banderowców.

Miedzy innymi, pewnej nocy zimą 1941/42 r., uprowadzeni zostali ze swych mieszkań w Monasterzyskach dwaj Polacy, lekarz i nauczyciel, a następnie wywiezieni z miasta na saniach. Wszyscy domyślaliśmy się, że było to dzieło banderowców, ale wszelkie interwencje na policji ukraińskiej nie odnosiły żadnego skutku. Dopiero po wielu tygodniach odnaleziono w okolicznym lesie zmasakrowane torturami zwłoki obu porwanych.

Pacyfikacje ludności polskiej na dużą skalę nastąpiły po utworzeniu pod koniec 1942 r. skrajnie nacjonalistycznej Ukraińskiej Powstańczej Armii. Te masowe rzezie ludności polskiej rozpoczęły się wprawdzie na Wołyniu. W drugiej połowie 1943 r. ogarnęły pozostałe województwa: stanisławowskie, tarnopolskie i lwowskie. Spalone zostały prawie wszystkie wsie polskie, zaś ich ludność, która wcześniej nie uciekła do miast, wymordowana w okrutny sposób. Napady te zwykle przedstawiano w lokalnych gazetach jako dzieło band bolszewickich. Niektórzy publicyści, nie tylko ukraińscy, próbują dzisiaj przytaczać i powoływać się na te enuncjacje z ówczesnych niemieckich szmalców.

UPA z równą zawziętością likwidowała uciekinierów żydowskich, chroniących się po lasach, jak i, zwłaszcza w późniejszym okresie, wszelkie oddziały partyzantki antyniemieckiej: polskie, rosyjskie, a także ukraińskie. Było też powszechnie wiadomo, że UPA zaopatrywana była w broń i amunicję przez Niemców. Chyba istniały również wzajemne porozumienia, że ma ona wolną rękę na terenach wiejskich, lecz nie wolno jej palić i grabić miast. Inna rzecz, że faktycznie ludność polska w miastach zdecydowanie przeważała ilościowo i mimo represji policji ukraińskiej i niemieckiej, dysponowaliśmy dużą ilością broni i strukturami samoobrony. W tym główną rolę spełniała konspira-

cyjna organizacja wojskowo-polityczna Armia Krajowa. Zaś broń kupowana była „na lewo” od Niemców.

Ten bezmiar nienawiści, ujawnionej przez Ukraińców do Polaków, był dla wielu trudny do zrozumienia. Niewątpliwie, istniejący pomiędzy obu narodowościami podział społeczny stwarzał, już sam w sobie, poczucie odrębności i krzywdy oraz konflikty między obu nacjami. Dokładała się do tego błędna, bez mała kolonizatorska, polityka państwa polskiego w stosunku do mniejszości ukraińskiej. Lecz ostatecznie w okresie międzywojennym nie było otwartych prześladowań społeczności ukraińskiej.

Nikt nie szykanował jej za wyznawanie odrębnej wiary prawosławnej, czy greckokatolickiej. Rozwijały się różnego rodzaju ukraińskie stowarzyszenia społeczne, ruch spółdzielczy, przybywało szkół wszystkich typów i wzrastała liczebność wykształconej elity ukraińskiej. Właśnie część tej elity, jeszcze przed wojną, związała się z Niemcami hitlerowskimi, licząc na uzyskanie niepodległości przy ich pomocy. Szczególnie współpracowała z Niemcami, utworzona we Wiedniu w 1929 r. terrorystyczna Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN). Reprezentowała ona skrajny nacjonalizm, przejęła też faszystowskie metody działania, zaś w późniejszym okresie postawiła na eksterminację ludności polskiej. Dzieło to realizowały właśnie kurenie UPA.



Zimą 1943/44 r. spalona została nocą duża, polska wieś Korosciatyn, położona ok. 10 kilometrów od Monasterzysk. Widzieliśmy z miasta lunę i domyślaliśmy się, że banderowcy palą kolejną polską wieś. Na stacji kolejowej akurat stał mały pociąg pancerny. Gdyby pojechał od razu w kierunku wioski, która leżała przy torach kolejowych, to może Niemcom udałooby się zmniejszyć rozmiary tragedii. Ale pociąg pojechał dopiero rano o świcie, chyba tylko po to, aby sfotografować pogorzelisko. Zdjęcia te widziałem za kilka dni w gazecie z opisem, że napad dokonany został przez bandę bolszewicką. Zginęło wówczas ponad 100

Ku pamięci Korosciatynia

mieszkańców wsi, których popalone zwłoki nazajutrz oglądała moja siostra, wysłana rozkazem AK, celem określenia skutków napadu banderowców.

W mieście, zwłaszcza na peryferyjnych uliczkach, Polacy organizowali samoobronę. Polegała ona na tym, że przez w nocy czuwały warty i patrole, sprawowane rotacyjnie przez mężczyzn. W określonych punktach zawieszane były gongi, to jest sztaby żelazne z przywiązanymi metalowymi prętami, które miały służyć do ogłaszania alarmu. Mieszkańcy ulicy na noc chronili się do większych murowanych domów. Wyciągano też ze schowków wszelką możliwą broń do ewentualnej obrony.

My nocowaliśmy w naszym własnym domu, śpiąc w ubraniach, niekiedy na poddaszu. Ojciec miał zawsze broń palną, w różnym czasie różną, co najmniej karabin, pistolet i skrzynkę granatów, które w nocy leżały na strychu obok worków z kukurydzą. Nieco powyżej w dachu przygotowane były otwory dla ostrzału, jakie w każdej chwili można było wykonać przez usunięcie kilku dachówek.

Sprawujący wartę mieli zwykle siekiery dla bezpośredniej obrony. Raz, pewnej księżycowej nocy, gdy byłem na takiej warcie, zobaczyłem po drugiej stronie potoku przemykające się sylwetki. Za potokiem była łąka, otwarta przestrzeń i właśnie stamtąd jedynie mogliby się podkraść napadający. Uderzyłem w gong kilka razy, od razu odezwał się też gong na drugim końcu ulicy. Lecz mój tato, będący kilkanaście metrów ode mnie zawołał „cicho!” i natychmiast zamilkliśmy. Za chwilę wyjaśniło się, że to biegli sąsiedzi z naprzeciwka, ojciec z synem, którzy gdzieś zasiedzieli się i wracali do domu prawie o północy. Zaś za nie wiele minut zawitał do nas mały oddział AK z centrum miasta, kilku uzbrojonych młodzieńców, którymi dowodził Adaś, kolega mej siostry z ich

„paczki”.

Broń palną na początku okupacji kupowało się, zwykle bez większej trudności, od Węgrów, którzy stacjonowali w mieście. Później głównymi dostawcami byli żołnierze niemieccy. Mój ojciec miał w tej dziedzinie spore osiągnięcia. Jak się dowiedziałem dopiero wiele lat później, skupował broń dla lokalnego oddziału AK.

Znając świetnie język niemiecki, wciągał pojedynczych Niemców w dłuższe rozmowy. Jeśli zorientował się, że rozmówca narzeka na swój los, złorzeczy na wojnę i Hitlera, to proponował delikatnie zakup broni. I często transakcje dochodziły do skutku za tytoń, bimber, kielbasę czy pieniądze. Oczywiście nawet w rodzinie nic nie wiedzieliśmy, ojciec zresztą nigdy nie był gadułą i potrafił utrzymać tego rodzaju sprawy w absolutnej tajemnicy.

W związku z tym „obrotem” bronią, mama przeżyła raz chwilę grozy. Pewnego dnia, będąc sama w domu, wpuściła nierozważnie uzbrojonego żołnierza niemieckiego, o coś pytającego, czy potrzebującego. Gdy już wszedł do sionki, zorientowała się, że na drzwiach wejściowych wisi karabin. Wiele nerwów kosztowało ją, żeby, zastaniając sobą ten nieszczęsny karabin, wyperswadować Niemcowi gestykulacją oraz we wszystkich słowiańskich językach, aby sobie poszedł.

W pierwszych miesiącach 1943 r. Niemcy i Włosi wyparci zostali ostatecznie z Afryki, której całe północne wybrzeże od Atlantyku po Egipt opanowali Anglicy i Amerykanie. W lipcu ich wojska wylądowały na Sycylii, a następnie na półwyspie Apenińskim, zajmując jego południową część po Neapol. Jednakże po kapitulacji Włoch, kraj ten okupowany został przez armie niemieckie, które zatrzymały wkrótce dalszy pochód aliantów. W 1943 r. Niemcy utraciły też swą inicjatywę w wojnie przeciwko flotom sprzymierzonych na Atlantyku, a ich miasta i ośrodki przemysłowe w coraz większym stopniu obracane były w ruiny przez bombardowania lotnicze. Na froncie wschodnim Niemcy hitlerowskie również poniosły szereg porażek w kolejnych wielkich bitwach pod Stalingradem, Charkowem, Leningradem, Kurskiem i Kijowem. Równocześnie w całej okupowanej Europie rozwijał się i potęgował zbrojny ruch partyzancki przeciwko terrorowi nazistowskiej Rzeszy.

Co najmniej od połowy roku stało się dla nas Polaków widoczne, że Niemcy wojny nie wygrają. Przegrywali wszak i cofali się na wszystkich frontach, zwłaszcza na froncie wschodnim. Zbliżał się on do nas coraz bardziej. Słyszeliśmy też wiele o nasileniu partyzanckich akcji, skierowanych głównie przeciwko liniom komunikacyjnym i transportom kolejowym. Niemcy wzmocnili swe posterunki na stacji kolejowej, zaś w pociągach wojskowych przed lokomotywą doczepiano wagon-łorę, wypełniony kamieniami, który miał przejąć na siebie wybuch partyzanckiej miny.

W lipcu w pobliżu miasta przeszły wielotysięczne oddziały zgrupowania partyzanckiego Kowpaka w swym rajdzie z Wołynia do Karpat Wschodnich. W obawie, że oddziały te wejdą do Monasterzysk, na kilka dni miasteczko zostało ewakuowane przez administrację i żandarmerię niemiecką oraz policję ukraińską, którzy po prostu uciekli do Stanisławowa.

W tym mniej więcej czasie dotarła do nas wiadomość o śmierci premiera polskiego rządu emigracyjnego generała Władysława Sikorskiego w katastrofie lotniczej w Gibraltarze. Wszyscy Polacy byli bardzo poruszeni tym tragicznym wydarzeniem i przez długi czas snuto potem rozmaite domysły na temat przyczyn utonięcia samolotu, na którym generał wracał z Afryki do Londynu, tuż po jego starcie z lotniska wojskowego Gibraltar. Dziwne, że po upływie 50 lat od tego wypadku władze brytyjskie nie ujawniły opinii publicznej akt przeprowadzonego wówczas śledztwa, lecz przedłużyły ich tajemność o dalsze pół stulecia.

Po latach mam własną hipotezę w sprawie przyczyn katastrofy gibraltarskiej, ukształtowaną na podstawie książkowych relacji osób z otoczenia gen. Sikorskiego. Mianowicie w Anglii w tym czasie istniały wielkie niedobory żywności w ogóle, zaś owoców i używek w szczególności. To też wracający do Londynu oficerowie, towarzyszący Sikorskiemu, również jego córka, a także inni pasażerowie, mieli wszyscy wielkie bagaże, załadowane zwłaszcza tymi kolonialnymi towarami. Z trudem upakowano je w ładowniach samolotu. Poza tym była piękna pogoda bez „nośnego” wiatru, zaś samolot prawdopodobnie zbyt szybko oderwał się od pasa startowego, który wchodzi w morze i jest wyjątkowo krótki. W rezultacie przeciążony Douglas, zamiast wznosić się do góry, zaczął opadać w dół i uderzył w taflę wody Cieśniny Gibraltarskiej. Po czym przeleżał się i zatonął.

Ta moja własna legenda katastrofy i śmierci gen. Sikorskiego jest bardzo prosta, chyba logiczna i najprawdopodobniej zgodna z rzeczywistością. Jednakże raczej nie do przyjęcia przez tych wszystkich, którzy wszelkie zdarzenia, zwłaszcza politycznej rangi, przywykli oceniać wyłącznie według spiskowej teorii dziejów.

Po ukończeniu 17 lat musiałem wyrobić sobie dowód osobisty, czyli kennkartę. Odbite w niej zostały odciski palców wskazujących obu dłoni i zamieszczone zdjęcie, jakie fotograf wykonał mi na Rynku. Wyglądałem na nim jak zbój spod ciemnej gwiazdy.

Wczesną wiosną 1944 r. front przybliżył się gwałtownie i jakby nieoczekiwanie. Zaś wejście Rosjan do miasta w końcowych dniach marca dokonało się zupełnie nietypowo. Nie było żadnych nalotów, wycofywania się jakichś większych oddziałów niemieckich, wysadzania mostów lub tp. Normalny dzień, trochę jakiejś strzelaniny i nagle ktoś biegnie ulicą i krzyczy „Rosjanie w mieście!”.

Pobiegłem, wraz z innymi, do szosy przy fabryce tytoniu. Zobaczyłem tam rzeczywiście kilku młodych żołnierzy rosyjskich, z pepesami zawieszonymi na sznurkach, na małych, niepozornych konikach. Takie jakby niepoważne wojsko. Wyjaśniło się szybko, że miasto zostało zajęte nie przez regularny front, lecz konne oddziały partyzanckie, które przeszły bokiem, lasami, od strony Tarnopola. Natomiast główne siły rosyjskie znajdowały się daleko, w rejonie rzeki Zbrucz, gdzie pod Kamieńcem Podolskim okrążonych zostało 20 dywizji niemieckich.

Minęły dwa dni i właściwie nic się nie działo. Nagle w trzecim dniu zaroilo się od wojska, jak w ulu. Od rana żołnierze i cywile zaczęli z dwóch stron naszego domu kopać śpiesznie rowy strzeleckie, w rejonie stacji przemieszczały się oddziały konne, a na naszej ulicy wszędzie było pełno Rosjan na kwaterach. U nas, na podwórku, czyszczenie broni, w kuchni mama gości kilku żołnierzy jakimś posiłkiem i wymienia tytoń na „drugi front”, czyli na mięsne konserwy amerykańskie. Teraz ojciec jest niemową, natomiast mama swobodnie rozmawia po rosyjsku.

Ja pętałem się po ogródku, gdy jakiś młody żołnierz zawołał mnie do siebie. Gdy podszedłem do niego, dał mi swą świeżo przeczyszczoną pepeszę, mówiąc: „patrielaj malczik!”. Ja żadnej broni się nie brzydziłem, przycisnąłem mocno pepeszę do ramienia i wystrzeliłem serię kilku pocisków w powietrze. Nawet nie poczułem specjalnie odrzutu. Było to moje pierwsze, jak również i ostatnie ostre strzelanie w życiu w ogóle.

Około godziny drugiej po południu tuż nad naszym domkiem i stacją kolejową przeleciał nisko dwupłatowy kukuruźnik. Kukuruźnikami nazywało się powszechnie radzieckie dwupłatowe samoloty wielozadaniowe, głównie jednak zwiadowcze. Mogły one lądować na bardzo małej powierzchni, na niedużej łące, nawet na polu kukurydzianym, stąd ich nazwa.

Za godzinę zrobił się wielki ruch tuż za stacją kolejową. Zaczynało się tam nieduże osiedle-przedmieście, złożone z kilkudziesięciu domków. Z pierwszych uliczek, z ogro-

dów i sadów, z wielkim pośpiechem wyjeżdżały, zaprzęgnięte w pary koni, dziesiątki dział. Również na stacji jakby było mniej kawalerii.

Przed wieczorem, gdy jeszcze było widno, usłyszeliśmy warkot samolotów. Od północy nadleciała eskadra siedmiu niemieckich, jednosilnikowych bombowców nurkujących „Ju-87”, zwanych powszechnie sztukasami. Za chwilę rozwinęły się one w linię i rozpoczęły, pikując ze świstem, bombardowanie terenów za stacją kolejową. Zmasakrowały całkowicie te właśnie uliczki i ogrody, gdzie niedawno rozlokowane były baterie artylerii radzieckiej. Oczywiście ten kukuruźnik popołudniowy z czerwoną gwiazdą, to musiał być samolot zdobyty i pilotowany przez Niemców.

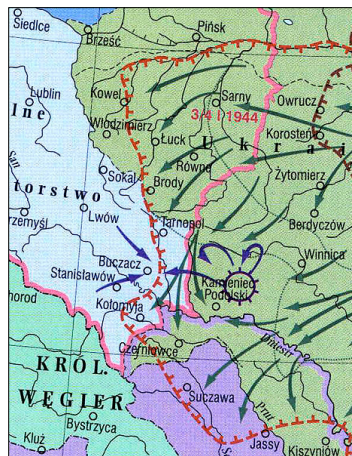
Wszędzie było dużo wojska. Żołnierze siedząc w okopach, czy schowani za murami domów, strzelali ze swych pepesz do bombowców, ale bez widocznego rezultatu, gdyż samoloty były opancerzone. Schroniliśmy się na początku nalotu do sąsiedniego budynku, nieco solidniejszego od naszego. Tam w piwnicy siedziało kilkanaście osób, zbitych w gromadkę. Jakaś kobieta lamentowała, niektórzy się modlili. Ojciec stał przed wejściem do tego pomieszczenia piwnicznego, które z tej strony wychodziło na poziom ogrodu i, paląc papierosa, obserwował spokojnie niecodzienne widowisko.

Samoloty nadlatywały znad naszego budynku, pikowały, zrzucały bomby 200- 400 m od nas, po czym zakręcały w lewo, robiąc kolejne okrążenie. Po kilku okrążeniach, gdy pozbyły się bomb, sztukaszy zaczęły ostrzeliwać z karabinów maszynowych stację kolejową oraz tory i łąkę, po której pędziły we wszystkich kierunkach dziesiątki koni. Stałem za ojcem i do dzisiaj mam w oczach ten cyrk powietrzny, wybuchy i te biedne konie. Tato przepędził mnie, gdy rozpoczęło się ostrzeliwanie z karabinów maszynowych. W wyniku nalotu zginęło kilkunastu mieszkańców bombardowanego osiedla, zabitych zostało dziesiątki koni, ale bodaj żaden żołnierz rosyjski. Po prostu wiedzieli jak, i w jakim momencie, chować się przed bombami. Zaraz potem żołnierze odeszli z kwater i po pewnym czasie zrobiło się jakoś cicho, co bardzo nie podobało się rodzicom. Położyliśmy się do snu w ubraniach. Oczywiście, co ważniejsze rzeczy, dawno spakowane, pochowaliśmy już wcześniej w piwnicy.

W nocy, na kilka godzin przed świtem, rozpoczął się rzadki ostrzał artyleryjski miasta. Słychać też było szum motorów od strony Góry Buczackiej. Stamtąd więc jechały czołgi ostrzeliwujące miasto. Niebawem usłyszeliśmy gardłowe nawoływania po niemiecku. Tyraliera żołnierzy po ciemku, świecąc latarkami elektrycznymi, szła przez ulice i ogrody. Nie było żadnej walki, nikt się nie bronił w świeżo wykopanych okopach. Najzwyczajniej Rosjanie opuścili miasto, wracając w te same lasy, którymi przedtem przyszl.

I znów byliśmy pod panowaniem niemieckim. Lecz sytuacja była już inna, teraz już stałe w mieście rozlokowane były oddziały wojskowe. Wrócili Niemcy, ale równocześnie przybliżył się front wojenny.

Za kilka dni ponownie zaroїło się od wojska, którego było zapewne znacznie więcej niż mieszkańców. Trafiło do nas na kwaterę 6-8 Niemców, zajmując oba pokoje, my spaliśmy w kuchni. Otóż te oddziały, które odbiły Monasterzyska, wchodziły w skład dwóch dywizji pancernych, ściągniętych z Zachodu w celu odblokowania okrążonej armii niemieckiej pod Kamieńcem Podolskim. Zaś ci, co teraz chmarą obsiedli miasto, to byli szczęśliwcy, którzy wyszli właśnie z tego okrążenia i regenerowali swe siły i kondycję na kwaterach za frontem.



Atak na Buczacze

Kwaterujący u nas żołnierze kapali się w beczce z gorącą wodą, prali swą bieliznę i iskali wszy z koszul, siedząc na ławce w ogrodzie. Jednemu z nich ojciec powiedział, że ma wszy wielkie jak „Hackenkreuz”. Ten obruszył się i zrobił ojcu dziką awanturę.

Pamiętam też kilka innych scen z tych kwater. Byłem w kuchni, pomagając mamie w gotowaniu posiłku dla żołnierzy, którzy siedzieli gęsto wokół stołu. Coś jedli i pili, zachowywali się bardzo hałaśliwie. W pewnym momencie jeden drugiemu odsunął krzesło, gdy ten wstał na chwilę. Siadając, żołnierz runął na podłogę, po czym zerwał się, złapał to krzesło i zamachnął z wściekłością na kolegę. Bijatyka wydawała się nieunikniona. Lecz znów mój ojciec był na miejscu, wyskoczył z sąsiedniego pokoju i złapał mocno za to nieszczęsne krzesło i krewkiego wojaka za rękę, krzycząc coś po niemiecku. Sytuacja się rozładowała.

Tu muszę powiedzieć, że w kontaktach z Niemcami, tato prawie zawsze chwalił się i pokazywał swój żelazny krzyż z I wojny światowej. Dostał go za wyniesienie z pola walki pod Fort Douaumont, spod ostrzału artyleryjskiego, rannego majora niemieckiego. Niemcy byli bardzo wyczuleni, żeby nie powiedzieć bałwochwalczy, w stosunku do wyższych odznaczeń wojskowych. Widziałem wielokrotnie, że po takiej prezentacji od razu odnosili się do ojca z wyraźnym szacunkiem. Poza tym żołnierze przeważnie byli młodzi, zaś ojciec miał ponad 40 lat, był krzepki i bardzo silny.

Ta sympatia do ojca miała też zrozumiałe podłoże psychologiczne. Otóż żołnierze niemieccy przez całe miesiące nie mieli szans na zwyczajne, ludzkie porozumiewanie się z napotkaną ludnością. Poza oczywistą wrogością, istniała nieprzekraczalna bariera językowa. Sami znali niewiele słów rosyjskich, czy polskich, jak „mliko, jajka, kura, Iwan, dawaj, prendko” itp. Zaś tubylcy rozumieli jedynie takie słowa niemieckie, jak „Brot, Butter, Tabak, Schwein, raus, schnell, bitte, Strasse” oraz kilka innych.

A tu nagle, na swej kwaterze, mogli swobodnie porozmawiać w swoim własnym języku. Zapytać, gdzie właściwie są, jak wielkie miasto, czy jest kino, gdzie można kupić papierosy itd. Mogli mówić o swych stronach ojczystych, zaś jak znalazł się jakiś wojak z Westfalii, gdzie ojciec przebywał kilka lat - to nie było końca wspomnieniom, oczywiście przy kieliszku bimbru i odpowiedniej zakąsce. Żołnierze prawie zawsze starali się odwzajemnić za kwaterę. Płacili pieniędzmi, zapalniczkami, wiecznymi piórami, żołnierskimi butami. Te ostatnie mieli zapewne po zabitych kolegach.

Wojsko na kwaterach ciągle się zmieniało. Pamiętam, jak raz ojciec z niemieckim podoficerem stali przed domem i patrzyli przez lornetkę na egzekucję kilku wylapanych Żydów, dokonywaną na cmentarzu żydowskim, widocznym z odległości kilkuset metrów. Ja nie mogłem patrzeć i uciekłem do domu. Zaś wzburzony Niemiec mówił głośno, że takim postępowaniem Hitler wojny nie wygra.

Po kolejnej zmianie zakwaterowanych u nas żołnierzy, miałem im przynieść wiadro wody z potoku. Robiłem to bardzo powoli, gdy jeden z nich wyszedł przed drzwi na schody i zaczął mnie z krzykiem popędzać. Ja nadal chyba guzdrałem się, on cofnął się do przedpokoju, wrócił z karabinem i wycelował we mnie z odległości ok. 7 metrów. I znów ojciec wyskoczył z sionki, złapał od tyłu za karabin, wyrывая go Niemcowi i krzycząc, jak ongiś: „Das ist mein Sohn!”.

No i jak taka scena mogłaby się zakończyć, gdyby ojciec nie mówił perfektnie po niemiecku, gdyby nie budził respektu fizycznego i nie budował wcześniej swego autorytetu krzyżem żelaznym, czy innymi wspominkami z I wojny światowej oraz wieloletniego pobytu w Niemczech.

Od połowy kwietnia słyszeliśmy daleki huk armat. To front przybliżył się do nas na odległość ok. 20 kilometrów i następnie ustabilizował się na kilka miesięcy na linii rzeki Seret i miasta Buczacze. Zostało ono poważnie zniszczone, zaś większość ludności

uciekle, zatrzymując się częściowo w Monasterzyskach.

Od tego mniej więcej czasu rozpoczęły się prawie conocne bombardowania miasta. Gdy tylko była pogodna noc, nad miasto nadlatywały pojedynczo, na niedużych wysokościach, rosyjskie kukuruźniki, tym razem w charakterze nocnych bombowców. Niekiedy na tle nieba, w świetle księżyca, widać było ciemne sylwetki maszyn. Leciwały one z jednostajnym terkotem i po oświetleniu terenu przez flary, spływające powoli na spadochronach, zrzucały pojedyncze bomby.

Te samoloty zabierały tylko małe bomby, właściwie granaty oraz bomby zapalające, które pilot wyrzucał przez burtę. Nie mogły więc one zrobić jakiejś większej szkody. Ale były bardzo celne, bo zrucane były z wysokości kilkudziesięciu metrów i przy małej szybkości samolotów.

Główną rolą tych nocnych bombowców było oddziaływanie psychologiczne na bombardowanego przeciwnika. Dlatego Niemcy nazywali te samoloty „Nervensäge”, jak również „Drehmaschine”. Strzelali niekiedy do nich świetlnymi pociskami z karabinów maszynowych, ale wtedy wyłączały one silniki i dalej leciały bezszelestnie, by po kilkuset metrach na prawo, czy lewo, znów włączyć silniki. Zaś za chwilę, znów bezszelestnie, nadlatywały nad miejsce skąd były ostrzeliwane i zrzucały swe bombki. Specjalnie bombardowana była stacja kolejowa i wagony na torach. Między innymi spłonął duży drewniany magazyn, jaki Niemcy wcześniej wybudowali, oraz rozbitych zostało wiele wagonów.

Te bombowce dawały się, oczywiście, bardzo we znaki również ludności cywilnej. Wielekroć z nastaniem nocy, kryłem się w okopie koło naszego domu i biegałem z jednego końca na drugi, w zależności od tego z której strony dochodził warkot samolotu.

Raz, to nawet wybraliśmy się w dwójkę, z kolegą Jurkiem, na noc za miasto, żeby przespać się spokojnie na jakimś odludziu. Rzeczywiście, znaleźliśmy jakąś samotną stodołę, było tam już kilkanaście osób, błędzących jak my. Ale ledwo umościliśmy sobie legowisko, rozległ się jeden, drugi warkot, huk bomby i niedaleko zapłonął jakiś obiekt, czy stóg siana. Nigdy więcej nie ryzykowałem takich nocnych spacerów i raczej spałem w piwnicy. Oczywiście w słotne noce mieliśmy święty spokój. I tylko armaty mruczały gdzieś daleko na wschodzie.

W dzień zdarzały się naloty pojedynczych lub kilku samolotów szturmowych. Przelatywały jak błyskawica na małej wysokości nad miastem i strzelały z armatek i karabinów maszynowych w upatrzone miejsca. Te szturmowce Niemcy nazywali „Schwarzes Tod”, gdyż rzeczywiście były groźne i pomalowane na czarno.

Raz miałem wrażenie, że pilot mnie wziął na celownik. Kręciłem się swobodnie po podwórku, bo samolot odleciał i był już daleko, gdy nagle bezgłośnie wrócił niziutko nad ziemią i splunął serię pocisków, które zaświstały mi jazgotliwie nad głową. Huk przelatującej maszyny usłyszałem z opóźnieniem, kiedy już uskokczyłem za róg domu.

Mijały tygodnie i miesiące i co raz powszechniej Polacy w mieście stawiali sobie pytanie: co dalej robić? Z jednej strony stała obecność dużych ilości wojska oraz budowane linie obronne świadczyły, że gdy ruszy front, to miasto może bardzo ucierpieć. Wszyscy mieliśmy w tym względzie przykład Buczacza. Z drugiej strony stało się coraz bardziej jasne, że będzie tu z powrotem radziecka Ukraina, a nie Polska, o której mówiło się, że zostanie przesunięta na zachód.

Baliśmy się też nadal pogromów ze strony nacjonalistów ukraińskich. Wprawdzie w tym czasie się uspokoił, ale raczej tylko dlatego, że wszędzie było pełno wojska i to frontowego, które nie bawiłoby się z uzbrojonymi bandami w jakieś gry polityczne.

My swe pola obsialiśmy, była krowa, dom - trudno było zdecydować się na pozostawienie tego wszystkiego i wyjechać z Monasterzysk. A właśnie od maja Niemcy

zgadzali się na wyjazdy Polaków, bez żadnych utrudnień i ograniczeń, zabezpieczając na ten cel kryte wagony kolejowe. I oto rozpoczął się masowy exodus ludności polskiej. Przede wszystkim wyjeżdżały rodziny, mające krewnych w zachodnich województwach GG, ale również, coraz więcej rodzin wyjeżdżało po prostu w nieznane.

My faktycznie mieliśmy gdzie jechać. W Kępnie posiadaliśmy własny dom, zaś w okolicy liczną rodzinę ojca. Oczywiście nie wiedzieliśmy, co się z nimi dzieje, niektórzy byli wysiedleni ze swej ziemi. Jednakże ten cel podróży nie wchodził dla nas w rachubę, gdyż do Reichu Polakom nie wolno było jechać.

Rodzice zdecydowali się jednakże wyjechać. Wpierw, w połowie maja, pojechała siostra, zabierając się ze znajomymi, którzy udawali się do krewnych w Jordanowie. Zaś na początku czerwca wyjechaliśmy w trójkę - rodzice ze mną. Otrzymaliśmy jeden kryty wagon towarowy dla nas i sąsiadów pp. Skrzypków, dwuosobowej rodziny. Pochowali oni niedawno swego 10-letniego syna, który pasąc kozę, zginął od wybuchu miny.

Mogliśmy zabrać wszelkie rzeczy bez szczególnych ograniczeń, nawet meble i zwierzęta domowe. Faktycznie, prócz ubioru, pościeli, sprzętu kuchennego zabraliśmy również stół, krzesła, łóżka składane, rower i kozę. Jednakże większość mebli, krowa pozostały.

Przed wyjazdem zakopaliśmy nocą, w środku ogródka, posiadaną broń, a to dużą skrzynię ciężkich granatów obronnych i 4 karabiny typu „Mauser”, które dokładnie naoliwiłem i owinałem w również naoliwione szmaty. Naboje karabinowe powtykałem do kilkunastu butelek, jakie, po szczelnym ich zakorkowaniu, powbijałem w muł dennej potoku dnem do góry.

Na podróż mama uśmierciła prawie wszystkie nasze kury i posmażyła je, upiekła też kilka bochenków chleba. Zabraliśmy także sporo innych produktów żywnościowych. Oczywiście również trochę słomy i siana, na wymoszczenie legowiska w wagonie.



Widok Monasterzysk z Góry Buczackiej. Stan obecny

OSTATNI FRONT W JORDANOWIE

Na stryszk * Obrazy i rzeźby * Front ruszył * Konwój jeńców

Pociąg włókł się niemiłosiernie. Nie wiedzieliśmy przez jakie stacje przejeżdżamy, gdyż wagon nie miał żadnych okienek. Mieliśmy sporo miejsca, wygodne legowiska, ale nic do roboty, więc spaliśmy wszyscy jak najwięcej. W pewnym momencie pobudziliśmy się, ponieważ od dłuższego już czasu ustał miarowy stukot kół i nastała całkowita cisza. Otworiliśmy wrota wagonu. Było więcej torów kolejowych, czyli staliśmy na jakiejś stacji, lecz nie było widać żadnych świateł. Skoro świt mama i nasza była sąsiadka wybrały się na rekonesans.

Wróciły po niedługim czasie, oświadczając, że wysiadamy, gdyż jesteśmy już w Jordanowie, w podgórskiej miejscowości na południe od Krakowa. Z mgły porannej wylaniały się, z obu stron torów, kontury zielonego, soczystego lasu, zaś nieco dalej niepozorny budynek stacyjny, jakiś nieduży tartak i nic więcej. Było świeże, rześkie powietrze. Wyładowaliśmy się szybko i sprawnie na pobocze.

I znów panie poszły gdzieś w stronę miasteczka. Czekaliśmy wiele godzin na ich powrót, w międzyczasie nic się nie działo i nikt się nami nie interesował. Gdy wróciły, zarządziły przeniesienie wszystkich naszych rzeczy do nieodległej leśniczówki, samotnie sterczącej między polami i lasami. Bagaże przenieśliśmy na raty, urządzając po drodze przystanki dla odpoczynku, bo było pod górkę i mocno się natrudziliśmy. W leśniczówce zamieszkiwało już kilka rodzin, które wcześniej skądś przyjechały, podobnie jak my. Było bardzo ciasno, spaliśmy w nocy pokodem, głowa przy głowie.

Jednak już na drugi dzień przeprowadziliśmy się do miasta na stałą kwaterę. Znowu trzeba było taszczyć nasze bagaże. Znaczna część tych prac tragarских należała do mnie. Byłem zdrowy, silny, wytrzymały na wszelkie trudy i wykonywałem ochoczo wszystkie polecenia rodziców. Zamieszkaliśmy w trójkę w parterowej, drewnianej przybudówce przy nieczynnej, zdewastowanej, starej garbarni. Przybudówka, z dwuspadowym dachem pokrytym dachówką oraz z małą piwniczką, miała cztery pomieszczenia mieszkalne. Dwie izby od strony podwórka zajęte były, od dłuższego już czasu, przez młode małżeństwo z jednoroczną córeczką.

Nasze lokum wymagało trochę drobnych reperacji, posprzątania i wyszorowania drewnianych podłóg. Z wszystkim tym uwinęliśmy się w krótkim czasie, rozłożyliśmy nasze rzeczy i znów mieliśmy gdzie mieszkać. Wtedy dołączyła do nas, przybyła wcześniej do Jordanowa, moja siostra. Pracowała i mieszkała przez kilka tygodni w firmie budowlanej w nieodległej Chabówce.

Za to wyjechał ojciec z powrotem do Monasterzysk, gdyż zobowiązywał go do tego rozkaz AK, miał tam bowiem swe organizacyjne obowiązki. Drugim powodem powrotu była oczywista chęć pilnowania domu i ziemi.

Mama, zaraz po przyjeździe, zameldowała swój pobyt w odpowiednim urzędzie w Jordanowie. Ja nie meldowałem się, przez wiele miesięcy musiałem się potem ukrywać w nowym miejscu zamieszkania. Oczywiście powód był bardzo prozaiczny. Wielka Rzesza powoływała do swojego „niezwycięzonego” Wehrmachtu coraz młodsze oraz zupełnie już stare roczniki swych aryjskich obywateli. Więc coraz bardziej brakowało w Niemczech rąk do pracy. To też, dobrowolnie, bądź przymusem, ściągano ze wszystkich podbitych państw tzw. siłę roboczą do prac w rolnictwie i przemyśle niemieckim. Ja,

przy swoich prawie 18. latach, nadawałem się już, jak najbardziej, na taką siłę roboczą.

Domek, w którym mieszkaliśmy, stał samotnie w zakolu serpentyny szosy, wychodzącej z miasteczka w kierunku zachodnim. Tuż obok znajdował się głęboki, zadrzewiony jar, którym płynął mały potok. Z drugiej strony było trochę starych drzew i pola uprawne. Do pierwszej zabudowanej uliczki i centrum miasta, to jest dużego, zadbane-go Rynku, było od naszej garbarni raptem ok. 400 metrów.

Mama prowadziła dom, gotowała posiłki, szyła, pomagała też naszej sąsiadce w wykańczaniu fartuszków, jakie ona szyła na sprzedaż. Siostra zaś wykonywała śliczne swetry z kolorowej włóczki. Przez pewien czas pracowała również jako opiekunka do dziecka przy pewnej rodzinie. W ten sposób zarabiała pieniądze, potrzebne nam na chleb i inne podstawowe produkty.

Ja codziennie rano udawałem się wózkiem do gospodarstwa rolnego w pobliskim przysiółku, skąd przynosiłem bańkę świeżego mleka z porannego udoju. Kożę bowiem mama sprzedawała zaraz po przyjeździe do Jordanowa. Zakupiliśmy natomiast młodego barana. Nie trzeba go było wypasać, ponieważ trzymaliśmy go w zrujnowanym, betonowym basenie do garbowania skór i tam mu donosiłem świeżą trawę, jaką ścinałem sierpem na zboczach sąsiedniego jaru.

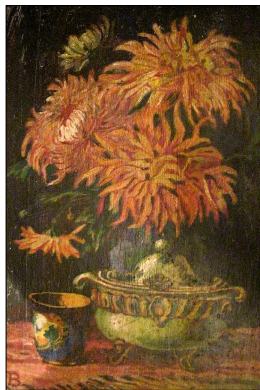
Na początku zimy ten gospodarz, do którego chodziłem po mleko, zabił naszego utuczonego barana i ściągnął z niego skórę na kozuch, dopłacając nam za nią sporo. Zaś mięso mama zapeklowała w kilku wiaderkach. Były potem smakowite pieczenie i szaszłyki przez całą zimę.

Do mnie należało jeszcze zbieranie gałęzi w lasku, rąbanie drewna na opał oraz przynoszenie wody z pompy, która była na podwórzu. Poza tym całymi dniami przebywałem samotnie w niedużym pokoiku na poddaszu. Tam miałem swe poślanie, czytałem książki, uczyłem się i dużo rysowałem, malowałem obrazy i rzeźbiłem figurki w gipsie.

Otóż nasz współlokator p. Cwiertnia był zawodowym malarzem. Zajmował się renowacją starych malowideł oraz malował nowe obrazy w kościołach w całym regionie Podhala. Był bez jednego oka, stracił je w młodości w wypadku spowodowanym przez swego brata, który niechcący strzelił z dubeltówki. Nauczyłem się od niego profesjonalnego przygotowywania blejtramów na obrazy olejne, stosowania różnych rozpuszczalników, używania werniksu do zabezpieczania malowideł przed wpływami atmosferycznymi itp.

Nauczyłem się również wtedy malowania olejnymi farbami na szkle. Jest to znacznie trudniejsze od malowania na płótnie, bo nie można nakładać farby na siebie i korygować w ten sposób malowidło na bieżąco. Radziłem sobie w ten sposób, że stosowałem technikę witrażową. Oznaczałem na szkle kontury obrazu, zaś potem zakreślone płaszczyzny zamalowywałem odpowiednimi kolorami farb.

Po raz pierwszy też rzeźbiłem w gipsie, pomagając przy wykonywaniu figurek do dużej szopki świątecznej do jakiegoś kościoła. Robiliśmy odlewy z gipsu alabastrowego o gabarytach zbliżonych do kształtu figurek, potem rzeźbiło się je dłutem lub pincetą, gruntowało białą farbą podkładową i wreszcie malowało farbami olejnymi. Rzeźby robiliśmy najczęściej na podstawie fotografii albo rysunku



Moje olejne obrazy na dykcie

danej postaci. Trzeba było mieć do tego sporo wyobraźni. Wykonywałem też różne figurki na własny użytek. Zdobyły one później mieszkanie moich rodziców.

Najwięcej czasu poświęcałem jednakże rysunkom ołówkowym, jakich wykonałem wówczas kilkadziesiąt sztuk, przeważnie niedużych rozmiarów, formatu A-4. Obrazki te rysowałem jako kilkakrotne powiększenia ilustracji z książek, znajdujących na stryżku. Między innymi powiększyłem około 30 ilustracji poematu Goethego „Herman und Dorothea”. Przeczytałem też, można powiedzieć przy okazji, kilka rozdziałów tej pięknej książki, napisanej oczywiście w języku niemieckim, a nawet nauczyłem się na pamięć dwóch stron poematu. Sporo też uczyłem się w tej mojej samotni i powtarzałem programy z posiadanych podręczników.



Nasi sąsiedzi, mama, siostra i ja

teorii dwóch wrogów Polski, którymi w równym stopniu są Niemcy i Rosja. Stąd organizację obowiązywała zasada „stania z bronią u nogi” i czekania na wynik wzajemnych zmagających wojennych obu przeciwników.

Dużym wydarzeniem był widok amerykańskich bombowców we wrześniu 1944 r. nad Jordanowem, lecących na pomoc walczącej Warszawie. Setki wielkich srebrzystych samolotów przeleciało wówczas wolno, na dużej wysokości, z jednostajnym łoskotem.

W okresie lata i jesieni 1944 r. szale wojny wyraźnie przechyliły się na stronę koalicji państw, walczących z państwami „Osi”. W dniu 6 czerwca dokonana została, długo zapowiadana, inwazja amerykańsko-angielska na plażach Normandii we Francji. W jej wyniku do końca sierpnia została oswobodzona spod niemieckiej okupacji cała Francja. Jesienią działania zbrojne na Zachodzie przeniesione zostały już do Belgii i Holandii, zaś na południu Sprzymierzeni opanowali całe środkowe Włochy.

W tym okresie Rosjanie przeprowadzili na froncie wschodnim kilka wielkich uderzeń, które przesunęły linie frontów o setki kilometrów na zachód. Czerwcową ofensywą przeciwko Finlandii spowodowała wkrótce jej kapitulację i opowieszenie się po stronie Koalicji przeciwko Niemcom. Drugie uderzenie na północy miało na celu zajęcie Estonii i Łotwy.

Największa operacja, rozpoczęta w ostatnich dniach czerwca z rejonu Witebska, do końca sierpnia odsunęła Niemców aż do granic Prus Wschodnich. Zaś kolejne lipcowe natarcie od strony Tarnopola i Buczacza doprowadziło do zajęcia przez Armię Czerwoną terenów do Sanu i środkowej Wisły. Całkowitym zaskoczeniem dla Niemców była ofensywa rozpoczęta 20 sierpnia na kierunku bałkańskim. Zaowocowała opanowaniem przez Rosjan w ciągu kilku tygodni Rumunii oraz Bułgarii, w których nowe rządy wypowiedziały wojnę III Rzeszy. Od tego czasu Niemcom pozostał w Europie już tylko jeden sojusznik - Węgry.

Nasi współlokatorzy nauczyli nas gry w brydża. Razem było nas 5 dorosłych osób, więc bardzo często wieczorami grywaliśmy w różnych konstelacjach w karty, rozgrywając po kilka robów. Specjalnie na brydża chodziliśmy też niekiedy do krewnych naszych sąsiadów. Szło się polami, bocznymi ścieżkami, ja zawsze na końcu, pilnie bacząc, czy nie ma w zasięgu wzroku policji lub tp.

U tych znajomych odbywały się czasami dyskusje polityczne. Mogłem domyślać się, że zwłaszcza jeden z domowników był znaczącą postacią w lokalnej konspiracji AK. Z rozmów wyraźnie wynikało, że Armia Krajowa hołduje

Na tym tle absolutnym dysonansem było zbrojne powstanie w Warszawie, które wybuchło przeciwko Niemcom 1 sierpnia z rozkazu dowództwa Armii Krajowej. Powstanie upadło po dwóch miesiącach krwawych walk, podczas których zginęło bez mała 250 tysięcy mieszkańców naszej stolicy, zaś lewobrzeżna Warszawa decyzją Hitlera została prawie doszczętnie zniszczona.

W tym kontekście zasadnym stało się pytanie, jaki był właściwie cel Powstania wg inspiracji jego decydentów? Z biegiem lat padają różne odpowiedzi, często wzajem sobie przeczące. Chyba najprostszej, zarazem najtrafniejszej odpowiedzi udzielił pisarz-historik Paweł Jasienica niewiele lat po wojnie: „Powstanie wymierzone było militarnie przeciw Niemcom, politycznie przeciwko ZSRR, zaś realnie przeciw narodowym interesom Polski i Polaków”.

Tyle, że Powstanie nie spowodowało poważniejszych problemów dla Niemców, gdyż do walk w mieście użyli oni brygady kryminalistów i własowców, nie odcinając z frontu żadnych poważniejszych jednostek Wehrmachtu. Nie miało też większego wpływu na organizowanie się ludowego rządu polskiego w Lublinie, ani na aktualne dobre stosunki pomiędzy rządami anglosaskimi i radzieckim. Ostatecznie jedynym ówczesnym konkretnym efektem akcji „Burza” w Warszawie była zagłada miasta przez Niemców i śmierć prawie ćwierci miliona jej mieszkańców.

W Jordanowie tymczasem nic szczególnego się nie działo. My też nie byliśmy niepokojeni przez jakieś rewizje, czy pisma urzędowe. W ogóle spokojnie było w całym regionie. Z perspektywy czasu można to wytłumaczyć liberalnym stosunkiem władz niemieckich do ludności Podhala. Niemcy starali się wmówić Góralom, że nie są Polakami, lecz stanowią odrębny naród Goralenvolk. Poza tym ten region, o słabym rolnictwie i pozbawiony przemysłu, nie przedstawiał większej wartości pod względem gospodarczym. Niemców interesowało jedynie wykorzystanie górskich kurortów na wypoczynek dla swych rannych, i utrudzonych rzemiosłem wojennym, żołnierzy.

Sytuacja zmieniła się znacznie w zimie 1944/45 r., kiedy na tereny Podhala przeniknęła i rozwinęła się partyzantka antyfaszystowska, gdy front wschodni był już na linii Wisłoki i Wisły. Wówczas pojawiło się wojsko niemieckie zwalczające oddziały partyzanckie. Doszło do szeregu krwawych pacyfikacji górskich wiosek, w wyniku czego ucierpiała znacznie miejscowa ludność. Najbliższa taka pacyfikacja miała miejsce we wsi Osielec, odległej około 10 kilometrów od Jordanowa, gdzie czołgami rozrywano schwytanych partyzantów.

W dniach 12-13 stycznia 1945 r. ruszył wreszcie front znad Wisły. Rosjanie już 18 stycznia wyzwolili Kraków, zaraz po tym cały Górny Śląsk, ale na Podhalu dalej było spokojnie i cicho. Dopiero w pierwszych dniach lutego przeżyliśmy bardzo łagodne przejście piątego już frontu wojennego.

Odbłyło się to wczesną nocą, gdy my w trójkę, wraz z naszymi współlokatorami, przebywaliśmy w solidnej piwnicy domu znajomych na niedalekiej ulicy. Opuściliśmy nasz domek przy garbarni z prostego powodu podminowania przez wojsko, znajdującego się tuż obok, solidnego kamiennego mostu drogowego. Wszystkie rzeczy, wraz z kwaterami okiennymi, schowaliśmy w małej piwniczce. Ten most faktycznie został wyczorem wysadzony w powietrze.

Wcześniej miał miejsce nalot kilku radzieckich samolotów szturmowych na samochody i oddziały Niemców na Rynku. Jak potem mówiono, od bomb zginął wówczas cały ewakuujący się sztab dywizji niemieckiej. Potem słyszeliśmy warkot samochodów i tupot uciekających ulicą żołnierzy. Następnie nieliczne strzały karabinowe i armatnie, zaś za niedługo przed wejściem do piwnicy stanął młody żołnierz rosyjski z pepeszą i zapytaniem: „Germańcow niet?”. Odpowiedzieliśmy, że nie ma, wskazując kierunek, w

którym uciekli. Mama od razu zagadała po rosyjsku, ktoś podał garnuszek z mlekiem, ktoś inny podsuwał mu jakąś kanapkę. Wojak wypił mleko jednym haustem, wytarł rękawem kożuszką usta, powiedział „nie!” kanapce i pobiegł za swymi towarzyszami broni. W ten nieskomplikowany sposób skończyła się właściwie dla mojej rodziny II wojna światowa.

Nazajutrz wróciliśmy do swego mieszkania. Drewniany budynek był cały, ale wyraźnie przechylił się w kierunku przeciwnym od mostu. Wszystkie dachówki wybuch zdmuchnął z dachu na poddasze i na podwórko.

Obok zniszczonego, kamiennego mostu, głęboko w jarze, grupa żołnierzy i cywili układała na potoku prowizoryczny mostek z bali drewnianych i wyrównywała oraz umacniała pniakami drzew zjazd z obu stron. Przy samym moście też już wykonywano jakieś prace, ale to było o wiele poważniejsze przedsięwzięcie. Wkrótce, kierujący robotami oficer zagarnął mnie również do układania umocnień na prowizorycznych dojazdach. Niewiele się przy tym napracowałem, bo mama wyperswadowała wojskowemu, że mam zreperować dach nad naszym mieszkaniem. Dał się przekonać i zabrałem się do naszego remontu.

Najpierw powyciągałem kwatery okienne z piwniczki i zawiesiłem w futrynach okiennych. Ani jedna szybka nie była stłuczona. Następnie w pojedynkę zabrałem się do dachu. Segregowałem na podwórku całe dachówki, składałem je w małe słupki, po drabinie wnosiłem na poddasze i potem, warstwa za warstwą, układałem na ołaczeniu, które nieznacznie tylko zostało uszkodzone. Na wieczór dach był już cały, a ja zmęczony, ale zadowolony z wykonania sporej, acz niezbędnej roboty.

Mama z siostrą w międzyczasie uprzątnęły starannie mieszkanie, rozpakowały rzeczy z waliz oraz koszy i znów mieszkaliśmy w przyzwoitych warunkach. Kolację zjedliśmy, goszcząc tego oficera od budowy mostu.

Z góry, z dachu, obserwowałem szybki postęp przy budowie prowizorycznej przeprawy i stałego mostu, oraz przejazd kolumny czołgów. Była dramatyczna chwila, gdy ciężki czołg zsunął się do jaru, zaś drugi wyciągał go potem, z potwornym rykiem, przy pomocy stalowych lin.

Za dzień-dwa front utknął gdzieś za Suchą Beskidzką. Kolejnej nocy zbudził nas tupot wojska, które maszerowało śpiesznie kolumnami, na całej szerokości drogi, w kierunku zachodnim. Domyśliliśmy się, że będzie wkrótce podjęta nowa ofensywa. Rzeczywiście, nazajutrz rozpętała się od strony Suchej armatnia kanonada, trwająca przez wiele godzin.

Już na następny dzień zobaczyliśmy idącą w naszym kierunku kolumnę kilkuset niemieckich jeńców, konwojowanych po bokach przez czerwonoarmistów. Jeńcy sprawiali bardzo nędzne wrażenie. Gdy skręcali przed naszym domem, mama ze schodów wejściowych zaczęła im rzucać kromki chleba, wcześniej szybko pokrajanego. Wielu z nich rzuciło się z wyciągniętymi rękoma w naszym kierunku. Zrobiło się spore zamieszanie i jeden z konwojentów oddał z automatu długą serię w powietrze. Mama krzyknęła wtedy „Eto tożę ludzi” i coś tam jeszcze do rosyjskich żołnierzy. Pojawił się wnet oficer, najwidoczniej dowodzący konwojem, i wydał rozkaz postoju.

Jeńcy obsiedli chmarą dużą skarpe przydrożną za garbarnią. Ja zacząłem przynosić im z podwórka, gdzie była pompa, wiadra z wodą, którą rozlewałem do podstawianych manierek i garnuszków. Pili zachłannie, coś tam przegryzając ze swych zapasów z chlebaków i zawiniątek. Natomiast czterech konwojentów zasiadło wokół stołu w kuchni i zajadali ze smakiem nasz obiad, jaki im mama serwowała, rozmawiali też ochoczo z nią po rosyjsku. Zrewanżowali się potem kilkoma amerykańskimi konserwami mięsnymi.

W międzyczasie mama ugotowała całe wiadro ziemniaków w łupinkach. Zaraz zaniósłem je jeńcom niemieckim, którzy prześcigali się w podziękowaniach, pałaszując

gorące kartofle razem z łupinami. Po przeszło godzinny wypoczynku całe towarzystwo zebrało się i poszło dalej.

Front oddalił się aż do Żywca. Ja dopiero wtedy, po raz pierwszy, przeszedłem się po Jordanowie, zwiedzając to sympatyczne miasteczko. Szybko zniknęły niemieckie szyldy i napisy, w ich miejsce instalowano tylko polskojęzyczne nad sklepami i nowopowstającymi urzędami. Skorzystaliśmy też niezwłocznie z możliwości otrzymania po 500 nowych polskich złotych na osobę po okazaniu niemieckiej Kennkarty. W zamian wycinano z niej pieczęć z hitlerowskim orłem.

Zaczęliśmy się także wówczas przygotowywać do wyjazdu na swoje „śmieci” do Kępna w Poznańskim. Wpierw, jeszcze w lutym, wyjechała na rekonesans moja siostra. Stwierdziła, że nasz dom w Kępnie jest cały, odwiedziła rodzinę ojca w Kuźnicy Bobrowskiej i po wielu perypetiach wróciła do Jordanowa.

Po spakowaniu się, załatwieniu odpowiednich formalności i sprzedaniu pewnych rzeczy, pojechaliśmy wynajętą furmanką do Krakowa. Stamtąd zaś najbliższym pociągiem towarowym do Katowic. Jechaliśmy otwartym wagonem, na stercie stalowych rur. Za kilka godzin byliśmy w Katowicach, tam przesiadka do pociągu w kierunku Kępna. Musieliśmy przejść kilkoma ulicami przez miasto z dworca towarowego na osobowy. Był słoneczny, ciepły dzień. Spocilem się i umęczyłem bardzo, taszcząc kilka waliz, tobołów i rower na dodatek. Ulice wydawały mi się puste, żadnych gapiów w oknach, najwidoczniej wszyscy mieszkańcy byli w miejscach pracy. Minęła nas też długa kolumna wielkich „Studebakerów” amerykańskich, wiozących zaopatrzenie wojskowe na front.

Do Kępna dojechaliśmy wieczorem po prawie całodziennej podróży.

POWIATOWE KĘPNO

Własny dom * Ojciec repatriantem * Czwarta gimnazjalna

Kępno to ponad 10-tysięczne miasto w południowej części województwa poznańskiego. Schludne, zadbane, z dużym tartakiem, młynem, dwoma cegielniami i krzyżującym się dwupoziomowo węzłem kolejowym. W czasie wojny miasto nie doznało prawie żadnych zniszczeń. Nasz dom był cały, jak i cała była ulica Poznańska, przy której się znajdował. Dom mieścił trzy mieszkania, dwa na parterze i jedno mniejsze na piętrze. Oczywiście wszystkie były zajęte przez sublokatorów. Zamieszkaliśmy tymczasowo u jednego z nich w 2-pokojowym mieszkaniu na parterze. Drugą rodzinę na parterze poprosiliśmy o opróżnienie zajmowanego przez nich 3-izbowego mieszkania. Oczywiście wymagało to czasu.

Niezwłocznie zorientowaliśmy się w mieście o możliwościach dalszego kontynuowania nauki przez siostrę i przeze mnie. Otóż w tym czasie, w końcu marca 1945 r., w Kępnie funkcjonowało już 4-klasowe gimnazjum, istniejące jeszcze przed wojną. Mieściło się w okazałym dwupiętrowym budynku, usytuowanym niedaleko Rynku, w drugiej części miasta. Ja miałem więc możliwość kontynuowania nauki. Zgłosiłem się bez zwłoki i po krótkich sprawdzających egzaminach wstępnych, zostałem uczniem ostatniej czwartej klasy gimnazjalnej.

Gimnazjum czynne było już od ok. miesiąca, uruchomione więc zostało w bardzo krótkim czasie kilku tygodni po zajęciu miasta w styczniowej ofensywie przez Armię Czerwoną i przywróceniu polskiej władzy. Była pełna, wspaniała, kompetentna obsada profesorska. Klasa była oczywiście koedukacyjna, liczyła 36 uczniów, w tym jednakże tylko 8 dziewczyn. Byłem jednym z najmłodszych w klasie.

Pewne kłopoty sprawiały mi niektóre przedmioty, co było związane z przerwą w systematycznym przerabianiu materiału wg obowiązującego programu. Oczywiście starałem się usilnie, aby braki te jak najszybciej nadrobić. Nowym zupełnie przedmiotem była dla mnie łacina. Bodaj już w następnym roku nauka łaciny została w Polsce wyeliminowana z programów nauczania wszystkich szkół, za wyjątkiem medycznych. Uważam, w oparciu o swe krótkie doświadczenie w kępińskim gimnazjum, że nie byłoby źle, gdyby język ten był nauczany jednak w szkołach średnich, przynajmniej przez jeden semestr. Jest on oczywiście martwy, ale jego elementy, zwroty, poszczególne wyrazy, nazwy, przysłowia, tkwią głęboko w języku polskim, w jakimś stopniu wywodzącym się z języka łacińskiego. Przynajmniej na poziomie odczytywania pisma, poznania często stosowanych słów, powiedzeń, sentencji itd.

Po około dwóch tygodniach mieszkaliśmy w 3-izbowym mieszkaniu we własnym domu i matka oraz siostra zabrały się do jego urządzania. Nie mieliśmy wtedy absolutnie żadnych mebli. Siostra zaczęła też pracę zarobkową w prywatnej firmie budowlanej w Kępnie w charakterze księgowej. Zagrożenie wojenne już dla nas nie istniało. Ale to, że wojna jeszcze trwała, przypominała nam prawie co noc rozległa łuna, jaką oglądaliśmy na zachód od Kępna. To palił się Wrocław broniony przez Niemców, wbrew wszelkiej logice, jeszcze przez cały kwiecień. Otoczone i bombardowane we dnie i noce wielkie, prawie milionowe miasto zamieniało się powoli w pogorzelisko i stertę gruzów. Garnizon niemiecki poddał się dopiero 6 maja, a więc trzy dni przed kapitulacją wielkiej „tysiącletniej” Rzeszy Niemieckiej.

W kwietniu wrócił ojciec z kresów wschodnich. Przyjechał jako repatriant, w ra-

mach organizowanych przez rząd Polski Ludowej akcji przesiedleńczych Polaków, zamieszkujących tereny za Bugiem, przyłączone do ZSRR. Większość repatriantów przesiedlano na nowoodzyskane Ziemie Zachodnie Polski, ale ojciec, oczywiście, przyjechał do nas, do Kępna. Powrócił do miejsca skąd pochodził, do swej rodziny, do swego domu, zakupionego zresztą tuż przed wojną. Byliśmy znowu razem.

Był wybiedzony, miał zarost jak Mojżesz, niewielki bagaż a także wszelkie papiery repatrianckie, w tym pokwitowanie za pozostawione dom i ziemię. Krowę oraz niektóre rzeczy sprzedał, inne pozbył się bez większego żalu i sentymentu. Już nazajutrz po przyjeździe zgolił zarost swą ulubioną, wyszczerbioną brzytwą, pamiętającą czasy panowania Wilhelma II. Po niedługim czasie rozpoczął pracę na stanowisku kasjera w Urzędzie Miejskim miasta Kępna. Oczywiście o kontynuowaniu swej przedwojennej profesji nie mógł nawet marzyć. Bo, po pierwsze, granica odsunęła się o ponad 200 km na zachód, a po drugie, instytucja Straży Granicznej w ogóle nie została wówczas reaktywowana.

Rodzice zajęli się też uprawą niedużego ogródka warzywnego oraz 0,4 ha pasa ziemi ornej, ciągnącego się za działką domu. Na podwórku był jeszcze budynek gospodarczy, który mieścił stodołę, chlewnię i kurnik. W związku z tym rodzice zainteresowali się również hodowlą świnek i kur. Po pewnym czasie ojciec hodował także, z zamiłowaniem, króliki i gołębie. Tak wyglądała nowa, już trwała, powojenna stabilizacja moich rodziców. Można powiedzieć, że zakupując w 1938 r. dom w Kępnie, przesadzili w ten sposób swą egzystencję po wojnie do końca swego życia.

Pewnego słonecznego dnia majowego zaskoczyła nas palba karabinowa, dochodząca z miasta. Za chwilę znaleźmy jej przyczynę: zakończyła się II wojna światowa w Europie. Nareszcie! Odmieniła ona Polskę całkowicie. Przede wszystkim zmieniła położenie geopolityczne naszego państwa. Także w sensie dosłownym, geograficznym, gdyż nastąpiło przesunięcie naszych granic zachodnich do Odry i Nysy Łużyckiej, zaś granice wschodnie ustalone zostały na linii rzek Bugu i Sanu. Decyzje w tych sprawach zapadały na konferencjach szefów zwycięskich mocarstw koalicji USA, ZSRR i Wielkiej Brytanii kolejno w Teheranie w grudniu 1943 r., w Jalcie w lutym i w Poczdamie w sierpniu 1945 roku. Tak więc po II wojnie światowej Polska po wielu stuleciach powróciła do swych pradawnych, piastowskich rubieży.

W pierwszych dniach maja wziąłem udział, zupełnie przypadkowo, we wiecu zorganizowanym na Rynku kępińskim z okazji 1 Maja, czy też końca wojny. Z prowizorycznej, drewnianej trybuny przemawiali I sekretarz Komitetu Powiatowego PPR oraz jakiś, wyższej rangi, oficer wojska polskiego. W niedługim czasie na tegoż I sekretarza dokonany został zamach przez nieokreśloną podziemną organizację. Jednakże uzbrojeni osobnicy, którzy włamali się nocą do mieszkania, nie zastali go, gdyż traf chciał, iż na kilka godzin wcześniej zawezwany został w trybie nagłym w sprawach służbowych do Poznania. Zawiedzeni bojownicy narodowo-niepodległościowi (jak to się dziś mówi) zastrzelili więc „tylko” jego żonę i dwoje małych dzieci.

II wojna światowa skończyła się więc na frontach europejskich, ale trwała niestety w wyobrażeniach i umysłach części Polaków. To też kontynuowali ją na wewnętrznym froncie polsko-polskim, na przekór całej reszcie społeczeństwa, które zabrało się ostro do pracy, nauki i odbudowy zniszczonego kraju.

Ta wojna domowa musiała mieć oczywiście jakiś swój cel, uzasadnienie i nadzieje. Celem było odtworzenie wolnej i niepodległej Rzeczypospolitej, co najmniej w przedwojennych granicach, zamiast nieuchronnej 17. republiki sowieckiej, jaką przewidywali poniektórzy. Uzasadnieniem była obrona przed kołchozami i wspólnymi żonami, które rychło zapowiadali ci sami ludzie z pełnym przekonaniem. Zaś nadzieją była trzecia

wojna światowa, jaka lada dzień, tydzień miała wybuchnąć, aby zrealizować te piękne sarmackie marzenia.

Mieliśmy w tym czasie pewne kontakty z rodziną ojca, zamieszkującą we wsiach Kuźnica Bobrowska i Bobrowniki w sąsiednim powiecie ostrzeszowskim. Wszyscy wysiedleni przez Niemców bracia i siostry mego ojca powrócili już na swe przedwojenne gospodarstwa rolnicze. W tych okolicach również nie było żadnych zniszczeń wojennych i stały się one szybko poważnym dostawcą wszelakich produktów żywnościowych, głównie na Śląsk, a także do Wrocławia.

Ja również kilka razy jeździłem pociągiem lub rowerem do swych wujów po masło, miód, jaja i inne delikatesy. A raz wiozłem od wuja „spod boru” kilka flaszek bimbru, przy którego produkcji częściowo zresztą asystowałem. W połowie drogi „nadziałem się” jednakże na patrol milicyjny, który skontrolował mój trefny bagaż. Oczywiście skonfiskowano mi ten delikatesowy bimber i spisano odpowiedni protokół. Zaś po kilku tygodniach zawieszony zostałem na kolegium karne do Powiatowego Sądu w Ostrowie Wielkopolskim. Rozprawa była bardzo krótka i nawet całkiem sympatyczna, choć bałem się bardzo jakichś poważniejszych konsekwencji. Nikt nie miał jednak najmniejszego zamiaru znęcać się nad biednym, grzecznym uczniem gimnazjalnym. Zapłaciłem nieduży mandat i pospacerowałem jeszcze potem po pięknym Rynku i centralnych ulicach Ostrowia Wlkp.

W okresie miesięcy kwiecień-lipiec przemierzałem codziennie prawie dwukilometrową drogę do gimnazjum i uczyłem się forsonnie, nadrabiając stracone lata bez nauki.



1 klasa Gimnazjum w Kępnie z gronem profesorów. Autor stoi na przedłużeniu łaski

Sam też nauczałem innych. Otóż co tydzień jeździłem na rowerze do pobliskiej wsi Domanin, gdzie uczyłem stenografii kilku nauczycieli. Młody, rzutki i ambitny dyrektor tamtejszej szkoły podstawowej, dowiedziawszy się przypadkowo, że znam stenografię, zaproponował mi odpłatne prowadzenie lekcji stenografii w jego szkole dla całego ze-

społu nauczycielskiego. Zgodziłem się i zawsze, po starannym, wcześniejszym przygotowaniu lekcji, uczyłem tego zawijasowego pisma. Było to pierwsze, ale bynajmniej nie ostatnie spożytkowanie mej egzotycznej umiejętności posługiwania się stenografią.

Dnia 30 lipca 1945 r. otrzymałem świadectwo ukończenia Państwowego Gimnazjum Koedukacyjnego w Kępnie, czyli tak zwaną małą maturę. Oceny na świadectwie nie były tak gładkie jak ongiś, otrzymałem 3 dostateczne, 2 dobre i 6 stopni bardzo dobrych. Ale było to jakby odbicie się od dna. Miałem niespełna 19 lat oraz właściwie tylko dwuletnie opóźnienie w nauce, spowodowane prawie sześcioma latami wojny.

Moim zamiarem i ambicją rodziców było, abym dalej się uczył i ukończył jakieś studia wyższe. Lecz tymczasem należało uzyskać średnie wykształcenie na poziomie licealnym. Licea normalnie były wtedy dwuletnie, jednakże tuż po wojnie w wielu większych miastach skracano program licealny do jednego roku. Chodziło oczywiście o nadrobienie opóźnień, spowodowanych brakiem nauczania na poziomie szkoły średniej podczas okupacji niemieckiej.

Dyrektor gimnazjum w Kępnie nie zdecydował się jednak na wprowadzenie skróconego kursu licealnego. W tej sytuacji większość absolwentów czwartej klasy gimnazjalnej w Kępnie zaczęła poszukiwać możliwości dalszej nauki w Poznaniu lub we Wrocławiu, gdzie takie kursy organizowano. Pojechałem i ja również do Wrocławia z kilkoma kolegami w pierwszych dniach sierpnia na rekonesans.

Pociąg nie dojeżdżał wtedy jeszcze do centrum miasta, lecz jedynie do przedmieścia Psie Pole i zatrzymywał się przed uszkodzonym mostem na Odrze. Dalej musieliśmy iść na piechotę przez pobliski most drogowy. Ten most kolejowy naprawiony został dopiero w październiku.

RUINY WROCŁAWIA

**Pionier * Sprzedaż kielbasy * Szaberplac * I Gimnazjum i Liceum *
Wyprawa do Gryfowa**

Wrocław w 3 miesiące po zakończeniu działań wojennych w mieście sprawiał przygnębiające wrażenie. Miasto było potwornie zniszczone. Nie zauważyłem ani jednego budynku, który by nie miał śladów zniszczeń. W najlepszym wypadku, zwłaszcza na peryferiach, domy pozbawione były tylko oszklenia i dachówek na dachach. Śródmiejskie dzielnice, w większości całkowicie zniszczone i niezamieszkałe, straszyły zwałowiskami gruzów i kikutami domów, spalonych przez katusze i bombardowania lotnicze.



Ruiny Wrocławia 1945 r.

Ocalała tylko w jakichś 50-60 procentach dzielnica mieszkaniowa „Nadodrze” przy dworcu kolejowym „Wrocław Odra”, który zresztą wkrótce też nazwano „Nadodrze”. Tam też zamieszkiwała większość z pośród około 150 tys. Niemców, pozostałych w mieście i tych, którzy zdążyli powrócić z południowych terenów Dolnego Śląska, gdzie byli ewakuowani przed oblężeniem Wrocławia. Było już wtedy we Wrocławiu też prawie 10 tys. Polaków, przybyłych głównie z województwa poznańskiego i repatriantów zza Sanu. Ponieważ wkrótce, jeszcze w sierpniu, dokonałem odpowiednich czynności meldunkowych - więc zmieściłem się w tej grupie pierwszych dziesięciu tysięcy pionierów Polaków, którzy zamieszkali we Wrocławiu.

Wraz z moimi kolegami z Kępna mieliśmy dwie możliwości kontynuowania nauki. Pierwsza, to zapisanie się na rok zerowy Politechniki Wrocławskiej, a druga to nauka w Liceum Ogólnokształcącym, jakie powstawało przy ulicy Bismarckstrasse.

Rejon przyszłej Politechniki Wrocławskiej i Klinik Uniwersyteckich przy ulicy Curie-Skłodowskiej był poważnie zniszczony. Dopiero zaczynały się tam jakieś roboty remontowe, polegające głównie na łataniu ceramicznych dachów i szkleniu okien, gdzie to tylko było możliwe. Obiektów pilnowała, uzbrojona w karabiny, straż złożona z przyszłych studentów. Mieszkali oni tymczasowo w salach klinicznych, gdzie spali pokotem na podłogach. Mogliśmy być jednymi z nich. Lecz nie zdecydowaliśmy się na zerowy rok studiów, gdyż nie wiadomo było właściwie, jaki będzie program nauczania i czy zakończy się on maturą.

Poza tym Wrocławski Uniwersytet i Politechnika (nie było wtedy właściwie jeszcze oficjalnie mowy o odrębnej Politechnice) był dopiero w stadium organizacyjnym i termin rozpoczęcia nauki nie był jeszcze znany. Faktycznie inauguracja wykładów na uczelni miała miejsce dopiero 15 listopada 1945 roku.

Wybraliśmy więc wariant Liceum przy Bismarckstrasse (późniejsza ul. Księcia Józefa Poniatowskiego). Dyrektor, organizujący liceum, ucieszył się bardzo, że przybyła mu grupa siedmiu, a wkrótce prawie dwudziestu świeżych absolwentów gimnazjalnych z Kępna. Bowiem w kolejnych tygodniach dołączali do naszej pionierskiej grupy dalsi nasi koledzy i koleżanki. Z wieloma się serdecznie przyjaźniłem, należeli do nich: W. Antkowiak, J. Hendrysiak, St. Kurzawa, B. Kaczmarek, Z. Łagodziński, E. Noculak, E.

Nycz i T. Rajski.

Wraz z kolegami, Tadeuszem Rajskim i Bronisławem Kaczmarkiem, wynajęliśmy dwa pokoje w mieszkaniu autochtonki Polki przy ul. Piastowskiej 28, niedaleko Placu Grunwaldzkiego. Do nowego roku szkolnego było jeszcze kilka tygodni.

Tymczasem zacząłem krążyć między Wrocławiem i Kępem w celach handlowych. Mianowicie woziłem kielbasę na sprzedaż w sklepach spożywczych we Wrocławiu. Zaopatrywałem się w świeżą kielbasę raniutko u rzeźnika w Bralinie, niedużej miejscowości, odległej ok. 6 kilometrów od Kępna. Przywoziłem rowerem zwykle walizę kielbasy, to jest prawie 20 kilogramów. Tego samego dnia jechałem z tą walizą pociągiem do Wrocławia. Nie było wtedy normalnych rozkładów jazdy. Czekano się więc niekiedy dość długo na stacji i jechało pierwszym pociągiem wprost przez Oleśnicę, dłuższą trasą przez Namysłów, lub nawet okrężną drogą przez Kluczbork. Bywało, że na stopniach wagonu, albo zgola na dachu. Ale tak się wtedy jeździło.

We Wrocławiu obchodziłem kilka sklepów na pobliskich ulicach. Były to zwykłe małe sklepiki, funkcjonujące prowizorycznie w parterach zrujnowanych budynków, zaś prowadzone były przez Niemców. Zaczynałem więc zawsze od pytania „Kaufen Sie Wurst?”.

Podczas jednej z takich wypraw, przesiadając się w Oleśnicy na pociąg do Wrocławia, kupiłem na peronie gazetę od chłopaka wykrzykującego: „Amerykanie zrzucili bombę atomową na Japonię”. Duża sprawa, hekatomba ofiar w Hiroszimie i nieprzewidywalne skutki polityczno-wojskowe na przyszłość. Wkrótce skończyła się również wojna w Azji. Trwała 14 lat, jeśli liczyć od napaści Japonii na Mandżurię w 1931 r.

We Wrocławiu funkcjonowało wówczas wielkie „centrum handlowe” na Placu Grunwaldzkim, nazywane przez wszystkich szaberplacem. Plac ten w ogóle powstał dopiero w trakcie oblężenia miasta w wyniku wyburzenia wielokondygnacyjnej zabudowy kilku ulic pomiędzy mostami Grunwaldzkim i Szczytnickim. Potrzebny był na urządzenie lotniska do ewakuacji dygnitarzy hitlerowskich i sztabów wojskowych. Podobno zdążył wystartować tylko jeden samolot. Przy budowie lotniska zginęło za to ponoć około 10 tysięcy ludzi od ostrzału artyleryjskiego i bombardowań z powietrza.

Na szaberplacu dokonywała się żywiolowa wymiana przeważnie towarów żywnościowych, przywożonych przez Polaków, na oferowane przez Niemców porcelanę, szkło, zastawy stołowe, sprzęt sportowy, muzyczny, elektrotechniczny, obrazy, dywany, odzież, zabawki itp. Wszystkie te transakcje odbywały się w warunkach bardzo prymitywnych, na gruzach, w błocie i kurzu, częściowo w prowizorycznych, drewnianych budach.

Targowisko było też rajem dla wszelkiego rodzaju cwaniaków, oszustów i złodziei. Też byłem ofiarą kilku zmówionych cwaniaczków, którzy wyludzili ode mnie 500 złotych, pozorując zakład, a po fakcie rozplynęli się jak we mgle. Mimo „nalotów” milicji interes kwitł chyba ponad dwa lata.

W okresie 2-3 lat po wojnie bardzo dużą karierę zrobiło słowo „szaber”. Określano tak przywłaszczanie sobie przez Polaków porzuconego mienia niemieckiego i wywożenie go następnie do swego miejsca zamieszkania. Na takie grabieże na Ziemię Zachodnie wybierały się z terenów dawnego pogranicza, a nawet z centrum kraju, pojedynczo lub grupowo, tysiące rodaków, żądnych łatwych łupów i wzbogacenia się. Dlatego też Ziemię Zachodnie często potocznie nazywano wówczas „Dzikim Zachodem”.

Ten masowy szaber wiązał się oczywiście z wielu nadużyciami, wręcz bezprawiem, gdzie poszkodowanymi byli przede wszystkim ludność niemiecka, ale często także państwo polskie, które formalnie przejmowało poniemieckie zakłady przemysłowe, obiekty użyteczności publicznej, uczelnie, urzędy.

Stąd, oprócz szybkiego organizowania posterunków Milicji Obywatelskiej, dla ochrony różnych obiektów tworzono lokalne oddziały strażnicze. Tak było np. w przypadku wyższych uczelni wrocławskich, których pilnowali uzbrojeni, przyszli studenci. Często przejmowanie i zabezpieczanie różnych zakładów i obiektów miało formy zorganizowane i było wcześniej przygotowane w głębi kraju. Tak stało się właśnie w przypadku uczelni i przedsiębiorstw komunalnych Wrocławia, jakie zostały przejęte przez grupy operacyjne, sformowane wcześniej w Krakowie przez znanego działacza socjalistycznego Bolesława Drobnera, który później był wojewodą wrocławskim.

Publiczna komunikacja we Wrocławiu dopiero raczkowała. Pierwsza linia tramwajowa od dworca Nadodrze wzdłuż ulicy Nowowiejskiej do ul. Piastowskiej uruchomiona została dopiero w sierpniu. Jechałem krótki odcinek na stopniach pierwszego tramwaju, ozdobionego zielenią i kwiatami, przy dźwiękach orkiestry dętej, usadowionej w środku wozu. Mniej więcej w tym samym czasie dotarł na ul. Piastowską prąd z elektrowni miejskiej, zaś nieco później gaz. Tak więc w wynajmowanym pokoiku świece parafinowe mogliśmy zastąpić żarówkami elektrycznymi.

Inauguracja roku szkolnego rozpoczęła się we wrześniu z pewnym opóźnieniem. Uczniowie I Gimnazjum i Liceum we Wrocławiu pomaszzerowali na uroczyste nabożeństwo do jedynego ocalałego kościoła przy dworcu Nadodrze. Szliśmy paradnie i dumni, jako uczniowie pierwszej średniej szkoły polskiej w polskim Wrocławiu. Wcale nas tak dużo nie było, gdyż klasy nie miały wtedy jeszcze pełnych stanów. Nabór nowych uczniów trwał potem jeszcze do grudnia, tak że na przykład, z naszej pierwszej klasy, liczącej w dniu inauguracji roku szkolnego 20 osób, powstały do końca roku dwie po 40 uczniów.

I znów zaczęła się forsowna nauka. Trzeba było w cztery miesiące przerobić cały roczny program. Mieszkalem niezbyt daleko od liceum, więc na lekcje chodziłem na piechotę.

Zajmowałem ze swym kolegą Tadeuszem jeden pokój z możliwością korzystania z kuchni i łazienki, które użytkowała przede wszystkim właścicielka mieszkania. Uczęszczaliśmy obaj do tej samej klasy, uczyliśmy się tego samego, ale w zupełnie innym rytmie. Ja przed północą kładłem się spać, z kuchni korzystałem minimalnie, w łazience zachowywałem się cicho. Mój kolega miał zupełnie inny charakter i był typowym „nocnym Markiem”. Uczył się często do rana i zachowywał się hałaśliwie, niezależnie od pory dnia. Potrafił nawet w nocy grywać na pianinie, które stało w przedpokoju. Mnie to nie przeszkadzało, bo zawsze twardo spałem, ale biedna właścicielka nie mogła często zasnąć i nieraz potem skarżyła się na mego współlokatora.

Oczywiście przez prawie cały czas nauki trudniłem się sprzedażą kielbasy. Trzeba było przecieżyć z czegoś żyć. Jednakże do Kępna jeździłem już tylko jeden raz w tygodniu, w soboty. Oprócz walizy kielbasy na sprzedaż, przywoziłem też różne inne wiktuały z gospodarstwa rodziców do własnej konsumpcji. Ale, po prawdzie, to kielbasa była dla mnie wtedy podstawowym pożywieniem.

Uczyliśmy się w oparciu o stare przedwojenne podręczniki, gdyż nowych wydawnictw jeszcze nie było. Ponieważ i tych starych było bardzo niewiele, więc wykłady niektórych przedmiotów odbywały się metodą dyktanda. I tu drugie istotne zastosowanie znajomości przeze mnie stenografii. Po prostu notatki z tych wykładów pisałem szybko i dokładnie pismem stenograficznym. Nie mieliśmy też zeszytów. Do robienia notatek korzystaliśmy głównie z różnego rodzaju makulatury poniemieckiej, zadrukowanej czy zapisanej tylko jednostronnie. Ja, między innymi, miałem takie właśnie księgi finansowe, jakie znalazłem gdzieś w ruinach.

Ale raz udało mi się zdobyć całą walizę czystego, kratkowanego papieru w arku-

szach formatu A-4. Nabyłem go za kielbasę w małym sklepiku z materiałami piśmieniowymi przy ul. Mōwenweg (późniejsza Partyzantów) na osiedlu Sępolno. Dotarłem tam wśród ruin po godzinnej wędrówce na piechotę. Właściciel sklepiku był Niemcem, wiódł mu się przechować jakiś zapas materiałów piśmiennych przez okres oblężenia miasta. Większość arkuszy odsprzedałem kolegom szkolnym, oczywiście z pewnym zyskiem.

Powoli zmieniał się krajobraz miasta. Kończono oczyszczanie a gruzu głównych ulic, zaś we wszystkich budynkach, nadających się do niedużego remontu, łatano dachy i szklono lub zabezpieczano okna dyktą. Znakomitą większość tych prac wykonywała ludność niemiecka w zorganizowanych grupach. Były to w większości kobiety oraz starsi, a raczej starzy mężczyźni. Wszyscy nosili białe opaski na lewym ramieniu. Młodzież oraz mężczyźni średnich roczników służyli wcześniej w armii i znajdowali się aktualnie jeszcze w obozach jenieckich.

Jesienną porą, wybrałem się do Gryfowa Śląskiego, leżącego na zachód od Jeleniej Góry. Zamieszkali tam moi dwaj wujowie po repatriacji z rodzinnych Monasterzysk i zapraszali listownie do odwiedzenia ich.

Zamierzałem jechać przez Legnicę i tam przesiąść się na jakiś lokalny pociąg w kierunku Gryfina Śląskiego, bo tak wówczas nazywano Gryfów. Na stosowny pociąg czekałem już na Dworcu Głównym, który akurat uruchomiono. Po kilkugodzinym oczekiwaniu, zabrałem się z tłumkiem, takich jak ja pasażerów, pociągiem towarowym. Jechaliśmy otwartym wagonem, zbici w gromadkę na środku, ponieważ bez przerwy śąpił deszcz, a ściany wagonu były czarne od pyłu węglowego.

O zmroku pociąg dowiółk się do Legnicy, po czym, po dłuższej chwili, oznajmiono pasażerom, że dalej nie pojedziemy, gdyż w wyniku ciągłych deszczów uległ uszkodzeniu prowizoryczny most kolejowy na Kaczawie. Zmoknięty, samotnie wybrałem się do miasta, które, podobnie jak Wrocław, było doszczętnie zburzone. Znalazłem jednakże jakiś hotel, podobno jedyny ocalały w mieście, i przespąłem się, wraz z pluskami, na pluszowej kanapie.

Rano ze swoją walizeczką udałem się za miasto na autostradę, ażeby skorzystać z powszechnego wówczas autostopu. Przyłączyłem się do grupki czekających już tam amatorów jazdy do Wrocławia. Dalszą podróż do Gryfina oceniłem bowiem jako nierealną. Zabrał nas ZIS wojskowy. Pierwszy raz w życiu jechałem z prędkością ponad 100 km na godzinę, trzymając się mocno ławki, żeby nie „sfrunąć” na szosę. W połowie drogi kierowca wyszedł z szoferki i pozbierał do swej furazjerki od pasażerów pieniądze za przejazd. Mieliśmy je już przygotowane i odliczone, gdyż wszyscy zorientowani byliśmy o obowiązującej, acz nieformalnej taryfie. Można było zresztą płacić również papierosami lub bimbrem. Czerwoarmista zagrał też z kilku pasażerami w popularne „machniom?”. Gra-zabawa polegała na tym, że grający trzymali w dłoni, albo za plecami, jakieś dowolne, często przypadkowe rzeczy, które, na dany znak, wymieniali między sobą. W ten sposób można było wymienić się na jakiś niewiele wart drobiazg, ale można też było za kanapkę, lusterko, czy łańcuszek wygrać trofiejny zegarek lub koleję bursztynową.

Zatrzymaliśmy się daleko przed rogatkami Wrocławia, gdzie rosyjska żandarmeria wojskowa kontrolowała przejeżdżające samochody. Wożenie przygodnych cywilnych podróżnych wojskowymi samochodami było oczywiście niedozwolone, co nie przeszkadzało zresztą, że proceder ten stosowany był powszechnie.

Za kilka dni ponowiłem próbę dotarcia do Gryfina. Tym razem jechałem na dachu normalnego wagonu pasażerskiego pociągiem osobowym z Dworca Świebodzkiego. Na swej trasie pociąg przejeżdżał pod licznymi wiaduktami i mostami. Przygodny sąsiad

dachowy powiedział mi, że dzień wcześniej na jednym z tych wiaduktów zabity został jakiś młody człowiek, stojący lekkomyślnie na dachu wagonu kolejowego.

W Jeleniej Górze jadący dalej pasażerowie musieli przemaszerować kilka kilometrów do innego pociągu, gdyż na trasie trwała odbudowa dużego mostu kamiennego, wysadzonego wcześniej przez Niemców. Przed kapitulacją zdążyli też oni ściąć wszystkie stalowe słupy trakcji elektrycznej na całej trasie kolejowej od Wrocławia do Jeleniej Góry. Ponowna elektryfikacja tej linii zrealizowana została później dopiero po kilkunastu latach.

Gryfin był cały, podobnie jak Jelenia Góra, Wałbrzych, Świeradów i wszystkie miasteczka Pogórza Sudetów, które Armia Czerwona zajęła już po kapitulacji Rzeszy. Moi wujkowie zdążyli się świetnie urządzić. Henryk, zgodnie ze swą profesją, prowadził zakład masarski, natomiast Zbyszek miał maleńki sklepik spożywczy. Tuż obok była czynna nieduża drukarnia, którą zaprezentował mi gościnny właściciel, Niemiec. Ponieważ miał on duże zapasy papieru, wpadłem na pomysł wykonania zeszytów dla mojej klasy. Kupiłem więc kilkaset arkuszy papieru kratkowanego, z jakiego, po przycięciu na format A-4, zostało wykonanych sto dużych zeszytów. Na kolorowych okładkach kazałem wydrukować wielkimi literami napis: „I GIMNAZJUM I LICEUM WE WROCŁAWIU”. Przy składaniu czcionek, oraz pracach przy gilotynie i na linotypie, sam pomagałem właścicielowi zakładu. Zeszyty te zabrałem w walizie do Wrocławia i sprzedałem potem w kilku klasach.



Gryfów, Stan obecny

Z nastaniem chłódów siedzieliśmy w szkolnych ławkach ubrani w płaszcze, bo ekipa remontowa, złożona ze starych Niemców, nie nadążała ze szkleniem okien. Zresztą chyba brak było też samych szyb, gdyż część otworów okiennych zatykano dyktą czy tekturą.

Nie mam specjalnych wspomnień, jeśli chodzi o naukę. Pamiętam jedynie, że raz z klasówki z polskiego dostałem obniżoną notę za napisanie łącznie przysłowka „przede wszystkim”. Od tego czasu wyczulony jestem na ortografię i staram się zawsze pisać poprawnie.

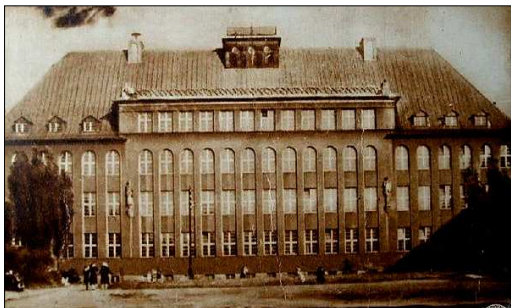
Program pierwszej licealnej został zrealizowany do końca stycznia. W dniu 30 stycznia 1946 r. otrzymałem świadectwo jej ukończenia w Państwowym Gimnazjum i Liceum we Wrocławiu i promocję do klasy drugiej. Po krótkiej lutowej przerwie wakacyjnej czekała mnie kontynuacja nauki w drugiej klasie licealnej we Wrocławiu. Ale stało się inaczej.

DYMIĄCY WAŁBRZYCH

Skrócony kurs licealny * Internat dla trzech uczniów * Matura eksternistyczna

Mój współlokator Tadek od pewnego czasu jeździł do Wałbrzycha w celach handlowych. Tam dowiedział się przy okazji, iż przy istniejącym już polskim liceum, funkcjonuje niepełnoroczny kurs dwóch klas licealnych dla zaawansowanych. Obejmował tylko 12 uczniów, wszyscy starsi, pracujący, którzy już przed wojną uczęszczali do szkoły średniej. I oto dyrektor zgodził się na propozycję Tadeka na warunkowe przyjęcie na ten kurs, będący praktycznie na finiszu, kilku nowych uczniów. Pojechało nas trzech, zgranych Kępniaków, absolwentów gimnazjum w Kępnie i pierwszej klasy liceum we Wrocławiu. Tym trzecim był Bronek.

Warunki były bardzo ostre: dobre ostatnie świadectwa, kontrolne wstępne egzaminy w ciągu pierwszych dni nauki i eksternistyczne egzaminy maturalne. Warunki oczywiście przyjęliśmy, bez zbędnej zwłoki zameldowaliśmy się na pobyt tymczasowy we Wałbrzychu i zabraliśmy się pilnie do nauki.



Gimnazjum i Liceum im. B. Limanowskiego

Sprawowali oni bezpośredni nadzór nad kopalniami, elektrowniami, hutą szkła i innymi większymi zakładami przemysłowymi, w których pracowały dotychczasowe załogi niemieckie. Polaków było bardzo mało, zaś ludności niemieckiej znacznie więcej, niż miasto liczyło przed wojną, a to na skutek przebywania w tym rejonie ludności ewakuowanej z bombardowanych miast, w tym głównie z Wrocławia.

Właśnie nasiłała się wielka akcja przesiedleńcza 3,5 miliona Niemców do radzieckiej i brytyjskiej strefy okupacyjnych, zgodnie z Umową Poczdamską z 2 VIII 1945 r. Dopiero w trakcie tej akcji dokonana się stopniowa wymiana ludności niemieckiej na polską.

Równolegle tworzone były polskie dyrekcje wszelkich zakładów przemysłowych i komunalnych, jakie przejmowane były następnie sukcesywnie, w pełnym ruchu, z rąk rosyjskich zarządów wojskowych. Najdłużej, bo bodaj przez trzy lata, Rosjanie utrzymywali swe kierownictwo nad kopalniami węgla. Wydobytu węgiel, a także częściowo produkcja innych zakładów przemysłowych, przez nich zarządzanych w Wałbrzychu, zaliczane były w poczet niemieckich reperacji wojennych dla ZSRR. Podobnie pojechały na wschód elektrowozy ze zniszczonej zelektryfikowanej magistrali kolejowej Wrocław - Jelenia Góra.

Wałbrzych po Wrocławiu jawił mi się jako mityczne Eldorado. Ponad 100-tysięczne miasto, czyste, piękne, ludne, bez jakichkolwiek zniszczeń wojennych. Wspaniałe, dymiące kominy licznych kopalń węgla kamiennego, koksowni, huty szkła, wytwórni porcelany i tuzina innych fabryk. Normalnie kursujące tramwaje, wszystkie budynki ogrzewane, mnóstwo sklepów, zakładów rzemieślniczych, restauracji.

Zakwaterowaliśmy tymczasowo w hoteliku miejskim. W przeciwieństwie do Wrocławia, w mieście było dużo wojskowych radzieckich.

Właśnie nasiłała się wielka akcja przesiedleńcza 3,5 miliona Niemców do radzieckiej i brytyjskiej strefy okupacyjnych, zgodnie z Umową Poczdamską z 2 VIII 1945 r. Dopiero w trakcie tej akcji dokonana się stopniowa wymiana ludności niemieckiej na polską.

Właśnie nasiłała się wielka akcja przesiedleńcza 3,5 miliona Niemców do radzieckiej i brytyjskiej strefy okupacyjnych, zgodnie z Umową Poczdamską z 2 VIII 1945 r. Dopiero w trakcie tej akcji dokonana się stopniowa wymiana ludności niemieckiej na polską.

Równolegle tworzone były polskie dyrekcje wszelkich zakładów przemysłowych i komunalnych, jakie przejmowane były następnie sukcesywnie, w pełnym ruchu, z rąk rosyjskich zarządów wojskowych. Najdłużej, bo bodaj przez trzy lata, Rosjanie utrzymywali swe kierownictwo nad kopalniami węgla. Wydobytu węgiel, a także częściowo produkcja innych zakładów przemysłowych, przez nich zarządzanych w Wałbrzychu, zaliczane były w poczet niemieckich reperacji wojennych dla ZSRR. Podobnie pojechały na wschód elektrowozy ze zniszczonej zelektryfikowanej magistrali kolejowej Wrocław - Jelenia Góra.

Po 2-3 dniach od rozpoczęcia nauki zamieszkaliśmy w trójkę w dwóch pokojach, wynajętych w mieszkaniu niemieckiej rodziny. Było taniej niż w hotelu oraz bliżej naszej szkoły. Za to dochodziło do ostrych kłótni pomiędzy Tadkiem, który zresztą tę naszą kwatę zorganizował, a bodaj synem właściciela mieszkania. Niemiec negocjował prawa Polski do Wałbrzycha i wygrażał, że Niemcy jeszcze wrócą. Nie było to sympatyczne i bezpieczne. Podejrzewaliśmy nawet, iż może on być członkiem Wehrwolu – tajnej organizacji niemieckiej, prowadzącej w tym czasie działalność sabotażową i dywersyjną na polskich Ziemiach Zachodnich.

Nie pamiętam już, w jaki sposób udało nam się wówczas zwiedzić kilka obiektów przemysłowych w większej zorganizowanej grupie. W szczególności zwiedziliśmy jedną z kopalń węgla kamiennego i hutę szkła. W kopalni zjechaliśmy windą, w kaskach na głowach, na poziom wydobywczy i odbyliśmy krótką wędrowkę po kopalnianym chodniku. W hucie szkła podziwialiśmy ogromne hale i wielkie urządzenia do odlewania szyb.

Wkrótce o nasze zakwaterowanie zadbała dyrekcja Liceum. Utworzony został pierwszy polski internat szkolny w mieście, na który przeznaczono trzypiętrowy budynek mieszkalny u zbiegu dwóch śródmiejskich ulic, liczący bodaj 12 mieszkań wielopokojowych. Zamieszkaliśmy w tym budynku w trójkę, czwartą osobą był stróż na parterze.

Po wysiedlonych rodzinach niemieckich pozostało bardzo dużo mebli, wszelkich sprzętów, wyposażenia, naczyń, pościel itp. Mieliśmy to wszystko do naszej dyspozycji, ale spaliliśmy i mieszkaliśmy praktycznie tylko w jednym większym mieszkaniu na pierwszym piętrze. Natomiast uczyliśmy się w trzech różnych mieszkaniach, aby sobie wzajemnie nie przeszkadzać przy głośnym powtarzaniu lekcji. Budynek miał centralne ogrzewanie i, mimo zewnętrznych mrozów, w pokojach było ciepłutko.

Internat dla nas był bezpłatny, zaś niewiele płaciliśmy za obiady w stołówce nauczycielskiej, do której uczęszczaliśmy. W sumie mieliśmy warunki do nauki wprost fantastyczne.

W klasie było wraz z nami 15 uczniów. Trzymaliśmy się odrębnie od pozostałej dwunastki. Oni, bywało, opuszczali lekcje, mieli bowiem swoje rodzinne problemy i kłopoty. My nie mieliśmy żadnych problemów i nie opuściliśmy ani godziny. Poza nauką nic dla nas nie istniało. Nic więc dziwnego, że zdaliśmy te wstępne, kontrolne egzaminy, szybko uzupełniliśmy zaległości, a pod koniec kursu zaczęliśmy się prezentować jako najlepsi w klasie.

Polegało to także na pewnej manipulacji, jaką konsekwentnie realizowaliśmy. Obaj moi koledzy byli Poznaniakami i mówili świetnie po niemiecku, ja raczej słabo. To też na lekcjach języka niemieckiego oni siadali z przodu, ja za nimi. Profesorowie mieli zwyczaj przepytywać oddzielnie naszą trójkę i pytali nas oczywiście kolejno. Po płynnej wypowiedzi Tadka, Bronek odpowiadał znacznie krócej, zaś mnie pani profesor przerywała już po dwóch zdaniach. No i wszyscy dostawaliśmy ocenę bardzo dobrą.

Na lekcjach matematyki ja siadałem pierwszy, zgłaszałem się ochoczo do odpowiedzi i do tablicy. Drugim był Bronek, a trzecim Tadek, który z matematyką miewał kłopoty. Na lekcjach języka polskiego natomiast zawsze pierwszy siadał Bronek, który się pięknie wysławiał, został zresztą później posłem na Sejm. I tak na wszystkich lekcjach.

Mieliśmy świetnych profesorów, przeważali mężczyźni. Wykazywali duże zaangażowanie w nauczaniu. Zapewne grał tu pewną rolę czynnik patriotyzmu. Polskie Państwowe Liceum im. Bolesława Limanowskiego w Wałbrzychu stanowiło wtedy liczącą się wyspę polskości w morzu niemieczyny.

Z drugiej strony sporym ułatwieniem dla uczących było to, że klasa liczyła tylko 15 uczniów, co umożliwiało bezpośredni kontakt nauczyciela z wszystkimi uczniami na

każdej prawie lekcji. O zaangażowaniu profesorów może świadczyć fakt, że w czasie choroby biolożki, proszeni byliśmy do niej do domu, gdzie w pokoju, w którym leżała, odbywały się normalne lekcje.

Wreszcie po 2,5 miesiącach tej szaleńczej nauki po kilkanaście godzin dziennie, przystąpiliśmy w trójkę do eksternistycznych egzaminów maturalnych.

W jednym dniu napisaliśmy zadania maturalne z czterech przedmiotów, zaś w drugim, od wczesnego rana, zdawaliśmy ustne egzaminy z 10 przedmiotów. Oczywiście do egzaminów pisemnych mieliśmy przygotowane ściagi na długich, wąskich karteluszka, złożonych w harmonijki, które ukryliśmy w lewych rękawach. Moja ściągaczka do polskiego zapisana była drobnym maczkiem hieroglifami stenograficznymi, mieściła więc 4-5 razy więcej tekstu, niż gdyby była napisana zwykłym piśmem. Nie mieliśmy jednakże warunków do korzystania z nich, gdyż komisja egzaminacyjna liczyła 9 osób i na salach, gdzie zdawaliśmy pisemne czy ustne egzaminy, było zwykle więcej profesorów niż nas, eksternistów.



Późno po południu zawezwano nas do pomieszczenia, w którym obradowała komisja, i dowiedzieliśmy się, jakie otrzymaliśmy stopnie. Dyrektor gratulował nam bardzo dobrych wyników i wypytywał o plany na przyszłość. Ja miałem zdecydowanie najlepsze oceny na kursie z pośród 12. osób, które uzyskały maturę. Otrzymałem 4 stopnie dobre i 7 stopni bardzo dobrych.

Już krótko przed zmrokiem wyszliśmy w trójkę po raz pierwszy poza miasto. Dopiero wówczas zauważyłem, że jest wiosna i piękna, soczysta zieleń dookoła. Był piątek 12 kwietnia

Świadectwo maturalne

1946 roku. Bronek proponował pójść do jakiejś restauracji, ale byliśmy jeszcze oszołomieni egzaminacyjnym maratonem i wróciliśmy do naszego internatu, aby się wreszcie solidnie wyspać.

Nazajutrz kupiłem gazetę, chyba było to wrocławskie „Słowo Polskie”. Na pierwszej stronie, po prawej u góry, niewielki artykuł zatytułowany dużymi literami: „PIERWSZA MATURA NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH”. Króciutki opis i 12 nazwisk absolwentów, w tym naszej kępińskiej trójki.

My już pakowaliśmy swe nieliczne rzeczy, wymeldowaliśmy się w Wałbrzychu i najbliższym pociągiem przez Wrocław pojechalśmy do swych rodzin do Kępna na Święta Wielkanocne, które w tym roku były stosunkowo późno.

Myślałem wtedy, że po kilku latach, np. po skończeniu studiów, pojedę specjalnie do Wałbrzycha, aby podziękować dyrektorowi liceum za trud nauki i opiekę, roztoczoną nad naszą kępińską trójką. Żegnając nas, był on wyraźnie wzruszony, czego nawet nie skrywał. Dla niego ta pierwsza polska matura w dotychczas niemieckim Wałbrzychu była zapewne dużym emocjonalnym i patriotycznym przeżyciem. Ale potem zawsze brakowało czasu na jakąkolwiek refleksję, okazanie wdzięczności dla swych profes-

rów, przyjaciół, kolegów. Dziś tego bardzo żałuję.

Oczywiście rodzice i siostra ucieszyli się bardzo z tak szybkiego uzyskania przeze mnie dużej matury. Miałem 19 lat i tylko jeden rok zwłoki w nauce z powodu wojny.

Niestety moja siostra, mimo, że starsza ode mnie, i mimo swych ambicji, nie używała w tym okresie matury. Praktycznie zakończyła wówczas swą edukację na zawodowej szkole handlowej w Stanisławowie. Potem już cały czas pracowała zarobkowo i nie miała warunków na kontynuowanie nauki. Dopiero w pierwszych latach 60. uzupełniła swe średnie wykształcenie. W 1946 r. przeniosła się do Wrocławia i rozpoczęła pracę w słynnym „PAFAWAGU”. Zamieszkała na osiedlu Sępólno, zajmując zdewastowane mieszkanie bez drzwi i szyb w oknach. Po kilku miesiącach zmieniła zakład pracy na znacznie bliższy, angażując się w Związek Rewizyjnym Spółdzielczości, w którym przepracowała później wiele lat na stanowisku księgowej.

Rodzice wrośli na dobre w swą nową gospodarkę. Uprawiali starannie ogródek i swój skrawek pola, mieli stado kur, króliki i 2 świnki. Ojciec pracował bez zmian w Urzędzie Miejskim, jak również angażował się w działalność Związku Powstańców Śląskich i Wielkopolskich.

Rodzice mieli możliwość odmiany swej przyszłości i nawet rozważali ewentualność powrotu do statusu mieszczuchów i przeniesienia się do Wrocławia. Jeszcze w 1946 r. posiadali bardzo dużą szansę otrzymania na własność jakiegoś solidnego niemieckiego domu jednorodzinnego, jako rekompensatę za utracone mienie na Wschodzie. Ale nie zdecydowali się na ponowną przeprowadzkę, także, w jakimś stopniu, na skutek szeptanej wówczas propagandy, że niedługo będzie trzecia wojna światowa.

W szczególności specjalistą od prorokowania nowej wojny światowej był sąsiad rodziców, kolejarz, pracujący na stacji kolejowej w Kępnie. Trudnił się przetaczaniem wagonów towarowych i drobnymi kradzieżami z tychże. Ciągłe coś sprzedawał, co mu się udało wygrzebać, czy wyciągnąć z wagonów. Równocześnie regularnie ogłaszał coraz to nowe terminy wybuchu trzeciej wojny światowej pomiędzy państwami Europy Zachodniej i USA a ZSRR. Tłumaczyłem mu wielokrotnie, że nikt, po tak strasznej, dopiero co ukończonej, wojnie nie zechce rozpętywać nowej. Ale on wiedział swoje i znów ogłaszał kolejny termin na najbliższe święta, na lato, lub zimę, co mu tam przyszło do głowy. Zresztą nie on jeden. Spotykałem wówczas więcej statecznych, „prawdziwych” (jakby się to dzisiaj powiedziało) Polaków, którzy do tej „trzeciej” wprost tęsknili. Można było odnieść wrażenie, że „opóźnianie się” wymarzonej, nowej wojny światowej odczuwali jako osobiste nieszczęście, które ich frustrowało i z którym trudno im było się pogodzić. Nie potrafiłem wtedy takich samobójczych dewiacji zrozumieć.”

Matka miała po latach pretensje do ojca, iż nie przenieśli się jednak do Wrocławia. Wiązało by się to, generalnie biorąc, z poprawą ich standardu życiowego. W swoim domu w Kępnie nie mieli bowiem nawet instalacji wodociągowej. Mogli go sprzedać, co zapewne starczyłoby i na remont przyznanej willi i jeszcze zostałyby im jakiś kapitał na starcie do nowego, wielkomiejskiego, łatwiejszego rozdziału w ich życiu. Na tym, że pozostali w Kępnie, wygrały natomiast zdecydowanie ich wnuki, które później chwaliły sobie bardzo, i czynią to do dzisiaj, swe liczne pobyty u dziadków.

Po odsapnięciu w Kępnie przez kilka dni na łonie rodziny, znów wyjechałem do Wrocławia. Zamierzałem uczyć się na jakiejś wyższej uczelni wrocławskiej, chociaż nie byłem wtedy jeszcze zdecydowany na jakim kierunku. Do nowego roku akademickiego pozostawało wszakże prawie sześć miesięcy, więc wpierw chciałem poszukać sobie jakiejś odpowiadającej mi pracy.

WROCLAW SIĘ ZMIENIA

Ewakuacja Niemców * Sępólno * Pochód 1-Majowy * Biuro Planu Wrocławia * Stenogram Zjazdu Architektów RP

W kwietniu 1946 r. trwała jeszcze, rozpoczęta w październiku 1945 r., akcja przesiedlania ludności niemieckiej z Wrocławia do radzieckiej i brytyjskiej stref okupacyjnych. Fakt ten stwierdziłem w czasie przejazdu do Kępna przez Wrocław po maturze w Wałbrzychu. Przesiadaliśmy się wówczas z Dworca Świebodzkiego na „Nadodrze”. Bowiem właśnie z Dworca Świebodzkiego odjeżdżały pociągi ewakuacyjne z przesiedleńcami. Widziałem taki załadunek ludności niemieckiej do podstawionego pociągu ewakuacyjnego, złożonego z krytych wagonów towarowych. Niemcy przeładowywali do nich swoje rzeczy z wózków, na których je przywieźli.

Mój kolega Tadek machał złośliwie i z satysfakcją ręką na pożegnanie nieszczęśliwym wysiedleńcom, opuszczającym swe miasto rodzinne. Ale Tadek nie wyróżniał się szczególną wrażliwością na ludzką niedolę i nieszczęście. Miał twardy charakter, może dlatego został później cenionym chirurgiem i dyrektorem dużego szpitala powiatowego.

Organizacja wysiedleń odbywała się bardzo sprawnie i realizowana była w całości przez samych Niemców. Terminy ewakuacji kolejnych ulic, kwartałów i rejonów miasta ustalane były z dużym wyprzedzeniem. W określonym dniu mieszkańcy wyznaczonych ulic ładowali swe rzeczy, jakie byli w stanie zabrać, na ręczne wózki i po uformowaniu kolumny maszerowali z nimi na Dworzec Świebodzki.

Te kolumny wózków, ciągniętych przez starszych ludzi z białymi opaskami na ramionach, były przez wiele miesięcy charakterystyczne dla krajobrazu Wrocławia. Przy czym szczyt przesiedleń miał miejsce w okresie XI.1945 - IV.1946 r. Nie podlegali wysiedleniom jedynie Niemcy, zatrudnieni w przedsiębiorstwach komunalnych miasta i specjaliści w uruchamianych fabrykach i obiektach użyteczności publicznej. Wraz z rodzinami mieszkali oni we Wrocławiu często przez wiele jeszcze lat.

Po ponownym przyjeździe do Wrocławia, tym razem zamieszkałem u siostry na Sępólnie w mieszkaniu, na które otrzymała przydział w czasie mej bytności we Wałbrzychu. Mieszkanie składało się z 3 pokoi, włącznie kuchennej, przedpokoju oraz łazienki. Zajmowałem najmniejszy, wygodny pokój o powierzchni niespełna osiem metrów kwadratowych.

Całe osiedle Sępólno stanowiło rozległy kompleks ulic, zabudowanych najwyżej trzykondygnacyjowymi, powtarzalnymi, lub podobnymi do siebie budynkami mieszkalnymi. Zrealizowane zostało w latach dwudziestych w ramach państwowego, masowego, standardowego budownictwa mieszkaniowego w sposób kompleksowy ze sklepami, dużą szkołą podstawową, kinem i kościołem.

Osiedli podobnych było we Wrocławiu więcej, co świadczyło o dużej koniunkturze budowlanej w mieście w tamtym okresie. Niestety w wyniku działań wojennych wszystkie te peryferyjne na ogół osiedla, podobnie jak dzielnice centralne, zostały w znacznym stopniu zniszczone i spalone. Sępólno może ucierpiało najmniej, bo w około 50 procentach. Stąd osiedle to jako pierwsze zostało zasiedlone przez Polaków i stosunkowo szybko później odbudowane.

W czasie mej trzymiesięcznej nieobecności w mieście sporo się zmieniło. Przede wszystkim rozrosła się znacznie sieć linii tramwajowych. Tramwaje docierały już też do Sępólna i była to niewątpliwie najdłuższa czynna linia w mieście. Dochodziła do Biskupin, do skrzyżowania Wilhelmshafenerstrasse (ul. K. Olszewskiego)

z ul. Spółdzielczą.

Poza tym funkcjonowały jeszcze dwie dalsze linie tramwajowe: jedna łącząca dworce Nadodrze i Główny, zaś druga prowadziła od Rynku Głównego do skrzyżowania ul. Legnickiej ze Strzegomską, na którym to skrzyżowaniu był duży, okrągły bunkier schronu przeciwlotniczego. Nawiasem mówiąc, takich identycznych, potężnych schronów widziałem jeszcze trzy w innych lokalizacjach Śródmieścia.

Motorniczymi tramwajów, a często i bileterami, byli wtedy przeważnie Niemcy. W stosunku do Polaków byli oni na ogół bardzo służalczy i pokorni. Normalnym zjawiskiem było, że gdy Polak stanął na szynach i pomachał ręką, to motorniczy przyhamowywał, a nawet zatrzymywał wóz, aby tenże mógł wsiąść do tramwaju.

W różnych punktach miasta zaczęły wyrastać rusztowania przy odbudowywanych obiektach. Tak więc, po łataniu dachów i szkleniu okien, odbudowa miasta weszła w kolejną fazę remontów kapitałnych i rekonstrukcji poszczególnych budynków.

Zaczęło się też sporo dziać w rejonie starego miasta na obszarze pomiędzy Dworcem Głównym i ulicą K. Świerczewskiego a Odrą. Pojawiły się tam pierwsze urzędy, sklepy, zamieszkałe budynki, zaś ulice zostały oczyszczone z gruzów. Kiedy po raz pierwszy wyprawilem się na Rynek Główny w sierpniu 1945 roku, to zastałem tam absolutne ruiny i martwość i tylko w jednym punkcie tliło się wówczas nędzne życie. Był to sklep spożywczy w parterze wypalonego budynku na rogu Rynku i Placu Solnego.

Odbudowa Starówki niosła ze sobą wiele szczególnych trudności. Między innymi dotyczyły one niezmiernie pracochłonnnych robót kamieniarskich. Bardzo dużo kamieniarzy występowało zwłaszcza w Ratuszu i wszystkich obiektach sakralnych. Na przykład, na placu przed katedrą leżały dziesiątki przeróżnych kamiennych elementów filarów, pilastrów, łuków i portali, obrabianych cierpliwie przy pomocy dłut i młotów przez dziesiątki kamieniarzy. Tak myślę, że obecnie, w ostatnich latach XX-wieku, nie ma już praktycznie możliwości renowacji tego rodzaju obiektów jak wrocławska Katedra. Po prostu trudno nawet wyobrazić sobie chętnych do ciężkiego zawodu kamieniarza.

Ruszyła również odbudowa niektórych zakładów przemysłowych miasta. Prym w tym względzie wiodła Państwowa Fabryka Wagonów, uruchomiona już w październiku 1945 r. Zadecydowały o tym palące potrzeby transportu węgla kamiennego z ocalałych kopalń śląskich do portów morskich w Gdyni i Szczecinie. Na węgiel było wtedy wielkie zapotrzebowanie w całej Europie, płacono zań gotówką w dolarach amerykańskich. A te były gospodarce polskiej potrzebne jak deszcz na wiosnę. Brakowało jednak sprawnych portów i wagonów kolejowych. Nabrzeża węglowe w portach zostały w krótkim czasie odbudowane, zaś produkcję wagonów-węglarek rozpoczęto na dużą skalę w wielkiej, zrujnowanej fabryce czołgów w zachodniej dzielnicy przemysłowej Wrocławia. Te pierwsze węglarki były prymitywne, z drewnianymi skrzyniami, lecz wytwarzano je seryjnie w tysiącach egzemplarzy. Wkrótce, w ciągu kilku miesięcy, pojawiły się na wszystkich szlakach kolejowych kraju.

Lecz, jako całość, Wrocław nadal jawił się jako morze gruzów i nadal niektóre dzielnice, zwłaszcza południowe, były prawie bezludne. Nie było też w mieście bezpiecznie. Zdarzały się liczne kradzieże, napaści na pojedynczych przechodniów, nie brak było nadal amatorów szabru, złatujących się jak sępy z całego kraju.

Przy przechodzeniu z kolegami z Dworca Nadodrze na Świebodzki śliśmy zawsze środkiem ulic, w pewnej odległości od siebie, by uchronić się od nagłej napaści z ruin domów. W tym też czasie w Parku Nowowiejskim zabity został jeden z moich kolegów z pierwszej klasy licealnej, prawdopodobnie na tle rabunkowym. Ale różne napady i zabójstwa miały miejsce także na tle porachunków osobistych i politycznych. Ja zawsze przy takich zdarzeniach myślałem o zwierzeniach jednego z moich kolegów licealnych. Opowiadał mi, że zdezerterował z podziemnej organizacji NSZ w Kieleckiem, nie go-

dząc się z jej działalnością terrorystyczną, i że boi się zemsty.

W dniu robotniczego Świąta 1-Maja byłem uczestnikiem-widzem pierwszego pochodu ulicami Wrocławia. Oglądałem go, stojąc obok góry gruzów, na której usadowił się tłumek, takich jak ja, gapiów. Pochód nie był zbyt okazały, jeśli przyrównać do późniejszych manifestacji pierwszomajowych. Szeregi liczyły nie więcej niż 6-8 osób. Zapamiętałem natomiast pewien szczegół, który nigdy później nie miał miejsca. Mianowicie, gdy już właściwie pochód miał się ku końcowi, gdzieś w znacznej odległości widać jeszcze było jakąś maszerującą grupę. Kiedy zbliżyli się, można było zorientować się po sztandarach i transparentach, że są to członkowie i sympatycy Polskiego Stronnictwa Ludowego St. Mikołajczyka. Tym dystansem od głównego trzonu pochodu prezentowali swą opozycyjność do aktualnych władz kraju. Powitały ich gwizdy i okrzyki „Precz z reakcją!” itp. ze strony tej grupy na gruzach. Był to okres zapoczątkowania szerokiej propagandy i sporów na temat pytań referendum ludowego, rozpisanego na dzień 30.VI.1946 r. Przedmiotem referendum było wypowiedzenie się obywateli w trzech kwestiach ogólnonarodowych. Za lub przeciw: likwidacji Senatu, wpisania do Konstytucji reformy rolnej i nacjonalizacji gospodarki, oraz utrwalenia granic Polski na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Opozycyjne PSL wzywało do głosowania NIE na pierwsze pytanie, niektóre inne ugrupowania opozycyjne były nawet za głosowaniem 3 razy NIE. Partie rządzące wysuwały oczywiście hasło głosowania 3*TAK. Takie też napisy, wypisane białą farbą, pojawiły się we wielkiej ilości na murach Wrocławia i całego kraju. Część z nich przetrwała potem przez wiele lat. Pozwólmy sobie na dygresję i spróbujmy dziś, z perspektywy 50 lat od ówczesnego referendum, ocenić tamte trzy pytania.

1. Czy z Senatem, czy bez Senatu - nie miało to żadnego istotnego znaczenia. Plusy równoważą się z minusami. Remis.

2. Upaństwowienie gospodarki narodowej pozwoliło na szybką jej odbudowę i budowę nowego, ogromnego potencjału przemysłowego. Natomiast dziś, w dobie postindustrialnej, co raz bardziej ujawniają się negatywne efekty nadmiernej centralizacji zarządzania gospodarką. Tak więc wielkie plusy przechodzą w minusy.

Parcelacja ziem obszarnczych była spełnieniem odwiecznych marzeń o sprawiedliwości społecznej na wsi. Dziś ciąży coraz dokuczliwiej rozdrobniona struktura indywidualnych gospodarstw rolnych. Czyli wczorajsze plusy i uciążliwe minusy na dziś.

3. Natomiast integracja Ziem Zachodnich w ramach Polski, kosztem wschodnich kresów - jeśli nie liczyć emocjonalnych resentymentów, to same plusy. Przede wszystkim gospodarcze i cywilizacyjne. Zaś z upływem lat widać wyraźnie, że gdybyśmy zostali w przedwojennych granicach, to mielibyśmy dziś swoją „Jugosławię” jak amen w pacierzu.

Oczywiście to trzecie pytanie uzyskało w referendum powszechną aprobatę, na drugie odpowiadała pozytywnie znaczna większość głosujących obywateli, przy 85 procentowej frekwencji. Natomiast pytanie pierwsze przeszło tylko nieznaczną większością głosów. Jedynie w Krakowie zdecydowana większość głosujących na to pytanie odpowiadała negatywnie, co zaowocowało okrzyknięciem tego miasta jako „Ciemnogrodu”. Od tego też czasu w cotygodniowym „Przekroju” na ostatniej stronie zamieszczana była przez kilka lat rysunkowa satyra na grubego krakowskiego Bęcwałskiego.

Od 2 maja rozpocząłem pracę w Regionalnej Dyrekcji Planowania Przestrzennego we Wrocławiu. Instytucja mieściła się w sporym, już częściowo odremontowanym, 5-piętrowym budynku przy ulicy Ofiar Oświęcimskich w Śródmieściu, w pobliżu Rynku Głównego.

Funkcjonowała już kilka miesięcy i akurat organizowano w jej ramach Biuro Planu Wrocławia pod kierunkiem inż. architekta Tadeusza Ptaszyckiego. Do tego biura właśnie zostałem zaangażowany. Przy przyjęciu byłem poddany egzaminowi, który polegał na przerysowaniu grafionem, piórkiem i tuszem sporego fragmentu planu geodezyjnego. Nikt mi nic nie doradzał, ani pomagał, a jedynie oceniono gotową pracę. Wypadła pozytywnie i zostałem kreślaczem w pracowni projektowej BPW RDPP we Wrocławiu.



T. Ptaszycki

głuch debat, jakie prowadził z inż. Ptaszyckim.

Pierwsze dni i tygodnie pracy upłynęły mi głównie na kolorowaniu na niebiesko, kredkami lub akwarelą, rzek i zbiorników wodnych na podkładowych mapach Wrocławia w skali 1:10000 i 1:5000. A tej Odry, Oławy, Widawy, Ślęzy, kanałów, fos, stawów we Wrocławiu jest niemało. Wystarczy powiedzieć, że w mieście jest ponad 20 wielkich mostów, natomiast pomniejszych trzy razy tyle.

Jednak wkrótce otrzymałem bardziej odpowiedzialną pracę. Wraz z moim kolegą Zbigniewem Bodakiem mieliśmy zadanie przeprowadzić inwentaryzację stanu istniejącego południowych dzielnic Wrocławia. Polegało to na tym, że w dwójkę przemierzaliśmy, wg z góry ustalonej marszruty, ulica za ulicą, i na posiadanych roboczych planach nanosiliśmy aktualny stan techniczny poszczególnych obiektów przez określenie procentowego stopnia zniszczenia. Potem na planach wynikowych zaznaczaliśmy ten stan budynków w kolorach od żółtego do ciemnobrązowego. Niestety, na mapach tych dzielnic, które inwentaryzowaliśmy, przeważały ciemne tonacje brązu.

Nanosiliśmy też na mapy wszelkie przejawy zagospodarowania budynków, ich zamieszkanie, odbudowane warsztaty, sklepy itp. Ta praca zajęła nam wiele tygodni. Organizowaliśmy ją w ten sposób, że w pogodne dni przeprowadzaliśmy inwentaryzację w terenie, zaś w słotne wykonywaliśmy prace kameralne.

Penetrowaliśmy głównie rejon Alle des S.A. (późniejsza Al. Powstańców Śląskich). Praktycznie była to wówczas prawie całkowicie zrujnowana i bezludna dzielnica. Znajdowało się tam wiele reprezentacyjnych gmachów. Między innymi, przy dużym, okrągłym placu, oglądałem okazałą salę kinową, w jakiej z części obszernych foteli ktoś wcześniej zdarł piękne, czerwone obicia. Musiało to być bardzo eleganckie kino.

W ruinach jakiegoś wielkiego biurowca wygrzebałem ze sterty papierzyśk sporą książkę z tablicami logarytmicznymi. Miały one siedmiocyfrowe mantysy i posługując się nimi można było uzyskiwać bardzo duże przybliżenia w obliczeniach matematycznych. Książka ta przydała mi się na studiach. Chodzenie po ruinach nie było całkiem bezpieczne, ale obyło się bez jakichkolwiek niespodzianek.

Później towarzyszyliśmy dyr. Ptaszyckiemu w jego prelekcjach, w których prezentował ogólny plan odbudowy i zagospodarowania Wrocławia. Plan opracowany był z rozmachem, zaś jego twórca stał się bardzo popularny w mieście. Pamiętam tytuł z

pierwszej strony lokalnej gazety codziennej „Inżynier Wrocław ma głos”. Była to recenzja z wykładu na temat kierunków odbudowy miasta. To określenie „Inżynier Wrocław” przygłębło do inż. T. Ptaszyckiego na kilka lat.

Pamiętam też, chyba najpoważniejszą prelekcję w wielkiej sali Opery Wrocławskiej. Sala pełna widzów tonęła w półmroku. Oświetlona reflektorami była jedynie scena z inż. Ptaszyckim, trzymającym długi wskaźnik w rękę i stojącym przed ekranem, na którym wyświetlane były zdjęcia i fragmenty planów. My, dwaj kreślarze, czuwaliśmy przy epidiaskopie i na stuknięcie wskaźnikiem w scenę, zmienialiśmy projekcję epidiaskopu.

Największym wydarzeniem w czasie mej pracy w RDPP był niewątpliwie Zjazd Architektów RP, jaki został zorganizowany przez dyr. Ptaszyckiego latem 1946 r. Był to jakby zlot gwiazdzisty wszystkich liczących się architektów i urbanistów Polski, którym przypadła rola głównych planistów odbudowy miast i regionów kraju ze zniszczeń wojennych.

Zjazd trwał przez 6 dni, z czego 3 dni w Wrocławiu, natomiast po jednym dniu w Wałbrzychu, Cieplicach i Karpaczu. Organizacja całości była bardzo sprawna. Kolumnę dwóch autokarów i dziesięciu samochodów osobowych pilotował samochód terenowy wg z góry przygotowanej trasy. Wszędzie były zarezerwowane noclegi w hotelach, posiłki w ekskluzywnych restauracjach i sale na wykłady plenarne, które zajmowały większość czasu we wszystkie dni zjazdu.

Wykłady, a także referaty, dotyczyły planów odbudowy i rozbudowy szeregu miast oraz ośrodków kraju i połączone były z koreferatami i ogólnymi dyskusjami. Głównym tematem były plany odbudowy Warszawy oraz Wrocławia. Ale również, chyba po raz pierwszy, w szczegółowy sposób i w gronie fachowców, przedstawione zostały między innymi: plany śródmiejskiej, szybkiej kolei łączącej Gdańsk, Sopot i Gdynię oraz Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie. Obie te inwestycje uzyskały wysoką ocenę w dyskusji i rzeczywiście niedługo weszły w fazę realizacji.

Ja również brałem udział w zjeździe, byłem bardzo aktywnym uczestnikiem, tyle że nie jako kreślarz oczywiście, ale jako stenograf. Siedziałem zawsze obok stołu prezydyjnego i skrupulatnie notowałem wszystkie wypowiedzi w dyskusjach i te referaty, które nie były przygotowane na piśmie. Potem, długo jeszcze po plenarnych posiedzeniach, przepisywałem moje stenograficzne zapiski, z niewielkimi skrótami, na normalne, ludzkie pismo i już za dzień-dwa doręczałem swemu pryncypałowi.

To co szczególnie zapamiętałem ze zjazdu, to przepiękną barokową salę w Ratuszu w Wałbrzychu, ozdobioną lustrami, rzeźbami i sztukaterią. Również rozmowy wieczorem w hotelu w Parku Zdrojowym w Cieplicach z niezwykle sympatycznym architektem, i jednym z najlepszych rysowników w Polsce, inż. Z. Stępińskim, późniejszym twórcą wielu obiektów i osiedli warszawskich. Oraz galowy obiad w pensjonacie „Patria” (obecna nazwa) w Karpaczu. Opiszę w skrócie ten bankiet.

Na salę konsumpcyjną wchodziło się wewnętrznymi, szerokimi schodami. Na górze, za stołami ułożonymi w podkowę, stali w długim szeregu niemieccy kelnerzy w liberjach. Stoły, jak i cała sala, ozdobione były kwiatami. Do wystawnego obiadu grała cicho orkiestra, zaś w trakcie deseru i po obiedzie można było zatańczyć na parkiecie. Uczestnicy zjazdu zapewne byli poinformowani o uroczystym charakterze obiadu, więc panie wystąpiły w odpowiednich toaletach, natomiast panowie w garniturach. Ja byłem zaskoczony i onieśmielony wystawnością przyjęcia, ale i tak kilka razy zatańczyłem.

To przynajmniej umiałem nieźle, gdyż lekcje tańca pobierałem całkiem niedawno we Wrocławiu, w trakcie uczęszczania do pierwszej licealnej, nie byle gdzie, bo na kursach tańca towarzyskiego u prof. M. Wiczystego. Był to pierwszy kurs taneczny, jaki

zorganizował po wojnie prof. Marian Wieczysty, później uznany i sławny specjalista w tej dziedzinie. Zwłaszcza od czasu jego pobytu w Krakowie, dokąd przeniósł się po kilku latach z Wrocławia.

Przez pewien czas pracowałem przy porządkowaniu jakichś materiałów bezpośrednio w dużym gabinecie dyr. Ptaszyckiego. Byłem w związku z tym świadkiem podejmowania przez niego różnych interesantów, w sprawach związanych z remontami czy nowymi inwestycjami w mieście, na jakie niezbędna była jego zgoda i opinia.

Kilka razy wykonywałem jakieś pomocnicze prace rysunkowe w mieszkaniu mego szefa. Zajmował dużą willę niedaleko Parku Szczytnickiego, w której dwa największe pokoje przegrodzone były przesuwną ścianką działową. Tam była urządzona pracownia projektowa. Również żona T. Ptaszyckiego była architektem, specjalizowała się w projektowaniu zieleni miejskiej. Już wtedy zbierała materiały do książki, którą opracowała ostatecznie w 1949 r. pt. „Przestrzenie zielone w miastach”.

W jakiś dzień sierpniowy wybrałem się wraz ze swym kępińskim kolegą Bronkiem do Oporowa na skraju południowej dzielnicy Wrocławia. Odwiedziliśmy tam naszego wspólnego kolegę, też absolwenta gimnazjum w Kępnie, który nas od dłuższego czasu do siebie zapraszał. Kończył bowiem aktualnie remont swej pięknej, dużej willi i z tej okazji przyjął nas serdecznie i odpowiednio po kawalersku ugościł.

Mieliśmy nieco „w czubie”, gdy zdecydowaliśmy się na realizację drugiego celu naszej wyprawy do Oporowa. Mianowicie zrujnowane wokół wille otoczone były dużymi sadami z dorodnymi jabłoniami. Postanowiliśmy wypełnić swe walizy jabłkami w jednym z takich sadów, wcześniej przez nas wypatrzonym. Myśleliśmy bowiem, iż jest bezpieczny i bez naszej interwencji piękne jabłka się zmarzną.

Jednakże już na początku naszego „owocobrania” na drugim końcu działki rozległ się krzyk i złorzeczenia jakiegoś staruszka oraz wściekle ujadanie ogromnego wilczura, który wnet wychynał wśród drzew. Chyba nigdy w życiu tak szybko nie uciekałem i nie przeskakiwałem płotów, wysypując zresztą z walizy wszystkie zerwane wcześniej jabłuszka.

Po kluczeniu znaleźliśmy się z powrotem w willi kolegi. Niespodziewanie zrobiło się późno i zmrok, zaś do przystanku tramwajowego na ul. Grabiszyńskiej było bardzo daleko i droga prowadziła przez bezludzie i cmentarz. Baliśmy się więc powracać tak późną porą, bo nie było to wówczas bezpieczne. Przenocowaliśmy wobec tego u kolegi.

Rano moja siostra, zaniepokojona tym, że nie wróciłem na noc do domu, wybrała się do mego biura. Myślała, że może wprost pojechałem rano do pracy lub, że będą tam wiedzieć gdzie jestem. Nic z tych rzeczy. Zgłosiła więc moje „zaginięcie” dyrektorowi. Od razu przydzielił siostrze samochód do dyspozycji i zarządził odpowiednie poszukiwania telefoniczne. Ale zanim ta akcja poszukiwawcza się na dobre rozwinęła, zjawiłem się w pracy i wszystko skończyło się tylko na strachu.

W ogóle, to byłem w jakimś stopniu pupilkiem dyr. Ptaszyckiego. Pierwszy doradził mi też studia architektoniczne. Zaś Zjazd Architektów RP, jaki zorganizował i na który mnie zabrał, był wspaniałym argumentem za takimi studiami.

W połowie roku pojechałem w ramach delegacji służbowej do Warszawy. Miałem dostarczyć jakieś materiały do Biura Odbudowy Stolicy. BOS mieściło się wtedy w prowizorycznych, drewnianych barakach, zagęszczonych do granic możliwości przez projektantów i kreślarzy, opracowujących plany i projekty remontów i nowych obiektów dla Warszawy.

O tym, jak bardzo praca ich była niezbędna, przekonałem się, zwiedzając przez wiele godzin centralne dzielnice miasta. Warszawa była potwornie zrujnowana, jeszcze bardziej niż Wrocław, zaś na pewno inaczej. We Wrocławiu przeważały wypalone

szkielety domostw, Warszawa zaś prezentowała się jako morze gruzów. Jedyne prawobrzeżne dzielnice zachowały się prawie w całości, ale Praga była zaniedbana i chaotycznie zabudowana.

Zadziwiał szpalery sklepów i sklepików funkcjonujących w parterach zrujnowanych domów przy ul. Marszałkowskiej i Alejach Ujazdowskich.

W 1945 i 1946 r. fascynowałem się spektaklami operowymi. Po częściowym remoncie Opera Wrocławska rozpoczęła swą działalność we wrześniu 1945 roku. Pierwszym spektaklem, wystawionym w operze była „Halka” St. Moniuszki. Kolejną premierą (XII.45) był „Cyrulik Sewilski”, w którym partię Rozynę śpiewała swym wspaniałym sopranem koloraturowym znakomita Ewa Bandrowska-Turska. Występy jej były przyjmowane przez publiczność bardzo gorąco. Opera wrocławska stała się niewątpliwie centralnym ośrodkiem kulturalnym Wrocławia w tym pionierskim okresie. Jej organizatorem i dyrektorem był wtedy Stanisław Drabik.



Opera we Wrocławiu. Stan obecny

Pamiętam też wystawianą wówczas operę „Rigoletto”, arcydzieło Giuseppe Verdiego. Główną rolę żeńską kreowała w nim Ada Sari, światowej sławy śpiewaczka sopranowa. Publiczność oczarowana fantastycznym głosem primadonny, zmuszała ją do wielokrotnych bisów. Ale był i mały, niezamierzony epizod komiczny. Gdy trefnił Rigoletto ciągnął worek ze zwłokami swej ukochanej córki, której rolę grała właśnie Ada Sari - na sali rozległ się zrazu cichy, potem głośniejszy, spontaniczny śmiech. Otóż worek był mały i niepokazny i w żadnym razie nie odpowiadał, raczej obfitym, gabarytom wspaniałej śpiewaczki. Sądzę, że scenograf spektaklu w następnym przedstawieniu zreflektował się i uzupełnił odpowiednio zawartość owego rekwizytu.

Najbardziej czytany przeze mnie w 1946 r. czasopismem był „Przekrój” krakowski. A to głównie za sprawą cyklu artykułów Edmunda Osmańczyka pt. „Sprawy Polaków”. Osmańczyk, pisząc o bieżących sprawach geopolitycznych, oceniał stan i położenie Polski i Polaków, zwłaszcza w aspekcie zmian, mających miejsce w Europie w wyniku zakończonej wojny i sytuacji powojennej.

Mocno akcentował wielką szansę dla Polski, jaką dawało oparcie się państwa na starych piastowskich granicach na Odrze i pozbycie się ziem wielonarodowościowych na wschodzie, wraz z obłądnymi, samobójczymi koncepcjami „Polski od morza do morza”, „Przedmurza chrześcijaństwa” itp. Uporczywie nawoływał do wysiłku „mózgów i mięśni”, aby odrobić dystans cywilizacyjno-gospodarczy, dzielący nas od Europy.

Ostrzegał, że jeśli nie dorównamy pracowitością Niemcom, to pomimo ich klęski wojennej, świat zlekceważy nasze racje i odwróci się od Polski. Podzielałem poglądy Osmańczyka, zwłaszcza że pokrywały się z moimi własnymi odczuciami i obserwacjami w czasie pobytu na Śląsku, w Tarnopolskiem, Poznańskim i na Ziemiach Zachodnich, we Wrocławiu i Wałbrzychu.

POLITECHNIKA WROCŁAWSKA

Wykłady bez podręczników * Związek Słuchaczy Architektury * Wredne korniki * Wrocław da się lubić * Zimna wojna

Za namową dyr. Ptaszyckiego i innych osób, zapisałem się w odpowiednim czasie na Oddział Architektury Wydziału Budownictwa Uniwersytetu i Politechniki Wrocławskiej. Rektorem uczelni był wówczas prof. Stanisław Kulczyński.

We wrześniu odbyły się egzaminy wstępne dla kandydatów. Zgłosiło się 400 osób na 100 miejsc na pierwszym roku studiów. Egzaminów było kilka, ale ja znów miałem taryfę ulgową, wobec niedawnego uzyskania matury z dobrymi wynikami, i z niektórych zostałem zwolniony. Najważniejszy był egzamin z rysunku odręcznego. Należało narysować gipsową głowę faraona na postumencie. Mnie się tragicznie kojarzyły wylupiaсте oczy modelu, więc dorysowałem jeszcze groźne tło z czarnych, skłębionych chmur, przeciętych zygzakiem błyskawicy.

Jak się okazało, egzaminy wstępne zdałem z wynikiem pozytywnym i zmieściłem się w gronie stu kandydatów przyjętych na I rok studiów na Oddziale Architektury. A więc przede mną był kolejny etap edukacji, tym razem związany bezpośrednio z moimi zainteresowaniami i zamiłowaniem, które sprowadzały się do matematyki + rysunki i malarstwo + wyobraźnia przestrzenna.

Oczywiście od razu sprawiłem sobie studencką czapkę, jaka obowiązywała studentów Architektury. Mianowicie każdy wydział miał przypisane czapki w innym kolorze. Nasze były granatowe z pomarańczowym otokiem, srebrzystym sznurem oraz z małym, czarnym daszkiem. Dla fasonu nową czapkę wymiałem i wytarzałem w kurzu tak, aby przestała błyszczeć i wyglądała jak noszona od wielu lat.

Politechnika miała wtedy cztery wydziały: mechaniczno-elektryczny, chemiczny, budownictwa i hutniczo-górnictwo. Obejmowała kilka gmachów przy ulicy Wybrzeże St. Wyspiańskiego, biegnącej wzdłuż rzeki Odry pomiędzy mostami Grunwaldzkim i Zwierzynieckim. W późniejszych latach uczelnia została bardzo rozbudowana, natomiast wówczas mieściła się tylko w trójkącie ulic Norwida i Łukaszewicza oraz Odry.

W dniu inauguracji roku szkolnego w październiku 1946 r. w zasadzie był już odremontowany budynek główny Politechniki z obszernym arkadowym wejściem i piękną, dużą aulą na I piętrze. Gmach mieścił kilkanaście sal wykładowych, z tego część amfiteatralnych, oraz wielką ilość pokoi biurowych, szatni itp. Wszystkie wykłady na wydziale architektury odbywały się w tym właśnie budynku głównym.

Faktycznie to dopiero po 2 latach Wrocławski Uniwersytet i Politechnika podzielił się na odrębne uczelnie: Uniwersytet oraz Politechnikę, zaś Wydział Budownictwa na dwa oddzielne wydziały: Architektury i Inżynierii Budowlanej.

Na pierwszym roku studiów architektonicznych do najważniejszych przedmiotów zaliczyć można było historię architektury, budownictwo ogólne, matematykę, geometrię wykreślną oraz rysunek odręczny i architektoniczny.

Wykłady historii architektury, prowadzone przez prof. T. Broniewskiego odznaczały się wielką barwnością, gdyż przedstawiał on rozwój architektury na szerokim tle społeczno-ekonomicznym danej epoki. Tak więc architektura muzułmańska to nie były tylko



Czapka

meczety z nieodłącznymi minaretami, kopuły, łuki, żagle, trompy i ornament arabeskowy, ale również ekspansja islamu w dobie Mahometa, podboje Persji, Egiptu, Hiszpanii oraz racjonalne podatki i tolerancja obyczajowa.

Prof. Broniewski w latach następnych był autorem całej serii książek z zakresu powszechnej historii architektury. Lecz wówczas nie mieliśmy podręczników, nie tylko zresztą z tego przedmiotu. Stąd prawie wszystkie wykłady prowadzone były metodą dyktanda. Po prostu profesorowie względnie wolno dyktowali swe wykłady, zaś studenci zapisywali je w zeszytach. I znów bardzo przydała mi się moja znajomość stenografii. Korzystałem z niej, gdzie się tylko dało, oczywiście z wyjątkiem matematyki, geometrii wykreślnej itp. przedmiotów.

Pamiętam, jak raz na wykładzie prof. Broniewskiego siedziałem w drugim rzędzie amfiteatru i notowałem stenograficznie pełne jego wypowiedzi. Miałem jeszcze zawsze nieco czasu i luzu przed kolejnymi fragmentami dyktanda, podczas gdy wszyscy inni pisali bez przerwy, pochyleni nad pulpitemi. Widocznie zaintrygowany tym profesor zszedł z katedry, przechylił się nad pierwszym pulpitem i zajrzał w moje zapiski. Uśmiechnął się i wrócił na katedrę, nie przerywając dyktanda.

Budownictwo ogólne to materiał do nauki bez końca. Obejmuje skrótowo całe budownictwo kamienne, drewniane, ceglane, stalowe, żelbetowe i wnętrza. Wykłady zaczęły się w drugim semestrze I roku i trwały przez cały drugi rok, by w trzecim i czwartym pączkować odrębnymi specjalistycznymi wykładami budownictwa stalowego, żelbetowego i wnętrza. Przedmiot obejmował wiele ćwiczeń, w ramach których rysowaliśmy elementy budowli od fundamentów po więźby dachowe.

Na szczęście dysponowałem przedwojennym podręcznikiem autorstwa W. Żenckowskiego. Podręcznik ten służył do nauki całemu pokoleniu architektów i inżynierów budowlanych. Do dziś jest on aktualny w zakresie budownictwa kamiennego, drewnianego i ceglanego. Ale w konstrukcjach żelbetowych, stalowych i robotach wykończeniowych dokonały się znaczne zmiany, zwłaszcza dotyczące stosowanych materiałów oraz technologii wykonawstwa.

Wykłady z matematyki rozpoczęły się od kombinatoryki i logarytmów. Oczywiście wtedy w rachunku logarytmicznym posługiwaliśmy się tablicami, a niektórzy także suwakami logarytmicznymi. Dziś nikt już tych narzędzi nie stosuje, zastąpił je bezpowrotnie elektroniczny kalkulator. Potem, po przypomnieniu funkcji trygonometrycznych, zagłębił się w rachunku różniczkowym i całkowym. Jest to cały skomplikowany świat matematyki. To dzięki całkom oznaczonym możemy obliczać długość łuku, objętość i powierzchnie dowolnej figury geometrycznej: krzywych, płaskiej czy obrotowej. Na przykład amplitudy fal, kuli, śruby.

Geometrię wykreślną wykladał znakomity prof. K. Dyba, który zawsze się śpieszył. Wygłaszając aksjomaty, lub rysując rzuty i kłady różnych figur geometrycznych na tablicy, nie zwracał uwagi na to, że słuchacze się pogubili i nie nadążają za tokiem jego myśli. Zwłaszcza, że mówił cicho i trochę sepleniał przy takich zwrotach jak „pęk prostych”, „płaszczyzny prostopadłe” itp. Ja siedziałem zwykle w pierwszych rzędach i słuchałem wykładów ekscentrycznego profesora jak najuważniej. I nie miałem problemów z ich zrozumieniem. Więcej, wysoko je sobie ceniłem za systematykę i żelazną logikę.

Nie opuściłem też ani jednego wykładu, zaś wykładowcę polubiłem najbardziej z całego grona profesorskiego. Jak również samą geometrię wykreślną, która stała się dla mnie swoistym hobby już na całe życie. Wówczas bywało, że przed lub po ćwiczeniach rozwiązywałem na tablicy jakieś konkretne zadania, a dwóch kolegów przychodziło do mnie do domu na korepetycje.

W ramach rysunku odręcznego rysowaliśmy zwykle jakąś martwą naturę, bryły geometryczne lub gipsowe rzeźby, poustawiane przez asystenta. Chodziło o proporcje,

światłocienie, wyrazistość rysunku. Każdy z nas miał swą niedużą tablicę, na jakiej zawieszano arkusze papieru. Profesor i asystent krążyli po sali wśród rysujących i udzielali indywidualnych rad i pomocy.

W rysunku architektonicznym najważniejsze były perspektywa, pion, horyzont, akcentowanie odległości. Rysowaliśmy ołówkiem, węglem, piórkiem i patykiem. Oczywiście tymi ostatnimi przy użyciu tuszu. Nasze rysunki wisiały potem w gabinetach, na salach rysunkowych, korytarzach. Zaś ćwiczenia prowadzone były na luzie, ze wzajemną krytyką i uwagami.

Cały czas podczas pierwszego roku studiów mieszkałem u siostry na ul. Spółdzielczej. Miałem bardzo dobre warunki do nauki i wypoczynku. Siostra pracowała zawodowo w centrum miasta. Z uwagi na dalekie przejazdy do i z pracy, była w ciągu dnia poza domem jeszcze dłużej niż ja. Obiady jadałem w stołówce akademickiej przy ul. Wróblewskiego na wprost remizy tramwajowej. Był to stary, parterowy obiekt z dużą jadalnią i kuchnią, pracującą zawsze na pełnych obrotach. Dzisiaj tego budynku już nie ma, za to w sąsiedztwie wyrosły wysokie akademiki.

Jadąc z uczelni, zwykle wyskakiwaliśmy z tramwaju na zakręcie przy stołówce, przed przystankiem, jeden za drugim, aby szybciej na ten obiad. Główne menu obiadowe to była kasza hreczana, jakieś warzywa i nie zawsze mięso. Gdy serwowano koninę z paczek UNRRA, to często czciliśmy ten fakt biciem aluminiowych łyżek o aluminiowe talerze. Oczywiście, oprócz odpowiedniej opłaty, za posiłki trzeba było oddać do stołówki swoje kartki żywnościowe. Jeśli coś wybierałem na kartki bezpośrednio dla siebie, to w studenckim konsumie przy Curie-Skłodowskiej obok mostu Zwierzynieckiego. Nawiasem mówiąc, kartki żywnościowe zlikwidowane zostały dopiero w 1948 roku.

Na wszystkie ważniejsze święta i często w niedziele jeździłem do rodziców do Kępna. Oprócz radości widzenia się z najbliższymi i możliwości podzielenia się swoimi problemami i osiągnięciami, to jeszcze mama ugaszczała mnie po królewsku. Świetnie gotowała, prowadziła treściwą, małopolską kuchnię. Jej szczególną specjalnością było przygotowywanie pierogów, wypiekanie różnych ciast, faworki, pączki. Zaś przy wyjeździe byłem zawsze bogato obdarowywany różnymi specjami i wiktuałami z ogródka, kurnika, czy chlewika.

Wzorem lat przedwojennych na uczelniach w kraju funkcjonowała samorządowa organizacja studencka pod nazwą „Bratnia Pomoc”, która we Wrocławiu zajmowała spory budynek przy Parkstrasse niedaleko Parku Szczytnickiego. Mówiło się na nią skrótowo „Bratniak”. Otóż prowadziła ona stołówki, gabinety lekarskie, organizowała wypoczynek, sport studencki itp.

Nie pamiętam, abym korzystał z jakiejś pomocy lekarskiej, z wyjątkiem dentystycznej. W tym zakresie ja, a raczej moje zęby, wymagały nieustannych zabiegów. Rwanie, plombowanie, korony srebrne i złote, do których się dopłacało, raz nawet miałem resekcję korzenia, co było średnio poważną operacją. Rzecz jasna, że sprzęt medyczny, wówczas stosowany, znacznie odbiegał od dzisiaj używanego. Na przykład, wiertła dentystyczne napędzane były nożnym kołowrotem.

Na Wydziale Architektury mieliśmy własną organizację studencką Związek Słuchaczy Architektury. Zarząd wybraliśmy zaraz na początku roku szkolnego. Ja wszedłem do niego jako kierownik Sekcji Wydawniczej. I tak już zostało przez cztery lata studiów.

ZSA zajmował się głównie organizacją pracy dla studentów Wydziału, rozprowadzaniem skryptów i różnych wydawnictw, samopomocą finansową, urządzaniem wycieczek i innych form wypoczynku, organizowaniem corocznych bali architekta i prowadzeniem własnego sklepu z materiałami piśmienniczymi. Prace te realizowane były w ra-

mach sekcji: zapomogowej, kulturalnej, wycieczkowej oraz wydawniczej, liczących po kilku członków. Bardzo ofiarnie i efektywnie pracował zwłaszcza ścisły Zarząd Koła, którego skład utrzymywał się prawie niezmienny przez okres czterech lat studiów. Stanowili go prezes Kazimierz Kabat, sekretarz Tadeusz Larek, skarbnik Zygmunt Dmowski oraz, między innymi, członek Zarządu Jerzy Lorenz.

W sekcji wydawniczej prowadziłem kolportaż wydawnictw i skryptów z zakresu architektury, również wydruk różnych informacji, zawiadomień, biletów na imprezy itp. Dysponowaliśmy maszyną do pisania, powielaczem ramowym i innym pomniejszym sprzętem biurowym. Wszystko to, wraz ze stołami i szafami, mieściło się w pokoju organizacyjnym przy sklepie z materiałami piśmiennymi.

Najpoważniejszym skryptem, jaki kolportowaliśmy był tzw. „Neufert”, to jest podręcznik-album projektowania architektonicznego, tłumaczony z języka niemieckiego i z nowymi rysunkami, opracowywanymi przez studentów Wydziału Architektury w Krakowie. Skrypt wydawany był sukcesywnie w zeszytach przez wiele miesięcy. Po skompletowaniu wszystkich zeszytów, przeprowadziliśmy, dla chcących, oprawę całości w twardych okładkach.

Natomiast ten sklep z materiałami piśmiennymi, świetnie zlokalizowany na rogu ul. M.Curie-Skłodowskiej i C.Norwida, dawał nam dochody na wszelką działalność ZSA. Największym przedsięwzięciem, jakie prawie co roku, urządzaliśmy były reprezentacyjne Bale Architektury. Były one wizytówką Politechniki, podobnie jak Bale Medyka były wizytówką Uniwersytetu i znaczącym wydarzeniem kulturalnym we Wrocławiu. Opiszę później jedną z tych, zakrojonych na wielką skalę, imprez, jaka odbyła się w 1949 roku.

Ale na pewno największe znaczenie dla nas, studentów Wydziału Architektury, miało utworzenie z inicjatywy ZSA Spółdzielni Pracy Biuro Architektoniczne „Arkady”. Ta spółdzielnia pozwalała nam przez cały czas studiów pracować zarobkowo w wolnym od nauki czasie. Osobiście w kolejne ferie letnie i zimowe zarabiałem tyle, że starczało mi pieniędzy na całoroczne utrzymanie się, wynajem pokoju, zakup ubioru, książek, na teatr, kino itd. Spółdzielnia była dobrze wyposażona, prowadzona bezpośrednio przez zatrudnioną sekretarkę. Kierownictwo sprawował sam prezes ZSA kol. K. Kabat, który starał się skutecznie o dobrych, solidnych pracodawców.

Nasze studenckie zebrania w ZSA bywały nieraz bardzo burzliwe. Pamiętam sytuacje, gdy dyskutanci wskakiwali na krzesła i stoły, by dobitniej przedstawić swe racje. Celem ostudzenia rozpalonych głów, czasami do dyskusji „włączał się” wtedy nasz kolega Tadek Z., który swym doniosłym barytonem odśpiewywał jakieś arie operowe.

W styczniu 1947 r. odbyły się powszechne wybory do Sejmu.. Rządzące partie PPR i PPS wraz z kilkoma pomniejszymi utworzyły jednolity blok wyborczy nr 3. Liczącą się opozycję stanowiło tylko mikołajczykowskie PSL. Tym razem agitacja przedwyborcza była znacznie mniejsza niż w przypadku referendum z czerwca 1946 r. Na korzyść partii rządzących działały bowiem bardzo dobre rezultaty gospodarcze, szybki rozwój oświaty i służby zdrowia, osiągnięcia w zwalczaniu analfabetyzmu, odbudowa kraju. Władze agitowały natomiast za manifestacyjnym, zbiorowym głosowaniem na listę nr 3. W znacznej mierze głosowanie tak właśnie przebiegało: z transparentami, orkiestrami, przy bardzo dużej frekwencji.

W 1947 r. nadal chodziłem na wszystkie nowe przedstawienia operowe. Również prawie co tydzień do któregoś z kin, których funkcjonowało już we Wrocławiu kilka. Grane były wtedy już pierwsze polskie filmy fabularne, zrealizowane po wojnie. Filmem numer 1 były „Zakazane piosenki” o okupacyjnej Warszawie. Kolejnymi były komediowy „Skarb” i „Jasne łąny” o elektryfikacji wsi. Przy czym, po prawdzie, do kina chodziło się nie tylko na seans filmowy, ale także, a może głównie, dla obejrzenia nowej cotygo-

dniowej kroniki filmowej, serwującej aktualne wydarzenia na świecie, niczym dzisiejsza telewizja.

Byłem też na jakiejś dużej imprezie w bieżąco remontowanej Hali Ludowej. W pewnym momencie rozległ się łoskot i potężny huk, po czym w lewym rogu hali wyrósł słup kurzu. To spadł blok betonowy, jaki oderwał się z dachu hali. Powiało grozą, bo na sali było kilka tysięcy ludzi. Ale nikomu się nic nie stało, gdyż tylko środek hali był zajęty. Cała hala mogła pomieścić nawet do 40 tysięcy ludzi na stojąco.

W tej Hali Ludowej po raz pierwszy byłem już w 1945 roku. Na jej środku znajdowały się wtedy drewniane fragmenty wielkiego, okrągłego, rowerowego toru wyścigowego. Leżały też wszędzie jakieś ażurowe konstrukcje stalowe. Takich konstrukcji wiele było również na placu po przeciwnej stronie ul. Wróblewskiego. Mówiono, że to urządzenia radarowe, jakie w czasie wojny produkowano w dużym baraku obok Ogrodu Zoologicznego.



Hala Ludowa. Stan obecny

W czerwcu rozpoczęła się sesja egzaminacyjna. Trwała bodajże do końca lipca. Nie było wówczas żadnego obowiązku zdawania egzaminów na bieżąco. Często zdarzało się, że studenci zdawali egzaminy z pierwszego roku nawet po czterech latach, po formalnym ukończeniu studiów. Jednakże większość starała się zmieścić w bieżącej sesji możliwie z największą ilością wykładanych przedmiotów. Ja do połowy lipca zaliczyłem ćwiczenia i zdałem wszystkie egzaminy z semestru zimowego i większość z semestru letniego.

W ogóle, jako pierwszy, zdawałem matematykę już w pierwszym dniu sesji egzaminacyjnej 30 czerwca. Byłem pewny najlepszej oceny, zdawałem właściwie bez tremy, co mi się bardzo rzadko zdarzało - i otrzymałem stopień dobry. Dobra nauczka za zbyt nie zadufanie.

Nie mniej rozczarowałem się, zdając, również jako pierwszy, egzamin z geometrii wykreślnej. Bardzo uważałem, nie śpieszyłem się zbyt, odpowiadałem powoli drętwym, a logicznym językiem matematycznym, też pewny siebie. Po wyseplenieniu przez ulubionego profesora „plus dobry”, od razu powiedziałem, że zgłoszę się do powtórnego egzaminu po feriach. Na chwilę zaniemówił, po czym zaczął mi tłumaczyć, że to też stopień bardzo dobry. Wówczas nie widziałem w tym uzasadnienia cienia logiki, ale potem, po latach, zrozumiałem racje profesora. Otóż uważał on po prostu, że bardzo dobrze zna geometrię wykreślną tylko on sam. Natomiast swych uczniów nagminnie oblewał, zdawali po kilka razy i byli zadowoleni, jeśli uzyskiwali ocenę dostateczną. Dopiero po czterech latach trafiły się pierwsze i jedyne stopnie bardzo dobre. Otrzymali je moi koledzy z roku A. Krzywicki oraz R. Tunikowski, późniejszy główny projektant Placu T. Kościuszki we Wrocławiu. Ale oni byli już wtedy asystentami prof. Dyby.

Z przyjemnością wspominam egzamin z petrografii, nauki o kamieniach. To bardzo ciekawa nauka, taka trochę niecodzienna. Idzie sobie człowiek górskim szlakiem i nie widzi kamieni, tylko jakieś granity, porfiry, sjenity, czy dioryty. Zaś egzamin polegał właśnie na prawidłowym nazwaniu i opisanu właściwości kilku kamieni, wskazanych przez egzaminatora z pośród setek innych, zapelniających gabloty dużej sali.

Od połowy lipca, po pracowych egzaminach - wreszcie 2,5 miesięczne ferie letnie.

Nareszcie można było odsapnąć od nauki, ale też i coś zarobić, bo w kieszeni płótno, a może i dziury, którymi wyciekły wszystkie oszczędności.

Akurat ogłoszenia wzywały studentów do pomocy w walce z kornikiem-drukarzem, niszczącym piękne lasy masywu góry Sobótki. Fantastycznie, tego mi było trzeba. Pleaner, świeże powietrze, dobra zapłata i wczasy za jednym zamachem. Pojechałem w dwójkę, jeszcze z jednym kolegą z mego roku. Sobótka to mała miejscowość, również nazwa samotnego, górskiego masywu, zwanego także Ślężą, leżącego około 30 kilometrów na południowy zachód od Wrocławia, na Przedgórzu Sudeckim.

Zamieszkaliśmy w obszernej leśniczówce tuż u stóp góry. W sumie nasza studencka ekipa ratunkowa liczyła kilkadziesiąt osób, przybyłych z różnych uczelni, nie tylko z Wrocławia. Kierowali nami leśnicy, którzy od razu zapędzili nas do roboty. Polegała ona głównie na obcinaniu gałęzi i korowaniu pni ściętych świeżo drzew. Drzewa cięła piłami ekipa drwali, którym też, zdaje się, pomagała grupa studentów, ale to była inna „parafia”. Wycinki odbywały się pasami, aby zagrozić drogę wrednym kornikom. Pojedynczy kornik, to taki maleńki, brązowy chrząszczyk, wyglądający raczej sympatycznie i całkiem niewinnie. Tyle, że te miłe, na oko, owady nie występują w pojedynkę, lecz w wielkiej kupie na raz, w milionach egzemplarzy. Tak normalnie ich na drzewach nie widać, ale kłębią się pod korą. Drażą z lubością tysiące chodników w drewnie, zwłaszcza drzew iglastych, i w krótkim czasie uśmiercają swoje strzeliste, dumne ofiary. Przez ostatnie 2-3 lata zaniedbano jednak systematycznej walki z tym szkodnikiem i w 1947 r. zagroził on istnieniu starego, pięknego drzewostanu sosnowego i świerkowego masywu Sobótki.

Te gałęzie i korę paliliśmy, oczywiście wraz z leśną „szarańczą”, na wielkich ogniskach, w odpowiedniej odległości od innych drzew. Mieliśmy dużą wydajność w pracy, acz chyba nie zachowaliśmy wystarczającej ostrożności z ogniem, bo zdarzył się pożar. Może winni byli cieśle, gdyż pierwsze zaczęły palić się ścięte drzewa na przecince.

Była upalna pogoda już przez kilkanaście dni, nic więc dziwnego, że pożar robił szybkie postępy. Do gaszenia ognia przystąpili wszyscy, kto żył w najbliższej okolicy. Palenie się koron zostało szybko opanowane przez ścięte palących się drzew, ale zwalczanie pożaru podszycia i ściółki wydawało się syzyfową pracą. Mianowicie Sobótkę pokrywają duże głazy kamienne i ogień ugaszony u góry, tlił się dalej pod kamieniami i, ni stąd ni zowąd wybuchał płomieniem w miejscach, jakie uważaliśmy już za bezpieczne. Nie dysponowaliśmy niestety wodą, żeby podlać ją pod głazy, gasiliśmy ogień jedynie wiechciami gałęzi. Na szczęście, trzeciego dnia spadł ulewny deszcz. Zmokliśmy wszyscy potwornie, lecz pożar mieliśmy wreszcie z głowy.

Posiłki jadaliśmy na miejscu, w leśniczówce lub donoszono nam je do lasu. Spaliśmy pokotem na siennikach, głowa przy głowie, we wszystkich pomieszczeniach piętrowego budynku.

W ekipie studenckiej była tylko jedna odważna dziewczyna, jeśli nie liczyć kucharek i żony leśniczego. O dziwo, płała się ona za mną. Mianowicie potraktowałem kontrakt leśny faktycznie urlopowo i przywiozłem ze sobą spory blejtram oraz farby olejne, żeby namalować jakiś pejzaż. W niedzielę i wolne chwile siadałem z tym płótnem na ścieżce niedaleko leśniczówki i malowałem rozległy widok na las i góry. Nasza solistka opalała się obok i od czasu do czasu kontemlowała obrazek. Być może, że czuła się też bezpieczna w moim towarzystwie.

W naszej ekipie wyróżniał się tylko jeden starszy kolega, chyba zresztą nie był studentem. Chodził w bryczesach oraz oficerkach i zapewne dlatego mówiło się na niego „ten oficer”. Szpanował, dyrygował, opowiadał swe bodaj partyzanckie przygody, ale nie wyglądał na takiego, który kiedykolwiek proch wachał, zaś robotą to się wyraźnie brzydził.

Wreszcie pod koniec wielotygodniowej mitręgi przyszła pora na zainkasowanie należnego wynagrodzenia. Pieniądze miały być wypłacone we Wrocławiu i pojechał po nie jeden z naszej ekipy w asyście tego oficera. Daliśmy im wszyscy pisemne upoważnienia odbioru wypłat. Pamiętam do dziś, że ten nasz delegat nazywał się Żuczkiwicz, a zapamiętałem dlatego, iż nigdy już ani jego, ani tego oficera, ani moich pieniędzy nie zobaczyłem. Podobnie jak cała reszta leśnej ekipy.

Tego lata stenografowałem jeszcze dwa większe zjazdy. Były to Zjazd Osadników Wojskowych Ziem Odzyskanych i Zjazd Sądownictwa Dolnośląskiego. Oba trwały po kilka dni. Pierwszy miał miejsce w świeżo odnowionym biurowcu przy Placu Wolności, a drugi w gmachu Sądu Wojewódzkiego, odbudowywanego jeszcze przez długie lata.

Wykonywałem też, w ekipie kilku moich kolegów, rysunki inwentaryzacyjne częściowo zniszczonej fabryki silników lotniczych na Psim Polu, przedmieściu Wrocławia. W szczególności wykonywałem obmiary i rysowałem plany inwentaryzacyjne wielopiętrowego gmazyska o długości 240 metrów. Była to praca zorganizowana w ramach naszej studenckiej spółdzielni pracy „Arkady”. Oczywiście za te prace otrzymałem spore wynagrodzenie, jakie w większości wpłaciłem na swe konto oszczędnościowe w PKO.

W 1947 r. we Wrocławiu, zwłaszcza w rejonie Sępólna, zaistniała plaga komarów. W Parku Szczytnickim znajdowało się kilka bezodpływowych stawów. Nieczyszczone przez wiele lat stały się wylęgarnią komarów, które wściekle atakowały okoliczne osiedla. Na Sępólnie, na przykład, nie można było spać przy otwartych oknach. Podobnie rozmnożyły się komary w fosach, okalających Starówkę. Fosa ta pokrywała gęstym kożuchem drobna, zielona rzęsa, a fetor gnilny rozprzestrzenił się wokół na dziesiątki metrów. Chyba dopiero w 1948 r. udrożniono wszystkie przepusty między poszczególnymi odcinkami fos oraz odtworzono przepływ wody. Natomiast powierzchnia wód oczyszczona została z zielska. Podobne roboty na stawach w Parku Szczytnickim pozwoliły ostatecznie na, częściowe przynajmniej, okiełznanie dokuczliwej, latającej plagi.

Na drugim roku studiów wydziału architektury kontynuowane były w dalszym ciągu tylko wykłady z budownictwa ogólnego, historii architektury oraz rysunek odręczny. Przybyło za to wiele nowych przedmiotów bardziej specjalistycznych, jak wytrzymałość materiałów, statyka budowli, budownictwo wiejskie, perspektywa malarska, liternictwo, fotografia i rysunek aktu.

Wykłady z wytrzymałości i statyki, pełne matematyki i obliczeń, były prowadzone wspólnie także dla Wydziału Budownictwa. Duże amfiteatralne sale podczas tych wykładów były zwykle przepełnione, gdyż na ten pokrewny wydział uczęszczało nieco więcej studentów niż na Architekturę. Trochę żałowałem, że nie ma dalszego ciągu wykładów matematyki, która na I roku obejmowała jedynie elementy wyższej matematyki. Natomiast matematyka była kontynuowana w sporym wymiarze na Budownictwie. Zamierzałem więc korzystać z tych wykładów, nawet przemysliwałem ewentualność zaliczenia również Wydziału Budownictwa.

Na drugim roku, od biedy, można było pokusić się na równoległe studiowanie obu wydziałów, gdyż sporo godzin wykładowych mieliśmy wspólnych. Potem dodatkowo wystarczyło by przedłużyć studia o 2 lata i miałbym zaliczone dwa fakultety. Były to oczywiście przymiarki nierealne i bezsensowne. Tym nie mniej prawie połowę semestru zimowego chodziłem dodatkowo na wykłady matematyki wyższej na drugim roku Wydziału Budownictwa.

Na wykładach z budownictwa wiejskiego i architektury I ucylił się całkiem serio metod budownictwa drewnianego, w tym, na przykład, stosowania na krycie dachów drewnianych gontów i dranic. Zwłaszcza w tych gontach lubował się nasz wykładowca

prof. T. Brzoza, sam Góral z pochodzenia. Oczywiście nigdy później w praktyce, jako projektanci, nie mieliśmy do czynienia z tymi staroświeckimi materiałami dekarскими. Zastąpiły je bezpowrotnie dachówka ceramiczna, blacha ocynkowana, eternit i „nieśmiertelna” papa na lepiuku.

Nie było już geometrii wykresłej, zaś prof. K. Dyba wykladał jedynie perspektywę malarską. Zaproponował mi wówczas asystenturę na jego katedrze geometrii wykresłej. Mimo, że propozycja była dla mnie nęcąca, po zastanowieniu się odpowiedziałem odmownie. Mianowicie istniały lepsze możliwości zarobkowania w naszej studenckiej spółdzielni pracy, nie miałem też absolutnie żadnych ambicji kariery akademickiej na uczelni.

Na tle coraz bardziej specjalistycznych przedmiotów nadal błyszczały wykłady z historii architektury powszechnej prof. T. Broniewskiego. Były to już jedyne wykłady, na których mogłem jeszcze korzystać ze swej umiejętności stenografowania. W innych przedmiotach za dużo było cyfr, wzorów i specjalistycznych określeń.

Postanowiłem więc wówczas wydać zarobkowo skrypt z jakichś wykładów na Wydziale Medycyny. Był to wydział najludniejszy, no i tam zapewne nie używano żadnych cyferek i wzorów. Żeby się zorientować, na ile byłoby to możliwe - poszedłem na jeden wykład na nieodległą ul. Norwida, gdzie dziś mieści się Akademia Rolnicza. Rzeczywiście liczb w wykładzie nie było, ale za to tyle autentycznej łaciny, że w połowie lekcji ulotniłem się z sali wykładowej.

Do grudnia zaliczyłem resztę ćwiczeń i zdałem zaległe egzaminy z letniego semestru pierwszego roku studiów. Miałem więc pod tym względem wyjątkowo czyste konto. Zapewne sądziłem też wówczas, że tą przyjemną praktykę bieżącego zdawania egzaminów będę mógł kontynuować. Stało się jednakże inaczej.

Mieszkając nadal u swej siostry na Sępolnie, stołowałem się w stołówce akademickiej, leczyłem zęby i chodziłem do klubu szachowego przy Akademickim Związku Sportowym, aby sobie pograć w tę ulubioną grę. Zdarzyło się, że rozegrałem, przy jakiejś okazji, jedną partię z ówczesnym szachowym mistrzem Polski. Gra trwała kilka godzin, gdyż obaj długo namyślaliśmy się, i skończyła się remisem. Oczywiście poczytywałem sobie to za wielki sukces. Miał być rozegrany później rewanż, ale nie doszedł jednak do skutku.

Za to wziąłem udział w finałowym spotkaniu Klubu AZS z Klubem Kolejarza, najsilniejszym klubem we Wrocławiu w tej wdzięcznej dyscyplinie szachowej. Grałem na drugiej szachownicy i swoją partię wygrałem. Uwzględniając jednak wszystkie 10 szachownic, na jakich rozegrano spotkanie - to AZS został przez Kolejarza pokonany.

We Wrocławiu w latach 1947-48 bardzo wiele się działo. Przede wszystkim remonty i wszelkiego rodzaju roboty budowlane prowadzone były w mieście na niezliczonych wprost placach budów. W dużym stopniu związane to było niewątpliwie z wyznaczonym na lipiec 1948 roku terminem otwarcia Wystawy Ziem Odzyskanych. Miała ona być podsumowaniem wielkiego dzieła odbudowy, dokonującego się na tych ziemiach, przyłączonych po wiekach do Polski. Faktycznie, obok odbudowy Warszawy, zagospodarowanie nowych terenów zachodnich, realizowane przez specjalnie utworzone w tym celu Ministerstwo Ziem Odzyskanych, było głównym przedmiotem działań władz i całego społeczeństwa polskiego. Zyskiwał na tym szczególnie Wrocław.

Wysiedlenie ludności niemieckiej w zasadzie zostało już zakończone. Zostali tylko fachowcy i specjaliści od przemysłu i gospodarki komunalnej, wraz ze swymi rodzinami. Pozostała też cała ludność autochtoniczna, jak wtedy nazywało się mieszkańców Ziem Zachodnich pochodzenia polskiego. We Wrocławiu było ich jedynie kilka tysięcy, lecz w Opolskim, na Górnym Śląsku i na Mazurach ludność autochtoniczna liczyła około milio-

na osób. Skończyła się też pierwsza duża fala repatriacji Polaków ze Wschodu, czyli jak się wówczas mówiło „zza Buga”. Było to prawie półtora miliona dusz. Odbывała się reemigracja kilkuset tysięcy Polaków z Francji, Belgii i Niemiec. Wreszcie na Dolnym Śląsku osiedliło się kilkanaście tysięcy Greków, uciekinierów z Grecji, objętej wojną domową.

Jednak najwięcej nowych osiedleńców na Ziemię Zachodnie przybyło z centralnej Polski. Proces ten trwał w 1947 i 1948 r. i ostatecznie objął ponad 3 miliony ludności. Wrocław w końcu 1948 r. liczył już około 250 tys. mieszkańców, głównie ludności polskiej. Było wśród nich około 100 tysięcy repatriantów z za Buga, głównie ze Lwowa oraz trzech byłych południowo-wschodnich województw. Można ich było stosunkowo łatwo rozpoznać, zwłaszcza ludzi starszych, po charakterystycznym miękkim, śpiewnym akcencie. Na przykład znakomitą część profesury uczelni wrocławskich stanowili wykładowcy wyższych szkół przedwojennego Lwowa. Również kadry nauczycielskie szkół średnich i podstawowych, lekarze, aptekarze, sędziowie oraz pisarze, zamieszkali i pracujący we Wrocławiu, przybyli w większości z południowo-wschodnich kresów II Rzeczypospolitej.

We Wrocławiu znalazła się również niemała grupa mieszkańców moich Monasterzysk. Byli wśród nich moi dwaj wujowie, także nasi sąsiedzi pp. Skrzypkowie, z którymi wyjechaliśmy w 1944 r. do Jordanowa, kilku kolegów i koleżanek mojej siostry z ich szkolnej „paczki”. Oczywiście, wszyscy krążyli na swych własnych życiowych orbitach. Urządzali się, pracowali w swych własnych, czy nowych zawodach, wielu uczyło się intensywnie, zakładało swe nowe rodziny.

We Wrocławiu znaleźli się też moi dwaj koledzy szkolni, o których dowiedziałem się później ze względu na specyficzne okoliczności im towarzyszące. Mianowicie mój najlepszy kolega z Monasterzysk Jurek Kruszka studiował na Wydziale Medycyny UW. Przeczytałem kiedyś w gazecie, że będąc bodaj na drugim roku studiów, popełnił samobójstwo. Nie wiem nawet, co było tego przyczyną. Być może zawiedzione sprawy sercowe, gdyż Jurek był człowiekiem bardzo wrażliwym. Natomiast inny mój kolega z VIIa był później przez wiele lat wojewodą wrocławskim.

Można śmiało powiedzieć, że Wrocław tamtych lat był jakby kotłem, w którym wrzało i kipiało i kształtowała się nowa polska już przyszłość tego wielkiego ośrodka miejskiego.

Do 1948 r. zlikwidowany został niesławny „symbol” polskości we Wrocławiu, to jest ostawiony szaberplac na Placu Grunwaldzkim.

Handelek uliczny tlił się jeszcze tylko na części tego placu od strony mostu Grunwaldzkiego. Zaś główne centrum handlowe miasta rozwinęło się w rejonie ul. Mathiasstrasse, późniejszej ul. J. Stalina, obecnej ul. Jedności Narodowej. Ale to był już handel oparty w dużej części o sieć funkcjonujących tam sklepów.

Aktualnym zaś symbolem odbudowy Wrocławia stały się odbudowy Ratusza Staromiejskiego, Powszechnego Domu Towarowego przy ul. Świdnickiej, gmachu Urzędu Wojewódzkiego oraz Mostu Grunwaldzkiego.

Most po uszkodzeniach wojennych funkcjonował wprawdzie już dwa lata, ale tylko dla ruchu pieszego i wymagał gruntownego remontu. Jest to stalowy, ponad stumetrowy most wiszący o oryginalnym



Ratusz śródmiejski. Stan obecny

nalnej konstrukcji. Aby nie demontować całego mostu, jezdnię podparto rusztowaniami z masywnych bali drewnianych, ustawionych na dnie rzeki i na zatopionych barkach.



Następnie dopiero zdemontowano całą stalową konstrukcję zwieszakową, wraz z dwoma noszowymi pasami, zawieszonymi na kamiennych pylonach. Również rozebrano, już na stałe, górne fragmenty samych pylonów, zmieniając w ten sposób wydatnie architekturę mostu. Między innymi, przy okazji, zlikwidowano pruskie orły wykute w kamiennych nadbudówkach. Odbudowa mostu stanowiła swego rodzaju atrakcję dla mieszkańców, którzy tłumnie przybywali w niedzielę, aby śledzić postęp robót.

Most Grunwaldzki nocą, Stan obecny

Most Grunwaldzki nie był jedynym wyróżnikiem Wrocławia. W mieście było sporo obiektów unikatowych, lub też największych w skali całej ówczesnej Polski. Wśród unikatowych można by wyliczyć jeszcze: Aulę „Leopoldinę”, z przebogatym barokowym wnętrzem, w budynku głównym Uniwersytetu; piętrowy, gotycki kościół Św. Krzyża przy Placu Biskupim; miniaturowe kamieniczki „Jaś i Małgosia” przed ogromnym kościołem Św. Elżbiety; ogród japoński w Parku Szczytnickim z egzotycznymi gatunkami roślin, a także wiele innych obiektów i budowli.

Natomiast do największych w skali całego kraju należały:

- Hala Ludowa (Stulecia) w formie żelazobetonowej kopuły o średnicy 130 m;
- Stadion Olimpijski z rozległym kompleksem boisk i obiektów sportowych;
- Ogród Zoologiczny, po powiększeniu o tereny wystawowe WZO;
- 6-piętrowy Dom Towarowy z ceramiczną fasadą przy ul. Świdnickiej;
- Dworzec Główny PKP w stylu neogotyckim;
- gmazysko Urzędu Wojewódzkiego.

Również w zakresie obiektów przemysłowych dało by się zapewne wskazać kilka największych w skali ówczesnej Polski.

W stosunku do wszystkich innych miast polskich - we Wrocławiu było też najwięcej kościołów oraz mostów i wiaduktów. Pod względem ilości kościołów Wrocław przewyższał nawet nieco Kraków, przy czym sporo z nich zaliczyć można również do największych i najstarszych obiektów sakralnych w Polsce. Zaś kilka z wrocławskich mostów może być przykładem oryginalnych konstrukcji stalowych w skali europejskiej i światowej.

Ponad to we Wrocławiu jest szczególnie dużo terenów wodnych: rzeki, kanały, stawy, fosy oraz wysokiej zieleni: parki, wielki Ogród Botaniczny, ZOO, duże cmentarze, ogrody.

Wszystkie te elementy miastotwórcze sprawiały, iż Wrocław był przez swych nowych mieszkańców podziwiany i ceniony. Równocześnie bardzo szybka odbudowa i porządkowanie całej infrastruktury miasta wzmagały powstawanie emocjonalnych więzi mieszkańców z miastem, wpływając na kształtowanie się wyraźnego, lokalnego, wrocławskiego patriotyzmu. Po prostu Wrocław dał się lubić i nowi jego mieszkańcy stawali się szybko, w swej masie, obywatelami tego wielkiego, pięknego ośrodka miejskiego.

Znakomita ich część bardzo szybko zaakceptowała i pokochała Wrocław, jakby jakąś naturalną, ojczyzną schedę. W ten sposób, w krótkim czasie kilku lat, ukształtowało się pierwsze, patriotyczne pokolenie Wrocławian. Chyba to samo można było powiedzieć o całych, odzyskanych po wiekach, Ziemiach Zachodnich, na których kończyła się już 3-letnia, największa wędrówka ludów w XX wieku w Europie.

Na początku roku szkolnego 1947/48 miał miejsce wiec studencki w Hali Ludowej. Związany był z inauguracją roku akademickiego. Między innymi, podczas wiecu odczytana została rezolucja potępiająca interwencję zbrojną Francji w Wietnamie i Laosie, zaś Holandii w Indonezji. W obu tych krajach wyzwoleńcze ruchy narodowościowe proklamowały w 1945 r. niepodległość państwową po kapitulacji okupującej je Japonii.

Wojny trwały również na półwyspie indyjskim, w Chinach, w Azji pld. zachodniej i w Afryce. Można powiedzieć, że po II wojnie światowej bynajmniej spokojnie na świecie nie było. Wielkie problemy miały dotychczasowe mocarstwa kolonialne W. Brytania, Francja i Holandia. Zdruzgotane były Niemcy i Japonia. Związek Radziecki, potwornie zniszczony, stawał przed ogromnymi zadaniami odbudowy. Tylko USA, z pośród liczących się państw świata, wyszły z wojny ze znacznie wzmocnioną gospodarką i stały się politycznym i gospodarczym supermocarstwem. I oto w 1947 roku pomiędzy dotychczas wzorowymi sojusznikami wojennymi zaczęły się mnożyć napięcia i podejrzliwość o wrogie zamiary. Na określenie tego stanu przyjął się termin „zimna wojna”, którą to nazwę pierwszy wprowadził polityk amerykański B. Baruch w swym przemówieniu w Columbii w IV 1947 r.

Polskie środki przekazu podkreślały głównie wystąpienia Churchilla w Fulton oraz sekretarza stanu USA J. Byrnesa w Stuttgarcie w 1946 r., gdyż dotyczyły one bezpośrednio polskiej racji stanu. W tym ostatnim zasugerowana została Niemcom możliwość rewizji uchwał poczdamskich i jałtańskich w sprawie zachodniej granicy Polski na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Polska ewidentnie wpisana została przez naszych dotychczasowych zachodnich przyjaciół na listę wrogów, natomiast miejsce beniaminka Zachodu w Europie, podobnie jak po pierwszej wojnie światowej, zajęły Niemcy Zachodnie. Stało się to, czego obawiał się E. Osmańczyk w swych „Sprawach Polaków”, tylko z innych przyczyn, niż przewidywał.

Nastąpił wkrótce podział świata na dwa przeciwstawne sobie obozy państw. Jednemu przewodziły Stany Zjednoczone, drugiemu ZSRR, które zaczęły rywalizować o hegemonię na świecie. Ten podział dokonał się również w zróżnicowanym nazewnictwie powstałych bloków. Nasza prasa pisała o obozach demokratycznym i imperialistycznym, zaś według prasy zachodniej świat dzielił się na blok państw komunistycznych i „Wolny świat”.

Kielkująca zimna wojna między mocarstwami światowymi przenikała i na grunt Polski. Zaowocowała w kraju przede wszystkim nowymi terminami, wymarzonej przez niektórych, „trzeciej światowej”. Tym razem miała być ona okraszona bombkami atomowymi, świeżo wypróbowywanymi na Pacyfiku na atolu Bikini.

Zagościła również do małego kościółka w Parku Szczytnickim, do którego niekiedy chodziłem na msze niedzielne. Oto ksiądz proboszcz poczęstował wiernych kazaniem o rozpuszcie, prześladowaniu Kościoła w Polsce i o „czerwonych diabłach”. Gdy te czerwone diabły powtórzyły się kilka razy - wyszedłem z kościółka, żegnając się z Kościołem na zawsze. Oczywiście to jętrzące, polityczne kazanie było jedynie przysłowiową kroplą, jaka przelała kielich goryczy. W kieliszku było już wiele innych kropel, sączonych do niego przez lata:

- w 1933 r. państwo Watykan, jako jedno z pierwszych, uznało hitlerowską III Rzeszę, a w VII 1933 r. zawarło z Niemcami konkordat na bardzo dogodnych dla Hitlera warunkach;

- w 1935 r. Papież Pius XI błogosławił wojska faszystowskich Włoch, wyprawiające się na podbój Abisynii;

- w 1936 r. Kościół poparł prawicowy pucz gen. Francisco Franco przeciw legalnym

władzom republikańskiej Hiszpanii i przez cały czas krwawej wojny domowej współpracował i wspierał go efektywnie;

- Pius XII nie potępił agresji niemieckiej na katolicką Polskę we wrześniu 1939 r., za to już w grudniu 1939 r., łamiąc konkordat zawarty z Polską w 1925 r., mianował biskupów niemieckich Spletta z Gdańska i Breitingera z Wrocławia administratorami polskich diecezji, przyłączonych do III Rzeszy;

- Watykan oficjalnie i żarliwie popierał Hitlera we wszystkich jego agresywnych działaniach. Inwazję na Rosję papież uczcił orędziem, wieszcząc rychły triumf Niemiec w walce o „obronę zrębów chrześcijańskiej kultury”;

- w latach 1939-45 Kościół współdziałał z faszystowską organizacją ustaszowców Ante Pavelića w Chorwacji. Ustasze, u boku Niemiec zwalczając partyzantów Tita, przy okazji wymordowali 800 tys. prawosławnych Serbów w Jugosławii;

- przez cały okres wojny Watykan nie zdobył się na słówko potępienia zbrodni hitlerowskich w katolickiej Polsce i innych krajach okupowanych;

- natomiast w 1946 r. Pius XII potępił Polskę za akcję przesiedlania Niemców do zachodnich stref okupacyjnych, prowadzoną na mocy decyzji zwycięskich mocarstw w Poczdamie.

W taki oto sposób Kościół, dzięki własnym usilnym staraniom, stracił jedną owieczkę, a właściwie baranka, ze swej licznej trzody wiernych. To pożegnanie się z mistyczną wiarą katolicką spowodowało w ogóle przemebłowanie mego światopoglądu na jednoznacznie materialistyczny.

Pomogła mi w tym lektura licznych książek o tematyce społeczno-politycznej i historycznej. Przeczytałem wtedy między innymi także kilka broszur i książek Lenina, a nawet przymierzyłem się do „Kapitału” Karola Marksa. Ale pojęcia wartości dodanej, przemiany pieniądza w kapitał czy akumulacji pierwotnej nie mieściły się w mej ograniczonej głowie i utknąłem ostatecznie na pierwszym rozdziale epokowego dzieła brodatego filozofa.

Ponieważ okres wojenny do 1944 r. spędziłem na kresach wschodnich, więc byłem obserwatorem tragicznych stosunków polsko - ukraińskich, jakie tam wówczas miały miejsce. Nic dziwnego, że interesowałem się również i po wojnie dalszym przebiegiem tego dramatu, który rozgrywał się już w nowych granicach naszego kraju. Otóż jesienią 1944 i wiosną 1945 r. część sotni UPA przeniosła się z Sanu do województw rzeszowskiego i lubelskiego. Tu kontynuowały one terror i eksterminację ludności polskiej. Swą działalność UPA skoncentrowała głównie na terenie Bieszczad, gdzie zbudowano rozległą sieć bunkrów w lasach i wioskach łemkowskich. Początkowo lokalne słabe jednostki MO, WBW i WOP nie radziły sobie z kurinami UPA, zwłaszcza że równocześnie na terenach wschodnich i górskich województw działały rodzime oddziały WIN i NSZ. Obie te organizacje, występując zbrojnie przeciwko nowotworzonym władzom Polski Ludowej, częściowo współdziałały z lokalnymi strukturami OUN i UPA.

Ale w 1947 r., po zastrzeleniu 28 marca w zasadzce pod Baligrodem generała K. Świerczewskiego, na tereny te skierowano dodatkowe jednostki WP. W ramach przeprowadzonej wojskowej akcji pod kryptonimem „Wisła”, w okresie IV - VI 1947 r. rozbite i zniszczone zostały wszystkie kuriny UPA w Bieszczadach. Aby pozbawić je oparcia i zaopatrzenia, wysiedlono też wówczas całą ludność ukraińską z terenów Bieszczad na tereny północnych województw Polski. W wyniku tych działań powojenny rozdział terrorystycznych akcji UPA został w drugiej połowie 1947 r. ostatecznie zamknięty.

ODBUDOWA WROCŁAWIA

Wystawa Ziem Odzyskanych * Kongres Intelktualistów * Bal Architektury * Przyspieszenie egzaminacyjne * Dyplom

Wiosną 1948 roku trwały już pełną parą bezpośrednie prace, związane z przygotowywaniem Wystawy Ziem Odzyskanych. Przeznaczono pod nią rozległe tereny otoczenia Hali Ludowej i rejon obecnego Ogrodu Zoologicznego.

Przed wszystkim odbudowana została, dość poważnie uszkodzona w czasie działań wojennych, sama Hala Ludowa, bezsprzecznie największy obiekt widowiskowy w Polsce do dnia dzisiejszego. Wybudowana została w roku 1913 jako główny reprezentacyjny obiekt na obchody 100-letniej rocznicy klęski Napoleona I w bitwie pod Lipskiem. Dla tego też nazywano ją „Jahrhunderthalle”. Mieściła do 60 tys. widzów na stojąco. W czasie remontu odbudowano również boczne skrzydła hali, zaś na środku widowni zamontowano kilka tysięcy krzeseł. Szybko także odrestaurowano gruntownie zespół budynków dzisiejszej Wytwórni Filmów Fabularnych.

Ale głównym placem budowy była realizacja nowych przeszklonych obiektów wystawienniczych przed Halą Ludową, w których umieszczono w czasie wystawy ekspozaty przemysłu ciężkiego. Stalowe konstrukcje tych hal montowano przy pomocy wielkich dźwigów portowych.

Szczególnym akcentem oraz symbolem Wystawy miała być stalowa iglica wraz z trzema strzelistymi, ażurowymi łukami drewnianymi, ustawionymi ukośnie obok niej. Iglica wysokości ponad 100 metrów zaprojektowana została przez znanego konstruktora St. Hempla.

Zaś na terenach za ul. Wróblewskiego do Odry zrealizowano kilkanaście różnej wielkości pawilonów wystawienniczych dla różnych central przemysłowych i handlowych. Było to całe miasteczko z własnymi ulicami, placami, kwietnikami oraz fontannami. Na tych terenach, przy starym, małym ZOO, które zresztą też odnowiono i reaktywowano, były park i duża łąka z barakami, w których produkowano radary pod koniec wojny. Baraki te oczywiście zostały rozebrane.

Organizacyjnie tereny wystawowe podzielone zostały na dwie strefy. Każda miała swego Komisarza Wystawy, którzy kierowali wszystkimi pracami przygotowawczymi. Byli nimi: prof. arch. Jerzy Hryniewiecki z Warszawy dla strefy „A” wokół Hali Ludowej i inż. arch. Tadeusz Ptaszycki dla strefy „B” usytuowanej na południe od ul. Wróblewskiego.

Wiosną i my, studenci architektury, wciągnięci zostaliśmy w wir prac, związanych z przygotowywaniem Wystawy. Ja osobiście w okresie maja - czerwca współpracowałem przy wykonywaniu dokumentacji projektowej na budowę Pawilonu Kineematografii Polskiej. Był to stosunkowo nieduży obiekt z jedną większą salą projekcyjną, w jakiej później, w czasie trwania Wystawy, wyświetlane były non-stop kroniki i różne filmy, głównie krótkometrażowe. Projekt wstępny opracował architekt warszawski, który następnie, na okres opracowania technicznego projektu realizacyjnego, zamieszkał w hotelu w Parku Szczytnickim we Wrocławiu. Zostałem zaangażowany przez



Ptaszyccy przed Iglicą

niego do wykreślenia rysunków roboczych.

Zamieszkałem też na okres kilku tygodni w tymże hotelu, w pokoju wynajmowanym przez niego na pracownię. Sam hotel stanowił bardzo oryginalną budowlę z lat dwudziestych, zrealizowaną jako eksperymentalny budynek mieszkalny. Obejmował nieduże mieszkania, zaprojektowane w dwóch poziomach, o bardzo racjonalnie rozplanowanej powierzchni użytkowej, oraz zróżnicowanej wysokości poszczególnych pomieszczeń. Na dachu budynku był ogród, zaś parter poprzez tarasy łączył się również z terenami zielonymi.

Te prace kreślarskie, związane z projektowaniem wystawowego pawilonu kinowego, zajęły mi kilka tygodni czasu. Prawie nie chodziłem na wykłady, rysowałem również nocami. Moje rysunki wprost z deski zabierane były na budowę. Ponieważ autora projektu bardziej interesowały urodzive Wrocławianki, więc praktycznie ja narysowałem cały pawilon, wywiązując się z nawiązką z podjętych obowiązków. Na dzień przed otwarciem wystawy obiekt był gotowy.

W lipcu wykonywałem już inne prace, dołączając do ekipy kolegów, urządzających wnętrza dużego pawilonu Izby Przemysłowo-Handlowej, skupiającej wszystkie branże drobnej wytwórczości. Wykonywaliśmy stoiska, regały wystawiennicze, dekoracje, wszelkie napisy, reklamy, oraz ustawialiśmy liczne eksponaty. Były to więc bardzo pracochłonne czynności. Oczywiście pracowaliśmy także nocami, zaś już zupełnie dramatyczna była ostatnia noc przed uroczystym otwarciem Wystawy.

Otóż około północy zgłaszało wszędzie oświetlenie elektryczne. Nie mogliśmy nic robić, a było jeszcze wiele prac końcowych i kosmetycznych przed nami. Na szczęście przerwa trwała niewiele ponad godzinę i do 6-tej rano cała nasza, umordowana ekipa studencka opuściła pawilon, przejęty zaraz przez właściwą obsługę.

Na kilka dni przed 22 lipca ustawiona została stalowa iglica, symbol Wystawy, na środku placu przed Halą Ludową. Cały montaż konstrukcji dokonany został na ziemi, na leżącym, przy czym czubek iglicy sięgał poza kolumnadę głównego wejścia na tereny wystawowe. Podniesienie jej trwało kilkanaście godzin przy użyciu wielu stalowych lin, nawijanych powoli na specjalne kołowroty, jakie zakotwiono przed i w samej hali.

Na szczycie iglicy zamontowana została duża aluminiowa tarcza o średnicy ok. czterech metrów. Tarcza ta, odpowiednio ukształtowana od spodu, miała być wprawiona w szybki ruch obrotowy i odbijać, niczym lustro, światło kilku baterii reflektorów, zamontowanych u podnóża iglicy. Ten wirujący, świetlny dysk stanowić miał główną atrakcję Wystawy.

Ale na dwa dni przed otwarciem imprezy nad Wrocławiem rozszalała się silna wichura. Pozrywała liczne, porozwieszane już transparenty i flagi, wygięła również nieszczęsny dysk aluminiowy na szczycie iglicy. W ten sposób zamierzony główny efekt wystawy „diabli wzięli” i mało kto potem domyślał się, jakie to nadzwyczajne świetlne widowisko miało być udziałem zwiedzających. Zaś wcześniejsze plotki niosły, że będzie to kolorowa tęcza, rozświetlająca całe tereny wystawowe.

Tym niemniej, nawet to niszczące dzieło wichury zostało bardzo efektownie spozyczkowane. Mianowicie, kilkanaście dni później, już w czasie trwania imprezy, wynajętych zostało kilku krakowskich taterników, celem zdemontowania pociętej aluminiowej tarczy. Wspinaczka i cięcie konstrukcji „kapelusza” iglicy trwało dwie doby i obserwowane było przez tłumy gapiów, tkwiących całymi godzinami na ul. Wróblewskiego, zwłaszcza w rejonie torowiska tramwajowego. Nocą wspinaczka i praca taterników były efektownie oświetlane przez kilka silnych reflektorów lotniczych.

Wystawa Ziem Odzyskanych trwała od 22.VII do 31.X.1948 r. i spełniła swą rolę podsumowania wielkiego 3-letniego dorobku w odbudowie naszych Ziem Zachodnich.

Zwiedziło ją kilka milionów ludzi z całego kraju. Ja uczyniłem to oczywiście wielokrotnie i pozostał odtąd w mej pamięci wielki sentyment do samej Wystawy i w ogóle do tamtych trzech lat mego pionierskiego, wrocławskiego życiorysu. I gdy potem pytano mnie o miejsce mego pochodzenia, to zwykle odpowiadałem, że jestem Wrocławianinem. Czuję się nim właściwie do dziś, mimo iż mieszkam w Krakowie już ponad czterdzieści lat.

Na dzień otwarcia WZO zorganizowany też został we Wrocławiu Kongres Zjednoczeniowy Młodzieży Polskiej. Zjechało się do miasta 60 tysięcy młodych ludzi, reprezentujących wszystkie istniejące masowe organizacje młodzieżowe oraz studenckie. Uczestnicy spoza miasta kwaterowali głównie w wielkim obozowisku namiotowym na Polu Marsowym, na terenach olimpijskich. Przez 3 dni trwania zlotu we Wrocławiu roiło się od młodzieży, chyba najczęściej było umundurowanych harcerzy i junaków SP.

Zjazd dokonał scalenia wszystkich dotychczasowych organizacji w jeden Związek Młodzieży Polskiej z autonomiczną organizacją studencką - Związkiem Akademickiej Młodzieży Polskiej. A zakończony został imponującą defiladą na Placu Grunwaldzkim. Kolumny maszerujących szły w szeregach po 24 osoby.

Za niedługi miesiąc odbyła się we Wrocławiu kolejna wielka impreza, tym razem o zasięgu międzynarodowym. W dniach 26-30 sierpnia miał miejsce Międzynarodowy Kongres Intelktualistów w Obronie Pokoju. Zorganizowany przez francusko-polski komitet, zapoczątkował szeroki ruch na rzecz obrony pokoju, jaki się później rozwinął w Europie i na całym świecie. Kongres skupił przedstawicieli nauki, kultury i sztuki z 45 krajów, przewodniczył mu prof. F. Joliot-Curie.

Zjazd zakończył się rezolucją w obronie rozwoju kulturalnego narodów i pokoju na całym świecie. Zaś w ostatnim dniu Kongresu odbyło się otwarte zgromadzenie w Hali Ludowej. Wziąłem w nim udział wśród kilkudziesięciu tysięcy osób zgromadzonych w Hali. W części oficjalnej na wielkiej scenie za stołem prezydialnym prezentowali się różnokolorowi, dostojni przedstawiciele szczytów kultury i nauki światowej.

Potem, po zdemontowaniu stołów, na podium wystąpiły liczne barwne zespoły tańca, chóry i soliści różnych narodowości. Zaczęło się od wtoczenia na środek sceny białego fortepianu, przy którym zasiadł dwumetrowej wysokości Murzyn. Zaś za chwilę, zza kulis, do fortepianu podszedł, odmierzając długie kroki, drugi, równie wysoki, Murzyn. Był to Paul Robeson, który rozpoczął swój krótki recital od piosenki „Missisipi”. Robeson śpiewał niepowtarzalnym, głębokim basem, zaś „Missisipi” w jego wykonaniu zaliczyć można śmiało do najwyższych osiągnięć wokalistyki światowej. Hala Ludowa we Wrocławiu wówczas, niemal dosłownie, zatrzęsała się od braw.

Wieczorem, o zmroku, odbył się pokaz ogni sztucznych na cześć uczestników Kongresu. Stałem wśród międzynarodowej publiczności na dużym tarasie widokowym za Halą Ludową. Tłem pokazu były półkolista kolumnada-pergola otoczona pnąciami i Park Szczytnicki.

Ognie sztuczne rozpoczęły się od srebrnego, ognistego wodospadu, z którego wylonił się kilkumetrowej wysokości napis „PAX-MIR-POKÓJ”. Potem nastąpiła feeria młynków i kolorowych fajerkwerków, zakończonych późną nocą kanonadą petard. Cały czas widowisku towarzyszyła muzyka orkiestralna, zaś niskie ognie odbijały się w wodzie wielkiego basenu, usytuowanego na środku placu w zakolu kolumnowej pergoli. Nigdy już potem nie widziałem tak okazałego pokazu ogni sztucznych i w tak pięknej scenerii.

Wszystkie te wydarzenia połowy 1948 r. spowodowały, że poważnie zaniedbałem swą naukę pod koniec II. roku studiów. Nie chodząc tygodniami na wykłady, nie miałem

też żadnych szans na przystąpienie do jakichkolwiek egzaminów w ramach letniej sesji egzaminacyjnej. Pękła więc bańka wcześniejszych, przerośniętych ambicji o przodowaniu w nauce i znalazłem się w szerokim nurcie normalnych studentów, chodzących wybiórczo na wykłady, uzupełniających przerobiony materiał w miarę możliwości czasowych i przystępujących do egzaminów raczej później, niż na bieżąco.

Tego lata przyjąłem jeszcze prace projektowe w ramach spółdzielni „Arkady”. Podjąłem się mianowicie opracowania rysunków inwentaryzacyjnych i szkicowych projektów remontu i zagospodarowania kilkunastu sklepów. Zlecenia dostarczyła nowo powstała organizacja handlowa Centrala Przemysłu Mięsnego. W okresie tym władze państwowe realizowały hasło tzw. „bitwy o handel” i powstało wówczas wiele różnych central handlowych z zamiarem zbudowania wielkiej sieci państwowych sklepów detalicznych i hurtowni, co zresztą w krótkim czasie faktycznie zostało zrealizowane.

Moje prace polegały na obmiarze i narysowaniu rzutów wskazanych lokali, przeznaczonych na sklepy CPM, oraz na naszkicowaniu projektowanych zmian remontowych i budowlanych, rozmieszczenia punktów oświetleniowych, urządzeń sanitarnych, kontuarów, regałów i półek handlowych.

Bardzo ważne było opracowanie kosztorysów na wszystkie te prace remontowe i wyposażenie sklepów. Oczywiście w skali miasta tych sklepów było dużo więcej, podobne projekty opracowywali również liczni moi koledzy. Kierownictwo spółdzielni bardzo uprościło nam robotę, zestawiając kompleksowe wyceny poszczególnych robót remontowych oraz wyposażeniowych. Wystarczyło to wyceny przemnożyć przez jednostki obmiarowe przewidzianych robót, aby uzyskać zbiorcze kosztorysy danego sklepu. Pomagała mi w tym moja siostra. W ciągu kilku miesięcy sklepy były potem remontowane i oddawane do użytku.



Ślub siostry Haliny

Do grudnia 1948 r. zdałem kilka zaległych egzaminów z drugiego roku. Ale spore zaległości pozostały na lata następne.

Wreszcie w księgarniach pojawiły się w większej ilości różne specjalistyczne wydawnictwa książkowe, przydatne w studiach architektonicznych. Również nasi profesorowie mieli w tym swój udział. Między innymi wydany został, świetnie napisany i bogato ilustrowany, I tom powszechnej historii architektury prof. T. Broniewskiego. Skończyła się nareszcie epoka prowizorycznych skryptów powielaczowych.

Żywienie gospodarcze wyraźnie odczuwało się też w podaży różnych towarów konsumpcyjnych na półkach sklepowych. Często nie były to towary i urządzenia o najwyższym standardzie światowym, ale produkowane masowo i sprzedawane tanio, spełniały swą rolę doskonale. Niewątpliwie takim przedmiotem było proste, wielozakresowe radio „Pionier”, produkowane w Dzierżoniowie na Dolnym Śląsku w milionach egzemplarzy. Aparaty te różniły się między sobą tylko kolorem obłój, bakelitowej skrzynki. Kupowali je dosłownie wszyscy, ja również sprawilem sobie to radjko, które z powodzeniem służyło mi przez kilka lat.

Przejawem stabilizacji było też ostateczne zniesienie wszelkich kartek spożywczych w październiku 1948 roku.

Zostałem w tym czasie członkiem Związku Akademickiego Młodzieży Polskiej. Działalność naszego koła na roku sprowadzała się głównie do organizowania systematycznych, wewnętrznych szkoleń i prelekcji na tematy społeczno-polityczne i do dyskusji z tym związanych.

Jesienią 1948 r. bardzo zintensyfikowane zostały roboty związane z rozbiórkami wypalonych budynków w centrum miasta za Mostem Grunwaldzkim. Doprowadzono tam torowiska kolejowe przez przedłużenie bocznicy, istniejącej za Dworcem Głównym. Następnie zorganizowano planowe, systematyczne rozbiórki szkieletów wypalonych budynków wzdłuż całych ulic. Polegało to na tym, że kikuty wypalonych domów obwiązywane były łańcuchami, a następnie zwalane przy użyciu czołgów.

Po opadnięciu chmury kurzu odzyskiwane cegły na miejscu segregowano, czyszczono i ładowano wprost na podstawione na bocznicach wagony-lory. Uzyskiwano w ten sposób dziennie setki tysięcy sztuk dobrej, ceramicznej cegły, zdolnej do dalszego użytku. Po załadowaniu całego składu wagonów, doczepiano lokomotywę i tak sformowany pociąg odjeżdżał z gruzowiska wprost do Warszawy.

Po trzyletnim okresie szerokiej odbudowy całego kraju, ale ze szczególnym uwzględnieniem odzyskanych Ziemi Zachodnich - przyszedł czas na ustalenie priorytetowych zadań inwestycyjnych w skali całego kraju. Po 1948 roku głównym placem odbudowy i rozbudowy nadal miała być Warszawa. Było to, obok Berlina, najbardziej zniszczone miasto spośród wszystkich dużych miast europejskich. Berlin, stolica III Rzeszy, zrujnowany został wskutek dywanowych nalotów bombowców alianckich i bezpośrednich działań wojennych. Warszawa okaleczona została w wyniku działań wojennych w kampanii wrześniowej 1939 r., zaś zniszczona doszczętnie w trakcie i po Powstaniu w 1944 roku.

Jeśli nadal miała być stolicą Polski, to wymagała szybkiej odbudowy. Taką też decyzję podjęły władze PRL jeszcze w 1945 roku, przeznaczając następnie przez kilka kolejnych lat około połowy ogólnokrajowych środków finansowych i materiałowych na odbudowę stolicy. Jedynie scentralizowana władza polityczno-gospodarcza, jaka wtedy zaistniała w Polsce, mogła sobie pozwolić na tak wielką koncentrację wysiłku inwestycyjnego na jednym placu budowy.

Utworzono też wówczas ogólnopolski Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy, na który wszyscy pracujący wpłacali po 0,5 % swych bieżących zarobków. SFOS funkcjonował przez kilkanaście lat i za jego pośrednictwem Warszawa wzbogaciła się o dziesiątki nowych obiektów użyteczności publicznej.

Potem przyszły Nowa Huta i budowy licznych wielkich zakładów przemysłowych 6-letniego Planu Odbudowy i Rozwoju. Ale do 1949 r. tylko w Warszawie zaczęto realizować całe nowe osiedla mieszkaniowe. Były to Mariensztat, Muranów, rejon Trasy W-Z, Starówka. Bywałem w stolicy w tych latach co roku i widziałem to niesamowite tempo prac, gdy w ciągu roku-dwu budowano nowe, duże wielotysięczne osiedla mieszkanio-

we. Inwestycje te wymagały olbrzymich ilości materiałów budowlanych, w tym setek metrów sześciennych cegły dziennie. Dostarczał je Wrocław, przysyłając po kilka pociągów tego budulca co dnia.

Natomiast w moim mieście, po fantastycznym okresie remontów i porządkowania miasta w czasie przygotowywania WZO, od końca 1948 roku wszystko wyraźnie „siało”. Nie, żeby nic się nie działo, ale już nie było tej gorączki i tempa remontów i odbudowy. Najwidoczniej pieniądze państwowe płynęły szeroką strugą do stolicy, a omijały już Wrocław. Tak było potem przez parę ładnych lat. Sądzę, że w podobnej sytuacji znalazło się również wiele innych miast i rejonów kraju, wyraźnie upośledzonych w dziedzinie odbudowy w stosunku do Warszawy. Jakże inaczej potoczyłyby się losy i rozwój Polski, gdyby stolica kraju ocalała, jak Praga, Paryż, Rzym, czy Belgrad.

Ale i tak Wrocław prezentował w 1948 r. znacznie lepsze warunki zamieszkania, niż chyba wszystkie miasta centralnej Polski. Nawet te, które nie ucierpiały w wyniku działań wojennych, jak Kraków, Łódź i Katowice. Wrocław przedwojenny był bardzo zamożnym miastem, o wysokim standardzie mieszkań i infrastruktury miejskiej. Dostatnie śródmiejskie i południowe, rentierskie dzielnice oraz kilkanaście osiedli willowych i o niskiej zabudowie, otaczające wiankiem rozległe centrum, tuż przed wojną zamieszkiwało ponad 800 tys. mieszkańców.

Po wyremontowaniu i odbudowie ze zniszczeń wojennych wszystkiego, co było możliwe stosunkowo niewielkim kosztem, 250 tysięcy nowych mieszkańców znalazło w mieście zupełnie niezłe warunki zamieszkiwania. Również pracy, gdyż Wrocław był i odradzał się jako wielki ośrodek przemysłu, nauki, kultury, handlu i komunikacji.

W karnawale 1949 r., ściślej dnia 26 lutego, odbył się Bal Architekta w salach Politechniki Wrocławskiej. Bal został oficjalnie i faktycznie zorganizowany przez Związek Słuchaczy Architektury, zaś bezpośredni udział w pracach związanych z przygotowaniem i przeprowadzeniem imprezy wzięli udział prawie wszyscy studenci Wydziału Architektury.

Założyliśmy komitet organizacyjny, w którym poszczególne osoby organizowały i były odpowiedzialne za konkretne ogólne przedsięwzięcia. Kol. J. Mierzejewski odpowiadał za przygotowanie dekoracji sal; J. Lorenz organizował część artystyczną imprezy - orkiestry i występy artystów; Z. Dmowski zabezpieczał przebieg balu - bufety, obsługę sal, służby porządkowe. Kol. K. Kabat, jako prezes ZSA, koordynował całość prac. To oczywiście w dużym skrócie.

Przy projektowaniu i wykonywaniu dekoracji pracowało kilkadziesiąt osób. Każda z trzech sal tanecznych i czterech sal bufetowych urządzona była w innym stylu, wg z góry założonego motywu tematycznego. Jedna z sal w stylu staroegipskim: był grobowiec faraona, kolumnady, piramidy, hieroglify i ornamentyka egipska.

Inna sala przedstawiała królestwo Neptuna, więc były sieci, fontanny, trójzub, dno morza, ryby i inne stwory morskie.

Kolejne sale prezentowały boga winnic Bachusa i średniowieczną pracownię alchemiczną. W tej ostatniej podawano trunki mieszane w specjalnych retortach, zaś w rogu sali urządzona była duża, ciemna grota z wielką, podświetloną tarantulą.

Główna sala taneczna, to jest piękna aula, otrzymała tylko różnokolorowe girlandy i lampiony.

Ale dekoracje nie ograniczały się tylko do sal. W holu wejściowym przymilny kot w butach czyścił gościom buty, a kwiaciarka miała cały kwiatny ogródek. Nawet fryzzeria posiadała odpowiedni wystrój. W holu przed aulą na I piętrze urządzona była stanowisko dla fotografa z tłem w postaci skróconej perspektywy ulicy ze średniowiecznymi domami Wrocławia. Tę malarską dekorację sam wykonywałem, oczywiście według

własnego pomysłu. Pracę skończyłem na kilka godzin przed otwarciem imprezy, podobnie jak prawie wszyscy inni wykonujący dekoracje.

Rozprowadziliśmy oryginalne zaproszenia i stosunkowo drogie bilety wstępu dla dwóch tysięcy osób. Amatorów balu było jednak znacznie więcej i na wolnym rynku bilety te odsprzedawane były po kilkakroć wyższej cenie. A w dniu balu dokonywane były próby wejścia do budynku przez okna piwniczne i po drabinie na I piętro. Funkcjonowała jednakże liczna, sprawna straż porządkowa z opaskami na ramionach, która zapobiegała nadmiernemu tłokowi na balu. Likwidowała ona również dyskretnie co bardziej podchmielonych uczestników, odprowadzając ich do specjalnej izby wytrzeźwień, przygotowanej w suterrenach.

Równie bogata była część artystyczna. Do tańca grały trzy orkiestry, na auli kilkunastoosobowa orkiestra ulokowana została na balkonie. Głównym punktem programów artystycznych były występy taneczne primabaleriny Opery Poznańskiej B. Bitnerówny oraz arie operetkowe w wykonaniu znakomitej śpiewaczki sopranowej B. Sawickiej. Poszczególne elementy programu zapowiadał z antresoli auli nasz kolega Jerzy Lorenz. Robił to z gracją i ze swadą, jakie dałoby się przyrównać do umiejętności Lucjana Kydryńskiego, czy Bogusława Kaczyńskiego.

Z początkiem 1949 r. jeszcze raz, już po raz ostatni, dane mi było stenografować większe zgromadzenie. Zbliżał się termin zakończenia 3-letniego planu odbudowy gospodarczej kraju, ogłoszonego na lata 1947-49. W związku z tym zaistniała potrzeba zbilansowania uzyskanych efektów, oraz określenia i wytyczenia wskaźników rozwoju gospodarki polskiej na dalsze lata.

Częściowo zadanie to miał spełnić przewidziany na wiosnę 1949 r. II Zjazd Przemysłowy. Była to impreza zaplanowana z dużym rozmachem, przy udziale najwyższych władz państwowych i obejmowała wszystkie dziedziny przemysłu krajowego.

Zorganizowanie jej we Wrocławiu spowodowane było wielu czynnikami. Między innymi tym, że miasto posiadało niezbędną infrastrukturę, jak odpowiednie pomieszczenia na obrady, hotele itp., jakiej Warszawa wówczas jeszcze nie miała. Plenarne posiedzenia Zjazdu odbywały się w auli, zaś obrady licznych komisji oraz podkomisji w salach rysunkowych i wykładowych Politechniki Wrocławskiej.

Zostałem zaangażowany przez Polską Agencję Prasową, jako rezerwowy stenograf obrad plenarnych. Okazało się to jednakże zbędne, gdyż dyskusje plenarne notowane były przez zespół stenografów warszawskich. Dysponowali oni maszyną do stenografowania, jaką pierwszy raz widziałem. Podobna była zresztą do zwykłej maszyny do pisania. Referaty oczywiście przygotowane były na piśmie, więc nie wymagały zapisu stenograficznego. Na sali obrad miałem możliwość obserwowania wszystkich ministrów i szefów departamentów gospodarczych oraz prezesów i dyrektorów zjednoczeń i większych zakładów przemysłowych w Polsce.

Obrady trwały kilka dni, ja ostatecznie stenografowałem posiedzenia Komisji Przemysłu Lekkiego. Grupowała ona kilkadziesiąt dyrektorów zjednoczeń oraz przedsiębiorstw przemysłu cukrowniczego, tytoniowego, browarniczego, młynarskiego, spożywczego itp. Byli to wszyscy starsi, nobliwi panowie, mocno zaangażowani w odbudowę i problemy swych zakładów i branż.

Bardzo się wtedy napracowałem. Po wielogodzinnych debatach starałem się jak najwięcej notatek stenograficznych przepisać na zwykłe pismo. Zaś późnymi wieczorami dyktowałem na hali maszyn ważniejsze fragmenty wprost przydzielonej mi maszynie. Na hali prasowej był potworny stukot kilkunastu maszyn i gęsty dym papierosowy. Wówczas nie paliłem jeszcze papierosów i chyba po raz pierwszy w życiu rozboleła mnie silnie głowa. Już na następny dzień informacje i ustalenia podejmowane na Zjeź-

dzie publikowane były szeroko w gazetach, ale nie miałem czasu je czytać. W ostatnim plenarnym posiedzeniu udział wziął prezydent B. Bierut. Ja cały ostatni dzień przepisywałem swe notatki stenograficzne, żeby wręczyć je v-ministrowi Nowińskiemu, który przewodniczył Komisji Przemysłu Lekkiego.

Między innymi, na skutek zaangażowania się w prace przy urządzaniu Balu Architektury i stenografowanie II Zjazdu Przemysłowego, znów zaniedbałem naukę w końcówce trzeciego roku studiów. W letniej sesji egzaminacyjnej zdałem tylko jeden egzamin z perspektywy malarskiej, a także zaliczyłem rysunki odręczny i aktu.

Po czym wkrótce pojechałem na obóz studencki ZAMP do Międzygórza. Jest to urocza miejscowość wczasowa, leżąca u podnóża góry Śnieżnik w górach Złotych, bardzo blisko granicy państwowej z Czechami.

Sam obóz znajdował się w małej miejscowości Szklary obok Międzygórza. Było nas tam ponad stu studentów z całej Polski. Pobyt w obozie trwał miesiąc i związany był z wykonywaniem prac społecznych przez wszystkich uczestników.

Podzieliłiśmy się na kilka grup, z których każda wykonywała inne prace. Najwięcej osób pracowało przy pracach żniwnych, pomagając licznym gospodarstwom rolnym w promieniu wielu kilometrów, głównie w wiązaniu snopków, ładowaniu ich na wozy i układaniu stogów. Duża grupa zajęta była oznakowaniem i zabezpieczaniem szlaków turystycznych w masywie góry Śnieżnik.

Ja, wraz z drugim kolegą, który był również studentem Architektury, wykonywaliśmy prace bezpośrednio związane z naszą profesją. On dysponował motocyklem i jeździliśmy po całym powiecie, urządzając i dekorując wystawy w wiejskich sklepach, głównie spożywczych. Zabieraliśmy ze sobą kolorowe bibułki, bristol, farby, tusz i redisy i na miejscu improwizowaliśmy dekoracje wystaw sklepowych, wykonując różne napisy, kolorowe atrapy i ozdóbki z bibuły.

Koniec turnusu uwieńczony został trzydniową zabawą i występami, jakie organizowaliśmy we własnym zakresie. Faktycznie ta 3-dniowa impreza nie była zaplanowana w takiej skali, lecz została wymuszona przez wielodniowe, nieustające deszcze. Tak się złożyło, że kierownictwo przyoszczędziło trochę na racjach żywnościowych przez pierwsze 3 tygodnie i mieliśmy w czasie tego balu-giganta różne dodatkowe niespodzianki kulinarne. Obok tańców trwających prawie non-stop, odbywały się liczne występy recytatorskie, śpiewacze, skecze, pokazy różnych sztuczek, gry zbiorowe, turnieje. W wielu skeczach i występach teatralnych wyróżniał się zwłaszcza pewien student z Gdańska. Potem widywałem go wielokrotnie, grającego różne role w filmach i na scenach teatrów krakowskich. Był nim późniejszy znany aktor S. Gronkowski.

Ja błysnąłem w swoich ulubionych szachach. W mocno obsadzonym turnieju zdobyłem pierwsze miejsce i okazał się dyplom. No i chyba zakochałem się na turnusie w sympatycznej Danusi. Jak się potem okazało, mieszkała również we Wrocławiu i to całkiem niedaleko, w tej samej dzielnicy co i ja. Mieszkała przy swej dalszej rodzinie, ale tylko na okres wakacji, czego mi od razu nie wyjawiła.

Prawie zaraz po powrocie z Międzygórza pojechałem na kilka tygodni do Dusznik na nową kontraktową pracę, zorganizowaną przez naszą spółdzielnię „Arkady”.

Wiosną 1949 r. Sejm podjął uchwałę o powołaniu instytucji Fundusz Wczasów Pracowniczych, która miała zająć się różnymi formami wypoczynku dla pracujących. Latem Fundusz już funkcjonował i zajął się na wielką skalę remontami pensjonatów i domów wypoczynkowych w rejonach podgórskich. Spółdzielnia przyjęła ofertę na opracowanie dokumentacji projektowej na remonty kilkunastu obiektów. Właśnie miałem opracować odpowiednią dokumentację dla dwóch domów wczasowych w Dusznikach.

Zabrałem ze sobą małą deskę kreślarską, bristol, kalkę, przyrządy kreślarskie oraz taśmę mierniczą. W Dusznikach zgłosiłem się i kwaterowałem w Centralnym Domu FWP w Parku Zdrojowym. Budynki wytypowane na domy wczasowe były niedaleko, więc miałem dogodne warunki pracy.

Najpierw musiałem dokonać pomiarów obiektów i narysować cały projekt inwentaryzacyjny stanu istniejącego. Potem dopiero na kalkach nanosiłem projektowane zmiany, które praktycznie ograniczały się do remontu i niewielkich stosunkowo robót adaptacyjnych. Budynki były we względnie dobrym stanie technicznym, tylko nieco zdewastowane i pozbawione jakiegokolwiek wyposażenia. Adaptacje dotyczyły wszystkich rodzajów robót, zarówno architektury, konstrukcji, jak i instalacji sanitarnych i elektrycznych. Te ostatnie rysowałem w uproszczony sposób, bez uwzględniania tras przewodów instalacyjnych.

Ważną częścią dokumentacji były kosztorysy na zaprojektowane roboty oraz przewidywane wyposażenie w sprzęt i meble. Ale kosztorysy robiłem później we Wrocławiu, korzystając z banku wzorcowych wycen w spółdzielni. We Wrocławiu wykonywany był też opis techniczny i reprodukcja dokumentacji. Całość prac zajęła mi prawie 1,5 miesiąca czasu.

Pracowite ferie letnie zakończyłem na niewiele dni przed nowym rokiem akademickim. Lecz zdażyłem jeszcze we wrześniu zdać znaczący egzamin z wytrzymałości materiałów. Pomogła mi w tym moja sympatia z Międzygórzem, Danusia, która niespodziewanie dla mnie wyjechała z Wrocławia do Poznania, bo tam podobno studiowała. Ubolewałem z tego powodu i tym bardziej przyłożyłem się do nauki, aby zapomnieć o kłamczusze, zaś fotografię, jaką mi zostawiła, schowałem na dnie portfela i kropka. Pozostało mi po niej jeszcze przyzwyczajanie się do palenia papierosów. Była ona bowiem namiętą palaczką, a mnie, w tej sytuacji, nie wypadało nie palić.

W czwartym i ostatnim już roku studiów architektonicznych posypały się nowe przedmioty wykładowe. W semestrze zimowym doszły, między innymi, budownictwo miast, planowanie regionalne, architektura monumentalna, architektura wnętrz, ochrona zabytków i organizacja budowy. Zaś później, w semestrze letnim jeszcze kosztorysowanie, prawo budowlane, dzieje sztuk plastycznych i kilka pomniejszych.

W większości były to tematy bez końca, na wykładach podawano nam tylko wątki tematyczne i wskazówki, jak szukać materiałów źródłowych i pomocniczych, niezbędnych do zgłębienia przedmiotu. Tak, z całą pewnością studia architektoniczne są najtrudniejsze, po medycznych, spośród wszelkich innych. Nawet, jeśli się ma odpowiednie predyspozycje, a mianowicie talent rysowania, wyobraźnię przestrzenną i umiejętność koncentrowania się w projektowaniu - trzeba bardzo solidnie pracować, aby przebrnąć przez te studia „bez granic”.

Od wielu miesięcy trwała likwidacja koła naukowego Związku Słuchaczy Architektury, którego agendy przejmowane były przez Związek Akademickiej Młodzieży Polskiej. Działo się to zgodnie z ogólnymi decyzjami Kongresu Zjednoczeniowego Młodzieży, jaki odbył się w lipcu 1948 r. we Wrocławiu. ZAMP na Politechnice przyjął również strukturę kół na poszczególnych wydziałach i latach, więc przekazywanie majątku, programów, spraw i funduszy poszczególnych kół naukowych polegało jakby tylko na zmianie szyldów i pieczętek. Zwłaszcza, że również studenci, zaangażowani w działalności likwidowanych kół naukowych, przechodzili do odpowiednich kół tworzonych w ramach ZAMP.

Dokonywała się jednakże, przy okazji, wymiana starszych roczników na młodsze. Ja również, będąc na ostatnim roku studiów, wycofywałem się powoli ze swej społecznej działalności, łącząc likwidację tej działalności z przekazywaniem materiałów i spraw Sekcji Wydawniczej ZSA, którą prowadziłem. Trwało to dosyć długo, bodaj do wiosny

1950 r.

Pod koniec roku przyszła pora, abym zmienił miejsce zamieszkania. Wprawdzie było mi w mieszkaniu siostry, mówiąc przysłowiami, „jak u Pana Boga za piecem”, jednakże wobec perspektywy powiększenia się jej rodziny, stałem się w tym mieszkaniu „piątym kołem u wozu”. Ze znalezieniem nowego lokum nie miałem większych problemów. Przeprowadziłem się na willowe osiedle Zacisze, jedno z najładniejszych we Wrocławiu. Położone jest w zakolu Starej Odry i kanału powodziowego, za Parkiem Szczytnickim. Miałem więc nawet bliżej na Politechnikę, lecz gorszy dojazd.

Zamieszkałem jako sublokator w willi dyrektora stoczni rzecznej, usytuowanej na pobliskim kanale żeglugowym. Zajmowałem wygodny pokój pospół z drugim studentem pierwszego roku Wydziału Medycyny. Ten mój współlokator był bardzo religijny. Modlił się rano, wieczorem i przed posiłkami.

Nieraz doświadczyłem w życiu, że ludzie demonstrujący swą religijność, robią to przede wszystkim z chęci usprawiedliwienia swych wad i uczynków przed sobą samym i przed innymi ludźmi, oraz dla skrycia swych frustracji, oraz zwykłej nietolerancji i złej woli. A więc, gdy podopiecznemu dziecku coś się stało, to nie jest to winą pilnującej niani, lecz rodziców, bo nie chodzą do kościoła. Gdy stłukła ona kosztowny wazon, to jest to wola boska. Gdy ongiś zabity został prezydent G. Narutowicz, to dosięgła go sprawiedliwość za jego bezbożność itp.

Ale mój kolega ze stancji był autentycznie skromny, uczciwy i przyjazny ludziom. Fenomen w swoim rodzaju, doskonały kandydat do zakonu Benedyktynów. Być może został i dobrym medykiem, bo w tej profesji, jak w żadnej innej, niezbędna jest rzeczywistość, ofiarna służba dla innych ludzi.



Fotografia rodzina w atelier fot. w Kępnie

normalne i niczym specjalnym się nie wyróżniały. Życie rodziców było w pełni ustabilizowane i, jak zawsze przedtem, skromne i pracowite. Radzili sobie doskonale w swym niedużym gospodarstwie, zaś ojciec niezmiennie, aż do emerytury w 1961 r. pracował na stanowisku skarbnika w Urzędzie Miejskim.

Kępno było również miastem spokojnym, zadbanym, żyjącym z funkcjonowania węzła kolejowego, kilku niedużych zakładów przemysłowych oraz lokalnej biurokracji, rzemiosła, handlu i szkolnictwa. W tym czasie wiele młodych rodzin oraz młodzieży wyjechało z miasta na Ziemię Odzyskane w poszukiwaniu lepszych warunków zamieszkania, pracy i nauki.

Wrocław w 1949 r. tętnił już prawie wyłącznie polskim życiem. Niemców praktycznie w mieście już nie było. Odbudowa i remonty zataczały coraz szersze kręgi, obejmując również najbardziej zniszczone południowe i zachodnie dzielnice. Przybywało coraz więcej sklepów, obiektów biurowych, kin, szkół, szpitali, ośrodków zdrowia, obiektów

sportowych. Rozrastała się nieustannie sieć czynnych linii tramwajowych. Prawie wszystkie ulice i place miały już swoje polskie nazwy. Życie w mieście stawało się mniej uciążliwe i bezpieczniejsze niż w pierwszych latach powojennych. Rzucała się też w oczy wielka ilość młodzieży i w ogóle młodych ludzi, mieszkańców w starszym wieku w mieście prawie nie było.

Wiele też w tym 1949 r. wydarzyło się w kraju i na świecie. W Polsce bardzo po-myślnie zakończyła się realizacja 3-letniego planu odbudowy i przyjęte zostały wytyczne 6-letniego planu rozwoju i uprzemysłowienia kraju, przewidzianego na lata 1950-55.

Zaś na świecie zaczynał się stabilizować groźny podział na dwa wielkie bloki państw o przeciwstawnych ideologiach i polityce. Kontynuowane były liczne próbn e eksplozje coraz większych bomb atomowych przez USA i dokonana została próba pierwszej bomby atomowej zbudowanej w Rosji. W St. Zjednoczonych przeprowadzono procesy przywódców partii komunistycznych, a papież Pius XII ogłosił ekskomunikę wszystkich członków i sympatyków partii komunistycznych na całym świecie. Z drugiej strony w krajach bloku, związanego z ZSRR, zaostrzone zostały represje w stosunku do wewnętrznej opozycji. Wszystko to nie wróżyło nic dobrego na następne lata dla świata, Europy, Polski.

Zimna wojna osiągnęła swój punkt kulminacyjny w czerwcu 1950 r., gdy wybuchła wojna na półwyspie koreańskim między Koreańską Republiką Ludowo-Demokratyczną i Koreą Południową. Tę ostatnią wsparły USA, których wojska stanowiły trzon sił interwencyjnych ONZ, zaś KRLD otrzymała pomoc ze strony Chin. Wojna ta trwała ponad trzy lata.

Pierwsza połowa 1950 r. przebiegała dla mnie pod znakiem intensywnej nauki. Nieznacznie tylko zaniedbując bieżące wykłady, skupiłem się na odrabianiu zaległości z drugiego i trzeciego roku studiów. W okresie do sesji egzaminacyjnej w lipcu zdałem łącznie 14 różnych egzaminów i zaliczyłem stosowne ćwiczenia. Były to więc prawdziwe zniwa egzaminacyjne. Ale i tak miałem jeszcze przed sobą 13 egzaminów, w tym trzy z II roku i po pięć z III i IV roku. W tym kilka znaczących, jak budowa miast, historia architektury III, budownictwo stalowe i żelbetowe oraz statyka budowli. Wszystko to pozostało mi na przyszły rok akademicki. Przewidywałem, że nie chodząc już na wykłady, do wiosny uporam się z całym zaległym materiałem i uzyskam dyplom w połowie 1951 roku. A tymczasem należało się imać pracy zarobkowej.

W okresie ferii letnich podjąłem się, za pośrednictwem naszej studenckiej spółdzielni „Arkady”, wykonania kilku prac projektowych. Największą z nich było zaprojektowanie stoisk handlowych na połowie galerii remontowanej wielkiej hali targowej przy Placu Biskupa Nankiera. Hala w czasie działań wojennych została dość poważnie zniszczona, ale do 1950 r. była już odbudowana i zachodziła potrzeba jej urządzenia i zagospodarowania. Na pierwszym piętrze, to znaczy na galeriach, miało być kilkadziesiąt stoisk handlowych do wynajęcia dla wszelkich branż rzemieślniczych i przemysłowych. Natomiast rozległy parter rezerwowany był głównie na stoiska dla towarów żywnościowych, warzyw, kwiatów itp.



Hala Targowa na Pl. Nankiera. Stan obecny

W ramach urządzania galerii musiałem zaprojektować wielkie ilości ścianek działowych z siatki metalowej oraz drewnianych regałów, kontuarów, szaf i półek. Projekty te realizowałem około dwóch miesięcy, do połowy października. Należność w wysokości

ponad 140 tys. złotych zainkasowałem jednak dopiero w sobotę 28 października. Zwykle większą gotówkę nie przetrzymywałem przy sobie, lecz wpłacałem na książeczkę oszczędnościową PKO. W tym konkretnym przypadku nie miałem jednakże czasu, aby pójść na pocztę, dla dokonania wpłaty, gdyż po południu pojechałem pociągiem do rodziców w Kępnie na Święto Zmarłych. Oczywiście pochwaliłem się zaraz rodzicom swym sporym zarobkiem.

Lecz nazajutrz radio poinformowało, że 28 X uchwalona została przez Sejm ustawa o wymianie pieniędzy w Polsce. Relację nowej złotówki do dotychczasowej ustalono jak 3:100. Dotyczyło to cen towarów, usług, zarobków, oszczędności w PKO i pewnej niewielkiej gotówki na jedną osobę. Kto w tym momencie miał większą kwotę krajowej waluty, mógł wymienić ją w relacji 1 nowy złoty za 100 starych złotych, a więc z trzykrotną stratą. Chodziło oczywiście o pozbawienie części środków pieniężnych wszelkich spekulantów. Ja do nich nie należałem, jednak straciłem na wymianie mniej więcej równowartość trzech średnich pensji miesięcznych. Nie rozpaczałem jednakże zbytnio z tego powodu.

Po roku zamieszkiwania na osiedlu Zacisze przeniósłem się na sąsiednie Zalesie. Jest to bliźniacze willowe osiedle mieszkaniowe, położone pomiędzy osiedlem Zacisze, Parkiem Szczytnickim i olimpijskimi terenami sportowymi.

Zamieszkałem sam w sporym narożnym pokoju kilkuizbowego mieszkania na parterze niewielkiego domu szeregowego. Przed oknami mego pokoju rosły rozłożyste kasztany, które niestety poważnie ograniczały dostęp światła słonecznego. Za to wszystkie meble były koloru białego. Ten pokój wynajmowałem już do końca mego pobytu we Wrocławiu.

W tym mniej więcej czasie w pokoiku, który zajmowałem, mieszkając u siostry, zainstalowane zostało małe łóżeczko dziecięce w miejsce tapczanu, na jakim sypiałem. Przeznaczone było dla małego Januszka, mego siostrzeńca, o którego powiększyła się rodzina mojej siostry.

Od listopada 1950 r. zabrałem się do planowego, sukcesywnego przerabiania zaglętych przedmiotów i konsekwentnego zdawania egzaminów w odstępach 2-3 tygodniowych. Z niektórymi miałem dodatkowe problemy, polegające na tym, że nie chodząc prawie na odnośne wykłady, nie znałem profesorów wykładowców. Przy zgłaszaniu się do egzaminu musiałem więc bacznie uważać, żeby nie pomylić profesora z asystentem lub tp. Dotyczyło to, między innymi, takich przedmiotów jak fotografia, kosztorysowanie i organizacja budowy. Materiał opanowywałem z podręczników i notatek kolegów, zaś do skutecznego samouczenia się byłem przyzwyczajony od czasów okupacji niemieckiej.

W ramach tej serii egzaminów, do czerwca włącznie, zaliczyłem między innymi także najważniejsze: z architektury miejskiej, budowy miast oraz statyki budowli. Pozostały mi jedynie dwa średnio ważne egzaminy z architektury wnętrz i budownictwa stalowego. Musiałem je odłożyć do jesiennej sesji egzaminacyjnej. A więc i zamiar uzyskania dyplomu w I półroczu 1951 r. okazał się nierealny.

Latem podjąłem niedużą pracę zarobkową. Między innymi wykonywałem projekty pomieszczeń aresztów. W szczególności dwóch sympatycznych milicjantów obwoziło mię łazikiem po budynkach posterunków milicyjnych w powiecie Bystrzyca Kłodzka. Robiłem tam szkice i pomiary wszystkich kondygnacji, potem już we Wrocławiu opracowywałem rysunki inwentaryzacyjne obiektów. Budynki zajęte na posterunki MO były to w większości zwykłe budynki mieszkalne. Przystosowanie ich na potrzeby MO wymagało tylko odpowiedniego zagospodarowania i wyposażenia poszczególnych pokoi.

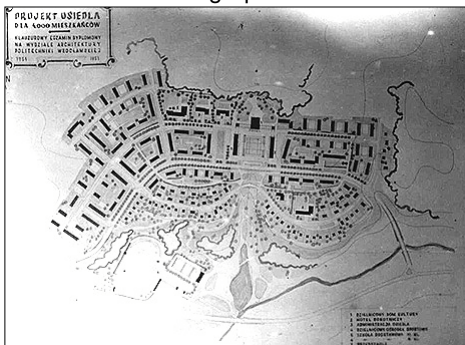
Natomiast przystosowanie jakiegoś pomieszczenia, zwykle w piwnicy, na areszt, wymagało wykonania określonych budowlanych robót adaptacyjnych. Wymogi w tym

zakresie były bardzo konkretne: odpowiednio okratowane okienka; masywne drzwi z wizjerem i właściwym zamknięciem, bez klamki od wewnątrz; grube ścianki; brak wewnątrz wystających elementów; oświetlenie we wnęce, wyłączane z zewnątrz itp. Śpieszyłem się z tymi rysunkami, aby znów zabrać się do nauki.

We wrześniu zdałem ostatnie dwa egzaminy i otrzymałem 1.X.1951 r. zaliczenie przez dziekana wydziału wszystkich czterech lat studiów. Niezwłocznie też przystąpiłem do pracy dyplomowej. Zdecydowałem się, jako jedyny w tej sesji, na pracę z zakresu urbanistyki. Sprawilem tym wyraźną przyjemność profesorowi T. Wróblowi, który wykładał urbanistykę i budowę miast i osiedli. Lubiłem bardzo te przedmioty, otrzymałem z nich stopnie bardzo dobre, ponadto miałem jeszcze pewną praktykę z okresu pracy w Regionalnej Dyrekcji Planowania Przestrzennego u wybitnego urbanisty Ptaszyckiego.

Tematem pracy dyplomowej było osiedle mieszkaniowe na 4 tysiące mieszkańców z dużym domem kultury. Osiedle obejmowało też ośrodek sportowy ze stadionem i pomniejszymi boiskami, dwie szkoły podstawowe, przedszkole, żłobek, hotel robotniczy. W domu kultury zaprojektowałem amfiteatralną salę widowiskową na około 500 osób.

Cały projekt rysowałem na podkładzie geodezyjnym w skali 1:2000. W tej też skali narysowałem widok ogólny osiedla. Przekroje ulic, budynków, widoki elewacji, rzut placu centralnego przedstawiłem w skali 1:500, zaś rzuty, przekroje widoki samego domu



kultury w skali 1:200. Dodatkowo, na oddzielnym arkuszu narysowałem perspektywę głównego placu osiedla z domem kultury. Wszystkie arkusze opracowane były w technice czarno-białej, przy użyciu tuszu i przy pomocy grafionu oraz piórka, z podmalowaniem pędzelkiem cieni, tła, lasu i rzeki rozwodnionym tuszem.

Na wykonanie pracy miałem 5 dni po wiele godzin dziennie. Rysowało się tylko w sali egzaminacyjnej pod okiem asystentów i przy życzliwej pomocy profesora. Na sali zdawało dyplom jeszcze kilku kolegów, ale oni mieli zupełnie inne tematy architektoniczne.

Plan sytuacyjny osiedla dyplomowego

Moja praca dyplomowa wypadła pozytywnie i już tylko formalnością była jej ustna obrona. Otrzymałem ją 12 X 1951 r. na dużej amfiteatralnej sali wykładowej przy kilkunasto-osobowej publiczności. Była wśród niej również moja siostra. Po referacie, jaki wygłosiłem na temat opracowanego projektu, profesor zadał jeszcze kilka pytań. Zapamiętałem tylko jedno. Mianowicie miałem określić, co widać na szosie w czasie jazdy samochodem osobowym. Nigdy do tego czasu nie jechałem samochodem osobowym i nie umiałem na to pytanie odpowiedzieć. Zaś chodziło o to, że podczas jazdy, przy obserwowanych skrótach perspektywicznych widać na jezdni pofałdowania i nierówności, nawet na najbardziej wyrównanych nawierzchniach szosy.

Po kilku następnych dniach odebrałem z Dziekanatu Wydziału Architektury oryginał i dwa duplikaty dyplomu ukończenia studiów architektonicznych oraz uzyskania stopnia inżyniera architekta magistra nauk technicznych na Politechnice Wrocławskiej. Tak więc miałem za sobą kolejny konkretny kawałek życia, strawionego głównie na rzetelnej nauce. Czułem, że wiele umiem, że mam w ręku, oraz w głowie, solidny fach, że świat należy do mnie, a „stuknęło” mi właśnie 25 lat.

NOWA HUTA

Stary Kraków * Kombinat i miasto * Budowy bez maszyn * Nadzór inspektorski na C1 * Awans na C3 * Kurz i błoto

W czasie, gdy finiszowałem swe studia, na świecie „zimna wojna” zataczała coraz szersze kręgi i zdominowała makropolitykę wielkich mocarstw. W połowie 1951 r. nastąpiła w Korei stabilizacja frontu na 38. równoleżniku, ale trwały gigantyczne naloty superfortec amerykańskich na miasta Północnej Korei. Dopiero w listopadzie zawarta została między walczącymi stronami umowa o linii demarkacyjnej oraz wstrzymaniu działań wojennych i rozpoczęły się długotrwałe rokowania pokojowe.

Trwała wojna w Wietnamie, gdzie Francja zamierzała odtworzyć przedwojenny stan kolonialnego uzależnienia. Także i ten teatr wojenny traktowano jako zmagania dwóch przeciwstawnych ideologii kapitalizmu i komunizmu, ale faktycznie była to klasyczna wojna narodowo-wyzwoleńcza o niezależnienie się od obcej dominacji. Podgrzewaniu zimnej wojny służyła też próba pierwszej bomby wodorowej, dokonana przez USA w maju i jednostronne podpisanie traktatu pokojowego z Japonią przez państwa zachodnie. Z drugiej strony zaostrzała się walka z odchyleniami nacjonalistycznymi oraz wszelką działalnością opozycyjną w krajach, będących w orbicie wpływów Związku Radzieckiego, w szczególności w Polsce, Bułgarii, NRD i na Węgrzech.

Nasilanie się zimnej wojny na świecie miało swój wpływ na kształt Planu 6-letniego Uprzemysłowienia i Rozwoju Polski, uchwalonego przez Sejm w lipcu 1950 roku. Przede wszystkim znacznie zwiększone zostały wskaźniki rozbudowy przemysłu ciężkiego w stosunku do propozycji z 1949 r. Równocześnie wprowadzono do Planu realizację całego szeregu zakładów zbrojeniowych, w tym budowy na radzieckiej licencji czołgów i odrzutowych samolotów MIG-15.

To posiedzenie sejmowe, wielokrotnie pokazywane w kronikach filmowych, były bardzo spektakularne. Mianowicie na frontowej ścianie w sali obrad plenarnych Sejmu zawieszona została mapa-makieta Polski. Zapalały się na niej kolorowe lampki, pokazujące dziesiątki zaplanowanych nowych, wielkich inwestycji przemysłowych. Kojarzyły mi się one potem przez wiele lat z nazwami miast i miasteczek, w których zostały zlokalizowane: Wierzbica – wielka cementownia, Wizów – fabryka kwasu siarkowego, Tar-chomin – penicylina, Fasty i Zambrów – przemysł bawełniany, Kędzierzyn – zakłady azotowe, Świdnik - samoloty, Jelcz – autobusy, Skawina – huta aluminium, Porąbka – zaporą i elektrownia wodna oraz wiele, wiele innych. Zaś największą inwestycją 6-latką miał być kombinat metalurgiczny o wydajności 1,5 miliona ton stali rocznie, zlokalizowany na wschód od Krakowa oraz budowa towarzyszącego mu 100-tysięcznego miasta Nowa Huta.

Kombinat zaprojektowany został w ZSRR. Częściowo, w fazie dokumentacji technicznej, do prac projektowych włączyło się Biuro Projektowe Przemysłu Stalowego „Biprostal”, specjalnie utworzone wtedy w Krakowie. Wstępne roboty związane z budową kombinatu rozpoczęto pod koniec 1949 roku.

Natomiast opracowanie projektu generalnego miasta Nowa Huta powierzono w 1948 inż. T. Ptaszyckiemu z Wrocławia. Po otrzymaniu zlecenia przeniósł się wpierw na kilka miesięcy do Warszawy, następnie na stałe do Krakowa, gdzie zorganizował Przedsiębiorstwo Projektowania Budownictwa Miejskiego „Miastoprojekt-Kraków”.

Oczywiście biuro to powstawało etapowo. Pierwsze pracownice projektowe, ulokowane w różnych punktach Krakowa, zajmowały się przez pierwszych kilka lat działalnością głównie opracowywaniem dokumentacji projektowej dla budowanego od podstaw

miasta Nowa Huta. W perspektywie lat biuro rozrosło się i objęło zasięgiem swego działania cały region południowej Polski. W 1953 r. otrzymało własny, nowy biurowiec przy ul. Kraszewskiego w Krakowie.

Realizacja pierwszych bloków mieszkalnych w Nowej Hucie rozpoczęła się w dniu 28 czerwca 1949 roku. Od tego czasu Wrocław zaczął na wielką skalę zaopatrywać w cegłę rozbiórkową nie tylko Warszawę, ale również Nową Hutę. Te dostawy trwały około 5 lat i posłużyły do budowy kilku wielkich osiedli mieszkaniowych w tym mieście.

Po ukończeniu studiów architektonicznych znaczna część absolwentów zasilala powstające w dużych miastach biura projektowe. Zawód projektanta jest bowiem najbardziej adekwatnym zajęciem dla architektów. Ale już w początkach lat pięćdziesiątych zgłaszane były postulaty, aby pracę na stanowisku projektanta poprzedzała 2-3 letnia praktyka, odbyta bezpośrednio na budowie. Faktycznie po kilku latach taka praktyka, obok egzaminów z zakresu prawa budowlanego oraz bezpieczeństwa i higieny pracy, stała się podstawowym wymogiem do uzyskania uprawnień projektowych.

Ja, po otrzymaniu dyplomu, również miałem przekonanie, że przed zaangażowaniem się do biura projektowego wskazane byłoby, abym popracował wprerw ze dwa lata wprost na budowie. Myślałem też, że w tym celu dobrze byłoby pojechać do Nowej Huty, tego największego, obok Warszawy, placu budowy w Polsce.

Oczywiście tylko na okres tych dwóch lat praktyki, by potem wrócić już na stałe do swego ukochanego Wrocławia.

Obowiązywały wówczas jednakże tak zwane skierowania do pracy, udzielane przez uczelnie świeżo „upieczonym” absolwentom, według zapotrzebowań, zgłaszanych przez przedsiębiorstwa i instytucje. Powiedziałem więc w dziekanacie, że zamierzam jechać do Nowej Huty i poprosiłem o przyzwolenie na poszukanie pracy we własnym zakresie. Prof. T. Wróbel wyraził swą zgodę, stwierdzając, iż wyda formalny nakaz pracy, skoro tylko sam określi przedsiębiorstwo, w którym się zatrudnię. Ale ja bynajmniej nie pojechałem od razu do Krakowa.

Nasza spółdzielnia studencka „Arkady” zaoferowała mi kilkumiesięczną, dobrze płatną pracę w jednostce wojskowej, stacjonującej w Karłowicach we Wrocławiu. Mia-nowicie zleciła ona opracowanie dużej ilości plansz graficznych potrzebnych do wyposażenia kilku sal, urządzanych dla celów dydaktycznych. Pracę przyjąłem i wykonywa-łem ją wraz z kilku innymi kolegami, również świeżymi absolwentami. W szczególności wykonywaliśmy powiększenia wskazanych nam rysunków i zdjęć z książek, lub nowe rysunki różnego sprzętu i modeli, najczęściej kolorowe, przy zastosowaniu farb akwa-relowych. Były to głównie widoki, przekroje i schematy obsługi broni, sprzętu, maszyn i wszelakiego wyposażenia wojskowego. Wykonaliśmy kilkadziesiąt takich plansz, a ponadto różne napisy i kilka makiet plastycznych dla szkolenia taktycznego.

Stołowaliśmy się na miejscu w kuchni wojskowej, gdzie posiłki były bardzo obfite i gdzie często serwowano grochówkę, za którą przepadałem. Pracowaliśmy wszyscy bardzo wydajnie. Ostatecznie prace w jednostce wojskowej w Karłowicach we Wrocławiu zakończyliśmy dopiero w połowie lutego 1952 r. Otrzymałem niezłe wynagrodzenie, przy czym część zarobionych pieniędzy ulokowałem niezwłocznie na swej książeczce oszczędnościowej PKO.

Święta grudniowe 1951 r. spędziłem oczywiście u rodziców w Kępnie. Dopiero w ostatnich dniach lutego 1952 r. udałem się na rekonesans do Krakowa. Zatrzymałem się w hotelu komunalnym naprzeciwko głównego dworca kolejowego. Nie znałem w Krakowie właściwie nikogo oprócz inż. Ptaszyckiego, o którym wiedziałem tylko tyle, że kieruje biurem projektującym Nową Hutę. Odszukanie tegoż biura nie było wszak zbyt skomplikowane, choć usytuowane było w kilku miejscach, ale za to blisko siebie, między

innymi w Rynku Głównym i przy ul. Karmelickiej. Mieściło się prowizorycznie w podnajmowanych mieszkaniach. Po wyluszczeniu przeze mnie celu przyjazdu do Krakowa, dyr. Ptaszycki pochwalił mą decyzję przyjazdu do Krakowa i doradził mi podjęcie pracy w Dyrekcji Budowy Miasta Nowa Huta.

Wpierw postanowiłem jednak zwiedzić dawny gród królewski, przeznaczając na to prawie cały pierwszy dzień pobytu. Kraków sprawił na mnie wrażenie absolutnej odmienności od ówczesnego Wrocławia. Przede wszystkim miasto było całe, najwyraźniej walec wojny nie wyrządził mu poważniejszych szkód. Stało się to za sprawą oryginalnego manewru oskrzydłającego i wejścia 18.I.1945 r. 1 frontu ukraińskiego marszałka Koniewa do Krakowa od strony zachodniej. Przy czym w walkach w mieście brała udział tylko rosyjska piechota, bez udziału artylerii i czołgów, jedynie przy niewielkim wsparciu samolotów szturmowych. Chodziło oczywiście o to, aby zaoszczędzić miastu zniszczeń. Ta dbałość o zabytki Krakowa spowodowała jednakże duże straty wśród nacierających piechurów. Dziś, po 50. latach, ich zbiorowe mogiły i pomnik przy Barbakanie bezczeszczone są farbą, zaś manifestujący przeciwko historycznym, kamiennym sarkofagom głoszą swe maniackalne przekonania, że pijani żołnierze sami strzelali do siebie, że w grobach pochowane są szczątki końskie, lub tym podobne brednie.

Tymczasem wszelkie większe linie obronne zbudowane przez Niemców, usytuowane były od strony wschodniej. Mieli oni autentyczne zamiary bronić miasta, ogłaszając je wcześniej jako „Festung Krakau”. Ale faktycznie to załoga niemiecka skwapliwie skorzystała z pozostawionej jej przez Koniewa drogi odwrotu w kierunku Skawiny i Wadowic oraz rozsądnie i szybko wycofała się bez poważniejszych walk.

Niemcy wysadzili za sobą jedynie stalowy, kratownicowy most Dębnicki na Wiśle, a zamierzali również wysadzić w powietrze Wawel. Był on ponoć zaminowany, ale w zniszczeniu tej bezcennej historycznej budowli przeszkadzili podobno Polacy, rozbrajając ładunki wybuchowe i wskazując miejsca minowania czerwonoarmistom. Na ten temat istnieje dziś cały szereg różnych legend i opowieści.

W stosunku do rozległego Wrocławia Kraków był obszarowo względnie małym miastem. Liczył wprawdzie już ok. 350 tysięcy mieszkańców (w 1945 r. - 250 tys.), ale skupionych w zwartej zabudowie kilku dzielnic śródmiejskich. Bez większej straty czasu można było poruszać się po mieście na piechotę, co też potem często praktykowałem.

Kraków różnił się od zniszczonego Wrocławia oczywiście mnogością sklepów, warsztatów rzemieślniczych i różnego rodzaju obiektów gastronomicznych. Szokującą dla mnie, Wrocławia, była wielka ilość kawiarni, zgrupowanych zwłaszcza w rejonie Starego Miasta. Wreszcie Kraków różnił się zdecydowanie od stolicy Dolnego Śląska swymi mieszkańcami. Wrocław zaludniała wtedy ruchliwa młodzież z setek wsi i miasteczek całej Polski. Zaś w Krakowie dominowali mieszkańcy w podeszłym wieku, stateczni mieszczaństwo, pamiętający czasy długowiecznego cesarza Franciszka Józefa I.

Stąd obie społeczności prezentowały zupełnie inną mentalność. Wrocławianie otwarci, wylewni, patrzący i pracy do przodu. Krakowianie konserwatywni, nostalgiczni, żyjący raczej odległą przeszłością. Mnie uderzała ponadto tytułomania, jaką uprawiali, choćby przy kawiarnianych stolikach, gdzie gęsto było od słów: „mecenas, radca, magister, profesor” itp.

Budowa nowego kombinatu metalurgicznego zlokalizowana została 12 kilometrów na wschód od Centrum Krakowa, budowa miasta Nowa Huta bliżej o 4 kilometry. Z Krakowem łączyły te place budów lokalna linia kolejowa i ulica Bieńczycka. Wybudowana przed wojną prywatna jednotorowa linia kolejowa prowadziła od dworca głównego wzdłuż ulic Bieńczyckiej i Kocmyrzowskiej do miejscowości Kocmyrów na północ od kombinatu. Wykorzystana została dla celów komunikacyjno-transportowych budowy

Nowej Huty do momentu uruchomienia połączenia tramwajowego z Krakowem.

Droga Bieńczycka wcześniej gruntowa, została już poszerzona i otrzymała nawierzchnię brukową, w budowie znajdowała się druga jezdnia i torowiska tramwajowe. Cała arteria komunikacyjna, jaka miała połączyć nowe satelitarne miasto z Krakowem, stanowiła bardzo poważne przedsięwzięcie inżynieryjne. Wymagało ono budowy mostu na rzece Białusze i wiaduktów kolejowych, wyburzeń istniejącej zabudowy, znacznych robót niwelacyjnych oraz rozbiórki kompleksu dużego poaustriackiego fortu w rejonie Czyżyn. Cegła z rozbiórki kazamatów i bastionów tego fortu wykorzystywana była na budowach Nowej Huty.

Jazda pociągiem trwała bardzo długo. Wsiadłem w Grębałowie i następnie udałem się w kierunku Kopca Wandy. Po lewej stronie miałem cały czas wgląd na rozległą panoramę budowy kombinatu. Plac budowy obejmował 2-3 kilometry kwadratowe płaskiego terenu i sprawiał imponujące wrażenie. Wiele obiektów, wewnątrzzakładowych dróg i linii kolejowych, a nawet całych kompleksów budynków były już gotowe. Zaawansowana też była budowa wielkiej elektrowni i cementowni. Na budowach pracowały tysiące ludzi, setki wozów konnych i samochodów oraz raczej niewiele maszyn, głównie koparek. Cały ten teren dotychczas zajmowany był przez pola uprawne, nie było na nim żadnej istniejącej zabudowy, ani większych zespołów drzew. W oddali widniało miasteczko prowizorycznych baraków na tle wsi Pleszów, jakie postawiono dla zakwaterowania robotników budowlanych.

Z historycznego kopca kurhanu, usypanego na cześć Wandy, co „nie chciała Niemca” - przeszedłem do wsi Mogiła i osiedli mieszkaniowych Nowej Huty. Mogiła w 1952 r. była niewielką wsią z kilkudziesięciu domami w większości zbudowanych z bali drewnianych pomalowanych wapnem na niebiesko i krytymi słomianą strzechą. Od innych wsi wyróżniała się przede wszystkim swą historią, sięgającą pradawnych czasów i klasztorem zakonu Cystersów z początków XIII wieku. Opactwo to wielokrotnie na przestrzeni wieków rozbudowywane, jest faktycznie bardzo ciekawym obiektem, ale zwiedziłem je dopiero kilka lat później.

Również miasto Nowa Huta stanowiło wielki plac budowy. Gotowe były już osiedle A-0 i znaczna część osiedla A-1, zamieszkałe przez kilkanaście tysięcy mieszkańców. Prawie całe osiedle A-0 zabudowane było podobnymi 2-4-kondygnacyjnymi budynkami, mającymi strome czterospadowe dachy, kryte dachówką ceramiczną. Jak się później dowiedziałem, realizowano je w oparciu o powtarzalną dokumentację projektową, wzorowaną na projektach przedwojennego, spółdzielczego Zakładu Osiedli Robotniczych (w skrócie „ZOR”), działającego na osiedlu Żoliborz w Warszawie.

Takie budynki typu „ZOR” budowano zresztą wówczas masowo w całej Polsce. W ten sposób kontynuowano w szerokiej skali najlepsze przedwojenne doświadczenia w budowie spółdzielczych mieszkań pracowniczych. Wszystkie mieszkania posiadały przedpokój, wydzieloną kuchnię, łazienkę i 1-3 pokoje mieszkalne. Wyposażane były od razu w instalacje wodno-kanalizacyjne i elektryczne, zaś po pewnym czasie, po podłączeniu do krakowskiej gazowni, również w instalacje gazowe. Te pierwsze budynki w Nowej Hucie nie posiadały jednakże centralnego ogrzewania, które dopiero później stało się normą w budownictwie osiedlowym.

Generalnie biorąc, to przyjęte od zarania Polski Ludowej standardy w masowym, państwowym budownictwie mieszkaniowym stanowiły wyraźny jakościowy skok w stosunku do stanu przedwojennego budownictwa. Oczywiście do pozostawionych przez wojnę ruin żadnych porównań przeprowadzić się nie da.

Podobnie, jak w przypadku kombinatu, miasto budowano na płaskim terenie, wykorzystywanym dotychczas na pola uprawne. Nie kluczyłem zbytnio po nowobudowanych ulicach, lecz skierowałem się od razu na osiedle C-1, gdzie miała znajdować się Dyrek-

cja Budowy Miasta Nowa Huta. Osiedle C-1 było głównym placem budowy. Gotowe były tylko dwa budynki w środku osiedla. Realizowane jako mieszkalne, zaadaptowane zostały w trakcie robót wykończeniowych na biurowce. W jednym została zlokalizowana Dyrekcja Budowy, w drugim, większym, biura Przedsiębiorstwa Budownictwa Miejskiego „Zetbeem”, będącego głównym wykonawcą robót w mieście.

Zgłosiłem się do sekretariatu DBMNH, złożyłem swe pisemne podanie o przyjęcie do pracy i zostałem przyjęty na dłuższą rozmowę przez kierownika Wydziału Nadzoru Inwestycyjnego. Usłyszałem od niego, że raczej nie będzie żadnych problemów z zaangażowaniem mnie na stanowisku inspektora nadzoru. Otrzymałem następnie ankietę personalną do wypełnienia i propozycję przyjazdu w dniu 15. marca, celem sfinalizowania formalności, związanych z zatrudnieniem i dla podjęcia pracy w przedsiębiorstwie.

Wróciłem więc najbliższą ciuchcią do Krakowa, powałęsałem się wieczorem w okolicach Rynku Głównego i nazajutrz pojechałem z powrotem do Wrocławia. Tam w ciągu kilku dni spakowałem się i opróżniłem swój sublokatorski pokój na Zalesiu. Część rzeczy, zwłaszcza książki, przeniosłem do siostry na przechowanie, natomiast najpotrzebniejsze zmieściłem w dwóch walizkach.

Po czym na kilka dni pojechałem z pewnym konkretnym zamiarem do Katowic. Postanowiłem mianowicie odszukać i odwiedzić swą sympatię z Monasterzysk sprzed 11 lat, Mirkę K. Wiedziałem o niej jedynie tyle, że wraz z matką przeniosła się ze Stanisławowa gdzieś na Górną Śląsk. Wszędzie w miastach istniały wówczas biura Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. Urząd ten sprawował bardzo ważną funkcję pośredniczenia w powojennych przemieszczeniach i wzajemnym poszukiwaniu się Polaków. W Katowicach nie natrafiłem jednakże na ślad poszukiwanej, ale otrzymałem zestaw adresów PUR w miastach Górnego Śląska.

Po dwóch dniach wędrówki tramwajami po Śląsku i pukaniu do kolejnych biur PUR i urzędów meldunkowych, uzyskałem wreszcie właściwą informację. Przy okazji odświeżyłem swą przedwojenną znajomość Śląska. Oczywiście domy, ulice wydawały mi się jakby mniejsze i bardziej szare. Zwłaszcza te moje Łagiewniki, Lipiny, Chropaczów i Świętochłowice. Wszystko bez śladów jakichkolwiek zniszczeń wojennych.

Cały istniejący przemysł, zwłaszcza huty i kopalnie węgla kamiennego pracowały na pełnych obrotach, na trzy szczyty, z maksymalną wydajnością. Bez najmniejszej przesady Górny Śląsk w tamtych czasach był kuźnią, w której wykuwano przemysłowy kształt nowej Polski. Na pewno dziś cała Polska winna w jakiś sposób pomóc Śląskowi w obecnej reformowanej rzeczywistości, by spłacić choć część tego „długu pracy”, zaciągniętego wówczas w tym regionie.

Jedynie Gliwice były w poważniejszym stopniu zniszczone na skutek działań wojennych. W tym dużym mieście mieszkała właśnie Mirka K. Udałem się pod uzyskany adres na peryferiach miasta. Otworzyła mi starsza pani, którą od razu rozpoznałem jako matkę Mirki. Dłuższą chwilę rozmawialiśmy i powspominaliśmy minione zdarzenia z pierwszych lat wojny oraz losy bliskich i znajomych, nim Mirka wróciła do domu.

Oczywiście 21-letnia panna nie przypominała 10-letniego dziewczątka. Było miło i sympatycznie, pospacerowaliśmy po niedalekiej okolicy i poopowiadaliśmy sobie o swych przeżyciach i problemach. Uczyła się w konserwatorium muzycznym gry na fortepianie i marzyła o ewentualnej karierze pianistki. Matka pracowała w swym zawodzie jako nauczycielka. Po po-



Mirka K. w Gliwicach

południowej herbatce, z ładunkiem serdecznych pozdrowień dla moich rodziców i siostry - pojechałem do swego hotelu w Katowicach. Nazajutrz byłem znów w Krakowie.

W sobotę 15 marca 1952 r., zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, zgłosiłem się rano do Dyrekcji Budowy Miasta Nowa Huta. Po niedługim oczekiwaniu sekretarka p. J. Guzińska poprowadziła mnie do naczelnego dyrektora instytucji. Był nim od ponad 1,5 roku przedwojenny działacz lewicowy inż. St. Zralek. Zapytał mnie o moje wykształcenie, warunki rodzinne i zainteresowania, a sam poinformował krótko o organizacji biura. Zaraz potem sekretarka zaprowadziła mnie do naczelnego inżyniera E. Mikosia. Był to przedwojenny przedsiębiorca budowlany. Po krótkiej z nim rozmowie, sekretarka, która cały czas mi towarzyszyła, przekazała mnie głównemu inspektorowi inż. Urbańskiemu w Wydziale Nadzoru Inwestycyjnego. Tam właśnie miałem pracować, zgodnie ze swym życzeniem, jako młodszy inspektor nadzoru. Zostałem więc poinformowany o zakresie swych obowiązków, zapoznałem się z niektórymi przyszłymi kolegami i otrzymałem swój „kął” z biurkiem w pokoju inspektorów.

W międzyczasie przygotowany został dla mnie kwaterek w hotelu robotniczym, jakim dysponowała Dyrekcja. Był to świeżo ukończony wielorodzinny budynek mieszkalny na sąsiednim, budującym się osiedlu C-2. Zamieszkałem tam w jednym pokoju, wspólnie z innym inspektorem nadzoru, z którym potem przez wiele lat się przyjaźniłem.

Odniosłem wrażenie, że kierownictwo przedsiębiorstwa było wyraźnie zainteresowane moim przyjęciem do pracy. Podobnie jak kilku innych świeżych absolwentów wyższych uczelni. Był to okres, gdy do zakładów pracy całej Polski zaczęła napływać pierwsza duża fala inżynierów i magistrów, wykształconych już po wojnie. Przy czym przedwojennych pracowników z wyższym wykształceniem było jak na lekarstwo.

Wraz z wręczeniem mi angażu i przydziału na nowe, tymczasowe mieszkanie, sekretarka poinformowała mnie, że jeśli mam ochotę, to mogę przyjść po południu do świetlicy biura na imprezę rozrywkową, organizowaną z okazji minionego w poprzednim tygodniu święta Dnia Kobiet.

Oczywiście, że miałem ochotę i poszedłem, acz z małym spóźnieniem. Salka była pełna. Na estradzie prezentowali się wyłącznie pracownicy Dyrekcji, gdyż spektakl w całości zorganizowany został własnymi siłami. Główny inspektor śpiewał i grał świetnie na gitarze, dwóch przebierańców wystąpiło w kilku skeczach z komicznymi dialogami, były recytacje wierszy i była też harmonia i rosyjskie czastuszki ze swojskimi kupletami. Najokazalej prezentował się dziewczęcy kwartet taneczny, który zresztą widziałem później kilka razy na estradach nowohuckich przy okazji różnych okolicznościowych imprez. Bardzo mi się te występy podobały, jak również serdeczna, jakby rodzinna atmosfera, panująca na sali, salwy śmiechu, huczne brawa.

Wieczorem zabrałem swe walizy z hotelu „Polonia”, w którym przez dwa dni zamieszkiwałem i przeprowadziłem się do Nowej Huty.

DBMNH powołana została w celu pełnienia wszelkich funkcji inwestorskich, związanych z budową nowego 100-tysięcznego miasta Nowej Huty. Struktura organizacyjna przedsiębiorstwa była więc adekwatna do ogólnych czynności inwestorskich.

Dział Planowania i Umów określał roczne plany inwestycyjne i zawierał umowy z przedsiębiorstwami wykonawczymi na realizację poszczególnych przedsięwzięć. Dział Prawno-Wyłącznościowy prowadził wszystkie sprawy związane z zakupem i przejmowaniem terenu pod planowane inwestycje. Dział Dokumentacji Technicznej zlecał do biur projektowych opracowanie dokumentacji technicznej, zawierał na nią stosowne umowy, sprawdzał i przyjmował oraz przekazywał wykonawcom do realizacji. Dział Kosztorysowy przygotowywał analizy cen jednostkowych i weryfikował kosztorysy, opracowane w biurach projektowych. Dział Uzbrojenia Terenu zajmował się programo-

waniem, etapowaniem i nadzorowaniu realizacji dróg, linii tramwajowych, zieleni oraz uzbrojenia terenu we wszelkie instalacje sanitarne i energetyczne. Natomiast inspektorzy Działu Nadzoru Inwestycyjnego, przypisani do poszczególnych budów, odpowiadali za ich realizację, zgodnie z dokumentacją techniczną i sztuką budowlaną; przeprowadzali częściowe i końcowe odbiory robót oraz rozliczali je, sprawdzając książki obmiaru robót. Dział Finansowo-Księgowy finansował całość budowy Nowej Huty, jak również działalność samej instytucji.



Osiedle C-1 (Teatralne) w budowie.

lował natomiast nieomal wyłącznie człowiek ze swymi manualnymi umiejętnościami. Np. cegły i pustaki przemieszczano przy pomocy tacek i drewnianych nosilek na plecach pomocników murarskich. Dopiero po kilku miesiącach pokazały się pierwsze, różnej długości, przenośniki taśmowe, które znacznie usprawniły przemieszczanie materiałów w poziomie, a nawet zmyślnie poustawiane, podawały cegły, pustaki, beton i zaprawę do wysokości II piętra. Transport pionowy na wyższe kondygnacje odbywał się przy zastosowaniu drewnianych, kratownicowych dźwigów szybowych, zwanych „warszawskimi”. Były one charakterystyczne przez wiele lat dla większości budów w całym kraju.

Prawie wszystkie stropy w budynkach mieszkalnych do rozpiętości 6 metrów wykonywane były jako żelbetowe, gęstożebrowe typu DMS. Składały się one z gotowych prefabrykowanych beleczek żelbetowych, pomiędzy które wstawiało się duże gruzobetonowe, lub żużlobetonowe pustaki, poczym całość zalewało betonem. Stropy te nie wymagały pełnych szalunków i już po kilku dniach od momentu betonowania można było je obciążać.

Wszystkie pozostałe elementy konstrukcyjne, to jest fundamenty, słupy, podciągi, balkony, klatki schodowe wykonywane były jako żelbetowe w technologii monolitycznej.

Do 1951 r. na niższych budynkach stosowano strome, czterospadałe dachy o drewnianych więźbach, krytych dachówką. Po 1952 r. prawie całkowicie zaniechano używania drewna w konstrukcjach budowlanych. Obowiązywały w tej mierze rygorystyczne przepisy. Praktycznie drewno stosowano jedynie do robót szalunkowych, lecz było ono pośledniego gatunku i używane wielokrotnie. Zaowocowało to w perspektywie 20-30 lat odbudową drzewostanu w lasach, bardzo w czasie wojny przetrzebionych.

Podstawowym obowiązkiem inspektora nadzoru budowlanego było kontrolowanie na bieżąco robót na powierzonych jego opiece budowlach. Oczywiście najważniejsza była jakość robót konstrukcyjnych, w tym prawidłowe wykonanie zbrojenia i właściwa technologia wykonania wszelkich elementów żelbetowych, gdyż w tym zakresie najłatwiej było o pomyłki i niedopatrzeń.

Starannie więc sprawdzałem, czy ilość, średnice i sposób wygięcia prętów stalowych w elementach żelbetowych są zgodne z projektem technicznym. Do sprawdzania średnicy żelastwa używałem początkowo skrupulatnie suwmiarki (noniusza). Lecz ry-

chło nauczyłem się z odległości kilku metrów bezbłędnie odczytywać na oko te średnice. Wygrywałem nawet zakłady w tej dyscyplinie. Stwierdziłem też szybko, że niektórzy projektanci przyjmowali zbrojenie bardzo oszczędnie na granicy dopuszczalnej w obliczeniach statycznych. Inni pod tym względem byli bardziej rozrzutni. Na wrywkę sprawdzałem obliczenia i jednych i drugich. Lecz wkrótce, w ogóle, od pierwszego wizerzenia, orientowałem się, że dane zbrojenie jest właściwe, lub, że coś trzeba poprawić.

Podobnie dużą wagę przywiązywałem do technologii betonowania. Chodziło tu, między innymi, o odpowiednie zabezpieczenia w przypadku występowania mrozu, opadów, lub dużych upałów. Ważną rzeczą było stosowanie ciągłego betonowania dużych elementów w granicach dylatacji. Stąd betonowanie np. stropów i podciągów odbywało się bez przerw, również nocami, przy oświetleniu stanowisk roboczych reflektorami na trójnogach. Wielokrotnie zdarzały mi się takie kilkudziesięciogodzinne maratony betoniarskie.

Wszelkie ściany i mury nośne w okresie do około 1954 r. wykonywało się prawie wyłącznie przy użyciu cegły ceramicznej, przeważnie rozbiórkowej, pochodzącej z Wrocławia. Takie mury w budynkach 5-kondygnacyjnych, jakie nadzorowałem, miały 38, 51, a często nawet 64 cm grubości. Pożerały one olbrzymie ilości cegieł oraz wymagały wielkich rzesz murarzy. Szybko więc powstały różne zespołowe metody murowania, jakie polegały na przydzielaniu doświadczonym murarzom po kilku przyuczonych pomocników. Najbardziej rozpowszechnionym systemem murarskim w Nowej Hucie był system trójkowy. Jeden pomocnik łopatą nakładał zaprawę na murze, drugi podawał na mur cegły, zaś sam murarz przycinał i układał te cegły do pionu i poziomu, stosując odpowiednie wiązania. Oczywiście jeszcze inni pomocnicy dostarczali cegły przenośnikami bezpośrednio na stanowiska robocze i przygotowywali zaprawę wapienno-cementową w mieszkarkach.

Z dniem 1 kwietnia przeniesiony zostałem do hotelu dla pracowników inżynierskich na osiedlu Grzegórzki w Krakowie. Były tam znacznie lepsze warunki zakwaterowania, niż w poprzednim hotelu robotniczym na oś. C-2, zaadaptowanym tylko z budynku mieszkalnego. Przede wszystkim miałem do dyspozycji własny, gustownie umeblowany pokój. Pomieszczenia hotelowe były sprzątane, pościel wymieniana, a wejście do budynku strzeżone przez portiera. Tyle, że nie było żadnych pomieszczeń gastronomicznych czy świetlicowych na miejscu.

Hotel znajdował się w środku nowobudowanego sporego osiedla na kilka tysięcy mieszkańców w rejonie ulicy I. Daszyńskiego. Jest ono zlokalizowane właściwie w centrum Krakowa, ale duże połacie terenu w tym miejscu nie były zabudowane w związku z podmokłym gruntem i kilkoma stawami. Inwestor państwowy szybko z tym sobie poradził, likwidując stawy i obniżając poziom wód gruntowych.

Miałem teraz jednak do pokonania dłuższą drogę do pracy. Codziennie rano musiałem piechotą maszerować na określoną godzinę do Ronda Mogińskiego, odległego ok. kilometra od mego hotelu. Tam czekał stary autobus zakładowy, który przewoził do Nowej Huty wszystkich pracowników Dyrekcji, zamieszkałych w Krakowie. Podróż koleją trwałaby bardzo długo, zaś innej publicznej komunikacji do NH jeszcze nie było.

Ten autobus można by z powodzeniem nazwać „wesołym autobusem”. Jadący na ogół mieli doskonałe humory, specjalnie wyróżniał się w tym względzie mój starszy kolega po fachu W. Florek. Jego perlisty śmiech i opowiadane kawały rozweselały cały autobus.

W hotelu na Grzegórkach zamieszkiwałem ponad rok. Oczywiście wszelkie koszty zakwaterowania, jak również dowozu do pracy opłacało za mnie przedsiębiorstwo.

Przez wiele miesięcy miałem wówczas problemy ze zorientowaniem się w topogra-

fii Krakowa. Gdy wybierałem się na jakąś nieznaną mi ulicę, to najpierw udawałem się na Rynek Główny. Tam dopiero orientowałem się w którym kierunku muszę iść. Inna rzecz, że Rynek był wówczas centralnym węzłem komunikacji tramwajowej miasta. Tramwaj przejeżdżał nawet pod Bramą Floriańską. Oczywiście wozy tramwajowe były mniejsze od obecnych i jeździły w pojedynkę

Te linie tramwajowe w Ryнку Głównym zlikwidowano jednakże już w grudniu 1952 r., realizując w ten sposób jeszcze przedwojenne postulaty o ochronie zabytków śródmiejskich przed szkodliwymi drganiami gruntu i hałasem.

Przez pewien czas miałem też niewytłumaczalną amnezję do nazwy osiedla Grzegórzki, które myliłem z „Gzęgżółkami”.

Na Święta Wielkanocne pojechałem, jak zwykle, do rodziców do Kępna, natomiast w drugie święto nietypowo do Wrocławia. Chciałem zabrać ze sobą skierowanie do pracy w Nowej Hucie, przygotowane już wcześniej przez uczelnię.

Miał je mój kolega przed świętami odebrać z dziekanatu i dostarczyć mej siostrze. Z jakichś powodów tego nie uczynił i postawił mnie w trudnej sytuacji, gdyż upływał termin, w jakim zobowiązałem się to skierowanie dostarczyć do działu kadr w moim biurze. Zdecydowałem więc zatrzymać się we wtorek poświęcony we Wrocławiu, odebrać samemu ten nieszczęsny papierek, natomiast stracony dzień pracy odrobić później wg uzgodnienia ze swym przełożonym.

Po świętach poszedłem więc do pracy dopiero w środę. Nie przeczuwałem co mnie czeka. A czekała sekretarka, która kazała mi się natychmiast stawić przed oblicze naczelnego. Dyr. Zralek, podpierając twarz lewą ręką, patrzył we mnie swym świdrującym wzrokiem i zapytał, odczekawszy chwilę, dlaczego poprzedniego dnia nie byłem w pracy. Odpowiedziałem najbardziej szczerze o swym dylemacie wrocławskim i że chętnie odpracuję na dodatkowych zmianach ten stracony dzień roboczy.

Usłyszałem wtedy od naczelnego, że, po pierwsze, miał z tego powodu osobiste przykrości, gdyż musiał złożyć swym zwierzchnikom pisemne zestawienie nieobecnych w pracy w ten dzień poświęcony. Po drugie, że nie przyjmuje mego mętnego tłumaczenia do wiadomości. I po trzecie, że poczynawszy od następnego tygodnia otrzymam obniżoną grupę zaszeręgowania i niższy dodatek funkcyjny.

Faktycznie, mam do dziś tę zmianę warunków płacy. Z drugiej grupy spadłem do grupy III, otrzymałem też mniejszy dodatek funkcyjny i obniżony współczynnik premiiowy z 1,0 na 0,9. W ten sposób moje zarobki zmalały z dnia na dzień z ok. 1200 do poniżej 1000 złotych. Nic się tym nie przejmowałem. Nikomu też wówczas o tej swej przygodzie nie mówiłem i pracowałem tak, jakby nic się nie zdarzyło. Bynajmniej też nie miałem żadnej pretensji do swego pryncypała. Chyba na jego miejscu postąpiłbym tak samo.

Na marginesie powiem tylko, że dyscyplina pracy, jaką wówczas stosowano i starano się bezskutecznie wdrożyć w umysły i nawyki obywateli, ma się tak do dziś uprawianych stosunków pracy, jak dyscyplina w wojsku do zabawy podwórkowej małaolatów. Mnie ta dyscyplina odpowiadała, bywało, że przez lata nie miałem żadnych nieobecności, nigdy się nie spóźniałem do pracy, zaś obowiązki swe wykonywałem terminowo, choćby pracując w nadgodzinach i w niedziele.

W dniu 21 kwietnia wysłano mnie do Warszawy na 9-dniowy kurs szkoleniowy, zorganizowany przez Ministerstwo Budownictwa Miast i Osiedli. Kurs był inspirowany i prowadzony bezpośrednio przez, funkcjonujący w ramach ministerstwa, Centralny Zarząd Budowy Miast i Osiedli „ZOR”. Należały do niego wszystkie problemy związane z programowaniem, projektowaniem i nadzorem inwestycyjnym odbudowy miast i budowy nowych osiedli. W jakimś sensie nawiązywał on do tradycji przedwojennego Zakładu Osiedli Robotniczych, jaki prowadził budowę osiedla Żoliborz w Warszawie. Tyle, że

przedwojenny ZOR zajmował się jednym osiedlem, a powojenny ZOR setkami osiedli i miast całej Polski.

Głównym celem kursu było zapoznanie uczestników, przedstawicieli służb inwestycyjnych z dużych ośrodków miejskich, z problematyką projektową, normatywnymi projektowania i przepisami prawa budowlanego. Dla mnie kurs był bardzo cennym pogłębieniem i uporządkowaniem znanych mi już w większości wiadomości ze studiów i niemałej już praktyki projektowej. Kurs zakończył się egzaminami przed komisją, której przewodniczył znany architekt A. Ciborowski, późniejszy główny autor planu odbudowy, zniszczonego przez trzęsienie ziemi, miasta Skopje w Jugosławii.

Warszawa w 1952 r. tętniła bogatym życiem, odbudowa i budowa nowych ulic i osiedli prowadzona była nadal z dużym rozmachem. Po mieście jeździły już samochody osobowe „Warszawa” produkowane w nowej fabryce na Żeraniu w oparciu o licencję radzieckiej „Pobiedy”. Odgruzowywano i niwelowano hektary terenu pod budowę Pałacu Kultury i Nauki, na realizację którego właśnie podpisana została umowa z ZSRR. Porobiłem różne zakupy dla siebie w nowym przeszklonym Centralnym Domu Towarowym przy ul. Barskiej. Byłem też na górnym piętrze na nocnym koncercie muzyki jazzowej, która wówczas stawiała w Polsce swe pierwsze kroczki.

Moje bloki mieszkalne na osiedlu C-1 rosły jak na drożdżach. Co tydzień-dwa przybywało na nich po pięterku i nadzorowałem już wkrótce także roboty wykończeniowe. Do robót, jakie szczególnie trzeba było wówczas kontrolować można zaliczyć osadzanie drzwi i okien, pionowanie ścianek działowych oraz wykonywanie parkietów i lastryka. Żeby osadzić stabilnie stolarszczyznę okien i drzwi należało w ościeżach otworów umocować wcześniej trapezowe klocki drewniane impregnowane grzybobójczo. Murarze nagminnie o tym zapominali. Musiałem więc ciągle tych klocków pilnować.

Parkiety stosowano we wszystkich pokojach mieszkalnych. Do epoki PCW czy innych tworzyw sztucznych było jeszcze daleko i te parkiety dawano chyba z konieczności, mimo ich bardzo wysokiej ceny. Lecz posadzki te wymagają przesuszonego podłoża, równej wylewki i odpowiedniego układania i klinowania pod listwami przyściennymi. Z tym były zawsze problemy.

Natomiast lastryko stosowano z reguły wszędzie tam, gdzie nie dawano parkietów, a więc w łazienkach, kuchniach, na balkonach, schodach i podestach. Posadzka ta, znana już starożytnym Rzymianom, wykonywana była w tych pięćdziesiątych latach także sposobami rzymskimi. Mianowicie jej szlifowanie dokonywane było przez lastrykarszy na kolanach przy użyciu ręcznych szlifierek. Robota iście dla niewolników. Ponieważ polscy robotnicy za takich się nie uważali, więc raczej wykonywali ją gorzej, niż ich koledzy po fachu dwa tysiące lat temu.

Po kilku miesiącach moje bloki kolejno przejmowały komisje odbiorcze i prawie natychmiast były one zasiedlane. Kilka budynków przeznaczono na hotele robotnicze dla zatrudnionych w kombinacie. Śpieszono się z tym tak bardzo, że rezygnowano z wcześniejszego wykonywania tynków elewacyjnych. Faktycznie roboty elewacyjne na całym, dużym osiedlu C-1 wykonane zostały dopiero po około sześciu latach.

Mnie zaś coraz więcej angażowały roboty wykończeniowe w kilkunastu różnych sklepach na parterach ostatnich dwóch budynków. Wkrótce jednakże nadzór nad tymi domami i sklepami przekazałem kolegom. Sam otrzymałem pod swoją pieczę dwa pierwsze obiekty niemieszkalne na nowym osiedlu C-3. Były to: budynek dla Komendy Dzielnicowej Straży Pożarnej z garażami na 10 wozów bojowych i duży biurowiec, gdzie później ulokował się Urząd Dzielnicowy Nowej Huty.

W tym mniej więcej czasie zaangażowany został na kilka tygodni w Inspektoracie

Nadzoru DBMNH na stanowisku pomocnika nadzoru murarz nowohucki Piotr Ożański. Był on rekordzistą murarskim, znanym w całym kraju. Ale wówczas miał prawą dłoń zabandażowaną i rękę na temblaku. Mianowicie w czasie murarki na jakiejś podkrakowskiej wsi, ktoś podłożył mu rozpaloną cegłę. Chwyając ją sparzył sobie poważnie dłoń i nie mógł pracować w swym zawodzie przez wiele miesięcy.

W powstałym dwadzieścia kilka lat później filmie „Człowiek z marmuru” Piotrek został przez reżysera A. Wajdę przyjęty jako pierwowzór głównego bohatera filmu. Kreował go aktor krakowski J. Radziwiłowicz.

Zwykle w takich sytuacjach reżyserzy starają się w sposób możliwie wierny odtwarzać sylwetkę bohatera, otoczenie, przedstawiane zdarzenie i fakty. Na przykład aktor grający Józefa Piłsudskiego zawsze ma sumiaste wąsy i siwy strój strzelca legionowego. Lecz Wajda posłużył się własną, zmyśloną wizją swych postaci i akcji filmowych.

Radziwiłowicz w filmie był więc dokładnym przeciwieństwem Ożańskiego, który był niski, krępy, silny, z wystającymi kośćmi policzkowymi, z dłońmi jak łopaty. Swe chłopskie pochodzenie miał wypisane na swej twarzy, w sylwetce i ruchach. Wprawdzie Radziwiłowicz starał się grać głupka, ale Piotrek był właśnie bystry, inteligentny, ufny i sympatyczny, choć niewiele mówił. Podobnie rekwizyty i statyści filmowi: mury wznoszonego domu, windy „warszawskie”, robotnicy nowohuccy, wszystko jakby z innego świata. Szkoda, że A. Wajda nie skorzystał z usług i doradztwa żyjących przecież bezpośrednich budowniczych Nowej Huty i nie wysilił się na poznanie samego P. Ożańskiego. W ten sposób kawałek historii polskiej przekazał młodemu pokoleniu w sposób przekłamany, niezgodny ze współczesną rzeczywistością i ludźmi.

Oba obiekty, które zacząłem nadzorować na osiedlu C-3 były o wiele bardziej skomplikowane od budynków mieszkalnych osiedla C-1. Dokumentację projektową otrzymywałem z Miastoprojektu fragmentami, sukcesywnie w trakcie budowy. W związku z tym moja rola przy nadzorowaniu tych obu obiektów poważnie wzrosła. Musiałem bowiem dbać o terminowe dostarczenie brygadom roboczym właściwych rysunków, zaś wcześniej sprawdzić je i skoordynować. Dodatkowo w przypadku budynku strażnicy często brakowało rysunków zbrojarskich dla pomniejszych elementów konstrukcyjnych. Rezygnowałem zwykle z monitów u projektanta i sam szybko rysowałem odpowiednie szkice i dyspozycje zbrojarzom i cieślom.



Kier. Hayto, ja, mistrz Śliwa, Włodarczyk
ka niemowę, niesprawnego umysłowo. Człowiek ten znany wszystkim tylko z imienia, był nadzwyczaj przydatny. Wykonywał bowiem wszelkie, często brudne i niewdzięczne prace porządkowe, jakich zwykle wiele na dużej budowie. Wystarczyło, że kierownik wskazał Mietkowi ręką co ma robić, a ten krzątał się od świtu do ciemnego wieczora, zamiatął, segregował cegły, zbierał deski, zabezpieczał cement, odwoził gruz taczkami, mył okna. Pilnował też całej budowy, bo spał i mieszkał w baraku kierownictwa. Przez

Obie te budowy, usytuowane obok siebie, realizowane były przez jedno kierownictwo budowy. Świetnie mi się współpracowało i zaprzyjaźniłem się z tym kierownictwem i brygadziastami.

Kierownik Hayto, energiczny, przedwojenny budowlaniec, doskonale dawał sobie radę z ludźmi. Potrafił zachęcić pracowników do dodatkowego wysiłku, nagrodzić za dobrą robotę, lub zbesztać za partactwo.

O tym, że świetnie radził sobie w bardzo trudnej roli kierownika budowy, świadczyć może choćby taki nietypowy fakt, że zatrudniał człowieka niemowę, niesprawnego umysłowo. Człowiek ten znany wszystkim tylko z imienia, był nadzwyczaj przydatny. Wykonywał bowiem wszelkie, często brudne i niewdzięczne prace porządkowe, jakich zwykle wiele na dużej budowie. Wystarczyło, że kierownik wskazał Mietkowi ręką co ma robić, a ten krzątał się od świtu do ciemnego wieczora, zamiatął, segregował cegły, zbierał deski, zabezpieczał cement, odwoził gruz taczkami, mył okna. Pilnował też całej budowy, bo spał i mieszkał w baraku kierownictwa. Przez

wszystkich traktowany był z szacunkiem i uznaniem za swą pracę. On sam czuł się potrzebny, za swym kierownikiem zapewne skoczyłby w ogień.

Zaś majster Śliwa wiedział, jak dobrze wykonać każdą robotę. Starszy wiekiem i doświadczeniem tłumaczył cierpliwie robotnikom, co i jak mają robić i często sam pokazywał, jak lepiej wykonać daną robotę. Ja także sporo się od niego nauczyłem.



Cieśle i ja przy szalunkach

sprawdzanie i ewidencja kosztorysów i wszelkiej dokumentacji projektowej.

Ja wtopiłem się w ten kolektyw kierowniczy i uzupełniałem go. Kierownik Hayto nienawidził jakichkolwiek prac papierkowych, więc ja pomagałem jego zastępcy, zwłaszcza w prowadzeniu ksiąg obmiaru, które równocześnie sprawdzałem i podpisywałem. Kierownika bezpośrednio zastępowałem przy redakcji różnych protokołów, w prowadzeniu dziennika budowy, opracowywaniu harmonogramów robót itp. Majstrowi i brygadziście wyjaśniałem i interpretowałem rysunki projektowe. Brałem też często udział w operatywkach kierownictwa odcinka robót przedsiębiorstwa „Zetbeem”.

W ogóle, mimo swego nadzorczego stanowiska, byłem lubiany i szanowany przez całą załogę budowlaną. Zapraszany byłem i brałem udział w różnych małych, okazjonalnych imprezach, jak obchodzenie imienin, świąt, ustawienie wiechy na budynku itp. Odbływały się one po fajrancie w pakamerach i miały zawsze podobny przebieg. Rozmawiało się, siedząc na ławach i zydełkach wokół stolika, na którym, na tackach, leżały pęta kielbasy, pajdy pokrajanego chleba, jakieś kołaczki oraz stały musztardówki na gorącą herbatę i wódkę.

Jadło się dużo, piło również nie mało, przy czym musztardówki z alkoholem krążyły często z ręką do ręki z życzeniami zdrowia, lub innym dobrym słowem. Ja nie pozwalałem sobie na nalewanie pełnego szkła, bywało, że nawet nieobyczajnie odmawiałem spełnienia kolejnego toastu, nigdy nie spotykając się z jakimś nachalnym namawianiem i przymuszaniem do wypitki. Wszyscy wiedzieli, że „pan inżynier” nie pozwala się upić.

Współpracowałem również ściśle z przyszłym użytkownikiem strażnicy pożarnej komendantem kpt. K. Frycem. Interesował się on przebiegiem robót, bywał często na budowie i zgłaszał mi swe szczegółowe uwagi, które, w miarę możliwości, wprowadzałem do realizacji. Kpt. Fryc później, już w stopniu majora, długo był komendantem Dzielnicowej Straży Pożarnej, by następnie, jako pułkownik, przejąć szefostwo Głównej Komendy Straży Pożarnej w Krakowie przy ul. Westerplatte.

Z początkiem października zawezwany zostałem rano do naczelnego dyrektora. Po drodze zastanawiałem się, co takiego zmajstrowałem, że dyrektor Zralek wzywa mnie na „dywanik”. Gdy już usiadłem naprzeciw jego biurka zaczął mnie po prostu wypytywać, jak mi się pracuje, czy jestem ze swej pracy zadowolony itp. Był to oczywiście tylko wstęp.

Gdy dłuższa pogawędka miała się ku końcowi, wyjął mi, że przez całe pół roku, jakie minęły od tamtej przykłej rozmowy poświętej, obserwował i śledził moje zachowanie się. Przyznał, że swą pracą wykazałem, że to ja wtedy miałem rację, zaś on się pomylił i niesłusznie mnie ocenił. W związku z tym zdecydował o moim awansie ze stanowiska młodszego inspektora od razu na stanowisko starszego inspektora nadzoru oraz o zamiarze mianowania inspektorem zespołowym budowy Centrum Nowej Huty, jakie w następnym roku wchodziło w fazę realizacji.

Zostałem przeszerogowany skokowo do I grupy płac z podwojonym dodatkiem funkcyjnym i zwiększonym współczynnikiem premiovym z 0,9 na 1,0. Grupa I przysługiwała kierownikom działów i w inspektoracie nadzoru na około 30 zatrudnionych tylko główny inspektor kierujący działem miał tę grupę zaszerogowania.

W ten sposób moje zarobki z ok. 1000 zł wzrosły od razu do ponad 1500 złotych (zależnie od wysokości premii). Zarabiałem więc na ówczesne warunki stosunkowo dużo, co najmniej dwukrotnie więcej niż wynosiła średnia krajowa. A byłem przecież sam i nie miałem specjalnych wydatków.

Późną jesienią 1952 r., można powiedzieć, że po letnim sezonie budowlanym, byłem uczestnikiem dwóch kursów szkoleniowych, zorganizowanych przez Dyрекcję dla swych inspektorów nadzoru. Jeden obejmował projektowanie i realizację instalacji domowych: sanitarnych, grzewczych i elektrycznych. Drugi dotyczył walki z grzybem budowlanym. Wykłady prowadzili specjaliści z Naczelnej Organizacji Technicznej w Krakowie. Kursy objęły łącznie 114 godzin wykładów, jakie trwały dwa miesiące i odbywały się w większości w godzinach pracy.

Na dodatkową naukę poświęciłem wiele wieczorów, zwłaszcza, że zawsze miałem ambicję uzyskania jak najlepszej oceny, zaś kursy kończyły się egzaminami przed odpowiednią komisją. Takie praktyczne kursy dawały dobrą szansę pogłębienia zdobytych na studiach teoretycznych wiadomości.

W Nowej Hucie przeprowadzono wtedy na większą skalę próbę osadnictwa ludności cygańskiej. Mianowicie na os. A-1 przekazano kilkudziesięciu rodzinom cygańskim mieszkania w nowych blokach, zaś mężczyzn zatrudniono na budowach. Aklimatyzacja ludzi, wędrujących dotąd taborami, do osiadłego trybu życia, nie była jednak łatwą sprawą. Po prostu część z nich nie akceptowała nowych, odmiennych od dotychczasowych warunków bytowania.

Niektóre z ich mieszkań przez wiele lat nie były w ogóle meblowane, zaś mieszkańcy spali pokotem na podłogach. Zdarzały się też przypadki, że Cyganie zrywali dębowe parkiety z posadzek i palili je na ogniskach na środku największych izb.

Obie moje budowy na osiedlu C-3 realizowane były bardzo szybko. Były dnie i tygodnie, że kierownictwo uzyskiwało poważne wsparcie ze strony Powszechnej Organizacji „Służba Polsce”, która grupowała młodzieżowe hufce pracy pod patronatem ZMP. Na terenie fabryki tytoniowej w Czyżynach w dwóch wielokondygnacyjnych 200-metrowej długości, niewykończonych blokach fabrycznych kwaterowało kilka tysięcy junaków z brygad SP.

Byli oni zorganizowani na modłę wojskową, część przyuczona do różnych zawodów budowlanych i w Nowej Hucie zatrudniano ich głównie na budowie kombinatu. Nazywało się ich „stonką”, ze względu na zielony kolor mundurów i występowanie w dużych grupach. Faktycznie w trakcie robót ziemnych i fundamentowych biurowca na C-3 cały plac budowy mienił się na zielono. Pracowali na ogół bardzo wydajnie i trudno było nadażyć z przygotowaniem dla nich frontów robót. Później wielu z nich zostało już na stałe na budowach miasta i kombinatu nowohuckiego.

Jedno zdarzenie w trakcie budowy strażnicy pamiętam szczególnie. Otóż źle został wykonany dolny bieg piwniczny jednej klatki schodowej. Po rozszalowaniu żelbetowych schodów okazało się, że tym dolnym biegiem nie może przejść nawet człowiek średniego wzrostu.

Decyzja o tym, co należy zrobić, należała do mnie, a ja nie mogłem nic rozsądnego wymyślić. Budowa weszła w fazę końcową, na schodach wykonano już lastryko oraz zamocowano balustrady i zbliżał się szybko termin przekazania obiektu do użytku. Zostało tylko dwa dni do komisyjnego odbioru strażnicy, gdy wpisałem wreszcie do dziennika budowy jedyne możliwe polecenie wyburzenia wadliwego biegu i wykonania nowego. Dołączyłem też stosowne rysunki.

I oto w ciągu jednej doby Mietek rozkuł cały bieg żelbetowy, wykonano odpowiednie podmurówki ceglane, zapełniono je gruzem, zabetonowano nowe stopnie, przerbiono stalowe balustrady, położono lastryko, wykonano reperacje tynków. Następnie, po odczekaniu kilkunastu godzin, wyszlifowano lastryko i pomalowano fragmenty ścian. Wszystko było gotowe, gdy na drugim końcu budynku komisja odbioru rozpoczynała swe prace. Zaś potem, już w trakcie podejmowania przez kpt. Fryca załogi budowlanej „lampką alkoholu” - uzgodniłem z kierownikiem Hayto sposób rozliczenia tych ostatecznie bardzo małych kosztów przeróbki biegu schodowego. Może gdzie indziej byłoby dochodzenie: kto zawinił, kogo obciążyć kosztami itp., ale nam były obce takie metody.

Drugie pamiętne zdarzenie dotyczy budowy sąsiedniego biurowca. W trakcie kończenia fundamentów budynku rozpadały się kilkudniowe deszcze i na odcinku kilkunastu metrów obsunęła się stroma skarpa ziemi od strony ulicy. Nad 4-metrowym wykopem zawisła ciężka, wielootworowa kanalizacja teletechniczna.

Ściągnięto mię w nocy z mieszkania. Na budowie byli już kpt. Fryc z oddziałem strażaków i samochodami pożarniczymi oraz kierownik Hayto, kompletujący brygadę cieśli i kopaczy z narzędziami. Poinformowano mnie, że kanalizacja prowadzi tajne kable wojskowe, łączące Moskwę z Berlinem i Wiedniem. Nie było jej dlatego na podkładach geodezyjnych. Stąd projektanci nie przewidzieli odpowiednich zabezpieczeń, czy odsunięcia projektowanego budynku.

Staliśmy w trójkę w pelerynach nad wykopem, a co chwila strażacy lub cieśle podchodzili do nas po dyspozycje co mają robić. W jakiś sposób strażacy odszukali najbliższe studzienki kanalizacji teletechnicznej i wypompowali z nich wodę, gdyż napływała ona przewodami i przeciekała w rejonie wykopu. Zabezpieczyli też teren nad kanalizacją przed przesiąkaniem wody deszczowej do gruntu.

Zaś cieśle pracowali w wykopach, zabezpieczając 4-metrową skarpe od dalszego obsuwania się i wykonując konstrukcję wsporczą pod betonowe rury kanalizacji teletechnicznej. Rury te wsparto na długości kilkunastu metrów wieloma ukośnymi zastrzałami z solidnych drewnianych okrągłaków. Wszystkie te prace wykonywane były w świetle reflektorów, prawie bez słów, lecz tylko przy stukocie siekier, młotów i łopat. I w nieustannie siąpiącym deszczu.

Później bardzo szybko wykonana została od strony kabli piwniczna, żelbetowa ściana oporowa budynku. Po jej izolowaniu, przestrzeń do skarpy zasypano żwirem i piaskiem, ubijanym warstwowo. Zastrzały wspierające wycinano sukcesywnie w miarę zasypów i łatano otwory w betonowej ścianie po usuniętych belkach wsporczych.

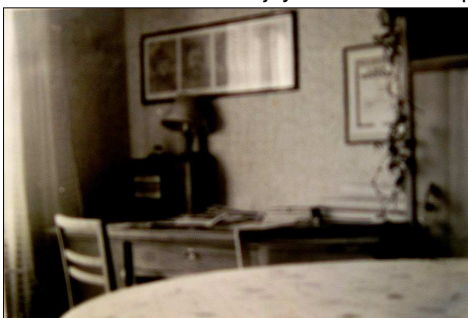
Na początku 1953 r. przeniósłem się do nowego mieszkania przy Al. Lenina 15/51 na osiedlu A-Zachód. To, że będę tam mieszkać, wiedziałem, zanim budynek zaczęto budować, dlatego w trakcie budowy doglądałem jakości wykończenia swego przyszłego mieszkania.

Otrzymałem przydział „kawalerki”, obejmującej 1 pokój mieszkalny z przedsionkiem

o łącznej powierzchni 19 m². W przedsionku była umywalka i mała wnęka z dwupłomieniową kuchenką gazową. Łazienka i WC, wspólne dla czterech takich garsonier, znajdowały się obok przy korytarzu. Mieszkanie było oczywiście wykończony, z parkietem w jodełkę, ściany malowane w jasnym beżowym kolorze.

W tym samym dniu, gdy przejąłem swą kawalerkę, pojechałem tramwajem do Krakowa i kupiłem w sklepie meblowym jasny, kombinowany komplet mebli, obejmujący tapczan, okrągły stół rozsuwany, 6 krzeseł wyściełanych, szafę, bibliotekę oraz wolno stojący kwiatnik. Wróciłem na platformie konnej, która przewiozła meble i ludzi do ich przeniesienia i ustawienia.

W kilku kolejnych dniach zakupiłem karnisz, firanki do okna, dywan na podłogę, duży kilim na ścianę nad tapczanem i kwiaty doniczkowe do kwiatnika. Wykonałem też rysunki szafek wbudowanych nad i pod kuchenkę gazową. Zakład stolarski na osiedlu A-3 wykonał mi te szafki w ciągu tygodnia. Po ich zamontowaniu i zakupie lustra nad umywalkę oraz po zawieszeniu zasłanki, wydzielającej z przedpokoju „mokrą” wnękę z umywalką i kuchenką - miałem zupełnie przyzwoite, wygodne i gustownie urządzone mieszkanko. Zwłaszcza, że ściany ozdobiłem swymi obrazami.



Kawalerka po umeblovaniu

Brakowało mi tylko biurka do pracy. Niestety, za żadne skarby nie mogłem tego mebla w Krakowie kupić. Udało mi się to dopiero po wielu miesiącach. Na tym biurku stał potem nowoczesny, fornirowany radio-adapter, lampa z abażurem oraz mała deska rysunkowa.

Tryb mego życia przez cały okres pracy w Nowej Hucie był podporządkowany i zdominowany przez pracę zawodową. Wstawałem wcześniej rano w okolicach szóstej godziny i przygotowywałem i spożywałem śniadanie zawsze przed pójściem do pracy. Raczej były to śniadania obfite i bazujące, niestety, najczęściej na jajecznicy, kiełbasie i tłustych serach.

Za to w czasie pracy, albo w ogóle nic nie jadłem, albo spożywałem śpiesznie kanapki, jakie rano sobie przygotowałem. Dopiero później, bywało, że wyskakiwałem koło południa do sąsiedniego baru mlecznego na szybkie barowe lub mleczne danie. Obiad, a właściwie obiado-kolację konsumowałem późno, już po godzinach pracy, w jakiejś restauracji krakowskiej, gdy mieszkalem na Grzegórkach, zaś później również w Nowej Hucie. Upodobałem sobie szczególnie restaurację przy ul. Szewskiej 14, choć na szczęście korzystałem z niej rzadko. Specjalizowała się ona bowiem w serwowaniu golonek wieprzowych. Zamawiało się golonki małe, średnie lub duże, z ziemniakami względnie chlebem, z dodatkiem kapusty, chrzanu, kiszonych ogórków, grochu, ćwikły albo musztardy.

W ogóle to prowadziłem nieregularny, niezdrowy tryb życia. Raz, wracając już wieczorem, po pracy do domu, na moje osiedle A-Zachód, zatrzymałem się przy kiosku piwnym na Placu Centralnym. Byłem bez obiadu, więc głodny, a także po prostu zmęczony. Zatrzymałem się przy kiosku tylko dlatego, że byli tam i popijali piwko dwaj brygadziści z mojej budowy. Zagadali, mieliśmy jakieś swoje budowlane sprawy, więc przystanąłem przy nich, również zamawiając kufelek piwa.

Były wówczas w Krakowie specjalne, okrągłe kioski z piwem. Miały wokół zewnętrzny parapet, na którym stawiało się kufle i można się było wesprzeć. Tak więc piło się, stojąc wygodnie wokół kiosku. Piwo było prosto z beczki, nalewane pod ciśnieniem

kwasu węglowego przy pomocy specjalnego syfonu, uruchamianego przez kioskarka. Można było zamówić piwo jasne w kilku gatunkach lub ciemne nieco łagodniejsze.

Nie wiem, jak długo rozmawiałem i ile piw wypilem, w każdym bądź razie upilem się po raz drugi w życiu. Pierwszy raz na weselu swojej siostry, a jeszcze wiele lat później, po raz trzeci na swym własnym weselu. Jak pamiętam, w stanie nietrzeźwym zachowywałem się bardzo spokojnie. Wówczas, wracając do mieszkania, miałem do pokonania jeszcze ze 300 metrów prostej drogi. Szedłem nowym, wąskim chodnikiem z płyt betonowych, równiutko wzdłuż lewej krawędzi chodnika i bałem się zderzenia, gdyby ktoś szedł z naprzeciwka, bo ja nie byłbym w stanie dokonać manewru wymijającego. W domu, w ubraniu, uwaляłem się na tapczan i przespałem tak do rana.

Na budowach najbardziej spotykanym ubiorem roboczym były szare, ciepłe, wataniane kufajki i gumowe buty, ubierane na spodnie. Ja swą przydziałową kufajkę ubierałem bardzo rzadko w wyjątkowo zimne i słotne dni. Ale buty gumowe nosiłem często, zwykle zawinięte od góry do połowy. Ubieranie gumiaków było koniecznością, jeśli tylko padał deszcz i było mokro. Mianowicie na terenie całej Nowej Huty występują grunty lessowe o miąższości nawet do kilku metrów. Przypominają glinę, zarówno jasnożółtym kolorem, jak i pylastą budową.

W czasie opadów grunt ten chłonał wilgoć i nabierał konsystencji gęstego ciasta. Normalnie w obuwu niepodobna było w ogóle po tej lepiącej się mazi chodzić. Na początku pobytu w NH próbowałem chodzić w kaloszach, ale po prostu grzęzły całe w błotku i trudno je było potem wyciągnąć.

Natomiast gdy było sucho i wietrznie, to nad placami budów unosiły się chmury żółtego kurzu lessowego. Z tego powodu nabawiłem się wkrótce chronicznego zapalenia spojówek, jakie przez kilka lat mnie prześladowało. Od tego też czasu zawsze w pogodne dni noszę ciemne okulary.

Ponieważ prowadziłem żywot kawalerski, więc sam musiałem dbać o swą garsonierę i swą garderobę. Porządek w mieszkaniu utrzymywałem na prostej zasadzie, że każda rzecz miała swoje stałe miejsce. W związku z tym utrzymanie czystości sprowadzało się głównie do odkurzania mebli i dywanu. Kupiłem w tym celu mały odkurzacz.

Bieliznę pościelową i osobistą oddawałem do prania w niedalekiej pralni osiedlowej. Miałem też żelazko elektryczne, ale spodnie najczęściej prasowałem w prosty sposób, podkładając je na noc, po złożeniu kantów, pod prześcieradło na tapczanie.

Zawsze sporo czytałem. Na bieżąco prasę codzienną oraz tygodniki „Przekrój” i „Świat”, zaś w miarę wolnego czasu książki, przy czym wówczas gustowałem w kryminałach. Lubilem też rozwiązywać krzyżówki w czasopismach i nawet otrzymałem kilka książkowych nagród. Najwyraźniej nie było wtedy zbyt wielu krzyżówkowych amatorów.

Raczej nie korzystałem z wypożyczalni bibliotecznych, lecz interesujące mnie książki kupowałem w księgarniach lub na kiermaszach książek. Były one podówczas drukowane zwykle na marnym papierze, za to wydawane często w wielusettyśięcznych nakładach i w związku z tym względnie bardzo tanie.

W wydawnictwie tanich książek specjalizowała się zwłaszcza oficyna wydawnicza „Książka i Wiedza”. Realizując propagowaną oficjalnie ideę książki za „grosik”, drukowała ona dziesiątki klasycznych dzieł literatury polskiej i światowej. Na gazetowym papierze, ale w standardowych nakładach po 50 lub 100 tysięcy egzemplarzy i w cenie po 50 groszy za książkę.

Do teatru czy kina jeździłem chętnie, lecz raczej rzadko, gdyż trzeba było jechać do Krakowa, co było całą wyprawą. Od 1953 r. jeździło się już wprawdzie nową linią tramwajową, ale czas przejazdu do centrum Krakowa przekraczał znacznie pół godziny. Poważnym problemem były powroty do Nowej Huty nocną porą. W początkowym okre-

sie funkcjonowania tramwaju nie było kursów nocnych, a i później często nocami wykonywano wszelkie uzupełniające roboty i przeróbki. Zdarzyło mi się dwukrotnie, że prze mierzyłem nocą 6,5 kilometrową, nieoświetloną drogę z dworca kolejowego w Krakowie do mego mieszkania na os. A-Zachód na piechotę.

W czasie kilku pierwszych miesięcy funkcjonowania linii tramwajowej do Nowej



Pierwsza linia tramwajowa do Nowej Huty

W latach powojennych przyjął się powszechny zwyczaj realizacji dorywczych prac i czynów społecznych. Organizowane one były w skali całego kraju, obejmując wszystkie zakłady pracy, szkoły, placówki służby zdrowia itd. Odbływały się zwykle w dni wolne od pracy, zaś najczęściej w niedziele, poprzedzające Święto Pracy 1-Maja i Święto Odrodzenia 22 Lipca. Jako student w ramach takich



Inspektorzy nadzoru w czynie społecznym

Moje przedsiębiorstwo brało też masowy udział w 1-majowych pochodach. Odbływały się one w Krakowie, trybuna honorowa znajdowała się przy ulicy Basztowej, obok obecnego biura LOT-u. Zakłady pracy i mieszkańcy dzielnicy Nowej Huty zbierali się zwykle w rejonie Ronda Mogińskiego, zaś przemarsz kolumn tej dzielnicy albo inaugurował, albo kończył pochód. Niekiedy w miejscu zbiórki trzeba było długo czekać na wymarsz swej firmy. Był więc czas na rozmowy w mniejszych grupkach, na omawianie spraw zawodowych i prywatnych.

Odrębność Nowej Huty utrzymywana była oficjalnie i zwyczajowo nawet po anulowaniu jej statusu miejskiego i przyłączenia jako kolejnej dzielnicy do Krakowa, co nastąpiło formalnie bodaj już w 1951 r., gdy dokonano podziału administracyjnego obszaru miasta na sześć dużych dzielnic. Mimo to wówczas nikt z mieszkańców, lub pracowników NH nie mówił, że mieszka, czy pracuje w Krakowie, lecz w Nowej Hucie i to bez wspomniania o dzielnicy. I tak już właściwie pozostało do dnia dzisiejszego, mimo że zatarty się granice obu aglomeracji i gdy cały Kraków liczy dziś 750 tys., w tym dzielnica Nowa Huta 250 tysięcy mieszkańców.

CENTRUM NOWEJ HUTY

Rozmach na centrum * Żurawie samojezdne * Projekty racjonalizatorskie * Nowy dyrektor * Sfałszowane wybory * Oskarżenia

Od 1 V 1953 r. zostałem znów wyróżniony w pracy i przeszeregowany do grupy Ia. Osiągnąłem w ten sposób górny pułap możliwości zarobkowych w biurze. Widelki płac kończyły się bowiem na grupie Ib, przysługującej tylko zatrudnionym na stanowiskach dyrektorskich. Dyrektor Zralek najwyraźniej stawiał na mnie konsekwentnie. Potrafił docenić zaangażowanie w pracy, ale był też wymagający. Byłem przypadkowym świadkiem zdarzenia wyraźnie to dokumentującego. Przebywałem w jego gabinecie w jakiejś sprawie, gdy wszedł, zawieszany wcześniej, pracownik - referent z działu programowania. Miał on przygotować ważny materiał dla ministerstwa, ale mimo ponagleń, nie dotrzymał kilku wyznaczonych terminów. Nie był to pracownik przejmujący się pracą, znałem go raczej z częstego przebywania w bufecie i popijania herbaty.

Dyrektor wstał zza biurka, zbliżył się do niego i napierając na niego brzuchem, wypchał go z powrotem do sekretariatu, cały czas przy tym besztając go półszepem i wyzywając nieprzyzwoitymi słowami. Sekretarce kazał polecić personalnemu natychmiastowe, dyscyplinarne zwolnienie delikwenta z pracy.

W pierwszym półroczu 1953 r. oba obiekty na osiedlu C32 zostały zakończone i przekazane kolejno przez DBMNH do użytku. Zaś ja już od wiosny przygotowywałem się do przejścia do nadzorowania inwestorskiego całego Centrum Nowej Huty w zakresie robót kubaturowych. Tymczasem wykonywano tam już od dłuższego czasu część ciągów uzbrojenia terenu i roboty drogowe.

Ten mój kolejny szybki awans łączył się właśnie z oficjalnym mianowaniem mnie inspektorem zespołowym na budowie Centrum NH.

Plan generalny Nowej Huty opracowany w 1949 r. przez T. Ptaszyckiego zakładał wyraźny, ściśle scentralizowany układ urbanistyczny nowego 100-tysięcznego miasta. Centralnym punktem zabudowy miał być duży prostokątny plac, z którego promieniście rozchodziło się 5 ulic. Po dwie na kierunku kombinatu i Krakowa, natomiast piąta stanowiła pionową reprezentacyjną oś, przecinającą miasto na dwie połowy.

Kliny zabudowy, powstałe pomiędzy tymi pięcioma trasami oznaczone zostały literami A,B,C,D. Z kolei fragmenty tych klinów, ograniczone kolistymi obwodnicami stanowiły osiedla A-1, A-2, A-3 itd.

Budowę rozpoczęto od najniższych gabarytowo osiedla A-0 od strony wsi Mogiła i osiedla A-1. W latach 1951-53 kontynuowano budowę osiedli zewnętrznych A-2, C-2, C-1 i B-2. Zaś w połowie 1953 r. głównym placem budowy stały się fragmenty osiedli A-3 do D-3, zlokalizowane bezpośrednio przy Placu Centralnym. Oznaczone one były na planie urbanistycznym jako oddzielne osiedla A31 do D31.

Dzisiaj poszczególne osiedla w miejsce budowlanych numerów mają swe nazwy. Tak, na przykład, os. C-1 to obecne os. Teatralne, os. C-2, gdzie krótko zamieszkiwa-



Biurowiec na C32 (Os. Zgody)

łem, to os. Krakowiaków i Górali, zaś te osiedla wokół Placu Centralnego oznaczane numerkami 31, to obecne Centrum A,B,C,D. Właśnie nad budową tych ostatnich sprawować miałem nadzór inwestorski.

W lipcu 1953 r. pierwszy swój 2-tygodniowy urlop spędziłem na wczasach FWP w Szklarskiej Porębie na południowy-zachód od Jeleniej Góry. Jest to duża miejscowość wypoczynkowa, leżąca u stóp góry Szrenicy w Karkonoszach. Fundusz Wczasów Pracowniczych posiadał już wtedy w Szklarskiej Porębie Górnej kilkadziesiąt różnej wielkości domów wczasowych. Bodaj nie było jeszcze wówczas zakładowych domów wypoczynkowych i FWP sprawował pod tym względem pionierską i prawie monopolistyczną rolę. Oprócz zapewnienia zakwaterowania i wyżywienia, każdy większy ośrodek wczasowy prowadził również działalność oświatową i sportową. W tym celu zatrudniani byli instruktorzy k.o. (kulturalno-oświatowi), których zadaniem było organizowanie imprez, spotkań, gier i zabaw, zaś przede wszystkim wycieczek.

Wziąłem udział we wszystkich zbiorowych wycieczkach, urządzonych w turnusie i zaliczyłem szczyty Szrenicę, Łabski Szczyt i Wielki Szyszak nad Śnieżnymi Kotłami, wodospady Szklarki i Kamieńczyka, Zakręt Śmierci na drodze sudeckiej i Zamek Chojnik w Sobieszowie. Przy okazji zdobyłem brązową górską odznakę turystyczną PTTK.

W owych pionierskich latach kształtowania się zbiorowych form wczasów pracowniczych udział w nich brała przede wszystkim młodzież. Nie jeździli na wczasy ludzie starsi, bo nie mieli takich nawyków. Zaś wczasy rodzinne z udziałem małych dzieci, rozwinęły się po latach, gdy zaczęli przyjeżdżać ci młodzi pionierzy wczasowi ze swoimi pociechami. Ja od tego pierwszego urlopu byłem już stałym i niezłomnym klientem FWP przez bardzo wiele lat.



Pracując jako inspektor nadzoru budowlanego miałem wiele kontaktów z pracownikami dyrekcji przedsiębiorstwa wykonawczego „Zetbeem”. Wykorzystując to, kilka razy wziąłem udział w jednodniowych wycieczkach rekreacyjnych, jakie dział socjalny przedsiębiorstwa organizował dla swych pracowników. Dysponowali oni własnym zakładowym autokarem, który właśnie wykorzystywali na te wyjazdy rekreacyjne. W 1953 r. byłem, na przykład, na wycieczkach w Bielsku Białej i Cieszynie, oraz nad Jeziorem Rożnowskim.

Autokarowa wycieczka zakładowa.

Po rozpoczęciu budowy na osiedlach Centrum kierowałem zespołem czterech innych inspektorów nadzoru, którzy nadzorowali bezpośrednio po 3-4 duże bloki mieszkalne, gdy ja odpowiadałem za realizację całości. Byli to, tak samo jak ja, młodzi architekci J. Koczur, J. Kafiaków i St. Rosiewicz oraz konstruktor K. Winiarz. Wspaniali koledzy, kompetentni w pracy, wszyscy bardzo przystojni i szybko się poženili. Może z tego ostatniego powodu nie zrobili większych karier zawodowych. Po latach prawie wszyscy zatrudnili się w biurach projektowych na stanowiskach starszych projektantów, Staszek emigrował za ocean.

Zajmowaliśmy kilka pokoi w baraku kierownictwa odcinka robót wykończeniowych, zlokalizowanego w środku osiedla B31. Odtąd do biurowca Dyrekcji na os. C-1 chodziłem tylko w miarę konieczności służbowych.

Do budowy Centrum NH przystąpiono z wielkim rozmachem. Z małymi odstępami w czasie rozpoczęto realizację wszystkich czterech bloków oznaczonych numerami 1, usytuowanych wokół Placu Centralnego, oraz dwójki i trójki przy osi reprezentacyjnej,

obecnej Alei Róż. Były to budynki 6-kondygnacyjne, a trójki miały nawet po 8 kondygnacji nadziemnych. Każdy blok liczył po kilkadziesiąt tys. metrów sześciennych kubatury.

Jako pierwsze rozpoczęto bloki nr 2 na os. B31 i C31. Miały one dokładnie po sto metrów długości. Stąd, gdy potem gdziekolwiek miałem ocenić jakieś nieduże odległości w zasięgu wzroku, to w wyobraźni ustawiałem sobie te bloki w szeregu, odmierzając w ten sposób odcinki po 100 metrów długości.

Oba te budynki przysporzyły mi też kilka chwil silnych emocji. Mianowicie miały one już gotowe stany zerowe, a więc stropy nad piwnicami, gdy ktoś przyszedł do Dyrekcji i powiedział, że jeden z tych budynków jest posadowiony o metr wyżej od drugiego. Są one usytuowane na płaskim terenie, po dwu stronach prostokątnego placu i byłoby to tragicznym w skutkach uchybieniem realizacyjnym. Wystraszyłem się więc i mimo padającego ulewnego deszczu poszliśmy w dwójkę, z młodym geodetą A. Kowalskim, na budowę, aby sprawdzić poziomy budynków. Kolega operował niwelatorem, ja trzymałem łatę mierniczą i dwa razy sprawdziliśmy rzędne parterów obu bloków. Było wszystko w porządku. Wróciliśmy uspokojeni, ale przemoknięci do ostatniej suchej nitki.

Na tych budynkach przydarzyło mi się nieco później jeszcze jedno zdarzenie, charakteryzujące tamtą epokę od strony obyczajowej. Byłem na jednym z owych budynków, zaawansowanych chyba do II piętra, gdy od strony Placu Centralnego usłyszałem tłumny śmiech. Na wszystkich sześciu blokach przy obecnej Alei Róż roboty murarskie były w pełnym toku, a na murach roło się od robotników, gdyż ówczesni planiści opanowali zasadę koncentracji robót do perfekcji. Ten śmiech narastał i przybliżał się coraz bardziej. Brygady przerywały pracę i dziesiątki robotników podchodziło do ścian od strony drogi, aby zobaczyć co się dzieje.

Zaś środkiem, między torowiskami żurawi, siedł sobie jeden tylko młodzieniec - bikiniarz. Włosy zaczesane w czub, jasna marynarka z szerokimi, watowanymi ramionami, wąskie spodnie do połowy łydek, jaskrawo kolorowe skarpety w poprzeczne pasy i półbuty na wysokich, świńskich podeszwach. Klasyczny ubiór klasycznego bikiniarza, jakby wyciętego ze „Szpilek” lub innych ówczesnych gazet. Cały czas, na przestrzeni 300 metrów między wielkimi budowlami, towarzyszył mu gromki, żywiołowy, szczery śmiech. Nic więcej, żadnych gwizdów, okrzyków lub tp.

Budowa Centrum pod wieloma względami stanowiła wyzwanie pod adresem projektantów i wykonawców. Częściowo przysłała nam z pomocą technika. Wykopy wykonywane były przez duże koparki przedsiębiorne z czerpakami o pojemności po 1 m³ ziemi. Ziemię odwożono samochodami-wywrotkami na skarpe przy fabryce tytoniowej w Czyżynach.

Do transportu pionowego materiałów budowlanych po raz pierwszy użyto samojezdnych 30 tnm dźwigów masztowych typu SBK, produkcji radzieckiej. Rychło licencyjną produkcję tychże dźwigów podjęły krajowe fabryki i żurawie te opanowały polski krajobraz budowlany na dziesiątki lat. Ze względu na ograniczoną ich ilość w Nowej Hucie, pracowały z reguły przez pełne dwie, a nawet niekiedy trzy zmiany. Po skończeniu stanów surowych przetaczane były przy pomocy piątego koła na następne bloki. To piąte koło, pozwalające na przejazd żurawia na poprzeczne torowisko, było bardzo cennym pomysłem racjonalizatorskim wprowadzonym przez kilku pracowników naszego nowohuckiego przedsiębiorstwa budowlanego. Natomiast dla transportu materiałów do robót



Pierwsze dwa żurawie na Centrum

wykończeniowych ustawiano od tyłu budynków tradycyjne windy warszawskie.

Wszystkie budynki w swej architekturze wzorowane były na zabudowie realizowanej wówczas Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej w Warszawie. To znaczy ustrojone były arkadami, portfenetrami, wieloma gzymsami, attykami zaś znaczna część tych elementów i elewacji była wykładana piaskowcem.

Tak, w całości, zostały zrealizowane bloki wokół Placu Centralnego. Natomiast z uwagi na poważne trudności z terminową realizacją kamieniarki i bardzo wielkimi jej kosztami - podjęto w pewnym momencie decyzję, niestety również przy moim znaczącym udziale, aby wykonanie wykładzin kamiennych na blokach numeracji 2 i 3 odłożyć w czasie. Jak się można było już wówczas spodziewać, nie zostały one nigdy wykonane, z widoczną szkodą dla wyglądu tych czterech budynków.

W tych blokach w Centrum po raz pierwszy w Nowej Hucie instalowane były wewnętrzne windy osobowe przy klatkach schodowych. Były to pewne nowe doświadczenia, przy czym windy początkowo importowano ze Szwecji. Jednak szybko podjęta została w Łodzi licencyjna produkcja takich samych dźwigów.

Zgodnie z obowiązującym normatywem projektowania wszystkie budynki ponad 5-kondygnacyjne powinny być wyposażone w zsypy śmieciowe, dostępne dla mieszkańców na podestach klatek schodowych. Dokumentacja opracowana w Miastoprojekcie przewidywała odpowiednie pomieszczenia i kamionkowe rury zsypane, ale nie zawierała szczegółów samych zsyków. Nie mogąc czekać z realizacją, podjąłem się opracowania rysunków roboczych odpowiedniej metalowej suflii zsykowej, który zgłosiłem jako projekt racjonalizatorski w „Zetbeem”. Projekt został przyjęty i zrealizowany szybko we własnych warsztatach ślusarskich przedsiębiorstwa dla wszystkich budynków wyposażonych w zsypy śmieciowe.

Wreszcie w parterach bloków nr 1 i 3 zaprojektowane zostały pomieszczenia usługowo handlowe, restauracje, kawiarnie, biblioteki, o bardzo wysokim standardzie wyposażenia i wykończenia. Były tam stiuki, wykładziny marmurowe, ozdobna ślusarka, boazerie, kasetony na sufitach itp. Było nad czym się potrudzić.

Lecz główne wyzwanie dla projektantów i wykonawców wynikało z zastosowania ciężkich żurawi budowlanych i dotyczyło technologii transportu materiałów oraz robót stanu surowego.

Dotychczas cegły, pustaki i inne drobne materiały przemieszczano w ręcznych taczakach, zaś żuraw SBK mógł podnosić ciężary do 1,5 tony wagi. Rychło więc pojawiły się różne stalowe kontenery i palety na cegły i pustaki (też pomysły racjonalizatorskie), przenoszone z placu składowego lub wprost z samochodu na stanowiska robocze. Belki DMS i pręty zbrojarskie wiązano w pęczki, beton i zaprawę murarską dostarczały dźwigi na poszczególne kondygnacje w specjalnych pojemnikach.

Z możliwościami żurawi bardzo wyraźnie kontrastowały drobnowymiarowe metody wykonywania ścian ceglanych i stropów pustakowych DMS lub Ackermana. Pojawiły się więc pomysły, aby filary i fragmenty ścian ceglanych murować na poziomie terenu i podnosić żurawiem duże gotowe bloki ściennie. Ten pomysł był wyraźnie anachroniczny, podobnie jak ongiś pierwsze samochody, którymi były dorożki konne, wyposażone w silniki spalinalne. Natomiast wszelkie pomysły w zakresie zmiany technologii ścian konstrukcyjnych „poszybowały” rychło w kierunku budownictwa wielkoblokowego, zaś później wielkopłytkowego, z zastosowaniem żelazobetonu, jako tworzywa.

Bardziej sensowny wydawał się pomysł wykonywania na przyziemnym poligonie płyt stropowych z pustaków Ackermana. Taki projekt właśnie szybko opracowałem i złożyłem w komisji racjonalizatorskiej. Ale równolegle bardzo podobne projekty płyt stropowych dostarczył nam Miastoprojekt-Kraków. Zostały one natychmiast zastosowane powszechnie na budynkach Centrum.

W ogóle znaczna część usprawnień i pomysłów dostosowania technologii budownictwa do nowych możliwości technicznych, kształtowały się w trybie ruchu racjonalizatorskiego na budowach. Ja w tym zakresie w Nowej Hucie miałem swój znaczący udział. Opiszę kilka innych zastosowanych moich projektów racjonalizatorskich.

Chowanie łazienkowych przewodów wodociągowych w murze ceglanym wymagało wykucia w nich odpowiednich bruzd. Gdy w murze były przewody kominowe, to często występowało wykruszenie się cegły aż do otworów spalinowych, czy wentylacyjnych, i ich zatykanie. Zaprojektowałem więc otworowy pustak żużlobetonowy, posiadający podwójne ścianki. Wystarczyło przykuć zewnętrzną, ciekłą ściankę, żeby uzyskać potrzebne bruzdy na przewody instalacyjne. Pustak ten nazwałem „BeTa” od inicjałów mego nazwiska i imienia. Był wyrabiany masowo na małym poligonie, na przyszłym skwerku os. C31, i zastosowany we wszystkich budynkach Centrum.

Z wykorzystaniem żurawi związany był projekt żelbetowej płyty instalacyjnej, zawierającej wszystkie przewody wodociągowo-kanalizacyjne węzła łazienkowego. Przewidziałem kilka typorozmiarów takich płyt, uwzględniających różne możliwe warianty wielkości i rozwiązania łazienek. Płyty te mocowało się do ściany i podłączało do nich piony oraz urządzenia sanitarne.

Przy robotach szalunkowych stosowano zwykle drewniane stemple do podpierania podciągów i stropów. Wprawdzie używało się je wielokrotnie, ale przy różnych wysokościach wymagały sztukowania, bądź przycinania. Zaprojektowałem prosty, teleskopowy stojak z rur stalowych. Można go było regulować dla różnych wysokości i oczywiście stosować prawie dowolną ilość razy.

Najwięcej pracy poświęciłem adaptacji istniejącego na osiedlu D31 zbędnego, prowizorycznego budynku na centralną mieszalnię betonów o dużej wydajności. Ta centralna mieszalnia też była konsekwencją zastosowania żurawi budowlanych. Na placu budowy, zajęтым na torowiska, nie było już miejsca na hałdy żwiru i piasku oraz na ustawienie betoniarek i mieszarek. Byłoby to zresztą wysoce nieracjonalne. Dostarczane później z mieszalni beton i zaprawy dowożone były wywrotkami, albo w pojemnikach, jakie wprost z samochodu żuraw przenosił na stanowiska robocze na budynkach.

Ta współpraca przy projektowaniu pierwszej Centralnej Mieszalni Zapraw i Betonów w NH była powodem zamieszczenia obszernego, hurrapozytywnego artykułu o mnie w „Informatorze Kierownika Robót”, organie Ministerstwa Budownictwa Miast i Osiedli. Część tekstu piszący redaktor najwidoczniej zmyślił, podając, że ukończyłem AGH w Krakowie i przypisując mi pochodzenie z ludu, żyjącego w nędzy w latach przedwojennych. Później w 1954 r. byłem zresztą korespondentem tego czasopisma IKR, dostarczając nieco tekstów do druku, ale zawsze sprawdzonych i prawdziwych.

Na święta w grudniu znowu pojechałem do rodziców w Kępnie i do siostry we Wrocławiu. W mieszkaniu na ul. Spółdzielczej zamieszkiwały już cztery osoby, gdyż rodzina powiększyła się o małą Grażynkę. Ja zresztą zostałem jej ojcem chrzestnym. Braciszek Januszek miał już wtedy prawie trzy lata.

Pod koniec 1953 r. dyr. Zralek zachorował ciężko i wyjechał do Warszawy, gdzie się leczył i miał być operowany. Wkrótce jednakże zmarł i straciliśmy dyrektora, który sterował instytucją prawie od początku jej istnienia. Miał on ciężką rękę i był wymagający, ale równocześnie przedsiębiorstwo funkcjonowało sprawnie. Załoga, choć w większości młoda, w tym wielu świeżych absolwentów wyższych uczelni, była zgrana, zdyscyplinowana i wykonywała kompetentnie swe obowiązki inwestorskie. Miasto Nowa Huta szybko rosło, liczyło wtedy już ok. 30 tysięcy mieszkańców.

Dopiero po kilku miesiącach, w maju 1954 r., mianowany został przez ministerstwo nowy dyrektor naczelny. Przyjechał z Kielc. Nikt z zatrudnionych w Dyrekcji go nie znał i

on również nie znał nikogo z załogi, a także obce mu były wszelkie bieżące sprawy i problemy inwestorskie Nowej Huty. Powinien więc wprawdzie spokojnie i cierpliwie zapoznać się z ludźmi, którymi miał kierować i ze sprawami, o których miał decydować, zaś tymczasem zaufać i oprzeć się na całej kierowniczej kadry biura.

Zaczął jednakże od ściągania i zatrudniania nowych ludzi, chyba z Kielc, oraz od wyszukiwania potencjalnych zwolenników wśród zastanej załogi. Rychło się odpowiedni pochlebcy z „przerośniętymi” ambicjami znaleźli i w ciągu niewielu miesięcy uformowała się w przedsiębiorstwie klasyczna klika wokół nowego dyrektora S. J. Ale tymczasem sprawy biegły normalnym torem, jakby z rozpędu, dopiero po kilku kwartałach ujawniły się konsekwencje zaistnienia nowej konstelacji władzy w DBMNH.

W lutym 1954 r., wykorzystując resztę zaległego urlopu z poprzedniego roku, pojechałem na zimowe wczasy do Dusznik Zdroju. Jest to nieduża, urocza miejscowość uzdrowiskowo-wypoczynkowa, położona między górami Bystrzyckimi i Stołowymi w „worku” kłódzkim. W środku miasta usytuowany jest spory Park Zdrojowy z pijalnicami lokalnych, szczawiovych wód mineralnych. W parku też znajduje się muszla koncertowa, w jakiej już od 1946 r. odbywają się corocznie fortepianowe festiwale muzyki szopenowskiej.

W Dusznikach wziąłem udział w kursie nauki jazdy na nartach. Uczyłem się tym pilniej, że na turnusie zapoznałem pewną miłą, a nieustrudzoną amatorkę białego szaleństwa. Kurs zakończony został konkursem zjazdowym, w jakim wziąłem udział, plasując się bodaj na trzecim miejscu. W ramach turnusu zwiedzaliśmy nieodległą Kudowę z kaplicą wytapetowaną tysiącami ludzkich czaszek i piszczele z okresu wojen i zarazy w XVIII wieku. Zwiedzaliśmy też Polanicę Zdrój, Kłodzko i Bystrzycę Kłodzką z dużą fabryką zapalek.



Wczasy w Dusznikach

W pamięci utkwił mi wówczas szczegół technologiczny formowania główek zapalek. Dokonywało się to w ten sposób, że szeroka na dwa metry gumowa taśma, nadziana gęstą szczecią setek tysięcy drewnienek, najeżdżała powoli nad wielką kadź z płynnym, gorącym roztworem siarki. Oczywiście drewnienka poutykane były w taśmie od jej spodu i, przesuwając się nad kadzią, zanurzały się swymi końcami w płynnej siarce. W ten sposób niezliczone szeregi drewnienek otrzymywały kolorowe główki i zamieniały się w zapalki.

W 1954 r. trudziłem się redagowaniem lokalnego czasopisma miesięcznego pt. „Biuletyn Technika”, wydawanego przez nasze koło Polskiego Związku Inżynierów i Techników Budownictwa przy Dyrekcji Budowy Miasta Nowa Huta. Miesięcznik powstał staraniem trzech pracowników biura, inżynierów zatrudnionych w Inspektoracie Nadzoru. Jednym z nich był Zdzisław Górski, specjalista od budowy dróg i linii tramwajowych. Załatwiał on wszystkie pozwolenia i inne formalne sprawy, niezbędne do wydawania czasopisma. Był do tego najbardziej predysponowany, gdyż świeżo wybrany został radnym dzielnicowym NH. Nawiasem mówiąc, była to dobra odszkodnia do jego wielkiej kariery zawodowej. Wkrótce przez kilka lat był zastępcą d/s inwestycyjnych przewodniczącego Prezydium Rady Narodowej m. Krakowa prof. W. Bonieckiego. Później kierował budową dwóch wielkich fabryk, realizowanych przez krakowskie przedsiębiorstwa budowlane w Illmenau w NRD, zaś jeszcze później był naczelnym dyrektorem budowy polskiego odcinka gazociągu uralskiego „Przyjaźń”.

Drugim był Tadeusz Chudyba, również inspektor nadzoru drogowego, do którego należał druk tysiąca egzemplarzy pisma oraz jego kolportaż w NH. Ja byłem redaktorem

naczelnym pisemka i składałem cały tekst i rysunki do wszystkich sześciu numerów, jakie wydaliśmy. Bezpośrednio redagowałem około 60 % materiałów pisemnych i 100 % graficznych. Między innymi zamieszczałem w „Biuletynie” opisy moich projektów racjonalizatorskich.

W okresie tym sprawowałem również funkcję sekretarza koła PZITB w DBMNH. Działało ono wtedy bardzo aktywnie. Na przykład, urządzona została, głównie staraniem kol. Chudyby, duża wystawa materiałów budowlanych dla pracowników budownictwa i mieszkańców Nowej Huty.

Byłem zawsze aktywny w różnych organizacjach społecznych. Nie licząc okresu studiów, najwcześniej, bo od lipca 1950 r. zostałem członkiem Związku Zawodowego Pracowników Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych. Zmienił on kilka razy swą nazwę, ale ja zawsze miałem tę samą legitymację związkową. W ramach związku zawodowego byłem kierownikiem sekcji współzawodnictwa w 1954, zaś w 1955 r. członkiem lokalnej Rady Zakładowej.

W kwietniu 1954 roku zostałem członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej po 11-miesięcznym okresie kandydowania. Organizacja partyjna na terenie przedsiębiorstwa była bardzo liczna i znacząca. Ja brałem aktywny udział w zebraniach i w ideologicznych szkoleniach, lecz żadnych funkcji partyjnych nie sprawowałem.

Interesowałem się od najmłodszych lat problemami politycznymi, jednakże zawsze koncentrowałem się raczej na działalności społecznej, związanej bezpośrednio z moimi zainteresowaniami zawodowymi. Nigdy też nie myślałem o jakiegokolwiek karierze politycznej, choćby z tego praktycznego względu, że polityk musi posiadać umiejętność wysławiania się (gadania), a ja dobrym mówcą nigdy nie byłem. Choć w piśmie radziłem sobie raczej nieźle.

Służba wojskowa ominęła mnie szerokim łukiem. W tych początkowych latach Polski Ludowej, inżynierowie budowlani, podobnie jak kłosa zboża, byli „na wagę złota”. Więc mimo decyzji WKR Wrocław z III 1949 r. o mej zdolności do służby liniowej - już w II 1952 r. zostałem przeniesiony do rezerwy bez odbycia zasadniczej służby wojskowej. I to bez jakiegokolwiek inicjatywy i starań z mojej strony w tej kwestii.

W miarę możliwości czasowych chodziłem dość często do kin, przeważnie do „Apollo” lub „Sztuki” przy ul. Św. Tomasza. Największą popularnością, obok licznych filmów polskich, cieszyły się wówczas „noworealistyczne” filmy włoskie i komedie francuskie z Fernandem. Sale kinowe były prawie zawsze przepełnione, a przed kasami ustawiały się długie kolejki. Kto nie miał czasu na wystawianie po bilety, mógł je kupić po odpowiednio wyższej cenie u koników, którzy funkcjonowali niezawodnie, mimo okresowych nalotów milicji. Ja też nieraz korzystałem z ich usług, zwłaszcza gdy szło się do kina z dziewczyną.

Znacznie rzadziej chodziłem do teatrów. Kilka razy byłem w Teatrze Satyryków na Placu Szczepańskim. Pamiętam m. in. występy Zbigniewa Kurtycza z jego ówczesnym przebojem „Cicha woda” i Mariana Załuckiego, wygłaszającego drżącym głosem, i jakby zacinając się, swe wierszowane satyry. W połowie roku byłem na „Zemście” Aleksandra Fredry w Teatrze Polskim. Rolę Dyndalskiego grał wówczas 99-letni nestor scen polskich Ludwik Solski. Był on przeraźliwie chudy i choć otrzymał entuzjastyczne brawa, to widać było wyraźnie, że porusza się i wymawia swe kwestie z wielkim trudem. Zmarł wkrótce na kilka tygodni przed stuleciem swych urodzin.

Niekiedy zaglądałem do fotoplastykonu przy ul. Szczepańskiej. Właściwe urządzenie, obudowane okrągłą, parawanową ścianką, zajmowało środek niedużej salki, zwykle zaciemnionej. Siedziało się wokół na wysokich, bufetowych zydełkach i oglądało przez stereoskopowe okulary przesuwające się skokowo obrazki fotograficzne. Najczęściej były to zdjęcia krajobrazów, architektury, ludzi czy zwierząt z odległych egzotycznych

krajów świata. Oczywiście zdjęcia były czarnobiałe, niektóre pochodziły z czasów przed wynalezieniem kinematografu.

W sierpniu 1954 r. wyjechałem w ramach 2-tygodniowego urlopu na kolejne wczasy FWP, tym razem do Karpacza. Byłem już w tym ośrodku wypoczynkowym w czerwcu 1946 r., jako stenograf Zjazdu Architektów RP, ale tylko przez kilkanaście godzin. Oprócz bardzo dobrego wrażenia, jakie zrobiły na mnie ulice miasteczka, którymi wtedy jechaliśmy, nic naprawdę nie zwiedziłem. Obecne wrażenie też było dobre, choć wówczas w 1946 w Karpaczu nie było jeszcze Polaków, zaś w 1954 r. już prawie nie było Niemców.

Tym razem przyjechałem pociągiem, po przesiadce w Jeleniej Górze. Połączeń autobusowych chyba wówczas w ogóle nie było. Zakwaterowałem w domu wypoczynkowym „Rolnik” w Dolnym Karpaczu. Był to duży ośrodek dla kilkudziesięciu wczasowiczów, którymi okazali się znów, w większości, młodzi ludzie.

Karpacz jest niewiele większy od Szklarskiej Poręby Górnej, ale za to bardziej rozciągnięty wzdłuż swej głównej ulicy, wijącej się licznymi serpentynami, oraz w pionie, gdyż różnica wysokości npm między Dolnym Karpaczem, a Bierutowicami (Górny Karpacz) wynosi około pół kilometra.

Znów, podobnie jak w Szklarskiej i Dusznikach, nie opuściłem żadnej wycieczki, organizowanej przez instruktora k.o. Ta łązęga po górach stała się potem już stałym mym nałogiem. Szczególnie upodobałem sobie właśnie Karkonosze, które wielokrotnie przemierzyłem od Szrenicy po przełęcz Okraj. Tym razem, wraz z wczasowiczami z „Rolnika” zaliczyłem Samotnię, Strzechę Akademicką, Pielgrzymy, Przełęcz Karkonoską, Kopę i Równię pod Śnieżką. Oczywiście również samą Śnieżkę, najwyższy szczyt Karkonoszy, liczący 1603 m npm.

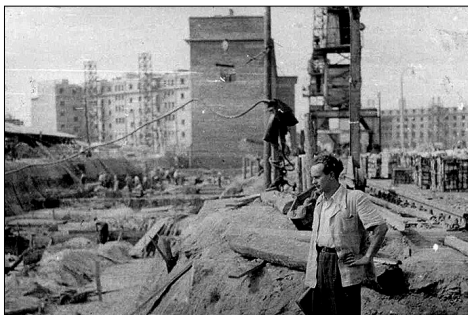
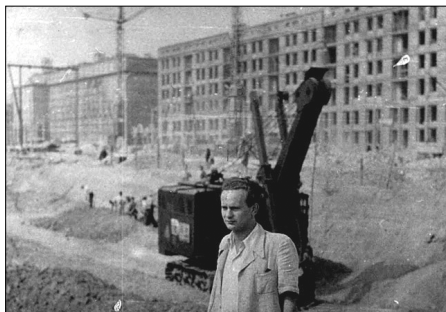
Były na nim drewniana stacja meteorologiczna i dwa również drewniane, wyjątkowo brzydkie schroniska: polskie i czeskie, gdyż przez środek góry przechodzi granica państwowa. Schronisko czeskie było zwykle zaopatrzone znacznie lepiej, bo po ich stronie na sam szczyt dochodziła już wtedy kolejka linowa. Polskie schronisko na początku lat 60. spłonęło, po czym do 1968 r. wybudowano nowe w formie trzech wielkich, oryginalnych, „latających” spodków betonowych. Najwyższy spodek zajmuje obserwatorium PIHM. Do tej kopiaistej Śnieżki miałem jednakże wyjątkowego pecha. Ilekroć się na nią wdrapałem, zawsze co najmniej sam szczyt był schowany w chmurach i nie zobaczyłem nigdy wspaniałych widoków na czeskie Karkonosze. Oczywiście w latach pięćdziesiątych nie było jeszcze wyciągu krzeselkowego z Karpacza na Kopę i cały kilometr z hakiem różnicy wysokości trzeba było pokonywać na własnych nogach.

Za naliczone za wycieczki punkty w książeczce PTTK otrzymałem tym razem srebrną górską odznakę turystyczną. W DW „Rolnik” zdobyłem jeszcze pierwszą nagrodę w turnieju szachowym, zorganizowanym dla wczasowiczów ośrodka.

Na swoim stanowisku zespołowego inspektora nadzoru niewiele czasu poświęcałem już na bieżącą kontrolę jakości robót na budowach. Sprawowali ją bezpośrednio podlegli mi koledzy inspektorzy. Ja natomiast znaczną część czasu pracy przeznaczałem na koordynację i sprawdzanie roboczej dokumentacji technicznej. Napływała ona cały czas sukcesywnie, niewiele wyprzedzając terminy realizacji. Stąd wynikała potencjalna możliwość zaistnienia rozbieżności pomiędzy poszczególnymi elementami projektów. Dotyczyło to zwłaszcza opracowań architektonicznych i branży instalacji sanitarnych. Na ich wzajemną koordynację musiałem poświęcać wiele czasu.

Jeździłem wówczas też często do Miasto-projektu, gdzie bezpośrednio z projektantami uzgadniałem zaistniałe wątpliwości i uzyskiwałem brakujące rysunki dla wy-

konawcy. To nieustanne sprawdzanie i weryfikowanie dużej ilości dokumentacji dla obiektów Centrum NH sprawiło, że stałem się w jakimś sensie profesjonalistą w tym zakresie. Między innymi opracowałem zestawienie typowych, często powtarzających się usterek i braków w dokumentacji technicznej i przekazałem te wykazy do biura projektowego. Zamierzałem również napisać na ten temat broszurę-książkę i zacząłem przygotowywać oraz kompletować do niej odpowiednie materiały z mej praktycznej działalności. Nie był to jedyny pomysł z mej strony, jaki się potem „rozmydlił” i nie został ostatecznie doprowadzony do końca.



Na budowie oś. A-31 Centrum NH

Wiele czasu poświęcałem też na opracowywanie wciąż nowych projektów racjonalizatorskich. Zgłaszałem je do Komisji Racjonalizatorskiej w „Zetbeem”, gdzie, na ogół, bardzo szybko projekty te rozpatrywano. W przypadku przyjęcia do realizacji otrzymywałem jednorazowe wynagrodzenie, jakie zwykle wynosiło po kilka tysięcy złotych. Pamiętam, że na przykład, za pomysł pustaka „Beta” otrzymałem 4 tys. złotych gratyfikacji. Projekt ten komisja zgłosiła również do Urzędu Patentowego PRL w Warszawie celem szerszego upowszechnienia. Zwykle nie interesowałem się zupełnie wdrażaniem swych pomysłów do realizacji, robiło to samo przedsiębiorstwo wykonawcze. Ja w tym czasie zajmowałem się już innymi pomysłami.

Za uzyskanie oszczędności z tytułu racjonalizatorstwa i innych prac projektowych otrzymałem w XI 1954 r. efektowny List Uznania z Zarządu Okręgowego Związku Zawodowego PBIPMB. Tenże Zarząd wystąpił także do resortowego ministerstwa o przyznanie mi odznaki racjonalizatorskiej.

W ciągu 1954 r. brałem udział w dwóch kursach szkoleniowych. W pierwszym półroczu przeszedłem w godzinach służbowych kurs szkolenia podstawowego obrony przeciwnitriczej i przeciwchemicznej, jaki zorganizowany został dla wszystkich pracowników. Oczywiście nie miał on nic wspólnego z pracą zawodową, a był jedynie wynikiem ogólnoświatowej hysterii wojennej.

Drugi kurs we wrześniu dotyczył głównie spraw kompozycji i projektowania architektonicznego. Przeprowadzony był staraniem Krakowskiego Oddziału Stowarzyszenia Architektów Polskich RP. Między innymi wykładowcą był młody profesor W. Zinn, który popisywał się swą fenomenalną umiejętnością rysowania piórkiem i węglem. Podziwiałem go szczerze, bo choć akurat w tej dyscyplinie rysowania byłem mocny - to nijak z mistrzem nie mogłem się porównywać.

Z początkiem grudnia odbyło się zebranie sprawozdawczo-wyborcze Koła PZITB w moim biurze. Nikt z uczestników nie mógł przewidzieć, że zakończy się w atmosferze emocji i skandalu. Koło grupowało około 30 inżynierów i techników zatrudnionych w Dyrekcji. Zebranie zaczęło się oczywiście od złożenia przez ustępujący zarząd spra-

wozdania ze swej działalności. Była ona wcale bogata. Ja, jako sekretarz Koła, redaktor „Biuletynu” i racjonalizator produkcji, też miałem w niej swój znaczący udział. Potem normalnym trybem odbyła się dyskusja, a następnie wybory do nowego zarządu, wg zgłoszonej z sali listy kandydatów. Liczenie głosów jakoś się przeciągało, a gdy nastąpiło odczytanie wyników wyborów - na sali zapanowała absolutna cisza. Wyniki były bowiem rażąco inne od spodziewanych przez głosujących.

Wreszcie jeden z obecnych oświadczył, że on też notował nazwiska wybranych, ale ma zupełnie inne wyniki. Mianowicie podliczania głosów dokonywały dwie osoby z wybranej wcześniej komisji skrutacyjnej, siedząc przy stoliku w kącie sali. Jeden z nich czytał z kartek wyborczych nazwiska wybranych, drugi je notował, stawiając kreseczki na swej liście kandydatów.

Niezauważenie dla nich wyniki te notował też, siedzący trochę dalej, kol. M., będący zresztą I sekretarzem POP w Biurze. Mimo gwaru, panującego na sali, słyszał on odczytywane nazwiska. Pytany potem, jak to było możliwe, przy tak dużym hałasie panującym na sali, odpowiedział, że ma doskonały słuch i słyszy nawet, jak pchła skacze po pościeli. Kartek z głosami nie można było niestety sprawdzić, gdyż zostały, przy zliczaniu głosów, podarte na drobne strzępy.

Zebranie natychmiast wybrało trzyosobową komisję, celem podjęcia przez nią decyzji, co dalej robić. Byłem w jej składzie. Po krótkim przesłuchaniu na osobności kilku kolegów, w tym członków komisji skrutacyjnej, zdecydowaliśmy o powtórzeniu głosowania. Po drugim głosowaniu, przed podliczeniem głosów, poszedłem do domu, gdyż miałem dosyć tego żenującego widowiska.

Dopiero w następnym dniu dowiedziałem się, że po drugim głosowaniu nie zgadzała się ilość kartek z ilością głosujących. Więc przeprowadzono trzecie głosowanie, w trakcie którego, z kolei, zgasło światło elektryczne. Wybory dokończono ostatecznie późną nocą przy świeczkach. Oczywiście wynik był zupełnie inny od tego pierwszego, ogłoszonego oficjalnie.

Całe to zamieszanie i jawne oszustwo spowodowane były rywalizacją grupy, skupionej wokół nowego dyrektora, ze starą częścią załogi. Było próbą wprowadzenia również do Koła PZITB swoich koleśków, którzy już obsiedli część kierowniczych stanowisk. Można się było dziwić po co im społeczne, niepłatne funkcje w zarządzie lokalnego Koła PZITB. Dopiero po pewnym czasie dowiedziałem się, iż dyrektor obiecał niektórym osobom, że nowowybrany zarząd dopuszczony zostanie do współzarządzania w przedsiębiorstwie. Ta brudna gra miała swój ciąg dalszy za kilka najbliższych miesięcy.

Na początku 1955 r. zaplanowałem także wyjazd na wczasy zimowe, żeby pojeździć sobie trochę na ulubionych nartach. Ale wcześniej, w pewną styczniową niedzielę,



Na Magórze w Beskidzie Wyspowym

pojechałem z kilkoma kolegami na narty w Beskid Mały. Dojechaliśmy pociągiem do Suchoj Beskidzkiej, zaś na nartach jeździliśmy na stokach góry Magurki.

Miałem własne drewniane narty z kandaharami i bambusowe kijki, wyszabrowane jeszcze w Wałbrzychu w 1946 roku. Dziś takie narty nadawałyby się jedynie na eksponaty muzealne, ale wówczas uważane były za przeciętnie nowoczesne. Skórzane buty narciarskie, z rowkami na sprężyny wiązań kandaharowych, nosiłem zwykle na co dzień przez całą zimę.

Na wczasy pojechałem znów do Karpacza.

Tym razem kwaterowałem w Bierutowicach powyżej średniowiecznego, drewnianego kościółka norweskiego Wang. Było bliżej na trasy narciarskie w rejonie studenckiego schroniska „Strzecha Akademicka”. Ale tak po prawdzie, to więcej było opalania się przed, niż położonym w Kotle Małego Stawu, schroniskiem „Samotnia”, niż jeżdżenia na deskach. Trzeba było dostosować się do wczasowych koleżanek, które dbały bardziej o swą opaleniznę, niż o uroki jazdy na nartach. Prawie przez cały turnus była piękna, słoneczna pogoda, to też wszyscy poopalaliśmy się na Murzynów.

Za to bezruch opalania się rekompensowaliśmy cowieczornymi potańcówkami. Ja w tym zakresie byłem bardzo atrakcyjny, po prostu dobrze tańczyłem, a ponadto dysponowałem stale pieniążkami. Bywało, że całej grupie fundowałem wstęp do lokalu, wino itp. Dotyczyło to zresztą wszystkich moich licznych urlopów wczasowych w okresie kawalerskim. Miałem też niezły, małoobrazkowy aparat fotograficzny i często robiłem zdjęcia. Zawsze dobrze oświetlone i skadrowane, wszak tego również uczyłem się na studiach. Potem sam wywoływałem odbitki i rozsyłałem do wczasowych znajomych. Mam dziś cały album ze zdjęciami młodych, ślicznych, wczasowych sympatii na tle pięknych plenerów i służy mi on, między innymi, do pisania tego pamiętnika.

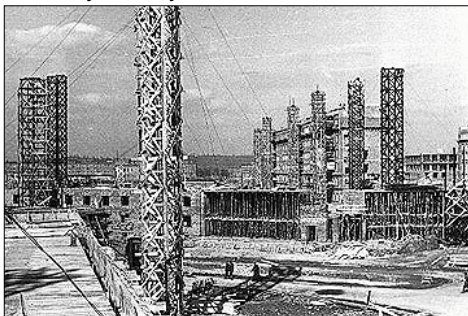
Chyba z tych wymienionych powodów, zawierałem zawsze na wczasach sympatyczne znajomości, które potem owocowały korespondencją na krańce Polski. Muszę tu podzielić się swym ówczesnym doświadczeniem, że najłatwiejsze i najbardziej zamilowane w FWP były wtedy Radomianki, Łodzianki i Kielczanki. Te miasta to widocznie taki trójkąt bermudzki urody i wdzięku kobiecego w skali całego kraju.

Nigdy nie brałem ciągłego, miesięcznego urlopu wypoczynkowego. Najczęściej korzystałem w ciągu roku dwukrotnie z dwutygodniowych urlopów, zwykle latem i zimą. W okresie kawalerskim jeździłem na urlopy tylko w góry. Początkowo do miejscowości w Karkonoszach, potem do Zakopanego, Krynicy, Szczawnicy i Szczyrku.

Po powrocie z uroczego Karpacza znów czekał na mnie „młyn” pracy. Oddawane były kolejne bloki na osiedlach Centrum i rozpoczynane następne. Miałem z tym wiele roboty. Za to mniej angażowałem się w pracach społecznych. Wycofałem się z działalności w PZITB i zostałem wreszcie członkiem Stowarzyszenia Architektów RP, co dawno powinienem uczynić, gdyż byłem przede wszystkim architektem. Przestałem też zwracać sobie głowę pisaniem jakiejś książki o racjonalnej dokumentacji projektowej.

Ale wciąż pisałem wiele protokołów, notatek, listów prywatnych i artykułów do czasopism. Sprawilem więc sobie okazynie zgrabną, małą maszynę do pisania. Ta maszyna bardzo mi się przydała i szybko się zamortyzowała. Kupilem ją od najstarszego w Dyrekcji pracownika inż. Drzewieckiego, który choć miał już ponad 70 lat, pracował jeszcze jako inspektor nadzoru na części etatu. Mimo swego wieku był zapalonym amatorem wędrówek górskich. Na wycieczki nawet latem chodził w masywnych butach, z czekanem i plecakiem, w którym była pelerynka oraz sweter, na wszelkie możliwe gwałtowne zmiany pogody, jakie w Tatrach nierzadko się zdarzały.

W kwietniu 1955 r. otrzymałem z Urzędu Patentowego świadectwo autorskie na prefabrykowany pustak do kanałów dymnych i wentylacyjnych „Beta”. Zaś wkrótce po tym z Ministerstwa Gospodarki Komunalnej, z Centralnego Zarządu Budowy Miast i Osiedli „ZOR” zawiadomienie o nadaniu mi Odznaki Racjonalizatora Produkcji. Później



Budowa oś. B-31 na Centrum

otrzymałem jeszcze 12 różnych odznaczeń i odznak, ale tę pierwszą Odznakę Racjonalizatora, z podobizną W. Pszostowskiego na awersie, ceniłem i cenię sobie najbardziej.

Do maja ukończyłem 3-miesięczny kurs nauki prowadzenia samochodu i motocykli. Kurs zorganizowany był staraniem naszego Koła PZITB dla wszystkich chętnych, zatrudnionych w Dyrekcji. Uczyliśmy się jazdy na samochodzie, jaki miał z boku kierunkowskazy wychyłane przez linki, zaś uruchamiany był przez pokręcenie korbą z przodu pojazdu. Po stosownym egzaminie uzyskałem pozwolenie na prowadzenie pojazdów mechanicznych kategorii amatorskiej, upoważniające do niezawodowego prowadzenia samochodów osobowych oraz motocykli.

Tak się jednakże złożyło, że nigdy później nie przejechałem samodzielnie samochodem, ani motocyklem, nawet dziesięciu metrów. Po prostu zawsze mieszkałem blisko miejsca pracy i na dojazd nie był mi potrzebny żaden samochód. A gdy później korzystałem z samochodu służbowego, to razem z kierowcą. Żeby było śmieszniej: ja byłem wnioskodawcą tego samochodowego kursu.

Prowadziłem dość ożywioną korespondencję. Pisywałem listy do redakcji kilku czasopism, wczasowych znajomych, regularnie do rodziców, rzadziej do siostry we Wrocławiu. Szczególnie matka pisała do mnie dość często, a zawsze bardzo konkretnie i składnie, informując także o losach całej rozgałęzionej rodziny. W związku z tym ja już nie pisywałem do moich licznych wujków, ciotek i kuzynów., zaś oni też wiedzieli co ja robię i gdzie przebywam. Wszyscy mieli bogate w przeżycia życiorysy, rzeźbione przez burzliwe lata wojny i okresu powojennego. W każdym bądź razie nikt w czasie wojny nie zginął, a umarł jedynie ojciec mamy.

Krewni ze strony ojca przede wszystkim nadal prowadzili swe gospodarstwa rolne w Kuźnicy Bobrowskiej i Bobrownikach w Poznańskim. Z biegiem lat gospodarstwa ich przekształciły się w wysoce zmechanizowane farmy, o bardzo dużej wydajności.

Rodzina mej mamy była bardziej rozczłonkowana. Henryk, prowadzący zakład masarski, oraz Zbyszek, parający się handlem, przebywali we Wrocławiu. Ferdynand miał gospodarstwo rolne w Kłodzku. Waław, pracujący jako urzędnik pocztowy, oraz Janina mieszkali w Tczewie, zaś Aniela, nauczycielka wiejska, w Łosicach w województwie lubelskim. Natomiast Edward, po rozwiązaniu korpusu gen. Andersa, przebywając w Niemczech, ożenił się z Niemką i ostatecznie osiadł na stałe w Anglii, gdzie pracował jako tkacz.



Wujek Edek z żoną Lottą w Anglii

Z uwagi na obfitą korespondencję, jaką prowadziłem, dobrze byłem znany rejonowemu listonoszowi. Przynosił mi on listy nawet błędnie adresowane, byle imię i nazwisko się zgadzało. Raz otrzymałem list, w którym piszący zwracał się do mnie po imieniu, a pisał jak do małego chłopca. Nazwisko i imię, jak również ulica i numer domu się zgadzały i dopiero po chwili zorientowałem się, że numer mieszkania jest inny. Nie chciało mi się wierzyć, aby istniał ktoś drugi o tym samym imieniu i tak rzadkim nazwisku i zamieszkiwał akurat w tym samym bloku co ja. Poszedłem jednak pod wskazany numer mieszkania na drugim końcu budynku i rzeczywiście mieszkał tam mój młodociany imiennik. Oddałem list rodzicom i przeprosiłem za jego otwarcie.

Drugie podobne zdarzenie, porównywalne do trafienia szóstki w „Totolotku”, miałem wiele lat później. Pracowałem w biurze projektów, gdy telefonistka z centrali podłączyła do mnie telefon z miasta. Odezwał się młody dziewczęcy głos. Osóbka po sprawdzeniu po nazwisku i imieniu do kogo dzwoni, zaczęła zwracać się do mnie per „tatusiu”

i relacjonować mi jakieś swe sprawy. Ja grzecznie przerwałem, mówiąc, że mam wprawdzie dwóch synów, ale żadnej córki. Zapytałem więc z kim właściwie chciała rozmawiać. Powtórzyła znów me imię i nazwisko. Gdy zapytałem o instytucję, gdzie jej ojciec pracuje i gdzie chciała dzwonić, no to okazało się, że w Rzeźni Miejskiej przy ulicy Rzeźniczej. Gdzie Rzym, gdzie Krym i jakie „krasnołudki” dokonały tego połączenia? A na boku, to chyba ten mój poprzedni imiennik z Nowej Huty dorobił się córeczki i ona z nim właśnie próbowała się telefonicznie skontaktować.

Bardziej normalna historyjka przydarzyła mi się też wiele lat później w nowym miescu zamieszkania. Pisałem coś przy biurku, gdy usłyszałem przez otwarte okno, że jakiś kobiecy głos wywołuje mnie po nazwisku. Podszedłem więc do okna, a to nieznana mi dziewczyna wołała w ten sposób na swego pieska, z którym najwidoczniej wyszła na spacer na łączkę przed blokiem, w jakim mieszkalem. Zdziwiłem się bardzo, że tak nietypowo można nazywać psa i to w dodatku zwykłego, łaciatego kundelka.

W czerwcu 1955 r. pojechałem na kilka dni do Poznania, celem zwiedzenia Międzynarodowych Targów Poznańskich, zresztą w ramach delegacji służbowej. Zawsze byłem ciekaw różnych nowinek oraz osiągnięć techniki i nauki i chciałem to i owo na Targach oglądać. Były one rzeczywiście imponujące, również polskie pawilony prezentowały się nader bogato i wszechstronnie. Przez 10 lat odbudowy i rozbudowy polskiej gospodarki poczynione zostały faktycznie olbrzymie postępy. To trzeba było samemu zobaczyć. Na Targach przypadkowo po raz pierwszy zobaczyłem i usłyszałem młodziutką, później szeroko znaną, piosenkarkę Marię Koterbską. Śpiewała przed jakimś pawilonem, swe przebojowe sentymentalno-nastrojowe piosenki.

W tym mniej więcej czasie rozegrał się w DBMNH kolejny akt rozprawiania się nowej ekipy, otaczającej naczelnego dyrektora, ze starą, wieloletnią załogą. Rozgrywka miała spektakularny przebieg i odbyła się w czasie specjalnego zebrania Podstawowej Organizacji Partyjnej. Udział w nim wzięła I sekretarz tow. W. oraz kilku członków Dzielnicowej OP, chyba z Komisji Kontroli Partyjnej. Zebranie miało charakter rozprawy sądowej, przy czym powodami było kilku pracowników nowej ekipy, zaś pozwanymi trzy osoby ze starej załogi. Były to znaczące postacie, bo I sekretarz POP tow. M. i przewodniczący Rady Zakładowej związku zawodowego tow. P. oraz, chyba dla kamuflażu, również młody geodeta A. Kowalski. Ten sam, z którym ponad rok temu w deszczu sprawdzaliśmy rzędne posadowienia dwóch budynków Centrum.

Już na samym początku odczytane zostały liczne zarzuty pod adresem obwinionych. Miały one różny charakter i wagę, oraz dotyczyły kilku lat ich działalności. Niektóre były oczywiście słuszne, jak na przykład pod adresem przewodniczącego P., że zamykał drzwi wyjściowe, gdy miało być zebranie związkowe. Zaś do związków zawodowych należeli wszyscy. Oczywiście powszechnie utrudniano opuszczanie zakładu pracy przed zebraniem związkowymi. Ale też wówczas pryncypialnie odbywały się one po godzinach pracy. A np., jaka matka mogła pozwolić sobie na zatrzymanie się, gdy musiała odebrać dziecko z przedszkola, czy żłobka. Potem nigdy tego już nie praktykowano, bo zebrania związkowe były, i są do dziś, w godzinach pracy. Więc był to zarzut prawdziwy, ale tendencyjnie dobrany.

Inny zarzut, że tow. M. otrzymuje jakieś bogate paczki od krewnych z Zachodu, z wyluszczeniem księżycowej zawartości tychże, przytoczono chyba tylko po to, żeby wzbudzić zazdrość słuchaczy. Następnie, że przy jakiejś okazji w jego mieszkaniu odbyła się orgia z tańcem nagusa (czy naguski) na stole biesiadnym. Dowodu na to żadnego nikt nie przedstawił, lecz zgroza opanowała zebranych.

Geodecie wytknięto np., że w czasie godzin pracy widziano go gdzieś tam na motocyklu z dziewczyną. Łamał więc świętą dyscyplinę pracy. Nie pamiętam, aby perso-

nalny-oskarżyciel przedłożył jakiegokolwiek dowody. Dowodów natomiast żądano od oskarżonych, jeśli chcieli się wybronić z zarzutów. Przy czym odniosłem wrażenie, że nie ze wszystkimi oskarżeniami byli oni wcześniej zapoznani. Lecz jak tu się bronić i udowodnić, że dwa lata temu, w styczniu, w piątek wieczorem, nie biło się swoich małych dzieci, jeśli się faktycznie małe dzieci miało. Normalny człowiek nie przypomni sobie raczej, co w tym czasie konkretnie robił.

Lecz mimo to, z części oskarżeń pozwani wybroniли się, między innymi z zarzutu o tym motocyklu i dziewczynie. Obwiniony był wtedy na drugim końcu Polski, na co przedstawił niezbity dowód.

Usłyszeliśmy wtedy od oskarżycieli, że to i tak nie zmienia postaci rzeczy, bo zarzutów przed którymi oskarżeni się nie wybroniли, jest tyle, że starcza na najsurowszą karę. Oczywiście tą karą miało być usunięcie z zajmowanych funkcji i wykluczenie z PZPR. Taki też wniosek miał być postawiony pod głosowanie zebranych.

W ostatniej chwili ja wyrwałem się z obroną „jak Filip z konopi”. Od dłuższego czasu dokumentowałem stenograficznie całe zdania wypowiedane przez jedną czy drugą stronę i przygotowałem sobie konspekt stenograficzny swego wystąpienia. Nazwałem rzeczy po imieniu, że chodzi o najzwyczajniejsze intryki personalne i stanowiska w biurze, jakie za wszelką cenę grupa nowych pracowników chce zagarnąć dla siebie. Oskarżyłem więc oskarżycieli o tendencyjne spreparowanie zarzutów, w części opartych na kłamstwie, co obwinieni udowodnili, zaś w całości, w tej sytuacji, absolutnie niewiarygodnych. Dalsza część sali nagrodziła mnie skrycie oklaskami, natomiast siedzący za stołem prezydialnym mieli „pokrzywione” miny.

Usłyszałem wtedy, że jestem młody, że sprawiedliwości musi się stać zadość, że winnych trzeba ukarać itp. Zarządzono głosowanie i patrzyłem na tę salę, jak powoli podnosiły się do góry ręce tych, co to mają żony i dzieci i muszą dbać o chleb dla nich. No i przegłosowali zgłoszone wnioski.

Lecz nie był to ostatni akt sprawy. Finał ostatecznie rozegrał się dopiero w październiku 1956 roku, łącznie z zadośćuczynieniem sprawiedliwości, ukaraniem faktycznie winnych itd. Wówczas zacząłem powoli związać swoje inspektorskie żagle. Ciągnęło mnie do biura projektowego. Wszak przyjechałem tylko na dwa lata praktyki, by potem wrócić do deski projektanckiej.

Ale otarłem się akurat o nową ciekawą ofertę pracy w tworzonej w Nowej Hucie Stacji Badawczej Instytutu Budownictwa Mieszkaniowego. Miała zajmować się technologią i ekonomią wprowadzanych właśnie uprzemysłowionych metod budownictwa. Na osiedlu A11 planowano niedługo budowę eksperymentalnego budynku mieszkalnego, projektowanego z elementów wielkoblokowych. Obiekt ten miał być właśnie przedmiotem badań Instytutu.

Wydawało mi się, że jest to dla mnie ciekawe pole do popisu i zgłosiłem swą ofertę. Złożyłem też podanie o okresowe zwolnienie z pracy w DBMNH. Po moim wystąpieniu na opisanym wyżej zebraniu POP, nie powinienem mieć ze zwolnieniem żadnych trudności. Tymczasem znów, w ramach przysługującego mi urlopu, pojechałem na wczasy, tym razem do Cieplic-Zdroju. Jeszcze w latach pięćdziesiątych było to odrębne miasto uzdrowskowo-wczasowe, gdy dzisiaj jest tylko częścią Jeleniej Góry. Za to wówczas Cieplice Śląskie-Zdrój z Jelenią Górą łączyła linia tramwajowa.

W Cieplicach byłem już wcześniej w 1946 roku, ale nic wtedy nie zwiedzałem. Pięknie położone nad rzeką Kamienną w Kotlinie Jeleniogórskiej szczycą się ciepłymi źródłami leczniczymi, znanymi i eksploatowanymi już od XII wieku, leczniczymi złożami borowiny oraz wspaniałym starym Parkiem Zdrojowym. Znaczącą atrakcją parku było drewniane Muzeum Przyrodnicze w stylu norweskim, z przepiękną kolekcją ornitologiczną, w tym głównie motyli z całego świata, a także ze zbiorem skał i minerałów Kar-

konoszy. Mnie najbardziej przypadły do gustu koncerty muzyki operetkowej, grane na wolnym powietrzu obok Teatru Zdrojowego.

Wzięłem udział w kilku wycieczkach organizowanych w ramach turnusu do samej Jeleniej Góry, gdzie zwiedzaliśmy liczne obiekty zabytkowe, oraz do Sobieszowa i Jagniątkowa u podnóża Gór Karkonoskich. Kilka kilometrów na zachód od Jeleniej Góry zwiedziliśmy uroczy zakątek nad rzeką Bóbr zwany "Perłą Zachodu". Była to najpiękniejsza kompozycja zieleni i wody, jaką widziałem kiedykolwiek.

Po powrocie z Cieplic czekało na mnie pismo z Ministerstwa, z CZBM „ZOR”, z wezwaniem do przyjazdu do Warszawy. Podjąłem więc delegację i nocnym pociągiem pojechałem, zgodnie z poleceniem, do stolicy. Swoją podróż w Warszawie zacząłem, jak zwykle, od śniadania w barze mlecznym przy ul. Towarowej przed dworcem „Warszawa Główna”. Zamawiałem przeważnie pyszne, chrupiące rogaliki z twarogiem i duży kubek gorącego mleka. Bary mleczne cieszyły się w tamtych latach bardzo dużym powodzeniem i rozrastały się jak grzyby po deszczu.

W Zarządzie „ZOR” zostałem przyjęty przez jednego z szefów. Wypytywał dlaczego się zwalniam i o warunki rodzinne. Ale przede wszystkim zaproponował mi przeniesienie się do Warszawy i pracę w Zarządzie BMIO „ZOR”, czyli w Ministerstwie Gospodarki Komunalnej. Była to dla mnie jakaś perspektywa awansu i ewentualnej kariery, tym razem na szczytach, w centrum dyspozycyjnym budownictwa miejskiego. Jednak odmówiłem od razu, tłumacząc się prawdziwie, że, jako architekt, chciałbym zająć się bezpośrednio twórczym projektowaniem, że nie widzę się w roli administratora itp. Odwiedziłem jeszcze w ministerstwie swego kolegę ze studiów we Wrocławiu J. Zgłiszczyńskiego, o którym wiedziałem, że tam pracuje od pewnego czasu. Właściwie to namawiał mnie, żebym przyjął złożoną mi ofertę. On sam, z biegiem lat swej urzędniczej kariery, doszedł do wysokiego stanowiska v-ministra. Ja poszedłem inną dróżką.

Zatrzymałem się w Warszawie przez całe dwa dni. Akurat miał w stolicy miejsce Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów. W związku z tym odbywało się wiele różnych imprez z tym związanych. Niektóre powiązane były z Pałacem Kultury i Wypoczynku, jaki w przededniu święta 22 Lipca 1955 r. przekazany został do użytkowania.

Pałac został wybudowany w rekordowym czasie trzech lat przez budowniczych radzieckich. Gdy byłem w Warszawie zimą 1952 r. widziałem w tym miejscu olbrzymią dziurę wykopów i kłębówisko żelbetowych fundamentów w trakcie zbrojenia i betonowania. Największy i najwyższy budynek w Polsce, jaki zbudowano w XX wieku, liczy przeszło 3000 pomieszczeń, ponad 800 tysięcy m³ kubatury i 230 m wysokości. Trudno byłoby wyliczyć mnogie instytucje, obiekty i urzędy, jakie się w nim znalazły.

Zwiedziłem wówczas wiele głównych pomieszczeń. Byłem też w jednym z kin na seansie filmowym. Specjalne wrażenie zrobiła na mnie klimatyzacja działająca w sali kinowej. Było w tej sali chłodno i rześko, gdy na zewnątrz panowały igrzyska bułgarskie upały. Po seansie wzięłem udział w tłumnych tańcach, chyba spontanicznych, jakie trwały do późnej nocy na placu przed pałacem od strony Al. Jerozolimskich. Tańczyłem kilka razy z Hinduskami, ubranymi w kolorowe sari.

Na dłuższe zwiedzanie Warszawy nie miałem czasu. Ale też stolica się zabudowała i rozrosła. To już z powrotem było miasto milionowe i na jego zwiedzenie trzeba by poświęcić wiele dni. Ja ograniczyłem się tym razem do rzutu oka na pięknie odbudowane osie Stare Miasto - Krakowskie Przedmieście - Nowy Świat, Stadion X-lecia - Most Poniatowskiego - Al. Jerozolimskie - ówczesny Dworzec Główny PKP i kawałek ulicy Marszałkowskiej.

INSTYTUT BUDOWNICTWA

Samodzielny pracownik naukowy * Wielkoblokowe eksperymenty * Dymarki * Odwilż

Od 15 sierpnia 1955 r. pracowałem w nowohuckiej Stacji Badawczej Instytutu Budownictwa Mieszkaniowego na stanowisku samodzielnego pracownika naukowego. Było to biuro pięciosobowe, licząc już ze mną. Zajmowaliśmy jedno trzypokojowe mieszkanie w budynku mieszkalnym nr 1 na osiedlu B31 w Centrum Nowej Huty. Miałem więc do pracy około 5 minut drogi z miejsca mego zamieszkania.

Dwóch pracowników, w tym kierownik Stacji, mieli po ok. 50 lat. Pozostała trójka, w tym ja, byliśmy w wieku poniżej 30 lat. Wszyscy z wyższym wykształceniem. Nie było żadnej pomocy administracyjnej. Sami pisaliśmy swe opracowania na maszynie, które kierownik przeglądał i wysyłał do Centrali. Raz w miesiącu przynosił on pieniądze i wypłacał wszystkim stosowne wynagrodzenie. Obaj starsi panowie ciągle gdzieś jeździli w celach służbowych i rzadko przebywali w biurze.

Podobnie młodszy ode mnie współpracownicy, bardzo energiczna i sympatyczna Basia i zawsze pogodny i wesoły Tomek. Oni z kolei przebywali ciągle na budowie eksperymentalnego budynku na os. A-11, który jako pierwszy w Nowej Hucie realizowany był w technologii wielkoblokowej. Dokonywali szczegółowych pomiarów czasu wszelkich operacji roboczych, kolejności montażu elementów wielkoblokowych itd.

Ja z tych materiałów komponowałem zbiorcze zestawienia robocizny, materiałów i kosztów, oraz opracowywałem tabele porównawcze w stosunku do podobnych obiektów, realizowanych metodami tradycyjnymi. Dziś myślę, że w tamtej pracy bardzo przydatny mógłby być komputer. Ale wtedy takiego sprzętu jeszcze nie było. Dysponowałem kręciolką, maszyną kalkulacyjną do czterech podstawowych działań i pomocniczo suwakiem logarytmicznym do szybkiego przybliżonego mnożenia i dzielenia.

W 1955 r., wobec nieustannego wzrostu zadań inwestycyjnych, ujawniły się w skali całego kraju trudności w zaopatrzeniu budownictwa w cegłę ceramiczną i zapewnienia niezbędnej rzeszy murarzy. Dla Nowej Huty skończyły się już dawno dostawy rozbiórkowej cegły z Wrocławia, zaś nowowyprowadzona w 1952 r. ogromna cegielnia w pobliskich Zesławicach też nie zabezpieczała rosnącego wciąż zapotrzebowania. Zaczynało również brakować chętnych do trudnego zawodu murarza. W różnych ośrodkach kraju, głównie w Warszawie, a także na znacznie mniejszą skalę w Nowej Hucie, zaczęły się więc próby w zakresie zmiany pracochłonnych technologii, dotąd stosowanych, na metody uprzemysłowionej produkcji budowlanej.

Na placach budów pojawiało się coraz więcej samojezdnych dźwigów montażowych. Zaczęto więc eksperymentować z wprowadzeniem na budowy dużych elementów budowlanych o ciężarze zbliżonym do możliwości udźwigu stosowanych żurawi. Przy tym elementy te miały być wykonywane seryjnie na poligonach, lub w zamkniętych



Budynek wielkoblokowy na os. A-11

zakładach, przy zastosowaniu odpowiedniej mechanizacji wytwarzania.

Głównym tworzywem prefabrykowanych elementów stał się beton żwirowy, również żużlobeton i gazobeton. W Nowej Hucie, podobnie jak w całej Polsce, uprzemysłowienie budownictwa przeszło przez trzy fazy.



Krajobraz z żurawiami budowlanymi

we, polegające na produkcji i montażu elementów płytowych o wielkości całej ściany czy stropu pomieszczenia. Ta trzecia faza nastąpiła na dużą skalę dopiero w latach 70., gdyż wymagała budowy skomplikowanych i kosztownych wytwórni tych płyt, tak zwanych fabryk domów.

Okres przejściowy trwał do końca lat 50., natomiast technologie budownictwa wielkoblokowego zapanowały prawie powszechnie, na większych placach budów w kraju, w latach sześćdziesiątych.

W Krakowie ostatecznie wprowadzono system budownictwa wielkoblokowego typu „Żerań”. Po raz pierwszy zastosowany w Warszawie na Żeraniu, prezentował wiele wad i górował nad innymi systemami prostotą i mechanizacją produkcji elementów oraz stosunkowo oszczędnym zużyciem betonu. Na system składały się bloki stropowe i ścienne o grubości 24 cm i szerokościach modularnych 90, 120 i 150 cm. Wszystkie te prefabrykaty miały regularne wzdłużne otwory o średnicy 19 cm. Produkcja tych elementów dla Krakowa uruchomiona została później na dużą skalę w nowych Zakładach Prefabrykacji Żelbetowych w Łęgu oraz na poligonach przedsiębiorstw wykonawczych.

Faktycznie przez sukcesywne wprowadzenie budownictwa wielkoblokowego w Nowej Hucie uzyskaliśmy znaczne skrócenie cykli inwestycyjnych, zmniejszenie pracochłonności robót, mniejsze zużycie materiałów i obniżenie kosztów budowy. Budynki szybciej realizowano, bo montowano duże elementy i nie było przestojów technologicznych, związanych z procesami mokrymi. Np. w 1956 r. na os. A11 wybudowano doświadczalny budynek mieszkalny 4-kondygnacyjny w ciągu jednego miesiąca.

Mniejsza była pracochłonność, gdyż ludne brygady murarskie zastąpione zostały na budowach przez nielicznych montażystów. Mniejsze zużycie materiałów nastąpiło ze względu na produkcję seryjną elementów i braku marnotrawstwa cegły, żwiru i cementu na placach budów. Mniejsze koszty wynikały zaś ze wszystkich tych przytoczonych przyczyn. To wszystko opisywane i dokumentowane było w moich opracowaniach, wysyłanych do Centrali IBM w Warszawie. Instytutowi szefował wtedy bardzo zasłużony dla wdrażania budownictwa uprzemysłowionego dyr. M. Ossowiecki. Był on autorem szeregu książek, głównie z zakresu budownictwa wielkopłytowego i ścian osłonowych.

W tym okresie pracy w Stacji Badawczej IBM wielokrotnie chodziłem w soboty i niedziele wraz z moim współpracownikiem Tomkiem, też kawalerem, na potańcówki do krakowskich lokali tanecznych. Najczęściej do „Esplanady”. Była to popularna, duża, drewniana tancbuda w miejscu, gdzie dzisiaj znajduje się Galeria Wystawowa naprze-

ciwko Pałacu Sztuki przy Placu Szczepańskim. Rządziej bywaliśmy też w „Kaprysie”, „Feniksie”, lub „Warszawianie”. Bodaj dwa razy również w Lasku Mogiłskim, gdzie była muszla koncertowa, różne występy i atrakcje oraz estrady dla tańców. Można powiedzieć, że natańczyłem się wtedy na całe życie.

Tańczyło się wówczas głównie sentymentalne tanga, fokstroty, dostojne walce wiedeńskie, również walce angielskie, polki. W młodzieżowych tancbudach królował natomiast rock-and-roll, różnie zresztą tańczony, w zależności od temperamentu tańczących par. Wszędzie w lokalach tanecznych występowały mniejsze lub większe zespoły orkiestralne. Orkiestry, wraz z towarzyszącymi im wokalistami, w dużym stopniu decydowały w ogóle o standardzie lokalu.

Nie było żadnych urządzeń nagłaśniających, czy odtwarzających muzykę. Dopiero pod koniec lat 50. w pomniejszych lokalach tanecznych, świetlicach domów wczasowych i kawiarniach rozpowszechniły się masowo tzw. „szafy grające”. Były to duże gramofony szafkowe z zasobnikami, zawierającymi po kilkadziesiąt płyt wolnoobrotowych. Można było wybrać dowolną z nich po wrzuceniu do automatu stosownej monety i naciśnięciu odpowiedniego klawisza. Te szafy grające cieszyły się przez wiele lat dużym powodzeniem.

Chętnie jeździłem na wycieczki turystyczno-krajoznawcze. Największą wycieczką, w jakiej wtedy wziąłem udział, była wyprawa „Szlakiem Renesansu”, zorganizowana przez krakowski Oddział SARP-u. Była to trzydniowa wycieczka autokarowa dla architektów. Zwiedzaliśmy głównie Sandomierz, Kazimierz Dolny i Zamość. W Sandomierzu byliśmy oprowadzani przez tamtejszych architektów po Zamku, wczesnorenesansowym Ratuszu i po zabytkowych uliczkach. W Kazimierzu Dolnym nad Wisłą zwiedzaliśmy ruiny zamku Kazimierza Wielkiego i odbudowywane ze zniszczeń wojennych kamieniczki i spichrze. W Zamościu zaś Rynek, obudowany kamieniczkami z charakterystycznymi podcieniami i z przepięknym Ratuszem. Puławy i Lublin to już był tylko etapowy dodatek do tych trzech wielkich pereł polskiego Renesansu.

Rok 1955 był bardzo płodny w wizyty w Polsce wysokich dostojników różnych krajów świata. Z reguły odwiedzali oni również Kraków, w tym Nową Hutę, miasto i kombinat hutniczy. Między innymi byli to: belgijska królowa Elżbieta, premier ZSRR Nikita Chruszczow, marszałek Iwan Koniew (otrzymał wtedy honorowe obywatelstwo miasta Krakowa), premier Indii Jawaharlal Nehru, premier NRD Otto Grotewohl. Zwykle na ich cześć organizowane były wiece lub zgromadzenia ludności, zwłaszcza na krakowskim Rynku Głównym. W niektórych brałem udział. J. Nehru widziałem z okna swego mieszkania, gdy otwartą limuzyną przejeżdżał do kombinatu wraz ze swą czarnowłosą córką Indirą Gandhi.



Rodzice, siostra z mężem i dziećmi, ja

W dalszym ciągu, regularnie na wszystkie święta, jeździłem do rodziców w Kępnie. Niekiedy zabierałem ze sobą brudne koszule, rękawiczki, skarpety itp. do pranie. Mama mi ciągle o tym przypominała, bo poczuwała się nadal do opieki nad swym synkiem. Ja starałem się to wykorzystywać jako pretekst do przekazywania rodzicom jakichś pieniędzy. Przyjmował je ojciec i po starciu składał do PKO na „czarną godzinę”. Rodzice wciąż żyli bardzo skromnie i bardzo pracowicie. Nadal byli prawie samowystarczalni w pozyskiwaniu produktów spożywczych. Pokazywali mi z dumą swe poletko, które zamienili na

ogród, będący wzorem dla sąsiadów.

Raz, na dworcu katowickim, w czasie przesiadki na pociąg do Kępna, ukradziono mi walizkę z brudną bielizną. Zacząłem ją energicznie poszukiwać, ale po chwili zrelektowałem się i wyobraziłem sobie, jak bardzo rozczarowany będzie złodziejasek, gdy otworzy starą walizę i zobaczy zwój brudnych, znoszonych koszul i skarpetek do cerowania. Ja ten złodziejski przypadek wykorzystałem na odnowę swej garderoby i zakup nowej, porządnej walizy. Według zasady, że nie ma takiego złego, co by na dobre nie wyszło.

Innym razem, wracając ze świąt od rodziców z Kępna, nie mogłem dostać się do swej garsoniery, gdyż zagubiłem klucz do drzwi. W pierwszym odruchu poszedłem na najbliższą Komendę Milicji Obywatelskiej na os. A-0. Poprosiłem o pomoc i otwarcie drzwi do mego mieszkania. Nie powinni mieć z tym żadnego kłopotu, gdyż zamek był najprostszą konstrukcją. Nie stosowano wtedy jeszcze w ogóle np. automatycznych zamków typu „yale”, a co najwyżej dodatkowym zabezpieczeniem drzwi był łańcuszek od wewnątrz. Ale dyżurny oficer w okienku oświadczył mi, że MO do mieszkań się nie włamuje, nawet na życzenie właścicieli. Chyba, że otrzyma odpowiednią decyzję prokuratora. Doradził też, abym udał się do jakiegoś ślusarza. Łatwo powiedzieć, lecz był już późny wieczór i żadne warsztaty dawno nie funkcjonowały.

Pojechałem więc ostatnim dziennym tramwajem do Krakowa, żeby się przynajmniej przespać po łudku w hotelu. Recepcjonista w „Polonii” wytłumaczył mi jednak, że według obowiązujących przepisów w hotelach nie mogą być meldowani miejscowi mieszkańcy. A co w takich przypadkach jak mój, czy spalenia się mieszkania? Recepcjonista nie umiał odpowiedzieć, ale dogadaliśmy się, bo Nowa Huta z Krakowem się jeszcze ostatecznie nie zintegrowała, więc mieszkalem jakby poza Krakowem. Raniutko poszedłem na osiedle A31, gdzie na zapleczu były różne prowizoryczne warsztaty „Ze-beem”, w tym również ślusarski. Poczekalem trochę na ślusarza, po czym udaliśmy się do mego mieszkania. Ślusarz miał pęczek kluczy, dopasował właściwy, trochę go przypiłował i byłem w mieszkaniu. Później dorobił jeszcze dwa egzemplarze nowych kluczy.

Od połowy lat pięćdziesiątych na terenie Nowej Huty i najbliższych okolic trwały intensywne badawcze prace archeologiczne. Głównie koncentrowały się w rejonie wsi Mogiła, Pleszów i Wyciąże oraz w pobliżu Kopca Wandy. Kilkanaście stanowisk archeologicznych znalazło się też na terenie kombinatu, zaś kilka na osiedlach „B” miasta Nowa Huta i w Krzesławicach. Znajdowano monety i wyroby rzymskie, piece garncarskie z czasów Średniowiecza, groby całopalne z okresu kultury łużyckiej, a przede wszystkim znaczne ilości pieców do wytapiania żelaza, tzw. dymarek, z epoki żelaza. Później, już w latach sześćdziesiątych, na terenie budowy walcowni odkryto kości mamuta z okresu paleolitu, a więc sprzed dziesiątków tysięcy lat.

Te prace archeologiczne były wielkim utrapieniem kierownictw budów. Natrafienie w czasie wykopów na jakieś historyczne znaleziska groziło bowiem wstrzymaniem robót budowlanych na wiele miesięcy. To też miały miejsca zatajenia takich faktów i nie zgłaszanie ich ekipom archeologów.

Na świecie w 1955 r. panowała jeszcze zimna wojna pomiędzy obu światowymi mocarstwami i ich sojusznikami. Gorąca wojna w Korei zakończyła się wprawdzie podpisaniem 1953 r. pokojowych układów w Panmunjongu, ale stan napięcia utrzymywał się tam nadal. W 1954 r. zakończyła się także wojna w Wietnamie, po dotkliwej klęsce francuskich wojsk ekspedycyjnych pod Dien-Bien-Phu. Jednak utrzymujący się podział na dwa państwa, też nie wróżył niczego dobrego.

Powstały natomiast nowe gorące konflikty. Po niepodległościowym powstaniu przeciwko Francuzom w Algierii, rozgorzała tam wojna domowa. W Egipcie w 1952 r.

obalona została monarchia i utworzona Zjednoczona Republika Arabska pod kierownictwem prezydenta G. Nasera. Dążył on otwarcie do usunięcia Anglików ze strefy Kanału Sueskiego. Wszystkie te konflikty wpisywały się prawie zawsze we współzawodnictwo obu światowych obozów ideologicznych, gdyż wspierały one przeciwne sobie strony konfliktów dostawami uzbrojenia, a co najmniej poparciem na forum ONZ itp.

Oba mocarstwa same też prowadziły monstrualne zbrojenia. W maju 1955 r. do paktu NATO przyjęta została Republika Federalna Niemiec, w której wskrzeszono już wcześniej własne siły zbrojne. W odpowiedzi powstał wkrótce wojskowy Układ Warszawski państw bloku wschodniego, do którego po pewnym czasie przyłączono także NRD, gdzie również powołano Narodową Armię Ludową. Związek Radziecki i Chiny otoczone zostały z trzech stron szczelnym kordonem baz i paktów militarnych NATO, CENTO i SEATO, od północy uzupełnionym nieustannie patrolującymi superfortecami B-52 z bombami atomowymi na pokładach.

Zaś autokratyczny ZSRR twardą ręką trzymał swych sojuszników, zwłaszcza europejskie państwa demokracji ludowej, i nie zaniedbywał żadnych okazji „dokopania” swemu światowemu rywalowi. I oto pod koniec 1955 r. pojawiły się pierwsze oznaki topnienia lodów zimnej wojny. Dwa podstawowe powody były tego przyczyną.

Po pierwsze przygasła dotychczasowa wyraźna hegemonia w dziedzinie technologii militarnych ze strony USA. W 1954 r. Związek Radziecki przeprowadził drugą próbę bomby wodorowej o znacznie wyższej mocy od posiadanych dotąd przez Stany Zjednoczone. Ponadto na Uralu rozpoczęto seryjną produkcję rakiet balistycznych o zasięgu 6 tys. kilometrów. Ameryka od tego czasu nie mogła już czuć się bezpieczna, zaś wszelkie symulowane gry wojenne wykazywały, że wojny atomowej nikt wygrać nie może. Nastąpił więc parytet w dziedzinie zbrojeń i ukształtowała się tzw. „równowaga strachu” między oboma rywalizującymi mocarstwami.

Po drugie, od śmierci Stalina w marcu 1953 roku, nastąpiła w krajach bloku wschodniego „odwilż” w dziedzinie wewnętrznych stosunków społeczno-politycznych. Ogłoszone zostały amnestie dla więźniów politycznych, nastąpiły liczne procesy sądowe rehabilitujące ofiary represji, wreszcie ograniczono nieco rozbudowę przemysłów ciężkich i zbrojenia na rzecz gospodarki cywilnej. Potępiony też został „kult jednostki”, jaki otaczał Stalina oraz wszelkie „wypaczenia” w budowie socjalizmu.

Odwilż w stosunkach międzynarodowych zaznaczyła się również nawiązaniem stosunków dyplomatycznych między ZSRR i RFN. Węgry, Bułgaria i Albania uznane zostały przez państwa zachodnie i przyjęte w 1955 r. do ONZ. Zawarty też został traktat pokojowy z Austrią, zaś między USA i ZSRR rozpoczęły się pierwsze rozmowy w sprawie ograniczenia zbrojeń, zwłaszcza nuklearnych.

W Polsce plan 6-letni zakończył się wielkimi sukcesami w zakresie rozbudowy przemysłu ciężkiego, energetycznego i surowcowego, lecz nie został zrealizowany w zakresie produkcji rolniczej. Wzrosła ona tylko o 13 %, zamiast 50 %, jak planowano. Natomiast produkcja przemysłowa wzrosła o 170 % w stosunku do 1949 r. (planowano wzrost o 158 %). Zwiększyła się znacznie ludność kraju, zwłaszcza rozrosły się miasta. Dokonały się też wielkie przemiany w zakresie oświaty i kultury. W Nowej Hucie zmiany sprowadzały się do tego, że kombinat metalurgiczny, w którym pracowały już dwa wielkie piece, prawie osiągnął zakładaną pierwotnie docelową produkcję 1,5 mil. ton stali rocznie. Mówiono więc o jego dalszej rozbudowie do wydaj-



Wielki piec nr 2 w NH

ności rocznej 4 mil. ton, zaś ostatecznie uzyskał on w latach siedemdziesiątych nieco ponad 6 mil. ton stali rocznej produkcji.

Również miasto Nowa Huta, wówczas już dzielnica Krakowa, miało przekroczyć 100 tys. mieszkańców. Zaczęto przymierzać się do jego rozbudowy za ulicę Kocmyrzowską na płn.-zachód i zachód w kierunku Krakowa. W kierunku południowym rozbudowa była niemożliwa ze względu na skarpę i tereny zalewowe Wisły, zaś od strony wschodniej usytuowany był pas ochronny, oddzielający miasto od huty. Były to przymiarki planistyczne prowadzone przez Miastoprojekt i DBMNH, o których wiedziałem, gdyż często kontaktowałem się ze swymi byłymi kolegami w Dyrekcji. Wiedziałem też, że nie ma tam już żadnych otwartych awantur i rozgrywek personalnych.

To też, gdy zaczęła mi się nudzić spokojna i zbyt monotonna, jak na mój gust, praca w Instytucie - zacząłem myśleć o powrocie do DBMNH. Odpocząłem, nabrałem sił i znów chciałem się zmierzyć z większymi zadaniami i obowiązkami, chciałem być „śrubą powietrzną w oku cyklonu”, a nie statystą na bezwietrznym terenie. Rozczarowałem się też do swej pracy w Instytucie, gdy zobaczyłem w jakimś fachowym czasopiśmie obszerny artykuł z moimi tabelkami, przytoczonymi bez najmniejszej wzmianki o ich prawdziwym autorstwie.

DYREKCJA BUDOWY NH

Główny Architekt * Wydarzenia poznańskie * Październikowe zebranie * Z-ca Dyrektora * Samorządność w Nowej Hucie

Uzgodniłem na początku 1956 r., że ponownie zostanę zaangażowany w DBMNH, tym razem na stanowisku Głównego Architekta. W schemacie organizacyjnym przedsiębiorstwa nie było jednakże takiej funkcji i dyrektor dopiero wystąpił do ministerstwa o jej wprowadzenie.

W Dyrekcji Budowy Miasta Nowa Huta zacząłem znów pracować od 1 maja 1956 r. Przyjęty zostałem jako starszy inspektor nadzoru, ale nie wróciłem już do Inspektoratu Nadzoru, lecz zakotwiczylem w Dziale Dokumentacji Technicznej.

Zająłem się weryfikacją całej dokumentacji projektowo-technicznej, napływającej z biur projektowych. Dział nadal prowadził jej ewidencję, oraz przyjmował z biur projektowych i rozsyłał do wykonawców, ale ja przejąłem za nią odpowiedzialność merytoryczną. Miłe panie zatrudnione w dziale nie miały żadnych możliwości oceny prawidłowości i kompletności przyjmowanej przez nie dokumentacji i było z tym trochę nieporozumień oraz pretensji, zgłaszanych później przez przedsiębiorstwa wykonawcze.

Miałem z powrotem bezpośrednie kontakty z projektantami Miastoprojektu. Dopraszany też byłem na Rady Techniczne, organizowane w celu oceny projektów w fazie opracowania koncepcyjnego, lub w fazie projektów wstępnych. Byłem w takich wypadkach recenzentem przygotowywanej dokumentacji ze strony inwestorskiej. Często sam opracowywałem koreferaty do prezentowanych opracowań. Do mnie też należała współpraca przy wykonywaniu założeń projektowych do zlecanej dokumentacji, ustalaniu warunków umownych itp.

Przy tych różnych czynnościach, zwłaszcza na radach technicznych, wielokrotnie spotykałem się z dyr. Ptaszyckim. Bywało, że w jakiejś sprawie zajmowaliśmy odmienne stanowiska, gdyż reprezentowaliśmy różne instytucje, niekiedy o przeciwnych interesach. Ale nie zmieniło to jednakże faktu, że zawsze czułem wielką sympatię i uznanie dla swego byłego szefa i cicerone w mych pierwszych poczynaniach zawodowych. Niedawno otrzymał on kolejną, prestiżową nagrodę państwową I stopnia w dziedzinie sztuki, za opracowanie ogólnego planu i realizację miasta Nowa Huta.

Jeszcze trzy osoby w Krakowie przypominały mi wrocławski okres mego życia. Byli to mianowicie trzej moi koledzy ze studiów, którzy podobnie jak ja, po uzyskaniu dyplomów architekta, przenieśli się z Wrocławia do Nowej Huty.

Stanisław Maciąlek przez wiele lat pracował w Zakładach Żelbetonowych w Łęgu-Czyżynach, dochodząc ostatecznie do stanowiska naczelnego dyrektora. Gabriel Sierański był projektantem, potem wieloletnim dyrektorem Biura Projektów Służby Zdrowia w Krakowie. Zaś Jerzy Lorenz kierował Działem Inwestycyjnym w Hucie im. Lenina. W różnych okresach czasu spotykałem się z nimi, najczęściej służbowo ze Staszkiem.

Dopiero w lipcu przyszła zgoda ministerstwa na utworzenie w schemacie organizacyjnym przedsiębiorstwa stanowiska Głównego Architekta, za to z mocą ważności od 1.V.1956 r.

Miałem zachowaną ciągłość pracy, mogłem więc wykorzystać latem należny mi urlop i pojechałem znów na wczasy FWP, po raz pierwszy do Zakopanego. Zakwaterowałem w DW „Pan Tadeusz”, który to obiekt, wcześniej będący w gestii rządu, w ramach „odwilży” udostępniony został dla normalnych wczasowiczów. Był świetnie za-

opatrzone i urządzone, posiadał np. bogate boazerie ściennie. Tym razem mniej korzystałem ze zbiorowych wycieczek, ale i tak zaliczyłem kilka dolinek, między innymi Kala-tówki z Halą Kondratową oraz Dolinę Kościeliską.

Do Zakopanego kursował wtedy specjalny pociąg pośpieszny, który nazywany był lukstordedą ze względu na swe opływowe kształty. Nie bił on wprawdzie żadnych rekordów szybkości, ale cieszył się wielkim powodzeniem, zwłaszcza że komunikacji autobu-sowej, tak później popularnej, wówczas jeszcze nie było.

Interesowałem się w tym czasie dokonującymi się w Polsce zmianami. Wiele czy-tałem, zwłaszcza tygodniki, w tym nowe „Po Prostu” i „Dookoła Świata” oraz „Przekrój”.

Wcześniej, w czerwcu, miały miejsca wydarzenia poznańskie. Gdy wszędzie w Polsce rosły dziesiątki nowych wielkich obiektów przemysłowych, te, jak je zwano, „mi-lowie kamienie socjalizmu”, zaś przy nich nowe osiedla mieszkaniowe dla budowniczych i załóg fabrycznych, gdy odbudowano z ruin Warszawę i postawiono nowe spore miasto Nową Hutę - dostojny Poznań, ongiś świetne i bogate miasto, jakby zapomniany został przez rząd i partię. Powoli odbudowywane centrum miasta, zrujnowane przez wojnę; wielka fabryka metalurgiczna im. J. Stalina (obecne Zakłady im Hipolita Cegielskiego) bez szerszych perspektyw, bo na lokomotywy już wtedy spadło zapotrzebowanie, a o budowie silników okrętowych nikt jeszcze nie myślał. Tę mizериę przykrywał jedynie listek figowy MTP, ale zaledwie na kilka tygodni targowych.

No i robotnicy od „Cegielskiego” zbuntowali się i zastrajkowali, żądając poprawy warunków pracy, podwyższenia płac i obniżek cen żywnościowych. Władza zgłupiała: przecież w socjalizmie, do którego wprawdzie było jeszcze daleko, ale który się przecież intensywnie budowało - strajki robotników przeciwko robotniczej władzy były nie do wyobrażenia. To też organa władzy lokalnej, także i w Warszawie, zamiast usiąść do rozmów ze strajkującymi i dowiedzieć się, o co im chodzi - zwlekały z przyjęciem robot-nicznych delegatów. Zaś potem, już po uzgodnieniach przeprowadzonych w Warszawie przez tychże delegatów z ministrem przemysłu maszynowego, wycofano się z części tych uzgodnień. Wówczas „wścieknieci” robotnicy wyszli na ulice i pomaszerowali na Plac Zamkowy (ówcześnie też im. J. Stalina) , gdzie mieściły się siedziby władz woje-wódzkich.

Tam organizatorzy strajku jednakże nie panowali już nad sytuacją. Górę wziął ży-wioł uliczny, plotka, frustracje i faktyczni przeciwnicy polityczni funkcjonującego ludowe-go państwa. Po ogłoszeniu przez megafony plotki o zaaresztowaniu delegatów robotni-czych – tłum ruszył na więzienie, w którym rzekomo mieli przebywać. Uwolniono wszystkich aktualnie więzionych kryminalistów i zdobyto pierwsze kilkanaście sztuk broni palnej. Potem manifestanci rozbroili jeszcze kilka komisariatów milicji, spalono budynek komitetu partyjnego i rozbito sąsiednie sklepy. Wówczas przywołane zostało wojsko z czołgami do spacyfikowania zamieszek, padły pierwsze strzały i pierwsza ofiara. Zaś potem jeszcze kilkadziesiąt dalszych.

Dopiero po tych zajściach władze państwowe zorientowały się właściwie w czym rzecz. Chodziło zaś bynajmniej nie o zamach na socjalizm, jak to w pierwszej chwili władze oficjalnie oceniły, lecz o to, że strajkujący zbuntowali się po prostu przeciwko swym pogarszającym się warunkom życia. Odbudowa powojenna do 1949 r. przyniosła faktyczną, znaczną poprawę sytuacji bytowej całego społeczeństwa. Zaś plan 6-letni nakierowany był na ciężki przemysł, rozbudowę miast, komunikacji, szkolnictwa i przede wszystkim sił zbrojnych państwa. Kto w tym tkwił, to jakoś zyskiwał, inni relatywnie we-getowali. Poznań nie wiele korzystał z wymienionych trendów rozwojowych, za to sku-mulowały się w nim prawie wszystkie negatywy, występujące w gospodarce i polityce społecznej tamtych lat planu 6-letniego.

Trzeba to było widzieć od razu, władza powinna mieć oczy i uszy „dookoła głowy”. Zrozumiała swą pomyłkę i zreflektowała się dopiero wtedy, gdy „mleko było już rozlane”. Oczywiście wydarzenia poznańskie nie miały szans rozszerzenia się na cały kraj. Nonsensem byłoby, gdyby budowniczowie Trasy W-Z, czy Nowej Huty, lub też młodzież, jaka z zabiedzonych wsi przeszła do fabryk i miast, mieli strajkować i naśladować Poznań.

To dopiero następne pokolenie, dzieci tamtej młodzieży, zdecydowało się na powrót do kapitalizmu z wdrażanego z wielkim mozołem ustroju socjalistycznego, do którego zalet przyzwyczajono się tak dalece, że ich nie zauważano, a którego wady uwiierały co raz bardziej.

Ale sprzeciw, zadeklarowany w Poznaniu jednak trwał i objął całą Polskę. Kontynuowali go członkowie PZPR, która przejęła pałeczkę poznańską, wszak zmieniając część haseł. Żądano liberalizacji zarządzania na wszystkich szczeblach i stosunków społeczno-politycznych w kraju; wprowadzenia samorządów w zakładach pracy; zmiany polityki w stosunku do wsi, przez rezygnację z kolektywnych gospodarstw rolnych; zwiększenia nakładów na lekkie przemysły i usługi, na rzecz poprawy warunków bytu ludności itd.

Ostatecznie postulaty spersonifikowały się w osobie W. Gomułki, który prawie wprost z więzienia został I sekretarzem Komitetu Centralnego PZPR, w więc głównym „motorniczym” nawy państwowej. Miał za sobą autentyczne masowe poparcie społeczne, jakiego nigdy przedtem, ale i nigdy później, nie miał nikt w naszym kraju.

W ciągu trzech burzliwych dni 19-21.X.1956 r., podczas obradowania Plenum Komitetu Centralnego PZPR w Warszawie, miały miejsce liczne wiece poparcia dla Gomułki i zapowiadanych reform. Wiec taki odbył się również w studenckiej „Rotundzie” w Krakowie. My, członkowie partii w DBMNH, patrolowaliśmy wtedy, z białoczerwonymi opaskami na ramieniu, ulice Nowej Huty, pilnując porządku i spokoju. Patrole były dwuosobowe, a każdy miał wyznaczony rejon po kilka ulic. Cała akcja zorganizowana była bardzo sprawnie.

Nazajutrz, w poniedziałek 22 października, w budynku Dyrekcji panowała gorączkowa atmosfera. Zaraz z rana rozpoczęło się w świetlicy ogólne zebranie załogi. Zostało ono zorganizowane przez podstawową organizację partyjną w przedsiębiorstwie. W zebraniu wzięli też udział, zaproszeni wcześniej przez POP, delegat Ministerstwa Budownictwa i delegat Egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego PZPR.

W burzliwej dyskusji kolejni pracownicy domagali się rozliczenia z wypaczeń oraz niegodziwości, jakie miały miejsce w Dyrekcji w okresie ostatnich trzech lat, po nastaniu nowego dyrektora, przybyłego z Kielc. Jednym z koronnych argumentów było owo zebranie partyjne z wiosny 1955 r., na którym niesłusznie i tendencyjnie oskarżono i osądzono trzech pracowników załogi. Obecnie domagano się zdymisjonowania dyrektora naczelnego, w garażu na parterze czekały na niego taczki wyścielane białym kartonem. Żądano też usunięcia z zajmowanych stanowisk kilku osób, które dezinformowały i „ustawiały” dyrektora, kierując się swymi prywatnymi motywami i ambicjami.

Dyrektor jednakże tego dnia nie przyszedł do pracy, podobnie jak i inni z jego otoczenia. Załoga zdecydowała więc zaocznie pozbawić ich zajmowanych stanowisk i wybrać sobie nowe kierownictwo zakładu. Wiec przemienił się w zebranie wyborcze.

Oczywiście wybory rozpoczęto od ustanowienia nowego dyrektora naczelnego. Zapowiedziano zgłaszanie kandydatur, potem miała być prezentacja i przedstawienie programów przez zgłoszonych kandydatów, zaś następnie tajne wybory. Wyszło na to, że załoga ma tylko jednego, lecz za to świetnego kandydata w osobie mgr B. Korombła, z-cy dyrektora d/s planowania i programowania, a wcześniej, od 1952 roku, wieloletnie-

go kierownika działu planowania. Magister ekonomii, orientujący się dobrze w całości kształcenia działalności przedsiębiorstwa, doskonały organizator z polotem i umiejętnością kierowania zespołem ludzkim. Przy tym posiadający nieprzeciętną umiejętność wysławiania się.

Wybór nowego dyrektora dokonany został przez aklamację. Zajął on miejsce za stołem prezydyalnym i prowadził już dalszy ciąg zebrania. Naświetlił ze swadą perspektywę dalszej budowy Nowej Huty i przedstawił zarys zmian organizacyjnych, jakie należałoby wprowadzić w Dyrekcji.



Na koniec dokonany został przez załogę wybór osób na stanowiska zastępców dyrektora. Naczelný inżynier i główny księgowy utrzymali się bez zmian. Natomiast na zastępcę dyrektora do spraw przygotowania inwestycji dyrektor zaproponował moją osobę. Propozycja była dla mnie całkowitym zaskoczeniem, ale zgodziłem się, zaś sala wybór przyjęła raczej okazałymi oklaskami. Tak dokonał się mój kolejny awans zawodowy. Przyjęty do pracy w 1952 r. w Dyrekcji Budowy Miasta Nowa Huta na stanowisko młodszego inspektora nadzoru inwestycyjnego, w ciągu czterech lat, poprzez kolejne szczeble pracy zawodowej, doszedłem do funkcji kierowniczej w przedsiębiorstwie.

Zaczynałem w nim swą pracę jako skromny praktykant w dziele sztuki **V-dyrektor** budowlanej, obecnie miałem współdecydować i odpowiadać za dalszą rozbudowę 100 tys. miasta Nowa Huta. A jak się wkrótce okazało również całego półmilionowego Krakowa. Akurat „stuknęło” mi 30 lat życia.

Ministerstwo i władze Krakowa potwierdziły nominacje na stanowiskach kierowniczych Dyrekcji zgodnie z wyborami przeprowadzonymi przez załogę zakładu. W ten sposób zakończył się także ostatecznie ostatni akt niefortunných rozgrywek personalnych po mianowaniu poprzedniego dyrektora naczelnego. Pracownicy, którzy zostali w związku z tymi waśniami zwolnieni, mogli wrócić do pracy na dotychczasowe stanowiska i funkcje. Zaś kilka osób z tej „wojującej świty” poprzedniego dyrektora zostało w pracy, ale na podrzędnych stanowiskach.

I sekretarz Komitetu Dzielnicowego PZPR w Nowej Hucie, która brała udział w tym zebraniu POP wiosną 1955 r. i doprowadziła do niesłusznego oskarżenia trzech pracowników biura, została pozbawiona swych funkcji i zwolniona z partii.

Zaś w kraju następowały kolejne znaczące zmiany liberalizujące stosunki społeczno-polityczne i wdrażano rozliczne reformy, zwłaszcza gospodarcze. W fabrykach i przedsiębiorstwach państwowych tworzone samorządy robotnicze, jako organa współgospodarzące zakładami pracy. Na wsiach rozwiązywano rolnicze spółdzielcze produkcyjne, powstawały natomiast samorządnie spółdzielcze kółka rolnicze, jako ośrodki mechanizacji rolnictwa.

Zlikwidowano centralistyczny i monopolistyczny Związek Młodzieży Polskiej, w miejscu którego odrodziły się rozliczne środowiskowe organizacje młodzieżowe i harcerstwo. Po powrocie z izolacji klasztornej w Komańczy kardynała St. Wyszyńskiego na stanowisko prymasa, znormalizowane zostały również stosunki państwowo-kościelne.

Bezpośrednią konsekwencją „Października 56” była też reorganizacja resortu MSW. Do roku 1956 było to najbardziej zaniedbane ministerstwo. Milicjanci nie mieli nawet swych mundurów, chodzili ubrani w znoszone już wojskowe mundury z czasów wojny. Nie mieli także pałek, ale to już ze względów ideologicznych, bowiem nie przewidywano możliwości ludowych wystąpień przeciwko ludowej władzy.

Po wydarzeniach poznańskich MO otrzymało większe pieniądze, nowe niebiesko-szare mundury, gumowe pałki i wiele innego sprzętu, podpatrzonego w zachodnich

policjach, a dotąd naszym milicjantom nieznanego. Zaś nieco później, po grudniowych zajściach w Szczecinie, utworzone zostały specjalne jednostki milicyjne tzw. Zmotoryzowane Odwoły MO, czyli w skrócie oddziały ZOMO, przeznaczone głównie do tłumienia rozruchów ulicznych. Zostały one oczywiście wyekwipowane w odpowiedni do tych celów sprzęt, zakupiony na Zachodzie.

W tych końcowych dniach października 1956 r. dokonały się na świecie jeszcze dwa poważne zawirowania polityczne: na Węgrzech i w Egipcie. Na Węgrzech, podobnie jak w Polsce, społeczeństwo domagało się liberalizacji i odnowy wewnętrznych stosunków społecznych i gospodarczych. Tam również potępiono naruszanie prawa przez aparat władzy, ogłoszono amnestię dla więźniów politycznych, rehabilitowano ofiary represji, rozpoczęto liberalizację gospodarki.

Ale nie zadawało to opinii społecznej. W dniu 23.X.1956 r. w Budapeszcie odbyły się wielkie demonstracje. Wznoszono hasła „socjalistycznej demokracji”, „wolności kultury”, „neutralności państwowej” itp. Część demonstrujących przeszła z Placu Bema pod gmach radia, żądając ogłoszenia postulatów. Kilka godzin trwała tam przepychanka, rozmowy delegatów w budynku, strzały ostrzegawcze i wreszcie pierwsza ofiara - kobieta z tłumu. Budynek rozgłośni radiowej został wkrótce opanowany przez demonstrantów, którzy tej nocy zdobyli jeszcze redakcję dziennika „Nep Szabad”, kilka baz samochodowych, więzień, komisariatów milicji oraz magazyny broni.

Na drugi dzień rząd ogłosił stan wyjątkowy i zwrócił się o pomoc do ZSRR. Czołgi rosyjskie obsadziły ważniejsze gmachy i punkty w mieście. Nowy premier Imre Nagy częściowo solidaryzował się z demonstrującymi, chciał polubownie realizować zgłoszone żądania i postulaty społeczeństwa. Rozpoczął też starania o wycofanie wojsk radzieckich, ale po kilku dniach przestał panować nad sytuacją w stolicy i w kraju.

Wydarzenia biegły swoim torem. Powstało kilkadziesiąt partii i organizacji politycznych. Odtworzone zostały skrajnie prawicowe organizacje z okresu reżymu Horthyego, powstawały komitety rewolucyjne. Konsolidowały się różniczne oddziały bojowe, coraz lepiej uzbrojone i grupujące w coraz większym stopniu byłych oficerów i żołnierzy armii faszystowskich Węgier.

Staraniem Imre Nagy 30.X czołgi radzieckie wycofane zostały z Budapesztu. Zamiast odprężenia - nastąpił jednakże 31.X szturm cywilnych grup bojowych na Komitet Miejski partii. Po pierwszych strzałach obrońcy poddali się. Wszystkich zamordowano, 23 żołnierzy i cywili, dwóch zginęło wcześniej w walce. Zdjęcia makabrycznych egzekucji, dokonanych na placu przed budynkiem radia, obieły wszystkie gazety świata.

Ta masakra była zwrotnym punktem w rozwoju budapeszteńskiej rewolucji. Od tego momentu nie było już haseł rewizji socjalizmu, czy usunięcia „wypaczeń” władzy ludowej. Żądano natomiast zerwania Układu Warszawskiego (co zresztą w tym dniu nastąpiło), przywrócenia przedwojennych struktur władzy, systemu wielopartyjnego i zmiany ustroju. Zaczęto burzyć pomniki z okresu powojennego, nastąpił terror antykomunistyczny, aresztowania i represje wobec członków rządzącej Węgierskiej Partii Pracujących i aparatu organów administracyjnych.

W tej sytuacji Związek Radziecki ocenił, że nie może pozwolić sobie na wyjście Węgier z jego orbity wpływów, na przekształcenie się tego państwa z powrotem w nieprzejednanego wroga, wreszcie na zatrącenie ludzi, którzy po wojnie stanęli na pozycjach budowy socjalizmu na Węgrzech. Toteż 4.XI tysiąc czołgów wjechało ponownie do Budapesztu. Miasto, dotąd nie odbudowane całkowicie ze zniszczeń wojennych, zaczęło obrastać nowymi gruzami. W ciągu tygodnia walk powstanie zostało stłumione.

zupełnie inaczej potoczyły się więc wydarzenia polskiego i węgierskiego października. Podobne były błędy i wypaczenia Bieruta i Rakosiego, lecz w Polsce występowały

one w znacznie łagodniejszej postaci i bez tego przemożnego kultu jednostki, jaki otaczał Rakosiego.

Inna jednak była nasza historia bliższa i dalsza. Tam przedwojenny oficjalny faszyzm, współpraca z Niemcami hitlerowskimi i ostatecznie przegrana wojna. Węgry w jej wyniku ponownie utraciły Ruś Zakarpacką, południową Słowację oraz Siedmiogród. Nacjonalizm węgierski nie mógł się z tym pogodzić, żywiąc się jeszcze wspomnieniami o mocarstwowej pozycji, sprawowanej w duecie z Austrią przed I wojną światową. Ta historia mocno ważyła na wydarzeniach 1956 roku w tym naddunajskim kraju.

Również brzemienne w skutki były wydarzenia w strefie Kanału Sueskiego. Po jego nacjonalizacji w lipcu 1956 r. przez nowy republikański rząd Egiptu - Anglia, dotychczasowy dysponent kanału, nie chciała uznać tego faktu. Trwały w tej sprawie intensywne spory dyplomatyczne na arenie międzynarodowej, głównie w ONZ. Równocześnie prowadzone były także intensywne przygotowania militarne przez obie strony konfliktu.

Wreszcie 29.X Izrael, wyposażony w nowoczesne lotnictwo przez Francję, dokonał zbrojnej inwazji na egipski Synaj. Gdy prawie cały półwysep zajęty został przez wojska izraelskie, Anglia i Francja wystosowały ultimatum do Egiptu i Izraela o odsunięcie ich wojsk poza strefę kanału, aby ochronić go przed ewentualnymi uszkodzeniami. Wobec, spodziewanej zresztą, odmowy przyjęcia tego ultimatum, Anglicy i Francuzi dokonali 5.XI własnych desantów wojskowych i nalotów bombowych w strefie kanału na pozycje egipskie. W tym konflikcie Egipt liczył na pomoc ZSRR, zaś Anglia i Francja na wsparcie ze strony Stanów Zjednoczonych. Mogło to doprowadzić do III wojny światowej.

Lecz oba mocarstwa miały swe własne problemy: ZSRR konflikt na Węgrzech, zaś w USA zbliżały się wybory prezydenckie. Oba mocarstwa zajęły więc zdecydowanie zgodne stanowisko, żądając przerwania działań wojennych oraz wycofania się trzech interwentów z terytorium Egiptu. Po 7.XI walki ustały i rozpoczęły się długotrwałe negocjacje stron. Zaś kanał został zablokowany na pół roku przez zatopione na nim statki, co poważnie odbiło się na gospodarce światowej.

Oba te wydarzenia końca 1956 r. nie służyły sprawie pokoju, raczej wpłynęły na pogłębienie się podziału świata na dwa przeciwstawne sobie bloki ideologiczne i militarne. Dodatkowo kosztem W. Brytanii i Francji Stany Zjednoczone stały się odąd jedynym hegemonem na Bliskim i Dalekim Wschodzie.

Od 4.X.1957 r., gdy na orbicie ziemskiej znalazł się radziecki Sputnik, pierwszy sztuczny satelita Ziemi - rywalizacja obu mocarstw ogarnęła także Kosmos. Ta walka o Kosmos zdominowała światową politykę przynajmniej do 16.VII.1969 r., to jest do dnia lądowania amerykańskiego, załogowego statku kosmicznego Apollo XI na Księżycu.

Od listopada 1956 r. podlegały mi cztery działy: Programowania i Planowania, Dokumentacji Technicznej, Uzbrojenia Terenu oraz Kosztów. Kierownikami tych działów byli: Ryszard Wilczyński, Bolesław Rzymek, Józef Cichy, Rudolf Jaskowski. Działy Prawno-Wyłączeniowy, Księgowo-Finansowy, Kadr i Gospodarczy oraz Komisja Oceny Projektów Inwestycyjnych podlegały bezpośrednio dyrektorowi naczelnemu, zaś działy pionu wykonawczego, to jest Inspektorat Nadzoru i Dział Odbioru Budów były w kompetencji z-cy Dyrektora d/s Technicznych.

Raz w tygodniu, w poniedziałki rano, odbywały się narady całego kolektywu kierowniczego. Miały one formę operatywek, na których rozliczane były wprawdzie ustalenia z poprzedniej narady, następnie omawiano bieżące sprawy i problemy oraz podejmowano kolektywnie, wiążące wszystkich, decyzje. Na końcu ustalano kolejne sprawy do załatwienia przez konkretnych ludzi w określonych terminach.

Przy podejmowaniu poważniejszych decyzji, ostatni o zdanie pytany był „mędrzec

Syjonu". Tak nazywany był kierownik działu kosztów, który oprócz biegłości w sprawach finansowych, specjalizował się jeszcze w zgłębianiu bieżących przepisów i zarządzeń. Od niego więc dyrektor domagał się opinii co do zgodności podejmowanych decyzji z tymi obowiązującymi nas przepisami.

Wszyscy byliśmy w wieku 30-40 lat i stanowiliśmy zespół, z jakim, dałoby się powiedzieć, że można „konie kraść”. Wszyscy mieliśmy wykształcenie wyższe, większość ekonomiczne. Niektórzy studia kończyli zaocznie już w czasie pracy zawodowej, podobnie jak wielu innych pracowników w biurze.

W tym czasie wielką karierę zrobiło słowo „samorządność”. Chodziło o podejmowanie decyzji i odpowiedzialności w różnych kwestiach zarządzania i gospodarki na szczeblu przedsiębiorstwa, bez oglądania się i oczekiwania na decyzje szczebla nadzrędnego. Mnie to się bardzo podobało, gdyż nigdy mi pomysłów i inicjatywy nie brakowało, miałem rzetelne wykształcenie architektoniczne, niezłą praktykę projektową i inwestycyjną oraz rozeznanie w programach i projektach dalszej rozbudowy Nowej Huty. Miałem też dużą łatwość w podejmowaniu decyzji w zakresie spraw technicznych, podlegających mej kompetencji.

W przypadku jakichś wątpliwości podpytywałem się konsultacjami, roboczymi naramami, lub tematycznymi komisjami, specjalnie organizowanymi. Te ostatnie nazywało się niekiedy „dupochronami”, gdyż nieraz taką rolę faktycznie spełniały.

Natomiast jak najmniej zwracałem się o jakieś decyzje do dyrektora naczelnego w sprawach należących do moich własnych kompetencji. Oczywiście, że problemy, wiążące się z pracą innych pionów organizacyjnych, zgłaszałem na poniedziałkowych operatywkach, celem ich omówienia i skoordynowania. Ale, generalnie biorąc, nie zaprzętałem naczelnemu głowie moimi bieżącymi problemami i kłopotami. Decyzje w sprawach, leżących w mej kompetencji, podejmowałem odpowiedzialnie sam. Tak postępowałem zawsze, również i później na stanowisku kierownika wielobranżowej pracowni projektowej w biurze projektowym.

Obserwowałem jednak, że taka mentalność kierownicza nie była zbyt szeroko praktykowana. Nieraz spotykałem się ze stanowiskiem, że raczej należy skarżyć się na nadmiar obowiązków, utyskiwać na wszelkie trudności, mnożyć problemy, choćby wydumane, i unikać własnych decyzji, aby potem za nic nie odpowiadać. Jeden z bliskich kolegów tłumaczył mi wielokrotnie, że dyrektorzy nie cenią tych swych zastępców i kierowników, u których „nic się nie dzieje”, którzy nic nie żądają i nie zwracają się bezustannie o jakieś decyzje. Ja tej filozofii wiecznego petenta i koniunkturalisty jednakże nigdy nie podzielałem.

Opiszę wiązanek spraw i problemów, jakie Dyrekcja rozwiązywała w zakresie dokumentacji projektowej i realizacji inwestycji nowohuckich w okresie od XI. 1956 r. do połowy 1959 r. We wszystkich tych tematach byłem wnioskodawcą, lub współautorem pomysłów, a zawsze decydującym w zakresie swych kompetencji służbowych.

Przed wszystkim dokonałem przeglądu wszystkich większych zleceń do biur projektowych, głównie do Miastoprojektu-Kraków. Biuro to sprawowało rolę wiodącą i autorską w stosunku do miasta Nowa Huta. Wynikało to z faktu pełnienia przez jego dyrektora inż. T. Ptaszyckiego funkcji generalnego projektanta miasta.

W związku z tym Miastoprojekt był w latach pięćdziesiątych autorem wszystkich planów urbanistycznych i architektonicznych Nowej Huty. Z inspiracji tego biura rodziły się też nowe formy i sposoby budownictwa: uprzemysłowione technologie, potokowy system pracy, kompleksowe metody opracowania dokumentacji i wykonawstwa robót. Polygonem dla eksperymentów w tym zakresie była wtedy budowa osiedla A11.

Duszą i motorem tych wszystkich poczynąń był nieustrudzony dyr. Ptaszycki, którego energia i indywidualność ożywiały i kształtowały krakowski Miastoprojekt.

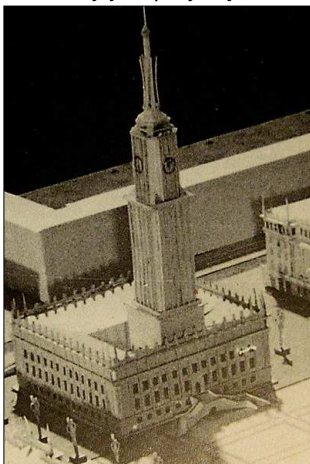
Bardzo szybko uzgodniliśmy potrzebę opracowania przez biuro projektowe „katalogu prefabrykowanych elementów wielkowymiarowych dla I stopnia uprzemysłowienia”, którego celem miało być ujednolicenie już wdrażanych systemów uprzemysłowienia i wytyczenie kierunku działania w tym zakresie na najbliższe lata.

Na początku 1957 r. miała również miejsce zmiana normatywów projektowania i zarysowały się nowe trendy i mody w projektowaniu funkcji mieszkań. Dlatego zleciłem do Miastoprojektu także opracowanie trzech wariantowych zestawów typowych sekcji mieszkalnych do zastosowania na nowoprojektowanych osiedlach D-1, D-2 i D-3 w Nowej Hucie.

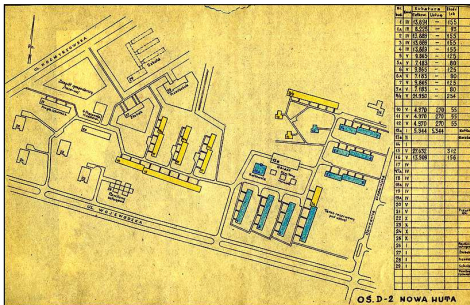
Opracowania tych zestawów sekcji podjęły się 3 zespoły projektowe, jakie już wtedy miały, obok urbanistów, największy swój udział w przygotowywaniu projektów dla NH. Były to zespoły architektoniczne Janusza Ingardena, Adama Fołtyna oraz Stefana Golonki i Kazimierza Chodorowskiego.

Inż. J. Ingarden, wybitnie utalentowany i niezmiernie twórczy architekt, był autorem dziesiątków indywidualnych obiektów użyteczności publicznej i budynków mieszkalnych w Krakowie. W owym czasie, między innymi, miał już na swym koncie projekt Teatru Ludowego na 420 widzów w Nowej Hucie. Zaś architekci A. Fołtyn i St. Golonka w niedługim czasie byli „milionerami” w dziele budownictwa mieszkaniowego, to jest zaliczyli po milionie metrów sześciennych, zaś potem znacznie więcej, kubatury mieszkaniowej zrealizowanej według ich projektów.

Natomiast wstrzymałem wykonywanie dwóch indywidualnych projektów od kilku lat opracowywanych w Miastoprojekcie, zgodnie z planem generalnym dla Nowej Huty. Były to projekty ratusza i zalewu centralnego.



Makieta Ratusza NH



Osiedle D-2 w Nowej Hucie

Ratusz usytuowany miał być w centrum miasta przy pionowej reprezentacyjnej osi w zespole osiedla mieszkaniowego B32. Do 1957 r. wykonanych już zostało kilka wersji koncepcji tego obiektu. Miał być on wizytówką Nowej Huty, przebogaty architektonicznie, strzelisty, z wieżą ratuszową. Ale na os. C-3 funkcjonował już duży biurowiec, jaki wcześniej nadzorowałem. Ocenilem, że starczy on na pomieszczenie wszelkich biur administracji dzielnicowej i, że w tej sytuacji, odrębny i super kosztowny ratusz nikomu nie będzie potrzebny.

Po zakończeniu więc kolejnej pięknej koncepcji wstrzymałem dalsze opracowywanie projektów obiektu, tłumacząc prosto, że w najbliższych latach nie przewiduje się jego realizacji. I tak już zostało. Biurowiec na C-3, nadbudowany w 70. latach o kondygnację, jest dziś jedynym większym obiektem administracyjno-biurowym w 250-tysięcznej dzielnicy. Dziś nikt nawet nie pamięta, że miał być budowany odrębny ratusz w obecnym przepięknym parku przy Alei Róż.

Plan generalny przewidywał również urządzenie wielkiego

zalewu wodnego o powierzchni 80 hektarów, na południe od Placu Centralnego. Dzielnica Nowa Huta usytuowana jest bowiem na wysokim tarasie Wisły, od której zabudowę dzielnicy oddziela rozległy pas terenu, zajmowanego przez podmokłe łąki, ugory i użytki rolne. Właśnie na części tego terenu plan generalny przewidywał utworzenie wielkiego zalewu wodnego. Miały być na nim torzy regatowe, wydzielone kąpieliska, zaś na skarpie amfiteatralne widownie, wielki stadion sportowy i wiele innych urządzeń.

Było to przedsięwzięcie pomyślane z dużym rozmachem i wielokierunkowo. Wg przeprowadzonych badań geologiczno-inżynierskich na tym terenie zalegała góra ok. dwumetrowa warstwa torfów borowinowych, a poniżej drobnoziarniste piaski i żwiry. Zakładano więc, że warstwa borowiny zostanie zdjeta i przynajmniej częściowo wykorzystana dla celów przyrodoleczniczych, zaś piaski miały być przez kilka lat eksploatowane przez pobliskie Zakłady Prefabrykacji Żelbetonowej w Łęgu-Czyżynach.

Celem niezbędnego odświeżenia wody w zalewie zamierzano skierować doń nowym korytem rzeczkę Białuchę. Byłoby to bardzo kosztowne, ale rychło okazało się także nierealne, ze względu na szybko powiększające się zanieczyszczenie wód tego potoku. Ekspertyza opracowana przez UJ wykazała jednak, że przy znacznym pogłębieniu zalewu poprzez eksploatację piasku, można liczyć na samooczyszczenie się wód akwenu i zrezygnować z przebudowy koryta Białuchy. Ekspertyza ta akcentowała też walory klimatyczne projektowanego akwenu.

Żaden zakład przyrodoleczniczy, ani ZPŻ nie przejawiały jednakże większego zainteresowania przedkładanymi im propozycjami finansowego zaangażowania się w przedsięwzięcie. Bardzo zainteresowane akwenem było tylko lobby żeglarskie, lecz bez możliwości współudziału w kosztach inwestycji. A potrzebne byłyby olbrzymie nakłady pieniężne, nie mieszczące się w żaden sposób w środkach finansowych przeznaczanych na budowę miasta.

W tej sytuacji ja byłem przeciwny dalszemu kontynuowaniu także wszelkich prac projektowych, również przecież kosztownych. Zwłaszcza, że równocześnie kończyliśmy urządzanie i zagospodarowywanie przy ul. Bulwarowej kilkuhektarowego zalewu na rzece Dłubni i mieliśmy kłopoty ze znalezieniem gospodarza dla tego zalewu, który by mógł i zechciał go eksploatować.

W krótkim czasie faktycznie przerwałem opracowywanie przez Miastoprojekt kolejnych studiów projektowych. W pewnym sensie podparłem się ekspertyzą zakomarzenia, opracowaną w związku z protestami przełożonych klasztoru w Mogile, którzy obawiali się plagi komarów po urządzeniu płytkiego akwenu. Ekspertyza potwierdziła, acz nie jednoznacznie, te obawy. Zaś zalew wodny przy ul. Bulwarowej po latach został ostatecznie zarybiony i tylko na jego fragmencie funkcjonuje kąpielisko, przystań na rowery wodne itp. Natomiast Kraków jeździ się kąpać i żeglować do Kryspinowa i ma swoje kąpielisko Bagry w Płaszowie.

Jednym z pierwszych sprzętów, w jakie zaopatrywały się rodziny zasiedlające mieszkania w nowych blokach, były radioodbiorniki. Wymagały one jednak dla lepszego odbioru instalowania anten dachowych. Więc w krótkim czasie na wszystkich dachach wyrosły lasy drewnianych drążków i kijków, służących do zawieszania drutów antenowych dla pojedynczych radioodbiorników. Oczywiście nie wyglądało to sympatycznie.

W ostatnich miesiącach 1956 r. zaistniały jednak na rynku zbiorcze metalowe maszty radiowe. W krótkim czasie podjęliśmy w Dyrekcji decyzję, że będziemy stosować te nowe maszty na bieżąco realizowanych budynkach mieszkalnych oraz oddawać je do użytku już razem z nimi oraz stosownym rurażem instalacyjnym. Dałem w tym zakresie odpowiednie dyspozycje do Miastoprojektu-Kraków.

Odnośnie budynków istniejących postanowiliśmy instalować na nich zbiorcze

maszty sukcesywnie i równocześnie przeprowadzić likwidację istniejącego morza drążków i kijków według możliwości finansowych. Dyr. Korombel postarał się szybko o odpowiednie kwoty i faktycznie w ciągu kilku kwartałów dachy na starych osiedlach zostały wyczyszczone.

Zgodnie z decyzjami z 1949 r. we wszystkich budynkach mieszkalnych NH miała być zainstalowana radiofonia przewodowa. To znaczy we wszystkich mieszkaniach, w głównym pokoju, miała być nad drzwiami montowana skrzynka głośnika, podłączonego przewodami do centrali osiedlowej. I tak było to realizowane, ale niekonsekwentnie i nie do końca, gdyż opóźniała się realizacja central osiedlowych i nie wszędzie zawieszano „gadające” skrzynki.

Z drugiej strony radiofonia przewodowa rychło okazała się anachronizmem, wobec burzliwego rozpowszechniania się odbiorników radiowych, jakich masową produkcję podjęło kilka dużych fabryk krajowych. Ja też miałem w swej garsonierze taką skrzynkę, ale nie używałem jej nigdy, gdyż na biurku stała superheterodyna czterozakresowa z magicznym okiem.

Postanowiliśmy więc przeciąć tę niejasną sytuację radiofonii przewodowej, decydując się na dokończenie w pełni tych instalacji, to jest montażu central nadawczych, jedynie na osiedlach A-0 i C-2, gdzie były one najbardziej zaawansowane. Wykonywanie radiofonii przewodowej na dalszych osiedlach zaniechaliśmy całkowicie. Ostatecznie nie sfinalizowaliśmy również montażu zakupionych central radiofonicznych na osiedlach A-0 oraz C-2 i z trudem sprzedaliśmy je po pewnym czasie poza Nową Hutą.

Podobnie wyglądał problem instalowania pralni domowych. Zgodnie z normatywami projektowania w każdym nowym budynku, mniej więcej w co drugim segmencie, projektowane były w piwnicach pomieszczenia na pralnie do zbiorowego użytkowania przez mieszkańców. Wyposażane były w piec węglowy z kotłem do gotowania bielizny, kadź zamokową, zlew, kadź pralniczą i kratkę ściekową. Oprócz tego w piwnicy lub na poddaszu projektowano suszarnie na mokrą bieliznę.

Również w tym przypadku nie przewidziano burzliwego rozpowszechniania się indywidualnych pralek domowych, w jakie od połowy lat 50. masowo zaopatrywały się rodziny w nowych mieszkaniach. W ramach „odwilży” dwie duże fabryki zbrojeniowe w kraju przestawiły się częściowo na produkcję wirnikowych pralek indywidualnego użytku i w kilku latach zarzuciły nimi cały kraj.

W tej sytuacji wykorzystywanie pralni zbiorowych było bardzo problematyczne. Były one dewastowane i najwidoczniej okazywały się zbędne. Podjąłem więc decyzję znaczącego ograniczenia urządzania dalszych pralni zbiorowych. Wpierw jednak przeprowadziliśmy ankietę wśród mieszkańców. Wydaliśmy i rozprowadziliśmy 300 egzemplarzy ankiet z zestawem stosownych pytań, dotyczących zresztą nie tylko pralni. Otrzymaliśmy 180 egzemplarzy z odpowiedziami. Posegregowałem je i zestawilem zbiorcze wnioski, z których wynikało, że część mieszkańców użytkowałaby te zbiorcze pralnie, gdyby były wyposażone w pralki elektryczne.

Zgodnie z tym, bardzo poważnie ograniczyłem projektowanie pralni zbiorowych, wyposażając je w kilka uziemionych gniazd elektrycznych i miejsce na ustawienie indywidualnych pralek. Oczywiście przy założeniu, że te pralki zakupią i ustawią w pralni do wspólnego korzystania sami mieszkańcy, ewentualnie przez komitety blokowe. Pomysł ten ostatecznie nie wypalił i z biegiem czasu zostały w piwnicach same suszarnie na mokrą bieliznę.

Od 1950 r., to znaczy od zaistnienia wojny w Korei, na każdym nowym osiedlu, w wybranych budynkach, projektowane były piwniczne schrony przeciwlotnicze. Koszto-

wało to niemało, gdyż wiązało się z wykonywaniem ciężkich żelbetonowych stropów i ścian, awaryjnych wyjść tunelowych, przedsionków i drzwi gazoszczelnych oraz odpowiedniej wentylacji mechanicznej.

Ale od początku brak było konsekwencji w wyposażaniu schronów w instalacje wentylacyjne i drzwi gazoszczelne. Na początku 1956 r. władze TOPL ostro zainteresowały i to brakujące wyposażenie zaczęto uzupełniać. Lecz, z kolei, było ono dewastowane przez mieszkańców.

Wystąpiłem więc zdecydowanie do ministerstwa o zaniechanie w ogóle budowy schronów na nowych osiedlach. I póki co, na własne ryzyko, polikwidowałem cały szereg schronów w nowoprojektowanych budynkach.

Faktycznie, po pewnym czasie przyszły centralne decyzje o całkowitym zaniechaniu budowy schronów TOPL na nowych osiedlach. Zastąpione zostały jedynie opracowaniami projektowymi, obejmującymi określenie lokalizacji rowów przeciwlodniczych, instruktaż przystosowania szkoły podstawowej na osiedlu na szpital itp.

W tamtych latach bardzo marnie wyposażane były w nowobudowanych mieszkaniach pomieszczenia kuchenne. Instalowano w nich właściwie jedynie zlew, lub zlewozmywak żeliwny i dwu-płomienną kuchenkę gazową na metalowych wspornikach. Dopiero od połowy 1957 r. zaczęliśmy we wszystkich kuchniach instalować trzy, lub czteropalmnikowe kuchenki gazowe z piekarnikami.

Ponad to, z mojej inicjatywy, część kuchen na osiedlach D-1 i D-2 była wyposażana w zestaw szafek kuchennych. Szafki te sam zaprojektowałem. Były produkowane seryjnie przez stolarnię generalnego wykonawcy. Składały się z szafki zlewozmywakowej, stołowej i z szufladami, o szerokości 60 cm oraz wiszących o szerokości 30 cm. Wykonywane były z ram z drewna sosnowego i obite sklejką. Całość malowana olejno w kolorze białym. Były więc to szafki proste, wręcz prymitywne, przyrównując do powszechnie dziś stosowanych szafek fornirowanych, szklonych itp. Ale przez wiele lat służyły mieszkańcom z powodzeniem.

Aktualny normatyw projektowania zobowiązywał do projektowania w każdym mieszkaniu szaf wbudowanych, w ilości zależnej od wielkości mieszkania. Z drugiej strony obowiązujące inwestorów zarządzenia oszczędnościowe zabraniały montownia tych szaf. Mieszkańcy otrzymywali więc jedynie wnęki w przedpokojach i pokojach do zagospodarowania we własnym zakresie. Zmieniliśmy ten stan rzeczy w ten sposób, że zaczęliśmy montować jednak szafy i pawlacze w przedpokojach przed oddaniem mieszkań do użytkowania. Zaś co do szaf wbudowanych w pokojach uzgodniłem z Miastoprojektem, że będą projektowane jedynie w zależności od indywidualnego rozwiązania układu mieszkań.

Również i odnośnie umywarek istniały oszczędnościowe zarządzenia, zabraniające ich montażu. Także w tym przypadku postanowiliśmy uwzględnić je w kosztorysach i montować przed oddawaniem mieszkań do użytkowania. Faktycznie w krótkim czasie zaistniały trudności w ich zakupie w handlu i zmuszeni zostaliśmy przejściowo do rezygnacji z ich montażu w części mniejszych mieszkań.

Trudnym i nierozwiązanym wcześniej problemem była izolacja akustyczna mieszkań, a głównie stropów. Brak było bowiem właściwych materiałów izolacyjnych. W niewielkim zakresie dostępne były tylko maty trzcinowe. Ale od 1957 r. pojawiły się porowate płyty spילśnione. Nadawały się one doskonale do poziomej izolacji stropów po przyklejeniu lepikiem warstwy papy pod wylewkę cementową.

Zdecydowałem wprowadzić te płyty jako akustyczne izolacje jak najszybciej, aby w nowych mieszkaniach nie było słyhać, co dzieje się u sąsiadów na dole, czy na górze.

Do 1956 r. normatywy nie przewidywały projektowania loggi w budynkach miesz-

kalnych, zaś projektowanie balkonów ze względów oszczędnościowych dopuszczalne było w ograniczonym zakresie. Był nawet okres, gdy stosowanie balkonów było w ogóle zabronione. Wykonywało się wtedy jedynie portfenetry, zabezpieczane balustradą w płaszczyźnie ścian. Według tych reguł zabudowano cały Plac Centralny w NH. Przedstawiliśmy w Miastoprojekcie swe stanowisko, jako inwestora, że balkony mogą być projektowane pod jednym tylko oszczędnościowym warunkiem, iż w jednym mieszkaniu może być tylko jeden balkon.

Co do loggi, to trzeba powiedzieć, że w Polsce w ogóle nie było żadnych tradycji stosowania loggi. Ich wprowadzenie zarysowało się w związku z realizowaniem konstrukcji poprzecznych w budynkach, które od 1957 r. szeroko praktykowano. Opiszę to oddzielnie. Oczywiście również w tym przypadku stawialiśmy jedyny warunek, że w jednym mieszkaniu może być tylko jedna loggia.

Wszystkie wymienione decyzje, podejmowane samodzielnie przez nas na fali „odwilżowej” atmosfery w stosunkach społeczno-politycznych w kraju, miały na celu wyeliminowanie zbędnych robót i poprawienie jakości i użyteczności nowego budownictwa mieszkaniowego w Nowej Hucie. Do tej serii ustaleń, można jeszcze zaliczyć rezygnację z zabudowy 5 i 6 kondygnacyjnej. Mianowicie zamieszkiwanie na czwartym piętrze jest dość uciążliwe w przypadku braku wind osobowych. Tymczasem obowiązujące normatywy dopuszczają stosowanie wind w budynkach mieszkalnych dopiero od 6 kondygnacji. Oczywiście spowodowane to jest bardzo dużymi kosztami inwestycyjnymi instalowania dźwigów osobowych. To też budynki 6 kondygnacyjne są relatywnie nieekonomiczne z tegoż powodu.

Z drugiej strony budowlane żurawie montażowe pozwalały na wznoszenie obiektów do wysokości 10 kondygnacji. Stąd wykoncypowałem, że z wymienionych powodów będziemy dalej realizować jedynie budynki do wysokości czterech kondygnacji i 8-10 kondygnacyjne.

Tę zasadę przez jeden rok utrzymaliśmy na znacznej części osiedli D-1 i D-2. Ale później nacisk na uzyskiwanie maksymalnej ilości mieszkań spowodował, że wróciliśmy do budowy budynków 5 kondygnacyjnych, w których koszt 1 m² był zawsze stosunkowo najtańszy. Takie budynki dominują dziś w zabudowie Krakowa obok budynków 8-10 kondygnacyjnych, jakich wciąż przybywało w miarę zwiększania się ilości wieżowych żurawi montażowych na placach budów.

Opracowanie przez Miastoprojekt-Kraków nowych konkursowych sekcji powtarzalnych do stosowania na osiedlach „D” w Nowej Hucie trwało kilka miesięcy. Wszystkie trzy zespoły projektowe skupiły się maksymalnie na jak najlepszym rozwiązaniu funkcji mieszkań w projektowanych segmentach oraz wszystkie przyjęły poprzeczne układy konstrukcyjne dla budynków do wysokości pięciu kondygnacji.

Byłem koreferentem tych opracowań z ramienia inwestora i ostatecznie zdecydowałem o wyborze projektów do realizacji. Ponieważ wszystkie one prezentowały dobre, nowoczesne rozwiązania funkcjonalne mieszkań - za główne kryterium oceny przyjąłem sposób rozwiązania konstrukcji budynków.

Sama zasada konstrukcji, to jest układ poprzeczny ścian nośnych, przyjęta została we wszystkich trzech opracowaniach. Miało to swe logiczne uzasadnienie wobec pojawienia się na budowach nowego, nieznanego wcześniej materiału ściennego, to jest gazobetonu. Jest to materiał kilkakrotnie lżejszy od czerwonej ceramiki i produkowany w bloczkach o wymiarach 49 * 24 * 24 cm, czyli znacznie większych od pojedynczej cegły ceramicznej. Najważniejszą jednak cechą gazobetonu jest niski współczynnik przenikania ciepła, co przy zastosowaniu gazobetonu w ścianach zewnętrznych pozwalało na

pocienienie tychże do 24 cm, podczas gdy ściany z cegły pełnej musiały mieć 51, a z cegły dziurawki 38 cm grubości. Z drugiej strony ściany ceglane posiadają znacznie wyższą wytrzymałość na ściskanie niż ściany gazobetonowe.

Logiczną konsekwencją tego wszystkiego było wprowadzenie, niestosowanych dotąd, tak zwanych poprzecznych układów konstrukcyjnych z poprzecznymi ceglanymi ścianami nośnymi i z gazobetonowymi ścianami zewnętrznymi. Dodatkowo jeden z projektów konkursowych prezentował zastosowanie poprzecznych ścian nośnych przy ich maksymalnym rozstawie do 4,20 m. Pozwalało to na zmniejszenie grubości żelbetowych stropów do 16 cm.

Ostatecznie przyjęliśmy do realizacji dwa opracowania konkursowe. Jedno autorstwa inż. St. Golonki i K. Chodorowskiego, oferujące bardzo bogaty zestaw różnorodnych sekcji, zaś drugie to opracowanie ze stropami 16 cm grubości. Autor inż. A. Fołtn kontynuował swą pracę, zamierzając, zgodnie z moimi propozycjami, zastosować w miejsce poprzecznych ścian ceglanych 25 cm - ściany żużłobetonowe grubości tylko 20 cm, w metalowych szalunkach przestawnych.

Ten zestaw projektowy sekcji i budynków mieszkalnych stanowił bazę regionalnej typizacji projektów, którą wprowadziliśmy, nowatorsko w skali całego kraju, na nowych osiedlach „D” w Nowej Hucie, a nieco później również na kilku osiedlach w Krakowie.



Blok ze ścianami żużłobetonowymi oś. D-1

Wdrażanie nowych rozwiązań projektowych wymagało wielu inwestorskich decyzji i działań. Sprawy te należały więc do mnie bezpośrednio. Najważniejszym problemem było opanowanie produkcji żelbetowych płyt stropowych o grubości 16 cm. Szybko dałem odpowiednie zlecenia do Miastoprojektu na opracowanie roboczych rysunków konstrukcyjnych, zaś do PBM-NH i do Zakładu Prefabrykatów Żelbetonowych w Łęgu na wykonanie stalowych form i poligonu produkcyjnego, wraz ze stosownym usprzętowieniem, oraz na badania prototypowe.

Uwinięto się z tym bardzo szybko, przy czym zastosowane zostały płyty okrągłotworowe, wzorem prefabrykatów żerańskich. Cieńsze płyty stropowe pozwoliły na zmniejszenie wysokości brutto kondygnacji mieszkalnych z obowiązujących 3,10 m na 3,00 m, a wkrótce na 2,80 m.

Na osiedlach „D” nie wykonywaliśmy już schronów TOPL, radiofonii przewodowej, ograniczyliśmy znacznie ilość pralni zbiorczych. Za to zdecydowałem się na wprowadzenie na wszystkich stropach izolacji akustycznej, instalowania szaf wbudowanych w przedpokojach, umywarek, segmentowych szafek kuchennych oraz kuchenek 4 palnikowych, o czym była już mowa.

Tak więc oszczędności uzyskane na wydatkach na konstrukcję budynków przeznacziliśmy częściowo na poprawę jakości i wyposażenie mieszkań. Uprościliśmy też bardzo dokumentację kosztorysową i rozliczanie kosztów realizacyjnych poszczególnych budynków.

Mianowicie z mojej inicjatywy dla serii kilku-kilkunastu bloków opracowywano tylko jeden szczegółowy kosztorys na pierwszy realizowany budynek. Po weryfikacji kosztorysu w trakcie budowy, wyprowadzano następnie wskaźnik kosztu przypadający na 1 metr sześcienny budynku. Zaś potem, wg tego jednostkowego wskaźnika, rozliczane

były dalsze budynki danej serii. Ewentualnie wykonawca opracowywał aneksy kosztorysowe na dodatkowe, czy nietypowe roboty, jak zmiany sposobu fundowania itp.

W rezultacie tych wszystkich działań - wskaźniki kosztów dla prawie 4 tysięcy izb realizowanych na osiedlach „D” w Nowej Hucie okazały się rekordowo niskie w skali całego kraju. Ostatecznie doczekaliśmy się więc przybycia specjalnej komisji z Ministerstwa Budownictwa, która starała się dociec przyczyn tego niezwyklego stanu rzeczy.

Zupełnie odrębnie przedstawiała się realizacja wysokich 8-10 kondygnacyjnych budynków mieszkalnych. Wprowadzenie w nich poprzecznych układów konstrukcyjnych z zastosowaniem ścian ceglanych nie miało sensu, gdyż ściany te dołem musiałyby mieć 38, a nawet 51 cm grubości, ze szkodą dla powierzchni użytkowej mieszkań. Na wniosek racjonalizatorski, zgłoszony przez konstruktora Miastoprojektu inż. A. Tarczewskiego, w tych wysokich budynkach zastosowano nowatorską technologię odpowietrzania konstrukcji betonowych. W celu wdrożenia systemu utworzona została czteroosobowa brygada racjonalizatorska. W jej skład weszli, obok inż. Tarczewskiego, również inż. Cz. Miętka z PBM NH, inż. K. Chodorowski - architekt z Miastoprojektu i ja, jako reprezentant inwestora.

Główną część prac wdrożeniowych realizował inż. Miętka, kierownik II Odcinka Robót PBM NH, świetny organizator. Dzięki jego inicjatywom i staraniom wprowadzono na budowach Nowej Huty wiele nowinek technicznych i uprzedmiotowane technologie budownictwa. Był on zresztą przez wiele lat przewodniczącym Międzyzakładowej Komisji Racjonalizatorskiej w Nowej Hucie. W późniejszym okresie szefował budowie polsko-amerykańskiego Instytutu Pediatrii AM w Prokocimiu, gdzie zmarł na zawał serca w czasie pracy.

Odpowietrzanie betonów polegało na stosowaniu oryginalnych, podwójnych szalunków słupów konstrukcyjnych, ścian i podciągów żelbetowych, z których przy pomocy specjalnych pomp odsysano nadmiar wody, bezpośrednio po procesie betonowania. Dzięki temu już po 24 godzinach konstrukcje betonowe uzyskiwały ok. 75 % swej ob-

czeniowej wytrzymałości. Można więc było w czasie kilku dni przeprowadzić montaż prefabrykowanych płyt stropowych i zdjąć szalunki. Przyspieszało to znakomicie cykl budowy, gdyż realizowanie kondygnacji dużego bloku trwało tylko jeden tydzień.

W technologii betonów odpowietrzanych wybudowano kilka dużych bloków na osiedlach D-3 i B-3. Nie miała ona jednakże długiego żywota, ponieważ wykonawstwo wysokich obiektów poszło w kierunku całkowitej prefabrykacji szkieletu budynków.



Bloki z bet. odpowietrzanych, os B-31

Na koniec 1956 r. miasto Nowa Huta liczyło już ok. 60 tysięcy mieszkańców. Kończono realizację ostatnich osiedli mieszkaniowych w zespołach A, B i C, przy czym główne efekty izbowe otrzymywano w latach 1956-57 na osiedlach B-1 i B32. Równolegle z budynkami mieszkalnymi oddawano do użytku szkoły podstawowe, przedszkola, żłobki i przychodnie lekarskie, zlokalizowane na kończących osiedlach.

Działy już: nowoczesny Teatr Ludowy, duże kino „Świt” (bliźniacze kino „Światowid” uruchomiono w roku następnym), ogólnomiejski Szpital im. S. Żeromskiego na os. A-0, dwa wielkie stadiony sportowe KS „Wanda” i KS „Hutnik”, oraz rekreacyjny zalew wodny przy ul. Bulwarowej. Przygotowywano dokumentację projektową na dalsze

obiekty użyteczności publicznej, wieńczące budowę 100-tysięcznej Nowej Huty. Należały do nich między innymi Technikum Hutnicze, Szkoła Muzyczna, duża przetwórnia mleka, piekarnia przemysłowa, wytwórnia wód gazowanych, ziemniaczarki, garaże zbiorowe, ujęcie wody pitnej na rzeczce Dłubni i cmentarz w Grębałowie.

Do zabudowy pozostały już tylko osiedla D-1, D-2 i część os. D-3, jakie w latach 1958-60 dawały główne efekty mieszkaniowe.

W ten sposób dobiegała końca realizacja wszystkich obiektów, przewidzianych w planie generalnym miasta Nowej Huty. Oczywiście prócz ratusza i zalewu centralnego, do czego w znacznym stopniu się przyczyniłem.

Naturalnie, w trakcie budowy miasta występowały różne odstępstwa od pierwotnego projektu. Na przykład: na potrzeby licznych hoteli robotniczych, urządzanych przejściowo w blokach mieszkalnych, musiano wybudować kilka dużych jadalni. Po likwidacji hoteli zaadaptowano je naturalnie na inne funkcje.

Do zagospodarowania pozostało też jeszcze kilka placów, jakie znajdowały się w planie NH, bez szczegółowego określenia ich przeznaczenia. Można domniamać, że inż. Ptaszycki liczył się z budową w tych miejscach dużych wielopiętrowych garaży, może też kościołów.

Wprawdzie w Nowej Hucie były trzy kościoły, dwa większe w Mogile i Czyżynach, oraz mały, drewniany w Krzesławicach, zaś w nieodległym Krakowie było ich kilkadziesiąt - lecz można było spodziewać się budowy nowych, również na nowych osiedlach.

Faktycznie na rezerwowym placu na os. Szklane Domy wybudowano w latach 80. duży kościół, zaś na placu obok Teatru Ludowego na os. Teatralnym dużą szkołę podstawową w latach 60. Ta szkoła nie była przewidywana przez plan generalny NH, gdyż nie sposób było też przewidzieć niezwyklego przyrostu naturalnego, jaki wystąpił na nowych osiedlach w okresie po ich zasiedlaniu. Przecież w czasie lat 50. coroczne przyrosty naturalne ludności w Polsce były wyższe niż np. później w całym 6-leciu 1990-96. Zaś w Nowej Hucie padały pod tym względem rekordy absolutne.

Prawa cyklu: „młodzi - praca - mieszkanie - dzieci” funkcjonowały tu niezawodnie. Tak więc przez szkoły podstawowe miasta w latach 1959-70 przechodziła „nawałnica” dzieci, urodzonych już w NH. Dla nich zamierzono wybudować pośpiesznie tę szkołę na os. Teatralnym. Lecz gdy 27 kwietnia 1960 r. brygada kopaczy rozpoczęła prace przy wykopach, doszło do ostrego protestu okolicznych mieszkańców.

Mianowicie w 1957 r. ustawiony został na środku placu duży drewniany krzyż, gdyż Kuria Krakowska upatrzyła ten teren na budowę nowego kościoła. Miałby tu on rzeczywiście fantastyczną lokalizację. Proboszcz parafii odmówił usunięcia krzyża przed budową szkoły, zaś gdy robotnicy próbowali go wykopać, żeby przesunąć na skraj placu, zostali obrzuceni gradami ziemi przez gromadzący się wokół coraz większy tłum okolicznych mieszkańców, głównie kobiety. Zamieszki na dużą skalę rozpoczęły się po południu, po powrocie robotników z ранней zmiany w kombinacie. Doszło do wybicia szyb w nieodległym budynku biurowym Rady Dzielnicowej i próby jego podpalenia. Nastąpiła wtedy zdecydowana, ostra interwencja oddziałów milicyjnych, ściągniętych z całego Krakowa. Doszło do bójek, spalenia kilku samochodów milicyjnych, aresztowano kilkaset osób, użyte zostały gazy łzawiące i ostra broń. W wyniku obrażenia odniosło około 180 milicjantów i nieokreślona, ale zapewne znacznie większa liczba protestujących i przypadkowych mieszkańców i przechodniów.



Żurawie dyktują tempo budowy

Ostatecznie krzyż stoi obecnie bliżej drogi i wisi na nim tabliczka, upamiętniająca tamte wydarzenia z kwietnia 1960 roku. Zaś szkoła wybudowana została w ciągu roku, jako jedna z pierwszych „tysiąclatek” i należy niewątpliwie do najbardziej funkcjonalnych szkół w Krakowie. Wyróżnia się między innymi nowatorskim powiązaniem szatni przyklasowych z izbami lekcyjnymi. Autor projektu inż. J. Gołąb specjalizował się zresztą w projektowaniu szkół podstawowych, liceów oraz wyższych uczelni, mając w tym zakresie bardzo wiele realizacji.

Również na budowie Huty im. W. Lenina finalizowano zakres prac planowanych pierwotnie i osiągnięto już zamierzoną początkowo produkcję 1,5 miliona ton stali rocznie. Budowano jednakże dalsze wielkie piece, w tym czwarty, wówczas największy w Europie. Wydajność tylko tego jednego pieca miała przewyższać całą roczną produkcję stali w Polsce przedwojennej. W ogóle głównie dzięki nowohuckiemu kombinatowi metalurgicznemu krajowa produkcja stali w 1960 r. wyniosła 6,7 mil. ton i była 4,6 razy większa niż w roku 1938 (w dawnych granicach).

Podobnie programowano też dalszą rozbudowę dzielnicy Nowa Huta. W pierwszej kolejności budowę nowych osiedli na Wzgórzach Krzesławickich, usytuowanych na północ od NH, zaś w latach 60. rozbudowa dzielnicy miała być kontynuowana w kierunku zachodnim i wchłonać znajdujące się tam cywilne lotnisko Krakowa w Balicach.



Widok os. Centrum D-31 w budowie

Warto wspomnieć, że w znanym mi okresie pierwszych dziesięciu lat realizacji miasta Nowej Huty, nie było na jej budowach ani jednego śmiertelnego wypadku.

Bodaj najpoważniejszy zdarzył się na budowie niewielkiej centrali telefonicznej na osiedlu C-2. Przy rozszalowywaniu żelbetowego stropu na pierwszym piętrze, robotnicy mieli trudności z wybięciem klinów pod stemplami szalunku. Nie zastanawiając się wiele zaczęli więc te stemple bezmyślnie piłować i to skośnie do poziomu. W pewnym momencie rusztowanie zaczęło trzeszczeć i po chwili całość wraz ze stropem zawałała się z hukiem. Lekkomysłni cieśle tym razem wykazali się przytłumionym refleksem i w porę wyskoczyli z budynku przez okna, tak że nikomu nic się nie stało.

Drugim z poważniejszych wypadków to było zawalenie się, na długości kilkunastu metrów, drewnianego oszalowania wykopu kanalizacyjnego, głębokiego na kilka metrów. W tym czasie na dole pracowali robotnicy przy montażu rur kanalizacyjnych. Nic się jednakże im nie stało, gdyż masywne, wykonane ze stalowej blachy fałdowej, szalunki bocznych ścian wykopu nie popękały i „złożyły się”, tworząc dołem trójkątny tunel, z którego sami po chwili wyszli na zewnątrz.

ROZBUDOWA KRAKOWA

Przejmujemy Kraków * Seria nowych osiedli * Spółdzielnie mieszkaniowe * Dzielnica Bieńczyce * Za dużo obowiązków

Przewidywana dalsza rozbudowa dzielnicy Nowej Huty rodziła nowe poważne problemy infrastruktury komunikacyjnej i uzbrojenia terenu, które możliwe były do rozwiązania jedynie w skali całego Krakowa.

Właśnie w tym czasie, konkretnie oficjalnie od stycznia 1957 r., miasto Kraków otrzymało status wydzielonego województwa miejskiego, podobnie jak Warszawa i Łódź. W tej sytuacji władze nowego Województwa Krakowskiego zaanektowały dla swych potrzeb niektóre dotychczasowe służby ogólnowojewódzkie, w tym Krakowski Zarząd Budowy Osiedli Robotniczych „ZOR”.

Zgłosiliśmy więc propozycję przejścia inwestycji w całym Krakowie, zwłaszcza, że rysował się w najbliższych latach jakby „dołek” inwestycyjny w Nowej Hucie, a w konsekwencji również mniejszy zakres robót dla naszej Dyrekcji. Także ze względu na wspomniane powiązania dzielnicy z resztą Krakowa w zakresie infrastruktury technicznej.

Prezydium Rady Narodowej miasta Krakowa oczywiście propozycję skwapliwie przyjęło. Było to na pewno wyrażeniem uznania dla naszej dotychczasowej działalności inwestorskiej w Nowej Hucie ze strony władz Krakowa. Ale przede wszystkim zobowiązaniem nas do podobnej skutecznej działalności w całym 450-tysięcznym Krakowie.

W dzielnicy Nowa Huta nasza Dyrekcja była jedynym państwowym inwestorem. Należały do nas przygotowanie terenu, dokumentacji projektowej i nadzorowanie wykonawstwa wszelkich obiektów kubaturowych, uzbrojenia i urządzenia terenu, włącznie z liniami tramwajowymi, zielenią i tzw. małą architekturą na osiedlach.

W Krakowie inwestycje prowadzone były przez wielu inwestorów państwowych i komunalnych. Należały do nich Zakład Budowy Osiedli Robotniczych „ZOR”, Zarządy Budowy Szkół, Wyższych Uczelni, Dróg i Mostów, Zieleni Miejskiej i inne. Mieliśmy od nich przejąć wszelką działalność inwestycyjną z wyjątkiem inwestycji wyższych uczelni. Zakład „ZOR” przejmował natomiast wszystkie inwestycje w województwie krakowskim, zaś w gestii poszczególnych zarządów pozostawały już tylko eksploatacja, konserwacja i remonty obiektów określonej branży.

Rozszerzenie naszego terenu działania na cały Kraków wiązało się oczywiście ze zmianą dotychczasowej nazwy Dyrekcji Budowy Miasta Nowa Huta na Dyrekcja Budowy Osiedli Robotniczych Kraków-Miasto. Struktura organizacyjna, skład osobowy i siedziba Dyrekcji pozostała tymczasem bez zmian. W najbliższych miesiącach został jedynie wzmocniony i rozbudowany Dział Prawno-Wyłączeniowy, gdyż problemy, związane z pozyskiwaniem terenów pod nowe osiedla mieszkaniowe w Krakowie, były znacznie bardziej skomplikowane aniżeli w Nowej Hucie.

Przed wszystkim zajęliśmy się ogólnomiejskimi problemami zaopatrzenia całego Krakowa w wodę pitną, budowy nowych kolektorów sanitarnych oraz powiązania komunikacyjnego Nowej Huty z Krakowem. Wszystkie te problemy zleciliśmy do branżowych biur projektowych, celem opracowania odpowiednich koncepcji projektowych. Ja się tymi sprawami bezpośrednio nie zajmowałem. Koncentrowałem się natomiast na sprawach budownictwa kubaturowego, w tym głównie mieszkaniowego.

W Krakowie były wtedy dwa duże rejony nowego budownictwa mieszkaniowego. Kończyła się realizacja osiedla Grzegórzecka, dla około 10 tysięcy mieszkańców, oraz trwały budowy osiedli Rydla i 18 Stycznia dla ok. 25 tys. mieszkańców w zachodniej części miasta, w rejonie ulic Smoluchowskiego, 18 Stycznia i Czarnowiejskiej. Dokumentacja projektowa dla tych trzech osiedli opracowywana była w Miastoprojekcie-Kraków, zaś generalne wykonawstwo sprawowało Krakowskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Miejskiego. Inne osiedla mieszkaniowe, realizowane po wojnie w Krakowie, jak Bielany, Borek Fałęcki, Bronowice oraz największe z nich osiedle Mogilska były już ukończone wcześniej.

Do mnie należały przede wszystkim sprawy związane z programowaniem, planowaniem i przygotowaniem dokumentacji dla bieżących inwestycji. W przypadku osiedla Grzegórzecka sprowadzało się to tylko do przejścia dokumentacji na realizowane już tam obiekty, oraz przejścia kilkunastu rozproszonych parcel w rejonie ulicy Kotlarskiej, jakie potencjalnie można by wykorzystać na plombową zabudowę mieszkaniową.

Podobnie nieskomplikowanie przedstawiało się przejście dokumentacji dla budynków realizowanych na osiedlu Rydla. Było ich tam 18, wszystkie podobne, czterokondygnacyjne i 3-4 klatkowe, w zwartej zabudowie, przy czym teren pod osiedle w znacznej części był już wykupiony. Również budowa osiedla była bardzo zaawansowana i pamiętam tylko jeden problem techniczny z jakim się na tym osiedlu zetknąłem.

Osiedle ograniczone było od strony południowej przez rzeczkę Młynówkę Królewską. Płynęła ona stosunkowo wysoko, jakby usypanym korytem. Przy wykonywaniu wykopów ziemnych pod najbliższe budynki, woda z rzeczki przeciekała do wykopów. Doradziłem wykonanie na zagrożonym odcinku ekranu ilowego, czyli wąskiego przekopu, który wypełniony został ilem. Zabezpieczenie to w pełni spełniło swą rolę.

W latach 60. Młynówka Królewska została na całej swej długości w Krakowie skanalizowana i biegnie dziś nad nią asfaltowy deptak. Spacerujący nim nawet nie domyślają się, że poniżej płynie strumień wodny.

Jedynie budowa osiedla 18 Stycznia była znacznie bardziej skomplikowana pod względem inwestycyjnym. W części wschodniej i południowej osiedla istniała zwarta 3-6 kondygnacyjna zabudowa z okresu przedwojennego i z lat wojny, gdyż wybudowano wtedy kilkanaście bloków dla rodzin niemieckich. W tym rejonie nowe budownictwo ograniczało się do nielicznych plomb mieszkalnych oraz budowy szkoły podstawowej, przedszkoli i żłobków.

Natomiast w swej części zachodniej osiedle wchodziło na tereny pól uprawnych i wsi Bronowice. Bowiem ówczesny Kraków praktycznie kończył się w tym miejscu. Na zachód, w rejonie ulicy Bronowickiej, było jeszcze jedynie niewielkie przedmieście, zabudowane niskimi domostwami, rozproszonymi przy kilku gruntowych drogach, oraz budujące się właśnie nowe osiedle Rydla. Dziś trudno w to uwierzyć, gdy zwarta, wielkomiejaska zabudowa sięga jeszcze 4 kilometry w kierunku zachodnim.

Zapoznanie się z przejmowanymi osiedlami rozpocząłem od przestudiowania planów urbanistycznych i od wizji lokalnych. Obszedłem wszystkie place realizowanych już budów i tereny przyszłej zabudowy.

Na osiedlu 18 Stycznia znów, jak przedtem we wsi Mogiła, zobaczyłem drewniane, wiejskie chaty, kryte słomianą strzechą i bielone wapnem z dodatkiem niebieskiego barwnika. Nawiasem mówiąc, jedna z takich chat przez kilka lat sterczała później na trasie nowej ulicy Dzierżyńskiego (obecnej J. Lea) i trzeba było zrobić wokół niej prowizoryczny objazd, funkcjonujący do czasu, aż udało się przeprowadzić skomplikowaną procedurę wywłaszczeniową i wyburzyć chatynę.

Dla lepszego zapoznania się z topografią rozległego osiedla 18 Stycznia, dyr. Korbombel zorganizował dla kierownictwa Dyrekcji przeloty nad miastem samolotem aero-

klubu krakowskiego. Ja leciałem 2-miejscowym, szkoleniowym górnopłatem, pilotowanym przez kpt. Augustynka, najlepszego pilota aeroklubu. Gdy samolot robił wiraże, pilot odwracał głowę, żeby zobaczyć jaka jest moja reakcja. Ale ja czułem się świetnie, nigdy nie odczuwałem lęku przestrzeni, zaś wszelkie zwroty i przeciążenia znosiłem bezproblemowo.

Natomiast gorzej było ze zorientowaniem się i porównaniem obserwowanego z góry terenu z rozłożonym na kolanach planem urbanistycznym. Za szybko bowiem zmieniał się, oglądany z nisko lecącego samolotu, krajobraz miasta. Mimo kilkakrotnych okrążeń, nie zdołałem zaobserwować dokładniej kilku interesujących mnie punktów i żałowałem, iż nie zabrałem ze sobą aparatu fotograficznego.

Począwszy od 1957 r. roczne plany inwestycyjne w zakresie budownictwa mieszkaniowego odnosiły się do całego Krakowa. Zlikwidowana została dotychczasowa odrębność nakładów finansowych i zadań rzeczowych dla Nowej Huty i Krakowa. Osobiście jednakże nadal przez kilka najbliższych lat prowadziłem wszystkie roczne zestawienia finansowe oraz harmonogramy rzeczowe w piętrowych podziałach wg Krakowa i Nowej Huty, wg izb oddawanych i w stanach surowych oraz w rozbiciu na generalnych wykonawców.

Na najbliższe lata 1957-60 rysowała się wyraźna tendencja zmniejszania się nakładów i efektów rzeczowych w dzielnicy nowohuckiej, przy równoczesnym wzroście tychże na osiedlach krakowskich. W tej sytuacji zaistniała pilna konieczność zaangażowania na terenie Krakowa części potencjału wykonawczego Przedsiębiorstwa Budownictwa Miejskiego „Zetbeem” w Nowej Hucie, i to jeszcze w 1957 roku.

Uzgodniliśmy więc wspólnie z Miastoprojektem i obu przedsiębiorstwami, że KPBM-Kraków będzie kontynuować w pełnym zakresie budowy osiedli Rydła, Grzegórzki oraz część wschodnią os. 18 Stycznia. Natomiast dla PBM-Nowa Huta przypadła zachodnia część tego osiedla. Podział podyktowany został głównie tym, iż w zachodniej części osiedla możliwe było zastosowanie uprzemysłowionych metod budownictwa i był jeszcze czas na adaptację, względnie opracowanie nowej stosownej dokumentacji projektowej. Faktycznie w krótkim terminie kilku miesięcy Miastoprojekt przygotował projekty techniczne na budowę pierwszych 5-kondygnacyjnych budynków z prefabrykowanymi płytami stropowymi i kłatkami schodowymi, czyli w I stopniu uprzemysłowienia.

Niebawem przedsiębiorstwo nowohuckie z rozmachem weszło na nowe place budów przy ulicy Smoluchowskiego, instalując tam kilka swych samojezdnych żurawi budowlanych. Odmieniły one już na stałe także krajobraz budowlany Krakowa. Przedsiębiorstwo krakowskie nie posiadało bowiem jeszcze wtedy torowych dźwigów montażowych i wszystkie swe budowy realizowało nadal metodami tradycyjnymi, stosując do transportu pionowego materiałów jedynie drewniane windy szybowe.

Zastosowanie nowej technologii budowy domów mieszkalnych na osiedlu 18 Stycznia pozwoliło też na pewne skrócenie cykli budowlanych. Czas realizacji kilku-kłatkowego 5-kondygnacyjnego budynku mieszkalnego skrócił się do 6-10 miesięcy. A więc wreszcie tempo i rozmach budowlany stały się udziałem także starego Krakowa.

Przed miastem zarysowała się bliska perspektywa znacznego ożywienia inwestycyjnego i szansa na szybką, poważną rozbudowę. Planowaliśmy całkowite ukończenie osiedli Grzegorzeczka i Rydła do 1958 r., zaś os. 18 Stycznia miało być głównym zagłębiem budowlanym do 1961 roku. Ale nie wystarczało ono na wypełnienie całych rocznych planów izbowych. Tak więc należało pilnie uruchomić budowy dalszych osiedli, na których, poczynając już od 1959 r., można by uzyskiwać po 2,5 - 3 tysięcy izb rocznie. Takimi osiedlami miały być, w pierwszym rzucie, nowe osiedla Nowa Grzegorzeczka,

Podgórze, Prądnicka, Wieczysta i Olsza II.

Zwykle nowe osiedla krakowskie nazywane były tak samo, jak dominująca w danym rejonie ulica. Tak było także w przypadku os. Nowa Grzegórzecka, przy czym istniała wówczas jedynie wytyczona trasa przyszłej ulicy, zwanej roboczo Nowa Grzegórzecka, a faktycznie po jej realizacji nazwanej Aleją Pokoju.

Natomiast osiedle Podgórze wzięło nietypowo swą nazwę od całej Dzielnicy Podgórze. Później nazywano je osiedlem Przy Rondzie Matecznym, tyle, że tego ronda, w czasie budowy osiedla, jeszcze nie było.

Podobnie os. Olsza II to fragment większego zespołu osiedli Olsza. Winno więc raczej nazywać się ono Młyńska lub Miechowity, bo przy tych ulicach jest właśnie położone. Ale nazwy ukształtowane historycznie powinno się przyjmować w ich pierwotnym brzmieniu, a nie zmieniać ex post, jak to zwykli czynić różnego rodzaju rewolucjoniści wszechczasów.

W pierwszej kolejności zajęliśmy się przygotowaniem terenu i dokumentacji projektowej dla osiedli Nowa Grzegórzecka i Podgórze, na których już w 1958 r. przewidywaliśmy uzyskanie pierwszych efektów izbowych. Całość tych prac przygotowawczych obejmowała opracowanie założeń programowo-inwestycyjnych, projektów urbanistycznych, technicznych projektów realizacyjnych na poszczególne obiekty oraz wywłaszczenie i wykup terenu, a także przeprowadzenie rozbiórki istniejących szop, ogrodní, sieci, wycięcie drzew itp., przewidzianych planem urbanistycznym do likwidacji.

Bardzo szybko opracowane zostały przez Dyрекcję założenia programowe, natomiast przez Miastoprojekt wstępne plany urbanistyczne dla obu osiedli. Najwięcej problemów nastręczyło uzgodnienie i rozwiązanie zasilania osiedli w energię elektryczną, wodę, gaz i podłączenie do miejskiej sieci kanalizacyjnej.

Przeprowadzono też w przyspieszonym tempie odpowiednie badania geologiczno-inżynierskie terenów zainwestowania. Wykazały one, że w obu przypadkach mieliśmy do czynienia ze stosunkowo niekorzystnymi warunkami geologicznymi. To zresztą tłumaczyło fakt nie zabudowania wcześniej tych terenów, mimo ich centralnego położenia w mieście. Tym problemem zająłem się osobiście, tworząc w Dyrekcji zespół kosztorysowy do przeanalizowania wszelkich możliwych alternatyw posadowienia budynków w określonych warunkach geologicznych.

Przeprowadzone zostały obliczenia zastosowania optymalnej wysokości budynków i ich posadowienia przez wymianę nienośnego gruntu, lub na palach wierconych, względnie wbijanych. Dla osiedla Podgórze najkorzystniejszym okazało się zastosowanie wierconych pali typu Wolfsholza, zaś dla części północnej osiedla Nowa Grzegórzecka wymiana gruntu na głębokości do 3 metrów i wykonania poduszki żwirowopiaskowej pod fundamenty. Ostatecznie jednak na tym osiedlu posadowiono budynki na studniach betonowych według oryginalnego projektu racjonalizatorskiego inż. Szokałskiego, pracownika PBM-NH.

Nie mieliśmy wtedy technicznych, jak również finansowych możliwości dowolnego stosowania różnych typów pali, gdyż nie było w Krakowie żadnych wyspecjalizowanych przedsiębiorstw wykonawczych. Podjąłem więc decyzję, że na okres kilku lat wszędzie na nowych osiedlach, gdzie będzie konieczne specjalne posadowienie budynków, stosowane będą jedynie pale Wolfsholza o średnicy 40 cm, studnie Szokałskiego, lub wymiana gruntu, w zależności od głębokości zalegania warstw nośnych na danym terenie.

Po tym ustaleniu PBM-NH zorganizowało własną brygadę do robót palowych, zakupując odpowiednie rury, sprzęt wiertniczy i wysyłając ludzi na Śląsk, celem ich przeszkolenia w wykonywaniu pali wierconych. Od tego czasu nie było już żadnych kłopotów i problemów ze specjalnym posadowieniem nowych budynków, przy czym złe warunki

gruntowo-wodne wystąpiły jeszcze np. na osiedlach Wieczysta, Dąbie i Kotlarska.

Na osiedlu Podgórze wszystkie wolnostojące bloki mieszkalne zaprojektowane zostały jako 5-kondygnacyjne w technologii uprzemysłowionej I stopnia. Przyjęto w tych budynkach poprzeczny układ konstrukcyjny wg powtarzalnych segmentów, realizowanych na osiedlach „D” w Nowej Hucie.

Jedynie kilka budynków plombowych zaprojektowanych zostało w technologii tradycyjnej i wysokości 4-kondygnacji, jak istniejąca zabudowa. Łącznie osiedle liczyło ponad 2100 nowych izb mieszkalnych.

Również na osiedlu Nowa Grzegórzecka większość wolnostojących budynków zaprojektowanych zostało według segmentów nowohuckich w I stopniu uprzemysłowienia i wysokości czterech kondygnacji. Tylko 8 plombowych budynków, projektowanych w istniejącej zabudowie, przewidywano do realizacji tradycyjnymi metodami. W części północnej osiedla urbanista zaprojektował jeszcze po trzy duże budynki 7 i 12-kondygnacyjne. Łącznie osiedle liczyło około 4000 nowych izb mieszkalnych.

Do końca 1957 r. mieliśmy na obu osiedlach przygotowany teren i kompleksową dokumentację projektową na pierwsze obiekty planowane do realizacji. Wykonawcy mogli więc z początkiem 1958 r. przystąpić do budowy tych osiedli, przy czym os. Podgórze przypadło przedsiębiorstwu KPBM-Kraków, zaś Nowa Grzegórzecka PBM-Nowa Huta. Rzecz jasna przedsiębiorstwo krakowskie od tego czasu również wyposażone zostało w torowe żurawie budowlane.

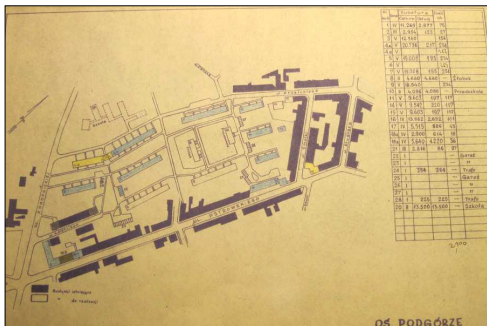
Realizacja obu osiedli rozpoczęła się od budynków plombowych, z których część została ukończona i oddana do użytku już w 1958 roku. Zaś w następnym roku na os. Podgórze przekazanych zostało do zamieszkania ponad 1400 izb, a na os. Nowa Grzegórzecka 700 izb mieszkalnych.

Od początku swej działalności na terenie Krakowa postawiłem sobie ambitne zadanie wyeliminowania sukcesywnej dostawy dokumentacji projektowej dla wykonawców, przekazywanej w czasie trwania budowy. Taka ratalna dostawa dokumentacji była zawsze poważnym utrudnieniem dla przedsiębiorstw wykonawczych i wymagała uciążliwej koordynacji terminów opracowania poszczególnych fragmentów projektów z terminami zamówień i dostaw materiałowych oraz z harmonogramem realizacji obiektu.

Prowadziłem osobiście taką koordynację na budowach Placu Centralnego NH, gdzie było to zresztą łatwiejsze z uwagi na scentralizowany front robót na jednym dużym placu budowy. Mimo to pojawiały się wówczas wielokrotnie różne problemy i nieporozumienia w świętym trójkącie: inwestor, projektant, wykonawca robót.

Chciałem tego uniknąć i udało mi się to wkrótce w pełni i na okres kilku lat mej inwestorskiej działalności w Krakowie. Tajemnica powodzenia w tej mierze zasadzała się na takim konstruowaniu terminarza uzyskiwania dokumentacji projektowej oraz harmonogramów realizacyjnych, aby w obu przypadkach istniały pewne rezerwy i alternatywne możliwości.

Te rezerwy wyrażały się przygotowanymi już terenami i gotową, kompleksową dokumentacją techniczną dla szeregu budynków mieszkalnych, które wprowadzałem do rocznych planów inwestycyjnych zamiennie za obiekty, jakie z różnych względów okazały się nie „do ugryzienia”. Tymi względami najczęściej były przewlekłe, skomplikowa-



Osiedla Podgórze (Mateczny)

ne procedury prawno-wyłączeniowe i trudności ze znalezieniem zamiennych gospodarstw rolniczych i mieszkań dla rodzin przesiedlanych z domostw, przeznaczonych do rozbiórki.

Tak naprawdę, to prawie na wszystkich nowych osiedlach zostawały ostatecznie pojedyncze stare domki jedno, lub kilkurodzinne, samotnie i jakby przypadkowo, sterujące potem wśród nowej zabudowy wieloblokowej. Plany urbanistyczne z reguły przewidywały ich wyburzenie, gdyż kolidowały, jeśli nawet nie z nowoprojektowanymi budynkami, to z projektowanym zagospodarowaniem i urządzeniem terenów osiedli w chodniki, zieleń, piaskownice itp. Bywało, że te „Mohikanki” starej zabudowy likwidowane były dopiero po dziesiątkach lat, po popadnięciu w całkowitą ruinę (bo nie wolno ich było remontować), lub po wymarcu, względnie opróżnieniu przez dotychczasowych mieszkańców.

Jako rezerwowe place budów potraktowałem między innymi rozproszone budynki w rejonie ul. Kotlarskiej. Większość z nich stanowiła zabudowę plombową, zaś przygotowanie terenu poszczególnych działek wiązało się z rozbiórkami różnych ruder, szop, zadaszeń, ogrodzeń itp. Nie można było ryzykować i wstawiać tych obiektów do rocznych planów inwestycyjnych przed uporządkowaniem terenu przyszłej budowy i opracowaniem dokumentacji projektowej. Czynności te forsownie prowadziliśmy i gdy już mieliśmy uporządkowaną działkę i kompleksową dokumentację, to traktowaliśmy obiekt jako rezerwę do planu.

Łącznie na tzw. osiedlu Kotlarska można było liczyć na około 900 nowych izb mieszkalnych, które zrealizowane zostały ostatecznie do 1963 r.

W lipcu 1957 r. zawezwany zostałem do stawienia się przed komisją lekarską Wojskowej Komendy Rejonowej w Nowej Hucie. Po rutynowych badaniach lekarskich komisja wydała orzeczenie o mej zdolności do służby liniowej. Od 1951 r. byłem przeniesiony do rezerwy bez odbycia zasadniczej służby wojskowej, nie groził mi więc normalny pobór do wojska, na co byłem zresztą już za stary. Ale wojsko porządkowało akurat swe kadry, takich jak ja rezerwistów, i nie wykluczone było powołanie mnie na jakieś kilkumiesięczne przeszkolenie.

Faktycznie, pod koniec września otrzymałem kartę powołania, a następnie konkretne skierowanie od 2 października na ćwiczenia do jednostki wojskowej w Dębicy. Pośpiesznie więc wykańczałem swe różne bieżące sprawy biurowe, niektóre spisywałem celem załatwienia przez wyznaczonego zastępcę. Kwiaty dałem na przechowanie do sąsiadów, spakowałem się i w przeddzień wyjazdu, idąc do pracy, byłem w pełni przygotowany na wyjazd w nocy do Dębicy.

Ale dyr. Korombel po południu poinformował mnie, iż mój wyjazd na ćwiczenia wojskowe jest już nieaktualny i że mam niezwłocznie zgłosić się do komendanta WKR-NH. Poszedłem więc, tam starannie na czerwono przekreślono skierowanie i kilka innych rubryk w mej książeczce wojskowej, pokwitowano na karcie powołania stawienie się i po kilku minutach grzecznie mnie pożegnano.

Otóż kilka dni wcześniej dyrektor zwrócił się formalnie o anulowanie mego powołania ze względu na mą „niezbędność na zajmowanym stanowisku pracy”. Natomiast nieformalnie zapytał, czy WKR nie ma jakichś konkretnych potrzeb. Oczywiście, potrzebny był montaż instalacji gazowej, kuchenki gazowej cztero-palnikowej i czegoś tam jeszcze w pomieszczeniach WKR. Wszystko to w mig zostało wykonane, zaś ja od tego czasu już nigdy nie byłem niepokojony w jakiegokolwiek formie przez organa WP.

W III. kwartale 1957 r. w Miastoprojekcie-Kraków wystąpiło jakby „zakorkowanie” możliwości podejmowania nowych zleceń na dalsze prace projektowe. Biuro opracowy-

wało bardzo wiele dokumentacji technicznych dla Krakowa, także dla województwa krakowskiego, w tym coraz więcej bardzo pracochłonnych projektów na obiekty budownictwa ogólnego.

W tej sytuacji zleciłem kilka pomniejszych tematów projektowych do Wojewódzkiego Biura Projektów. Było to biuro znacznie mniejsze od Miastoprojektu, wykonywało głównie projekty budynków szkolnych i usługowych w województwie, a także remonty zabytkowych obiektów dzielnic Stare Miasto i Podgórze w Krakowie. Mieściło się w drewnianym baraku na końcu ulicy Krupniczej, przy Parku Jordana.

Pewnego dnia, gdy omawiałem z projektantem założenia techniczne dla zleconych budynków - nagle na korytarzu usłyszeliśmy jakiś hałas, tumult i nawoływania. Wyszliśmy na korytarz, zaś zaraz potem do świetlicy, gdzie wszyscy biegli. Tam było radio nastawione na maksimum głośności i usłyszałem, jeszcze w korytarzu, tubalny głos: „Gawarit Maskwa”. W pierwszej chwili wystraszyłem się i pomyślałem, że wojna lub jakieś inne nieszczęście. Za chwilę dały się słyszeć krótkie, regularne sygnały „pi-pi-pi” i spiker wyjaśnił, że oto w Kosmosie nad Ziemią przelatuje Sputnik, pierwszy sztuczny satelita Ziemi.

Pierwszy krok w podboju przestrzeni pozaziemskiej. Potem te dziwa w Kosmosie: Łajka, Łunniki, Gagarin, sondy marsjańskie nam spowszedniały. Ale wówczas, ten pierwszy sputnik w 1957 roku, to było mocne i niespodziewane wydarzenie. Porównywalne dopiero z lądowaniem człowieka na Księżycu w 1969 roku.

W kwietniu 1958 r. Dyrekcja przeniosła się z Nowej Huty do swej nowej siedziby przy ul. Mogiłskiej w Krakowie. Zakres naszych spraw inwestorskich na terenie Krakowa rozszerzał się coraz bardziej i znacznie przewyższał w tym czasie problemy inwestorskie osiedli nowohuckich. Zmiana lokalizacji siedziby DBOR Kraków-Miasto była więc w pełni uzasadniona i domagało się tego od dłuższego już czasu Prezydium RN miasta Krakowa. Uzyskanie zaś nowego biurowca dokonało się jakby przy okazji.

Mianowicie, w ramach porządkowania istniejącej zabudowy, prowadziliśmy w 1957 r. realizację trzech budynków plombowych przy ul. Mogiłskiej nr 2, 4 i 17. Pierwsze dwa to były niewielkie obiekty mieszkalne po 35 izb. Trzeci, większy budynek, zamykający pierzeję ulicy, miał być przeznaczony dla samotnych starych ludzi.

Ale, już zlecając opracowanie dokumentacji tego trzeciego budynku, dyr. Korombel przewidywał, że przeznaczony będzie na biurowiec dla naszej firmy. Po prostu o pieniądze na budowę biurowca dla potrzeb Dyrekcji musieliśmy starać się i zabiegać w ministerstwie. Natomiast wprowadzenie domu „spokojnej starości” do planu inwestycyjnego podlegało tylko naszej kompetencji. O wiele prostszą oraz pewniejszą sprawą było postawienie we właściwym momencie wniosku o zaadaptowanie go na biurowiec, z obietnicą, że odpowiedni ośrodek wybudujemy później, gdzieś na peryferiach miasta, w ciszy i zieleni, zamiast tej lokalizacji przy ruchliwej ulicy Mogiłskiej.

Odpowiednią zgodę otrzymaliśmy, gdy budowa była już poważnie zaawansowana. Adaptacje projektowe należało więc opracować w jak najkrótszym czasie. Podjąłem się tego zadania we własnym zakresie. W ciągu niewielu dni, kosztem wolnych wieczorów, wykonałem stosowne rysunki adaptacyjne w zakresie architektury i szkice zmian instalacji sanitarnych i elektrycznych.

Było to proste, gdyż budynek zaprojektowany został jako półotrakt z korytarzem i nanizanymi na nim pokojami mieszkalnymi. Miał przy tym szeroką klatkę schodową, windy oraz świetlicę w suterenie, które w ogóle nie wymagały żadnych zmian. Pokoje mieszkalne zamieniłem na biurowe, zaś część węzłów sanitarnych przy tych pokojach na archiwizację akt i dokumentacji projektowej.

Gdy obiekt był już prawie gotowy, ujawnił się niespodziewanie drugi amator do jego

przejęcia. Konkurentem naszym okazał się Dzielnicowy Komitet PZPR. Lecz budynek był za skromny i za mało reprezentacyjny dla potrzeb partii, więc rychło przeprowadziliśmy się do niego, zgodnie z pierwotnymi zamierzeniami.

Koszty adaptacyjne były niewielkie, zaś biurowiec służył potem Dyrekcji z powodzeniem przez ponad 20 lat. Gdy po latach zrobiło się ciasno, to dobudowano dodatkowy trakt z pokojami biurowymi z drugiej strony korytarza.

Jesienią 1958 r. miasto otrzymało w prezencie od jakiegoś zakładu przemysłowego duży, prefabrykowany barak drewniany. Stał na terenie tegoż zakładu i musiał być w najbliższym czasie rozebrany, bo nie był już przedsiębiorstwu potrzebny. Natomiast istniało w mieście wielkie zapotrzebowanie na izbę wytrzeźwień. Ktoś w magistracie skojarzył te dwa fakty i zwrócono się do nas, jako miejskiej instytucji inwestycyjnej, z pytaniem, czy byłoby możliwe przystosowanie tego baraku na tymczasową izbę wytrzeźwień w konkretnej lokalizacji przy ulicy Łobzowskiej w centrum Krakowa.

Odpowiedź na to przewrotne pytanie należała do mnie. Barak już demontowano, czekano na decyzję, gdzie przewozić elementy z rozbiórki, więc czas na odpowiedź liczył się w godzinach. Oglądałem teren wskazanej lokalizacji ewentualnej izby wytrzeźwień, barak i jego elementy, a także przeprowadziłem dłuższą rozmowę z lekarzem, przyszłym dyrektorem tejże izby wytrzeźwień. On przedstawił mi program użytkowy i zasady funkcjonowania izby, natomiast ja równocześnie szkicowałem rzuty budynku z rozplanowaniem pomieszczeń i ich wyposażeniem.

Barak był w dobrym stanie technicznym, elementy ścienne dobrze ocieplone, z dużymi i mniejszymi oknami, zaś więzary dachowe na całą szerokość obiektu umożliwiały dowolne ustawienie ścianek działowych. Wielkość baraku była w sam raz na potrzeby kubaturowe izby wytrzeźwień, zaś działka wystarczająco duża, dyskretna, ogrodzona murami i z możliwością podłączenia do wszystkich instalacji komunalnych. Zaopiniowałem więc pozytywnie możliwość adaptacji elementów baraku na potrzebną izbę wytrzeźwień i sam zabrałem się do opracowania tejże adaptacji.

Zaprojektowałem obiekt w formie litery „L”. W centralnej części była salka przyjęć z gabinetem i dyżurką lekarską, depozytem itp. Większe skrzydło mieściło dwuosobowe cele noclegowe dla mężczyzn, po obu stronach wewnętrznego korytarza. W drugim skrzydle zmieściły się pomieszczenia sanitarne, gospodarcze, administracyjne i jedna cela zatrzymań dla pacjentek.

W ciągu kilku miesięcy prowizoryczna Izba Wytrzeźwień w Krakowie została wybudowana i uroczystie oddana do użytku. Jak na dobrą prowizorkę przystało, funkcjonowała, ku chwale ładu i porządku publicznego, przez około 30 lat, serwując niezmordowanie swe usługi nietrzeźwym mieszkańcom podwawelskiego grodu.

Cały czas angażowałem się w problemy uprzemysłowionych metod budownictwa. Przede wszystkim działałem w tym zakresie z pozycji swej pracy i funkcji zawodowej, przez udział w radach technicznych Miastoprojektu, opracowywanie koreferatów do poważniejszych tematów projektowych itp. Ale również angażowałem się w tych sprawach prywatnie poza pracą zawodową. Na przykład przez udział w projektach racjonalizatorskich i różnych konkursach.

Między innymi byłem współautorem prefabrykowanej grzewczej płyty ściennej. Głównym pomysłodawcą i autorem opracowania części instalacyjnej był prof. Chłipalski z AGH. Wzajemne uzgodnienia i konsultacje prowadziliśmy w jego mieszkaniu na Wawelu. Przedmiotem pomysłu było ogrzewanie pomieszczeń przez obieg gorącej wody w rurach zatopionych w betonowych płytach, stanowiących elementy ścianek działowych. Były to więc takie grzejące ścianki, mające zastąpić tradycyjne grzejniki żeliwne, przy-

najmniej w części pomieszczeń.

Doświadczalnie zastosowano te płyty w nowym, dużym bloku mieszkalnym przy ul. Centralnej w Czyżynach. Ostatecznie skończyło się na tym eksperymencie, gdyż pomysł nie sprawdził się pod względem ekonomicznym.

Wziąłem też udział w ogólnopolskim, otwartym konkursie na nowe pomysły z zakresu budownictwa wielkopłytowego. Do realnego wdrożenia tego budownictwa było jeszcze daleko, ale w sensie projektowym temat nurtował środowiska projektanckie. Konkurs miał być przyczynkiem na drodze maksymalnego uprzemysłowienia technologii budownictwa mieszkaniowego. Opracowałem zestaw mieszkań składanych w sekcje i segmenty budynków oraz ideowy katalog płyt ściennych oraz stropowych do montażu tych budynków.

Założeniem wyjściowym mego opracowania było uzyskanie jak największej różnorodności zestawianych sekcji i segmentów powtarzalnych, przy możliwie ograniczonej do minimum ilości typorozmiarów elementów wielkopłytowych. Wydawało mi się, że z zadania tego się wywiązałem, ale mój duży wysiłek projektowy nie został w żaden sposób wyróżniony przez jury konkursowe.

Oglądałem później prace konkursowe, prezentowane przez SARP w Warszawie i stwierdziłem, że zamachnąłem się motyką na słońce. Konkurs był bardzo mocno obsadzony, udział brały w nim całe zespoły i biura projektowe. Zaś ja pracowałem solo, poza normalną pracą zawodową, wieczorami i w niedziele. Trzeba być młodym i fantastą, żeby tak nieracjonalnie szafować swoim czasem i energią.

Za to wszelkie urlopy wykorzystywałem w pełni na wypoczynek. Nadal brałem po dwa dwutygodniowe urlopy w ciągu roku i wyjeżdżałem wtedy z reguły na wczasy. Często nie planowałem sztywno urlopów na określony termin, lecz brałem je w ostatniej chwili, gdy nie było ważniejszych spraw zawodowych i gdy była szansa na słoneczną pogodę.



Na wczasach w Krynicy

Jeździłem w tych ostatnich latach pięćdziesiątych do Zakopanego, Krynicy, Szczawnicy lub Szczyrku. Zwykle na wczasy orbisowskie, a nie FWP. Były znacznie droższe, lecz można je było otrzymać w ostatniej chwili i na różne okresy czasowe. Zwłaszcza, że jako stały klient, miałem pewne względy i odpowiednią informację.

Szczawnica i Szczyrk podówczas były jeszcze siermiężne, jako miejscowości wczasowo-uzdrowiskowe rozrosły się nad podziw dopiero w następnych dwóch dziesięcioleciach. Obie miejscowości miały wszakże wspaniałe zaplecze turystyczno-krajobrazowe. Dla Szczawnicy są to Pieniny z Trzema Koronami i przełom Dunajca, zaś dla Szczyrku to sąsiednie trzy duże szczyty Beskidu Śląskiego oraz bliskość Bielska-Białej i uzdrowiska Wisła. Natomiast Zakopane i Krynica miały już wtedy standard kurortów europejskich, co w niczym nie przeszkadzało ich intensywnej rozbudowie.

W 1958 r., w czasie urlopowego pobytu w Zakopanem, przydarzyła mi się niecodzienna przygoda karciana. Otóż, podczas gry w brydża w gronie wczasowiczów, dostałem w normalnym rozdaniu 13 pików. Żałowałem później, że nie podrażniłem partnerów stopniowaną licytacją, lecz od razu zgłosiłem wielkiego szlema w pikach. Zatelefonowałem wieczorem o tym wyjątkowym zdarzeniu do „Gazety Krakowskiej”, która na drugi dzień zamieściła odpowiednią notkę na pierwszej stronie dziennika.

Nigdy w czasach kawalerskich nie jeździłem na urlop nad morze. Bałtyk pierwszy raz zobaczyłem, jakby ukradkiem, wieczorną porą, gdy byłem w 1958 r. w Gdańsku na jakiejś kilkudniowej kursokonferencji. Rozczarowałem się przede wszystkim tym, że ze Śródmieścia gdańskiego jest tak daleko do otwartego morza.

Mimo nagminnego braku czasu dla spraw osobistych - chodziłem jednakże dość często do kina, również do teatrów, zwłaszcza na ulubione przedstawienia operetkowe i operowe. M. In. w 1958 r. byłem na dwóch spektaklach moskiewskiego teatru „Bolszoj”, który wystąpił wtedy gościnnie trzykrotnie na scenie Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie. Oczywiście bilety uzyskałem okazjnie od zaprzyjaźnionej pracowniczki teatru.

Przedstawienia te to była prawdziwa uczta duchowa. Ja zapamiętałem obraz sceny z saniami, ciągniętymi przez dwa żywe konie, przy padającym śniegu. Ten śnieg to był trik z niewidoczną kurtyną z gazy, na którą padały punkty świetlne z obracających się walców z otworkami, zawieszonych też niewidocznie od strony widowni. Podobne triki, doprowadzone do absolutnej perfekcji, widziałem kilka lat później tylko w teatrze „Later-na Magica” na Vaclavske Namesti w Pradze Czeskiej.

Nie stroniłem też od różnych imprez typu zabawowego. Jeden z bogatszych bali sylwestrowych spędziłem w Klubie Dziennikarzy przy ul. Szczepańskiej. Nie miałem z tą profesją właściwie nic wspólnego, ale zajmowane przeze mnie stanowisko profitowało różnymi takimi okazjonalnymi zaproszeniami.

Pamiętam także duży karnawałowy bal w salach Domu Kultury w „Pałacu pod Baranami” w Rynku Głównym. Występował na nim Ludwik Sempoliński ze swym, aktualnym wówczas, przebojem „Tomasz, ach Tomasz!”. Do tegoż Domu Kultury zachodziłem też nie raz, aby pograć w swe ulubione szachy. Wiele razy bawiłem się w studenckiej „Rotundzie”, gdzie zwykle było tłoczno, ale panowała sympatyczna, swobodna atmosfera i grała dobra orkiestra.

Zawsze również trochę czasu poświęcałem na czytanie książek, a zwłaszcza prasy codziennej i tygodników. Możliwe to było, gdyż niewiele czasu przeznaczałem na słuchanie radia. No i nie było jeszcze wówczas telewizji, tego największego „złodzieja” czasu w końcówce XX wieku.

Książki, które chciałem przeczytać, po prostu kupowałem, tworząc z biegiem czasu własną, pokaźną bibliotekę. Nabywałem przede wszystkim książki związane z moim zawodem i pracą, a więc dotyczące wdrażania nowych technologii, konstrukcji i materiałów budowlanych.

W tamtej dobie „zimnej wojny” oraz zagrożenia nuklearnego poszukiwałem, wydawane przez MON, książki z zakresu strategii i doktryn wojennych, autorstwa głównie amerykańskich wojskowych. Była to całkiem obszerna dziedzina militarno-politycznych rozważań o strategiach odstraszenia, powstrzymywania, odpychania; peryferyjnych, ograniczonych działań; zmasowanego odwetu atomowego, uderzenia uprzedzającego, wojny ograniczonej itd.

Interesowała mnie też historia narodów oraz ekonomika krajów i państw, w których aktualnie trwały wojny, rewolucje i dokonywały się zmiany ustrojowe i geopolityczne. Korzystałem w takich przypadkach z wszelkich dostępnych mi materiałów źródłowych jak atlasy, encyklopedie, roczniki statystyczne, podręczniki historyczne, reportaże. Takie wszechstronne spojrzenie na określone fakty i wydarzenia, dziejące się na świecie, pozwalało na ich, w miarę obiektywną, ocenę oraz zrozumienie, a nawet przewidywanie przebiegu i reperkusji wydarzeń. Często odmiennych od potocznych komentarzy i obiegowych opinii, głoszonych przez moich kolegów i znajomych lub prasę i radio.

Oczywiście przeczytałem też ówczesną sztandarową książkę „Kolumbowie - Rocznik 20” Romana Bratnego, „Powstanie Warszawskie” Jerzego Kirchmajera, także „Nędzników” Wiktora Hugo i chyba jeszcze tylko kilka książek z zakresu beletrystyki i

literatury pięknej.

Więcej czasu zajmowała mi prasa codzienna i czasopisma. Pod koniec lat pięćdziesiątych kupowałem tygodniki „Dookoła Świata”, „Żołnierz Polski”, „Morze” oraz miesięcznik „Problemy”. W „Dookoła Świata” było zawsze wiele reportaży z całego globu, między innymi Olgierda Budrewicza, jakie bardzo chętnie czytywałem. W „Żołnierzu” były całe serie opisów bitew i kampanii, zwłaszcza z okresu II wojny światowej. Zaś w „Morzu” - przegląd burzliwie rozwijającej się floty i całej polskiej gospodarki morskiej, opisy egzotycznych podróży, bitew morskich itp. W „Problemach” znajdowałem natomiast interesujące artykuły z dziedziny astronomii, matematyki, biologii i techniki.

Fascynujący był zwłaszcza rozwój techniki i technologii, który stwarzał złudną nadzieję na szybką przebudowę i udoskonalenie świata. Lata pięćdziesiąte były bowiem nadzwyczaj płodne w wielkie, epokowe wynalazki i ich szybkie praktyczne zastosowanie w masowej skali. W wielkim skrócie należały do nich:

- W elektronice: półprzewodniki z kryształów krzemu, zastąpienie lamp elektronowych tranzystorami, obwody drukowane, układy scalone, mikroskopy elektronowe, gigantyczne radioteleskopy. Rozpoczęła się era tyrystorowych i stereofonicznych aparatów radiowych, magnetofonów, dużych elektronicznych maszyn cyfrowych (jeszcze nie nazywanych komputerami), pierwszych telewizorów.

- W chemii: różnorodne tworzywa i włókna sztuczne jak nylon, stylon, orlon, polistyren; cała rodzina antybiotyków, poczynając od penicyliny z lat wojny czy streptomycyny, które wydawało się, że wyeliminują wszelkie choroby trapiące ludzkość.

- W komunikacji: gwałtowny rozwój przemysłu samochodowego oraz lotnictwa pasażerskiego i transportowego, wielkie frachtowce i zbiornikowce o pojemności do 60 tys. ton, wodoloty, poduszkowce, elektryfikacja kolejnictwa.

- W atomistyce: pierwsze elektrownie atomowe od 1954 r., broń wodorowa, lodolamace, kontenerowce i łodzie podwodne o napędzie atomowym.

- W kosmonautyce: od 1957 r. coraz większe sztuczne satelity Ziemi, wynoszone przez gigantyczne, wielostopniowe rakiety międzykontynentalne.

W tym wyścigu techniki przodowały oczywiście oba supermocarstwa i rozwinięte państwa Europy zachodniej. Polska dopiero odrabiała mozolnie, acz bardzo szybko, swe wiekowe zapóźnienie techniczno-cywilizacyjne i niektóre z tych „nowinek” przyswajała z kilkuletnim opóźnieniem.

Do Warszawy jeździłem w sprawach służbowych kilka razy do roku. Zwykle chodziło o uzgodnienie, lub zatwierdzenie rocznych planów inwestycyjnych dla Krakowa, narad w sprawach polityki inwestycyjnej, zapoznanie się z nowymi przepisami itp. Te pobyty w stolicy prawie zawsze wykorzystywałem na zwiedzanie nowowypbudowanych obiektów i osiedli.

Niekiedy leciałem do Warszawy samolotem. Wówczas podróżowało się dwusilnikowymi Douglasami z amerykańskiego demobilu, które z bombowców przerobione były na samoloty pasażerskie. Nie leciały one zbyt wysoko, często pod chmurami. Wtedy, bywało, mocno trzęsło i podrzucało samolotem, co było spowodowane pionowymi prądami powietrznymi. Lubiłem patrzeć przez iluminator na wolno przesuwający się na dole krajobraz.

Mniej atrakcyjne były przejazdy samochodem. Raz w okolicy Kielc, kierowca na oblodzonej jezdni nie zapanował nad kierownicą, samochód wykonał pełny obrót i znalazł się na lewym pasie ruchu. Nic się nam nie stało, bo ruch samochodowy na drogach był w tamtych latach niewielki i prawdopodobieństwo zderzenia się dwóch pojazdów było, bez mała takie, jak zderzenie się dwóch ciał kosmicznych na swych orbitach. Gdyż ilość samochodów osobowych w Polsce nie przekraczała wówczas 60 tysięcy sztuk.

Sprawowanie funkcji kierowniczych owocowało niekiedy pewnymi zaszczytami. Więc na przykład zostałem zaproszony na uroczystość wręczenia sztandaru Hufcowi Harcerskiemu w Nowej Hucie, ufundowanego przez nowohuckie zakłady pracy. Wiązało się to z wbiciem honorowego gwoźdźcia w drzewce sztandaru.

Przy innej okazji otrzymałem Złotą Odznakę Klubu Sportowego „Wanda”. Prawdę powiedziawszy, to nie uprawiałem żadnej dyscypliny sportowej, zaś K.S. „Wanda” w Nowej Hucie znany mi był jedynie z motocyklowych zawodów żużlowych na ich klubowym stadionie, na jakich byłem kilka razy.

Inny wymiar i rangę miał natomiast przyznany mi 22 lipca 1958 r. przez Radę Państwa Srebrny Krzyż Zasługi. Udzielony został za cały dotychczasowy okres mej działalności zawodowej. Sądzę, że rzetelnie nań zapracowałem. Podobnie, jak na Odznakę Budowniczego Nowej Huty, przyznanej mi w czerwcu 1959 r. przez Prezydium Rady Narodowej Miasta Krakowa. To wyróżnienie, po Odznace Racjonalizatora Produkcji z 1954 r., do dziś cenię sobie najbardziej.



Odnaka

Swą pracę zawodową i stosunki międzyludzkie w Dyrekcji wspominam jako bardzo dobre. Najwięcej styczności w pracy miałem oczywiście z kierownikami oraz pracownikami podległych mi działów, w tym najbardziej angażował mię Dział Dokumentacji Technicznej. Dział ten prowadził najbardziej ożywioną korespondencję i miał najwięcej kontaktów z biurami projektowymi i przedsiębiorstwami wykonawczymi.

Miałem zwyczaj prawie codziennego rannego obchodu wszystkich swych działów. Pytałem o bieżące problemy i trudności, przypominałem o konieczności załatwienia konkretnych spraw. Mogłem też na bieżąco koordynować działania całego swego pionu przygotowania inwestycji. Przy okazji także ocenić wywiązywanie się przez pracowników ze swych obowiązków.

W jakimś sensie te moje stałe robocze kontakty mobilizowały również pracowników do lepszej pracy. W każdym bądź razie zawsze mogli liczyć na wsparcie, na uzyskanie potrzebnej im decyzji, czy informacji, na rozwikłanie trapiących ich dylematów. Pomałem zwłaszcza w redakcji ważniejszej korespondencji, przynajmniej w zakresie merytorycznym.

Oczywiście starałem się nie wyręczać zanadto kierowników działów, zresztą z nimi się najczęściej porozumiewałem i to przeważnie bezpośrednio, bo celowo jak najmniej posługiwałem się telefonami wewnętrznymi. Nie chciałem być malowanym dyrektorem, lecz starałem się o wizerunek szefa, działającego wewnątrz całego kolektywu pracowniczego.

Przy tym wszystkim najbardziej wymagający byłem w stosunku do siebie samego. Przeważnie nie traciłem w biurze czasu na przeglądanie i załatwianie bieżącej korespondencji, ale zabierałem ją do domu. W domu także przygotowywałem sobie punktowy spis spraw do załatwienia w biurze w dniu następnym. Starałem się potem te sprawy załatwiać konsekwentnie i sprawnie przy minimalnym nakładzie czasu. Często przychodziłem nieco wcześniej do pracy i zostawałem dłużej, celem zakończenia pilnych spraw.

Moje drugie śniadanie w biurze ograniczało się zwykle do konsumpcji przygotowanych w domu kanapek, co łączyłem z lekturą pism lub tp. Kawę, czy herbatę wypijałem podczas prawie codziennych narad czy konferencji, lub przygotowane przez sekretarkę.

Prawie ze wszystkimi kierownikami działów byłem na „ty”, jednakże w kontaktach z szeregowymi pracownikami utrzymywałem dystans. Unikałem w ten sposób zbytnej poufłości w pracy, ale faktycznie byłem wyrozumiały i tolerancyjny w stosunku do różnych drobnych niedociągnięć i usterek w pracy. Wtedy raczej pomagałem, niż ganiłem. Ten dystans wynikał chyba też częściowo z różnicy wieku i stanu rodzinnego. Większość pracowników była ode mnie starsza i miała swe rodziny, a ja byłem nadal kawale-

rem i mieszkalem w Nowej Hucie samotnie.

Niekiedy ten sztywny dystans zalamywal sie na krótko, na przyklad z okazji obchodzonych imienin. Sam zwyczaj celebrowania imienin wspópracowników zakorzenil sie we wszystkich zakładach pracy Polski Ludowej juz we wczesnych latach pięćdziesiątych. Polegal on na tym, że solenizant otrzymywal życzenia i jakiś upominek, zwykle zbiorowo zakupywany przez wspópracowników w danej jednostce organizacyjnej. Zaś on sam stawial jakiś poczęstunek, na przyklad kawę, ciastka itp.

Te małe uroczystości dzialy sie albo zaraz z rana, albo w ostatnich minutach pracy. Najgorzej (najlepiej?) w tych sytuacjach mial solenizant-dyrektor. W jego przypadku jednostką organizacyjną byl cały zakład. Mial taki dzien normalnie „z glowy”. Nasz naczelny zwolywal w dniu swych imienin zwykle naradę roboczą, lecz z kawą i ciastkami, która konczyla sie skladaniem życzeń i prezentu przez kierowników dzialów, biorących udział w naradzie.

Ja te „celebracje” skracalem do minimum. Nie uciekalem z biura, nie szwendalem sie po pokojach, a jedynie robilem u siebie w gabinecie bieżące papierkowe sprawy. Przybylych z życzeniami częstowalem zwykle jakimiś lepszymi slodyczami, rozmawialo sie chwile bardziej prywatnie i tyle. Dostawalem przewaznie prezenty ksiazkowe z dykacjami pracownikow danego dzialu.

Moje zarobki stale wzrastaly. W latach 1956-59 trzykrotnie awansowalem finansowo z 3.200 do 4.000 zł. miesiecznie. Dochodzily do tego 15% premii, nagrody okazjonalne, wypłaty delegacji oraz wynagrodzenie za opracowane przeze mnie koreferaty i wnioski racjonalizatorskie. Średnio miesiecznie wynosilo to 5-6 tys. złotych, co bylo niezłym wynagrodzeniem, zwłaszcza w sytuacji, gdy nie bylem obarczony rodzią.

Oczywiście kwota ta stanowiła zarobki netto, bo w PRL nie placilo sie podatków od płac pracowniczych. Uwzględnić trzeba jeszcze i to, że inflacja w tamtych latach byla praktycznie zerowa, bo wskaźnik cen detalicznych w ciagu piętnastu lat 1955-70 wzrósł zaledwie o 20 %. Również opłaty za mieszkanie itp. byly symboliczne, a gospodarzyłem sie raczej oszczędnie. Palilem marne papierosy „Giewonty”, od alkoholu stronilem, na inne rozrywki i wydatki nie mialem czasu. To też konto w PKO ciagle mi przyrastalo, by wreszcie dojść do kwoty sześciocyfrowej.

W 1958 r. koncentrowalem swe zabiegi wokół przygotowania dokumentacji projektowej dla trzech dalszych nowych osiedli krakowskich. Byly to osiedla Prądnicka, Wieczysta i Olsza II. Również tym razem urbaniści Miastoprojektu-Kraków w kilka miesiecy przygotowali wstępne plany urbanistyczne, jakie, po ich wszechstronnych uzgodnieniach, zostaly w drugim półroczu kolejno zatwierdzone do realizacji. Można bylo wtedy przystąpić do opracowywania technicznych projektów realizacyjnych dla poszczególnych obiektów osiedli.

Budowa nowych osiedli przebiegala według pewnego stalego schematu podyktowanego warunkami technicznymi, związanymi z infrastrukturą uzbrojenia terenu.

Podstawową sprawą bylo zapewnienie dostawy energii elektrycznej i wody juz na etapie przygotowania placu budowy osiedla. To też pierwszymi obiektami kubaturowymi, budowanymi na osiedlach, byly stacje trafo na napięcie 220 V, które podziemnymi liniami kablowymi podlaczano do miejskich stacji średniego napięcia. Niekiedy i te stacje trzeba bylo budować z odpowiednim wyprzedzeniem.

Pierwsza osiedlowa trafostacja musiala być gotowa przed przystapieniem do jakichkolwiek innych robót na osiedlu. I tak, na przyklad, trafostacje na osiedlach Wieczysta i Olsza II wybudowane byly w miesiacach III-VII 1959 r., zaś roboty kubaturowe, związane z budynkami mieszkalnymi, rozpoczely sie na tych osiedlach w VIII 1959 r.

Wszystkie trafostacje osiedlowe wykonywane byly najczęściej według jednej typopo-

wej dokumentacji. Bardzo wcześnie ich budowa została uprzemysłowiona. Elementy ścian i dachu produkowane były seryjnie przez jedno przedsiębiorstwo, jako płyty żelbetowe, których montaż na budowie, przeprowadzany przy użyciu dźwigu samochodowego, trwał tylko jeden-dwa dni. Również transformatory, w jakie te trafostacje wyposażano, były ujednolicone, zaś przeźorni inwestorzy kupowali je z wyprzedzeniem, gdyż przemysł nie nadążał z ich produkcją.

Razem z pierwszymi budynkami mieszkalnymi na wszystkich nowych osiedlach budowano osiedlowe kotłownie centralnego ogrzewania. Terminy ich uruchamiania ustalano tak, aby zabezpieczyć dostawę ciepła grzewczego dla świeżo oddawanych budynków na danym osiedlu z początkiem najbliższego sezonu grzewczego.

Zwykle dla grzania pierwszych budynków uruchamiano prowizorycznie tylko jeden kocioł, natomiast montaż dalszych i roboty wewnętrzne w kotłowni trwały dalej. Niestety, często ukończenie nawet tego jednego kotła się opóźniało i ogrzewanie pierwszych budynków następowało z wielotygodniowym poślizgiem w stosunku do 15 października, to jest oficjalnego terminu rozpoczynania sezonu grzewczego. W przypadku wczesnej zimy, stanowiło to poważną uciążliwość dla mieszkańców już zamieszkających na osiedlu.

To też, oprócz „modłów” o późną zimę, w okresie końca lata i miesięcy jesiennych trwała pełna koncentracja brygad instalacyjnych w nowych kotłowniach. Taki swoisty wyścig z czasem, aby tylko zdążyć na zaplanowany termin. Przyjęło się, że w tym okresie nie wykonywano żadnych robót remontowych, czy modernizacyjnych w innych kotłowniach w Krakowie. Te prace wznawiano dopiero wiosną, gdy brygady instalacyjne kończyły swe roboty na nowych kotłowniach.

Zasilenie placów budów w wodę uzyskiwano zwykle z prowizorycznych sieci wodociagowych, budowanych w ramach urządzania placów budów. Zaś stałe sieci osiedlowe i ich podłączenie do istniejącej, miejskiej sieci magistralnej realizowane były z takim wyliczeniem, by zdążyć z tymi robotami na termin oddawania pierwszych obiektów kubaturowych do użytku. Podobnie było z budową gazowych sieci osiedlowych.

Najtrudniejszą sprawą z zakresu infrastruktury osiedlowej było jednak zabezpieczenie odprowadzenia ścieków komunalnych i wód opadowych. Byliśmy zmuszeni niekiedy budować wcześniej kolektory magistralne, do których dopiero podłączana była osiedlowa sieć kanalizacyjna.

Projekty takich kolektorów musiały uwzględniać wszystkie istniejące obiekty i przewidywane inwestycje, pozostające w ich zlewni. Zaś trasy kolektorów przebiegały często przez tereny zabudowane, drogi, linie kolejowe, pola uprawne itp. Stąd już same ich projekty wymagały pracochłonnych uzgodnień, obliczeń i pomiarów. Także ich budowa niosła wiele problemów, trudności i była bardzo kosztowna.

To też poszczególne kolektory ogólnospławne i rozdzielcze traktowaliśmy jako odrębne tytuły inwestycyjne. Musieliśmy je realizować, gdyż warunkowały one niejednokrotnie budowę nowych osiedli, zwłaszcza odleglejszych od centrum miasta. W takiej sytuacji było np. osiedle Olsza II, którego budowę poprzedziła realizacja dużego kolektora wzdłuż rzeki Białuchy.

Drogi, place i chodniki osiedlowe realizowano zwykle w końcowej fazie budowy osiedla. Wiązało się to często z przejściowymi trudnościami dojazdu i poruszania się mieszkańców zasiedlonych wcześniej bloków. Dla potrzeb placu budowy wykonywano sieć dróg prowizorycznych z prefabrykowanych płyt żelbetowych. Te płyty były wielokrotnie używane przez przedsiębiorstwa wykonawcze na kolejnych osiedlach. W związku z tym istniał wieczny spór pomiędzy wykonawcami a nami, o sposób odpłatności za te prefabrykaty i wielokrotność ich użycia.

Również w ostatniej fazie budowy osiedli realizowaliśmy osiedlowe sieci wielootwo-

rowej kanalizacji teletechnicznej. Nie było to równoznaczne z możliwością instalowania aparatów telefonicznych przez mieszkańców, gdyż wciąganie kabli telefonicznych do przygotowanych kanałów betonowych należało do Urzędu Telefonów Miejskich. Występowały w tej materii często wieloletnie opóźnienia, spowodowane z kolei opóźnieniami w budowie przez UTM kosztownych, skomplikowanych central telefonicznych i okresowymi brakami samych kabli teletechnicznych.

Ostatnim elementem urządzenia terenu osiedli była tak zwana mała architektura osiedlowa i zieleni. Ograniczone elementy małej architektury, jak trzepaki i śmietniki, zawsze były wykonywane. Gorzej bywało z piaskownicami, placykami zabawowymi dla dzieci, ścieżkami spacerowymi itp. Jednak największym problemem było ostateczne uporządkowanie terenu i zrealizowanie projektów zieleni. Istniały zawsze powody, takie jak brak pieniędzy i czasu na finiszu osiedla, żeby te roboty i koszty zepchnąć na administrację osiedlową i samych mieszkańców.

Ale my w DBOR-KM uparliśmy się, że będziemy realizować konsekwentnie na kończonych osiedlach również te niewdzięczne roboty związane z zielenią. A więc nawiezenie humusu, sianie mieszanek traw, sadzenie różnych gatunków drzew i krzewów. Dzięki temu dziś „stara” Nowa Huta prezentuje się jak jeden wielki, przepiękny park. Bywa, że idący ulicą nie widzi, zza szpaleru drzew, wielopiętrowych budynków mieszkalnych. Przy czym ta wysoka zieleń na ulicach, placach i terenach wewnątrzblokowych charakteryzuje nie tylko przemyślaną kompozycją, ale również i odpowiednim doбором gatunków drzew i krzewów.

Promotorem tego zielonego szaleństwa był bezapelacyjnie dyr. B. Korombel, zaś wiernymi sekundantami T. i W. Chudybowie, on leśnik z wykształcenia, ona projektantka zieleni. Chciałbym mieć tyle złotych (nowych) ile drzew i krzewów rośnie w Nowej Hucie i Krakowie dzięki ich inicjatywie i staraniom.

Jeśli chodzi o „starą” Nową Hutę, to przez całe lata pięćdziesiąte wszystkie niewykorzystane, czy zaoszczędzone środki finansowe na wszelkich zadaniach inwestycyjnych, bez względu na okoliczności, kierowane były na zieleni. Przy okazji powstały poza planem inwestycyjnym zalew wodny przy ul. Bulwarowej i dwa szkolne baseny. Jeden na osiedlu C-3 w Nowej Hucie, drugi przy ul. Grochowskiej w Krakowie.

Na każdym nowym osiedlu budowane były szkoły podstawowe, przedszkola, żłobki, pawilony handlowo-usługowe i często przychodnie lekarskie. Niekiedy pomieszczenia handlowo-usługowe mieściły się w parterach nowych budynków, zwłaszcza płombowych. Tak było na osiedlach 18 Stycznia, Podgórze, Nowa Grzegórzecka i Prądnicka.

Często dzieci z nowych osiedli chodziły przejściowo do szkół podstawowych istniejących w sąsiedztwie nowego osiedla. Ale nie było przykładu, że nie trzeba było z tego powodu budować nowej szkoły podstawowej. Bowiem zwykle na nowych osiedlach dzieci gwałtownie przybywało. Potem po liczebności poszczególnych roczników w klasach szkolnych można było, z dużą dokładnością, ustalić lata budowy danego osiedla.

Pawilony handlowo-usługowe budowane były jako ostatnie obiekty kubaturowe na osiedlach. Niekiedy dopiero po wielu latach, często już jako odrębne tytuły inwestycyjne. Wiązało się to z wieloma przyczynami. Generalnie w tamtych latach priorytetowe były inwestycje przemysłowe, mieszkaniowe, szkolnictwo i wiele innych rzeczy, zaś sprawy rozwoju handlu traktowano marginalnie. Znaczna część zaopatrzenia ludności, wzorem lat tuż powojennych, szła przez sklepy i bufety przyfabryczne i zakładowe oraz załatwiana była przez związki zawodowe. Dotyczyło to stale np. zakupu ziemniaków i owoców na zimę oraz karpia i szynki na święta.

Drugim istotnym powodem skromnych rozmiarów sieci handlowej były okresowe niedobory różnych towarów i artykułów, które w pierwszej kolejności kierowano właśnie do sklepów przyzakładowych dla ludności pracującej.

Nie było też konkurencji w branży handlowej. Sieci sklepów i usług realizowane były według wskaźników urbanistycznych, odnoszących się do ilości mieszkańców i planowo prowadzone przez wyspecjalizowane państwowo-spółdzielcze organizacje handlowe, jak MHD, WPHW, PSS „Społem”, GS „Samopomoc Chłopska”, PUPiK „Ruch”, CPN itd.

Masa towarowa w latach pięćdziesiątych ograniczona była w zasadzie do produkcji krajowego przemysłu i rolnictwa. Import konsumpcyjnych wyrobów przemysłowych z zagranicy był bardzo niewielki, zaś w zakresie towarów rolniczych dotyczył jedynie zakupów herbaty, kawy, win, przypraw itp. artykułów w kraju nie produkowanych.

Wreszcie normalny, nowoczesny handel zawsze dużo kosztował. Wymagał odpowiednich pomieszczeń handlowych, pawilonów, hurtowni, wyposażenia, znacznego zatrudnienia. Zaś na pośredni handel kramarczy, obnośny, obwoźny itp. nie było administracyjnego przyzwolenia. Uzupełniającą rolę w stosunku do państwowego handlu stacjonarnego, spełniały jedynie jarmarki na placach targowych, na których sprzedawcami byli bezpośredni producenci, to jest chłopi i rzemieślnicy.

Z trzech nowych osiedli, a to Prądnicka, Wieczysta i Olsza II, najwcześniej rozpoczęta została realizacja os. Prądnicka. Jeszcze w 1958 r. zaczęto zabudowę pięciu niedużych plomb przy samej ulicy Prądnickiej. Było to możliwe, gdyż ulica ta była wyposażona we wszystkie rurociągi uzbrojenia komunalnego.

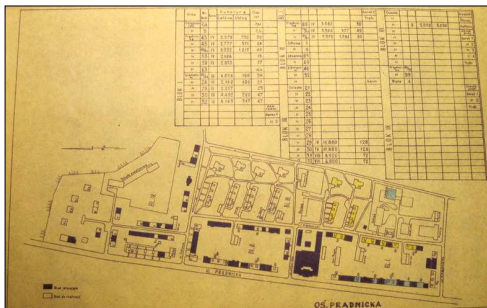
Owe plomby, liczące razem 150 izb mieszkalnych, stanowiły w następnym roku pierwsze efekty rzeczowe na osiedlu. Równocześnie z nimi wybudowane zostały dwie trafo-stacje i lokalna kotłownia centralnego ogrzewania. Roboty przy dalszych pięciu budynkach plombowych rozpoczęto wiosną 1959 roku, zaś latem ruszyła budowa pierwszych czterech, wolnostojących bloków na terenie właściwego osiedla. Łącznie było to 580 nowych izb mieszkalnych, przy czym całe osiedle obejmowało prawie 3 tysiące izb.

Budynki plombowe, a było ich w sumie na osiedlu około 30, zaprojektowane były w większości w technologiach tradycyjnych, zaś 4 i 8-kondygnacyjne bloki wolnostojące w I stopniu uprzemysłowienia. Całość osiedla, łącznie z późniejszą szkołą podstawową, przedszkolem, żłobkiem, sklepami i garażami realizowało przedsiębiorstwo KPBM. Również na tym osiedlu musiało ono zastosować do montażu budynków mieszkalnych ciężkie samojezdne dźwigi budowlane.

Osiedle Wieczysta zlokalizowane było przy ulicy o tej samej nazwie, prowadzącej z Krakowa do Nowej Huty, zaraz za istniejącymi młynami zbożowymi. Dziś ta ulica jest fragmentem Alei Jana Pawła II.

Prawie całe osiedle usytuowane było na płaskim terenie, a jedynie północną część zajmowała kilkumetrowej wysokości skarpa terenowa. Na tym płaskim terenie występowały grunty torfiaste i niezbędne było posadowienie projektowanych tam pięciokondygnacyjnych budynków na studniach Szokalskiego.

Natomiast w części wyższej osiedla były korzystne warunki geologiczno-inżynierskie i tam Miastoprojekt zaprojektował duży VIII kondygnacyjny blok mieszkalny. Był to wówczas największy budynek mieszkalny w Krakowie, liczył 560 izb i miał około 180 metrów długości. Od tego budynku rozpoczęła się w połowie 1959 r. realizacja obiektów kubaturowych osiedla Wieczysta. Łącznie w tym roku rozpoczęto budowę



Osiedle Prądnicka

czterech bloków, liczących razem ponad tysiąc izb mieszkalnych. Całe osiedle zaprojektowane zostało na 3300 izb. Wszystkie nowoprojektowane budynki miały poprzeczny układ konstrukcji i technologię uprzemysłowioną I stopnia. Generalnym wykonawcą było PBM-Nowa Huta.

PBM-NH przejęło również realizację osiedla Olsza II. Tam roboty fundamentowe pod pierwsze 6 bloków mieszkalnych, obejmujących ok. 1200 izb, rozpoczęte zostały jesienią 1959 roku. Całe osiedle liczyło ponad 4 tysiące izb.

Osiedle Olsza II i osiedle Prądnicka rozpoczynały szeroką ekspansję budowlaną w części północnej Krakowa. Po nich miały być tam w niedługim czasie budowane nowe duże osiedla Akacyjowa, Azory, Krowodrza i Prądnik Czerwony, liczących łącznie prawie 100 tysięcy mieszkańców.

Wszystkie budynki na Olszy II zaprojektowane zostały jako 5-kondygnacyjne oraz oczywiście w technologii uprzemysłowionej. W tym okresie żadne z dużych przedsiębiorstw budowlanych w Krakowie nie podjęłoby się już większych budowy z cegły, pustaków ceramicznych i innych drobnowymiarowych elementów.

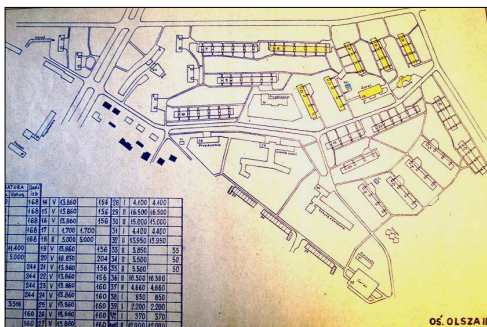
Przygotowując i uruchamiając realizację nowych osiedli liczyliśmy na nieustający wzrost rocznych planów inwestycyjnych. Na przykład na rok 1959 zabezpieczyliśmy w Krakowie przygotowanie terenu i technicznej dokumentacji projektowej na budowę około 7 tysięcy izb mieszkalnych, zaś na rok następny ponad 8000 izb. Możliwości przerobowe głównych przedsiębiorstw wykonawczych i ich zaplecza materiałowego też się zwiększały i były one w stanie zadania te zrealizować.

Tymczasem w 1958 r. ministerstwo zapowiedziało znaczne obniżenie nakładów finansowych, oraz oczywiście planów rzeczowych w państwowym budownictwie, poczynając już od tego roku. Otóż na skutek szybkiego zwiększania nakładów finansowych na inwestycje w skali całego kraju - finanse państwa dostały „zadyszki” i zaczęły się różnego rodzaju oszczędności i reorganizacje. Zmiany w budownictwie mieszkaniowym miały polegać na tym, że postanowiono sięgnąć do środków własnych kandydatów na nowe mieszkania i sfinansować przy ich pomocy przynajmniej część kosztów nowych mieszkań.

Reaktywowano więc lokatorskie spółdzielnie mieszkaniowe, organizując je na przedwojennych zasadach, ale na znacznie większą skalę i na dogodniejszych dla członków warunkach. Wkład gotówkowy, jaki należało wnieść, aby uzyskać status członka, ustalono tylko na poziomie 15 %. Zaś spłatę budowlanego kredytu bankowego rozłożono na 40 lat, przy małym 1 %-ym, symbolicznym oprocentowaniu.

Równocześnie ograniczono kategorię pracowników, którzy mogli liczyć na darmowe mieszkania kwaterunkowe z budownictwa państwowego. Nic więc dziwnego, że w krótkim czasie zawiązało się w Krakowie kilka dużych spółdzielni mieszkaniowych, które zaczęły się rozglądać za możliwościami realizacyjnymi.

Oczywiście w pierwszym rzędzie ich przedstawiciele zwrócili się do funkcjonującego w mieście państwowego inwestora-monopolisty, jakim była nasza Dyrekcja Budowy Osiedli Robotniczych Kraków-Miasto. Oferowali pieniądze, to jest kredyty bankowe, które zamierzali zaciągnąć na swe konta, natomiast prosili o mieszkania. Prawdopodobnie nie zdawali sobie nawet sprawy z tego, że ratują nas z ciężkiej opresji.



Mianowicie, przy ograniczanych akurat nakładach na bezpośredni plan własny, mieliśmy nadmiar stanów surowych w budowie i nadmiar przygotowywanych terenów i dokumentacji projektowej. Bez włączenia się spółdzielczości musielibyśmy zrywać i wycofywać się z zawartych umów z przedsiębiorstwami wykonawczymi i biurami projektowymi. To też przyjeżdżaliśmy spółdzielczych klientów z otwartymi ramionami. Urządziliśmy kilka informacyjnych spotkań, na których prezentowałem mapki nowych osiedli, rzuty budynków i mieszkań, terminy oddawania ich do użytku i koszty nowych mieszkań. Zachęcałem do wyboru osiedli i budynków i reklamowałem ten towar, jak mogłem najlepiej.

Organizacja spółdzielni trwała wiele miesięcy. Zebranie odpowiedniej ilości kandydatów, ukonstytuowanie się, wybór zarządu, wstępne zapewnienia z naszej strony o przekazaniu terenu i budowie domów, założenie konta, spisanie umowy z bankiem, zebranie wkładów członkowskich itp., musiało zająć nieco czasu.

Dochodziło więc do takich sytuacji, jak w przypadku Młodzieżowej Międzyzakładowej SM, że wiosną 1959 r. przekazaliśmy jej, na wybranym przez nich osiedlu Nowa Grzegórzecka, ukończone już budynki z setką mieszkań, a oni nie mieli jeszcze tylu rzeczywistych członków. Bo wielu kandydatów nie zdążyło zebrać i wpłacić swych wkładów członkowskich. Praktycznie niektórzy w jednym dniu wnosili należne wpłaty, a na drugi dzień odbierali klucze do nowych mieszkań.

Oczywiście, że potem się ta sytuacja ustabilizowała i nie musieliśmy budowę wykazywanych spółdzielniom bloków kredytować ze swoich środków. Jeszcze później, to spółdzielcy wnosili swe wkłady na wiele długich lat wcześniej, zanim otrzymywali klucze od swych wymarzonych M.-ów.

W 1959 r. zrealizowaliśmy w Krakowie we własnym państwowym planie 4300 izb mieszkalnych, zaś w budownictwie powierniczym dla spółdzielni mieszkaniowych 2600 izb. A w roku następnym zamierzaliśmy przekazać spółdzielczości prawie dwa razy więcej izb, z tego 4000 izb rozpoczęliśmy budować w roku 1959 w stanach surowych.

Ta zasada prowadzenia przez DBOR inwestycji dla spółdzielczości mieszkaniowej przyjęła się już w Krakowie na stałe. Dzięki temu poszczególne spółdzielnie nie musiały zatrudniać służb inwestycyjnych i mogły skupić się na organizacji zaplecza usługowego i administracji swych osiedli. W związku z przypisywaniem spółdzielniom konkretnych całych osiedli nastąpiła ich rejonizacja i przyszli ich członkowie wybierali spółdzielnie według dzielnicy, w której chcieli zamieszkać.

Członkowie zarządów spółdzielni, z którymi miałem do czynienia wykazywali bardzo dużą aktywność i zaangażowanie we wszystkich sprawach i problemach, związanych z realizowanymi dla nich budynkami. Prosił o plany mieszkań, aby pokazać je swym członkom, doglądali jakości robót wykończeniowych, jak również wyrażali wyraźne zadowolenie z szybkiej budowy mieszkań.

Swą wdzięczność demonstrowali także różnymi upominkami dla kierownictwa DBOR. Ja opędzałem się, jak mogłem, przed osobistymi prezentami, ale niektóre przyjąłem. Między innymi, zestaw marmurowy na biurko od Zjednoczenia Przemysłu Kamienia Budowlanego. Zestaw ten potem zdobił me biurko w pracy, a następnie w mieszkaniu. Zdobił, gdyż użytku z niego żadnego nie było. Składały się nań podstawki pod notatki i pióra, kałamarz i suszka atramentowa. Do epoki długopisów było jeszcze daleko i pisało się wtedy stalowymi piórkami w drewnianych obsadkach, przy użyciu niebieskiego lub czarnego atramentu. W powszechnym użyciu były też wieczne pióra. Ja miałem właśnie takie pióro firmy Parker ze złotym piórkiem i kałamarz nie był mi potrzebny. Drugą korzyścią osobistą dla mnie było to, że gdy później, już po zawarciu małżeństwa, zapisałem się do Młodzieżowej SM, to przyjęty zostałem z prawem wyboru mieszkania poza wszelką kolejnością.

Głównym zadaniem DBOR-KM była kompleksowa realizacja nowych osiedli mieszkaniowych na terenie Krakowa. Cel ten określony był jednoznacznie nawet w nazwie przedsiębiorstwa. Faktycznie prowadziliśmy jeszcze różne kubaturowe inwestycje rozproszone oraz duże inwestycje drogowe, linii tramwajowych i magistral uzbrojenia terenu.

Obiekty rozproszone to były głównie szkoły podstawowe i budynki mieszkalne, realizowane w różnych punktach miasta. Ale także internaty, przychodnie zdrowia, zakłady specjalne, remizy strażackie, garaże, a nawet szalety miejskie. Co roku tych obiektów było po kilkanaście. Realizowane były głównie przez przedsiębiorstwo KPBM. Te obiekty rozproszone zabierały sporo czasu poszczególnym działom pionu przygotowania inwestycji w Dyrekcji, w tym mnie osobiście, oraz odciągały naszą uwagę od podstawowego naszego obowiązku przygotowania inwestycji licznych nowych osiedli. Ale dawaliśmy sobie z tym jakoś radę.

O wiele gorzej było z przedsięwzięciami komunikacyjnymi oraz dotyczącymi uzbrojenia terenu. Kolektory magistralne i rurociągi wodne miały często kilometrowe długości i poważnie angażowały, zwłaszcza działy Uzbrojenia Terenu oraz Prawno-Wyłączeniowy. Wiązały się one jednakże przyszłościowo z naszymi osiedlami i obarceniami Dyrekcji tymi przedsięwzięciami było logiczne i naturalne.

Natomiast stosunkowo obce i kłopotliwe dla nas były przedsięwzięcia inwestycyjne nowych tras drogowych i linii tramwajowych. Między innymi w tych ostatnich latach 50. przypadł nam obowiązek przygotowania i prowadzenia rozbudowy ulicy Wielickiej. Była to wówczas skromna, o wapiennej nawierzchni, droga wylotowa z Krakowa w kierunku południowym do Wieliczki. Na znacznej długości była obudowana chaotycznie niską 1-2 kondygnacyjną zabudową, głównie mieszkaniową. Ale od strony wschodniej znajdowało się również kilka zakładów przemysłowych i stacja kolejowa Płaszów.

Droga, licząca do granic miasta 6 kilometrów, miała być wyposażona na części swej długości w torowiska tramwajowe oraz rurociągi wody, gazu i kanalizacji. Żeby sobie z tym skomplikowanym przedsięwzięciem poradzić, powołany został w Dyrekcji specjalny pełnomocnik d/s ulicy Wielickiej. Został nim inż. T. Chudyba. Wyposażony on został w zakresie tej inwestycji we wszelkie kompetencje decyzyjne, zawierał umowy z biurami projektowymi, wykonawcami itp. Miał też do dyspozycji wszystkie działy w biurze. Mimo częściowego wkraczania w me kompetencje, ja osobiście nie byłem angażowany w sprawę ul. Wielickiej.

Co najwyżej pewne informacje uzyskiwałem na operatywkach kierowniczych. Pamiętam, że na jednej z takich operatywek, wszyscy zgodziliśmy się z wnioskiem kol. Chudyby, iż należy zmienić założenia programowe rozbudowy ulicy. Otrzymaliśmy je już gotowe. Oceniliśmy, że szerokość nowej jezdni i proponowane średnice uzbrojenia są za małe, zaś torowiska tramwajowe winny być wydzielone.

Patrzyliśmy, najwidoczniej, z większą perspektywą w przyszłość, niż autor założeń. Ale i tak tej naszej wyobraźni starczyło tylko na 20 lat. W tym czasie nowe osiedla wzdłuż Wielickiej dotarły prawie do Wieliczki, natomiast tramwaj przedłużono do sześciu kilometrów. Zaś w latach 80. wyburzono resztę starej, przedwojennej zabudowy po zachodniej stronie ulicy i poszerzono ją o drugą jezdnię, z którą można już wjechać w XXI wiek.

Drugim takim nietypowym dla nas tematem był Park Kultury i Wypoczynku, jaki miał być urządzony w połowie drogi między Krakowem i Nową Hutą. Było tam kilkadziesiąt hektarów nieużytków i wertepów oraz fragmenty fortów poaustrijskich, aktualnie rozbieranych w celu uzyskania cegły.

W tym czasie pod Chorzowem, na Górnym Śląsku, budowano z rozmachem wielki Śląski Park Kultury i Wypoczynku, jako „zielone płuca” dla ludności aglomeracji. Ktoś pomyślał, że dobrze byłoby i w Krakowie urządzić taki Park, choćby w mniejszej skali. Opracowywano jakieś koncepcje projektowe, według których miał być w nim duży stadion sportowy, liczne boiska do gier, wesołe miasteczko, pawilony gastronomiczne itp.

Tyle, że Kraków pod względem dostępu do zielonych terenów rekreacyjnych był i jest w zupełnie innej sytuacji, niż aglomeracja górnośląska. Mamy w mieście sporo zielonych terenów, wspaniałe Planty i kilka parków, zaś w bezpośrednim sąsiedztwie, od strony zachodniej, duży kompleks parkowo-leśny z Kopcami Kościuszki i Piłsudskiego oraz Ogrodem Zoologicznym. Ale zieleni nigdy za wiele.

Natomiast projektowanie stadionów i rozlicznych obiektów kubaturowych, jakie miały składać się na Krakowski Park Kultury i Wypoczynku, pachniało wyraźnie gigantomanią. Zdecydowaliśmy więc nic nie budować, lecz jedynie zasadzić jak najwięcej drzewek na tym pagórkowatym po fortach i zaniedbanym terenie. Niech sobie te drzewka póki co rosną.

Za pomocą czynów społecznych w ciągu kilku lat uporządkowanych i zadrzewionych zostało ponad 60 hektarów terenu. Dziś to piękny wysoki park z kilometrami alejek spacerowych i rowerowych. Na obrzeżu powstał kompleks budynków AWF z boiskiem tartanowym i halami sportowymi oraz Telewizyjna Wytwórnia Filmowa. Od strony Wisły jest kilka hektarów pracowniczych ogródków działkowych. I mogło by jeszcze powstać np. stacjonarne wesołe miasteczko. Ale czy jest nawet dzisiaj takie zapotrzebowanie?

W 1959 r. rozpoczęła się rozbudowa Nowej Huty, poza obszarem 100-tysięcznego miasta, zaprojektowanego przez generalnego projektanta T. Ptaszyckiego. Jeszcze tylko przez 2-3 lata trwała budowa ostatnich budynków mieszkalnych przewidzianych pierwotnym planem miasta.

Zdecydowano jednak o dalszej poważnej rozbudowie dzielnicy. Pierwszym nowym terenem zainwestowania było osiedle mieszkaniowe Wzgórza Krzesławickie, zaprojektowane przez Miastoprojekt na 4 tysiące izb. W drugiej połowie roku brygady PBM-NH rozpoczęły tam budowę czterech bloków, obejmujących 400 izb.

Równocześnie rozstrzygnięty został ogólnopolski konkurs na projekt urbanistyczny osiedla-dzielnicy Bieńczyce dla około 50 tysięcy mieszkańców. Konkurs zorganizowały pospół stowarzyszenia architektów i urbanistów SARP i TUP i ich przedstawiciele decydowali w głównej mierze o przyznaniu nagród oraz wyborze projektu do realizacji, z pośród nadesłanych prac konkursowych. Było ich kilkanaście, opracowanych przez pojedyncze osoby, lub zespoły projektowe. Zdecydowano o wyborze do realizacji koncepcji projektantki z Warszawy arch. J. Guzickiej.

Ja w jury reprezentowałem inwestora i właściwie jako jedyny wybraną koncepcję oceniałem zdecydowanie negatywnie. Cechowała się ona tym, że wszystkie projektowane na osiedlu budynki były komponowane luźno, jako wolnostojące oraz tym, iż przeważała zabudowa wysoka 8-10 kondygnacyjna.

Nowa Huta T. Ptaszyckiego była zaprojektowana zupełnie odmiennie. Mianowicie główne ulice i Plac Centralny obudowane były w ciągły sposób przez budynki mieszkalne, w których na parterach zlokalizowano sklepy, lokale usługowe i gastronomiczne. Większość tych budynków, potraktowane jako reprezentacyjne, otrzymało specjalny wystrój architektoniczny według ówczesnej mody zwanej socrealizmem. Charakteryzował się on zwrotem do historyzmu oraz architektury monumentalnej polskiego Renesansu z XVII wieku i lansowany był mniej więcej do 1955 r. W drugiej połowie lat pięćdziesiątych był mocno krytykowany i dlatego chyba architekci odwrócili się również od tej zwartej zabudowy obrzeżnej ulic.

Nastąpiła nowa moda zwana neomodernizmem, preferująca architekturę „pudełko-

wą" i luźną zabudowę. Charakterystyczne, że ci projektanci, którzy wcześniej w pełni stosowali się do mody socrealistycznej, potem bezkrytycznie przerzucili się szybko na neomodernizm.

Ja po prostu uważałem, iż należało w dużych zespołach miejskich, przy głównych ulicach i placach, zachować ciągłą zabudowę z usługowymi parterami, oczywiście z modernistycznymi elewacjami, bez gzymsów, attyk, kolumnienek itp. Zostałem jednak w komisji konkursowej przegłosowany, zaś decydującą rolę w wyborze nagradzanej pracy miał prof. W. Cęckiewicz, jeden z wybitnych architektów krakowskich.

Po wielu latach udałem się na zrealizowane już Bieńczyce z aparatem fotograficznym, aby zrobić serię zdjęć do albumu. Nie zrobiłem ani jednego. Stara Nowa Huta, nie mówiąc o Śródmieściu Krakowa, jest pełna urokliwych wnętrz, perspektyw, portali, zieleni, które dadzą się fotografować. Na Bieńczycach niczego takiego nie było. Tramwaj, przemyskający nieprzystankowymi ulicami; parterowe pawilony handlowe usytuowane bez składu i ładu; brak jakiegokolwiek placu, czy centrum dzielnicy, gdzie chciało by się pójść; piętrowy dom towarowy „Wanda”, jak zlepek kilku odrębnych pawilonów. A więc to ja chyba miałem rację, wtedy, podczas rozpatrywania prac konkursowych na zespół osiedli bieńczyckich.

Od przejęcia w styczniu 1957 r. przez naszą Dyрекcję funkcji inwestorskich w całym Krakowie, ich zakres nieustannie się poszerzał. Głównie z powodu przygotowywania i uruchamiania realizacji coraz to nowych osiedli mieszkaniowych i robót towarzyszących. Równocześnie ze wzrostem zadań rzeczowych skomplikowała się problematyka przygotowania inwestycji w związku z przejściem budownictwa powierniczego, zmianami przepisów dotyczących programowania, projektowania i zatwierdzania dokumentacji projektowej, zawierania umów z przedsiębiorstwami wykonawczymi itd. Zmieniły się też tendencje w projektowaniu urbanistycznym i architektonicznym, procedury wywłaszczeniowe itp.

Wszystko to powodowało, że poszczególne działy, zaś zwłaszcza kierownictwo Dyrekcji osiągnęło kres swych możliwości. Dotyczyło to również mnie osobiście. Coraz częściej, z braku czasu, nie brałem udziału nawet w ważnych konferencjach i radach technicznych, organizowanych w biurach projektowych i zdarzały mi się opóźnienia w załatwianiu różnych bieżących spraw.

W tej sytuacji, w połowie 1958 r. wystąpiłem o powołanie w pionie przygotowania inwestycji dodatkowego stanowiska Głównego Inżyniera. Określiłem szczegółowo zakres prac, jakie powinien przejąć od zastępcy dyrektora d/s przygotowania inwestycji. Zaproponowałem też, aby przejął dział prawnowo-wywłaszczeniowy od dyrektora naczelnego, odciążając w ten sposób i jego od nadmiaru prac.

Rozważanie na temat reorganizacji biura potoczyły się jednakże w kierunku podzielenia przedsiębiorstwa na dwie różne, terytorialne jednostki. Jedna miała obejmować Kraków, a druga Nową Hutę. Byłby to więc powrót do sytuacji sprzed 1957 roku. Oponowałem przeciwko temu zdecydowanie, argumentując, że jest bardzo wiele pozytywów w tym, że jest tylko jeden sternik wszystkich inwestycji w aglomeracji krakowskiej. Że należy jedynie się nieco przeorganizować, wzmocnić kierownictwo i niektóre działy, szerzej praktykować powoływanie pełnomocników do dużych, wydzielonych przedsięwzięć, usprawnić pracę itp.

Łatwiej jednak było się dzielić. Więc później, od 1960 roku, były już dwie równoległe działające Dyrekcje Inwestycji Miejskich Kraków I i II. Zaś niedługo potem, tą metodą pączkowania, powstały jeszcze dwie dalsze i oczywiście Zarząd Inwestycji Miejskich, bo ktoś to musiał koordynować.

W lutym 1959 r., gdy już wyraźnie rysowała się opcja podziału przedsiębiorstwa,

złożyłem wypowiedzenie pracy. Ale nie był to powód jedyny, a nawet chyba nie najważniejszy. Przede wszystkim chciałem wreszcie przejść od administrowania bezpośrednio do projektowania. Byłem wszak architektem i do deski rysunkowej ciągnęło mnie, jak „wilka do lasu”. Poza tym chciałem „złapać” trochę wolnego czasu i uporządkować swój stan cywilny. Miałem przecież już 32 lata i wszystkie warunki, by się wreszcie ożenić. Brakowało mi tylko nieco czasu, choćby na znalezienie właściwej partnerki.

Wprawdzie wówczas wiele par kojarzyło się w zakładach pracy, ale w mojej Dyrekcji nie było dla mnie młodej panny na wydaniu. W tym, że musi być młoda, utwierdzały mnie moje znajomości wczasowe. A wczasy były dla mnie prawie jedyną okazją zawierania żeńskich znajomości. Ogiś pary kojarzyły się na dworach królewskich, gdzie roiło się od dworów, czyli panienek z dobrych domów, oraz na przyjęciach i balach na dworach szlacheckich.

W demokratycznej Polsce Ludowej te funkcje matrymonialne spełniały zakłady pracy i wczasy. Ja w ciągu pierwszych siedmiu lat pracy zawodowej na wczasach byłem kilkanaście razy. Prawie za każdym razem poznawałem nowe sympatie. Niewiele brakowało, by jedna z tych znajomości zaowocowała ślubem. Poznaliśmy się na słonecznych wczasach w Karpaczu, gdzie spędzałem urlop na wędrownkach, spacerach i zabawach w 8-10 osobowej grupie. Chyba najmłodszą w tej „paczce” była urokliwa Danusia z Łodzi. Potem nawet nie korespondowaliśmy. Spotkaliśmy się ponownie, zupełnie przypadkowo, po prawie trzech latach na Targach Poznańskich. Następnie, już nie przypadkowo, w Zakopanem, Łodzi, Krakowie.

Po kilku miesiącach, od odnowienia znajomości, miał być nasz ślub. Ale, praktycznie w dniu tej uroczystości, „zaingerowała” moja siostra. Ja zawsze pewny i stanowczy w sprawach zawodowych - w swych sprawach prywatnych byłem raczej niezdecydowany i podatny na dobre rady z zewnątrz. W związku z tym „zaginął” jakiś istotny dokument i formalności ślubne w urzędzie stanu cywilnego nie doszły do skutku. Tak więc moja sytuacja starego kawalera nie uległa wówczas żadnej zmianie i czekały mnie dalsze, rutynowe już „łowy” na wczasowiskach.



Na kolejnych wczasach

najlepszych pracowników”, ale nie widziały możliwości nie wyrażenia zgody. Zaproponowałem na swe miejsce mgr J. Łuczyka, doświadczonego, długoletniego fachowca w branży inwestycyjnej i zacząłem przekazywać mu prowadzone przeze mnie sprawy.

Zadziwiające było to, że mnie lat ciągle przybywało, zaś wiek moich kolejnych sympatii nieodmiennie oscylował między 19-22 lat. Wydedukowałem tedy, zapewne słusznie, że starsze są po prostu zajęte i że trzeba się wreszcie zdecydować, oświadczyć i uwinąć z ożenkiem, aby na kolejnych wczasach te młode nie zaczęły się zwracać do mnie per „wujku”. Lecz wprawdzie należało się rozwieść z mą dotychczasową „ukochaną” pracą.

Moje wypowiedzenie zostało przyjęte. Wprawdzie opiniujące podanie organizacje tj. RM i POP stwierdziły, że biuro traci „jednego ze swych

BIURO PROJEKTOWE

Miejskie Biuro Projektowe * Starszy projektant * Trzy stopnie uprzemysłowienia * Ślub i wieczysty dług

Od 1 maja 1959 r., po 3-miesięcznym okresie wypowiedzenia, rozpocząłem pracę w Miejskim Biurze Studiów i Projektów Budownictwa w Krakowie. Biuro to powstało na bazie istniejącego od sześciu lat Wojewódzkiego Biura Projektów. W 1957-58 r. WBP otrzymało pokaźny pakiet zleceń na nowe inwestycje w Krakowie.

W ślad za tym Prezydium Rady Narodowej miasta Krakowa podjęło w styczniu 1959 r. uchwałę o rozbudowie biura i jego przekształceniu w MBSiPB. Miało ono odąd zająć się opracowywaniem dokumentacji projektowych wyłącznie dla miasta Krakowa. Między innymi dla nowych osiedli Azory, Akacyjowa i Bieńczyce. Miastoprojekt-Kraków przestał więc pełnić rolę monopolisty w tym względzie.

Osiedle Azory, zaprojektowane przez inż. M. Turskiego dla 20 tysięcy mieszkańców, wchodziło do realizacji już w 1960 roku. Realizacja osiedla Akacyjowa, autorstwa inż. S. Sitarskiego, o wielkości 2000 izb dla 3 tysięcy mieszkańców, miała rozpocząć się kilka lat później.

Projektowanie zaś wielkiego osiedla Bieńczyce biuro podjęło się, zatrudniając laureatkę konkursu urbanistycznego na to osiedle. W ten sposób Miastoprojekt-Kraków stracił też ścisły dotąd monopol na opracowania projektowe dla miasta-dzielnicy Nowej Huty. Aby sprostać nowym zadaniom MBSiPB zwiększyło swój stan zatrudnienia. Powstały też nowe pracownie projektowe. Dyrektorem biura w tym okresie był arch. Karol Orłowski.

Podstawowymi jednostkami organizacyjnymi biur projektowych w kraju były pracownie projektowe. W biurach budownictwa ogólnego były to najczęściej pracownie wielobranżowe, z których każda wykonywała pełną, kompleksową dokumentację dla zlecanych jej zadań i przedsięwzięć inwestycyjnych.

Struktury pracowni też były proste i czytelne. W jej skład wchodził kierownik, sekretarka-ekonomistka i branżowe zespoły projektowe. Zespoły zaś tworzyli projektanci, asystenci i pomoc techniczna, czyli kreślarze. Stanowiska projektanckie miały swą gradację: młodszy projektant, projektant, starszy projektant. Podobnie asystenci.

Żeby być starszym projektantem, to prócz odpowiednich studiów wyższych, trzeba się było legitymować wieloletnią pracą i doświadczeniem projektowym. Najczęściej świeży absolwent, np. architektury, przyjmowany był wpraw na stanowisko asystenta. Dopiero w biurze piał się po szczebelkach projektanckich, aż do starszego projektanta.

W tym okresie w biurach projektowych pracowało jeszcze bardzo mało kobiet. W zawodach projektanckich dominowali bowiem wtedy zdecydowanie mężczyźni. Na przykład na moim roku wydziału Architektury we Wrocławiu na stu studiujących było tylko 11 koleżanek. Sytuacja ta zmieniała się powoli. Po kilkunastu latach istnienia dużych państwowych biur projektowych sfeminizowały się one, podobnie jak wiele innych dziedzin życia społecznego w Polsce.

Stanowisko starszego projektanta było w ogóle najwyższym stanowiskiem w biurach projektowych. Kierownik pracowni czy dyrektor to były funkcje, które można było uzyskać, bądź utracić. Starszym projektantem zostawało się na zawsze. Zresztą kie-

rownikami pracowni i dyrektorami biur projektowych zostawali zwykle starsi projektanci. Mogli być jeszcze głównymi, lub generalnymi projektantami, ale to były funkcje sprawowane na czas opracowywania przez nich swych dużych, lub bardzo dużych projektów.

Ja od razu zaangażowany zostałem na stanowisku starszego projektanta. Uznano mój dotychczasowy, niemały zresztą, dorobek projektowy z czasów studiów i w okresie wieloletniej pracy zawodowej. Przyszedłem też do biura z konkretnymi poważnymi zleceniami projektowymi. Może również brano pod uwagę, że to ja, praktycznie biorąc, wylansowałem biuro i zmianę jego dotychczasowego profilu działania, przez udzielenie wcześniej sporych zleceń krakowskich.

Mą pierwszą pracą biurową była analiza techniczna kilku powtarzalnych sekcji mieszkaniowych, projektowanych w I, II i III stopniach uprzemysłowienia.

I stopień uprzemysłowienia to była prefabrykacja stropów i klatek schodowych.

Jako II stopień określano budynki wieloblokowe, w których również ściany były wykonywane z bloków wielkowymiarowych. Drugi stopień uprzemysłowienia miał już wkrótce stać się w Krakowie, podobnie zresztą jak w całym kraju, podstawową technologią w budownictwie kubaturowym. Asortyment produkcji elementów wieloblokowych pozwalał na budowę w tej technologii również szkół, przedszkoli i innych obiektów użyteczności publicznej.

Przez III stopień uprzemysłowienia w budownictwie określało się budownictwo wielkopłytowe. Miało polegać na montażu budynków z dużych płyt ściennych i stropowych o wielkości izby mieszkalnej. W tym wielkopłytowym budownictwie mieszkalnym upatrywano jedyną szansę na dalsze poważne zwiększenie planów budownictwa mieszkaniowego w Polsce, zgodnie ze wskaźnikami przyjmowanymi dla kolejnego planu 5-letniego na lata 1961-65. Faktycznie rozwój budownictwa mieszkaniowego był w tamtych czasach bardzo szybki i w latach 1955 - 60 - 65 oddano do użytku w Polsce kolejno 89,0 - 142,1 - 170,0 tysięcy nowych mieszkań.

Opracowana przeze mnie analiza porównawcza sekcji mieszkaniowych, aktualnie stosowanych w Krakowie w I stopniu uprzemysłowienia, z projektowanymi dla II i III stopnia, wykazała najlepsze wskaźniki techniczne dla sekcji wielkopłytowych. Dotyczyło to ilości zużytych materiałów, stosunku kubatury ogółem do powierzchni użytkowej, pracochłonności montażu itp.

Następne zlecenie dotyczyło opracowania wytycznych technologicznych budownictwa wielkopłyтового i organizacji budowy do założeń projektowych osiedla Bieńczyce Nowe. Opracowanie przytaczało program efektów izbowych i nakładów finansowych na osiedle do 1965 r. Zakładano, że realizacja uzbrojenia i budowa głównych dróg rozpocznie się w 1960 r., zaś roboty kubaturowe w następnym. Pierwsze 1700 izb mieszkalnych miało być oddanych do użytku w 1961 roku.

Planowaliśmy, że już te pierwsze budynki mieszkalne będą mogły być realizowane w technologii wielkopłytovej. Rychło jednak okazało się, że wdrożenie III stopnia uprzemysłowienia jest bardzo skomplikowane. Punkt ciężkości przesunął się ze spraw projektowych na problemy infrastruktury technicznej, niezbędnej do realizacji tego budownictwa.

Potrzebne były, na przykład, dźwigi montażowe o udźwigu 70-80 tnm, a takich w Polsce jeszcze nie produkowano. Również Zakłady Prefabrykacji Żelbetowej w Łęgu nie miały żadnych możliwości, aby uruchomić produkcję jakichś elementów wielkopłytowych. Wiązało by się to wprawdzie z koniecznością budowy nowych hal, gdyż istniejące zajęte były, między innymi, na produkcję elementów wieloblokowych.

O poligonowej produkcji płyt wielkowymiarowych też nie można było nawet marzyć wobec ich skomplikowania, wielowarstwowej budowy itd. Zwłaszcza, że jedynie sen-

sowna była produkcja płyt w pionowych formach bateryjnych, a takie w warunkach otwartych, polowych poligonów trudno byłoby zastosować.

Tak więc, również moja analiza wykazała, że z budownictwem wielkopłytowym trzeba jeszcze trochę poczekać, i to w skali całej Polski, około 10 lat. Dopiero w latach 70. przystąpiono do prawie seryjnej budowy skomplikowanych wielkich fabryk domów, produkujących na dużą skalę elementy wielkopłytowe dla budownictwa mieszkaniowego. Wybudowano wtedy w kraju w ciągu kilkunastu lat około 160 takich fabryk domów. Faktycznie dopiero wówczas możliwe było zdecydowanie zwiększenie budownictwa mieszkaniowego w Polsce do prawie 300 tys. mieszkań rocznie.

Po 1989 roku, już w nowej konstelacji ustrojowej, technologie budownictwa wielkopłytowego zostały niemal całkowicie zarzucone, zaś prawie wszystkie fabryki domów zbankrutowały. Po prostu okazały się one niepotrzebne w sytuacji wycofania się państwa z działalności inwestycyjnej i z utopijnego obowiązku zapewnienia mieszkań wszystkim obywatelom. W rezultacie w ciągu krótkiego czasu możliwości realizacyjne krajowego przemysłu budowlanego na dziesiątki lat ograniczone zostały z powrotem do poziomu osiągniętego już w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. Konsekwentnie zlikwidowano też wszelkie państwowe biura projektowe, kombinaty budowlane i dyrekcje inwestycji miejskich.

Od VI.1959 r. zatrudniony zostałem dodatkowo przez DBOR-KM na 1/2 etatu na stanowisku Głównego Inspektora d/s Specjalnych. Tak było w umowie. Faktycznie to głównie prowadziłem sprawy koordynacji, konsultacji, opiniowania spraw, związanych ze wzajemną współpracą pomiędzy MBSiPB, gdzie aktualnie pracowałem i DBOR-KM, gdzie pracowałem przedtem na pełnym etacie. Taki, częściowo, jakby ciąg dalszy poprzedniej pracy.

Byłem też w tym czasie członkiem Komisji d/s Uprzemysłowienia, koordynującej i podejmującej zasadnicze decyzje w zakresie wdrażania uprzemysłowionych metod budownictwa ogólnomiejskiego w Krakowie. Komisja skupiała po jednym przedstawicieli głównych przedsiębiorstw wykonawczych, zakładów prefabrykacji, biur projektowych i inwestora miejskiego. Ja pełniłem w niej funkcję sekretarza i reprezentowałem równocześnie inwestora DBOR-KM i biuro projektowe MBSiPB.

Biuro projektowe, w którym pracowałem, zlokalizowane było w rejonie Parku Jordana i oddalone od mego miejsca zamieszkania w Nowej Hucie o około 9 kilometrów. Dojeżdżałem do pracy tramwajem, tracąc 40 minut na przejazd w jedną stronę. Ale urozmaicałem sobie przejazd czytaniem książeczek z serii „Tygrys”, które specjalizowały się w różnych sensacyjnych tematach. Między innymi zawierały opisy wielkich bitew w historii ludzkości, a mnie takie pisane militaria zawsze interesowały. W tych „tygryskach” obok wojen Aleksandra Macedońskiego, Hannibala, Napoleona I, najszerzej prezentowane były wielkie bitwy na froncie radziecko-niemieckim z okresu II wojny światowej. Wiele z tych opowieści było autorstwa L. Moczulskiego.

Rano i po południu, w czasie przejazdów do i z pracy, tramwaje były zawsze zatłoczone. Wszak praktycznie wszyscy gdzieś pracowali. Bardzo dużo mieszkańców Nowej Huty pracowało wtedy też w Krakowie, mimo, że miasto NH budowane było tylko dla obsługi kombinatu hutniczego.

Jechałem prawie z końcowego przystanku, ale nie zajmowałem miejsca siedzącego, stawałem jedynie w takim miejscu, aby mieć możliwość swobodnego czytania „tygrysków”, nawet w dużym tłoku. Pomimo uciążliwości przejazdów, nie raz nie mogłem się doczekać na kolejny przejazd, a właściwie na dalszy ciąg czytanych historyjek, bo pilnowałem zasady czytania jedynie w czasie jazdy tramwajem.

Jednakże po kilku miesiącach moje biuro przeniosło się do nowozbudowanych, solidnych baraków przy ulicy I. Daszyńskiego. Było to nieco bliżej do Nowej Huty, zaś

zupełnie bliźniętka od mieszkania mojej nowej sympatii.

Bowiem nareszcie zamiast błądzić uczuciami po odległych Łodziach czy Kielcach, zakotwiczylem je w Krakowie. Moja uroczą sympatią miała na imię Kasia i była, i jest, ode mnie o 11 lat młodsza. Pracowała wtedy w szacownej instytucji na stanowisku inspektora d/s nieletnich. Praca ta bardzo ją absorbowwała, wiązała się z nocnymi dyżurami, dużą odpowiedzialnością i pewnym niebezpieczeństwem. Bo nieletni wykolejeńcy w każdej epoce są agresywni i niedostosowani do otaczającego ich świata.

Mama Kasi nie pracowała już od kilku lat, a jedynie prowadziła gospodarstwo domowe. Korzystałem z tego faktu i często zachodziłem na pyszne i na pewno zbyt obfite obiady. Po kilkunastu latach stołowania się w restauracjach i barach, miałem próbkę domowej kuchni.

Ojciec, przedwojenny zawodowy oficer w randze majora, służący w II Batalionie Budowy Mostów w Legionowie, zginął w czasie wojny w Katyniu. Kasia nie pamiętała go już zupełnie, bo w 1939 r. miała zaledwie dwa latka.



Z Kasią na Równi pod Śnieżką

miesiące odbył się nasz ślub i wesele. Świadkami byli dwaj moi bardzo sympatyczni koledzy T. Cieślak i B. Rzymek z działu dokumentacji DBOR-KM. Po ślubie cywilnym był obiad dla proszonych gości w historycznym „Wierzyńku”. Zaś w dniu następnym, po ślubie kościelnym, odbyło się przyjęcie weselne w małym 2-izbowym mieszkaniu mamy Kasi. Było około 20 osób, głównie rodzina Kasi. Z mojej strony przyjechała mama z Kępna i siostra z mężem z Wrocławia.

Było szumnie i wesoło, zaś ja zapewne za dużo tańczyłem i za dużo wypilem alkoholu. Byłem prawie pijany, gdy w nocy odprowadzałem, wraz z Kasią, część gości na postój taksówek i sami mieliśmy jechać do mojej garsoniery w Nowej Hucie. Bezmyślnie wsadziłem lewą nogę między pręty stalowej kraty studzienki przypiętnicznej i nie mogłem jej wyciągnąć. Potem, na kilka dni, noga opuchła i miałem trudności z chodzeniem.

W niewiele dni po ślubie żona przypomniała mi, że swego czasu pożyczyłem od niej, lecz nie oddałem 500 złotych. Dla niej i jej mamy była to znaczna suma i miały przez kilka dni finansowe problemy, bo było akurat na końcówce miesiąca. Zaniemówiłem na chwilę, wreszcie wystękałem przytomnie, że będę spłacać tę pożyczkę do końca swego życia. No i faktycznie spłacam ją, z należnym oprocentowaniem, już ponad 40 lat

Tego lata, chyba po raz pierwszy, nie pojechałem na żadne wczasy. Za to z Kasią wiele błądziliśmy po Krakowie, byliśmy w Zakopanem, Ojcowie. Raz, odwożąc ją do jej domu, nie miałem przy sobie pieniędzy na zapłacenie taksówki. Pożyczyłem więc od niej 500 złotych w jednym banknocie, jaki akurat posiadała przy sobie. Na drugi dzień zapomniałem jednakże oddać pożyczkę, jak to zwykle bywa przy małych kwotach.

Wreszcie zdobyłem się na odwagę i oświadczyłem się. Chyba to było w czasie spektaklu w teatrze, ale dokładnie już nie pamiętam.

Oświadczyzny zostały przyjęte i za kilka



WŁASNA RODZINA

Śmierć teściowej * Zakopane i Karpacz * Obrona krzyża * Aneks do sp-ni mieszkaniowej * Urodziny syna * Pralka i wózek * Zjazd rodzinny

Po zawarciu małżeństwa zegar życia zaczął odmierzać mi obok „czasu pracy” również „czas rodziny”. Nazajutrz po ślubie obydwój z żoną wróciliśmy do swej pracy zawodowej, którą kontynuowaliśmy bez najmniejszego uszczerbku dla prowadzonych spraw przez Kasię i projektów architektonicznych, opracowywanych przeze mnie. Mieliśmy teraz dwa mieszkania: jednopokojową kawalerkę w Nowej Hucie i dwuizbowe mieszkanko mamy Kasi na Grzegórkach w Krakowie. Oczywiście oba były zbyt małe jako przyszłe rodzinne mieszkanie i wkrótce daliśmy ogłoszenie do lokalnej „Gazety Krakowskiej” z ofertą zamiany ich na jedno większe. Tymczasem korzystaliśmy z obu, lecz głównie z mieszkania krakowskiego, z którego było bardzo blisko do naszych miejsc pracy.



Mama Kasi

Gospodarstwem domowym, zakupami, gotowaniem posiłków, utrzymaniem porządków w mieszkaniu zajmowała się mama Kasi. Robiła to wszystko, a zwłaszcza gotowała, wspaniale. Mieliśmy w związku z tym po pracy jeszcze sporo wolnego czasu na spacer, kino, teatr itp. Likwidując powoli swą nowohucką kawalerkę przewiozłem do mieszkania krakowskiego duży kilim na ścianę, radio z adapterem, stojak z półeczkami na kwiaty i oczywiście również większość swych osobistych rzeczy. Planowaliśmy też przeprowadzenie renowacji mieszkania i urządzenie porządnej wnęki kuchennej w pierwszej przejściowej izbie, oraz wydzielenie małej łazienki w przedpokoju.

Wszystko rozwijało się więc pomyślnie, lecz po miesiącu od daty ślubu zachorowała mama Kasi. Skarżyła się na nagłe silne bóle brzucha. Zawezwany niezwłocznie lekarz zaaplikował jakieś medykamenty i zalecił odpowiednią dietę, oceniając najprawdopodobniej, że były to dolegliwości żołądkowe. Ponieważ ostre bóle nie mijały, Kasia zawezwała ponownie lekarza z pogotowia, który też przepisał jedynie środki przeciwbólowe i ostatecznie zalecił przewiezienie mamy do kliniki na ul. Kopernika na oddział „Czerwonej Chirurgii”. Pojechała z nią Kasia. Tam czekały prawie dwie godziny w poczekalni, w suterrenach szpitala, na przyjęcie i zbadanie chorej przez lekarza. Po badaniu stwierdzono zapalenie ślepej кишки i zdecydowano się przeprowadzić operację. Odbyła się nazajutrz do południa. Obydwój z Kasia byliśmy wtedy obecni w poczekalni przed blokiem operacyjnym i oczekiwaliśmy na skończenie zabiegu.

Operacja jednakże przeciągała się niepokojąco i długo nikt z bloku operacyjnego nie wychodził. Gdy wreszcie ktoś z personelu się pokazał, poprosiliśmy o informację o stanie zdrowia operowanej. Otrzymaaliśmy zdawkową odpowiedź, że zabieg jeszcze trwa. Po upływie wielu dalszych minut wyszedł wreszcie jeden z lekarzy chirurgów i odsuwając mnie nieco od żony, zakomunikował mi szeptem, że w trakcie, udanej zresztą, operacji ślepej кишки, mama zmarła na niespodziewany zawał serca. Faktycznie od kilku lat leczyła się ona na nadciśnienie tętnicze, co najwidoczniej lekarze nie wzięli pod uwagę w swych czynnościach. Kasi o śmierci mamy nic wtedy nie powiedziałem, natomiast po chwili namówiłem ją na powrót do domu, argumentując, że musi ona po operacji wypocząć, a my jej w niczym w tym momencie pomóc nie możemy. Tak też się stało i dopiero w domu poinformowałem żonę o zgonie jej matki. Rozpaczwała straszliwie i nie jestem tego w stanie opisać.

Żona miała uzasadnioną pretensję do lekarzy, którzy tak nieszczęśliwie oraz nie-

frasobliwie pomylili się w swych diagnozach i nie rozpoznali zapalenia ślepej кишки. Ale i tak życia matki nic nie mogło już przywrócić. Był jeszcze jeden pomniejszy aspekt jej zgonu 28 października, czyli akurat w dniu mych imienin. Stąd przez wiele późniejszych lat obchodziłem swe imieniny w dniu 25 listopada, to jest razem z imieninami żony.

Dwa-trzy następne dni po śmierci teściowej wypełniła nam żmudna krzątania przy załatwianiu spraw, związanych z pochówkiem: wynajęcie kwatery na Cmentarzu Rakowickim, zakup trumny, formalności urzędowe, druk klepsydry, powiadomienie krewnych itd. Chodziliśmy wszędzie razem, przy czym bynajmniej nie pomagałem Kasi specjalnie w tych wszystkich czynnościach, które zbawiennie odrywały ją od rozważania i przeżywania swego nieszczęścia.

Pogrzeb odbył się przy pięknej, słonecznej pogodzie w dniu 31 października. Orszak pogrzebowy był wcale okazały, zwłaszcza licznie stawiała się rodzina zmarłej, był również brat ojca Kasi, zamieszkały w Warszawie. Głównie ze względu na niego, po południu, w gronie najbliższych osób zwiedzaliśmy Wawel, gdzie prezentowane były rewindykowane niedawno z Kanady bezcenne pamiątki polskiej kultury, zdeponowane na okres wojny za granicą przez rząd polski w 1940 roku. Wśród nich był legendarny "Szczerbiec", miecz koronacyjny polskich królów z pierwszej połowy XIII wieku. W kilka dni później odwiedziła nas również moja mama z Kępna, która z jakichś względów nie mogła wcześniej przyjechać na sam pogrzeb.

Oczywiście nasza prywatna tragedia nie miała wpływu na przebieg naszej pracy zawodowej. Po jednym, czy dwóch dniach wolnych od pracy, które nam w związku ze śmiercią mamy, zgodnie z ustawodawstwem socjalnym, przysługiwały, oboje chodziliśmy do pracy, wykonując swe normalne obowiązki służbowe. Ja nadal pracowałem w Miejskim Biurze Studiów i Projektów Budownictwa. Wykonywałem w tym czasie samodzielny projekt koncepcyjny serii sekcji mieszkaniowych w technologii wielkopłytywowej.

Na imieniny Kasi sprawiłem jej znaczący, a bardzo praktyczny prezent. Był absolutną dla niej niespodzianką i musiała go sama poszukać w mieszkaniu, nie wiedząc, jaki jest duży i co to w ogóle jest. Znalazła go dopiero po dłuższym, intensywnym szukaniu w tapczanie. Był to elektryczny kombajn kuchenneo-gospodarczy "Omega", produkcji NRD, który składał się z froterki do parkietu, odkurzacza, miksera do koktajli oraz młynka do kawy, pieprzu itp. Bardzo estetyczny, mało gabarytowy, swe walory nowoczesności utrzymywał potem jeszcze przez prawie dziesięć lat. Służył nam z powodzeniem właśnie przez tyle mniej więcej lat.

W związku z naszym wcześniejszym anonsem w prasie otrzymaliśmy kilka propozycji zamiany naszych obydwu mieszkań na jedno większe. Po dokonaniu wizji lokalnych zdecydowaliśmy się na dwupokojowe mieszkanie w starym budownictwie, niedaleko na terenie naszej dzielnicy. Mieszkanie to zamieszkiwane było przez rozwiedzione małżeństwo z dwojgiem starszych dzieci. Im nasze mieszkania bardzo przypadły do gustu, przede wszystkim pozwalały na faktyczną separację przez oddzielne zamieszkanie. Dla nas z kolei ich mieszkanie też wydawało się z wielu względów odpowiednie, mimo iż wymagało generalnego remontu. Rozpoczęliśmy więc wspólnie starania we właściwym urzędzie kwaterunkowym o uzyskanie formalnej zgody na te zamiany. Załatwianie podań, mimo naszych monitów, przeciągało się, urząd żądał od naszych partnerów jakichś dodatkowych wyjaśnień, a ostatecznie nic z tego wszystkiego nie wyszło. Nie udało się nam nawet uzyskać uzasadnienia odmownej decyzji na nasze podania o



Pogrzeb teściowej

zamianę mieszkań.

Kilka dni przed Świętami Bożego Narodzenia Kasia kupiła sporą choinkę i ustroiła ją pięknie, ustawiając w kącie pokoju. Święta wypadły w 1959 roku w piątek i sobotę, tak że razem z niedzielą były to trzy kolejne dni wolne od pracy. Postanowiliśmy w ostatniej chwili, aby czas ten spędzić w Zakopanem, zwłaszcza, że zapowiadała się piękna słoneczna pogoda. Nie chcieliśmy też obarczać naszą obecnością krewnych Kasi, gdyż byłoby to także obarczaniem ich naszą żałobą.

Nasz wyjazd do Zakopanego był dosyć ryzykowny, ponieważ nie zarezerwowaliśmy wcześniej pokoju hotelowego. Faktycznie były z tym na miejscu problemy i w wigilijną noc wylądowaliśmy w prywatnej góralskiej kwaterze. Było sympatycznie, ale najbardziej utkwiły mi w pamięci prymitywne warunki naszego zakwaterowania. Otóż na środku zajmowanego przez nas pokoju stał rozgrzany do czerwoności żeleźniak, który ogrzewał cały pokój. A pierzyny na łózkach miały chyba po pół metra grubości. Za to nazajutrz przenieśliśmy się do hotelu "Poraj" w samym centrum Zakopanego. Tam mieliśmy bardzo dobre warunki zamieszkania i wyżywienia. Ale nie znaczyło to dla nas wiele, ponieważ znakomitą część obu dni świątecznych przeznacziliśmy na spacer i wędrówki po uroczych dolinkach Zakopanego. Jedyne w Dolinie Kościeliskiej zafundowaliśmy sobie sanie, które dowiozły nas aż do Bramy Kraszewskiego na końcu doliny.

W sumie rok 1959 zaznaczył się w moim życiu dość wyraziście: przeszedłem do pracy w biurze projektowym budownictwa ogólnego, ożeniłem się, zmieniłem mieszkanie, zmarła matka mej żony. Niezależnie od tego nadal, choć w mniejszym stopniu niż dotychczas, interesowałem się szerszymi sprawami dotyczącymi kraju i świata. W Polsce w dalszym ciągu dominowały w tym czasie działania gospodarcze, związane z lepszym wykorzystaniem sił i środków państwowych dla poprawy poziomu życia ludności. Równocześnie kontynuowane były liczne inwestycje, związane z powiększeniem potencjału gospodarczego kraju.

W skali światowej był to kolejny rok licznych kontynuowanych i nowych konfliktów i wojen, głównie na kontynentach azjatyckim i afrykańskim. W Azji trwała wojna w Laosie i wojna graniczna pomiędzy Indiami i Chinami, w Afryce rozpoczęły się wojny domowe w Kongo Belgijskim i Algierii. W Ameryce Północnej władzę na Kubie przejęli rewolucyoniści Fidela Castro.

Trwał podbój Kosmosu przez oba supermocarstwa USA i ZSRR, które, wysłały całą serię sond księżycowych. Z pośród nich Łuna 2, jako pierwszy obiekt materialny wysłany z Ziemi, trafiła w Księżyc, zaś Łuna 3 sfotografowała niewidoczną z Ziemi stronę srebrnego globu, co niewątpliwie było w ogóle największą sensacją całego 1959 roku.

Od 1960 roku pracowałem w wielobranżowej Pracowni Projektowej PW-2. Była to duża pracownia, licząca ponad 40 osób, zgrupowanych w sześciu wyspecjalizowanych, branżowych zespołach. W tym dwa architektoniczne, a po jednym zespole konstrukcji, instalacji sanitarnych, uzbrojenia terenu oraz dróg i zieleni. Kierownikiem pracowni PW-2 był architekt Zbigniew Zgud, specjalista od projektowania wnętrz. Pracownia samodzielnie mogła realizować prawie w całości zlecaną do biura dokumentację projektową dla różnych przedsięwzięć inwestycyjnych. Musieliśmy tylko kooperować z wydzielonymi mniejszymi pracowniami instalacji elektrycznych i kosztorysowania.

Takich dużych pracowni wielobranżowych, jak nasza, było w biurze pięć. Dwie z nich specjalizowały się w budownictwie mieszkaniowym na nowoprojektowanych osiedlach, dwie opracowywały dokumentację rewaloryzacyjną dla obiektów zabytkowych Krakowa, zaś nasza PW-2 wykonywała projekty dla budownictwa ogólnego, głównie szkół, przedszkoli, przychodni zdrowia, pawilonów handlowych, biurowców i obiektów

przemysłowo-składowych. W związku z tym w PW-2 pracowało najwięcej samodzielnych starszych projektantów architektury, przy czym staraliśmy się specjalizować w projektowaniu określonych rodzajów budownictwa.

Ja pracowałem w duecie ze starszym ode mnie architektem Stanisławem Ćwizewiczem. Miał on najdłuższy w pracowni staż projektancki, był bardzo uzdolniony i wszechstronny. Stanowiliśmy wraz z pracującymi dla nas młodszymi projektantami i asystentami 6-osobowy zespół architektoniczny. Głównym naszym tematem projektowym w 1960 roku był Centralny Ośrodek Chłodnictwa przy ul. Dzierżyńskiego w Krakowie. Był to duży obiekt biurowo-laboratoryjny o kubaturze ponad 40 tys. metrów sześciennych. Został potem wybudowany w ciągu następnych trzech lat.

Na początku 1960 r. we wszystkich państwowych biurach projektowych w kraju przeprowadzona została weryfikacja posiadanych kwalifikacji zatrudnionych w nich projektantów. Chodziło przede wszystkim o sprawdzenie posiadanego wykształcenia i praktyki budowlanej, obowiązujących formalnie dla określonych stanowisk projektanckich. Kto ich nie posiadał, musiał potem, w określonym trybie i czasie, uzupełnić ujawnione braki pod rygorem utraty zajmowanego stanowiska. W moim przypadku komisja weryfikacyjna uznała aż 9 lat samodzielnego projektowania i 3 lata praktyki na budowie w okresie, gdy byłem inspektorem nadzoru budowlanego w Nowej Hucie.

W marcu wraz z Kasią pojechaliśmy w ramach urlopu wypoczynkowego na dwutygodniowe wczasy do Karpacza. Zamieszkaliśmy w Bierutowicach (obecnie Górny Karpacz) w dwóch różnych domach wczasowych FWP, położonych nieco powyżej kościółka Wang. Nie było już bowiem wolnych dwuosobowych pokoi. To też udawaliśmy potem przez okres całego turnusu: ja kawalera, a Kasia panienkę. Wszyscy myśleli, że poznaliśmy się dopiero podczas turnusu.

Mieliśmy miłe towarzystwo, chodziliśmy na liczne wycieczki, zwłaszcza na pobliskie Kopę, Śnieżkę, Pielgrzymy, i do schroniska "Samotnia". Czynny był już, wybudowany niedawno, wyciąg krzesełkowy z Karpacza na Kopę, który znacznie skracał czas i trudy wędrówki na szczyty Karkonoszy. Zwiedziliśmy również Jelenią Górę, wielką zaporę na Bobrze w Pilichowicach oraz Szklarską Porębę ze Szrenicą. Pogoda cały czas dopisywała, było słonecznie i coraz cieplej. W niecce jeleniogórskiej już zaczynała się wiosna, ale na szczytach zalegała jeszcze gruba warstwa śniegu. Były to wspaniałe wakacje, mamy kilkadziesiąt zdjęć, jakie wtedy sam wykonywałem. Turnus wczasowy zakończył się wielkim balem pożegnalnym, a Kasia jakby otrząsnęła się już z bólu po stracie swej mamy.



Wczasy w Szklarskiej Porębie

Niedługo po powrocie z urlopu w Karkonoszach udałem się do Dyrekcji Budowy Nowej Huty w jakichś celach służbowych. W jej sąsiedztwie na osiedlu C-1, zwłaszcza na ulicy przed budynkiem Dzielnicowej Rady Narodowej zauważyłem kordon milicji i spore zbiegowisko ludzi. Wkrótce dowiedziałem się co się stało. Mianowicie niedaleko obok funkcjonującego już Teatru Ludowego znajdował się spory plac, jakich kilka, bez szczegółowego określenia ich przeznaczenia, zaprojektował w Nowej Hucie generalny projektant inż. T. Ptaszycki. W Dyrekcji Budowy zaplanowano wybudowanie w tym miejscu w 1960 roku dużej szkoły podstawowej.

Ta szkoła nie była przewidywana przez plan generalny NH, gdyż nie sposób było

też przewidzieć niezwyklego przyrostu naturalnego, jaki wystąpił na nowych osiedlach w okresie po ich zasiedleniu. Przecież w czasie lat 50. coroczne przyrosty naturalne ludności w Polsce były wyższe niż np. później w całym 6-leciu 1990-96. Zaś w Nowej Hucie padały pod tym względem rekordy absolutne. Prawa cyklu: "młodzi - praca - mieszkanie - dzieci" funkcjonowały tu niezawodnie. Tak więc przez szkoły podstawowe miasta w latach 1959-70 przechodziła "nawałnica" dzieci, urodzonych już w NH. Stąd pomysł szybkiego wybudowania szkoły na Placu Teatralnym. Lecz gdy 26 kwietnia 1960 r. brygada kopaczy rozpoczęła prace przy wykopach, doszło do ostrego protestu okolicznych mieszkańców.

Mianowicie w 1957 r. ustawiony został na tym placu duży drewniany krzyż, gdyż Kuria upatrzyła ten teren na budowę nowego kościoła. Krzyż w nocy został wykopany i usunięty przez kierownictwo robót, co jeszcze bardziej rozsierdziło protestujących. Spalili więc następnego dnia kilka kiosków gazetowych "Ruchu" oraz wybili szyby w nieodległym budynku Rady Dzielnicowej i w sklepach na osiedlu. Nastąpiła wówczas zdecydowana, ostra interwencja oddziałów milicyjnych, ściągniętych z całego Krakowa. Doszło do bójek, spalenia kilku samochodów milicyjnych, aresztowano kilkaset osób, użyte zostały gazy łzawiące i ostra broń. W wyniku obrażenia odniosło kilkudziesięciu milicjantów i nieokreślona, ale znacznie większa liczba protestujących i przypadkowych mieszkańców.

Ostatecznie krzyż stoi obecnie bliżej drogi i wisi na nim tabliczka, upamiętniająca tamte wydarzenia z kwietnia 1960 roku. Zaś szkoła wybudowana została w ciągu roku, jako jedna z pierwszych "tysiąclatek" i należy niewątpliwie do najbardziej funkcjonalnych szkół w Krakowie. Wyróżnia się między innymi nowatorskim powiązaniem szatni przyklasowych z izbami lekcyjnymi.

Po nieudanej próbie zamiany posiadanych przez nas dwu mieszkań na większe, zmieniliśmy plany w tym zakresie i złożyłem wniosek o członkostwo w Międzyzakładowej Młodzieżowej Spółdzielni Mieszkaniowej, by tą drogą uzyskać większe mieszkanie. Równocześnie rozpocząłem starania o likwidację swej nowohuckiej kawalerki. Było to mieszkanie służbowe i oczywiście musiałem je przekazać urzędowi kwaterunkowemu, ale zostawiałem w nim pełne umeblowanie, urządzoną wnękę kuchenną, zasłony, firanki, lustro ścienne itp. Chciałem oczywiście uzyskać za to jakieś pieniądze. Skontaktowałem się więc, po przez ogłoszenie w prasie, z młodym pracownikiem Huty, który wraz z żoną reflektowali na mieszkanko oraz zakup wszystkich mebli. Złożyli, równolegle z moją rezygnacją, wniosek o uzyskanie mieszkania, na co rzeczywiście szybko uzyskali urzędową zgodę, gdyż obydwójce pracowali w nowohuckim Kombinacie. Natomiast gorzej było ze spłatą należności za przejęte meble i wyposażenie, pozostawione przeze mnie, mimo, że zgodziłem się na spłatę ratalną. Skończyło się na pierwszej racie, ale trudno, było to raczej bardzo biedne, młode, startujące dopiero zawodowo, małżeństwo.

Zarząd Młodzieżowej Spółdzielni Mieszkaniowej przyjął mnie na członka bez najmniejszych problemów. Wszak była to ta sama spółdzielnia, której dwa lata wcześniej przekazałem gotowe bloki mieszkalne przy ulicy Grzegórzeckiej, gdy nie miała jeszcze tylu członków rzeczywistych ile otrzymanych mieszkań. Rewanżując się niejako, prezesi zaproponowali mi uzyskanie już w ciągu kilku miesięcy mieszkania w aktualnie kończonych nowych budynkach w części północnej ich osiedla Noworzegórzeckiego. Oczywiście musiałbym wówczas w tym krótkim terminie zgromadzić na swej mieszkaniowej książeczce PKO cały wkład budowlany, wynoszący około 30 tys. złotych. Mogłem nawet zrealizować tę wpłatę, bazując na swych kawalerskich oszczędnościach, ale żona nie przyjęła zgłoszonej nam propozycji. Po prostu we wskazanych budynkach były jedynie standardowe mieszkania jedno i dwupokojowe. A jej, zresztą jak najbardziej słusznie i

rozsądnie, marzyło się mieszkanie większe, konkretnie trzypokojowe. Poza tym nie odpowiadała jej lokalizacja tych budynków, a ostatecznie to mieliśmy aktualnie gdzie mieszkać.

Tak się akurat złożyło, że dla tej MMSM w mym biurze projektowany był w tym czasie duży plombowy budynek mieszkalny w dzielnicy Salwator. Były w nim przewidziane mieszkania różnej wielkości, również 3 i 4 pokojowe. Zgłosiłem więc w spółdzielni, że reflektuję na mieszkanie w tym projektowanym jeszcze budynku i już w lipcu spisana została za mną umowa na trzy pokojowe mieszkanie we wskazanym bloku, o wielkości 65 metrów kwadratowych, z terminem przekazania mieszkania do 31 grudnia 1962 r., a więc za 2,5 roku. Odpowiadało to nam jak najbardziej.

Po przeprowadzonej na początku roku weryfikacji stanowisk projektanckich w państwowych biurach projektowych, wszyscy starsi projektanci, którzy uzyskali pozytywne weryfikacje zostali zobowiązani do złożenia specjalnego egzaminu na tzw. uprawnienia budowlane. Wymóg ten wynikał z ustawy o prawie budowlanym jeszcze z 1939 roku, w okresie powojennym jednakże nie w pełni respektowanym. Egzaminy dotyczyły głównie zagadnień, związanych z bezpieczeństwem i higieną pracy oraz znajomością obowiązujących przepisów budowlanych. Przygotowałem się starannie do nich i zdałem je z wynikiem bardzo dobrym. A w sierpniu otrzymałem z Komitetu Budownictwa, Urbanistyki i Architektury formalne uprawnienie do kierowania, określonymi w odpowiednim rozporządzeniu, robotami budowlanymi i sporządzania projektów dla tych robót.

W sierpniu na kilka dni przyjechała do nas moja mama ze swą siostrą Anielą, która zamieszkiwała w miejscowości Próchenki w powiecie Łosice w województwie lubelskim, gdzie od czasów przedwojennych była nauczycielką w szkole podstawowej. Przede wszystkim udaliśmy się na grób mamy Kasi na Cmentarzu Rakowieckim. Grób posiadał już obudowę i nagrobek, wykonane ze sztucznego kamienia według mojego własnego projektu. Najwidoczniej firma kamieniarska wykorzystywała potem często moje rysunki, gdyż od tego czasu zauważałem na cmentarzu co raz więcej identycznych grobowców.



Z ciocią Anielą i mamą na spacerze

Ciotka Nela od bardzo dawna nie była w Krakowie, więc zwiedziliśmy prawie całą Starówkę, byliśmy na Wawelu, także w Ogrodzie Botanicznym. Do tego Ogrodu chodziliśmy w tym czasie w dwójkę z żoną bardzo często. Położony był blisko naszego miejsca zamieszkania, była tam wspaniała roślinność, a przy tym spokojnie i cicho. Spacerując po ścieżkach ogrodu można było doskonale wypoczywać, a było to wskazane dla żony, będącej wówczas w odmiennym stanie.

Sierpień 1960 r. był też miesiącem XVII Światowych Igrzysk Olimpijskich, jakie odbyły się w Rzymie. Polskie radio, prasa i telewizja szeroko informowały o wielkich sukcesach polskiej ekipy sportowej, zwłaszcza bokserów, która zdobyła 21 medali i szóste miejsce w nieoficjalnej punktacji. Normalnie, na co dzień, nie interesowałem się żadną dyscypliną sportową, ale relacje z rzymskiej Olimpiady śledziłem z zapartym tchem.

Również w wielkiej polityce miały miejsce ważne wydarzenia. Należała do nich niewątpliwie marcowa konferencja rozbrojeniowa w Genewie, na której po raz pierwszy zgłoszona została propozycja zawarcia ogólnoświatowego układu o zaprzestaniu do-

świadczeń z bronią jądrową. Oraz zestrzelenie w maju nad terytorium radzieckim, przy pomocy rakiety, amerykańskiego szpiegowskiego samolotu U-2, lecącego na dużej wysokości, poza zasięgiem klasycznej artylerii przeciwlotniczej. Wydarzenie to było powodem zerwania paryskiej konferencji w sprawie układu pokojowego z Niemcami. Poza tym: Francja dokonała pierwszej eksplozji swej bomby atomowej; w USA wodowano pierwszy okręt podwodny o napędzie atomowym, wyposażonym w rakiety balistyczne; powstało 8 nowych niepodległych państw narodowych w Afryce.

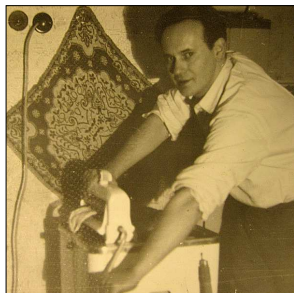
W dniu 21 września powiększyła mi się rodzina, bo przyszedł na świat pierwszy syn. Żona zaproponowała, aby dać mu staropolskie imię Maciej. Jeszcze przez prawie dwa tygodnie przebywała wraz z pierworodnym w szpitalu, a ja co drugi dzień chodziłem do szpitala i w poczekalni pisałem listy do niej, informując o bieżących wydarzeniach i konsultując zakupy tetra na pieluszki, środków pielęgnacyjnych dla niemowlaka, śpioszków, czepków itd.

Gdy 4 października Kasia wraz z Maciusiem wróciła ze szpitala, to radykalnie odmienił się nasz dotychczasowy tryb życia. Przede wszystkim kupiłem małą plastikową wanienkę do kąpieli dziecka. W ciągłym użytkowaniu była też pralka, jaką wcześniej zainstalowałem w mieszkaniu. Była to elektryczna pralka wirnikowa z ręczną wyżymaczką. Obsługa tej wyżymaczki, czyli kręcenie korbką, należała do mnie. Żeby było więcej roboty, to potem wyżymane pieluszki jeszcze się prasowało, ale to nie należało już do moich kompetencji domowych.

Jeszcze w czasie pobytu żony w szpitalu kupiłem telewizor "Smaragd", był to chyba drugi po "Belwederze" typ telewizora, produkowanego w Polsce. Miał obłą, fornirowaną skrzynkę i dołem dwa wielkie pokręta. Próbną nadawanie programów TV z wieży Pałacu Nauki i Kultury w Warszawie rozpoczęło się wprawdzie już w 1956 roku, ale dopiero w 1960 r. nastąpił większy postęp w rozpowszechnianiu się tego nowego środka masowego przekazu w naszym kraju, gdy ilość odbiorników TV doszła do 10 tysięcy sztuk. Przy czym regularny program ograniczał się do krótkich audycji informacyjnych, jedynie w czwartki nadawany był przez 4 godziny. Niestety jakość przekazu obrazu i dźwięku była raczej mizerna. Poprawiła się znacznie dopiero po oddaniu do użytku, rozpoczętej właśnie budowy, dużej stacji przekąźnikowej na wywyższeniu Chorągwicy pod Krakowem.

Po niedługim czasie urlop macierzyński żonie się skończył i zmuszeni byliśmy zaangażować kogoś do opieki nad dzieckiem. Pierwszą osobą, dochodzącą do naszego synka, była wieloletnia przyjaciółka mamy Kasi, pani Smalewska. Solidna, odpowiedzialna i doświadczona, gdyż wychowała już dwie swoje córki i syna. Przychodziła do naszego mieszkania przed wyjściem żony do pracy i odchodziła po naszym powrocie. Zajmowała się ona jedynie dzieckiem, które karmiła, przewijała i zabawiała, przy czym do kąpienia Maciusia przychodziła dodatkowo profesjonalna pielęgniarka o określonej porze. Gotowanie obiadów i inne czynności domowe należały nadal do Kasi, ja zaś nieodmiennie kręciłem korbką i wyżymałem pieluchy.

Wkrótce zakres moich obowiązków ojcowskich jeszcze się powiększył w związku z koniecznością codziennego wożenia syna wózkiem na spaceru na świeżym powietrzu. Mianowicie oba okna naszego mieszkanka usytuowane były od strony północnej budynku i słońce do mieszkania nigdy nie zaglądało. Lekarz orzekł, że aby dziecko uchronić przed krzywicą, należy możliwie często wozić je na świeże powietrze i wystawiać na "kąpiele" słoneczne.



Wyżymanie pieluch

Kupiliśmy wtedy głęboki wózek dla Maciusia, i gdy tylko było pogodnie i słonecznie, nawet w mroźne dni, zabierałem go na spacer. Najczęściej chodziłem wzdłuż niedalekiej ulicy Powstańców Warszawy, która miała szerokie chodniki. Sam siadałem na ławce i czytałem prasę lub książkę, zaś wózek ustawiałem tak, że twarz synka poddana była naświetlaniu promieniami słonecznymi. Te spacerory z wózkiem kontynuowałem przez okres około trzech lat, przy czym po upływie półtora roku Maciek korzystał już ze składanego wózka spacerowego.



Na słonecznym spacerze

W dnie pochmurne i słotne naświetlaliśmy naszego milusińskiego specjalną ultrafioletową lampą kwarcową, jaką w tym celu nabyliśmy. Kosztowała drogo i należało przy jej użyciu stosować odpowiednie środki ostrożności, ale była ona bardzo skuteczna.



Maciek ba tapczanie

Tak więc ostatni kwartał 60 roku wyraźnie upływał nam, zwłaszcza żonie, na pielęgnacji naszego małego Maciusia. Na szczęście nie dokuczał nam zbyt często swym płaczem. Wprost przeciwnie: był dzieckiem pogodnym i roześmianym, w nocy raczej spał smacznie, dopisywał mu niezły apetyt i szybko rósł i "mężniał".

Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy bardzo rodzinnie, to znaczy trzyosobowo w swym własnym mieszkanku. Znow, jak w ubiegłym roku, Kasia kupiła i ustroiła dużą choinkę, obwieszając ją obficie szklanymi bombkami i srebrzystą lametą. Stała na stojaku w kącie pokoju, przytulona z jednej strony do telewizora i, usytuowanego nad nim na półce, dużego radioadapteru. W pewnym momencie, na szczęście na naszych oczach, zapaliła się na choince lameta i inne ozdóbki. W ułamku sekundy ogień przeniósł się też na fornirowaną obudowę radioadapteru. Wyglądało to bardzo groźnie, ale szybko pożar ugasiłmy kocem, niszcząc przy okazji to i owo. Radio nadawało się jeszcze wprawdzie do użytku, lecz oszpecone zostało bezpowrotnie przez duży liszaj zgorzeliny. Jak się później okazało, dla naszego trzymiesięcznego synka ten pożar stanowił pierwsze zapamiętane mgliście zdarzenie w jego życiu.



Maciek w kojcu

Nowy rok też przywitaliśmy w swym mieszkaniu, wspólnie z zaprzyjaźnionym młodym małżeństwem. Ona, Wandzia, pracowała razem z Kasią i była, oraz pozostała najlepszą przyjaciółką. Jej mąż, Tadeusz Brachowski, pracował jako robotnik w Instytucie Odlewnictwa i aktualnie studiował na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Potem, ciągle pracując w tym samym zakładzie, przeszedł prawie wszystkie szczeble zawodowe w Instytucie aż do stanowiska naczelnego dyrektora. Tymczasem, od swego małżeństwa, które zawarli rok wcześniej od nas, wiodło im się dość skromnie. Wspólnie

spełniliśmy szampański toast, witając nowy 1961 rok.

Za kilka dni próbowałem zrobić bilans swoich wydatków finansowych za miniony rok i w ogóle za okres ostatnich 16 miesięcy, jaki upłynął od czasu mego ślubu. Bilans był porażający, nawet nie byłem w stanie doliczyć się wszystkich poniesionych wydatków. W każdym bądź razie moje niemałe, wieloletnie kawalerskie oszczędności stopniały prawie zupełnie. Trzeba było zabrać się intensywnie do pracy, by przynajmniej zrównoważyć przychody z niezbędnymi wydatkami.

Od I kwartału 1961 r. włączyłem się do opracowywania wraz ze Staszkiem Cwizewiczem projektu technicznego dużego budynku biurowego dla Zjednoczenia Przemysłowego Wyrobów Metalowych "Prozamet" przy ul. Mogiłskiej w Krakowie. Był to 12-kondygnacyjny obiekt, o kubaturze ponad 25 tys. metrów sześciennych, projektowany jako pierwszy z grupy czterech podobnych, powiązanych piętrowym łącznikiem. Opracowywaliśmy równocześnie zagospodarowanie przestrzenne całego tego zespołu, którego obiekty miały być następnie budowane kolejno, począwszy od 1962 roku. Ostatecznie zrealizowane zostały później tylko dwa z nich.

Budynki miały prefabrykowane zewnętrzne ściany osłonowe w formie przeszklonych ram żelbetowych, przy czym w partiach parapetowych tych elementów osłonowych zastosowaliśmy wykładziny z kolorowych tafli szkła hartowanego. Dokumentacja była bardzo pracochłonna, z uwagi na zastosowanie wielu nowatorskich rozwiązań. W trakcie tych prac projektowych Staszek poważnie zachorował i musiałem sam z zespołem kontynuować i dokończyć rysunki robocze. Było z tym wiele pracy i wobec stosunkowo krótkich terminów umownych dostarczenia dokumentacji inwestorowi - przychodziłem dodatkowo do biura, do pracy, w godzinach wieczornych. Na szczęście usytuowane było tylko kilkaset metrów od miejsca mego zamieszkania.

Na początku letnich wakacji szkolnych przyjechała do Krakowa na kilka dni moja siostra wraz z kilkunastoletnim synem, Januszem. Oprawdzaliśmy ich po Krakowie, zabierając zwykle na spacer również Maciusia, oczywiście w jego różowym wózekku. Natomiast w sierpniu wybraliśmy się do moich rodziców, mieszkających w Kępnie. Jechaliśmy ładne kilka godzin zwykłym pociągami osobowym. W pewnym momencie Kasia stwierdziła, że pora na ciepły posiłek dla Maćka, dając mi buteleczkę zimnego mleka. Nie dysponowałem oczywiście żadną kuchenką, więc na najbliższej stacji butelkę z mlekiem dałem maszyniście parowozu i poprosiłem o jej podgrzanie. Odebrałem ją na kolejnej stacji, już odpowiednio podgrzaną w palenisku lokomotywy.



Cała nasza rodzina w komplecie

jeszcze swego brata Ferdynanda w Kłodzku, przyjechał do nas, do Krakowa, także wuj Edziu ze swą rodziną.

W Kępnie, w domu mych rodziców, odbyło się kilkudniowe spotkanie - zjazd rodzeństwa mej mamy. Był Wacek z Tczewa, Aniela z Próchenek, Edek z Anglii, wraz z żoną i dwoma synami. Przyjechała też moja siostra z mężem i dwójgiem dzieci z Wrocławia. W sumie było nas 15 osób. Najstarszym był dziadek, to jest mój ojciec, który miał wtedy 65 lat, najmłodszym mój synek, liczący 10 miesięcy. Oczywiście było gwarno od rozmów oraz wspomnień i nie obyło się bez wspólnych zdjęć w atelier fotograficznym. W Kępnie bawiliśmy raptem kilka dni, poczym powróciliśmy do Krakowa. Wkrótce, po odwiedzeniu

Kilka słów o moim wujku Edwardzie. W 1938 roku, w wieku przedpoborowym, wstąpił on ochotniczo do Korpusu Ochrony Pogranicza, gdzie został trębaczem. Po rozbrojeniu jego oddziału przez Rosjan we wrześniu 1939 r., zamiast wrócić do rodziców, dał się namówić, wraz ze swym kolegą, na pracę w kopalni węgla w Zagłębiu Donieckim. W 1941 roku zgłosił się do Armii Andersa i następnie przez Irak i Włochy znalazł się, już po wojnie, w Niemczech, jako żołnierz polskich formacji wartowniczych. Ożenił się tam z Niemką, po czym razem wyjechali do Anglii, gdzie, po odbyciu odpowiedniego kursu zawodowego, wujek został tkaczem w dużej fabryce włókienniczej. Do Polski po raz pierwszy po wojnie przyjechał właśnie w 1961 r., zabierając ze sobą żonę Lottę i obu kilkunastoletnich synów Jurka i Piotra.



Zjazd rodzinny mamy w Kępnie

Pokazaliśmy im oczywiście Kraków i Nową Hutę oraz na 3 dni pojechaliśmy razem do Zakopanego. Była prawie cały czas piękna pogoda i nasi angielscy goście bardzo z pobytu w Krakowie i Zakopanem, oraz w ogóle w Polsce, byli zadowoleni i oczarowani, zwłaszcza zabytkami Krakowa i Tatrami. Naturalnie do Zakopanego nie zabraliśmy naszego małego Maciusia. Został on w Krakowie pod opieką pani Smalewskiej, która zresztą zabrała niemowlaka do swego mieszkania. Nawiasem mówiąc, to bardzo się do niego przywiązała, zresztą Maciek również traktował ją jako osobę numer jeden, o co niekiedy byliśmy trochę zazdrośni.



Z „Anglikami” w Zakopanem

We wrześniu wziąłem udział w trzydniowym spotkaniu absolwentów trzech pierwszych powojennych roczników Wydziału Architektury Politechniki Wrocławskiej. Miło było spotkać się z kolegami, z którymi 15 lat wcześniej rozpoczynałem studia architektoniczne. Informowaliśmy się wzajemnie o swych karierach zawodowych i życiowych oraz o swym dorobku projektowym. W ramach zjazdu zwiedziliśmy wystawę prac projektowych, urządzoną z tej okazji w Miastoprojekcie-Wrocław, oraz kilka osiedli i obiektów wrocławskich, po których oprowadzali nas ich autorzy. Zjazd zakończył się imponującym bankietem w ekskluzywnej restauracji "Monopol" obok Opery Wrocławskiej.

W następnym miesiącu moje biuro projektowe zorganizowało dla swych pracowników wycieczkę autokarową do Warszawy. Wziąłem w niej udział wraz z żoną. Zwiedziliśmy Starówkę Warszawską, Pałac Kultury i Nauki, Plac Konstytucji. Na Placu Zamkowym stała już odbudowana kolumna z królem Zygmuntem III Wazą, dzierżącym wielki krzyż w lewej ręce i miecz w prawej, symbolizujące jego ultrakatolicyzm (kontrreformacja) i prowadzone przezeń wojny (o Inflanty). Zwiedziliśmy też zbudowany w czasach króla Jana III Sobieskiego przepiękny, barokowy Pałac w Wilanowie, aktualnie pieczołowicie odbudowywany po zniszczeniach wojennych. Widziałem go po raz pierwszy, a

zaimponowały mi zwłaszcza park i ogrody wokół Pałacu. W drodze powrotnej oglądnęliśmy ruiny zamku z XIII wieku w Chęcinach, z czterema wielkimi narożnymi basztami.

W polityce międzynarodowej rok 1961 kończył się znacznym pogorszeniem stosunków międzynarodowych. W styczniu nastąpiło zerwanie stosunków dyplomatycznych między USA i Kubą, a w kwietniu nieudane lądowanie kilkutysięcznego oddziału emigrantów kubańskich, kierowanego i uzbrojonego przez Amerykanów, w Zatoce Świń na Kubie. W lipcu Związek Radziecki zawiesił redukcje zbrojeń, po czym dokonał szeregu próbnych wybuchów bomb jądrowych, w tym jednej 50-megatonowej, największej z dotąd zbudowanych. Zaś Stany Zjednoczone zwiększyły swe wydatki na zbrojenia i wznowiły podziemne próby jądrowe.

Najpoważniejszą formę przybrał tzw. kryzys berliński, gdy władze NRD w połowie sierpnia zdecydowały odгородzić wschodni sektor Berlina wysokim murem betonowym i zasiekami od zachodnich stref okupacyjnych miasta. Natężenie wzajemnej wrogości, potęgowane przez kolejne demonstracje wojskowe i wystąpienia propagandowe po obu stronach konfliktu, osiągnęło swe apogeum mniej więcej na koniec września. Wtedy to otrzymałem od mamy z Kępna dramatyczny list, w którym wyrażała przekonanie, iż "wojna wisi na włosku" i radziła byśmy przyjechali niezwłocznie do Kępna, gdyż "miasta wojewódzkie pójdą na zagładę, a tym bardziej Nowa Huta". Odpisałem natychmiast uspokajająco, że wojny w Niemczech, ani w ogóle w Europie, nie będzie, bo żadna ze stron nie może mieć pewności jej wygrania w sytuacji osiągnięcia wzajemnej równowagi broni jądrowej, jaka co najwyżej gwarantować mogła zagładę obu ewentualnych przeciwników.

Rok 1961 zaznaczył się też wielkimi osiągnięciami w dziedzinie opanowywania Kosmosu. W dniu 12 kwietnia kosmonauta Jurij Gagarin odbył, jako pierwszy człowiek, 70-minutowy lot w przestrzeni kosmicznej dookoła Ziemi, zaś w sierpniu Herman Titow okrążył w statku kosmicznym Ziemię 17 razy, przebywając w stanie nieważkości przez ponad 25 godzin. Amerykanie natomiast rozpoczęli prace nad programem "Apollo", którego celem było przygotowanie lotu i lądowania człowieka na Księżycu.

SERIA SZKÓŁ

Prefabrykacja szkół * Noga w gipsie * Praga Czeska * Urodziny Grzegorza * Seria szkół

W pierwszych latach sześćdziesiątych co roku planowano w Krakowie budowę 5-6 dużych szkół podstawowych. Przewidywano początkowo, że podobnie jak dotąd, realizowane one będą wszystkie w technologiach tradycyjnych, przy zastosowaniu cegły ceramicznej. Ale w tym okresie już prawie całe budownictwo mieszkaniowe na nowych osiedlach projektowane było w technologiach uprzemysłowionych, głównie w technologii wielkoblokowej, z zastosowaniem wielkogabarytowych prefabrykatów betonowych. Generalny wykonawca w Krakowie to jest Kombinat Budownictwa Mieszkaniowego - Nowa Huta nie zatrudniał już wtedy wielkich rzesz murarzy, to też zaproponowano naszemu biurowi zaprojektowanie nowych szkół również w technologii wielkoblokowej. Nie można było jednakże w tym celu wykorzystać prefabrykaty typu "Żerań", jakie stosowano w Krakowie w budownictwie mieszkaniowym, choćby z uwagi na inne wysokości kondygnacji, wielkości otworów okiennych itp.

W związku z tym KBM NH zlecił nam analizę zastosowania w Krakowie tzw. technologii typu "Wierzbno", po raz pierwszy zastosowanej do budowy szkół właśnie na osiedlu Wierzbno w Warszawie. Zlecenie było kompleksowe i dotyczyło: oceny walorów użytkowych i ekonomicznych zastosowanych projektów, sporządzenia harmonogramu budowy szkół i bilansów potrzebnych prefabrykatów oraz organizacji odpowiedniego poligonu produkcyjnego. Dla pierwszych szkół przedsiębiorstwo deklarowało nawet gotowość ewentualnego dowozu prefabrykatów z Warszawy lub Łodzi.

Podjąłem się wykonania zleconej pracy, która mi bardzo odpowiadała. Przede wszystkim pojechałem do Łodzi, gdzie uruchomiono już taki poligon typu "Wierzbno" i realizowano pierwszą szkołę podstawową w tej technologii. Oglądałem budowę szkoły, poligon, zrobiłem serię zdjęć, zapoznałem się z dokumentacją projektową, katalogami prefabrykatów, kosztorysami. Zajęło mi to niespełna dwa dni, więc przy okazji zwiedziłem jeszcze miasto, którego nie widziałem od około 6 lat. Przespacerowałem się ul. Piotrkowską, a następnie odszukałem w Miastoprojekcie-Łódź swego kolegę ze studiów wrocławskich Aleksandra Zwierkę, o którym wiedziałem, że jest jednym z głównych projektantów nowych osiedli łódzkich. Pokazał mi on swe najnowsze imponujące obiekty i kilka zespołów osiedlowych w Śródmieściu.

Po powrocie do Krakowa przedstawiłem swą bardzo pozytywną, a szeroko udokumentowaną ocenę technologii "Wierzbno", zamówiłem katalogi prefabrykatów w Biurze Projektów Typowych w Warszawie i zabrałem się do adaptacji projektów technicznych samych szkół. Polegała ona na powiększeniu szkoły z 16 na 18 izb lekcyjnych, uzupełnieniu rysunków detali, opracowaniu wersji w odbiciu zwierciadlanym oraz zagospodarowaniu działek szkolnych. Pierwsze moje projekty obejmowały po dwie szkoły na osiedlach G i H w Bieńczycach. W sumie ja sam w ciągu trzech lat zaprojektowałem w Nowej Hucie i Krakowie jedenaście 18 izbowych szkół podstawowych w tej technologii.

Natomiast KBM-NH uruchomił w krótkim czasie poligon prefabrykatów "Wierzbno", obejmujących pełny ich asortyment na ściany, stropy, klatki schodowe i dachy. Poligon pracował potem na dwie zmiany, zaś montaż stanu surowego dużego budynku szkolnego trwał jedynie około pół roku. Duża satysfakcja.

W marcu 1962 r. pojechaliśmy, w ramach naszych urlopów wypoczynkowych, na wczasy, znów do ulubionego Karpacza. Tym razem zamieszkaliśmy w dobrze wyposa-

żonym i zaopatrzonym domu wypoczynkowym, należącym do zakładu pracy Kasi. Zabraliśmy ze sobą także naszego półtorarocznego synka. Były to jego pierwsze, rzeczywiste wczasy, jeśli nie liczyć pobytu u dziadków latem poprzedniego roku. Oczywiście nie mogliśmy już swobodnie dysponować swym czasem, gdyż Maciek wymagał stałej opieki i towarzystwa przynajmniej jednego z nas dwojga. Mnie to bardzo odpowiadało, wygrzewałem się z synkiem na słońcu i czytałem książki z wczasowej biblioteki.

Kilka razy poszliśmy jednak z Kasią na wycieczki górskie, wtedy nasz synek pozostawał pod opieką kogoś z personelu domu wczasowego. Niekiedy, na wypożyczonych na miejscu sankach, jeździłem wraz z Maciusiem na pobliskiej górze. Musiałem bacznie uważać przy zjeździe, gdyż górka kończyła się na zakolu serpentyny głównej drogi w Karpaczu. Ale ruch kołowy na niej był wówczas minimalny.



Nasi przyjaciele Stachniakowie
życiu, zdominowanym przez pracę zawodową i opiekę nad dziećmi, gdy byli małe.

W czasie jednej z takich zabaw saneczkowych spotkałem swego dawnego kolegę, z którym pracowałem 8 lat wcześniej w Dyrekcji Budowy Miasta Nowej Huty, Igora Stachniaka. Przebywał on również na wczasach wraz z żoną Ireną i kilkuletnim synem, Andrzejem. Nawiazaliśmy z nimi kontakt i kontynuowaliśmy potem znajomość w Krakowie. Odwiedzaliśmy się wzajem wielokrotnie, zwykle w soboty lub niedziele, na małych kulinarnych przyjęciach, które zwykle kończyły się grą w brydża. Stał się on w ogóle w tamtych latach naszą namiętnością i relaksem w dość uciążliwym i jednostronnym

Z początku lata gościliśmy moją siostrę z córką Grażynką i cicią Nelę. Była piękna pogoda, więc chodziły one wszystkie na spacer, zabierając oczywiście ze sobą Maciusia w wózek. Ja miałem dzięki temu nieco więcej czasu, który poświęcałem głównie na pracę zawodową.

Wybraliśmy się także wtedy do Ogrodu Zoologicznego, który jest usytuowany daleko od centrum Krakowa w Lasku Wolskim. Nasz maluch był wniebowzięty, oglądając co raz to inne zwierzęta. Bardzo go interesowały i trzeba było go mocno trzymać, gdy wyrwał się do różnych jeleni, kucyków, antylop czy wielbłądów. Ja oczywiście opowiadałem mu gdzie poszczególne zwierzęta żyją, czym się odżywiają itp.

Miałem w ogóle zwyczaj i przyjemność opowiadania Maćkowi na naszych spacerach o poważnych i dorosłych sprawach, zresztą także w sposób profesjonalny i szczegółowy. Mówiłem mu więc, na przykład, jak wytwarza się szkło, stal, beton, lub papier, w jaki sposób buduje się domy, maluje obrazy, jak zbudowany jest nasz układ planetarny itd. I o dziwo słuchał tego zwykle z wielkim zainteresowaniem, nigdy nie dopominając się bynajmniej żadnych bajeczek o wilkach, czerwonym kapturku, krasnoludkach, smokach, czy tym podobne. I co jeszcze dziwniejsze, po wielu, wielu latach zaskakiwał mnie tym, że to i owo z tych opowieści zapamiętał.



Maciek ze słonikiem na tapczanie

Pewnego wrzeźniowego popołudnia, gdy siedziałem z Maćkiem przy stole w kuchni, nagle spadł z krzesła. Uderzył się przy tym swą lewą nogą w kanciastą nogę stołu. Podniosłem go zaraz i jeszcze strofowałem za to, że tak się wiercił na krześle, aż upadł. Wieczorem i w nocy kwilił żałośnie, bo bolała go ta noga, więc nazajutrz, a była to niedziela, pojechalismy do szpitala. Tam wykonano odpowiednie zdjęcie rentgenowskie, a po jego wywołaniu lekarz poinformował nas, że nastąpiło pęknięcie kości goleniowej, oraz że konieczne jest założenie usztywniającego opatrunku gipsowego, który też niezwłocznie został wykonany. Mieliśmy więc kłopot z dodatkową pielęgnacją unieruchomionego syna. Nadal zabieraliśmy go jednakże w wózku na spacer, mógł siedzieć na ławce, czy kolanach.

Po tygodniu wzięliśmy oboje z Kasią urlopy wypoczynkowe i pojechalismy razem z Maćkiem na wczasy do Zakopanego. Nie planowaliśmy swych urlopów w tym czasie, ale mogliśmy w ten sposób poświęcić synowi więcej czasu, a poza tym zapowiadała się piękna pogoda. Wzięliśmy oczywiście także wózek spacerowy.

Wędrowaliśmy po całym Zakopanem od Doliny do Białego po Gubałówkę, wszędzie z Maćkiem na wózku. Ale po tygodniu, zgodnie z zaleceniem chirurga, w szpitalu zakopiańskim zdjęto mu dotychczasowy opatrunek gipsowy i założono nowy, złożony z dwu oddzielnych łupin. Odtąd codziennie zdejmowaliśmy te łupiny celem przemycia nogi i natarcia jej kremem pielęgnacyjnym. Mianowicie skóra pod gipsem była bardzo spierzchnięta i zwiotczała i wymagała regeneracji. Samo pęknięcie kości goleniowej, jak wykazało kontrolne zdjęcie zrosło się szybko już po dwu tygodniach. W ostatnich dniach naszego pobytu w Zakopanem opatrunek gipsowy w ogóle został usunięty i Maciek mógł już normalnie chodzić.



Maciek z nogą w gipsie

Przez cały czas turnusu była słoneczna pogoda, to też wykonałem kilkadziesiąt zdjęć, których głównym bohaterem był naturalnie nasz "król Maciuś I". Miałem dobry, kupiony niedawno, nowoczesny, małoobrazkowy aparat "Werra", produkcji enerdowskiej, używałem go zwłaszcza na wczasach, wycieczkach itp.

Odbitki wykonywałem potem sam wieczorami, lub w niedziele, korzystając z małej ciemni fotograficznej, znajdującej się w moim biurze. Była ona wyposażona w cały niezbędny sprzęt, to jest koreks do wywoływania filmów, plastikowe szczypcy i wanienki, maskownice, powiększalnik i baseny do płukania gotowych odbitek. Takich hobbystów, parających się fotografią na własny użytek, było wówczas w Polsce bardzo dużo i przyjęło się, że organizacje związkowe we większych zakładach pracy urządzały ciemnie fotograficzne dla swych pracowników.

Kupowałem w sklepach tylko pakiety papieru zdjęciowego i chemikalia, z których sam sporządzałem wywoływacz i utrwalacz, potrzebne do wywołania błony filmowej i odbitek. Była to epoka zdjęć czarno-białych, dla których technologia obróbki filmowej jest stosunkowo prosta. Bardzo lubiłem to swoje hobby fotograficzne, przy tym bardzo niewiele ono kosztowało. Uprawiałem je aż do czasów mody na slajdy, to jest do 1971 roku. W efekcie mam 12 dużych i kilka mniejszych albumów rodzinnych, będących wierną pamiętką mego życiorysu tamtych lat.

7 listopada pojechałem na tygodniową wycieczkę turystyczną do Pragi Czeskiej, zorganizowaną poprzez Biuro Podróży "Orbis" dla Rady Zakładowej Związku Zawodo-

wego w moim biurze. Był to pierwszy mój wyjazd za granicę w Polsce Ludowej. To milionowe miasto, malowniczo położone w dolinie wijącej się Wełtawy i na okolicznych wzgórzach, podobało mi się bardzo. Zwiedziłem później jeszcze 12 innych stolic europejskich i oceniam, że Praga jest w ogóle najpiękniejszym miastem stołecznym w Europie. Nie bez znaczenia w tej mojej ocenie jest, obok walorów architektoniczno-krajobrazowych, także swojskość tego miasta dla nas, Polaków.

Zwiedzanie miasta zaczęliśmy od śródmieścia w godzinach popołudniowych. Miasto wyglądało jakby wymarłe; było bardzo mało przechodniów na ulicach, pustki w sklepach, restauracjach i kawiarniach. Pod tym względem Praga różniła się znacznie np. od Krakowa, bardzo ruchliwego o każdej porze dnia. Sytuacja wyjaśniła się jednakże w godzinach popołudniowych i wieczornych, gdy śródmieście wypełniło się wprost tłumem ludzi. Po prostu w godzinach rannych i południowych wszyscy Prażanie pracowali w swych biurach, fabrykach, uczelniach i dopiero po jej zakończeniu wychodzili na miasto, by zrobić zakupy, spotkać się w kawiarniach i bardzo licznych klubach z przyjaciółmi, pospacerować po placach i parkach.

Zwiedziliśmy rozległy Zamek Królewski na Hradczanach, Most Karola z dziesiątkami posągów, Złotą Uliczkę z miniaturowymi domami i sklepikami, Rynek Staromiejski z ratuszem i pomnikiem J. Husa. Przed Ratuszem czekaliśmy na wybicie godziny i pokazanie się galerii ruchomych figur w dwu oknach nad dwoma wielkimi zabytkowymi wielofunkcyjnymi zegarami. Zwiedziliśmy też maleńki Cmentarz Żydowski z nagrobnymi płytami, stojącymi gęsto obok siebie na grobach, w których zmarli też pochowani zostali na stojąco. W bibliotece uniwersyteckiej z XV wieku oglądaliśmy zbiór miniaturowych książeczek wielkości małego paznokcia. Oczywiście można je było czytać jedynie przy pomocy załączonej lupy. Byliśmy w teatrze "Laterna magika" na oryginalnym spektaklu, w trakcie którego stosowano różne sztuczki magiczne z przenikaniem obrazów, grą cieni itp.

Najwięcej czasu spędziliśmy na Placu Waclawa, będącym centralnym deptakiem Pragi, ze sklepami najbardziej odwiedzanymi przez turystów. Ja kupiłem tam szykowne, granatowe rajtuzy i buciki dla Maćka oraz modny nieprzemakalny płaszcz włoski dla siebie. Oczywiście byliśmy też na piwku w wielkiej piwnicznej restauracji "U Fleka", a także "U Kalicha", gdzie piwo pijał dzielny wojak Szwejk, żyjący w czasach cesarza Franciszka Józefa I, którego portrety zdobiły ściany piwiarni.

Przez jeden dzień zwiedzaliśmy autokarem dalsze dzielnice i znaczące obiekty Pragi, a na pół dnia pojechaliśmy zwiedzić Zamek w Karlsteinie. Zamek ten niczym orle gniazdo tkwił na szczycie góry, dominującej nad całą okolicą na północny zachód od czeskiej stolicy.

W drodze powrotnej zatrzymałem się na jeden dzień we Wrocławiu, gdzie przenokowałem i odwiedziłem w szpitalu swą siostrę, chorującą od dłuższego czasu w wyniku zatrucia pokarmowego grzybami. Przywiozła je, jak co roku, od rodziców z Kępna. Ojciec był świetnym znawcą grzybów i jeździł na grzyby rowerem do lasów w rejonie rzeki Prosną, wracał zwykle z pełnym koszem dorodnych maślaków, rydzy i borowików. Pech chciał, że raz znalazł się w koszu jakiś grzyb trujący.

Rok 1962 był drugim rokiem realizacji 5-letniego planu gospodarczego Polski. Stał on bardzo ambitne cele gospodarczego rozwoju kraju, zwłaszcza w zakresie rozbudowy bazy surowcowej i paliwowo-energetycznej. W lutym uruchomiony został rurociąg "Przyjaźń", tłoczący ropę naftową zza Uralu do nowych wielkich rafinerii w Płocku i w NRD. Uruchomiono też w ciągu roku: największą wówczas elektrownię w Polsce w Turoszowie na Dolnym Śląsku, wraz z towarzyszącą jej odkrywkową kopalnią węgla brunatnego; kopalnię węgla brunatnego "Pątnów" w nowym zagłębiu konińskim oraz

kopalnię węgla kamiennego "Jastrzębie". Ta kopalnia w małym miasteczku Jastrzębie Zdrój była jedną z pierwszych w nowym zagłębiu węgla kamiennego, tworzonym na tzw. "Zielonym Śląsku", to jest w Rybnickim Okręgu Węglowym. Budowano od podstaw wielkie zagłębie wydobywcze i przetwórcze siarki w rejonie Tarnobrzegu. Duże pieniądze skierowane zostały też na budowę szeregu fabryk nawozów sztucznych i maszyn dla potrzeb rolnictwa.

Tak więc "odwilżowe" trzy lata po 1956 roku, gdy za priorytetową w gospodarce traktowano rozbudowę przemysłu lekkiego, pracującego bezpośrednio dla potrzeb ludności, należały już do przeszłości. Plan 5-letni na lata 1961-65 stawiał z powrotem na piedestale gospodarki narodowej przemysł ciężki, wydobywczy i energetyczny. Puls kraju zaczęto znów odmierzать głównie milionami ton wyprodukowanego węgla kamiennego i brunatnego, stali, siarki, nawozów sztucznych, a nieco później także miedzi.

W jakimś stopniu trzecia polska pięcioletka była też odpowiedzią na sytuację polityczną w świecie. Pod tym względem rok 1962 był bardzo podobny do swego poprzednika, gdy konfliktowe sytuacje i konfrontacje zbrojne przeplatały się z różnymi konferencjami rozbrojeniowymi i umowami o współpracy między zwaśnionymi stronami.

Podobnie jak w 1961 roku, zaistniała jedna realna groźba wybuchu wojny światowej, przy czym tym razem chodziło nie o Berlin, lecz o Kuba. Mianowicie, po stwierdzeniu dużych dostaw na Kubę broni radzieckiej i rozpoczęciu instalowania na wyspie broni rakietowej, USA dokonały blokady tego niedużego państwa karaibskiego, żądając od ZSRR zaprzestania dostaw broni i demontażu zainstalowanych już wyrzutni rakietowych. Kryzys został wówczas szybko zażegnany, bo Chruszczow zgodził się na warunki amerykańskie w zamian za zapewnienie ze strony USA, że nie dokonają inwazji na Kubę. Prezydent Kennedy złożył taką deklarację, którą potem USA rzetelnie przestrzegały, nie znosząc wszakże swego gospodarczego embarga i nie rezygnując bynajmniej z zamysłu uduszenia w ten sposób małego, niepokornego sąsiada.

Natomiast w marcu odbyła się kolejna konferencja rozbrojeniowa w Genewie i zawarta została umowa amerykańsko-radziecka o pokojowym wykorzystaniu przestrzeni kosmicznej. Kończyły się wojny w Algierii, która uzyskała niepodległość państwową, i w Kongo, gdzie oddziały ONZ położyły kres secesji prowincji Katanga. Tak więc w 1962 roku, podobnie jak w 1961, sytuacja geopolityczna kształtowała się nadal zgodnie ze znanym kabaretowym powiedzeniem Olgi Lipińskiej, że "Co się polepszy - to się popieprzy".

Trwała też nadal wielka rywalizacja supermocarstw w Kosmosie, przy czym Stany Zjednoczone skupiły się na badaniach planety Wenus, a ZSRR wysłał kolejne sondy na Marsa. Ponad to USA wprowadziły na orbitę okołoziemską pierwsze satelity telekomunikacyjne do przekazywania programów TV między Ameryką i Europą, a ZSRR wystrzelił załogowy statek "Kosmos" nowego typu.

W 1963 roku rozpoczęto w Krakowie realizację programu przyspieszonej budowy szkół podstawowych i średnich. Było to głównie konsekwencją przyjętej w lipcu 1961 r. przez Sejm ustawy o wprowadzeniu w Polsce 8-klasowych szkół podstawowych i przedłużeniu obowiązkowej nauki o jeden rok. W jej wyniku zaistniała potrzeba poważnej rozbudowy sieci szkół w kraju, co zawarte zostało w popularnym i nośnym hasle: "Tysiąc szkół na 1000-lecie". Już wcześniej w 1959 r. utworzony został Społeczny Fundusz Budowy Szkół Tysiąclecia, zresztą na wzór, istniejącego w pierwszych 10 latach PRL, Funduszu Odbudowy Stolicy. W 1963 r. zgromadzone fundusze zostały uruchomione i rozpoczęła się realizacja programu.

W Krakowie wyglądało to w ten sposób, że oprócz bieżącej realizacji obiektów szkolnych na nowych osiedlach mieszkaniowych, wprowadzono do planów inwestycji-

nych na lata 1963-1965 siedem dodatkowych budynków szkolnych. Po ustaleniu ich lokalizacji, Dyrekcja Inwestycji Miejskich zleciła opracowanie dokumentacji techniczno-roboczej na ich realizację do naszego biura. Tak się złożyło, iż wszystkie one trafiły do mojego zespołu.

Do mnie należało aktualnie również opracowanie dokumentacji projektowej dla trzech szkół na osiedlach nowohuckich, więc łącznie do końca roku miałem przygotować dokumentację dla dziesięciu szkół podstawowych i średnich, w tym jedna na 12, a pozostałe po 18 izb lekcyjnych. W przypadku szkół w Nowej Hucie (Bieńczyce) wystarczyło opracowanie projektów techniczno-roboczych, krakowskie szkoły wymagały dodatkowo wcześniejszego wykonania i zatwierdzenia projektów wstępnych, obejmujących koncepcje architektoniczne, zagospodarowania terenu, instalacji i sieci uzbrojenia, wytycznych realizacji inwestycji oraz zbiorczych zestawień kosztów. Do tych projektów wstępnych przystąpiłem dopiero w kwietniu-maju po otrzymaniu od inwestora niezbędnych planów sytuacyjno-wysokościowych i dokumentacji geologiczno-inżynierskiej.

Tymczasem w I kwartale koncentrowałem się na projektach dla szkół nowohuckich. Równocześnie w zespole prowadziliśmy nadzory autorskie nad budującymi się Centralnym Ośrodkiem Chłodnictwa i biurowcem "Prozamet", ciągle jeszcze wykonując dla tych inwestycji różne uzupełniające rysunki robocze. Staszek wykonywał ponadto szereg innych dokumentacji, a jeszcze przyjmowaliśmy różne pomniejsze prace oraz podzlecenia z innych pracowni, dotyczące rysunków inwentaryzacyjnych, obiektów kubaturowych, związanych z uzbrojeniem terenu i małej architektury, a zwłaszcza projektów wnętrz. Te ostatnie dla pracującego w naszym zespole projektanta wnętrz Kazia Morawca.

Od stycznia 1963 roku zacząłem również pełnić funkcję zastępcy kierownika pracowni PW-2. Nie zajmowało mi to bynajmniej wiele czasu, a polegało głównie na zastępowaniu kierownika podczas jego urlopu i niekiedy w czasie jego chwilowej nieobecności w biurze. Wszelkie bieżące prace administracyjne, zwłaszcza prowadzenie umów, oraz związane z obsługą pracowników np. ich zaopatrzeniem w materiały kreślarskie itp., prowadziła pełnoetatowa ekonomistka-sekretarka pracowni Ludmiła Nowacka. Robiła to doskonale.

W dniu 18 lutego 1963 roku urodził się drugi mój syn. Również tym razem żona przebywała w szpitalu bardzo długo, bo aż prawie trzy tygodnie. Raz pielęgniarki pokazały mi niemowlaka przez szybę. Był podobny do swego dziadka, bo tak samo nie miał ani jednego włoska na głowie, a spojrzał na mnie tak krzywo, jakby miał do mnie jakieś pretensje.

Mieliśmy mały problem z uzgodnieniem imienia dla nowonarodzonego. Żona chciała by miał na imię Grzegorz lub Jarek, bo akurat była pod wrażeniem świeżo czytanych książek Jarosława Iwaszkiewicza. Mnie to pierwsze wydawało się dobre na młode lata, ale nieco niepoważne na wiek dojrzały. Ostatecznie nasz drugi syn otrzymał dwa imiona: Jarosław, Grzegorz. Rzecz jasna, że w potocznym używaniu było potem Grześ, Grzesiu, Grzegorz i tak już pozostało, a to pierwsze imię stało się tylko przyczyną różnych późniejszych drobnych nieporozumień formalnych.

W czasie przebywania żony w szpitalu, Maćkiem opiekowała się ciotka Irka, która zabrała go do swego mieszkania. Na dzień powrotu Kasi i Grzesia do domu mocno napaliłem w obu węglowych piecach w mieszkaniu i dokupiłem jeszcze elektryczny grzejnik (słoneczko), celem dodatkowego dogrzewania mieszkania np. na czas kąpieli niemowlaka. Nie było już natomiast potrzeby zakupywania tych wielu rzeczy, za którymi biegałem po sklepach po urodzeniu się pierwszego syna. Po prostu Grześ "odziedziczył" po Maćku śpioszki, czepki, wianienki, wózek itd.

W ostatnią niedzielę lutego poszedłem z Maćkiem na bal karnawałowy dla dzieci pracowników mojego biura, jaki zorganizowany został staraniem związku zawodowego mego biura w sąsiedniej, podopiecznej szkole podstawowej. Była to jego pierwsza zabawa, kupiłem mu kotylionową kokardkę oraz czapeczkę i otrzymał dużą paczkę ze słodyczami, podobnie jak wszystkie inne dzieci, biorące udział w balu.

Od marca wybrany zostałem przez załogę mego biura na członka Rady Zakładowej Związku Zawodowego Pracowników Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych. Taka była pełna, przydługa nieco, nazwa związku zawodowego, jaki zrzeszał w skali całego kraju pracowników, związanych z budownictwem, w tym również pracowników biur projektowych. A warto przypomnieć, że do związków zawodowych praktycznie należeli wszyscy pracujący.

Odtąd w Radzie Zakładowej należały do mnie sprawy, związane z rozpatrywaniem różnych problemów konfliktowych, występujących między pracownikami biura, a także skarg wnoszonych przez członków rodzin. Było to dosyć uciążliwe, trzeba było wysłuchiwać wszystkich uczestników sporu, godzić ich, niektóre sprawy były drażliwe, dotyczyły np. alkoholizmu i innych patologii. Ale w ogóle to tych konfliktów i skarg było bardzo niewiele.

Przez całe ubiegłe dwa lata, pracując wraz z żoną, zmuszeni byliśmy zatrudnić dochodzącą pomoc domową, której zadaniem była opieka nad naszym Maćkiem. Było ich trzy, czy cztery, głównie młode dziewczyny, bez doświadczenia w zakresie opieki nad dziećmi i raczej traktujące swą pracę dorywczo i przejściowo. W zasadzie pochodziły ze wsi i chodziło im głównie o możliwość zameldowania się w Krakowie. Praca w charakterze pomocy domowej dawała im taką możliwość. A gdy były już formalnymi mieszkankami Krakowa, wtedy starały się o pełnoetatowe zatrudnienie w jakiejś instytucji, czy przedsiębiorstwie państwowym. Właśnie w połowie maja byliśmy w takiej sytuacji, że nasza młoda pomoc domowa, z podkrakowskiej wsi, znalazła intratną posadę państwową i nas opuszczała.

Postanowiliśmy skończyć z tą prowizorką z przypadkowymi pomocami domowymi i zaangażować do opieki nad dwojgiem naszych dzieci raczej jakąś starszą kobietę, zamieszkującą na stałe w Krakowie. Daliśmy wtedy odpowiednie ogłoszenie do prasy, obiecując zresztą dobre wynagrodzenie. Odwiedzaliśmy potem zgłaszające się, aby sprawdzić, jak same mieszkają. Z pośród czterech prasowych kandydatek wybraliśmy starszą, około 50-letnią, kobietę, która mieszkała, wraz ze swym mężem emerytem, stosunkowo blisko i już przed wojną pracowała jako służąca. Zaangażowaliśmy ją od 15 maja i wydawało nam się, że będziemy mieli zapewnioną właściwą opiekę nad dziećmi na dłuższy okres czasu, to jest przez 3-4 lata, do ich podrośnięcia.

Ja, w każdym bądź razie, mogłem bez większych przeszkód rodzinnych angażować się w swej pracy zawodowej. A był to dla mnie okres bardzo pracowity. Przede wszystkim zająłem się opracowywaniem projektów dla siedmiu szkół "tysiąclecie" krakowskich. Zacząłem od wizji lokalnych, to jest oględzin terenów lokalizacji przyszłych szkół. Przez pewien czas w godzinach pracy wykonywałem jeszcze różne inne bieżące projekty. Były wśród nich: przebudowa przedszkola w Pcimiu, osadnik ścieków dla zaprojektowanej wcześniej szkoły podstawowej w Bieżanowie, projekt drogi dojazdowej do budynku mieszkalnego, w którym miałem mieszkać i inne. Natomiast po południu, już



Maciuś na balu

po godzinach pracy, a zwłaszcza w niedziele, gdy tylko była pogoda, dokonywałem wizji lokalnych terenu nowych szkół.

Na roboczej odbitce planu sytuacyjnego zaznaczałem wszelkie istotne dla budowy obiekty, urządzenia, nierówności terenu, istniejący drzewostan. Niekiedy stan istniejący miał szczególne znaczenie dla sposobu zaprojektowania i usytuowania przyszłej szkoły. Na przykład przy ulicy Praskiej, gdy zorientowałem się o występowaniu wysokiego poziomu wody gruntowej, to zaglądałem do nieodległej studni, pytałem sąsiadów o wahania zwierciadła wody gruntowej itp. Zaś na lokalizacji szkoły przy ul. Sierankiewicza, gdzie rosło bardzo dużo drzew, zaznaczałem na planie ich gatunki i na miejscu, już w trakcie wizji lokalnej, zastanawiałem się jak ustawić budynek szkoły i porozmieszczać boiska szkolne, by maksymalnie uchronić istniejący drzewostan. Szczególną uwagę zwracałem na wszelkie sieci elektryczne i uzbrojenia terenu, przebiegające obok oraz na dojazdy do przyszłych szkół.

Zwykle, w trakcie tych wizji lokalnych, robiłem po kilka zdjęć fotograficznych terenu działki i sąsiedniej zabudowy. Korzystałem z nich potem podczas opracowywania w biurze projektów zagospodarowania przestrzennego działek poszczególnych szkół. Zwykle zabierałem też na te wizje lokalne swego synka w wózku. On się czymś bawił lub siedział w wózek, a ja wykonywałem swą robotę. W ten sposób łączyłem przy okazji pracę zawodową ze spacerami w plenerze ze swym synem.

W połowie czerwca 1963 r. pojechaliśmy wszyscy czworo do moich rodziców w poznańskim. Maciek jechał do dziadków już na drugie swe wakacje, dla 4-miesięcznego Grzesia było to w ogóle pierwsza w życiu podróż pociągiem. Ja po trzech dniach pobytu u rodziców powróciłem do Krakowa, czekał mnie bowiem nawał pracy zawodowej.

Kasia z dziećmi przebywała u dziadków przez cały miesiąc, to jest do połowy lipca. Mieli tam piękną pogodę i te wakacje dla nich były bardzo udane. Maciek większość dnia spędzał w sporym ogrodzie-sadzie, bawił się ze swym rówieśnikiem z sąsiedztwa, mieli w ogródku piaskownicę, wózek, różne zabawki, piłkę. Nieraz pomagał babci w różnych czynnościach domowych i ogrodowych, a razem z dziadkiem karmił kury, doglądał królików, słuchał jego opowiadań.

Kasia odżyła "na łonie natury", też przebywała większość dnia w ogrodzie, opiekując się głównie maleńkim Grzesiem, który przesiadywał na jej kolanach lub spał smacznie w wózek na świeżym powietrzu. Wkrótce zresztą grono wczasowiczów u dziadków się powiększyło, gdyż z nastaniem ferii szkolnych przyjechały ciotka Aniela i moja siostra z Wrocławia, z dwojgiem swych dzieci: Januszkiem i Grażynką. Wtedy często organizowała się przy karcianym stoliku w ogrodzie czwórka do bridża, którego wszyscy dorośli byli namiętnymi amatorami.

Kuchnią zawiadywała babcia, zresztą mistrzyni w tym zakresie. Dogadzała pod tym względem wszystkim, a zwłaszcza wnukom, które zapamiętały już na zawsze kopiaste talerzyki słodziutkich truskawek ze śmietaną i wazy pełne smakowitych pierogów z jagodami.

Ja w tym czasie, od powrotu z Kępna, zabrałem się do opracowywania projektów koncepcyjnych mych szkolnych "tysiąclatek". Miałem już wszystkie materiały wyjściowe do projektowania, a to założenia inwestorskie, plany sytuacyjno-wysokościowe, dokumentacje geologiczno-inżynierskie, inwentaryzacje stanu istniejącego i ustalone typy szkół do zastosowania. Mogłem więc zabrać się do opracowania fazy projektów wstępnych inwestycji.

Oczywiście nie było żadnych szans, aby każdą ze szkół projektować indywidualnie. W czterech przypadkach posłużyłem się opracowanymi wcześniej przeze mnie szkołami typu "Wierzbno", oraz dwoma innymi projektami typowymi, jakie sprowadziłem z Biura Projektów Typowych w Warszawie.

W ramach każdego projektu wstępnego opracowałem: plan zagospodarowania przestrzennego, koncepcję zmian do zastosowanych projektów powtarzalnych, koncepcję podłączeń do zewnętrznych sieci sanitarnych, gazowej, c.o. i elektrycznej, wytyczne realizacji inwestycji oraz zbiorcze zestawienie kosztów inwestycji. Wykonywałem to wszystko sam, przy minimalnej kooperacji z branżowymi projektantami, z którymi w zasadzie tylko uzgadniałem poszczególne opracowania.

Ponieważ rodzina przebywała na wakacjach, mogłem sobie pozwolić na przebywanie w biurze do późnych godzin wieczornych, wracając do domu jedynie na nocleg. Śniadania przygotowywałem sobie sam w mieszkaniu przed wyjściem do pracy, na obiady chodziłem do pobliskiej restauracji przy ul. Daszyńskiego.

Ostatecznie wszystkie siedem projekty wstępne krakowskich "tysiącleci" gotowe były do końca lipca i po reprodukcji przekazane zostały przez biuro inwestorowi. Później po przygotowaniu odpowiednich koreferatów inwestorskich, projekty te rozpatrzone i zatwierdzone zostały w dniach 17 i 18 sierpnia przez Komisję Oceny Projektów Inwestycyjnych. Od tego momentu można było przystąpić do opracowywania realizacyjnej dokumentacji techniczno-roboczej dla wszystkich tych szkół.

Do Krakowa żona z dziećmi powróciła w połowie lipca. Kasia z energią zabrała się do swojej pracy zawodowej, zaś dzieci na czas naszej pracy miały stabilną, fachową opiekunkę. Mogłem właściwie dalej pracować po kilkanaście godzin na dobę.

W tym okresie bardzo rzadko chodziliśmy do kina, teatru, na imprezy rozrywkowe czy zabawy. Wiązało się to z koniecznością zatrzymywania na wieczór naszej gosposi, za co dodatkowo płaciliśmy, względnie upraszania do pilnowania dzieci naszej sąsiadki p. Gleniowej, lub jej kilkunastoletniej córeczki. Ale przede wszystkim nie mieliśmy na to czasu.

Prowadziliśmy jednakże małe życie towarzyskie, spotykając się w soboty, prawie co tydzień-dwa, z naszymi przyjaciółmi Stachniakami. Odwiedzaliśmy się na przemian wzajemnie w swych mieszkaniach, graliśmy w brydża, zawsze była też jakaś mała konsumpcja przygotowana przez aktualnych gospodarzy. Jeśli chodzi o naszych przyjaciół, to w roli kuchmistrza występował zwykle Igor. Był w tej funkcji znakomity, między innymi serwował dwukolorowe herbaty. Długo nie potrafiłem zgłębić jej receptury, a sprawa zasadzała się oczywiście na prawach fizyki. Należało wprawdzie do szklanki gorącej wody dodać nieco esencji i posłodzić ją, a resztę gorącej esencji dolać pomału (po srebrnej łyżeczce) po pewnej chwili. Lekko zabarwiona osłodzona woda miała większą gęstość niż niesłodzona esencja i oba różnokolorowe płyny przez dłuższą chwilę nie mieszały się ze sobą.

Stachniakowie mieszkali wtedy w obskurnym baraku po jakimś przedsiębiorstwie budowlanym. Natomiast ich dwupokojowe mieszkanie było przytulne, bardzo zadbane, można powiedzieć, że wprost wypieszczone. Igor miał wielkie poczucie estetyki i zdolności manualne, w mieszkaniu było wiele półeczek, szafek, zasłon jego własnej roboty. A meble, kolorystyka ścian świadczyły o dobrym guście gospodarzy. Podczas gry w brydża Maciek i Andrzej bawili się wspólnie zabawkami lub układankami, zaś Grześ spał w łóżeczku lub wózk. Kilka razy wybraliśmy się na sanki pod Kopiec Kościuszki. To znaczy na sankach jeździli głównie nasz Maciek i ich Andrzej.

Kasia miała dość liczną rodzinę w Krakowie. Tak się złożyło, że w znakomitej większości były to kobiety: ciotki Olga z córkami Bogusią i Danusią, Irka z córką Izą

oraz Jasia. Widywaliśmy się jednakże z nimi bardzo rzadko. Bliższe kontakty mieliśmy właściwie tylko z ciotką Irką i jej córką Izą. Z nimi dwoma najczęściej się spotykaliśmy i one służyły nam dorywczo pomocą w opiece nad naszymi małymi dziećmi, zwłaszcza zabierały je na spacer. Kilka słów o nich samych.

Czterdziestoparoletnia Irka, przeżyła w Krakowie swe młode lata w okresie przedwojennym we względnym dostatku. Podczas wojny miała małą dobrze prosperującą wytwórnię i sklepik z krawatami przy ul. Grodzkiej. Z uzyskanych dochodów wybudowała kilkunastopiętrowy dom, jednakże po jego ukończeniu, już po wojnie, na kilka lat wyjechała do Gdyni wraz ze swymi rodzicami i córeczką, urodzoną w 1945 r. Po powrocie nigdzie już nie pracowała i z biegiem lat miała coraz większe kłopoty materialne, żyła jedynie z wynajmu mieszkań w swym domu, w którym sama mieszkała w małej suterence. Była w związku z tym sfrustrowana, zgorzkniała, ciągle wspominała lata swej młodości, które nijak nie chciały powrócić.

Jej córka Iza miała z kolei żal do mamy za jej nieza-radność życiową, niechlujne utrzymywanie mieszkania, którym wstydziła się wobec swych koleżanek itp. Równocześnie miała wielkie ambicje osobiste i chęć urzędzenia sobie lepszego życia. Wkrótce wyemigrowała do Włoch, tam wyszła za mąż i pozostała na stałe, osiągając z powodzeniem i w pełni swe życiowe cele.



Irka, Maciuś, Kasia

Na opracowanie wszystkich siedem projektów techniczno-roboczych dla krakowskich "tysiąclatek" mieliśmy w biurze projektowym, zgodnie z umowami, zawartymi z inwestorem, to jest Dyrekcją Budowy Osiedli Robotniczych Kraków-Miasto, jedynie 3-5 miesięcy czasu.

W tej pracy zaangażowane były, oprócz mojego zespołu architektonicznego również wszystkie zespoły branżowe: konstrukcji, instalacji i sieci sanitarnych, drogowy oraz zieleni w ramach pracowni PW-2, a także zespoły instalacji i sieci elektrycznych, oraz kosztorysowania w pracowniach kooperujących. Najważniejszą więc była właściwie koordynacja tych wszystkich prac, terminowe przekazywanie podkładów architektonicznych projektantom branżowym, gotowych projektów do kosztorysowania itd.

Tego typu koordynacja w biurach projektowych była podstawowym zadaniem kierownika pracowni, w tym konkretnym przypadku włączyłem się osobiście do koordynacji, jako główny projektant i zastępca kierownika pracowni. Względnie łatwo jest ją prowadzić, gdy istnieją rezerwy "moce produkcyjne" w poszczególnych zespołach projektowych. W tamtym okresie całe biuro było poważnie obciążone umowami i takich wolnych mocy projektowych nie było. Prace przy moich szkołach, to była tylko część tego, co aktualnie biuro opracowywało, ale można powiedzieć, że miały one "zielone światło", stanowiąc także dla dyrekcji biura priorytetowe zadanie. Udało nam się zorganizować isticie taśmową robotę na deskach projektanckich, również szybko przepisywano, odbijano i oprawiano poszczególne opracowania w "wykańczalni", to jest w pracowni reprodukcyjnej.

W rezultacie przekazaliśmy inwestorowi pełną, kompleksową dokumentację techniczno-roboczą na wszystkie dziesięć szkół, w tym trzy nowohuckie, w umownych terminach do końca lutego 1964 roku. Przedsiębiorstwa wykonawcze mogły więc rozpoczynać roboty budowlane. Ale faktycznie to już od IV kwartału produkowano dla tych szkół wielkowymiarowe prefabrykaty betonowe typu "Wierzbno" na poligonie KPB-NH,

gdyż odpowiednie zestawienia prefabrykatów przekazałem z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem.

W ogóle rok 1963 był dla Krakowa brzemienny w inwestycje budowlane. Oprócz dalszej rozbudowy przemysłu, głównie kombinatu hutniczego w Nowej Hucie, i osiedli mieszkaniowych, realizowany był także wielki program rozbudowy wyższych uczelni krakowskich. Miał on faktycznie w ciągu około ośmiu lat zwielokrotnić potencjał dydaktyczny Uniwersytetu Jagiellońskiego, a zwłaszcza Akademii Hutniczo-Górnictwej, dla której przeznaczono rozległe tereny wzdłuż prawie całej ulicy Reymonta. Program realizowano pod hasłem uczczenia jubileuszu 600-lecia istnienia UJ, przypadającego na 1964 rok. Między innymi w 1963 r. w budowie znajdowały się: skrzydło Biblioteki Jagiellońskiej, Obserwatorium Astronomiczne w forcie Skała, Collegium Paderevianum przy ul. Kopernika i szereg domów studenckich przy ul. Piastowskiej. Dokumentację projektowo-wykonawczą dla wszystkich tych obiektów opracowało Biuro Projektów "Miastoprojekt-Kraków".

Natomiast w moim Miejskim Biurze Projektowym wykonany został projekt generalnego remontu i przebudowy Rynku Głównego w Krakowie. Polegał on na zastąpieniu nawierzchni z kamieni brukowych na płyty granitowe, przy wcześniejszej wymianie podziemnych sieci instalacyjnych. Wszystkie te roboty zostały wykonane potem w ekspresowym tempie w ciągu półtora roku.

W geopolityce 1963 rok był względnie normalnym rokiem. Było kilka pozytywnych wydarzeń, jak powstanie Organizacji Jedności Afrykańskiej, po przez którą państwa afrykańskie, zwłaszcza liczne nowopowstałe, chciały realizować wspólne cele i interesy kontynentu afrykańskiego. Zawarty też został układ Wielkiej Brytanii, ZSRR i Stanów Zjednoczonych w sprawie zakazu prób nuklearnych naziemnych i w atmosferze. Z drugiej strony miały miejsce krwawe rozruchy i zmiany rządów w Wietnamie Południowym, zamieszki na tle rasowym w Alabamie w USA, było też sporo klęsk żywiołowych, w tym wielkie trzęsienie ziemi w Skopje w Jugosławii z tysiącami ofiar.

Najtragiczniejszym wszak wydarzeniem roku było niewątpliwie zamordowanie prezydenta Stanów Zjednoczonych Johna Kennedy'ego 22 listopada w Dallas w stanie Texas. Przypuszczalny sprawca zamachu, były żołnierz "marines", Lee Osfald został prawie natychmiast zatrzymany przez policję, zaś za kilka dni zastrzelony w otoczeniu i na oczach policjantów. Jego mordercę skazano szybko na śmierć. Zaś śledztwo w sprawie zabójstwa Kennedy'ego rozmyło się rychło w sprzecznych zeznaniach świadków, mylnych tropach oraz błędach policji i chyba nigdy już opinia publiczna nie dowie się wiarygodnie, kto był faktycznym sprawcą i inspirował zabójstwo.

A ważyło ono w polityce świata bardzo wiele. J. Kennedy jawił się jako nowoczesny typ polityka już powojennej generacji, zdecydowany, ale i kompromisowy, był nadzieją na powstrzymanie nieustannego dryfowania polityki światowej w kierunku konfrontacji supermocarstw i katastrofie nuklearnej. Prezydentem został w listopadzie 1960 r, mógłby więc być sternikiem władzy w USA jeszcze dalsze 10 lat, licząc dwie kadencje. Komuś zależało, by tak się nie stało.

Ja osobiście bardzo Kennedy'ego ceniłem i faktem jego nagłej śmierci byłem, można powiedzieć, zdruzgotany. O zamachu dowiedziałem się z radia w biurze. Natomiast gdy po pracy przyszedłem do domu, przywitała mnie radosna, wprost rozanielona, służąca, wyrażająca swą wielką radość, że wreszcie ten bezbożny Antychryst, komunista Kennedy nie żyje. Nie przerywałem jej słowotoku, byłoby to zresztą tylko stratą czasu. Nasza Duda znana była z tego, że opowiadała wszystkim o swych objawieniach Matki Boskiej, relacjonowała je w szczegółach, a świat widziała tylko przez swe "boże" okulary. Gdy nasz Maciek przeziębził się z jej wyraźnej winy, to była to kara boska za to,

że nie chodziliśmy do kościoła. Gdy stłukła ona wazon, to Bóg tak chciał itp. Nie zwracaliśmy z żoną uwagę na ten skrajny obskurantyzm i dewocyjność naszej pomocy domowej. Miała ona ponad pięćdziesiąt lat i nie naszą rolą było jej edukowanie i oświecanie. Ponad to zależało nam na właściwej opiece nad naszymi dziećmi, a światopogląd i stan umysłu służącej nie miał dla nas większego znaczenia. A faktycznie małym Grześkiem zajmowała się troskliwie, traktując go jakby własnego wnuka. Gorzej było z odnośzeniem się do Maćka, który był bardzo ruchliwy i przekorny i już wtedy znacznie mądrzejszy od swej opiekunki.

W lutym, w ramach urlopu wypoczynkowego, znów pojechaliśmy na dwutygodniowe wczasy, tym razem do Szklarskiej Poręby Górnej. Zabraliśmy ze sobą 3,5-letniego Maćka, Grześ został pod opieką naszej pomocy domowej. Miała na ten czas zamieszkać w naszym mieszkaniu.

W Karkonoszach było bardzo dużo śniegu. Wypożyczyliśmy więc w domu wczasowym sanki, na których nasz synek, wraz z chmarą innych dzieciaków, zjeżdżał zapamiętałe z pobliskiej góry. Poza tym zabieraliśmy sanki także na spacer po mieście i woziliśmy Maćka, gdy zmęczył się wędrówką.

Trochę nieopatrznie wybraliśmy się pewnego pogodnego dnia na Szrenicę. Jest to kopiasta góra wysokości 1362 m n.p.m., najwyższa w zachodniej części Karkonoszy. Wjechaliśmy na szczyt dwuczęściowym wyciągiem krzesełkowym, zmontowanym niedawno w latach 1961/62. Na górze panowała bardzo ostra zima, był siarczysty mróz, a rzadkie sosny wyglądały jak poszarpane wiatrem białe skałki sterczące na białej sfaldowanej pustyni. Do schroniska musieliśmy przejść jeszcze kilkaset metrów, nie było prawie ludzi i żałowałem, że zaryzykowaliśmy tak uciążliwą, iście alpejską, wyprawę z małym synkiem. Ale dotleniliśmy się porządnie.

Po powrocie sąsiedzi donieśli nam, że na okres naszego pobytu na wczasach, w naszym mieszkaniu zamieszkiwał również mąż Dudy i że ponoć wynosił z piwnicy, i gdzieś zabierał ze sobą, ziemniaki i przyprawy konserwowe. Nawet nie chciało mi się tego sprawdzać i liczyć.

NOWE MIESZKANIE

Przeprowadzka * Baza MPO * Skarga gosposi * Wycieczka do Gdańska * Zakaźna żółtaczka * SDH Jubilat * Tysiąclatka nr 999

Od pierwszych dni marca 1964 r. przygotowywaliśmy się do przeprowadzki do nowego mieszkania, gdyż lada dzień nasz nowy spółdzielczy blok mieszkaniowy w dzielnicy Salwator miał być oddany do użytku. Jego budowa przeciągnęła się ponad rok w stosunku do planowanego pierwotnie terminu, w związku z czym wzrosły koszty budowy i trzeba było dopłacić sporą kwotę do wkładu budowlanego.

Otrzymaliśmy mieszkanie na I piętrze w narożniku budynku od strony południowej i zachodniej. Spółdzielnia wyznaczyła mieszkania przyszłym lokatorom jeszcze w trakcie budowy, tak że miałem pewien wpływ na wykończenie mieszkania, w szczególności na określenie, czy będą flizy w łazience i kuchni, jakie mają być posadzki w tych pomieszczeniach itp. W pokojach mieszkalnych i przedsiionkach były posadzki z dębowego parkietu, ułożonego w jodełkę. Wykonane też zostały solidne izolacje akustyczne stropów z dwóch warstw mat trzciniowych, układanych na krzyż, dzięki czemu nie było potem wzajemnych podśluchów przez lokatorów sąsiednich mieszkań.

Protokół zdawczo-odbiorczy przejęcia mieszkania przez żonę, jako główną lokatorkę, podpisany został 14 marca. Przeprowadziliśmy się już nazajutrz. Łazienka i kuchnia były wyposażone we wszystkie urządzenia sanitarne, kuchenkę gazową czteropłomienną i piecyk gazowy na ciepłą wodę. W kuchni był komplet szafek kuchennych, w przedpokoju wbudowane szafy z pawlaczami. Działało centralne ogrzewanie, liczniki gazowy i elektryczny były podłączone. Można więc było zamieszkać.

Z naszego dotychczasowego mieszkania przewieźliśmy tylko część mebli, zostawiając szafę i łóżka. Zabraliśmy oczywiście całe wyposażenie, kilimy, dywan, sprzęt gospodarczy, garderobę. Zamówiłem fachowców do różnych robót i na przykład nasza antena telewizyjno-radiowa zamontowana została na dachu budynku jako pierwsza. Za dalszych kilka dni żona upatrzyła w sklepie meblowym w Śródmieściu bardzo ładny enerdowski komplet meblowy w kolorze ciemnego orzecha do pokoju dziennego. Zakupiliśmy go wyjątkowo na raty. Do dalszych trzech pokoiów nie mieliśmy szansy, by kupić gotowe meble, gdyż pokoje te były bardzo wąskie i małeńkie, dwa środkowe po 7 m², ostatni narożny 10,5 m². Postanowiłem sam zaprojektować meble do tych pokoi.

Do ostatniego zaprojektowałem biurko składane z dwu części, dwie długie, wiszące szafki na książki, duże, stojące lustro z toaletką i półeczkę na drobiazgi. Na koniec maja meble były gotowe, wykonane jako fornirowane w kolorze jasnego orzecha. Po zakupieniu tapczanu, chodnika na posadzkę i zawieszeniu licznych mych obrazów, mieliśmy już drugi pokój umeblowany, a służył nam jako sypialnia i moje miejsce pracy.

Również do jednego ze środkowych pokoiów zaprojektowałem dwie oryginalne meblościanki z podnoszonymi łózkami. Stojaki ścianek z metalowych rur oksydowanych, górna obudowa z płyt laminowanych, w środkowej części były zamykane wnęki, po otwarciu których tworzyły się blaciki do pisania. Czyli w jednym meblu były łóżko, biurko oraz półki i szafki na książki, zeszyty i drobną garderobę. Oczywiście te dwie meblościanki miały służyć synom na okres ich lat szkolnych. Do kompletu umeblowania pokoiku należała jeszcze nieduża szafka-regał na zabawki.

Całość wykonała w lipcu, na moje zlecenie, fabryka mebli w Mszanie Dolnej, która specjalizowała się w produkcji mebli z płyt laminowanych na konstrukcji z rur stalowych dla barów mlecznych w całym kraju. Do drugiego małeńkiego pokoiku wstawiliśmy tylko

tapczan, miał to być pokój dla stałej już pomocy domowej

Nieco później zaprojektowałem do dziennego pokoju stolik-szafkę pod telewizor, który stał dotąd na starym, zniszczonym stoliku, nie pasującym zupełnie do naszych nowoczesnych enerdowskich mebli. Wykonanie nowego mebelka zleciłem do renomowanego warsztatu stolarskiego, mieszczącego się na Małym Rynku. Widocznie spodobał się właścicielowi warsztatu, gdyż potem przez kilka lat produkował seryjnie identyczne stoliki-szafki pod telewizory, prezentując je na sprzedaż w witrynie wystawowej swego warsztatu.

Tak więc stosunkowo szybko, w niespełna pięć miesięcy, uporał się z zadaniem umeblovania naszego nowego mieszkania. Dokupywanie kilimów, dywanów, różnorodnego sprzętu, innych drobnych mebli, wykonanie flizów w łazience i kuchni itp. ciągnęło się rzecz jasna jeszcze właściwie przez kilka lat

Ogólny koszt mieszkania wyniósł 221 tys. złotych, wpłacony już własny wkład budowlany 33 tys. Udzielony kredyt bankowy na pozostałą kwotę 188 tys. złotych mieliśmy spłacać przez 40 lat przy niskim 1% oprocentowaniu w skali roku i dodatkowo z perspektywą umorzenia końcówki kredytu po bodaj 25 latach regularnych spłat ratalnych.

Nie skończyłem jeszcze prac, związanych z projektami realizacyjnymi szkół "tyśiąclatek", gdy nowy dyrektor biura Adam Koczur zobowiązał mnie do pilnego wykonania projektu technicznego na budowę dużej Bazy Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania w Krakowie. Projekt był już rozpoczęty w innej pracowni, lecz z jakichś powodów przerwany zaraz na początku prac. Zapoznałem się przede wszystkim z organizacją przedsiębiorstwa oraz założeniami projektowymi przedsięwzięcia inwestycyjnego. Obejmowało ono cztero-kondygnacyjny budynek biurowy, duże warsztaty remontowo-naprawcze, garaże na liczny sprzęt i tabor specjalistyczny, liczne magazyny np. środków dla zwalczania gołoledzi itd. Obiekty kubaturowe miały łącznie prawie 40 tys. metrów kubicznych.

Największym problemem projektowym była zwłaszcza wielka hala warsztatowa, wyposażona w liczne, różnorodne maszyny. W trakcie prac projektowych często konsultowałem się z kierownictwem i specjalistami przedsiębiorstwa, starając się maksymalnie uwzględnić w projektach ich konkretne, fachowe uwagi. Opracowanie pełnej dokumentacji realizacyjnej całości Bazy MPO trwało w moim zespole projektowym kilka miesięcy.

W sąsiedztwie naszego nowego budynku, w którym zamieszkaliśmy, znajdowało się nieduże osiedlowe przedszkole. Zdecydowaliśmy się więc zapisać do niego naszego ponad 3,5 rocznego Maćka, by mógł przebywać w gronie swych rówieśników pod fachową opieką przedszkolank. Były wolne miejsca i od pierwszych dni maja nasz pierworodny syn odprowadzany był przez naszą pomoc domową do przedszkola, w którym przebywał do godzin popołudniowych.

Pewnego majowego dnia nasza gosposia J. Duda zażądała zakupu tradycyjnego, ciężkiego żelazka do prasowania, bo nie zadawała jej lekkie, zresztą bardzo nowoczesne, żelazko z termostatem, jakie posiadaliśmy. Wysłała obrażona, gdy żona stanowczo odmówiła i nie przyszła do pracy następnego dnia. Kasia pracowała wówczas w systemie zmianowym 12/24 godziny i nie mogła sobie pozwolić na nie pójście do pracy, gdzie czekała koleżanka po całonocnym dyżurze. Więc po wcześniejszym odprowadzeniu Maćka do przedszkola, owinęła 3-miesięcznego Grzesia kocem, wzięła go na ręce, przyjechała taksówką do mego biura i położyła go na desce rysunkowej, przy której pracowałem. Oczywiście musiałem zostawić swe rysunki, zabrałem jakieś pisane prace i z maluchem na ręku poszedłem pracować dalej do domu. Na kolejny dzień uprosiliśmy

o opiekę nad maluchem ciotkę Irkę.

Myśleliśmy, że nasza pomoc opuściła nas już bezpowrotnie. Ale po dwóch dniach zjawiał się jej mąż, przepraszaając za nieporozumienie i sam zaopiekował się dzieckiem, po czym jego żona wróciła do pracy. I przychodziła normalnie do dnia najbliższej wypłaty, to jest 2 czerwca. Po zainkasowaniu pieniędzy oświadczyła żonie, że bierze od zaraz 2-tygodniowy urlop, bo ma malowanie w swym mieszkaniu. Kasia zgadzała się na trzy dni, ale nie od razu, bo wprawdzie musiała uzgodnić w pracy odpowiednie ułożenie dyżurów. Zaś urlop pełny miała gospoia otrzymać już niedługo, w lipcu, w którym wyjeżdżaliśmy do dziadków w Poznańskim, o czym zainteresowana wiedziała zresztą od dawna. Zgodziła się, lecz pod warunkiem otrzymania w lipcu dodatkowych 800 złotych. Żona na szantaż nie przystała, a nasza Duda poszła sobie, tym razem, na dobre. Wprawdzie znów po kilku dniach zjawiał się jej mąż, lecz tylko po zaświadczenie o okresie pracy dla swej żony. Oczywiście mu je wypisałem. Znowu więc mieliśmy problemy z opieką nad naszymi dziećmi, daliśmy jednak szybko ogłoszenie do prasy i zatrudniliśmy nową pomoc domową, też starszą kobietę, garbuskę.

Z początkiem lipca zabrałem starszego syna i pojechaliśmy do dziadków do Kępna. Nasz pociąg krakowski był nieco opóźniony i w konsekwencji uciekł nam pociąg jadący z Katowic w kierunku Poznania. Nowe połączenie mieliśmy dopiero za kilka godzin, więc poszliśmy "w miasto". Śródmieście Katowic bardzo się zmieniło od mego poprzedniego w nim pobytu przed kilku laty. Przybyło sporo wysokich domów mieszkalnych, nowoczesny dom towarowy, kilka okazałych biurowców ze szkła i aluminium. Była pora popołudniowa, więc zjedliśmy obiad w eleganckiej restauracji "Monopol", gdzie Maciek skonsumował puchowego omleta. Do Kępna dojechaliliśmy dopiero wieczorem. Była tam już, jak co roku w porze wakacji szkolnych, ciocia Nela i moja siostra ze swymi dziećmi.

Rodzice znów chwalili się urodzajem w ogródku i polu, problemy były tylko ze stonką, która atakowała zawzięcie liście ziemniaczane. Wszyscy musieliśmy zbierać to wstrętne robactwo do flaszek, jakie potem zalewało się wodą. Maciek był hołubiony przez wszystkich, bawił się świetnie, miał wilczy



Przesiadka w Katowicach

apetyt, a ja nie byłem mu do niczego potrzebny. Chyba tylko do opowiadania "bajeczek" przed zaśnięciem. To też po tygodniowym pobycie pojechałem z powrotem do Krakowa, gdzie czekały na mnie pilne prace projektowe. Syn pozostał i wrócił z wakacji dopiero w połowie sierpnia, razem z mą siostrą i ciocią Nela, które zatrzymały się u nas na kilka dni. Bardzo podobało im się nasze nowe mieszkanie.

Kasia żałowała, że Grześ nie mógł ze mną pojechać do dziadków, gdyż był wtedy lekko przeziębiony. Przez cały ten czas normalnie pracowała, a opiekę nad Grzesiem w czasie jej



Rodzinny brydz w ogródku

nieobecności, sprawowała nasza nowa stała pomoc domowa, Władzia. Poprzednia gospoia, garbuska nie mogła poradzić sobie ze starszym synem. To on jej dokuczał, to

ona go poszturchiwała, w każdym bądź razie trzeba się było z nią rozstać. Zatrudniliśmy wtedy znów młodą, siedemnastoletnią dziewczynę. Władzia pracowała bardzo rzetelnie, miała też swoje dziewczęce słabości, ubierała się w suknie żony i paradowała w nich w czasie naszej nieobecności. Raz wzięła złoty pierścionek ślubny żony, a potem przyznała się, że obrączkę zgubiła. Godziliśmy się z tym wszystkim, bo taki to już marny los młodych pracujących małżeństw z małymi dziećmi, gdy nie mają babć i dziadków do pomocy na co dzień.

W moim biurze jeszcze trwały prace, związane z projektami dla Bazy MPO, ale równocześnie przyjąłem nowe zlecenia na opracowanie dokumentacji dla trzech niedużych, plombowych budynków mieszkalnych przy ul. Topolowej, Kościuszki i Lewińskiego. Po wizjach lokalnych i uzgodnieniach z inwestorem szybko opracowałem dla tych budynków niezbędne projekty wstępne. Po ich zatwierdzeniu przez MKOPI, do końca roku wykonałem projekty techniczne architektury, a w zespołach branżowych PW-2 projekty konstrukcji i wszystkich instalacji dla tych budynków.

W dniu 18 września otrzymaliśmy korespondencyjnie sentencję wyroku Sądu Powiatowego dla m. Krakowa z 22 sierpnia w sprawie roszczeń finansowych do nas ze strony naszej byłej gospośi J. Dudy. Nie otrzymaliśmy wcześniej ani wezwania na rozprawę, ani skargi samej Dudy, w ogóle dopiero z otrzymanej decyzji dowiedzieliśmy się o istnieniu tej skargi i odbyciu zaocznej rozprawy sądowej. Według sentencji wyroku mieliśmy zapłacić na rzecz powódki 1400 złotych wraz z odsetkami od czerwca, uiścić opłatę sądową 56 zł i to wszystko pod rygorem natychmiastowej wykonalności.

Wyliczona kwota miała być ekwiwalentem za niewykorzystany dwutygodniowy urlop, należny za okres rocznej pracy, plus koszt wyżywienia za czas niedosłego urlopu. Oczywiście żona złożyła natychmiast odwołanie do Sądu, argumentując, że to powódka opuściła swe miejsce pracy, bez uprzedniego wypowiedzenia ze swej strony, przez co z własnej winy utraciła możliwość korzystania z urlopu w lipcu, gdy sami mieliśmy wyjechać z dziećmi w ramach naszych urlopów pracowniczych. Naraziła nas przez to na poważne problemy i koszty anonsów prasowych.

Natomiast nasza była gospośia przez swego adwokata rozszerzyła powództwo o dodatkowe roszczenie tysiąca złotych za jakieś niedopłaty w pierwszych trzech miesiącach pracy 1963. Kolejny wyrok Sądu Powiatowego z marca 1966 r. zawierał już więc 3 strony uzasadnienia (poprzedni jedynie jedną stronę). I od tego wyroku odwołała się moja żona, prostując i wyjaśniając sprawy sprzed dwu i trzech lat, a także adwokat powódki, którego najwidoczniej bawiło gmatwanie procesu i wymyślanie coraz nowych okoliczności i roszczeń. Sprawa przeniosła się na wokandę Sądu Wojewódzkiego, by wrócić do ponownego rozpatrzenia przez Sąd Powiatowy. Ostateczną decyzję z 11 maja 1967 roku sąd ten oddalił w całości skargę i roszczenia byłej naszej pomocy domowej. Ale w sumie ta zabawa w ciuciubabkę trwała 3 lata, kosztowała немало skarb państwa, naszego czasu i nerwów i chyba tylko J. Duda i jej adwokat bawili się nieźle.

W październiku Zarząd Oddziału SARP (Stowarzyszenie Architektów Rzeczypospolitej Polskiej) w Krakowie zorganizował dla architektów, członków swego związku, 6-dniową wycieczkę autokarową trasą Kraków-Łódź-Płock-Gdańsk-Warszawa-Kazimierz Dolny-Kraków. Wycieczka ta była droga, ale nie mogłem nie pojechać, zwłaszcza że w wielu zwiedzanych miastach jeszcze nigdy nie byłem. Miała ona charakter szkoleniowo-zawodowy i równocześnie krajoznawczy. W Łodzi, Gdańsku i Warszawie braliśmy udział w spotkaniach z architektami miejskich pracowni urbanistycznych, którzy prezentowali plany rozbudowy swych miast, a potem występowali jako przewodnicy przy zwiedzaniu nowych osiedli i większych obiektów.

W Płocku zwiedziliśmy rozległy kombinat petrochemiczny. Zasilany już był w ropę z rurociągu "Przyjaźń", dla którego na Wiśle w Płocku zbudowano oryginalny most wiszący. W Toruniu mieliśmy tylko godzinny postój na zwiedzenie Rynku Staromiejskiego, ale zdażyłem kupić kilka dużych, ozdobnych, a smakowitych pierników na podarunki rodzinne. W Gdańsku i Gdyni objechaliśmy autokarem budujące się wielkie osiedla Przymorze, Wrzeszcz, Wzgórze Nowotki i Redłowo.

Już w drodze powrotnej zatrzymaliśmy się na krótko w miejscowości Grunwald, w celu zwiedzenia znajdującego się tam założenia pomnikowo-urbanistycznego. W Warszawie zwiedziliśmy ścianę wschodnią Placu Defilad, Trasę N-S, osiedla Sady Żoliborskie i Praga II oraz Plac Teatralny z Teatrem Wielkim Opery i Baletu. W Puławach wielki nowy kombinat nawozów sztucznych. Zupełnie inny charakter miało zwiedzanie starego, zabytkowego i uroczego Kazimierza Dolnego.

Przejechaliśmy trasę ponad 1700 kilometrów bez żadnych problemów i ze stosunkowo dużą szybkością. Trzeba jednakże wiedzieć, że motoryzacja w Polsce wówczas znajdowała się jeszcze w powijkach i ruch na szosach był bardzo mały.

W czwartym kwartale zaangażowałem się do opracowywania dwóch nowych tematów projektowych. Były to: rozbudowa budynku Krakowskiego Komitetu Wojewódzkiego PZPR i budowa nowej 16-izbowej szkoły podstawowej przy ul. Solskiego. Pierwszy obiekt miał być wybudowany jako skrzydło istniejącego gmachu Komitetu, w miejscu istniejącego, zruderowanego XIX-wiecznego budynku mieszkalnego, przeznaczonego do rozbioru. Szkoła miała stanąć po przeciwnej stronie ulicy, na istniejącym placu, zajętym tylko przez drewniane prowizoryczne baraki. Koncepcje obu tematów opracowywał już od pewnego czasu mój partner w zespole, Staszek Ćwizewicz. Ja włączyłem się na etapie uściślenia i uzgadniania programu użytkowego dla rozbudowywanego KW, przy czym przewidywano też znaczne zmiany w istniejącym budynku, jakie miały być przeprowadzone w ramach jego generalnego remontu. Uzgodnienia dokonywaliśmy bezpośrednio z I sekretarzem KW Lucjanem Motyką. Był to człowiek bardzo opanowany oraz zdecydowany i miał duże zaufanie do nas projektantów, wysłuchując uważnie i przyjmując nasze propozycje.

Rozbudowa budynku KW nie doczekała się jednakże realizacji i projekt został przerwany w fazie koncepcji architektonicznej. Dwa tego były powody. Po pierwsze Lucjan Motyka w styczniu 1965 r. mianowany został Ministrem Kultury i Sztuki i przeniósł się do Warszawy, a jego następca nie przejawiał większego zainteresowania inwestycją. Drugim powodem, chyba ważniejszym, było to, że zbyt wiele się w Polsce w tych latach budowało i zaczęło brakować środków finansowych. Zaczęły się ograniczenia w rozpoczynaniu nowych inwestycji, a nawet wprowadzanie, niekiedy drastycznych, ograniczeń w już kontynuowanych i przygotowywanych. Biura projektowe otrzymały wówczas nowy oszczędnościowy normatyw projektowania budownictwa mieszkaniowego. Między innymi zabraniał on stosowania balkonów, zmniejszał powierzchnię użytkową mieszkań i zalecał projektowanie w małych mieszkaniach tzw. ślepych kuchni (bez okna). W Krakowie te oszczędności wdrożono tylko na jednym, ale dużym, osiedlu Azory projektowanym w naszym biurze.

Natomiast projekt budynku szkolnego przy ul. Solskiego był kontynuowany i w ciągu kilku miesięcy opracowałem najpierw projekt wstępny, zaś później pełny projekt techniczny. Było z tym bardzo dużo pracy, bo obiekt zaprojektowany został jako całkowicie indywidualny, z podcieniami, prześwitami itp. Ostatecznie jednak szkoła ta nigdy nie została wybudowana. Był to więc jeden, z bardzo nielicznych obiektów, projektowanych przeze mnie, które nie zostały zrealizowane. Wcześniej należały do nich tylko dwie szkoły podstawowe przy ul. Bulwarowej w Nowej Hucie.

Od 1 stycznia 1965 r, biuro moje przeszło kolejną reorganizację. Polegała ona przede wszystkim na tym, że wyłączono z biura dwie pracownie zajmujące się remontami i rewaloryzacją budynków zabytkowych w Krakowie i utworzono na ich bazie nowe biuro pod nazwą Miejskie Biuro Projektów. Związane to było ze znacznym wzrostem zakresu remontów na Starówce Krakowskiej i utworzeniem również oddzielnych wyspecjalizowanych przedsiębiorstw, zajmujących się wyłącznie remontami. Pozwoliło to potem faktycznie na usprawnienie planowania, projektowania i wykonawstwa robót renowacyjnych na krakowskiej Starówce. Między innymi wprowadzono wtedy nowatorską w skali kraju, a może i świata, zasadę kompleksowej, równoczesnej waloryzacji całych kwartałów, złożonych z 4-6 budynków zabytkowych.

Pozostała, po wydzieleniu tych dwu pracowni remontowych, część biura kontynuowała normalnie wszystkie zlecone prace projektowe, oczywiście bez tych remontowych. Zmieniła jedynie nazwę na Krakowskie Biuro Projektów Budownictwa Ogólnego. Zmienił się też dyrektor, którym został młody architekt Witold Gawor.

W pierwszych dniach stycznia zachorowała nagle moja żona. Wezwany lekarz pogotowia stwierdził objawy żółtaczki zakaźnej i od razu przewieziono ją do Kliniki Chorób Zakaźnych przy ul. Kopernika. Na drugi dzień w południe przyszło do naszego mieszkania kilku pracowników Stacji Sanitarно-Epidemiologicznej i rozpylili jakiś mocno śmierdzący płyn na podłogę, dywany, pościel, ale nie na meble. Nie zostało więc ostatecznie żadnych śladów po tej dezynfekcji, a jedynie ostry zapach, występujący potem przez wiele dni. W mieszkaniu była wtedy Władzia, nasza stała pomoc domowa, wraz z dziećmi. Zgodnie ze wskazaniem ekipy sanitarnej, od razu wymieniła całą zdezynfekowaną bieliznę pościelową, ręczniki itp. na nowe. Zaś po kilku godzinach przyjechał wystraszony kierownik Izby Dziecka, w której pracowała Kasia, bo też mu zdezynfekowano wszystkie pomieszczenia, a nie wiedział co się z nią stało. Ja w tym czasie byłem normalnie w pracy w swym biurze projektowym.

Codziennie po godzinach pracy jeździłem do szpitala, by dowiedzieć się o stanie zdrowia Kasi. Oczywiście nie miałem dostępu na oddział, mogłem jedynie porozumiewać się z nią za pomocą liścików, a i to nie zawsze. Natomiast miałem pełną, kompetentną informację ze strony ordynator oddziału dr Ireny Zasowskiej. Nie były to bynajmniej informacje zbyt optymistyczne. W Krakowie panowała wówczas epidemia bardzo ostrej żółtaczki zakaźnej, a w klinice co kilka dni na jej oddziale miały miejsca zgony pacjentek. Mówiła coś o marskości wątroby, o nieodwracalnych skutkach choroby itp. Dla mnie te wszystkie informacje były jakby nie z tego świata, dotąd chyba nie wiedziałem, że w ogóle występuje taka choroba jak żółtaczka

W czwartym dniu pobytu żony w szpitalu, zachorował na żółtaczkę zakaźną również Maciek. Też w trybie pilnym pogotowie zabrało go do Miejskiego Szpitala Specjalistycznego dla Dzieci im. dr. Anki przy ul. Prądnickiej. Natężenie choroby u syna było jednak znacznie mniejsze niż u żony. Odtąd po wizycie w szpitalu na Kopernika jeździłem taksówką również do szpitala na Prądnickiej. Przy czym cały czas normalnie pracowałem w biurze, nie mówiąc nawet nikomu o swych problemach rodzinnych. Nie informowałem też żony o chorobie Maćka. Ale czuła się ona już lepiej, była w sali rekonwalescentów i mogłem z nią bezpośrednio rozmawiać, choć z pewnego dystansu. I wyciągnęła ze mnie informację o chorobie Maćka, gdy niezręcznie odpowiadałem na jej pytania, jak się czują dzieci.

Gdy przyjechałem w następnym dniu dr. Zasowska zakomunikowała mi, że zgadza się przyjąć na swój oddział również mego syna, chociaż normalnie dzieci na oddziale nie było. Po pewnych czynnościach administracyjnych Maciek znalazł się więc w pokoju u swej mamy. Cieszył się z tego bardzo, jeszcze bardziej żona, a również współlokatorki

na sali rekonwalescencyjnej, których sympatie ruchliwy, błyskotliwy i grzeczny malec zdobył już w pierwszych chwilach swego pobytu. A ja nie musiałem jeździć z jednego końca miasta na drugi.

Ich łączny pobyt w szpitalu trwał jeszcze dziesięć dni, po których obydwójce zostali wypisani z oddziału i mogłem ich zabrać do domu. Dzień wcześniej nieustrudzona dr. Zasowska zrobiła mi cały wykład na temat konieczności przestrzegania przez żonę określonej, ścisłej diety wątrobowej już właściwie do końca życia. Jeszcze dokładniej poinformowana została w tym względzie sama Kasia, zresztą menu dietetyczne otrzymaliśmy także na piśmie. Były w nim ser biały, miód, jarzyny, owoce, mięso wołowe, wszystko tylko gotowane. Nie było tłuszców, żółtych serów, jajek, wędlin (poza chudą szynką), wszelkich pieczeni, smażonych potraw itp.

Od tego czasu Kasia prowadziła dwie odrębne kuchnie, przygotowując dla mnie i Grzesia potrawy "normalne", podczas gdy sama z Maćkiem żywili się ściśle według przepisanej im diety żółtaczkowej. Ale z biegiem czasu, co raz bardziej swoją dietę rozszerzała również na mnie i młodszego synka, z wyraźną korzyścią dla naszego zdrowia. Opanowała zresztą umiejętność przyrządzania bardzo smacznych i urozmaiconych różnych dań i zup dietetycznych i serwowała to całej rodzinie. Ja wprawdzie nie pozbyłem się pociągu do kielbas, śledzików i innych pikantnych potraw, ale przestały one dominować w moim jadłospisie. I bardzo to sobie chwalę, zwłaszcza z perspektywy przeżytych zdrowo dalszych dziesiątków lat swego życia.

W lutym zjawił się w biurze mój przyjaciel Igor Stachniak z prośbą o przyjęcie zlecenia na opracowanie dokumentacji technicznej na budowę dużego domu towarowego dla Powszechnej Spółdzielni Spożywców "Społem" w Krakowie. Miała ona w mieście setki swych sklepów, kantorów sprzedażnych w zakładach pracy, magazynów i hurtowni. Spółdzielnia postanowiła też wybudować dla siebie w mieście duży dom handlowy, przyjmując dla niego nazwę Spółdzielczy Dom Handlowy "Jubilat", a to w związku ze zbliżającą się setną rocznicą spółdzielczości spożywców w Polsce. Igor był pełnomocnikiem Zarządu PSS "Społem" do spraw budowy tego domu handlowego i należały do niego wszystkie zagadnienia związane z przygotowaniem i realizacją inwestycji. Jeszcze w 1962 r. przeprowadzony został konkurs na projekt koncepcyjny, w którym wzięły udział 3 biura projektowe. Wygrał go nieduży Spółdzielczy Zespół Projektowy, który po roku przystąpił do wykonywania projektu technicznego.

W międzyczasie trwały roboty związane z przygotowaniem placu budowy, to jest usunięciem ruin budynku piętrowej drukarni, zniszczonej podczas wysadzenia w powietrze przez Niemców pobliskiego mostu Dębnickiego na Wiśle, oraz z przebudową istniejącej na działce rejonowej stacji transformatorowej. Roboty ziemne wykazały bardzo niekorzystne warunki gruntowo-wodne, konieczne stało się więc posadowienie budynku na tzw. wannie szczelnej oraz podmurowanie fundamentów ścian sąsiednich istniejących 5-kondygnacyjnych budynków mieszkalnych. Również te prace zostały rozpoczęte w oparciu o fragmentaryczne rysunki konstrukcyjne, po czym je przerwano na okres prawie dwu lat, wobec braku pełnego projektu technicznego.

Mianowicie przestał pracować w "Społem" dotychczasowy koordynator inż. S. Łysoń, a co gorsza, główny projektant-architekt wyemigrował do Izraela, zmieniając sobie ojczyznę. Cały dotychczasowy zespół projektowy się wtedy rozsypał, a samo biuro spółdzielcze wkrótce uległo likwidacji. Tak więc Igor przyjechał do mego biura, a właściwie do mnie osobiście, z jednym błagalnym przesłaniem "ratujcie!". Nie gadałem wiele, poprosiłem go, by na drugi dzień przywiózł mi projekt wstępny i wszystkie opracowane już fragmenty projektów technicznych, pojechałem na plac budowy, oraz udałem się do dyrekcji przedsiębiorstwa, gdzie poinformowano mnie, że przedsiębiorstwo

wystąpiło już do Komisji Arbitrażu Gospodarczego o odszkodowanie od inwestora za poniesione straty.

Po przeglądnięciu całego dotychczasowego materiału projektowego powiedziałem Igorowi, że podejmuję się kontynuacji projektu technicznego, ale wcześniej konieczne jest wykonanie nowego zamiennego projektu wstępnego. Chodziło mi przede wszystkim o szersze potraktowanie opracowań instalacyjnych, zwłaszcza wentylacji mechanicznej. Ponad to obowiązywał od stycznia nowy normatyw projektowania, zgodnie z którym m. in. należało zwiększyć wysokość kondygnacji biurowych. Inwestor szybko się zgodził, dorzucając ze swej strony nieco zmian programowych, to jest zamianę restauracji na kawiarnię, likwidację pralni i inne. Proszono tylko o szybkie terminy opracowania. Skompletowałem faktycznie bardzo mocny zespół projektowy. Konstrukcję miał kontynuować dotychczasowy projektant H. Schoen, który zaimponował mi śmiałością i nowatorstwem swych konstrukcji (siatka filigranowych, grzybkowych słupów 7,20 * 8,40, prefabrykowane stropy). Opracowania wszystkich licznych instalacji sanitarnych, grzewczych i wentylacji podjął się Ryszard Flisowski, bardzo ambitny, wszechstronny specjalista w swej branży. Instalacje elektryczne oświetleniowe, sygnalizacyjne, telefoniczne, przebudowy trafostacji przypadły Aleksandrowi Schillerowi, doświadczonemu, bezapelacyjnie najlepszemu w swej branży w biurze.

Po dwu miesiącach zamienny projekt wstępny był gotowy i natychmiast po jego rozpatrzeniu i zatwierdzeniu przystąpiliśmy do opracowania projektów techniczno-roboczych. Ja to nawet nie czekałem na formalne zatwierdzenie fazy wstępnej i przygotowywałem swe podkłady architektoniczne non stop. Zamierzałem początkowo, celem przyspieszenia prac projektowych, wykonać rysunki robocze dla całego budynku w skali 1:100. Po konsultacji z branżowymi kolegami okazało się to niemożliwe ze względu na skomplikowanie, zwłaszcza instalacji elektrycznych. To też jedynie elewacje rysowałem w skali 1:100, zaś rzuty wszystkich kondygnacji oraz przekroje w skali 1:50. Trzeba było rzuty ciąć przez połowę, bo rysunki całego budynku nie mieściły się na desce rysunkowej. Ostatecznie narysowaliśmy także w zespole wszystkie rzuty w skali 1:100 w uproszczonej formie, jako podkłady dla projektów instalacji wod.-kan, gazowej i centralnego ogrzewania, ale wykonali je moi asystenci.

W międzyczasie odbyło się posiedzenie Komisji Arbitrażowej w związku z roszczeniami generalnego wykonawcy za niedotrzymanie umownych terminów dostarczenia dokumentacji realizacyjnej przez PSS "Społem". Na prośbę inwestora wzięłem udział w tym posiedzeniu arbitrażowym, przedstawiając zakres prac już wykonanych przez biuro i bardzo szybkie ich tempo. Przy zgodzie przedstawicieli przedsiębiorstwa ustalono, że odbędzie się drugie posiedzenie arbitrażowe po terminie, w jakim obiecywałem dostarczenie projektów budowlanych. W ten sposób wpłatałem się ambicjonalnie w spór przedsiębiorstwa wykonawczego i inwe stora SDH "Jubilat", choć na dobrą sprawę, mógłby mnie on w ogóle nie interesować. Oczywiście jedną z przyczyn takiego mego postępowania była ma osobista przyjaźń do mego przyjaciela Igora Stachniaka, który był głównym pozwanym w procesie. Ale w ten sposób wydałem wyrok na me prywatne życie na okres kilku miesięcy.

Nie mogłem na przykład pojechać na planowany wcześniej urlop wypoczynkowy w miesiącu kwietniu. Kasia zabrała więc dzieci i pojechała beze mnie na dwutygodniowe wczasy do Szklarskiej Poręby Górnej w Karkonoszach. Mieli piękną pogodę i wypoczęli znakomicie. Ja zostałem sam w Krakowie i, wzorem lat kawalerskich, tylko na dwa dni Świąt Wielkanocnych pojechałem do mych rodziców, którzy bardzo mnie zapraszali.

Wszystkie rzuty i przekroje dla SDH "Jubilat", a potem prawie wszystkie szczegóły i detale budowlane, rysowałem sam, nie korzystając z pomocy asystentów i kreślarzy, którzy w tym czasie pracowali dla Staszka Ćwiżewicza i dla innych zespołów architekto-

nicznych w biurze. Po prostu ten mój "Jubilat" był bardzo skomplikowany pod względem funkcjonalnym a także rysunkowo. Mianowicie poszczególne części budynku nachylone były do siebie pod różnymi kątami i występowały w nim wykusze, prześwity, nadwieszenia, tarasy, mury oporowe, rampy, zadaszenia, diafragmy aluminiowe na elewacjach, kilka typów dźwigów, maszynownie, trafostacje, liczne wentylatornie z tunelami oraz kanałami czerpnymi, nawiewnymi i wyrzutowymi itd. Prawie nic nie dawało się przerysować i powtórzyć, jak to, na przykład, czyni się przy poszczególnych kondygnacjach w projektach budynków mieszkalnych. To też napracowałem się wtedy jak nigdy przedtem i właściwie jak już nigdy potem. Pracowałem w uproszczonym cyklu: przyjazd do biura na godzinę siódmą rano, obiad o trzeciej w pobliskiej restauracji, powrót taksówką na nocleg do domu o 22-giej (bo po tej godzinie obowiązywała nocna taryfa).

Mimo tak forsownej pracy, nie odczuwałem bynajmniej jakiegoś większego przemęczenia fizycznego, czy choćby psychicznego. Wystarczył mi twardy, głęboki 7-godzinny sen, by rano czuć się rześko, w pełni wypoczętym i gotowym do dalszej intensywnej roboty. Można to chyba wytłumaczyć przede wszystkim tym, że swą pracę projektanta bardzo lubiłem, w jakimś sensie ona sama była dla mnie właściwie relaksem. I nie miały tu znaczenia nawet poważne trudności i komplikacje projektowe, musiałem się wtedy tylko bardziej koncentrować. Nie lubiłem i męczyły mnie natomiast konferencje, narady i inne gadane imprezy.

W podobnym, acz nieco spokojniejszym trybie, pracowali moi branżowi koledzy od konstrukcji, instalacji sanitarnych i elektrycznych. Dzięki temu mogłem w swoim projekcie architektonicznym uwzględnić bez dodatkowego wyczekiwania, niejako w biegu, wszystkie niuanse wynikające z ich opracowań. W rezultacie w sierpniu, w terminie przyobiecany przeze mnie na arbitrażu, biuro dostarczyło inwestorowi kilka tomów architektury i konstrukcji, które przez niego niezwłocznie przekazane zostały także generalnemu wykonawcy. Mógł on więc wznowić prace budowlane, co też niedługo nastąpiło. Wykonawca odstąpił też wtedy od swych dalszych roszczeń arbitrażowych.

Po kolejnych 2-4 miesiącach przekazaliśmy inwestorowi także projekty wszystkich podstawowych branż instalacyjnych, rysunki detali architektonicznych, kosztorysy. Różne prace projektowe trwały jednakże jeszcze nadal przez około dwa lata, ale dotyczyły one już tylko pewnych robót specjalistycznych, jak ślusarki aluminiowej okien wystawowych, instalacji telefonicznych i przeciwpożarowych, reklam neonowych, wystroju wnętrz kawiarni itp. Oddzielnie opracowano też projekt na przebicie prześwitu komunikacyjnego w istniejącym budynku mieszkalnym od strony ul. Morawskiego, celem umożliwienia dojazdu dla samochodów dostawczych.

W czerwcu Kasia ponownie zachorowała na żółtaczkę zakaźną. Ten nawrót choroby był oczywistym wynikiem jakiegoś poważniejszego błędu dietetycznego, jaki musiała popełnić. Trafiła więc znów na oddział dr Zasowskiej w Klinice Chorób Zakaźnych przy ul. Kopernika. Tym razem przebieg choroby był jednakże znacznie łagodniejszy, niż przy pierwszej żółtaczce, i również pobyt w szpitalu był krótszy. Za to dr Zasowska żądała bezwzględного wyjazdu Kasi do sanatorium na rekonwalescencję pochorobową. Jej staraniem żona wkrótce otrzymała skierowanie sanatoryjne do Długopola Zdroju na miesiąc sierpień.

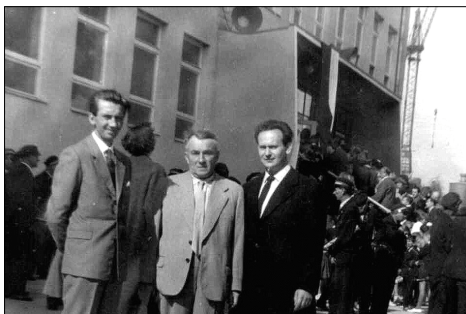
Ta choroba czerwcową pomieszała wszystkie nasze uprzednie plany urlopowe. Stanęliśmy przed trudnym dylematem zagospodarowania miesięcy letnich tak, by dzieci miały nieprzerwana opiekę i przez jakiś dłuższy czas zapewniony pobyt poza Krakowem, żeby żona mogła spokojnie pojechać na leczenie sanatoryjne, ja - bym miał jak najwięcej czasu na swe pilne prace zawodowe, a nasza gospoia przysługujący jej półmiesięczny urlop. Dodatkowo Władzia zgłosiła, że od sierpnia ma możliwość podje-

cia pracy w jednym z krakowskich przedsiębiorstw i nie wróci już do nas. Uznaliśmy, że w tych warunkach, jedynym realnym rozwiązaniem naszego letniego węzła gordyjskiego może być jedynie podrzucenie naszych chłopców moim rodzicom w Kępnie, możliwie na jak najdłuższy okres czasu. Realizując te postanowienia, w czerwcu zawiozłem dzieci do rodziców i zaraz wróciłem z powrotem. Władzia otrzymała należny płatny urlop, dzieci przebywały u dziadków przez cały lipiec i sierpień, Kasia w sierpniu w sanatorium w Długopolu na urlopie zdrowotnym, a ja mogłem pracować po 15 godzin na dobę.

Faktycznie to nasze rodzinne zagospodarowanie całego okresu lata wypadło bardzo korzystnie. Dzieci u dziadków miały się jak w raju: swoboda, duży ogród i podwórko, smaczne, zdrowe i obfite wyżywienie, multum starszych opiekunów. Bo, podobnie jak w latach poprzednich, u rodziców w Kępnie gościła ciocia Aniela i moja siostra ze swymi dziećmi. Zawiązały się dożgonne miłości i sympatie. Zauroczeni sobą wzajemnie byli dziadek i Grzesiu, podobnie babcia i Maciek. Grzegorz jak cień chodził za Januszką, który też bez Grzesia nie mógł się obyć. Za to Maciek cieszył się największą sympatią Grażynki i swej cioci Halinki. I tak im się tam plotło pogodnie i przyjemnie przez 2,5 miesiąca, aż do czasu nieuchronnego rozstania.

Kasi pobyt w sanatorium przysłużył się bardzo dobrze, dla jej kondycji zdrowotnej przede wszystkim. Swą tęsknotę za dziećmi i za mną "topiła" w seansach brydżowych. Podała się całkowicie pasji karcianej i w listach do mnie roztrząsała jakieś rewelacyjne licytacje i rozgrywki oraz wypytywała o szczegóły konwencji treflowej. Miała też tam tranzystorowe radio "Koliber", jakie kupiłem tuż przed jej wyjazdem do sanatorium. Słuchała je często i to również koło jej tęsknoty za swymi trzema chłopakami. Dalszym urozmaicheniem dla niej były występy wokalo-muzyczne, odbywające się w muszli koncertowej Parku Zdrojowego. A występowały tam wtedy m. innymi światowej sławy skrzypaczka Wanda Wiłkomirska i pianistka Czerna-Stefańska.

Ja do końca lipca skończyłem zasadniczy projekt techniczny na budowę "Jubilata" i następnie przez kilka tygodni zająłem się, zleconymi dodatkowo przez inwestora, zmianami projektowymi do opracowanej niedawno dokumentacji dla Bazy MPO w Krakowie. Wcześniej, konkretnie w dniu święta państwowego 22 Lipca, otrzymałem Złotą Odznakę "Za pracę społeczną dla miasta Krakowa" i Odznakę Tysiąclecia, obie za opracowanie dokumentacji projektowej na budowę krakowskich szkół "tysiąclatek". Wręczał mi je zastępca przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej Zdzisław Górski, mój kolega z pierwszych lat pracy w Nowej Hucie. Podobnie wyróżnieni zostali także niektórzy inni branżowi projektanci, którzy ze mną współpracowali i też bardzo napracowali się przy tych szkołach. Należeli do nich: konstruktor Julian Kulka, projektanci instalacji sanit. Marian Majcher i młodzieńca Helenka Janeczek oraz elektryk Andrzej Sosiński.



Przed Tysiąclatką nr 996

Miałem też wtedy nieco zajęcia w związku z budową tych szkół. Wszystkie realizowane były w ekspresowym tempie i były po kolei oddawane do użytkowania. Wziąłem udział w przekazaniu 18-izbowej szkoły przy ul. Wileńskiej. Miała ona bodaj numer 996 i przekazanie tej pięknie wykończonej szkoły odbyło się z wielką pompą. Trzech niewątpliwie najważniejszych dla budowy ludzi - kierownik budowy, inspektor nadzoru i ja, główny projektant, - staliśmy skromnie z boku i przyglądaliśmy się ceremonii przekazywania szkoły przez władze dzielnicy i miasta wiceministrowi i innym notablam z Ministerstwa Oświaty.

Dopiero później, już po części oficjalnej, podczas przyjęcia, zorganizowanego w sali gimnastycznej przez komitet szkolny, panie z komitetu wyluskały nas z grona uczestników i potraktowały w sposób szczególny, z toastami "sto lat" itp.

Wzywany także byłem w ramach nadzoru autorskiego na budowę kilku szkół. Chodziło głównie o decyzje dotyczące robót wykończeniowych, a więc o ustalenie kolorystyki ścian, wysokości lamperii olejnych, malowania stolarki okiennej i drzwiowej itp. Tylko jeden raz byłem wzywany do nadzoru autorskiego w czasie robót stanu surowego, w szczególności na budowę szkoły przy ul. Wrocławskiej. Najwidoczniej kierownicy robót nie mieli większych problemów i zastrzeżeń do opracowania mej dokumentacji architektoniczno-budowlanej. W kilku wypadkach pochwaliłem brygady, zwłaszcza malarskie i posadzkarskie, za dobrą jakość ich robót. Dotyczyło to szkół na osiedlu Olsza II i przy ul. Misjonarskiej.

Raz pojechałem też na budowę szkoły przy ul. Sierankiewicza. Byłem w biurze, gdy zadzwonił telefon z Komitetu Dzielnicowego PZPR, że w trakcie budowy szkoły wycięte zostały chronione drzewa. Za chwilę przyjechał po mnie samochodem sekretarz KD, zresztą mój były kolega z DBMNH B. Rzymek, i pojechaliśmy na plac budowy. Tam czekał już na nas właściciel sporej willi, usytuowanej obok w dużym, pięknym ogrodzie. Właśnie część tego ogrodu została wywłaszczona w związku z budową szkoły i jej były właściciel złożył skargę na wycięcie poprzedniego dnia okazałej tui przez robotników, pracujących przy wznoszeniu budynku sali gimnastycznej. Tuja ta rosła bardzo blisko tejże sali i przeszkadzała w dowożeniu taczkami cegły i zaprawy, zwłaszcza, że obok były dalsze drzewa i ogrodzenie. Nie wiem, jak się sprawa zakończyła. Prawdopodobnie niefrasobliwi robotnicy zostali strofowani i pouczeni o konieczności przestrzegania odpowiednich przepisów o ochronie przyrody.

A 2 września oddana została do użytku najważniejsza w Krakowie, honorowa tyśiąclatka o numerze 999 przy ul. F. Dzierżyńskiego. Następna w kolejności szkoła o numerku 1000 była budowana oczywiście w Warszawie. Ten ceremoniał przekazania szkoły sięgnął absolutnych szczytów. Uczestnicy uroczystości otrzymali ozdobne zaproszenia ze strony Komitetu Honorowego, grupującego kilkunastu szefów władz administracyjnych, państwowych i partyjnych Krakowa. Protektorat honorowy sprawował sam prezes Rady Ministrów Józef Cyrankiewicz, a obecnych było dwóch wiceministrów z Ministerstw Oświaty i Komunikacji, gdyż szkoła wybudowana została jako Technikum Komunikacyjne i Szkoła Rzemiosł Budowlanych. Czworoboki młodzieży, poczty sztandarowe, odsłonięcie w podcieniu wejściowym tablicy pamiątkowej "POMNIK TYSIĄCLECIA PAŃSTWA POLSKIEGO nr 999 KRAKÓW 1965 itd.", zaprojektowanej przez Kazia Morawca.

Potem drugie odsłonięcie jakiegoś pomnika w głównym holu wejściowym, morze kwiatów i wreszcie bankiet w sali gimnastycznej. Nie pamiętam, czy w ogóle zauważony zostałem fizycznie, jako autor projektu szkoły, bo słowne podziękowania za trud i tp. były. Ale i tak satysfakcja dla mnie ogromna. Gdyż zarówno projektowanie jak i realizacja były ekspresowe, a efekty bardzo konkretne. I dotyczyło to wszystkich dziesięciu szkół z mojej serii "tyśiąclatek", z których ostatnia przekazana została z początkiem 1966 r. Oczywiście pozostałe szkoły oddawane były do użytku bez większego szumu. Również bez mego udziału, bo po prostu nie miałem na to czasu.

We wrześniu żona pojechała na dwa tygodnie do Kępna, ja ukończyłem już podstawową część dokumentacji dla SDH "Jubilat" i na kilka dni też wyjechałem do Kępna, żeby zamarkować swój urlop wypoczynkowy w 1965 roku, i zabrać rodzinę do Krakowa. Przywieźliśmy też z Kępna młodą, szesnastoletnią dziewczynę Marylkę, którą za pośrednictwem sąsiadów mych rodziców, zaangażowaliśmy jako stałą pomoc domową. Po kilku tygodniach okazało się niestety, że miała ona wszawicę, którą zaraził się od

niej wkrótce również nasz Maciek. Musieliśmy się z nią rozstać i odesłaliśmy ją z pocztą do jej rodziców w Kępnie.



Chłopcy mieli humory

wane, gabloty; bogatą ślusarkę - balustrady, kraty, różnorodne stalowe drzwi i bramy, przegrody z siatki, schody na taras; różne szczegóły budowlane - izolacje akustyczne, czerpnie powietrza, wyrzutnie dachowe, żaluzje trafostacji, ścianki luksferowe, koryta kwiatowe itd. Część detali opracował w zespole Staszek.

Do końca listopada opracowałem jeszcze projekt technologiczny zaplecza kawiarni, wraz z rysunkami wyposażenia, to jest szafek, regałów, stołów roboczych, okienek podawczych, koryt zmywakowych itp. Koordynowałem też wtedy intensywnie opracowywanie ostatnich branżowych projektów technicznych, szczególnie instalacji wentylacji mechanicznej. Od grudnia wykonywałem już prace nie związane z SDH "Jubilat" i miałem więcej wolnego czasu dla siebie. Ponieważ zarówno Kasia, jak i ja, nie wykorzystaliśmy jeszcze całego urlopu wypoczynkowego, przysługującego nam w roku 1965, postanowiliśmy więc pojechać w ostatnich dwu tygodniach grudnia na wczasy rodzinne.



Wczasy w Wesolej

miasta. Za kilka dni powtórzyliśmy na własną rękę wycieczkę do stolicy, dojeżdżając koleją elektryczną. Zdarzało się, że podczas wędrówek po ulicach Warszawy, trzeba był brać Grzesia na ręce, ale robiłem to bez narzekania.

Te nieustanne perypetie z naszymi pomocami domowymi skłoniły wtedy żonę do wzięcia trzymiesięcznego urlopu bezpłatnego. Mogła więc sama zajmować się przez cały dzień dziećmi i domem i pomoc domowa nie była nam w tej sytuacji potrzebna.

We wrześniu - październiku wykonywałem w biurze rysunki detali architektonicznych do SDH "Jubilat". Były to autorskie opracowania, w ciągu 60 dni narysowałem 60 dużych arkuszy, znów mniej więcej w trybie kilkunastogodzinnego dnia pracy. Obejmowały one całą indywidualną stolarszczynę, to jest okna, drzwi, szafy wbudowane,

Zamiar się udał i znaleźliśmy się w podwarszawskiej miejscowości Wesola. Było tam dużo śniegu, ale bez większych mrozów, to też wiele czasu spędzaliśmy na spacerach i sankach na świeżym powietrzu. Szczególnie cieszyło to naszych milusińskich, którzy z zapalem wykorzystywali nawet najmniejsze górki na zjazdy na saneczkach.

Skwapliwie skorzystaliśmy z wybieżki do Śródmieścia Warszawy, którą zorganizował instruktor k.o. naszego domu wczasowego. Chodziło nam głównie o pokazanie stolicy synom, gdyż byli w niej po raz pierwszy. Zwiedziliśmy głównie Starówkę z Rynkiem, murami obronnymi i Placem Zamkowym, a także Pałac Kultury i Nauki, z którego platformy widokowej oglądaliśmy potem panoramę szybko odbudowującego się



Na pomniku pod PKiN

Lata 1964 i 1965 w geopolityce światowej były bardzo podobne do siebie. Rozpoczęła się rewolucja kulturalna w Chinach i ruchy hippisowskie w Europie. Stany Zjednoczone AP w coraz większym stopniu angażowały się w wojnę domową w Wietnamie Południowym, początkowo pośrednio przez dostawy broni i wysyłanie doradców, pilotów wojskowych itp., zaś od tzw. incydentu w Zatoce Tonkińskiej już bezpośrednio w charakterze strony walczącej. Sam incydent tonkiński dotyczył ostrzelania w nocy 4 sierpnia 1964 r. przez trzy północnowietnamskie okręty patrolowe dwu torpedowców amerykańskich, znajdujących się na pełnym morzu. Zostało to potraktowane jako "casus belli" i następnego dnia USA rozpoczęły zmasowane naloty i bombardowania miast portowych, a wkrótce całego Wietnamu Północnego. W ich wyniku w ciągu kilku lat wojny państwo to, praktycznie biorąc, zrównane zostało z ziemią i zabitych zostało około dwa miliony jego mieszkańców.

Incident tonkiński, od początku niejasny, wyjaśniony został ostatecznie dopiero po 30 latach, po ujawnieniu przez Pentagon tajnych dokumentów z nim związanych. Okazało się, że nie było wówczas w ogóle żadnego ataku okrętów wietnamskich, a cały incydent został wymyślony jako pretekst do bombardowań Wietnamu Północnego. Trwał podbój Kosmosu przez oba supermocarstwa. ZSRR nadal prowadził w tym wysiłku, realizując pierwszy "spacer" kosmiczny Aleksieja Leonowa, łagodne lądowanie Łuny 9 na Księżycu i przesłanie zdjęć z jego powierzchni, dotarcie pierwszej sondy do planety Wenus. USA wprowadziły satelitę na orbitę Księżyca i realizowały serię lotów załogowych na statkach Gemmini.

W październiku 1964 odbyły się XVIII Letnie Igrzyska Olimpijskie w Tokio. Polacy znów błyszczeli, zdobywając 23 medale, a największe sukcesy odnieśli lekkoatleci Irena Kirszenstein w biegu i Józef Szmidt w trójskoku.

Dużo działo się w Krakowie. Bogato obchodzono 600-lecie Uniwersytetu Jagiellońskiego, łącząc je z przekazaniem do użytku kilku nowych obiektów dla tej uczelni oraz Rynku Głównego, po jego przebudowie. Rozpoczęto budowę dużego ośrodka telewizyjnego na Krzemionkach. Kraków gościł też wówczas wyjątkowo licznych, znamienitych gości zagranicznych. Należeli do nich m. in. prezydenci Finlandii Urho Kekkonen i Jugosławii Broz Tito, cesarz Etiopii Hajle Sellasie, Janos Kadar z Węgier.

W czwartym kwartale wpłynęło do biura zlecenie na opracowanie dokumentacji projektowej na budowę w Bochni hotelu robotniczego dla Huty im. Lenina. W Bochni planowano bowiem wybudowanie wielkiej walcowni cienkich blach karoseryjnych, transformatorowych, na opakowania itp., jako filii kombinatu nowohuckiego. Hotel ten był niezbędny dla doraźnej obsługi kadry inżynierskiej, delegacji i in. Projekt wstępny opracował Staszek Ćwiżewicz, zaś od stycznia projekt techniczny opracowywaliśmy wspólnie. Obiekt został zaprojektowany w standardzie hotelu komunalnego, miał 12 tys. metrów kubicznych, zrealizowany został potem w ciągu ok. dwu lat. Przy uzgadnianiu z inwestorem programu użytkowego, standardu wykończenia i wyposażenia, inwestora reprezentował mój kolega ze studiów architektonicznych we Wrocławiu Jerzy Lorenz, który po ich ukończeniu przeniósł się do Krakowa, podobnie jak ja. Dla potrzeb HiL zaprojektowałem jeszcze później w Bochni dwa punktowe budynki mieszkalne.

W tym czasie opracowałem także dokumentację projektową na budowę 12-klasowej szkoły podstawowej w Boryni na Śląsku. Było to podzlecenie z innej pracowni biura, która wykonywała kompleksowe projekty nowych osiedli mieszkaniowych w Pniówku i Boryni obok Jastrzębia Zdroju w Rybnickim Zagłębiu Węglowym. Mianowicie w latach 60. to nowe zagłębie węgla kamiennego było bardzo intensywnie rozbudowywane, budowano tam dziesiątki nowych kopalń, a w ich sąsiedztwie górnicze osiedla. Śląskie biura projektowe nie radziły sobie z nawalem prac projektowych i część z nich

trafiła do naszego biura. W pracowni PW-2 opracowaliśmy dokumentację na pawilon handlowy, szkołę podstawową i przedszkole.

W 1965 r. zreformowane zostały zasady zapisów i opłat za przedszkola i zostały one uzależnione od wysokości zarobków rodziców. Interesowało nas to bardzo, gdyż zamierzaliśmy właśnie zapisać do przedszkola również naszego młodszego syna. Oczywiście musieliśmy się liczyć z większymi opłatami, ale nie wiedziałem, czy przy zapisach preferowane będą dzieci rodziców gorzej, czy lepiej zarabiających. Faktycznie nie mieliśmy większych problemów i od 1 stycznia 1966 r. obaj nasi chłopcy chodzili do pobliskiego przedszkola. W ten sposób nasza sytuacja rodzinna się pozytywnie wyklarowała. Nie byliśmy już skazani na zatrudnianie pomocy domowej. Żona rozpoczynała swą pracę zawodową później niż ja, więc w okolicy godziny ósmej odprowadzała obu synków do przedszkola. Natomiast ja kończyłem pracę już o 15-tej i pół godziny później odbierałem dzieci do domu.

Byli oni w odrębnych grupach, Grześ u maluchów, Maciek u starszaków, ale często, zwłaszcza w ogródku, bawili się razem. Opieka w przedszkolu pod każdym względem była bardzo dobra, byliśmy więc z nowej sytuacji zadowoleni.

Mimo to postanowiliśmy jednak zatrudnić jakąś młodą dziewczynę do pomocy w pracach domowych oraz przypilnowaniu dzieci na czas naszej nieobecności itp. Mieliśmy dla niej odrębny pokój i stać nas było na jej opłacenie. Zwłaszcza, że pracowałem w systemie akordowo-premiowym i możliwość dłuższego dnia pracy dzięki zatrudnieniu gosposi, owocowała wyższymi premiami kwartalnym, rekompensując zawiązką koszty zatrudnienia pomocy.

W ogóle zarabiałem wtedy raczej sporo. Miałem na ogół wysokie przeroby finansowe, wyliczane z wartości opracowanych projektów przeze mnie, a wydajność pracy miałem bardzo dużą. Więc zdarzył się taki przypadek, że przy wypłacie rekordowej premii kwartalnej w biurze w wysokości ponad dwudziestu tysięcy złotych i najwyższym, istniejącym wówczas nominalnie 100 złotowym - przyszedłem do domu, mając pieniądze poupychane we wszystkich możliwych kieszeniach.

Synowie w przedszkolu

Nową pomoc domową zaangażowaliśmy bez pośpiechu, dopiero po kilku miesiącach. Była nią kolejna młoda dziewczyna Lonka, która potem bardzo się do nas przywiązała.



KIEROWNICTWO PRACOWNI

Harmonogramy karteluszkowe * Przychodnia przeciwgruźlicza * Synaj * Imieniny biurowe * Marzec 1968 * Białka Tatrzańska

W ostatnich dniach lutego 1966 r. pracownicy PW-2 urządzili spontaniczne zebranie w świetlicy biura. Nie było na nim tylko kierownika pracowni, gdyż przebywał wtedy poza biurem, a mnie koledzy poprosili o pozostanie w swym pokoju. Pracowałem więc sobie spokojnie przy desce rysunkowej. Dopiero po pewnym czasie zostałem przywołany do świetlicy, gdzie usłyszałem, że wszyscy mają już dosyć kierownictwa Z.Zguda i proponują, abym ja został kierownikiem pracowni. Byłem całkowicie zaskoczony tą propozycją, zresztą nieuprawnioną z punktu widzenia statutu biura, ale po niedługiej chwili zgodziłem się, gdyż też miałem dość chaotycznych działań naszego kierownika. Wtedy delegacja wiecujących poszła do dyrektora biura, celem przedstawienia mu wniosku załogi PW-2 o jak najszybszej zmianie kierownika pracowni.

Oczywiście, formalnie biorąc, decyzja w sprawie obsady kierowniczych stanowisk była w wyłącznej kompetencji dyrektora. Nie zgłosił jednak sprzeciwu, a tylko poprosił, aby pracownicy sami poinformowali o swym postulatcie aktualnego kierownika i zaproponowali mu, by sam złożył rezygnację. Tak też się stało i za kilka dni nasz dotychczasowy kierownik odszedł z biura, a ja, prawie z dnia na dzień, stałem się gospodarzem największej w biurze wielobranżowej pracowni projektowej, zresztą jak najbardziej z woli jej pracowników.

Zmieniła się więc moja sytuacja w biurze. Miałem odtąd zajmować się całą dokumentacją projektową, wykonywaną w pracowni PW-2. A pracownia była duża, liczyła ponad 40 zatrudnionych, aktualnie opracowywaliśmy kilkanaście dużych i średnich tematów i tyleż pomniejszych. Wszystko to było mi dobrze znane, choćby z tego powodu, że od kilku już lat pełniłem funkcję zastępcy kierownika PW-2.

W pracowni było 11 zespołów projektowych, w tym trzy architektoniczne, które spełniały rolę wiodącą. Pracowało w nich, oprócz mnie, 6 starszych projektantów, mgr inż. architektów. Byli to Halina Malinowska, Daniela Mazur, Krystyna Różyska, Wiesława Trella, Stanisław Cwizewicz, Adam Ścigalski. Największymi tematami projektowymi były dwie bazy produkcyjno-magazynowe "Naftobudowa" i "Metalzbyt" w Pławowie.

Do kierownika pracowni wielobranżowej należało rozpoznanie zleceń, jakie wpływały do pracowni, przygotowanie i zawarcie umów z inwestorami, rozdział pracy na poszczególne zespoły projektowe, koordynacja prac, kooperacja z innymi pracowniami, rozliczenia finansowe, rozdział premii kwartalnej między zespoły, prowadzenie całej korespondencji i reprezentacja pracowni wobec dyrekcji biura i na zewnątrz. Do wszystkich prac administracyjnych i rozliczeń finansowych pracownia zatrudniała pełnoetatową sekretarkę-ekonomistkę.

Najważniejszą i najtrudniejszą funkcją, jaką sprawował kierownik to była koordynacja pracy wszystkich zespołów i poszczególnych pracowników. Osobiście poświęcałem temu zagadnieniu najwięcej uwagi. Chodziło o to, żeby w każdym momencie wszyscy pracownicy mieli konkretne prace do wykonania, a równocześnie, aby poszczególne tematy projektowe były płynnie i w miarę szybko opracowywane, kończone, kompletowane i przekazywane inwestorom. Nie było to zadanie łatwe, zważywszy, że istniała ścisła specjalizacja branżowa wśród projektantów, tematy projektowe były bardzo różnorodne, o różnym stopniu trudności, niekiedy bardzo pilne. Przy tym trzeba się było liczyć z takimi trudnościami i problemami, jak przedłużające się decyzje administracyj-

ne, zwłaszcza uzgodnienia dokonywane poza biurem, urlopy, choroby poszczególnych pracowników itp.

Radziłem sobie z tym w ten sposób, iż opracowywałem zbiorcze harmonogramy prac dla wszystkich większych tematów i robiłem z nich wyciągi dla zespołów projektowych. Przypinałem je najczęściej do desek kierowników zespołów. Każdy wiedział więc kiedy mniej więcej powinien dany projekt skończyć i co będzie robić w następnej kolejności. Te robocze harmonogramy obejmowały zwykle czasokres kilku miesięcy. Bywało, że wpisywałem do nich także orientacyjne kwoty należne za opracowanie, więc pracownicy mieli możliwość obliczenia swych kwartalnych premii. Z zasady te moje harmonogramy nie były realizowane w takim tempie, jak zakładałem, i dlatego po 2-3 tygodniach wykonywałem nowe, uwzględniające zaistniałe zmiany, trudności i opóźnienia.

W sumie ta moja metoda opracowywania karteluszkowych, ciągle aktualizowanych harmonogramów, sprawdzała się w praktyce i owocowała rzeczywiście dużą wydajnością pracy projektantów i szybkim kończeniem prac projektowych. To też stosowałem je chyba przez całe 14 lat mej pracy na stanowisku kierownika pracowni.

Mimo pełnienia funkcji kierownika pracowni nadal parałem się bezpośrednio pracami projektowymi, chociaż w stopniu ograniczonym. Zwykle dotyczyły one tematów już wcześniej przeze mnie rozpoczętych, lub różnych pilnych inwestycji, których inni starsi projektanci w PW-2 nie mogli podjąć z uwagi na brak czasu. Do tych pierwszych należały 18-izbowa szkoła podstawowa, przychodnia rejonowa i przychodnia przeciwgruźlicza przy ul. Ułanów na osiedlu Wieczysta.

Wszystkie te trzy obiekty stanowiły jedną wspólną enklawę zabudowy o powierzchni ok. 4 hektarów i objąłem je jednym projektem zagospodarowania przestrzennego. Dla szkoły i przychodni rejonowej przyjąłem do zastosowania projekty typowe (dla szkoły projekt typu "Wierzbno"), z niewielkimi stosunkowo zmianami. Więc te prace mogły być wykonane w zespole przez asystentów. Natomiast indywidualny projekt przychodni przeciwgruźliczej opracowałem w całości sam.

Program tej przychodni był unikalny i przygotowany został przez krakowskich lekarzy specjalistów w leczeniu gruźlicy. Służyli mi oni cały czas swą konsultacją przy opracowywaniu koncepcji projektowej. Budynek zaprojektowałem jako parterowy, gdyż posiadał liczne wejścia z zewnątrz, miał 3,600 m³ kubatury.

Wszystkie te trzy budynki wybudowane zostały potem w ciągu trzech lat. Sam projekt przychodni przeciwgruźliczej został przez Ministerstwo Zdrowia uznany za wzorcowy i przyjęty jako powtarzalny do realizacji w innych dużych miastach. Nie interesowałem się tym jednak i wiadomo mi tylko o jednym jeszcze wykorzystaniu projektu.

W maju chłopcy wraz z Lonką poszli na Błonia Krakowskie, gdzie odbywała się wtedy prezentacja różnego rodzaju sprzętu i pojazdów wojskowych. Można było nawet wchodzić do ich wnętrza, a młodzi wojskowi udzielali wszelkich wyjaśnień o budowie, przeznaczeniu sprzętu itp. Budziło to zainteresowanie zwłaszcza młodzieży i dzieci. Lonkę interesowały natomiast nie tyle eksponowane pojazdy, co młodzi wojskowi je obsługujący. Więc wdała się z nimi w pogawędkę, nie pilnując naszych chłopaków, którzy w tłumie się zgubili.

Gdy spostrzegli, że są sami, powrócili do domu, trzymając się roztropnie cały czas za ręce. Po pewnym czasie odezwał się dzwonek do drzwi, była to Lonka, która wystraszona pytała czy chłopcy są w domu. Powiedziałem, że ich nie ma, i żeby odszukała ich na Błoniach. Przyszła ponownie za pół godziny, zziębnięta i wystraszona mocno, z nadzieją, że jednak sami trafili do domu. Uznałem, że wystarczająco została już ukarana swym strachem za lekkomyślność i brak starannej opieki nad naszymi dziećmi i zawołałem ich z ich pokoju.

Kiedy indziej bawili się wszyscy troje w swych pokojach, tarmosili na tapczanie, tak, że Lonka wraz z Grzesiem spadli na podłogę. Pech chciał, iż złamał on sobie obojczyk. Przez kilka tygodni musiał potem nosić odpowiedni usztywniający gorset gipsowy. 1 czerwca, z okazji święta Dnia Dziecka, w przedszkolu, do którego uczęszczali nasi chłopcy, urządzona została zabawa dla wszystkich wychowanków, połączona również z małym przyjęciem dla rodziców. Dzieci wystąpiły w różnych przebraniach, nasz Maciek paradował w czarnym cylindrze, a Grzesiu w biało-granatowym marynarskim ubranku, jakie kupiliśmy mu kilka dni wcześniej. Był z niego bardzo dumny, zwłaszcza z marynarskiej czapeczki, na otoku której była nazwa okrętu marynarki wojennej "WICHER". Kilka dni wcześniej Maciek otrzymał, też z okazji Dnia Dziecka, pierwszy zgrabny rowerek. Na czas nauki jazdy przy tylnym kole można było zamontować po bokach dwa małe kółeczka, zapewniające stateczność roweru. Była to wielka frajda dla obu synów, gdyż dzięki tym kółeczkom również Grzesiu mógł na rowerku jeździć.

W jedną z niedziel czerwca zaimprovizowaliśmy wyjazd do Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie na Górnym Śląsku. Była słoneczna pogoda, ciepło, więc bez zbędnych bagaży, pojechaliśmy wczesnym pociągiem do Katowic, a stamtąd tramwajem do Parku. Czekaliśmy tu na nas, zwłaszcza synów, rozliczne atrakcje, z których, z uwagi na ograniczony czas, mogliśmy skorzystać tylko w małej części.

Zwiedziliśmy fragment Ogrodu Zoologicznego, a na dłużej zabawiliśmy w wesołym miasteczku. Tu chłopcy wdrapywali się do prawdziwych samolotów wojskowych oraz jeździli samolocikami, autkami i łódkami w małych basenach. Był to bardzo udany dzień, pełen niezapomnianych atrakcji, to też do Krakowa wróciliśmy dopiero o zmierzchu.



W Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie



Na lipiec 1966 zaplanowaliśmy miesięczny urlop nad Bałtykiem. Nic z tego jednakże nie wyszło wobec trudności skorelowania mego i Kasi urlopu. Zmieniliśmy więc swe plany i wzorem poprzedniego roku znów zawieźliśmy dzieci do dziadków w Kępnie. Pojechała tam z nimi Kasia w połowie lipca na dwa tygodnie, po czym sama wróciła do pracy w Krakowie. Wkrótce, w różnych odstępach czasu, zjechali również do rodziców ma siostra z dziećmi i ciocia Nela. Siostra niedawno przeszła operację wycięcia migdałków i chorowała na reumatyzm. Wakacje w Kępnie były więc dla niej okresem rekonwalescencji po kilku tygodniach przebytych w szpitalu. Miała też we Wrocławiu problemy z chorobą matki swego męża, która cierpiała na paraliż nóg i nieuleczalną chorobę płuc. Wiele kłopotów przysparzał jej też syn Januszek, który zaniedbał się poważnie w nauce i groziła mu powtórka ósmej klasy.

Nasi chłopcy u swych dziadków znów mieli się bardzo dobrze. Zabawy na świeżym powietrzu, zdrowe odżywianie się - ser, jarzyny, owoce, mleko, jajka, cielęcina - spra-

wiały, że czuli się zdrowo i można powiedzieć, że "rośli w oczach". Tego lata główną dla nich atrakcją były kowbojskie zabawy z rówieśnikami z sąsiedztwa. Uzbrojeni byli w plastikowe rewolwery i mieli słomiane sombrerra. W czasie złej pogody grzywali z dziadkami w szachy i warcaby. Bywało, że płatali niekiedy złośliwe figle. Grześ bardzo chętnie pomagał babci w różnych jej pracach domowych. Raz przy mieleniu mięsa, gdy babcia wyszła na chwilę na podwórko, włożył do maszynki trochę plasteliny i przemienił ją na sznycle.



Znów u dziadków w Kępnie

czając do swych synków. Po tygodniowym pobycie zabrałem obu chłopców i udaliśmy się do nieodległego Wrocławia na kilka dni. Gościliśmy u mej siostry w jej starym mieszkaniu na Sępolnie. Prawie cały czas pobytu poświęciliśmy na zwiedzanie wspaniałego, największego w Polsce Ogrodu Zoologicznego i terenów wokół Hali Ludowej. Największą atrakcją dla chłopców była jednakże przejażdżka statkiem rzeczny po Odrze.

W ostatnich miesiącach roku współpracowałem ze Staszkiem przy projekcie dużej strzelnicy sportowej na Pasterniku w Krakowie. Projektowanie strzelnicy to oryginalna, wysoce specjalistyczna tematyka. Trzeba było zapoznać się z fachową literaturą na ten temat i konsultować ściśle z myślowymi i wojskowymi. Zaprojektowaliśmy liczne pawilony strzeleckie, socjalne, stanowiska strzelnicze do rzutków, stacjonarnych i ruchomych, wały ziemne, strefy ochronne itp. ogrodzenia.

Dopiero w połowie września pojechałem także do rodziców, dołą-



Na statku na Odrze

Moja żona zawsze przywiązywała wielką wagę do różnego rodzaju upominków i przyjemności kulinarnych w związku z różnymi rocznicami imienin, Dnia Dziecka, Św. Mikołaja itp. Zwykle największe podarki otrzymywaliśmy wszyscy od Gwiazdorka pod choinkę. W 1966 r. nasi chłopcy znaleźli pod choinką prezent, który zapamiętali na całe życie. Był to konstruktor - bardzo duży, bogaty zestaw, właściwie cała skrzynia, małych perforowanych elementów metalowych z licznymi kółkami, zębatkami, śrubkami, prętami, linkami itp. Można było z tych elementów zbudować półmetrowej wysokości ruchomy, pracujący dźwig portowy, samochód ciężarowy, lub różne inne konstrukcje, zależnie od własnej fantazji i cierpliwości. Jja też zabawiałem się tym konstruktorem.

W ogóle nasi chłopcy mieli zawsze dużo zabawek od najmłodszych swych lat. Najpierw były to drewniane lokomotywy, samochodziki, klocki do układania itp. Później przeważały zabawki mechaniczne: samochody zdalnie sterowane, helikopter na uwięzi, czołg na gumowych gąsienicach, wreszcie elektryczna kolejka PIKO produkcji NRD. Ta ostatnia podlegała ciąglej rozbudowie. Na dużej drewnianej tablicy chłopcy przedłużali tory, przy których powstawały stacje, perony i semafony, jak również dokupywali wciąż nowe wagoniki osobowe, towarowe, cysterny itd.

W jakimś momencie nastąpiła era sklepanych plastikowych, kolorowych samolocików. Były wśród nich wierne kopie przeróżnych typów samolotów z całego świata: śmigłowych, odrzutowych, helikopterów; cywilnych i wojskowych; modele z lat II wojny

światowej i najnowsze. Grześ zawieszał je potem na linkach rozpiętych pod sufitem w swym pokoju i tak sobie wisiały przez miesiące i lata całe.

Były sytuacje, że starałem się ograniczać nieco te zakupy zabawek, bo to zwykle dużo kosztowało. Moja mama też mi mówiła: "Po co wydajecie tyle pieniędzy na takie drogie zabawki, lepiej jeśli chłopcy sami coś zmagają, będą to bardziej szanować". Jak zawsze miała rację, o czym świadczyć mogło to, że zwykle te zabawki po pewnym, raczej niezbyt długim czasie, lądowały w pawlaczach, w piwnicy lub zgoła na śmietniku.

W pierwszej połowie kwietnia 1967 r. z całą rodziną pojechaliśmy na turnus wczasowy do Szklarskiej Poręby. Zamieszkaliśmy w tym samym domu wczasowym, w którym rok wcześniej była żona z dziećmi. Jeszcze tu i ówdzie leżał śnieg, ale szybko topniał i zrobiło się prawie lato. Zaczęliśmy więc pobyt w Szklarskiej w zimowych okryciach, a kończyliśmy, opalając się na ławkach Esplanady. Ustalonym już zwyczajem chodzili-



Na spacerze

śmy na wszystkie organizowane przez instruktora k.o. wycieczki i oczywiście zabieraliśmy ze sobą naszych chłopców. Zwiedzili więc bez mała wszystko, co w Szklarskiej Porębie i okolicach jest do zwiedzania, łącznie z zaporą w Pilichowicach i Zakrętem Śmierci. Zwiedziliśmy także uroczą miejscowość Świeradów Zdrój, położoną w pobliskich Górach Izerskich. Jest to najbardziej na zachód wysunięty ośrodek wypoczynkowo-uzdrowiskowy w paśmie Gór Sudeckich, znany z leczniczych wód mineralnych. Piliśmy je w wielkiej, stylowej, drewnianej pijalni w centrum miasteczka.

Wszystkie te wycieczki organizowała miła, starsza pani, która jako instruktorka kulturalno-oświatowa obsługiwała kilka domów wypoczynkowych w Szklarskiej Porębie. Pracowała na tym stanowisku już 20 lat i była świetną znawczynią historii, topografii, flory i fauny całego terenu Karkonoszy i ich Pogórza. Jej mąż, Rumun, był fotografem i także pracował dla FWP. Zaprzyjaźniliśmy się z nimi, gdyż mieliśmy wspólne zainteresowania, a łączyła nas zwłaszcza sympatia i zauroczenie całym polskim Pogórzem Sudeckim. Nasza k.o. organizowała też często ogólne świetlicowe spotkania wczasowiczów, urozmaicane potańcówkami i wspólnymi zabawami i grami. Dzieci do zabaw miały oddzielną salkę. W ogóle turnus wczasowy zakończył się wielkimi balami dla dorosłych i dzieci.

Raz, gdy wracaliśmy późnym popołudniem, śpiesząc się, przez lasek na kolację do naszego DW - Maciek bardzo się naprzykrzał, aby mu coś kupić. Zdenerwował mnie wtedy bardzo, podniosłem z ziemi jakiś patyk i uderzyłem go tym patykiem kilka razy po siedzeniu, aż się uspokoił. Było to pierwsze lanie jakie doświadczył z mej ręki, ale też i ostatnie.

Wczesną wiosną 1967 r. umarła, po ciężkiej chorobie, matka mego szwagra Tadeusza. Nie byliśmy na pogrzebie, za to wracając ze Szklarskiej Poręby zatrzymaliśmy się na dwa dni we Wrocławiu. Przyjechała wtedy również moja mamusia z Kępna. Poszliśmy wspólnie na cmentarz na Sępolnie. Grób mamy Tadeka był jeszcze świeży, cały obsadzony kolorowymi bratkami i z tymczasowym krzyżem. Była piękna pogoda, więc spacerowaliśmy w okolicy cmentarza wzdłuż Kanału Odrzańskiego.

Mieszkając na Salwatorze w Krakowie mieliśmy stosunkowo blisko do wielu rekreacyjnych zespołów parkowo-leśnych. Wykorzystywaliśmy to i często wychodziliśmy

wraz z dziećmi na wspólne spacer. Najbliżej nam było do Parku Jordana, gdzie chłopcy jeździli na rowerkach, lub korzystali z huśtawek, przepłotni i innych urządzeń zabawowych dla dzieci. Niewiele dalej chodziliśmy na wzgórze pod Kopcem Kościuszki, tam można się było latem opalać, a w zimie jeździć na sankach. Gdy było więcej czasu i odpowiednia pogoda, wówczas jechaliśmy do Łasku Wolskiego i Ogrodu Zoologicznego. Często na Błoniach organizowane były różnego rodzaju kiermasze, występy estradowe, imprezy typu skoki spadochronowe, zawody hippiczne, pokaz tresury psów, gościł cyrk lub instalowane były okresowo karuzele dla dzieci. Braliśmy w tym wszystkim udział, jeśli tylko dogadzało to naszym milusińskim. Podobnie było z imprezami urządzanymi w Rynku Głównym.

W moim biurze Związek Zawodowy urządził w tych sześćdziesiątych latach dość regularnie seanse filmowe dla dzieci pracowników. Mieliśmy niedużą świetlicę, wyposażoną w małą kabinę projekcyjną, która po zasłonięciu okien zamieniała się w salę kinową. Seanse odbywały się o określonej godzinie w niedziele, wstęp był wolny dla dzieci pracowników, a jeszcze urządzaliśmy różne konkursy ze słodkimi nagrodami. Wyświetlane były przede wszystkim filmy animowane, w tym niekończący się serial "Bolek i Lolek". Dzieci go bardzo lubiły, zwykle frekwencja była duża, a na sali siedzieli również moi synowie.

W dniu 5.06.1967 roku doskonale wyszkolona i wyekwipowana armia izraelska dokonała zbrojnej agresji na Egipt. Spotkało się to z jednoznacznym potępieniem we wszystkich państwach arabskich, a ponad to jeszcze tylko w trzech liczących się stolicach świata: Moskwie, Paryżu i Warszawie. Wszystkie pozostałe państwa zachodnie i reszta świata przyjęły argumentację Izraela o jego obronie przed agresywnymi działaniami Egiptu. Według niej to Izrael był ofiarą wojny, a zaatakowane Egipt, a później Jordania i Syria - agresorami. Młode państwo żydowskie prezentowano jako sprawiedliwego, szlachetnego i dzielnego Dawida, zaś ościennne kraje arabskie jako krwiożerczego Goliata.

W ogóle można powiedzieć, że obok gorącej wojny, świat przeżył wówczas równie zawziętą wojnę propagandową. Już na długo przed akcjami zbrojnymi prasa zachodnia, zresztą w dużym stopniu zależna od kapitałów pochodzenia żydowskiego, urabiała opinię publiczną przeciwko państwom arabskim, otaczającym Izrael. Pisano o ich przygotowaniach do napaści na Izrael, o ich groźbach, że potopią Żydów w morzu, o napaściach komandosów arabskich na osiedla osadników żydowskich itp. Potem odpowiedzialność za rozpoczęcie działań wojennych obarczono Zjednoczoną Republikę Arabską, a personalnie prezydenta G. Namera. I takie też nagłówki "Egipt zaatakował Izrael" ukazały się na pierwszych stronach gazet zachodnich. To wyrażanie przekonania o bezprawnej agresji Arabów i usprawiedliwionej obronie Izraela utrzymane zostało przez wiele lat. Tak więc wojnę propagandową wygrał Izrael i ośrodki mu przychylne bez większego trudu.

Swą wojnę gorącą Izrael rozpoczął od jednoczesnego ataku lotniczego na wszystkie 12 lotnisk wojskowych na terenie ZRA. Po czym kolumny pancerne i zmotoryzowane zaatakowały egipski Synaj, a po kilku dniach Jordanię, a następnie Syrię. Po niespełna tygodniu nierównych walk Izrael wygrał również swą błyskawiczną wojnę gorącą, osiągając wyznaczone cele, a to: rozbięcie armii trzech ościennych państw arabskich, zajęcie Półwyspu Synaj, wzgórz Golan w Syrii i terenów do rzeki Jordan. Wszystkie te terytoria włączone zostały niezwłocznie do państwa Izrael.

Osobiście nie miałem żadnych wątpliwości, że agresorem jest Izrael, wspierany bardzo wydatnie przez Wielką Brytanię, a zwłaszcza Stany Zjednoczone, które rozgrywały na scenie bliskowschodniej swe rozliczne własne interesy. Jednym z nich była

chęć upokorzenia państw arabskich w regionie i odcięcie ich od wpływów ZSRR, narażających po poprzedniej wojnie na Synaju w 1956 roku. Już ten moment wystarczyło, by po stronie Izraela wypowiedzieli się zdecydowanie najzgorzalsi nawet antysemita.

Ja taki przykład miałem w bezpośrednim wymiarze otoczeniu. Całkiem niedawno, kilka miesięcy temu, w czasie pewnej podróży autokarem, prowadziłem ożywioną dyskusję z jednym z moich kolegów na temat Holocaustu lat wojny. On starał się mnie przekonać, że Hitler zrobił wielką przysługę Polsce, eksterminując ludność żydowską. Ja natomiast tłumaczyłem mu, że przeciwnie, Polska bardzo dużo straciła, gdyż pozbawiona została swej podstawowej warstwy inteligencji oraz szerokiej rzeszy profesjonalnych kupców i rzemieślników, bez których odbudowa kraju została znacznie utrudniona. Oczywiście względy ludzkie, humanitarne nie miały dla mego kolegi najmniejszego znaczenia.

I oto w czerwcu 1967 roku, ten typowy, skądinąd sympatyczny antysemita, autentycznie cieszył się ze zwycięstw Izraela, a gromił Arabów za agresję i prześladowanie przez nich biednej ludności żydowskiej. Chętnie powtarzał różne, zasłyszane w radiu "Wolna Europa", kawały o dzikich Arabach, podobnych zresztą do kawałów, jakie opowiadał mi wcześniej o Żydach w Oświęcimiu. Jeden zapamiętałem, jak to strachliwi żołnierze egipscy tak szybko uciekali, że gubili buty na pustyni. Powiedziałem mu, że jest to makabryczny kawał o tym, jak Izraelczycy całym rzeszom jeńców kazali zdejmować buty i uciekać na bosaka przez rozpalone piaski pustyni Synaj do Kanalu Sueskiego, skazując ich w ten sposób na pewną śmierć w okrutnych męczarniach.

Dopiero po dwudziestu latach, po oddaniu dokumentów i ujawnieniu szeregu faktów poprzedzających wojnę - ocena, że to Izrael z premedytacją przygotował militarnie, psychologicznie i propagandowo, a potem zrealizował tę błyskawiczną wojnę w czerwcu 1967 roku, zapanowała powszechnie. Oczywiście, kto chciał to przyjąć kolejny blamaż, że była to wymuszona wojna prewencyjna, a więc tak czy siak, jednak słuszna i sprawiedliwa.

W szczególności w latach 80. ujawniono między innymi fakt przeprowadzenia uzgodnień zamierzonej wojny przez dyplomację Izraela ze swymi zachodnimi sojusznikami, to jest USA, W. Brytanią i Francją. Izrael nie chciał bowiem powtórzyć błędu z 1956 r., gdy przygotowany wspólnie z W. Brytanią i Francją atak na Synaj, nie został skonsultowany wcześniej ze Stanami Zjednoczonymi. W rezultacie potęgowały one potem agresję Izraela i twardo żądały wycofania jego wojsk z zajętych terenów egipskich na półwyspie Synaj.

W 1967 roku i USA i W. Brytania odniosły się pozytywnie do zamiarów Izraela i wsparły go wydatnie i otwarcie propagandowo, zaś skrycie militarnie. Jedynie prezydent Francji Charles de Gaulle zgniał izraelskiego ministra spraw zagranicznych A. Ebana, oświadczając mu, że wprawdzie Izrael zapewne wygra swą wojnę w ciągu tygodnia, ale Arabowie zjednoczą się i nie ustaną w walce, dopóki nie odbiorą swych ziem. I ostrzegł proroczo, że przegrana przez Arabów wojna spowoduje pojawienie się terroryzmu, przedtem w świecie nieznanego. Później, po nie przyjęciu jego rad, by Izrael raczej próbował się porozumieć z Egiptem w sprawie pokojowego rozwiązania spornych problemów - de Gaulle przyłączył się do ZSRR i Polski w potępieniu państwa izraelskiego jako agresora.

To stanowisko trzech wielkich dysydentów, odmienne od stanowiska prawie całej reszty świata, spotkało się z bardzo ostrą krytyką. W przypadku rzeczywiście wielkiego ZSRR krytyka ta była (tymczasem) bezsilna. Natomiast pozostali "pryncypialni" politycy, reprezentujący Francję i Polskę, tj. Charles de Gaulle i Władysław Gomułka rychło ponieśli konsekwencje swego lekkomyślnego wypowiedzenia się przeciwko żydowskiemu państwu. Wobec obu rozpoczęła się wówczas światowa i lokalna nagonka. Obwiniano ich o antysemityzm, choć akurat obaj całą swą dotychczasową działalnością świadczyli,

że był on im absolutnie obcy. Zarzucano im despotyzm, nacjonalizm, antyklerykalizm, wrogość do demokracji w ogóle.

W lipcu znów podrzuciłem dzieci rodzicom w Kępnie. I znów było im tam bardzo dobrze. Objadali się truskawkami ze śmietaną oraz porzeczkami, malinami i czereśniami, które sami zrywali. Była upalna pogoda więc opalili się obaj na murzynów. Znów, jak w poprzednich latach, gościli u dziadków także ciocia Nela i moja siostra z dziećmi, które przyjechały w różnym czasie. Dużą frajdą było urządzenie w ogrodzie przez Grażynę prawdziwego namiotu. Po dwu tygodniach przyjechała do Kępna również Kasia. Zabawiła tam jednakże tylko kilka dni, po czym zabrała chłopców i w trójkę pojechali na trzy tygodnie nad Bałtyk.



Zamieszkali w niewielkiej miejscowości wypoczynkowej Mikoszewo na wschód od Gdańska. W tym samym czasie przebywali w Mikoszewie również moi znajomi Ćwizewiczowie, z którymi wspólnie pracowałem w biurze projektowym, stanowiąc zresztą jeden architektoniczny zespół projektowy. Byli wraz ze swym synem, starszym o kilka lat od naszego Maćka. Wszyscy przez większą część dnia przebywali na plaży, gdyż prawie przez cały turnus mieli piękną, słoneczną pogodę. Moi chłopcy zawzięcie budowali domy i zamki z mokrego piasku, a Kasia głównie opalała się z Hanią Ćwizewiczową. Wieczorami starsi grywali w brydża. Po tygodniu przyjechała do Mikoszewa również moja siostra Halina z synem Januszem. Od tego czasu nasi chłopcy głównie bawili się piłką i zażywali kąpieli w falach Bałtyku. Były to pierwsze wczasy mych synów nad morzem i w ten sposób prześcignęli mnie, bo ja dotąd nad morzem nigdy nie urlopowiałem.

Na plaży w Mikoszewie

Od pierwszego września nasz starszy syn, prawie siedmioletek rozpoczął edukację w szkole podstawowej nr 19 przy ul. Młaskotów. Miał do szkoły bardzo blisko, raptem kilka minut spacerkiem. Szkoła była usytuowana po przeciwnej stronie ulicy w stosunku do przedszkola i odtąd żona rano odprowadzała obu synków równocześnie, jednego do przedszkola, drugiego do szkoły, po czym sama udawała się do pracy.

Budynek szkolny wybudowany został kilka lat po wojnie, posiadał dwa piętra i dobudowaną parterową salę gimnastyczną oraz w ogóle prezentował się bardzo dobrze. Na dziedzińcu przyszkolnej było boisko, bieżnia, skocznia, plac zabawowy, placyk przedwejściowy, ogródek szkolny i stosunkowo dużo wysokiej zieleni. Szkoła posiadała świetlicę-jadalnię dla dzieci z pełnym zapleczem kuchennym. Zapisaliśmy więc Maćka na obiady szkolne, gdyż szybciej kończył naukę, niż ja i żona wracaliśmy z pracy. W związku z tym korzystał też ze świetlicy, odrabiając w niej lekcje.

W dniach 6-12 września przebywał w Polsce prezydent Francji Charles de Gaulle. Jego obecność w Gdańsku, a zwłaszcza w Zabrzdu, które określił jako "najbardziej polskie ze wszystkich polskich miast", świadczyła o pozytywnym stosunku Francji wobec naszych Ziemi Zachodnich. Był też w Warszawie, Katowicach, Oświęcimiu i Krakowie. Wszędzie witały go ogromne tłumy ludzi. Jechał zwykle otwartym samochodem, który często przystawał, a wtedy generał udzielał autografy i wymieniał uściski dłoni z przygodnymi widzami. Przejeżdżając ul. Lubicz w Krakowie uściśnął również rękę mej żony. Po wielu latach fakt ten był dla mnie kanwą pewnej dywagacji małżeńsko-politycznej. Mianowicie, gdy oskarżono prezydenta A. Kwaśniewskiego o zdradę państwową, bo wystąpił na jakimś grupowym zdjęciu z agentem rosyjskim Auganowem - to wtedy mó-

wiełem, że moja żona na pewno zdradzała mnie z Charles de Gaulle'm, gdyż są żywi świadkowie, że uściśliły sobie ręce.

Jesienią przyjechał do Krakowa mój ojciec, właściwie po raz pierwszy od czasu naszego zamieszkania w spółdzielczym mieszkaniu. Bardzo mu się u nas podobało, a zwłaszcza udogodnienia, związane z wyposażeniem mieszkania w bieżącą wodę, gaz, wannę, ubikację, centralne ogrzewanie. Nigdy tych zdobyczy cywilizacyjnych w swym życiu nie doświadczył. Nawet w posiadanym w Kępnie zupełnie przyzwoitym domu, wodę rodzice czerpali wiaderem na drągu ze studni usytuowanej na podwórku, do ogrzewania pokoi służyły kaflowe piece opalane węglem, "sławojka" była za stodołą i tyle tylko, że budynek wyposażony był w instalację elektryczną. Rodzice mieli jedynie szansę na podłączenie swego domu do instalacji wodociągowej, którą wreszcie na ich ulicy wykonano. Lecz nie mogłaby być ona w pełni wykorzystana, bo brak było ulicznej sieci kanalizacyjnej

To też ojciec, zwłaszcza po gorącej kąpeli w wannie, widząc przyrządzanie potraw na kuchence gazowej, czy odkurzanie dywanów przy pomocy elektroluksu, powtarzał wielokrotnie: "Dobrze i wygodnie życie". Chwalił też posiłki, jakie jego synowa przygotowywała i wszystko mu bardzo smakowało. Byliśmy z ojcem na spacerze w rejonie Kopca Kościuszki, a także zwiedziliśmy krakowską Starówkę. Ojciec był już kilka razy, w różnych okresach czasu, w Krakowie, i stwierdził, że miasto bardzo się zmieniło.



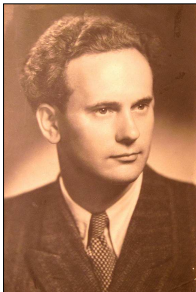
Zabawił jednakże u nas jedynie dwa dni, bo w Kępnie czekała go praca w ogrodzie oraz polu i musiał jechać by pomóc "matce" w robocie przy gospodarstwie. Dodatkowo w okresie roku szkolnego rodzice mieli nieco pracy, związanej z obsługą kilkunastu młodych lokatorów, którzy kwaterowali w mieszkaniu na poddaszu ich domu. Była to młodzież męska z dalszych wsi, uczęszczająca do szkół zawodowych w Kępnie. Rodzice brali od nich bardzo niskie opłaty, ale też chłopcy spali na piętrowych łóżkach w dużym zagęszczeniu. Za dodatkowe usługi, herbatę, ewentualne posiłki, płacili odrębnie. W ten sposób rodzice uzyskiwali dodatkowy dochód poza emeryturą ojca. Przy czym od początku tego roku ojciec pobierał emeryturę odpowiednio powiększoną, w związku z otrzymaniem Krzyża Kawalerskiego Odrodzenia Polski za udział w Powstaniu Wielkopolskim i 3-im Powstaniu Śląskim.

Za to rodzice starali się nieco ograniczyć prace fizyczne w swym gospodarstwie. Ojciec miał już wtedy 71 lat i wprawdzie nie skarżył się na swe zdrowie, ale faktycznie to dokuczał mu reumatyzm, będący konsekwencją jego przedwojennej pracy w Straży Granicznej. To też znaczną część swego pola wydzierżawili sąsiadującemu z nimi rolnikowi oraz sprzedali krowę, która wymagała bardzo dużo zachodu, kupując w zamian kozę, by mieć trochę mleka na własny użytek.

Niezmienne natomiast mama przysyłała nam regularnie paczki z żywnością. Były w nich mięso królicze, cielęcina, suszone grzyby, ser, masło, śliwki i inne owoce i warzywa. A od czasu do czasu również wełniane skarpetki dla chłopców, które sama robiła na drutach i kolorowe fartuszki kuchenne dla Kasi, jakie sama szyła na swej wysłużonej maszynie "Singer".

Większość zatrudnionych w PW-2 była po wyższych studiach technicznych, odbytych oczywiście już po wojnie. Stąd przeważali pracownicy mający po 30-42 lata. Jesz-

cze młodszą grupę stanowili kreślarze, będący po średnich szkołach technicznych. Natomiast w wieku ponad 50 lat była w pracowni tylko jedna osoba. W tym czasie zaczęła się już wyraźna ilościowa dominacja kobiet w biurach projektowych. Można powiedzieć, że feminizowały się one szybko, podobnie jak np. zawody nauczycielskie i lekarskie. Co raz więcej kobiet w biurze było też starszymi projektantami, kierującymi własnymi zespołami projektowymi, a nawet wyjątkowo pracowniami. Nie znam jednak przypadku sprawowania przez kobietę stanowiska dyrektora, czy naczelnego inżyniera w jakimś biurze projektowym, przynajmniej na terenie Krakowa.



Zbliżony wiek pracowników, podobne sytuacje rodzinne i charakter pracy zawodowej, zmuszający do współpracy, powodowały, że w pracowniach panowały stosunki prawdziwego koleżeństwa i szczerzej, wzajemnej przyjaźni. Widoczne to było szczególnie przy okazji różnego rodzaju spotkań nieformalnych, np. na wycieczkach, imprezach i zabawach organizowanych przez biuro, przy okazji przyprowadzania swych dzieci na zabawy czy filmy wyświetlane dla nich w biurze itp.

Przejawiało się to też w zbiorowym obchodzeniu imienin współpracowników. W dużym skrócie wyglądały one tak, że składano jubilatowi indywidualne bądź zbiorowe życzenia i symboliczne małe prezenty, a on częstował przybyłych słodyczami, kawą itp. Niekiedy te

Mam 42 lata imieninowe imprezy ograniczały się jedynie do zespołu projektowego, czyli jednego pokoju, rzadziej ogarniały całą pracownię. W każdym bądź razie zapamiętałem jedno takie imieniny kolegi Ludwika Niedzielskiego, który w ramach poczęstunku serwował świeżo smażone na maselku ślimaki winniczki. Były bardzo smaczne i pikantne, przy czym delektowałem się nimi wówczas po raz pierwszy, zresztą również po raz ostatni.

Te uroczystości imieninowe oczywiście zakłócały normalny tok pracy całej pracowni, mimo, iż odbywały się pod koniec dnia pracy. To też wysunąłem kompromisową propozycję, by obchodzić w ciągu roku tylko jedno składkowe, zbiorowe imieniny w dniu 6 grudnia, czyli przy okazji św. Mikołaja. Pomysł chwycił i przez kilka lat PW-2 obchodziła zbiorowe, symboliczne imieniny wszystkich swych pracowników tylko raz, ale za to z rozmachem.

Głównym punktem imprezy było rozdawanie prezentów przez Św. Mikołaja, którym był wysoki i masywny Staszek Ćwiżewicz. Prezenty były zwykle bardzo różnorodne, np. budziki dla spóźnialskich, rajstopy, czekolady, a często śmieszne i oryginalne, jak np. 10 paczek, jedna w drugiej, a w ostatniej najmniejszej - guzik. W ich losowaniu i wybieraniu z wielkiego kosza pomagał urodziwy aniołek w osobie Helenki Janeczek, a przeskadzał niesforny diabeł, za którego przebrany był Kazik Zabiegaj, na którego i tak mówiono "mefisto", ze względu na jego wielkie krzaczaste brwi.

W 1967 roku imieniny obchodziliśmy jeszcze indywidualnie. Na moje otrzymałem, między innymi, wierszowany panegiryk, ułożony przez dyżurną poetkę pracowni Hanię Ćwiżewicz. Załączam jego fragment:

"Więc życzenia Ci składamy najpiękniejsze i najlepsze,
Byś jak dotąd z powodzeniem do przyszłości wiodł nas lepszej.
By tematy dla pracowni te najtłustsze się trafiały,
A limity przerobowe milionowe przez rok cały!
Dziel pieniążki sprawiedliwie, miej ich stosy na twym stole,
Gdyż już dawno ktoś powiedział, że pecunia ni ciut olet."

Jednym z poważniejszych projektów aktualnie opracowywanych w PW-2 był projekt generalnego remontu restauracji "Wierzynek" w Ryнку Głównym 15. Ta najstarsza

w Krakowie restauracja zawdzięcza swą nazwę kupcowi i bankierowi krakowskiemu, żyjącemu w XIV wieku, który tę restaurację założył. Nosi ona jeszcze nazwę królewskiej, gdyż Wierzynek podejmował w niej wielokrotnie króla Kazimierza Wielkiego, a także innych monarchów

W 1967 rozpoczęto jej wielki powojenny remont i przebudowę, która polegała na zaadaptowaniu całego 4-piętrowego budynku wraz z oficynami na potrzeby restauracji. W szczególności w piwnicach zaprojektowaliśmy duże magazyny i stylową winiarnię, a parter oraz I i II piętra zajęły sale konsumpcyjne oraz kuchnie, przy czym oficyny zaadaptowane zostały na zaplecze kuchni. Na ostatnich dwóch górnych kondygnacjach powstały biura i mieszkania służbowe, a na strychu supernowoczesna kotłownia gazowa centralnego ogrzewania, działająca automatycznie i obsługująca cały sąsiedni kwartał czterech budynków zabytkowych. Do restauracji włączona została jeszcze tak zwana Sala Rycerska, mieszcząca się na I piętrze sąsiedniego budynku.

W trakcie robót budowlanych odkryto pod późniejszymi tynkami kilka starych polichromii, rzeźbione kamienne pilastry i łęki oraz ozdobne drewniane kasetony stropowe. Wszystko to starannie odrestaurowano i odpowiednio eksponowano. W ogóle w trakcie projektowania wnętrza zabytkowego "Wierzyńka", główny projektant Adam Ścigalski musiał wiele czasu poświęcić na studiowanie historii architektury wnętrza, a znaczną część prac wnętrza wykonywały zespoły specjalistów z Krakowskiej Pracowni Konserwacji Zabytków. Ja częściowo włączyłem się bezpośrednio do prac projektowych, opracowując projekt technologii kuchni restauracyjnych wraz z ich zapleczem.

Po ukończeniu rozbudowy i remontu "Wierzyńka" stał się on niewątpliwie najbardziej reprezentacyjnym lokalem gastronomicznym w Krakowie. W poszczególnych salach konsumpcyjnych, hollu, szatniach dominują boazerie, marmury, lustra, złocenia, a ściany ozdobione są obrazami, arrasami, historycznymi rekwizytami. Stało się zwyczajem, zresztą zgodnie z wielowiekową tradycją, że goszczą w nim najdostojniejsze osobistości, zwłaszcza koronowane głowy, wizytujący Polskę. Ponad to odbywają się tu przeróżne wystawne bankiety, uroczystości weselne, przyjęcia okolicznościowe itp.

Drugim znaczącym projektem, opracowywanym w tym czasie w pracowni był projekt dużego domu kultury w Myślenicach. Głównym projektantem tego obiektu, zrealizowanego potem w ciągu kilku lat, była Halinka Malinowska, przy współpracy A. Ścigalskiego.

Zaś Staszek Ćwizewicz rysował projekt wstępny budynku produkcyjno-biurowego dla Spółdzielni Bieliźniarzy w Krakowie. W pewnym momencie włączyłem się bezpośrednio do tych prac projektowych, wykonując technologię produkcji i plan zagospodarowania przestrzennego działki inwestycji. Obiekt ten nigdy nie został jednakże zrealizowany. Wkrótce potem Staszek zabrał się do projektowania dużego piętrowego pawilonu handlowego na osiedlu Azory w Krakowie. Musieliśmy się bardzo spieszyć, bo to duże osiedle było już prawie całkowicie zamieszkałe i istniała pilna potrzeba jak najszybszego uruchomienia projektowanego przez nas supermarketu. I w tym przypadku, chyba dla dotrzymania terminu, włączyłem się bezpośrednio do prac projektowych.

W marcu, z okazji Dnia Kobiet 8 marca, zafundowałem rodzinie trzydniowy pobyt w Zakopanem. Wynajęliśmy pokój w jednym z pensjonatów orbisowskich i cały czas poświęciliśmy na wędrowkę i zwiedzanie samego Zakopanego i okolicy. Przy pięknej, słonecznej pogodzie znów spacerowaliśmy po uroczych dolinkach górskich, a chłopcy jeździli na saneczkach w rejonie trzech skoczni. Oglądaliśmy też z daleka efektowne skoki narciarskie na dużej skoczni, na której odbywały się w tym czasie ogólnopolskie zawody w tej dyscyplinie. W tym samym czasie przebywała również w Zakopanem na wczasach Wanda Brachowska ze swą córeczką Beatką. Razem więc spacerowaliśmy

po Krupówkach i opalaliśmy się na Gubałówce, zwłaszcza że ociepliło się gwałtownie i śnieg zaczął szybko znikać.

Nasi przyjaciele Brachowscy otrzymali wtedy w Krakowie nowe spółdzielcze mieszkanie. Po jego częściowym umeblowaniu, z jakiejś rocznicowej okazji, urządzili oni małe, okazjonalne przyjęcie, zapraszając swych krewnych i kilka zaprzyjaźnionych małżeństw. Byliśmy na tym przyjęciu, po którym w mniejszym gronie wybraliśmy się na spacer po okolicy. To trzypokojowe mieszkanie w nowiułtkim bloku miało tylko jedną, ale dokuczliwą wadę. Położone było tuż przy ruchliwych torach kolejowych, przy czym między nimi a budynkiem budowano jeszcze tranzytową szosę. Ja zawsze mieszkam w cichych ustronnych miejscach i na tak hałaśliwe mieszkanie chyba bym się nie zdecydował. Ale podobno do wszystkiego można się przyzwyczaić, a poza tym po pewnym czasie budynek, w którym mieszkali nasi przyjaciele, odgradzony został od drogi i torów kolejowych wysokim murem betonowym, służącym jako akustyczny parawan.



Nasi chłopcy i Beata Brachowska

W pierwszym półroczu 1968 r. było bardzo niespokojnie prawie w całej Europie. Miała miejsce destabilizacja polityczna we Włoszech, Niemczech Zachodnich, Hiszpanii, Czechach, Polsce, Jugosławii, a w największym wymiarze we Francji, gdzie nieustannie nasilała się krytyka działań rządu, a głównie prezydenta Charles de Gaulle'a. Przeciwno niemu występowali nawet niektórzy członkowie jego rządu, ultrasi algierscy, hierarchia kościoła katolickiego, środki masowego przekazu i koła proamerykańskie, zwłaszcza związane z kapitałem żydowskim. Zwalczały go też wszystkie związki zawodowe, głównie na tle żądań socjalnych. Buntowali się chłopcy, studenci, robotnicy.

Zaczęło się w styczniu od strajku górników w zagłębiu węglowym płn. Francji. Po tem przyszły wielkie demonstracje studentów, protestujących przeciwko niedoinwestowaniu wyższych uczelni, w których studenci tłoczyli się w przeludnionych wydziałach. Dołączyli do nich licealiści, młodzieżowi emigranci arabscy, tureccy oraz różne grupy hippisowskie, lewackie i maoistowskie. Niewątpliwie znaczący wpływ na te masowe kontestacje młodzieżowe miał wielki wyz demograficzny, jaki w drugiej połowie lat sześćdziesiątych przeżywała Francja, zresztą również prawie cała Europa.

Najgorszy był miesiąc maj, gdy miały miejsce masowe strajki, manifestacje, rozruchy i barykady w Paryżu. Francja znalazła się wówczas niemalże na progu wojny domowej, gdy majowy strajk powszechny, połączony z okupacją fabryk, objął prawie 10 milionów robotników i pracowników wszystkich branż. Napiętą sytuację rozładowały dopiero ponowne otwarcie Uniwersytetu Sorbony, uwolnienie aresztowanych demonstrantów, rozwiązanie parlamentu i rozpisanie ponownych wyborów do niego w czerwcu tegoż roku. A także zapowiedź reform w gospodarce i zarządzaniu państwem. Ale nagonka na gen. de Gaulle'a nie ustawała.

W Polsce, od czasu znanego antysyjonistycznego wystąpienia Władysława Gomułki w czerwcu 1967 r., krytyka skierowana była początkowo głównie przeciwko niemu, jako sternikowi nawy państwowej. Rychło jednak rozszerzona została także na cały system władzy i ustrój państwa. Przy czym bezpośrednim przedmiotem ataku stały się przede wszystkim sprawy wolności wypowiedzi i publikacji, w szczególności krytykowano zwłaszcza oficjalną cenzurę prasy i innych środków masowego przekazu, oraz ograniczenia wolności obywatelskich.

Poszczególne ośrodki opozycyjne zawiązały się głównie na uczelniach. Ich przywódcami zostali młodzi, ambitni studenci i kontestujący intelektualisci. Spora część z nich było pochodzenia żydowskiego, w tym wielu dzieci prominentnych działaczy państwowych i partyjnych. Trzeba przypomnieć, że w powszechnej opinii publicznej, a także faktycznie, władze Polski Ludowej opierały się i wspomagane były, od swego zarania, przez elity inteligencji pochodzenia żydowskiego. Działali oni zwłaszcza w sferze ideologii, reprezentując wyraziście nurt socjalistyczny, przy czym jednoznacznie prorodzieski. Po czerwcu 1967 r. stan ten odmienił się radykalnie o 180 stopni. Obywatele polscy żydowskiego pochodzenia poczuli się bowiem do żywego dotknięci potępieniem przez Wł. Gomułkę agresji dokonanej przez Izrael na Synaju. Uznano to za kłamstwo, za przejaw antysemityzmu władz polskich, jakby za dalszy ciąg prześladowań hitlerowskich itp.

Nastąpił szereg faktów, wypowiedzi i decyzji, dziś wszechstronnie opisanych i chętnie przypominanych, chociaż wówczas nie bardzo znanych szerszemu ogółowi w naszym kraju. Gomułka pozwolił też wtedy, wydawało się, że wspaniałomyślnie, na wyjazdy z Polski tych wszystkich obywateli żydowskiego pochodzenia, którzy taką chęć wyrażali. Faktycznie wyjechało bardzo wiele osób, często całymi rodzinami. Dla niektórych była to realizacja ich marzeń, które nie mogli wcześniej spełnić wobec ścisłej reglamentacji zezwoleń na wyjazdy zagraniczne. Dla wielu innych rozstanie się ze swą dotychczasową ojczyzną było bardzo bolesne. W Polsce zamieszkiwali wszak od dzia-
da-pradziada, mieli swe warsztaty pracy, przeżyli złe czasy i swe radości. Jednakże silniejszy był zew krwi do nowej ojczyzny, która potrzebowała ich do zasiedlenia nowych terenów i zasilenia swej gospodarki.

Gwoli prawdzie trzeba jednak stwierdzić, że większość emigrantów żydowskich wyjechała wówczas nie do Izraela, lecz w ogóle na Zachód, w tym głównie do Stanów Zjednoczonych. Dzisiaj całą tę emigrację określa się jako przymusową, przeprowadzoną na siłę przez władzę ludową. A przecież, gdy pamięć szwankuje, wystarczy pomyśleć: gdyby tak rzeczywiście było, to w pierwszej kolejności władze pozbyłyby się aktywnych działaczy opozycyjnych, a ci bynajmniej nie wyjechali.

Natomiast faktycznie ujawniły się wtedy, nawet w najwyższych gremiach władzy, wyraźne nastroje antysemickie i miały miejsce względnie liczne przypadki represji wobec obywateli pochodzenia żydowskiego. Przejawiały się one zwłaszcza w degradacji lub zwolnieniach ich z pracy na eksponowanych stanowiskach. Taki przypadek dotknął też generalnego projektanta Nowej Huty inż. arch. Tadeusza Ptaszyckiego, który 2.VII.1968 r. zwolniony został ze stanowiska dyrektora Miastoprojektu-Kraków i to właściwie bez bliżej określonego powodu. Ja osobiście, dopiero po wielu latach, zorientowałem się, że przyczyną tego nagłego zwolnienia mogło być jego żydowskie pochodzenie, o czym nie miałem zielonego pojęcia, zresztą nie miałoby to dla mnie najmniejszego znaczenia.

W marcu 1968 roku dysydenckie, kontestujące koła studenckie i młodych intelektualistów grały już znaczące, pierwszoplanowe role w zmaganiach z gomułkowską władzą. Co wówczas się działo dziś już wszyscy dokładnie wiemy, w przeciwieństwie zresztą do tamtego okresu, gdy właściwie poinformowani byli tylko słuchacze radia "Wolna Europa". W każdym bądź razie w moim środowisku biura projektowego, jak zresztą we wszystkich zakładach pracy, marcowe protesty studenckie nie wywołały żadnych reperkusji. Zapoznawane były jedynie z prasy i były właściwie prawie niezauważalne.

W czerwcu 1968 r. Maciek otrzymał pierwsze swe świadectwo szkolne z ukończenia pierwszej klasy szkoły podstawowej z ogólną dobrą oceną. Nie mogło być inaczej,

gdyż opuścił aż 81 dni nauki, w większości z powodu anginy i przeziębień, które go wtedy nadmiernie prześladowały.

Zaraz w pierwszych dniach wakacji znów odwiozłem obu chłopców do dziadków w Kępnie. Tam już byli Janusz i Grażyna, a niedługo, podobnie jak w poprzednich latach, przyjechała ciocia Nela z Próchenek. Nie było jedynie mej siostry. Miała ona w maju wylew krwi do mózgu i przebywała jeszcze w szpitalu. Po wyjściu z niego przyjechała też do Kępna, natomiast przestała pracować zawodowo na dłuższy okres czasu. Dla naszych chłopców te wakacje u dziadków były prawie dokładną repliką wakacji z lat ubiegłych. Trwały jednakże nieco krócej, gdyż w ostatnich dniach lipca Kasia przywiozła maluchów do Krakowa.



Po czym pojechaliśmy na dwa tygodnie sierpnia do Białki Tatrzańskiej. Wynajęliśmy tam jedną izbę w domu miejscowego górala. We wsi roilo się od takich letników z małymi dziećmi, jak my, zamieszkałych w prywatnych kwaterach. Bo Białka Tatrzańska to stylowa, stara wieś podhalańska w pobliżu Bukowiny Tatrzańskiej, rozciągnięta malowniczo wzdłuż bystrej rzeki Białki, wypływającej z Morskiego Oka. Blisko stąd do Zakopanego, to też już w drugim dniu pobytu pojechaliśmy autobusem do tej tatrzańskiej stolicy. Była piękna, słoneczna pogoda, więc wróciliśmy do Białki Tatrzańskiej dopiero wieczorem.

Nasz gospodarz miał małe, bodaj dwuhektarowe gospodarstwo rolne, złożone z czterech kawałków gruntu, rozrzuconych w promieniu wielu kilometrów. Uderzało ubóstwo rodziny gazdy. Przede wszystkim odżywiali się oni bardzo skromnie i monotonnie, a głównym ich pożywieniem były gotowane kartofle, które lekko omaszczone, zjadane były z kwaśnym mlekiem. Tym niemniej gazda miał swe obyczajowe chwile rozpusty i co sobotę gościł wieczorem w niedalekiej gospodzie, skąd o zmroku wracał na rauszu z głośnymi przyśpiewkami do domu.

Raz pojechałem z nim na konnej furce, aby mu pomóc w pracach polowych i nie mogłem się nadziwić, jak on w ogóle trafił na to swoje poletko, wśród dziesiątków innych, identycznych zagonków. Miał też spory sad i to było świetne miejsce dla harców naszych synów, którzy zaprzyjaźnili się także szybko z młodym, białym owczarkiem, jaki wszędzie towarzyszył naszemu gospodarzowi. Ale przede wszystkim to chłopcy hołubili własnego kotka, rasową syjamkę Czikę. Mieliliśmy ją od kilku miesięcy i była ona obiektem uwielbienia nas czworo, ale głównie Maćka. W tej samej chacie, lecz od strony podwórka, wynajmowała jedną izbę również koleżanka szkolna mej żony Halina Cabaj. Przyjechała ze swą kilkuletnią córeczką i często przebywała w naszym towarzystwie. Chodziliśmy na krótsze i dłuższe spacery, zwykle wzdłuż rzeczki Białki w kierunku Bukowiny Tatrzańskiej.

W Zakopanem

Byliśmy już kilka dni w Krakowie, gdy w nocy 19/20 sierpnia obudził nas długotrwały łoskot przelatujących nad miastem dziesiątków czy setek samolotów. Na drugi dzień dowiedzieliśmy się, że były to wojskowe samoloty transportowe, które lądowały w nocy i rano na lotniskach Czechosłowacji. W dniu tym nastąpiła bowiem interwencja wojskowa 5 państw Układu Warszawskiego, kładąca kres tzw. "praskiej wiośnie". Mianowicie, podobnie jak we Francji, Hiszpanii, Polsce, również w Czechosłowacji wio-

sna 1968 roku była bardzo niespokojna. W czeskich środkach przekazu narastała krytyka niedociągnięć w polityce gospodarczej i naruszeń praworządności, zaś kręgi opozycyjne domagały się liberalizacji w gospodarce, zdecentralizowania zarządzania przedsiębiorstw państwowych, demokratyzacji wszystkich sfer życia publicznego, współpracy bez ograniczeń z państwami kapitalistycznymi itd.

Dokonane zostały wtedy zmiany składu rządu i naczelnych władz KPCz i zaczęło się wdrażanie części postulowanych reform. Gdy w lipcu nastąpiła radykalizacja ośrodków kierujących "praską wiosną" i rząd nie panował już w pełni nad przemianami, państwa Układu Warszawskiego oceniły sytuację jako zagrażającą łaadowi socjalistycznemu i, po bezskutecznych ostrzeżeniach, zdecydowały się na interwencję wojskową. Dokonana została ona 20 sierpnia z terenu NRD, Polski, ZSRR i Węgier.

Poza Europą w latach 1966-68 też nie było spokojnie. Stany Zjednoczone AP coraz bardziej wkiwały się w wojnę w Wietnamie Południowym, zwiększając swój korpus interwencyjny do ponad pół miliona żołnierzy. Amerykanie interweniowali także w Dominikanie, gdzie wcześniej miał miejsce wojskowy zamach stanu. W Afryce trwała wojna domowa w Kongo Belgijskim, a w kilku krajach Ameryki Południowej dokonane zostały kolejne zamachy stanu. Zakończyła się natomiast wojna pomiędzy Indiami i Pakistanem o prowincję Kaszmir.

Kosmosie USA skutecznie doganiały już Związek Radziecki, wysyłając na Księżyc sondy badawcze "Surveyer" i pierwszy statek załogowy "Apollo VIII" z trzema kosmonautami, który okrążył Księżyc i bezpiecznie wrócił na Ziemię. Za to Rosjanie dokonali pierwszego próbnego lotu naddźwiękowego samolotu pasażerskiego TU-144. W październiku 1968 r. odbyły się światowe igrzyska olimpijskie w Meksyku. Polska ekipa sportowa, niezmiennie w dobrej formie, uzyskała 18 medali. Złoto znów zdobyła nasza biegaczka Irena Kirszenstein-Szewińska, a w boksie Jerzy Kulej.

W tych trzech latach gospodarka polska wzbogaciła się o szereg dużych zakładów przemysłowych. W Nowej Hucie uruchomiono ostatni, piąty już, wielki piec hutniczy, dzięki czemu zdolność produkcyjna kombinatu wzrosła do 6 milionów ton stali rocznie. Oddano do użytku wielki kombinat produkcji nawozów azotowych w Puławach, duże elektrownie w Pątnowie i Solinie, kilka kopalni węgla kamiennego, rudy miedzi oraz siarki rodzimej i wiele innych obiektów.

W sierpniu 1968 r. zaprzyjaźniliśmy się z pewnym młodym małżeństwem, p. Basterami, mieszkającym w tym samym bloku spółdzielczym, co my. Jego znałem już wcześniej, gdyż pracowaliśmy w tym samym biurze projektowym, on na stanowisku starszego projektanta instalacji sanitarnych. Nie znałem jednak jego żony, a dla Kasi obydwójce byli w ogóle ludźmi obcymi. Trzeba było trafu, że spotkaliśmy się przypadkowo na niedzielnej wycieczce w Ojcowskim Parku Narodowym w Dolinie Prądnika w trakcie zwiedzania jaskini Łokietka. My byliśmy ze swymi dwoma synami, oni ze swoim jedynakiem, nieco starszym od Maćka. Odtąd odwiedzaliśmy się od czasu do czasu w swoich mieszkaniach na maleńkich poczęstunkach, ale głównie po to, by pograć w ulubionego brydża. Chodziliśmy też niekiedy razem na różne wycieczki i imprezy rozrywkowe.

W ogóle w naszym trzyklatkowym bloku spółdzielczym jest 58 mieszkań. Zaś na naszej klatce schodowej aż 28 mieszkań, w tym osiem na przyległej przeziści. Oczywiście znaleźliśmy tylko nieznaczoną część współlokatorów. Na naszej klatce schodowej, prócz p. Basterów, znanych nam było nieco bliżej jeszcze tylko 5-6 rodzin.

Na najwyższej, szóstej kondygnacji zamieszkiwał mój kolega architekt Jurek Piliowski, pracujący w biurze projektowym "Miastoprojekt Kraków". Jego żona Maria Nowotarska-Piliowska dla odmiany była koleżanką szkolną mej żony. Była ona przez wiele lat znaną aktorką dramatyczną w Teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie. Później oby-

dwoje emigrowali, już na stałe, do Kanady, w której potem Maria Nowotarska podbiła swym kunsztem aktorskim tamtejszą Polonię, jak ongiś Helena Modrzejewska całe Stany Zjednoczone.

Na przewiązce obok nas zamieszkiwał też mój kolega architekt Janusz Meissner wraz z żoną i kilkunastoletnim wówczas synem. Zajmowali dwupoziomowe mieszkanie, jakie pierwotnie spółdzielnia nam proponowała. Kasia jednakże nie chciała w takim mieszkaniu mieszkać i dokonaliśmy wzajemnej wymiany. Ich syn był dosyć niesforny i potrafił płaćć nieźle figle. W pewnym okresie czasu, co kilka dni znikwały z przed naszych drzwi wejściowych flaszki z mlekiem, jakie rozwoziły wczesnym rankiem po całym mieście specjalne samochody dostawcze. Była to sprawka naszego młodego sąsiada, który te flaszki zrzucił z galerii na betonowy daszek wejścia do budynku i obserwował jak mleko spływa do rynny. Później cała rodzina Meissnerów wyjechała do Francji.

Dwa piętra wyżej zamieszkiwali p. Sawczykwowie, mający syna Jacka w wieku naszego Grzesia. On pracował jako taksówkarz, ona jako robotnica w Zakładach Farmaceutycznych "Polfi". Gdy obydwójce byli w pracy, to Jacek, po ukończeniu nauki w szkole, waleśał się niekiedy po podwórku i okolicy. Bywało, że w czasie deszczu lub mroźnej pogody przychodził do nas, lub sami go przywoływaliśmy. On też wraz z mamą wyemigrowali później do USA.

Starsze małżeństwo, p. Janowscy, mieszkający obok, służyło nam ze wzajemnością różnymi drobnymi usługami, jak pożyczki cukru, czy soli, w przypadku ich nagłego braku itp. Gdy wyjeżdżaliśmy na urlop, to dawaliśmy klucze p. Janowskiej, która opiekowała się naszym kotkiem Czika i podlewała kwiaty w naszym mieszkaniu.

Zaś pod nami na parterze był prywatny gabinet stomatologiczny. Żeby wyrwać lub zaplombować zęba, nie musieliśmy więc nawet ubierać butów ani płaszcza. A z zębami, zarówno ja, jak i żona, zawsze mieliśmy pewne kłopoty. I obydwójce bardzo niechętnie chodziliśmy do naszego blokowego dentysty, gdyż leczenie zębów, szczególnie borowanie, zwykle było bolesne, w każdym razie bardzo nieprzyjemne.

Akurat w tym czasie radio doniosło, że w Poznaniu rozpoczęto eksperymentalne stosowanie specjalnej pasty, neutralizującej ból zębów przy ich borowaniu. Kasia zadzwoniła do wynalazcy tej pasty dra Stawińskiego i umówiła się z nim na zabieg w określonym dniu. Później jeszcze dwukrotnie wyjeżdżała do tego eksperymentalnego gabinetu dentystycznego w Poznaniu, a raz to zabrała ze sobą Maćka, który też miał problemy ze swymi ząbkami.

Pod koniec lat sześćdziesiątych Kraków zafundował sobie budowę dużego zespołu różnych baz produkcyjno-magazynowych, dla których przeznaczono obszerne, wydzielone tereny w dzielnicy Płaszów, w sąsiedztwie towarowej stacji kolejowej. Nasze biuro otrzymało zlecenie na opracowanie dokumentacji projektowej na budowę dwu z nich. Zlecenia te trafiły do mojej pracowni. Były to: zespół baz "Poszukiwania Naftowe", dla których generalnym projektantem została H. Malinowska, oraz baza "Cenpo", jaka przypadła do zaprojektowania D. Mazurowej. Oba przedsięwzięcia inwestycyjne składały się z wielu obiektów kubaturowych i licznych urządzeń technicznych, jak bocznice kolejowe, rampy wydładowcze, suwnice itp. Dokumentację techniczno-roboczą na poszczególne obiekty wykonywaliśmy potem sukcesywnie i zajęło nam to prawie dwa lata.

We wrześniu przyjechała z Wrocławia moja siostra Halina. Zabawiła u nas trzy dni, w trakcie których kilka razy "pochodziliśmy" po Starówce krakowskiej. Bardzo się jej Kraków podobał. Siostra, w związku z przebytymi chorobami, aktualnie nie pracowała zawodowo. Natomiast w październiku pojechała do sanatorium w Ciechocinku na trzytygodniowy pobyt leczniczy.

W listopadzie nasza kotka Czika powiła cztery kotki, jako konsekwencja jej po-

dwórkowych spacerów w Białce Tatrzańskiej. Ona sama rasowa syjamka, o białobeżowej sierści i czarno-brunatnych uszkach, mordce, łapkach i ogonku, a jej kocięta bure i pręgowane, jak najzwyczajniejsze podwórkowce. Ale po kilku tygodniach, kotki brykały i dokazywały wesoło wokół swej mamusi, najwidoczniej nie żałującej popełnionego na wczasach megaliansu.

Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy przy choince, wspólnie z naszymi przyjaciółmi Stachniakami. Nasi chłopcy mieli dodatkową atrakcję, gdyż wzięli udział w dużej, wspaniałej zabawie dla dzieci, organizowanej w Miejskim Domu Kultury przy ul. Krowoderskiej.

Natomiast zaraz po świętach wyjechaliśmy z dziećmi do Wrocławia. Byli tam już mój ojciec i ciocia Nela, więc był to jakby mały zjazd rodzinny. Głównym jego akcentem było udanie się na cmentarz na Sępolnie do urządnego już dużego grobowca mamy szwagra, w którym spoczywała jeszcze żona jego brata. W mniejszym gronie zwiedzaliśmy potem śródmieście Wrocławia.



Syjamka Czika i jej 4 kocięta

EKSPORTOWE MIASTO

**Prewentorium * Wczasy w Karpaczu i Białce * Wystawa kwiatów *
Ośnieżona Szrenica * Litoral w Rumunii * Śmierć ojca * Mishraq w Iraku**

Od pewnego czasu staraliśmy się o umieszczenie naszego 8-letniego Maćka w jakimś górskim prewentorium dziecięcym z powodu jego ciągłych przeziębień i zachorowań na anginę. Starania nasze zostały uwieńczone sukcesem i w pierwszych dniach stycznia Maciek pojechał w grupie dzieci, pod opieką specjalnej wychowawczynie do Szklarskiej Poręby Górnej, na 3-miesięczny turnus do państwowego Prewentorium o nazwie "Jaś i Małgosia". Prewentorium to specjalizowało się w leczeniu tych schorzeń, gdyż warunki klimatyczne gór karkonoskich bardzo temu sprzyjały, odwrotnie niż "zatechły" klimat słabo przewietrzanej niecki krakowskiej.

W pierwszym kwartale 1969 r. chcieliśmy przeprowadzić gruntowną odnowę naszego mieszkania, to też próbowaliśmy umieścić w tym prewentorium również naszego 5-letniego Grzesia. Okazało się to niemożliwe, ponieważ przeznaczone ono było tylko dla dzieci w wieku szkolnym, dla których na miejscu zorganizowane były nauka w klasach 1-6 szkoły podstawowej. Otrzymał on natomiast skierowanie lekarskie do ośrodka dla dzieci w wieku przedszkolnym w Świdnicy i 5 stycznia ta sama pani, która wcześniej pojechała z Maćkiem do Szklarskiej Poręby, odwiozła go do Świdnicy.

Niezwłocznie przystąpiliśmy do remontu i urządzenia naszego mieszkania. Kolejno wynajmowaliśmy specjalizowane ekipy robotnicze, które wykonywały poszczególne prace. Obejmowały one wymianę lastrika na terakotę w kuchni, wykonanie dodatkowych okładzin z fliz w łazience, WC i kuchni, malowanie emulsyjne ścian i sufitów, a olejne całej stolarszczyzny drzwi, okien i szaf, wreszcie cyklinowanie parkietów. Wyburzyliśmy też ściankę działową pomiędzy dwoma małenkimi pokojkami, liczącymi po 7 m², uzyskując w ich miejsce jeden większy 14,5 m². W ten sposób nasze mieszkanie z 4-pokojowego zamieniło się na 3-pokojowe, przy czym chłopcy uzyskali większy pokój, a oddzielny pokój dla stałej pomocy już nie był nam potrzebny.

W czasie remontu mieszkania meble wystawione były przejściowo na korytarzu, w loggii i przesuwane z pokoju do pokoju. Mieszkanie wyglądało więc jak pobojuwisko, a najgorzej w tym bałaganie miała się nasza kotka Czika. Brakowało jej ulubionych miejsc do wylegiwania się, a także obu chłopców. Pisaliśmy co kilka dni listy do synów. Maciek odpisywał sam, zaś za Grzesia, nie umiejącego jeszcze pisać, odpowiadała wychowawczynie grupy. Zwykle pisała na kartce zarysowanej kolorowymi kredkami przez niego. Nieodmiennie dowiadywaliśmy się, że obaj są zdrowi, czują się dobrze i apetyty im dopisują. Chciałem to sprawdzić osobiście i pojechałem w trzecią niedzielę lutego do Szklarskiej Poręby, a w drodze powrotnej zatrzymałem się we Świdnicy. Zamierzałem odwiedzić synów już w styczniu, lecz na kilka ładnych dni zmogła mnie grypa Hong-Kong, jaka grasowała w styczniu tego roku w całej Polsce.

Faktycznie Maciek w swym prewentorium uczył się w drugiej klasie, miał znośne warunki bytowania, wyżywienia, opiekę lekarską, w wyznaczonych godzinach brał udział w zbiorowych zabawach, zwykle na świeżym powietrzu, a najczęściej jeździł na saneczkach. Prewentorium usytuowane było na rozległym, wygrodzonym terenie, na skraju lasu i składało się z kilku pensjonatów, pochodzących z przed pierwszej wojny światowej. Mieszkał w pensjonacie "Jaś", wcześniej w "Czerwonym kapturku", a był jeszcze pawilon "Małgosia", zamieszkały przez dziewczynki. Maciek zachowywał się swobodnie, cieszył się z mego przyjazdu, ale równocześnie pokazywał mi jak się zjeżdża z górki na saneczkach, gdzie chodzą na posiłki itp.

Natomiast prewentorium dziecięce w Świdnicy mieściło się na obrzeżu miasta w jednym niedużym, też bardzo starym, budynku, nie posiadającym żadnego zaplecza terenowego. Akurat była pora kolacji i musiałem zaczekać na przyprowadzenie synka do pokoiku dla odwiedzających. Od razu zorientowałem się, że dzieci poddane są tam ostrej dyscyplinie. Grzegorz był bardzo poważny, jakby zalekniony, na pytania jak się czuje, odpowiadał oczywiście, że dobrze, ale w pewnym momencie się zaciął i zaczął płakać. Serce mi się ścisnęło i powiedziałem mu, że remont wreszcie kończymy i niedługo przyjedziemy po niego.

Rzeczywiście remont przyspieszyliśmy, w każdym bądź razie jeden pokój wyprzedzająco przysposobiliśmy do zamieszkania. A po tygodniu żona pojechała do Świdnicy i, na miesiąc przed upływem turnusu, przywiozła Grzesia do Krakowa. Bardzo się cieszył z powrotu do domu, a najserdeczniej witał się z Cziką. Zresztą kotek też najwyraźniej ożył, biegał za chłopcem i obłapywał łapkami jego nogę, jakby nie chciał, by gdziekolwiek wychodził. Oczywiście, jak dotąd, Kasia odprowadzała Grzesia do przedszkola, ja zaś odbierałem po południu do domu. Natomiast do Maćka nadal staliśmy listy, na które skrupulatnie odpisywałem, zdając relacje ze wszystkich ważniejszych wydarzeń w prewentorium. W ostatnim liście napisaliśmy, iż Kasia przyjedzie po niego w dniu formalnego zakończenia turnusu 28 marca i na dwa dni pojadą do Wrocławia. Zaś od 30 marca wszyscy będziemy na dwutygodniowych wczasach rodzinnych w Karpaczu i że zabierzemy ze sobą także naszą Czikę.

Tymczasem cały marzec wykorzystaliśmy na ostateczne dokończenie remontu i urządzenie mieszkania. Podstawowe roboty, wykonywane przez fliziarzy, malarzy, parkieciarzy itp., zostały już zakończone w lutym. Ale trzeba było jeszcze wykonać wiele różnych prac, związanych z urządzeniem mieszkania. Dotyczyły one umeblowania, wyposażenia łazienki i kuchni, wykładzin podłogowych, zawieszenia firan i zasłon okiennych, ustawienie kwietników w loggii itd. itp. Wykonywaliśmy je, oraz powiązane z tym zakupy, prawie wyłącznie we własnym zakresie. Między innymi na Dzień Kobiet zrobiłem niespodziankę Kasi, zakupując nowoczesną, automatyczną pralkę jugosłowiańską "Gorenje". Polskich jeszcze nie produkowano. Wreszcie wszystko było gotowe i Kasia pojechała 28 marca po Maciusia do Szklarskiej Poręby.

Kwietniowe wczasy w 1969 r. w Karpaczu były to już piąte moje wczasy w tej uroczej miejscowości w Karkonoszach. Tym razem spędziłem je razem z całą mą czteroosobową rodziną. W pierwszych dniach mieliśmy jeszcze zimą z grubą warstwą śniegu. Obaj chłopcy, a ja wraz z nimi, jeździliśmy więc na sankach na stromym, oblodzonym zboczach, tuż za naszym domem wczasowym. Pilnował go duży, zrobiony przez nas, śnieżny bałwan, przy którym nasz kotek miał siedzisko, wyמושzone wełnianym szalikiem. Cały czas było jednak słonecznie i coraz cieplej, więc śnieg szybko topniał, bałwan skarlał, a sanki wkrótce zamieniliśmy na leżaki do opalania się.

Sporo spacerowaliśmy po całym Karpaczu i jego okolicach. Zwiedziliśmy zaporę z zalewem na rzeczce Łomnicy, jaka przepływa przez miasto, tor bobslejowy, skocznię narciarską, kościółek Wang, młyn miłości, jak też wąwóz Babi Jar, w którym dwa miesiące wcześniej zdarzyła się wielka lawina śnieżna. Wieczorami odwiedzaliśmy sąsiednie kawiarenki, graliśmy w ping-pong, piłkarza i szachy. Maciek dodatkowo



Wczasy w Karpaczu

przy mojej pomocy, przerabiał program drugiej klasy podstawowej, bo przecież trwał rok szkolny i mimo przerwy w uczęszczaniu do swej szkoły numer 19 w Krakowie, czekały go tam niedługo oceny ze wszystkich przedmiotów. W tym plusik, że uczył się bardzo szybko, miał dobrą pamięć i oczywiste zdolności, zwłaszcza w zakresie przedmiotów ścisłych.

W drugim, czy trzecim dniu naszego pobytu w Karpaczu-Bierutowicach, zmroziła nas wiadomość o tragicznej katastrofie samolotu pasażerskiego LOT, który, poblądziwszy we mgle, rozbił się w okolicach Zawoi. Zginęło wtedy przeszło 40 osób, w tym kilka ze świata nauki i kultury, między innymi profesor Z. Klemensiewicz z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Znany on był szeroko ze swych audycji polonistycznych w radiu, a Kasia dodatkowo знаła go z wykładów.

Na okres naszych czasów przypadły też Święta Wielkanocne. Z tej okazji jadalnia została przez personel ośrodka odpowiednio ozdobiona, zaś w menu posiłków znalazły się tradycyjne dania świąteczne z kruszonkami, szynką i babką drożdżową na czele. Wszyscy wczasowicze wzajemnie składali sobie życzenia i w ogóle było bardzo miło i sympatycznie. Nasza Czika także dostała sporą porcję szynki i chyba orientowała się, że uczestniczy w jakimś dużym święcie.

Po powrocie do Krakowa przede wszystkim musiałem "wyczyścić" wszelkie zaległości, jakie powstały, w czasie mej nieobecności, w pracy zawodowej. Dotyczyły kompletowania i sprzedaży wykonanej dokumentacji, zawierania umów i porozumień dodatkowych z inwestorami, załatwiania korespondencji, koordynacji prac projektowych w pracowni. Nadal głównymi tematami, jakie pracownia PW-2 wykonywała były bazy przemysłowe "Naftobudowa" i "Cenpo" w Płaszowie. Przygotowywałem zaś umowę na opracowanie dokumentacji na budowę dużego biurowca dla Zakładu Przemysłu Gumowego "Semperit", usytuowanego zresztą w pobliżu naszego biura projektowego.

Równolegle w PW-2 opracowywaliśmy wiele innych pomniejszych tematów projektowych. Natomiast w fazie końcowych prac znajdowała się już dokumentacja techniczno-robocza dla Domu Kultury w Myślenicach i supermarketu na osiedlu Azory w Krakowie. Ja w tym czasie, w okresie do lipca, opracowałem projekt techniczny budowy Klubu LZS w Słomnikach. Był to nieduży parterowy obiekt o kubaturze poniżej 1 tysiąca m³. Projekt ten potraktowany został potem przez nasze biuro jako czyn społeczny. Znalazłem też czas, by jeszcze w kwietniu, wraz z Kasią, pójść do kina na najnowszy film Jerzego Hoffmana, będącego ekranizacją trzeciego tomu sienkiewiczowskiej trylogii pt. "Pan Wołodyjowski". Film cieszył się bardzo dużym powodzeniem polskiej publiczności, bijąc rekordy frekwencji. Nam się też bardzo podobał.

Maciek musiał zabrać się forsownie do nauki, by odrobić pewne zaległości i opóźnienia, spowodowane zwolnionym tempem nauki w prewenterium i wczasami w Karpaczu. Radził sobie z tym bardzo dobrze, tak że wychowawczyni klasy nie zgłaszała na wywiadówkach żadnych zastrzeżeń do jego postępów w nauce.

Po zakończeniu roku szkolnego, w pierwszych dniach lipca znów odprawiliśmy naszych obu chłopców do dziadków do Kępna. Te ferie kępińskie 1969 roku były bardzo podobne do poprzednich. Tyle, że wszystkim ich uczestnikom przybywało lat i zmieniały się ich zainteresowania oraz czym innym się zajmowali.

Na przykład mój siostrzeniec Janusz i jego siostra Grażyna wyjeżdżali w czas ferii już raczej na własne wczasy, czy obozy młodzieżowe, najczęściej nad morze. Poza tym Janusz musiał się tego lata pilnie uczyć, gdyż czekał go we wrześniu uzupełniający egzamin z języka polskiego do matury, wieńczącej jego naukę w liceum. Zaangażował się też dorywczo do pracy zarobkowej w jakiejś wrocławskiej firmie budowlanej.

Moja mama, mająca już 67 lat, w większym stopniu niż dotychczas, poszukiwała odpoczynku po pracy w domu i gospodarstwie, to też co dziennie wieczorami zacho-

dziła do zaprzyjaźnionej sąsiadki Jadzi Fikus na "telewizję". Zabierała wtedy ze sobą wnuków, którym też te różne "dobranocki" i filmy przygodowe weszły w nawyk. Tylko dziadek pohukiwał, że "telewizor to złodziej czasu" i zarzekał się, iż nigdy odbiornika TV nie zakupi.

Obaj moi chłopcy pasjonowali się w czasie tych wakacji jazdą na rowerach. W tym celu pomogli dziadkowi wyreperować drugi stary rower, jaki rdzewiał od lat w stodole i obaj ujeżdżali potem te rowery na pobliskich polnych drogach. Kasia natomiast wygośpodarowała kilka wolnych dni, odpracowując je na dodatkowych zmianach i pod koniec lipca pojechała do Kępna. A następnie, po tygodniowym pobycie u mych rodziców, zabrała synów i wróciła z nimi do Krakowa.



W Białce Tatrzańskiej

został zakazany i turyści kilka kilometrów drogi do Morskiego Oka musieli pokonywać na własnych nogach.

Wcześniej, w dniu 19 lipca, odbyło się formalne przekazanie do użytku największego w Krakowie domu towarowego SDH "Jubilat". Uroczystość tę powiązano dodatkowo z obchodami jubileuszu 100-lecia spółdzielczości spożywców w Polsce i 60-lecia tej spółdzielczości w Krakowie. Wziąłem w niej udział jako główny projektant i z satysfakcją przyjmowałem podziękowania, składane przez Radę i Zarząd PSS "Społem" za sprawne opracowanie dokumentacji projektowej na budowę obiektu przez Krakowskie Biuro Projektów Budownictwa Ogólnego. Zaś po tygodniu Zarząd "Społem" przekazał dwie nagrody pieniężne, w wysokości po 5000 złotych każda, za opracowanie dokumentacji projektowej "Jubilata" dla mnie i kol. Kazia Morawca, który wykonał projekty wnętrz.

Od pierwszych dni działania "Jubilat" cieszył się wielką popularnością i na zakupy do niego przyjeżdżali klienci nawet z dalszych dzielnic miasta. Do końca lat osiemdziesiątych był to bezsprzecznie największy obiekt handlowy w Krakowie, tak co do posiadanej powierzchni sprzedażowej, jak i uzyskiwanych

Po czym w sierpniu po raz drugi pojechaliśmy na rodzinne wczasy do Białki Tatrzańskiej. Zamieszkaliśmy u tego samego gazdy, co rok wcześniej. Także tym razem zabraliśmy ze sobą naszą kotkę Czikę. Chłopcy wiele przebywali nad rzeczką Białką, w której jednakże nie sposób było się kąpać, gdyż woda w niej była zawsze bardzo zimna. Pływali natomiast na gumowym pontonie, a Maciek łowił sitkiem małe głowacze. Atrakcją dla obu były przejażdżki wierzchem na koniu naszego gospodarza. Również i tym razem, gdy tylko dopisała pogoda, robiliśmy dalsze wycieczki autobusowe. Znowu przez jeden dzień wałęsaliśmy się po Zakopanem od skoczni narciarskich po Gubałówkę, na której chłopcy mogli przez lunetę podziwiać panoramę całych polskich Tatr.

Jeden dzień poświęciliśmy na zwiedzanie jeziora Morskiego Oka. Położone na końcu Doliny Rybiego Potoku, otoczonej zwartymi grzaniami szczytów, liczących ponad 2000 metrów n.p.m., sprawia ono wielkie wrażenie na turystach. Było ich tu zawsze bardzo dużo, także podczas naszego pobytu,

Mimo, iż od niedawna ruch kołowy w znacznej części doliny



Przed nowym „Jubilatem”

obrotów handlowych. A po roku funkcjonowania domu towarowego prezes Zarządu M. Rudzki poinformował mnie, przy jakiejś okazji, że roczne zyski osiągnięte w działalności handlowej "Jubilata" przewyższyły nakłady finansowe, poniesione na jego kilkuletnią budowę. Była to więc bardzo udana inwestycja, służy zresztą z wielkim powodzeniem mieszkańcom Krakowa do dzisiaj.

Latem 1969 r. miały również miejsce dwa wydarzenia rangi ogólnowsiatkowej, którymi interesowałem się szczególnie. Były to: dymisja generała de Gaulle'a z prezydentury Francji oraz pierwsze lądowanie człowieka na Księżycu.

Zgodnie z zapowiedzią prezydenta Francji Charles de Gaulle'a, w dniu 27 kwietnia odbyło się we Francji ogólnonarodowe referendum w sprawie wprowadzenia czterech reform przez niego proponowanych. Dotyczyły one współzarządzania pracobiorców w zakładach pracy, utworzenia 22 regionów gospodarczych w państwie, umniejszenia roli Senatu, nadania autonomii wyższym uczelniom. Wyniki referendum były negatywne dla de Gaulle'a i wkrótce podał się on do dymisji, przeniósł do swej posiadłości w Colombey, a następnie wyjechał wraz z żoną do Irlandii. Wrócił po wyborze 15 czerwca nowego prezydenta V Republiki, którym został były premier Georges Pompidou.

De Gaulle niewątpliwie miał żal i pretensje do narodu francuskiego za odwrócenie się od niego, za krytykę i upokorzenia, których doznał, zwłaszcza podczas wielkich strajków i niepokoїв społecznych latem 1968 roku. Po powrocie do kraju rzekł się demonstracyjnie pensji i renty wojskowej, żył tylko z honorariów autorskich za pisaną na emeryturze książkę "Pamiętniki nadziei". Umarł już w następnym 1970 roku, w dniu 9.XI, w wieku 80 lat. Miał chyba najwspanialszy pogrzeb w XX wieku, w którym wzięli udział przywódcy 86 państw z całego świata.

Dla mnie generał de Gaulle był idolem. Uważałem go, zwłaszcza z pewnej perspektywy czasowej, za polityka i męża stanu największego w naszym stuleciu. Wyprowadził Francję w 1958 r. z zapaści politycznej i gospodarczej i w ciągu 10 lat swych rządów uczynił z niej pierwszoplanowe mocarstwo europejskie. Był rzecznikiem niezależności Francji w stosunku do USA i propagował wizję zjednoczonej Europy od Atlantyku po Ural. Wobec Polski i Polaków był zawsze przyjazny.

W lecie 1969 r. miało też miejsce najbardziej spektakularne wydarzenie roku. W dniu 20 lipca po raz pierwszy w historii ludzkości człowiek znalazł się na Księżycu. Był to kosmonauta amerykański Neil Armstrong, który wraz z dwoma innymi, wylądował na Srebrnym Globie w module księżycowym "Eagle", dostarczonym ze statku kosmicznego "Apollo 11" z orbity księżycowej. Cała ta odyseja, od startu do powrotu na Ziemię, była szczytowym, wysoce prestiżowym, osiągnięciem technicznym, którym USA zademonstrowały ostateczne doświadczenie ZSRR w podboju Kosmosu. Wyczyn ten został powtórzony 19 listopada, gdy na Księżycu wylądował kolejny "Apollo 12" z dwójką kosmonautów.

Z dniem 1 września również nasz 6,5 letni Grzesiek zaczął naukę w szkole podstawowej. Odtąd obaj chłopcy rano, po małym śniadaniu w domu, wędrowali z tornistrami do tej samej szkoły numer 19, zresztą usytuowanej po drugiej stronie ulicy. Zwykle ja chodziłem potem na szkolne wydawówki, na których wychowawczynie klasowe zgłaszały rodzicom problemy, związane z nauką ich dzieci. Nie pamiętam, aby zgłaszane były jakiekolwiek negatywne uwagi odnośnie nauki, czy zachowań moich synów. Gdy zaś sam pytałem o opinię o nich, to słyszałem same pochwały. Natomiast wciągnięty zostałem do prac w Komitecie Szkolnym.

W całym okresie Polski Ludowej było w zwyczaju, że większe zakłady pracy opodatkowywały się na rzecz szkolnictwa. Na przykład moje biuro projektowe przewidywało

w swych rocznych budżetach przeznaczanie 0,5 procenta zysku na rzecz określonej szkoły podstawowej, będącej, jak to się mówiło, naszą szkołą podopieczną. Moim staniem na trzy, czy cztery lata, taką szkołą podopieczną została szkoła nr 19 przy ul. Młaskotów, do której chodzili moi synowie. Przez ten okres czasu Krakowskie Biuro Projektowe świadczyło na jej rzecz różne prace projektowe i kwoty pieniężne. Między innymi opracowaliśmy projekt oświetlenia boiska i w ogóle całego terenu działki szkolnej, a ja osobiście wykonałem projekt rekonstrukcji tarasu ze schodami oraz modernizacji kuchni wraz z małą windą towarową z poziomu piwnic na parter.

Również moja żona nabrała ochoty do nauki. Począwszy od jesieni 1969 r. stała się aktywną uczestniczką Instytutu Francuskiego przy ul. Św. Jana w Krakowie, do którego chodziła na różne wykłady, wystawy i kurs języka francuskiego. Ta nauka francuskiego i kontakty z Instytutem trwały kilka lat, bywało, że chodziła do Instytutu razem z Maćkiem.

W pewną wrześniową słoneczną niedzielę, po raz drugi po kilku latach, zaimprovizowaliśmy całodzienny wyjazd do Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie na Górnym Śląsku. Nie zawiedliśmy się, znów przeżyliśmy dzień pełen wrażeń i przeróżnych niespodzianek. Przede wszystkim na terenach parku odbywały się wielkie targi i wystawa kwiatów. Szczególnie pięknie prezentowała się ona z góry, z krzesełek kolejki linowej. Zwiedziliśmy tereny sportów wodnych, byliśmy w obrotowej kawiarence, pływającej po jeziorze. Chłopcy oglądali i zwiedzali różne samoloty, oraz jeździli na licznych karuzelach w miasteczku rozrywki. Zwiedziliśmy też centrum Katowic, gdzie kończyła się już budowa gigantycznej hali sportowo-widowskowej, tak zwanego "spodka katowickiego".

Na jesieni 1969 r. miałem dodatkowo swój własny, średniej wielkości, temat do opracowania. Był nim Dom Wypoczynkowo-sanatoryjny "Energetyk" w Krynicy. Temat został podrzucony do pracowni PW-2 przez dyrektora biura w II kwartale. Była już wtedy opracowana częściowo faza wstępna dokumentacji, ale została ona formalnie przerwana, gdyż inwestor spóźnił się z dostarczeniem dokumentacji geologiczno-inżynierskiej. Lecz, co gorsza, projektant architekt wyemigrował niespodziewanie do Stanów Zjednoczonych.

Trzeba było znów ratować firmę i w pierwszym rzędzie jak najszybciej ukończyć fazę wstępną projektu oraz uzyskać jej zatwierdzenie. Rad nie rad, sam podjąłem się tych prac, gdyż wszyscy inni koledzy architekci w PW-2 mieli swe własne, terminowe projekty. Skontaktowałem się z inwestorem, którym był Zakład Energetyczny w Krakowie, przeprowadziłem wizję lokalną działki budowlanej w Krynicy, przestudiowałem posiadane materiały wyjściowe i zabrałem się do roboty.

Było kilka niebagatelnych trudności: szczupłość działki, istniejąca zabudowa w bezpośrednim sąsiedztwie, usytuowanie budynku na stoku o spadku 7 m na długości 25 m. Na szczęście podłoże gruntowe było zwarte, częściowo skaliste, więc wykopy mogły być prawie pionowe, a ławy fundamentowe wąskie. Żeby budynek się nie obsunął, zakotwiłem fundamenty krótkimi, zbrojonymi studzienkami betonowymi, które spełniały rolę jakby pazurów wbitych w skałę. Cały kompleksowy projekt wstępny był gotowy po dwóch miesiącach, przesłałem go do uzgodnień, a sam niedługo potem pojechałem na wczasy do Białki Tatrzańskiej.

Po powrocie zabrałem się do wykonania projektu techniczno-roboczego. Znów, podobnie jak przy SDH "Jubilat", prawie wszystkie architektoniczne rysunki wykonywałem sam, przy niewielkiej pomocy asystentów. Pewne problemy miałem z wyposażeniem i rozplanowaniem pomieszczeń, służących do leczenia sanatoryjnego. Musiałem w tym zakresie konsultować się z przyszłym użytkownikiem Sanatorium. Inne pomieszczenia funkcjonalne i techniczne, jak kotłownia gazowa, pralnia, kuchnia z zapleczem, stanowiły mą specjalność projektową. Obiekt nie był duży, miał 8.120 m³ kubatury, 5

kondygnacji naziemnych i dwie piwniczne. To też cały projekt techniczny, wraz z wszystkimi branżami projektowymi opracowany został przed końcem roku.

Zgodnie z praktykowaną przeze mnie, jeszcze od czasów kawalerskich, zasadą korzystania z dwóch 2-tygodniowych urlopów w ciągu roku, w lutym 1970 pojechałem znow, wraz z całą swą rodziną, na wczasy w Karkonosze, do "nieśmiertelnej" Szklarskiej Poręby Górnej. Panowały tam wtedy mrozy i było wszędzie dużo śniegu, więc już w pierwszym dniu pobytu wypożyczyliśmy w domu wypoczynkowym duże sanki. Były one potem intensywnie przez synów eksploatowane. Zabieraliśmy je też na różne piesze wycieczki, w konsekwencji chłopcy nie raz "kazali" się nimi wozić.



Naturalnie pojechaliśmy też wyciągiem krzesełkowym na Szrenicę, Podobnie jak 5 lat wcześniej na górze panował siarczysty mróz i zadymka śnieżna, mimo słonecznej pogody. Ale tym razem, brnąc po zaspach śnieżnych, przeszliśmy w czwórkę całą trasę od górnej stacji kolejki do spalonego schroniska. Byliśmy do tego dobrze przygotowani. Ja i Kasia mieliśmy, bardzo wówczas modne, kozuchy, niedawno wykonane na obstalunek w Zakopanem. Zaś chłopcy ubrani byli w ciepłe kurtki z podpinkami i kołnierzami futrzanymi.

Na Szrenicy biało i mroźno

W pierwszym półroczu 1970 roku w pracowni PW-2 kończyliśmy już opracowywanie dużych tematów baz przemysłowo-składowych w Płaszowie, biurowiec dla "Semperitu" i kilka innych kontynuowanych z roku poprzedniego. Ja wykonywałem, wraz z ze swym zespołem, adaptacje projektów typowych dwu rejonowych przychodni lekarskich na osiedlu "F" w Bieńczycach i przy ul. Nowogrzegórzeckiej w Krakowie. Były one identyczne, każda miała po 6.000 m³ kubatury.

W dniu 23 czerwca Maciek ukończył trzecią klasę podstawową, Grzesiek pierwszą, pobrali świadectwa i jeszcze w tymże miesiącu pojechali na zasłużone, kolejne wakacje do dziadków. Odwiozła ich Kasia zatrzymując się w Kępnie tylko na dwa dni, gdyż nie brała urlopu w pracy.

Rodzice wiosną przeprowadzili pewne prace remontowe w swym mieszkaniu. Przebudowali w kuchni duży piec kaflowy, z aneksem chlebowym, na mniejszy, mieszkanie zostało odmalowane. Ponad to ojciec dobudował przed głównym wejściem, od strony podwórka, murowaną werandę w miejsce dotychczasowej drewnianej, która została rozebrana. Pomagał mu w tych robotach wnuk Janusz, który przyjechał na krótko do dziadków po uzyskaniu matury, dzięki zdaniu zaległego egzaminu z języka polskiego.

Już w czasie bytności Kasi w Kępnie, ojca poboлеwał brzuch. Po jej wyjeździe, gdy bóle te się nasiliły, mama wezwała karetkę pogotowia, która zabrała go do szpitala powiatowego w Kępnie. Tam zatrzymano go na obserwacji i badaniach szczegółowych. Wykazały one jednoznacznie, że ojciec mój ma nowotwór złośliwy jelit. Informację tę jednak chyba początkowo zatajono, zarówno przed ojcem, jak i rodziną, próbując w warunkach szpitalnych łagodzić bóle środkami farmakologicznymi.

W połowie lipca do Kępna przyjechała moja siostra Halina z synem Januszem, miała wcześniej własne problemy zdrowotne, lecząc się po wylewie krwi do mózgu. Po kilku dniach obydwójce udali się nad morze, gdzie przebywali już w wczasach szwagier z Grażyną. Moi chłopcy przez pewien czas byli więc sami z babcią. Odwiedzali dziadka w szpitalu, jeździli na rowerach, bawili się w ogrodzie, a babcia, jak zwykle, dogadzała

im, gotując pierogi, smaczkowite zupy jarzynowe, kompoty z wiśni itp.

Ponieważ miałem ze swą rodziną jechać w sierpniu na wczasy zagraniczne, mama napisała list, bym jeszcze w lipcu przyjechał "pożegnać się z ojcem". Pojechałem więc do Kępna i odwiedziliśmy ojca w szpitalu. Miał tam raczej dobre warunki bytowania i opiekę lekarską. Nieco schudł, spacerował, miał nadzieję, że choroba wkrótce minie i będzie mógł powrócić do domu. Życzyłem mu tego z całego serca, a on przyjemnego urlopu w Rumunii.



Przed wyjazdem na wczasy do Rumunii

Przed wyjazdem na wczasy do Rumunii popularne niż wyjazdy nad polski Bałtyk. Zwłaszcza, że gwarantowały zwykle słoneczną pogodę i często były tańsze od wczasów krajowych. Również moja rodzina zapisała się do tego "klubu czarnomorskich amatorów" i korzystając z pomocy spółdzielczego biura turystycznego "Turysta" w sierpniu 1970 r. wybraliśmy się na kolejową wycieczkę "Góry - morze" do Rumunii, na naszą pierwszą, wspólną, inauguracyjną wycieczkę zagraniczną.

Podstawowa grupa kilkudziesięciu uczestników wycieczki wyjeżdżała z Warszawy. My, w ramach 11-osobowej grupy krakowskiej, mieliśmy dołączyć do nich podczas postoju pociągu w Katowicach. Bez niespodzianek spotkaliśmy się na peronie, ja miałem zbiorowy paszport i dewizy, a właściciel czeku NBP na podjęcie 4.370 rumuńskich lei w Braszowie, na "kieszonkowe" dla całej krakowskiej grupy. Wszystko zapowiadało się dobrze, gdyby nie potworny tłok w pociągu, który przyjechał zresztą ze sporym opóźnieniem, i szturm do niego nowych pasażerów, gdyż Polacy jeździli wówczas masowo na popularny handel do Budapesztu.

Nie było szans na odszukanie pilota wycieczki i naszego wagonu sypialnego, w którym mieliśmy zarezerwowane miejsca. Każdy wsiadał, gdzie się dało i dopiero na stacji granicznej w Zebrzydowicach, przy dłuższym postoju, pozbialiśmy się wszyscy we właściwym wagonie. Moja rodzina otrzymała separatkę z trzema łózkami. Chłopcy od razu wdrapali się na najwyższe i spali już kamiennym snem, gdy około godziny drugiej w nocy 2 sierpnia pociąg Nord Orient Express ruszał z Polski w swą drogę przez Czechosłowację i Węgry do Rumunii.

Na dosyć długo pociąg zatrzymał się na dworcu centralnym w Budapeszcie. Był upalny ranek, więc jedna z uczestniczek naszej wycieczki wyszła na peron, by coś kupić do picia, wtedy niespodziewanie pociąg odjechał. Widzieliśmy tylko z daleka, jak pechowca kobieta machała rękoma na peronie. Jakims sposobem kilka dni później dołączyła jednak do wycieczki.

Pierwsze miasto rumuńskie, jakie zobaczyłem z okien wagonu, to była ponad stu-tysięczna Oradea. Nie zauważyłem przedmieść, niskiej zabudowy na obrzeżu miasta, tak charakterystycznej dla miast polskich. Na horyzoncie pokazała się od razu zwarta zabudowa wielokondygnacyjnych budynków mieszkalnych, wszystkie białe, połyskujące w oślepiającym słońcu, o dobrej architekturze.

Przez pół dnia jechaliśmy przez historyczny Siedmiogród: góry, bezkresne lasy,

niedużo i bardzo mało zabudowy. W ogóle o krajobrazie rumuńskim można powiedzieć, że jest bardzo jednolity. Jak las to tylko las, jak pole to bez końca, jak wieś, czy miasto to ściśnięte, skupione w jednym miejscu. W przeciwieństwie do krajobrazu polskiego, w którym wszystko jest malowniczo i chaotycznie wymieszane. Gdy się jedzie np. drogą z Krakowa do Zakopanego, to z każdego jej punktu można zaobserwować jakieś domy, gospodarstwa. Jadąc przez Siedmiogród przez całe kwadransy nie widziałem żadnych zabudowań. Gdy zaś trafiła się jakaś wieś, to duża, wyraźnie zarysowana i zwarta.

Pierwszym naszym miejscem postojowym był Predeal, nieduże górskie uzdrowisko u podnóża Wschodnich Karpat. Przyjechaliśmy do niego dokładnie po 24 godzinach jazdy pociągiem, licząc od startu w Zembrzydowicach. W eleganckim hotelu, położonym niedaleko lokalnego dworca kolejowego, otrzymaliśmy duży wygodny pokój i od razu, nie rozpakowując się nawet, położyliśmy się spać, bo było już po godzinie drugiej w nocy.

Pierwszy dzień pobytu w Predealu poświęcony został na zwiedzanie miejscowości i okolicy. Miasto wyraźnie dzieliło się na dwie części: starą zabudowę z niskimi domami mieszkalnymi, pokrytymi dachówką ceramiczną na prawie płaskich dachach i nowszą z szeregiem dużych hoteli, o niezłej orientальной architekturze. Jakby klamrą, spinającą te dwie części miasta, był nowoczesny dworzec kolejowy i wielofunkcyjny pawilon handlowo-usługowy. Szczególnie dworzec był bardzo atrakcyjny architektonicznie: dach łupinowy, sferyczny, bardzo duże przeszklenia, ogródek kwiatowy i palmy na antresolach głównej hali dworcowej. Co dziennie chodziliśmy potem też do starego Predealu. Tam był duży jarmark, na którym kupowaliśmy kawony, w jakich moi chłopcy bardzo zasmakowali.



Hotel w Predeal



Muzeum sztuki feudalnej w Sinaia

go w miastach rumuńskich nie ma instalacji kanalizacji deszczowej. Po prostu, przy tak ekstremalnych opadach, nie mogła by ona spełniać swej roli. Więc z góry zakłada się, że woda spływać musi ulicami, przy których stosuje się wysokie krawężniki, odpowiednie spadki itp.

Na trzeci dzień zawieziono nas do sąsiedniej miejscowości turystycznej Pojana-Braszw. Tam zjedliśmy obiad w wielkiej oryginalnej restauracji-szopie. Serwowano nam, nie znane mi wcześniej, różne pikantne rumuńskie specjalności kulinarne. Jeszcze tego dnia na własną rękę, pojechaliśmy, w czwórkę, kolejką krzeselkową na sąsiednią

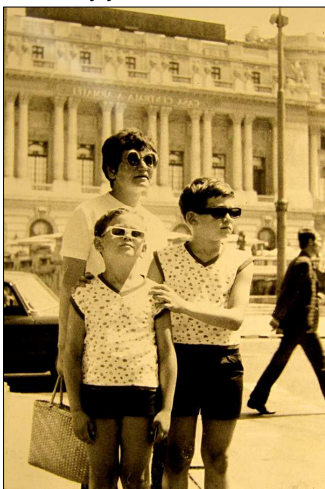
W kolejnym dniu pobytu zwiedzaliśmy byłą rezydencję królewską, zamek Pelesz w Sinaia, w którym umieszczone zostało ciekawe muzeum sztuki feudalnej. Chłopcom najbardziej podobały się, stojące na obszernej dziedzińcu, stare działa i rzeźby różnych postaci i lwów, na które powchodzili, żeby ich sfotografować. Wieczorem tegoż dnia zobaczyliśmy też "prawdziwy", południowy deszcz. W ciągu niewielu minut wszystkimi ulicami płynęły wartkie potoki wody. Ponoć takie ulewy, bardzo rzadko spotykane pod polską szerokością geograficzną, są tam zjawiskiem normalnym. Zrozumiałem wtedy, dlaczego

górze o wysokości ok. 1800 m n.p.m. Mogliśmy podziwiać rozległe widoki doliny, prowadzącej do Braszowa, widoczne też były odleglejsze szczyty Karpat Wschodnich, przekraczające wysokość 2500 m n.p.m., jak polskie Tatry.

W ostatnim dniu pobytu w górach rumuńskich, pojechaliśmy autokarem do najbliższego dużego, prawie 200-tysięcznego miasta Braszowa. Zwiedzaliśmy głównie zabytkowe dzielnice. Prawie z centrum miasta można wyjechać kolejką łańcuchową na pobliską górę, gdzie był superluksusowy hotel i skąd roztaczał się widok na całe miasto. Wieczorem, w ramach programu wycieczki, byliśmy gośćmi we wielkiej winiarni. Umieszczona ona była w kilku dużych sklepionych pomieszczeniach piwnicznych, z których część wypełniały wielkie drewniane kufy i tysiące butelek z leżakującym winem, a część służyła na sale konsumpcyjne. Ścisłej do degustacji różnych gatunków win, które roznosili kelnerzy, ubrani w regionalne stroje rumuńskie.

Na ławach przy stołach, zbitych z grubych desek, było tłoczno od różnych nacji, wśród których dominowali Niemcy, Rosjanie, Czesi i Polacy. Kto zaczął, poznać można było po śpiewach. Odbывał się bowiem swoisty konkurs pieśni narodowych. Chyba Polacy wypadli najlepiej (najgłośniej) i dostaliśmy huczne brawa. Moi synowie snuli się po sali, wymieniając odznaki z Rosjanami, wszędzie częstowano ich winem i gdy biesiada winna o północy dobiegła końca, musiałem ich na rękach wynosić do autokaru, bo spili się, jak dwa zajęczki.

W dniu 9 sierpnia pożegnaliśmy się z rumuńskimi górami i pojechaliśmy pociągiem pośpiesznym do Bukaresztu, odległego o 130 kilometrów. Cały skład pociągu złożony był z polskich wagonów osobowych od "Cegielskiego". Potem jeszcze nie raz widywałem te wagony w Rumunii, a także w Bułgarii. Natomiast Rumuni mieli bardzo dobre własne elektryki, które z kolei eksportowali, również do Polski. Produkowane one były w Braszowie.



Zwiedzanie Bukaresztu

Zatrzymaliśmy się w hotelu w centrum miasta na jeden tylko nocleg. Bukareszt w ogóle był tylko jednodniowym przerywnikiem w naszej wycieczce między górami i morzem. Zwiedziliśmy to wielkie, półtora milionowe miasto, według amerykańskiej recepty, to znaczy z okien autokaru, na zasadzie: na lewo teatr operowy, na prawo największe centrum prasowe, w głębi nowa dzielnica mieszkaniowa, przed nami monastyr z XVII wieku, dzielnica rządowa, uniwersytet, cyrk z łupinową konstrukcją dachu, budynki odbudowane po trzęsieniu ziemi sprzed 10 lat. itp.

Bukareszt jest pięknym, nowoczesnym miastem, o swoistym charakterze. Porównywalny w znacznym stopniu z Budapesztem, Rzymem (bez części historycznej), XIX-wiecznymi dzielnicami Paryża. Gdyby oceniać stolice europejskie według nowoczesności ich architektury, Budapeszt lat siedemdziesiątych chyba z dużym powodzeniem mógłby ubiegać się o jedno z pierwszych miejsc.

Mieliśmy tylko 3-4 godziny do własnej dyspozycji, gdy autokar zatrzymał się w rejonie opery. Urwałem się z żoną i synami od reszty wycieczkowiczów i powąłęsałem się po najbliższych ulicach, racząc się też lodami dla ochłody, bo panował 30-stopniowy upał. Znów podobnie, jak kiedyś w Pradze Czeskiej zaobserwowałem, że Bukareszt w godzinach południowych jest prawie całkowicie wyludniony. Oczywistym tego powodem były niewątpliwie upały, ale również i to, że mieszkańcy miasta w tym czasie normalnie pracowali w swych zakładach pracy, urzędach, na uczelniach itd. Za to w godzinach wieczornych na chodnikach ulic, pla-

cach, skwerach i w parkach kłębiły się tłumy ludzi.

Po jednodobowym pobycie w stolicy pojechaliśmy wszyscy, znów pociągiem, w kierunku Konstancy i Mangalii nad Morzem Czarnym. Po prawej stronie torów kolejowych na znacznej długości prowadzone były wówczas olbrzymie roboty ziemne przy budowie kanału żeglugowego Dunaj-Morze Czarne, o długości ponad 60 kilometrów. Skrócił on przewóz towarów na morze o około 250 km i pozwolił na ominięcie w żegludze rozlewisk wielkiej delty Dunaju.

Do hotelu w Mangalii dojechaliśmy autokarem późnym wieczorem, gdy było już zupełnie ciemno. To też dopiero po udaniu się do pokoi, które nam przydzielono i otwarciu okien, zorientowaliśmy się, że jest on położony tuż nad brzegiem morza. Nie widzieliśmy go wprawdzie, ale czuliśmy jego ostry, rzeński zapach i słyszeliśmy głośny szum fal.

Nazajutrz wstaliśmy z Kasią skoro świt i przeszliśmy boso kilkaset metrów wzdłuż piaszczystej plaży, mocząc nogi w ciepłych falach wody, napływającej spienionymi grzywami. Woda była przeźroczysta i miała charakterystyczny zielonkawy odcień. Wkrótce na plaży pojawiło się więcej uczestników naszej wycieczki, niektórzy po raz pierwszy byli nad morzem i nie widzieli jeszcze takiego bezkresu wody.

Nasz hotel "Kometa" miał 9 pięter i ponad 240 pokoi dwuosobowych, chyba byliśmy pierwszymi jego użytkownikami, gdyż na parterze trwały jeszcze jakieś prace wykończeniowe. Podobnie błyszczały nowością inne hotele, których w ośrodku wypoczynkowym Mangalia Jupiter, w którym zamieszkaliśmy, było kilkadziesiąt: mniejszych, większych, o bardzo różnorodnej i świetnej, nowoczesnej architekturze, często z akcentami tradycyjnej architektury wschodnio-bizantyjskiej.

W ogóle zabudowa ośrodka była bardzo urozmaicona. Było wiele restauracji, barów, pawilonów handlowych, koloni bungalów rodzinnych, ekskluzywnych basenów kąpielowych, kino na świeżym powietrzu, tereny do golfa, koszykówki, siatkówki, a w czasie naszego pobytu uruchomiony został spory, piętrowy dom towarowy. Wszystko to powiązane asfaltowymi drogami i alejami spacerowymi, wśród bogatej roślinności i rozciągnięte wzdłuż kilkukilometrowej plaży.



Grześ ochoczo pozuje do zdjęć w Mangalii

Pierwsze pół dnia pobytu przeznaczaliśmy na pobieżne zwiedzenie uzdrowiska. Natomiast zaraz po obiedzie zalegliśmy na plaży naprzeciwko naszego hotelu. Było upalnie, termometr na zacienionej ścianie hotelu wskazywał nieodmiennie temperaturę ponad 30 stopni C. Nie czuło się tego gorąca, gdyż od morza napływał rzeński, chłodzący wiatr. Trzeba było jednakże uważać i chronić się przed nadmiarem słońca, więc częściowo plażowicze chowali się pod wielkimi parasolami. Tych metod ochronnych nie przestrzegali nasi obaj chłopcy. Biegali po plaży, pluskali się i pływali w morzu, bawiąc się dużą wodną piłką. Mieli do dyspozycji nadmuchiwane koła gumowe i materac, więc zapuszczali się nawet kilkanaście metrów w głąb morza. Wzdłuż naszej plaży było ono płytkie i boje, wyznaczające teren dozwolony do kąpieli, znajdowały się w odległości ponad stu metrów od brzegu.

W kolejny dzień cała polska grupa wycieczkowa pojechała autokarem w pierw do pobliskiej Mangalii, potem do największego na rumuńskim wybrzeżu miasta Konstancy. Mangalia to nieduże miasto, wyraźnie składające się z dwu części: starej, można powiedzieć "przedwojennej", zamieszkałej przez kilkanaście tysięcy stałych mieszkańców i

nowej, zabudowanej prawie wyłącznie hotelami turystycznymi. W starej Mangalii budowano w tym czasie duży nowy port handlowy. Nowa dzielnica hotelowa była podobna do swych, nieco dalej położonych, jeszcze młodszych kurortów-siostrzyc: Saturn, Wenus, Jupiter i Neptun.



W Konstancy zwiedziliśmy głównie zabytkową dzielnicę, secesyjne kasyno gry, a z galerii wysokiego minaretu oglądaliśmy panoramę całego miasta. W starej Mangalii byliśmy później jeszcze raz sami z naszymi chłopcami, gdyż znajdowało się tam wesołe miasteczko. Z jego atrakcji karuzelowych korzystałem na równi z Maćkiem i Grzesiem. Stołowaliśmy się w pobliskim dużym pawilonie restauracyjnym, posiadającym chyba ponad dwieście miejsc konsumpcyjnych. Obsługiwał on, na dwie czy nawet trzy zmiany, kilka najbliższych hoteli. Był to więc spory kombinat żywieniowy. Karmiono nas bardzo dobrze, na obiady zawsze było jakieś mięso, zwykle befsztykopodobne, lub czarnomorskie ryby, nieco frytek ziemniaczanych i dużo warzyw, wśród których królowały pomidory. Na deser prócz wina, serwowano najczęściej także brzoskwinie lub winogrona. Gotowe dania podawały liczne młode kelnerki, były wśród nich i Polki na praktykach gastronomicznych.

W starej Konstancy

Kolacje kilka razy zakończyły się występami artystycznymi i zbiorowymi zabawami. Wyglądało to w ten sposób, że w pewnym momencie znikwały kelnereczki, pojawiała się natomiast orkiestra, a za chwilę zespoły dziewczęce w rumuńskich strojach ludowych zaczynały śpiewać i tańczyć. Były to nasze kelnerki, które przedzierzgnęły się na zapleczu w personel artystyczny. Wczasowicze również brali udział w śpiewach i tańcach, a najbardziej podobał mi się taniec z chusteczkami, być może dlatego, że też wziąłem w nim udział. Polegał na tym, że dziewczyna z zespołu podchodziła do wybranego przez nią partnera na sali, podawała mu kolorową chustkę i wciągała na parkiet. Na tej chusteczce oboje klękali i całowali się w usta, przy muzyce i aplauzie gości.

W wielu miejscach, w publikacjach, na plakatach, w sklepach, widziało się napisy "Litoral", czyli przybrzeżny, wybrzeże. Intrygowało mnie to, gdyż oczywiście języka rumuńskiego nie znałem. Dopiero kierowniczka naszej stołówki wytłumaczyła mi, że jest to nazwa wielkiego państwowego koncernu turystycznego, działającego na wybrzeżu rumuńskim. Zajmował się on budową i użytkowaniem wszystkich hoteli i domów wypoczynkowych, a także całą infrastrukturą z nimi związaną. To znaczy zajmował się też prowadzeniem sklepów, wszelkiej działalności artystycznej, a także wyżywieniem turystów. W tym celu posiadał nawet wielkie gospodarstwa rolne i zakłady, produkujące sprzęt i pamiątki turystyczne itp.

Pytałem też co się dzieje z ludźmi, którzy zatrudnieni są w tych setkach hoteli nadmorskich, po zakończeniu letniego sezonu turystycznego. Odpowiedziała, że niektórzy wracają do swych miejsc zamieszkania w głąbi kraju. Natomiast liczną rzeszę, zwłaszcza miejscowych, kucharek, sprzątaczek i kelnerek Krajowe Biuro Turystyki "Litoral" zatrudniało na miejscu w specjalnych zakładach, produkujących głównie pamiątki turystyczne, jak figurki i lalki w strojach ludowych, okręciki, rzeźbione talerzyki i pudełeczka, malowane dzbanuszki itp., które potem w sklepach koncernu sprzedawane były turystom. Rzeczywiście centralizacja gospodarcza i zarządzania absolutna. Może dlatego te wczasy nad rumuńskim morzem, mimo stosunkowo wysokiego komfortu, były właściwie bardzo tanie.

Przez cały okres pobytu nad Morzem Czarnym towarzyszyła nam piękna, słoneczna pogoda i nie spadła w tym czasie ani jedna kropla deszczu. Ale wszystko ma swój koniec, wieczorem 16 sierpnia pożegnaliśmy błękitne Morze Czarne i w sypialnym wagonie pociągu Nord Orient Express udaliśmy się w drogę powrotną do Polski. Do Krakowa przyjechaliśmy wczesnym rankiem 18 sierpnia.

W biurze, jak zwykle po dłuższej nieobecności, musiałem przez pierwsze kilka dni pilnie załatwiać zaległą korespondencję i sprawy, związane z umowami na nowe prace projektowe oraz w ogóle zająć się koordynacją prac wszystkich zespołów i pracowników, którzy wrócili do pracy po zasłużonych miesięcznych urlopach wypoczynkowych. W Krakowie czekała nas także miła niespodzianka. Wreszcie otrzymaliśmy przydział telefonu domowego, o który od lat się staraliśmy. Były z tym kłopoty, gdyż w naszym rejonie zamieszkania brak było wolnych łącz.

Zadzwońłem też niezwłocznie do siostry we Wrocławiu, by dowiedzieć się co z ojcem i jego chorobą. Niestety nie było żadnej poprawy, a wręcz odwrotnie, choroba robiła co raz większe spustoszenie w organizmie ojca. Dokładniejszą relację otrzymałem od mej mamy, która wiedząc, kiedy wracamy z Rumunii, wyprzedzająco napisała list do mnie. Od 10 sierpnia ojciec opuścił szpitala i leżał w domu. Schudł bardzo, zażywał leki przeciwbólowe, także na nerki, serce, ale jak pisała mama "żeby nie ten nowotwór jelit, to by jeszcze żył, a żył". Często do Kępna przyjeżdżały na kilka dni moja siostra i jej córka Grażyna., wspomagając mamę w pracach domowych i opiece nad ojcem.

Ja pojechałem do Kępna z początkiem września, po kolejnym liście mamy, że nastąpiło dalsze pogorszenie zdrowia ojca. Faktycznie od momentu, gdy widziałem go w szpitalu przed naszym wyjazdem do Rumunii, ojciec schudł jeszcze bardziej, zszarzał, bardzo cierpiał, chwilami tracił przytomność. Nie mogłem mu w niczym pomóc i po dwóch dniach wróciłem do Krakowa.

Ojciec zmarł 18 września. Pogrzeb odbył się już po dwóch dniach, gdyż była to niedziela. Uczestniczyło w nim kilkaset osób, w tym bardzo liczna rodzina i krewni bliżsi i dalsi, znajomi i współpracownicy z Urzędu Miejskiego Kępna, koledzy i członkowie Związku Powstańców Wielkopolskich, wreszcie sąsiedzi i mieszkańcy miasta. Gdy orszak pogrzebowy przechodził przez Rynek miasta, to nie było widać jego końca. Czoło pochodu pogrzebowego stanowił poczet sztandarowy trzech byłych powstańców wielkopolskich w swych mundurach wojskowych, przepasanych czarnymi szarfami. Za nimi kierownik Związku Kombatanów niósł na poduszcze liczne krzyże i odznaczenia ojca.

Potem kroczyły oficjalne delegacje władz i organizacji miejskich. Ja szedłem wraz z mamą bezpośrednio za czarną, ozdobną platformą konną, na której spoczywała trumna, niewidoczna zresztą spod kwiatnych wieńców. Za nami szli siostra wraz ze swym mężem i Kasią, następnie czworo wnuków, to jest Grażyna, Janusz, Maciek i Grzesiek. Po nich w kilkudziesięciuosobowej grupie liczni moi wujowie i kuzyni ze swymi rodzinami. Po celebracji księdza i oficjalnych przemówieniach, przy pochylonych sztandarach, trumna z ojcem spoczęła w grobie na cmentarzu kępińskim.



Ojciec 1968



Złożenie trumny do grobowca

Po pogrzebie odbyła się w domu rodziców wielka stypa dla członków rodziny zmarłego. W Poznańskim stypy tradycyjnie mają duże znaczenie i bogatą oprawę. Oczywiście jej przygotowaniem i urządzeniem zajmowały się głównie bratanice mego ojca, tak że moja mama była od tych zajęć zwolniona, chyba zresztą nie byłaby w stanie przygotować tak wielkiego przyjęcia na kilkudziesięć osób. Byli prawie wszyscy żyjący członkowie rodziny mego ojca. Ja osobiście miałem wielką okazję do porozmawiania z mymi wujami, ciotkami i kuzynostwem z Kuźnicy Bobrowskiej i Bobrownik, do których jako dziecko jeździłem na letnie wakacje.

Te wsie i gospodarstwa mych wujów, które dobrze zapamiętałem z lat przedwojennych, uległy dużej metamorfozie. Przede wszystkim gospodarstwa rolnicze mych wujów zostały unowocześnione. Konie i bryczki zastąpione zostały przez traktory i samochody, kosy i młocarnie przez kombajny zbożowe, obornik i gnojówka przez nawozy sztuczne, a przydomowe kurniki i chlewnie zamieniły się w farmy drobiu i hodowlane. Tak więc w Poznańskim pracowitość ludzka pospołu z techniką i maszynami przeobraziły gruntownie rolnictwo wielkopolskie. Dotyczyło to przynajmniej moich wujów, którzy już przed wojną mieli wyróżniające się gospodarstwa. Chwalili się tym wszystkim podczas stypy i zapraszali do odwiedzenia. Tak się jednakże złożyło, że nigdy potem nie miałem na to czasu.

W połowie 1970 r. zawarty został pomiędzy Polską i Irakiem duży kontrakt na budowę koło Mosulu wielkiej kopalni siarki. Miała być w niej zastosowana oryginalna polska technologia wytapiania siarki ze złoża pod ziemią, wprowadzona po raz pierwszy kilka lat wcześniej w Machowie koło Tarnobrzegu. Wykonawcą robót zostało specjalizowane przedsiębiorstwo budownictwa przemysłowego "Hydrokop" z Krakowa. Kontrakt przewidywał również opracowanie dokumentacji projektowej na budowę nowego miasta dla pracowników kopalni, którego realizacja miała być prowadzona potem przez Irakijczyków już we własnym zakresie. Jej wykonanie "Hydrokop" podzlecił do naszego biura projektowego. Zlecenie to trafiło w październiku na moje biurko, z czego byłem bardzo rad z wielu powodów. Po pierwsze można się było spodziewać, że te prace eksportowe będą bardzo korzystne finansowo. Po drugie pracownia miała akurat, jak to się mówiło, wolne "moce przerobowe" i mogliśmy od razu przystąpić do realizacji zlecenia. A po trzecie lubiłem takie nietypowe tematy projektowe, tym razem temat był pasjonujący również pod względem organizacyjnym.

Faktycznie już na samym starcie zaczęło się bardzo nietypowo. Jako materiały podkładowe otrzymaliśmy tylko warstwicowy plan sytuacyjny w skali 1:5000. W takiej skali nie da się projektować, więc najprostszymi metodami, przy pomocy pantografu, powiększyliśmy szybko plan do skali 1:1000. Możliwe to było, gdyż na całym terenie przyszłego miasta nie było żadnych zabudowań, dróg, a nawet nic tam nie rośło. Bo- wiem zostało ono, podobnie jak i sama kopalnia, usytuowane na bezludnej kamiennej pustyni nad rzeką Tygrys. Więc dokładność podkładów nie miała większego znaczenia.

Podobnie program inwestycyjny, jaki nam dostarczono, był niezwykle lakoniczny. Określał jedynie, że należy zaprojektować budynki: administracji miasta, poczty i banku, policji, szkołę podstawową, supermarket, dom kultury, dom technika oraz rodzinne domy mieszkalne dla 3,5 tysiąca mieszkańców, z możliwością rozbudowy miasta do 7 tysięcy. A także całą infrastrukturę techniczną miasteczka, więc: sieć uliczną, kanalizację, wodociągi i sieci energetyczne wraz z ujęciem wody pitnej, oczyszczalnią ścieków, stacjami transformatorowymi i wielokilometrową linią zasilającą wysokiego napięcia.

Projektowane obiekty miały być realizowane z użyciem miejscowych materiałów budowlanych i miały posiadać wystrój architektoniczny zgodny z kanonami tradycyjnej architektury islamskiej. Ale nikt nas nie informował, jakie to są te miejscowe materiały i

kanony architektoniczne. Wiadomy był natomiast, i ściśle określony, termin 30 czerwca 1971 r., w jakim cała dokumentacja techniczno-robocza na budowę miasta Mishraq miała być dostarczona do Bagdadu.

Zaczęliśmy od sformułowania zespołu projektowego, którego trzon stanowiło pięciu głównych projektantów. W tym trzech architektów: A. Ścigalski, który opracować miał urbanistykę i budynki mieszkalne oraz D. Mazurowa i H. Malinowska, które podzieliły się budynkami użyteczności publicznej. Opracowania projektów instalacji i uzbrojenia sanitarnego podjął się R. Flisowski, zaś wszystkich instalacji i sieci elektroenergetycznych A. Schiller.

Od razu ustaliliśmy i uzgodniliśmy z naszym zleceniodawcą tj. "Hydrokopem", a oni ze stroną iracką, że w ciągu jednego miesiąca przygotujemy w kraju szkice i zarys wstępnej fazy projektowej dla poszczególnych obiektów i całego miasta. Dokończenie tego wstępnego projektu miało nastąpić już w Bagdadzie, w ciągu dalszych dwu miesięcy, przez zespół pięciu głównych projektantów. Mieli oni oczywiście przeprowadzić także wszystkie niezbędne uzgodnienia z inwestorem irackim w zakresie zastosowanych materiałów i technologii budowlanych, formy i zakresu opracowania projektów techniczno-roboczych, a także uzyskać od niego formalne zatwierdzenie fazy wstępnej dokumentacji, jako podstawy do opracowania dokumentacji realizacyjnej.

Przy tak pomyślanym terminarzu prac, na opracowanie dokumentacji technicznej mieliśmy tylko 4 miesiące czasu. W tej sytuacji branżowe pracownie biura, drogowa i uzbrojenia terenu, mimo odmówiły, wprost odmówiły, mimo interwencji dyrektora, podjęcia się opracowania projektów dróg i ulic oraz ujęcia wody i oczyszczalni ścieków. Acz z trudem, udało mi się jednak ulokować te tematy w Biurze Projektów Budown. Komunalnego.

Rzeczywiście przyjęliśmy szaleńczy harmonogram prac, zwłaszcza, że startowaliśmy, praktycznie biorąc, od zera. Architekci zaczęli od poszukiwania książek, traktujących o architekturze islamskiej, a ja zacząłem tak układać wszystkie prace w pracowni, by możliwe było, w odpowiednim momencie, włączenie do prac w fazie technicznej naszego eksportowego tematu jak największy "potencjał" projektowy PW-2. Mimo wszelkich problemów pierwszy punkt naszego "eksportowego" harmonogramu prac zrealizowany został terminowo i jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia 5-osobowy zespół projektancki poleciał samolotem via Bejrut do Bagdadu. Według propozycji "Hydrokopu" miałem pojechać również i ja, jako koordynator i rzecznik biura.

Oczywiście, byłoby to dla mnie bardzo atrakcyjne finansowo, gdyż diety wszystkich delegowanych wypłacano w dolarach amerykańskich, których wartość faktyczna w Polsce kilkakrotnie przewyższała ich oficjalną wartość urzędową. Nie pojechałem jednak, bo oceniłem, że wydelegowani starsi projektanci dadzą sobie doskonale radę ze wszystkimi problemami merytorycznymi i że bardziej potrzebny będę na miejscu, w pracowni, by przygotować ją do fazy technicznej. Poza tym nie znam języka angielskiego, w jakim prowadzone miały być wszystkie rozmowy w Iraku, a posługiwało się nim dobrze aż trzy osoby z delegowanego zespołu.

Kilka dni przed końcem 1970 roku zadzwoniono do mnie z biura turystycznego "Turysta" z informacją, że nastąpiła pomyłka przy obliczeniu kosztu wycieczki do Rumunii i że proszony jestem o przybycie celem uiszczenia dopłaty. Odpowiedziałem, że będę za godzinę. Usiadłem przed miłą, sympatyczną panią, która miała już przygotowane moje rozliczenie i zaczęła mi tłumaczyć, w czym się pomyliła. Przerwałem jej w pół zdania, mówiąc, że jej wierzę, i pytając o jaką kwotę chodzi. Niedopłata wynosiła, licząc dla całej mej rodziny, ponad 800 złotych. Była to spora kwota, ale wyciągnąłem portfel i odliczyłem należność bez słowa.

Po wypisaniu kwitu, znów zaczęła mówić, że błąd wykryto przy rocznym rozliczeniu

firmy i gdybym nie wpłacił, jej potrącono by tę niedopłatę. Znów przerwałem jej podziękowania, mówiąc, że mam do niej prośbę. Mianowicie tak bardzo podobała nam się poprzednia wycieczka, że chcieliśmy i w przyszłym roku skorzystać z usług "Turysty" i poprosiłem o informację, jakie są możliwości. Oczywiście rozdzielnik na rok następny miał być przysyłany dopiero w lutym, więc wdzięczna urzędniczka obiecała solennie, że do mnie wtedy zadzwoni. Tak się też rzeczywiście stało i przez kilka lat mogłem potem wybierać w gorących ofertach wycieczkowych możliwie najatrakcyjniejsze. A trzeba przypomnieć, że, jak to w Polsce Ludowej bywało, popyt na wyjazdy zagraniczne rychło przerósł podaż i trudno było o atrakcyjną wycieczkę oraz nie wszystkim chętnym udało się wojażować zagranicę.

Na polskiej scenie politycznej w 1970 r. zaistniały dwa wydarzenia o dalekosiężnych skutkach. Pierwszym było zawarcie 7 grudnia w Warszawie pomiędzy Polską i Republiką Federalną Niemiec układu o normalizacji wzajemnych stosunków, którego głównym elementem było uznanie polskiej granicy zachodniej, wyznaczonej przez konferencję poczdamską w 1945 r. Był to niewątpliwie sukces osobisty W. Gomułki, który od wielu lat uporczywie zabiegał o doprowadzenie do takiego dwustronnego układu. Dotąd, co nie wszyscy pamiętają, Niemcy Zachodnie, a wraz z nimi wielu polityków mocarstw zachodnich, przy różnych okazjach kwestionowali prawną legalność tych granic

Drugim była próba "uporządkowania rynku" przez podwyżkę w dniu 12 grudnia cen niektórych artykułów spożywczych i przemysłowych. Tu nie było jednak przyzwolenia społecznego, mimo zapowiedzi rekompensat płacowych. Doszło do strajku w Stoczni Gdańskiej, starć z milicją, podpalania kiosków gazetowych i rozbijania sklepów. W następnych dniach strajk rozszerzył się na inne miasta Wybrzeża, a w Gdańsku demonstranci podpalili gmach KW partii. Tam też po raz pierwszy użyte zostało wojsko i padły strzały. Później, w niewyjaśnionych do dziś wydarzeniach przed Stoczną Gdynią, zginęło kilkadziesiąt osób

Dla ratowania sytuacji kierownictwo partii postanowiło poświęcić swego szefa Gomułkę i wybrało nowego w osobie Edwarda Gierka, dotychczasowego I sekretarza PZPR w Katowicach. Cofnął on podwyżkę cenową i zapowiedział szybkie działania na rzecz poprawy poziomu życia społeczeństwa, co uspokoiło sytuację strajkową. Między innymi nastąpiła zmiana na stanowisku premiera rządu, którym został dotychczasowy wicepremier P. Jaroszewicz. Zastąpił on J. Cyrankiewicza, który pełnił funkcję prezesa Rady Ministrów przez 16 lat, ustanawiając w tej dziedzinie rekord europejski.

W pierwszych dniach stycznia 1971 r. odwiedzili nas Janusz i Grażyna z Wrocławia. To już była dorosła młodzież. Zwiedzali Kraków, byliśmy w kilku muzeach. Przed ich powrotnym wyjazdem Janusz otrzymał ode mnie w prezencie adapter, zaś Grażyna od Kasi "walizeczkę ciuszków". Ich mama, a moja siostra Halina, podjęła się od nowego roku nowej pracy w charakterze księgowej w Biurze Konstrakcyjnym Przemysłu Leśniczego. Natomiast jej mąż awansował na stanowisko naczelnego dyrektora w oddziale banku, w którym przepracował już około 20 lat.

Nasza iracka ekipa projektowa powróciła z Bagdadu w połowie lutego 1971 r. Narzekali na wysokie temperatury w Iraku, dzielili się wrażeniami ze zwiedzenia kilku miast w tym egzotycznym dla nas kraju i ruin legendarnej Palmiry w Syrii. Ale przede wszystkim zdali relację z prac projektowych, jakie wykonali w Bagdadzie. Ukończyli mianowicie projekt wstępny miasteczka Mishraq i uzyskali jego akceptację przez inwestora oraz przeprowadzili wszelkie niezbędne uzgodnienia do fazy technicznej dokumentacji. Spisali się więc znakomicie i można było przystąpić do trzeciej i ostatniej, ale najbardziej pracochłonnej fazy realizacji naszego eksportowego zlecenia, to jest opracowania pro-

jektów technicznych

W pierwszej kolejności architekci musieli wykonać podkłady projektowe dla branż, które częściowo przygotowali już w Iraku. Podkłady obiektów kubaturowych przekazywane były zespołom projektowym: konstrukcji, instalacji sanitarnych i instalacji elektrycznych, natomiast podkład urbanistyczny projektantom uzbrojenia terenu oraz do Biura Projektów Budownictwa Komunalnego, celem opracowania przez to biuro projektów dróg i ulic, ukształtowania terenu, ujęcia wody pitnej i oczyszczalni ścieków.

W krótkim czasie w prace projektowe przy osiedlu Mishraq wciągnięta została prawie cała pracownia PW-2. Dla wszystkich była to praca nienormowana, wielu pracowało przy swych deskach rysunkowych do późnych godzin wieczornych, wielu przychodziło do pracy w niedziele i nie trzeba było bynajmniej nikogo do tego zwiększonego wysiłku namawiać. Zatrudniłem też dwóch urzędowych tłumaczy z zewnątrz do tłumaczenia tekstów na język angielski. W ostatnich kilku tygodniach dodatkowo trójka studentów anglistyki pracowała dla nas dosłownie nocami, przynosząc rano przetłumaczone opisy techniczne.

Osobiście nie włączałem się bezpośrednio do prac projektowych, dyrygowałem jedynie całą tą projektancką orkiestrą, by nie było przerw i zahamowań w pracy, by zabezpieczyć na właściwy czas niezbędne podkłady, dane i materiały oraz pilną reprodukcję kończonych elementów dokumentacji.

Oczywiście wprowadziliśmy wiele uproszczeń w dokumentacji, które w opracowaniach dla polskich inwestorów byłyby niemożliwe. W projektach wewnętrznych instalacji sanitarnych w budynkach nie rysowaliśmy pracochłonnych rozwinięć pionów kanalizacyjnych i sieci wodociągowych, ograniczając się jedynie do schematów podejść i zaznaczenia urządzeń sanitarnych. W projektach instalacji elektrycznych również ograniczyliśmy się do zaznaczenia wszystkich łączy, gniazd, kontaktów i wyłączników, nie rysując tak zwanego "sznurowania" przewodów. Dla setek budynków mieszkalnych opracowaliśmy tylko osiem różnych projektów, powtarzając je po kilkadziesiąt razy. W kosztorysach pominęliśmy wszelkie wyceny pieniężne, ograniczając się jedynie do przedmiarów i zestawień materiałowych. I tym podobne.



Kasie z Grzesiem na Gubałówce

w mieście, ani nawet w dolinkach Do Białego i Strążyskiej, już nie było. Leżał jeszcze grubą warstwą tylko na szczytach gór, tworząc na nich wielkie, skrzące się białą, czapy.

Po powrocie z Zakopanego musiałem znów przede wszystkim zadbać o jak najlepszą koordynację wszystkich prac, związanych z dokumentacją projektową dla miasta Mishraq, która wchodziła już w końcową swą fazę. Dla pewnego ożywienia i uporządkowania poszczególnych tomów i zeszytów gotowej dokumentacji wymyśliłem dekoracyjne, kolorowe winiety, które naklejone zostały na wszystkich egzemplarzach projek-

tów. Tylko opracowania Biura Komunalnego miały inne, ale też kolorowe, solidne okładki kartonowe.

W dniu 29 czerwca, to jest jeden dzień przed umownym terminem dostarczenia dokumentacji kontrahentowi irackiemu zakupiliśmy siedem jednakowych, dużych tekturowych waliz, na których też naklejone zostały nasze rozpoznawcze winiety. W nocy walizy te, pełne dokumentacji, zostały przez biurową nyskę zawiezione wprost na lotnisko Okęcie w Warszawie. Tam czekał już na nie przedstawiciel "Hydrokopu", by rano odlecieć z całym ładunkiem do Bagdadu.

W ten sposób, wraz z pierwszym półroczem 1971 roku, zakończyła się pierwsza większa przygoda pracowni PW-2 z "eksportem". Pozostało mi jeszcze tylko "wysmażenie" końcowego rachunku za wykonane prace, a potem dokonanie wewnętrznego rozliczenia premiowego. Natomiast inwestor iracki w niedługim czasie przekazał "Hydrokopowi" zielone papierki, a nam dodatkowo uroczyste podziękowanie za wysoką jakość i dotrzymanie terminu opracowania dokumentacji realizacyjnej nowego irackiego miasta Mishraq nad Tygrysem.

Również wszyscy pracownicy PW-2, biorący udział w eksportowym przedsięwzięciu, mogli mieć uczucie zadowolenia z dobrze wykonanej pracy i z wynagrodzenia za nią, pobranego wkrótce w biurowej kasie. A trójka studenckich tłumaczy to przyszła nawet specjalnie do mego gabinetu z kwiatkiem i podziękowaniami za pieniądze oraz z ofertą dalszej współpracy przy ewentualnym kolejnym eksporcie.

3 WYCIECZKI ZAGRANICZNE

**Słoneczna Bułgaria * Śmierć matki * "Rubin" * Świnoujście - Ahlbeck
* Proces tłumacza * Harcerze w Bieszczadach * Moskwa - Krym - Kijów**

Kilkanaście dni przed końcem czerwca 1971 r., Grześ w czasie przerwy lekcyjnej, bawiąc się na podwórku szkolnym, spadł z drążków gimnastycznych tak nieszczęśliwie, że złamał sobie prawą rękę. Jak się później okazało - złamana została kość promieniowa przedramienia, przy czym nastąpiło też jej przemieszczenie. Prowadziłem rokowania z jakimś inwestorem, gdy powiadomiono mnie telefonicznie o wypadku. Natychmiast samochodem służbowym pojechałem do szkoły, lecz tam syna już nie było, gdyż nieco wcześniej karetka pogotowia, wezwana przez moją żonę, zabrała go do szpitala przy ul. Siemiradzkiego. Pojechałem tam oczywiście niezwłocznie, zastając już żonę w poczekalni przed gabinetem chirurgicznym, gdzie złożono złamaną kość i założony został na rękę usztywniający opatrunek gipsowy.

Nasz drugoklasista ponoć cały czas po wypadku sprawował się bardzo mężnie, nie skarżył się i nie płakał. Natomiast zrozpaczona była wychowawczyni klasy, która później wiele razy dzwoniła do nas z pytaniem, jak się Grzesiek czuje. Czuł się dobrze i intensywnie uczył się rysowania i pisania lewą ręką. Opanował tę sztukę po kilku tygodniach i, można powiedzieć, że stał się potem na pewien czas "dwuręcznym".

Realizując pierwotne plany wakacyjne, kilka dni po zakończeniu roku szkolnego, odwiozłem obydwu synów do Kępna, po czym niezwłocznie wróciłem do Krakowa, do pracy. Moja mama bardzo ich zapraszała. Wkrótce przyjechali do babci również Grażyna, świeżo po maturze, i Janusz na kilka tygodni lipcowych, bo później wyjeżdżali z rodzicami na wczasy nad Bałtykiem. Zaś 20 lipca przyjechała także ciocia Nela, która zresztą od wielu już lat przyjeżdżała do swej siostry na okres letnich wakacji.

Po śmierci ojca, mamusia starała się całe gospodarstwo i dom prowadzić tak jak poprzednio, to znaczy, praktycznie biorąc, pracowała bez mała za dwoje. Najwięcej pracy związanej było z prowadzeniem ogrodu. Nieco pomagała jej w tym sąsiadka Jadzia, też samotna, a młodsza o kilkanaście lat, u której z kolei mama przebywała często wieczorami. Wspomagały się też na różne sposoby: w zakupach i załatwianiu różnych spraw w mieście, w przygotowywaniu wspólnych posiłków itp.

Wakacyjny pobyt naszych synów u babci znów był podobny do poprzednich wakacji. Babcia dogadzała im jak mogła, gotowała sterty smakowitych pierogów, nawarzyła im słodowego piwa, a oni objadali się owocami z ogrodu i sadu, które sami zrywali. Bawili się ze sobą, chodzili nad pobliską rzeczkę Samiczkę, grali w szachy lub karty z ciocią itd. Co nieco pomagali babci w różnych pracach, przywieźli z tartaku drewno na opał na cały rok, pomalowali wrota farbą olejną itp.

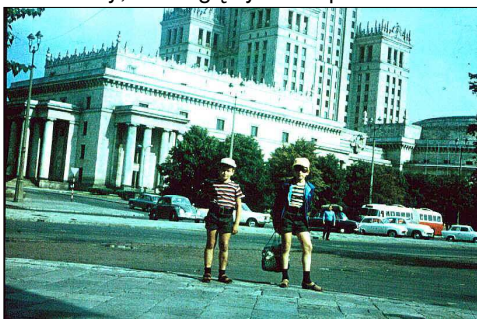
Grześ cały czas nosił na prawym przedramieniu opatrunek gipsowy, jaki dodatkowo, przez pierwsze dwa tygodnie nosił na temblaku. Zrobione po miesiącu zdjęcie rentgenowskie wykazało wprawdzie, że kość w miejscu złamania się zrosła, ale z pewnym przesunięciem i pod kątem. Więc Grześ nadal nosił swój gipsowy opatrunek, złożony z dwu oddzielnych łupin, które obwiązywało się bandażem.

Jeszcze w lutym, mając do wyboru szereg ofert wyjazdów wakacyjnych, organizowanych przez "Turystę", zdecydowałem się na skorzystanie z dwutygodniowych wczasów w okresie 13-27 sierpnia w Słonecznym Brzegu w Bułgarii. Przewidywaliśmy w związku z tym, że nasi chłopcy muszą wrócić do Krakowa najpóźniej 6 sierpnia, by był czas na odpowiednie przygotowanie się do zagranicznej eskapady. Chciałem po nich

do Kępna wyjechać, ale za radą mamy, ostatecznie przyjechała z nimi ciocia Nela. Miało to swoje późniejsze reperkusje.

Mianowicie ciocia Nela była spokojna, wprost flegmatyczna, samolubna w swych poczynaniach, a niezaradna w różnych sytuacjach życiowych i przy tym lekkomyślna. Chyba wynikało to z jej stanu staropanińskiego. W dniu planowanego wyjazdu do Krakowa grała w karty z chłopcami i opalała się w ogródku, w rezultacie czego pakowanie rzeczy chłopców i przejście na dworzec kolejowy odbyło się w wielkim pośpiechu i zdenerwowaniu, oczywiście głównie mej mamy. W rezultacie Grzesiek miał na nogach sandały nie od pary, a wiele rzeczy, sweterków, bucików pozostało w różnych kątach. Później mama to wysłała w ekspresowej paczce do Krakowa, nie mając bynajmniej pewności, czy dojdzie ona do nas na czas, przed wyjazdem do Bułgarii. Niewątpliwie to zdenerwowanie mamy było nadmierne, my bez tych rzeczy obylibyśmy się, ale mamusia moja już taka była: zawsze energiczna, zapobiegliwa i o wszystko się troszcząca.

Ciocie Nelę na kilka dni zatrzymaliśmy w Krakowie, proponując jej zwiedzenie miasta i wspólny wyjazd do Warszawy, skąd miała już blisko do Próchenek w powiecie łosickim, swego miejsca zamieszkania. Nela dawno w Krakowie nie była, więc chętnie przystała na tę propozycję. Dopiero po czterech dniach pojechaliśmy wszyscy pięcioro rannym pociągiem do Warszawy. Stolica przywitała nas deszczem, lecz nie przeszkadzał nam on w przejeździe do hotelu przy ul. Kruczej, gdzie wynajęliśmy pokój na jedną dobę. Deszcz nie powstrzymał nas też przed udaniem się do sklepów w centrum handlowym przy ul. Marszałkowskiej. Tam Nela zrobiła jakieś zakupy dla siebie, my również kupiliśmy album ze zdjęciami Warszawy i różne drobiazgi garderobiane, jakie sądziliśmy, że mogą być nam potrzebne w Bułgarii.



Przed Pałacem Kultury i Nauki

Bułgarii, co uzgodniliśmy jeszcze w lutym przy składaniu zamówienia w "Turyście".

Rankiem następnego dnia pojechaliśmy wszyscy pięcioro z bagażami na Okęcie, gdzie z Międzynarodowego Dworca Lotniczego o godzinie 10,50 mieliśmy odlecieć do Sofii. Na Dworcu Lotniczym szybko odszukaliśmy w umówionym miejscu pilota "Turysty", a wkrótce wokół niego zebrała się cała kilkudziesięcioosobowa grupa wycieczkowiczów do Słonecznego Brzegu.

Do Bułgarii poleciliśmy nowoczesnym, dwusilnikowym samolotem odrzutowym Tu-154 bułgarskich linii lotniczych "Bałkan". Na lotnisku w Sofii wylądowaliśmy po dwóch godzinach lotu. Dalszą drogę do Burgas mieliśmy odbyć mniejszym samolotem w godzinach późno popołudniowych. Pilot wycieczki proponował, by te około 5 godzin czasu poświęcić na zwiedzanie stolicy Bułgarii, co przewidziane było w programie wycieczki, na życzenie uczestników.

Wszyscy chętni pojechaliśmy autobusem do centrum milionowej Sofii. Oglądnęliśmy fragment śródmieścia, zabudowany reprezentacyjnymi budynkami rządowymi,

Po południu zrobiło się słonecznie i wprost upalnie. Wykorzystaliśmy tę sprzyjającą nam aurę na zwiedzanie stolicy. Zaczęliśmy od Pałacu Kultury, gdzie zwiedziliśmy szereg pomieszczeń, w tym również salę kongresową, jaką specjalnie dla nas otworzył życzliwy portier. Ale przede wszystkim zawiozłem chłopców na taras widokowy na XX piętrze, skąd mogli oglądać panoramę miasta. Wieczorem ciocia pojechała do swych Próchenek, natomiast dołączyła do nas moja siostrzenica Grażyna, która przyjechała już wcześniej pociągiem z Wrocławia. Fundowaliśmy bowiem jej tę wycieczkę do

monumentalną, bizantyjską bazylikę Św. Zofii, okazały meczet średniowieczny i budujące się metro. W szczególności w trakcie drążenia wykopów metra odkryte zostały bardzo stare, pamiętające czasów rzymskich, fundamenty i mury, które zostały odpowiednio wyeksponowane i udostępnione jako atrakcja turystyczna.

Do Burgas, odległego od Sofii o 350 kilometrów, lecieliśmy turbośmigłowym górnopłatem Il-28 na stosunkowo niewielkiej wysokości. Można było więc swobodnie obserwować tereny Niziny Trackiej, nad którą przelatywaliśmy. Zaintrygowało mnie kilka rzeczy. Bułgaria z lotu ptaka różniła się znacznie od krajobrazu polskiego. Głównie tym, że tereny uprawowe dzieliły się na wielkie prostokątne obszary pól, podczas gdy w Polsce mamy bardzo urozmaiconą szachownicę wąskich poletek, powyręczanych na wszystkie strony. Po tym zresztą poznawałem, lecąc wielokrotnie samolotami, że samolot jest już nad Polską.

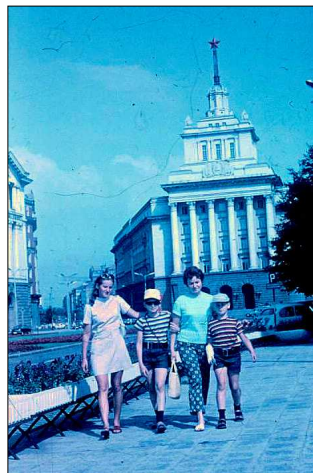
W skośnych promieniach słońca co chwilę widziałem jakieś odbłyски. Dopiero po pewnej chwili zorientowałem się, że są to liczne wodne zbiorniki retencyjne, usytuowane wzdłuż rzek i potoków, służące do nawadniania pól. Faktycznie bez sztucznego nawadniania, w suchym i gorącym klimacie Bułgarii, nie wiele by urosło. Zaś przy zbliżaniu się do morza, zwłaszcza przy schodzeniu samolotu do lądowania, zauważyłem wzdłuż wybrzeża morskiego niewielkie białe kopce, lśniące w zachodzącym słońcu szczególnie intensywnie. Potem, już z okien auto karu, który z Burgas zawiózł nas do Słonecznego Brzegu, zobaczyłem, że są to przyzmy białej soli, usypane obok płycizn morskich, odgradzonych groblami od pełnego morza. Po odparowaniu wody na dnie tych płycizn zostawała warstwa soli, którą mechanicznie bądź ręcznie zgarniano w duże przyzmy. Dziwiłem się takiej technologii produkcji soli, gdyż pierwszy lepszy deszcz mógł tę syzyfową robotę zamienić z powrotem na słoną morską wodę. Przestałem się dziwić, gdy dowiedziałem się, że przez całe lato nie spała na bułgarskim wybrzeżu ni kropelka deszczu.

Do Słonecznego Brzegu autokar dowiózł nas już o zmroku. Otrzymaliśmy dwa separate pokoje ze wspólnym węzłem sanitarnym. Grażyna zakwaterowała razem z Grzesiem i Maćkiem w jednym pokoju, ja z Kasią zajęliśmy drugi. Rankiem następnego dnia, po śniadaniu w restauracji, usytuowanej w oddzielnym piętrowym pawilonie, wybraliśmy się

na rekonesans po kurorcie. Ułatwiły nam to duże plakaty z mapą Słonecznego Brzegu. Podobnie jak poszczególne kąpieliska Mangalii, ośrodek zabudowany był prawie wyłącznie budynkami hotelowymi oraz służącymi ich obsłudze obiektami restauracyjnymi, handlowo-usługowymi itp. Posiadał też 3 duże samochodowe pola campingowe dla kilku tysięcy turystów. Dopiero później na obrzeżu odkryłem kilka trzypiętrowych bloków mieszkalnych, zamieszkałych przez tubylców. Część zatrudnionych w obsłudze ośrodka mieszkała też zapewne w różnych służbowych mieszkaniach

Grześ na rannym rekonesansie kurortu

i pokojach w samych hotelach, część dojeżdżała do pracy autobusami z najbliższych wsi i Burgas. Łącznie w ośrodku doliczyłem się 102 hotele, prócz tego dziesiątki różnych obiektów usługowych. Wszystko to, pachnące



W Centrum Sofii



świeżością, wybudowano w ostatnich kilkunastu latach. Kilka oddano do użytku w trakcie naszego pobytu wczasowego, w tym bardzo okazały, ekskluzywny 20-piętrowy hotel dla gości dolarowych.

Nawet nie wiem, czy Bułgarzy mieli jakieś swoje domy wypoczynkowe. Wszędzie słyszało się tylko obce języki, głównie niemiecki, rosyjski, angielski, francuski i polski. Poszczególne nacje miały swoje stałe hotele, w których z obsługą można było porozumieć się w języku gości hotelowych. Tak było też w naszym hotelu, gdzie swobodnie mogliśmy w recepcji porozmawiać, zasięgnąć informacji itp. po polsku. Tych polskich hoteli było cztery, czy pięć, położonych obok siebie i kierowanych tylko przez jednego kierownika. Przy odpowiedniej okazji otrzymał on w upominku od nas album ze zdjęciami Warszawy, jaki przywieźliśmy z kraju.

Oczywiście poszczególne hotele w Słonecznym Brzegu różniły się od siebie wystrojem architektonicznym, wykończeniem wnętrza, standardem obsługi. Kierując się tymi przesłankami można było z dużym prawdopodobieństwem odgadnąć jaką narodowość dany hotel obsługuje. Najelegantsze były przeznaczone dla gości anglojęzycznych, płacących dolarami i funtami. Nasze polskie w tym międzynarodowym towarzystwie należały raczej do pośledniejszej kategorii, podobnie jak polska złotówka.

Plaża oddalona była od naszego miejsca zakwaterowania o kilkaset metrów. Przebywaliśmy na niej tylko kilka razy w celu opalania się, wyraźnie mniej niż w Rumunii, korzystając z kąpieli w morzu. Po prostu w okresie naszego pobytu pojawiły się w wodzie przy brzegu duże ilości oślizgłych, galaretowatych meduz. Zetknięcie z nimi nie należało do przyjemnych, a dodatkowo mówiono o ich zagrożeniu dla zdrowia ludzi. Poza tym Grześ przez pewien czas w Słonecznym Brzegu nosił jeszcze swój opatrunek gipsowy na prawej ręce i nie mógł wchodzić do wody. Ten gips wyrzuciliśmy ostatecznie dopiero w połowie turnusu wczasowego. Nie bez znaczenia dla naszej frekwencji na plaży było też to, że "Turysta" zorganizował dla naszej grupy wiele atrakcyjnych imprez i wycieczek autokarowych.

Hotel dla „Anglików”

Był więc wyjazd na piknik do sąsiedniej wioski. Tam na stołach, ustawionych pod zadaszeniem, serwowano pikantne bułgarskie potrawy. Były też występy taneczne i muzyczne zespołu ludowego, między innymi także taniec na rozżarzonej żużlu. Jedno popołudnie spędziliśmy na wzgórzu na skraju Słonecznego Brzegu w starej restauracji ze stolikami na tarasie, z którego oglądać można było panoramę całego kąpieliska. Obok był zabytkowy, ceglany wiatrak-młyn i stały szesnastowieczne armaty. Obsługiwali nas kelnerzy w regionalnych strojach bułgarskich, i przygrywała nam do biesiady kapela ludowa.

W trakcie półdniowej wycieczki zwiedziliśmy miejscowość Nesebar. Jest to miasto o tysiącletniej historii, kilka kilometrów od Słonecznego Brzegu, w całości zabudowane starymi, zabytkowymi domami mieszkalnymi i z ruinami licznych większych obiektów, w tym kilku kościołów i cerkwi. W VI wieku przed naszą erą była tu grecka kolonia i miasto odgrywało w tym czasie i później, w średniowieczu,



Przed groblą do Nesebaru

Przed groblą do Nesebaru

dużą rolę. Położone jest na małej przybrzeżnej wyspie, połączonej z lądem kilkusetmetrową groblą, zwieńczoną zsośa, podobnie jak to jest w Wenecji.

Można było tam sfotografować się z osiołkami oraz zakupić oryginalne upominki bułgarskie. My zdjęcia robiliśmy własnym aparatem, a kupiliśmy dla naszych chłopców marynarskie koszulki w poprzeczne pasy w kolorach czerwonym i granatowym, które potem bardzo chętnie nosili. A także kilka pamiątkowych drobiazgów: drewniane, malowane ozdoby, talerzyki, stylowe okręciaki z żaglami i figurkę pary bułgarskiej w strojach regionalnych. Przed wjazdem na groblę Nesebaru, w głębi plaży, sterczał duży drewniany żaglowiec-fregata z pełnym wyposażeniem w działa burtowe i z manekinami korsarzy. Można to było zwiedzać - raj dla dzieciaków. A we wnętrzu był urządzony oryginalny bar dla turystów.

Na cały dzień pojechaliśmy autokarem wzdłuż czarnomorskiego wybrzeża do Sozopola. Jest to miasteczko o starej zabudowie, typowej dla Turcji i w ogóle całego Bliżniego Wschodu. Charakteryzowały ją zdobne wykusze pięter, nadwieszane nad partiami budynków. Sozopol powstał jako najstarsza kolonia grecka nad Morzem Czarnym.

Po zwiedzeniu miasta pojechaliśmy dalej nad rzekę Ropotamo, prawie tuż przy granicy z Turcją. Znajdował się tam leśny park narodowy, utrzymany w dziewiczym stanie. Jechaliśmy po rzece łodziami pod płataniną konarów egzotycznych drzew i wśród wielkich nenufarów. Duże wrażenie sprawiały gromady żółwi, siedzące na pniach pochylonych tuż nad wodą. Żółwie siedziały tak, że ogonki miały zanurzone w rzece. Przewodnik wytłumaczył nam, iż w ten sposób regulują one temperaturę swego ciała, chroniąc się przed nadmiernym gorącem.



W porcie Burgas

umiejętności, by włączyć się do tego proceduru handlu turystycznego, faktycznie bardzo rozpowszechnionego w latach siedemdziesiątych.

Tym procederem handlarskim można też chyba wytłumaczyć fakt, że w składzie wycieczki znalazło się kilka osób, mówiąc oględnie, bardzo niesympatycznych. Przykład mieliśmy w jednej z restauracji, podczas oczekiwania na kolację. Podawanie posiłków przez obsługę kelnerską było dość niemrawe i stało się przyczyną, a właściwie pretekstem, do "obrugania" przez jednego z uczestników wycieczki młodego kelnera bułgarskiego. Wielki Polak dał upust swej pogardy dla małego Bułgara, obrzucając go wiązaną obelżywych i nieprzyzwoitych słów oraz pouczając z kim ma do czynienia. Kelner

niewątpliwie języka polskiego nie znał, ale mógłby nasz sarmata hamować się w swym chamskim zachowaniu wobec pozostałych uczestników polskiej wycieczki. On jednak zapewne uważał, że spełnia swój chwalebny czyn patriotyczny. Ot, taka pospolita mieszanaka megalomanii narodowej, rasizmu, krótkiego rozumu i zwykłego chamstwa.

Przy okazji wycieczki autokarowej do Ropotamo rozszyfrowałem tajemnicę świeżych pomidorów, brzoskwiń i winogron bułgarskich, znajdujących się każdego ranka na targowiskach oraz w kioskach warzywnych Krakowa. Jadąc autokarem, mijaliśmy wielkie, niekończące się plantacje tych owoców, słoneczników i tytoniu, ciągnących się wzdłuż całego wybrzeża bułgarskiego. Na nich tu i ówdzie grupy ludzi, zwykle młodzieży, zrywały do niewielkich koszy pomidory względnie winogrona. Zbieracze co pewien czas podchodzili z nimi do szosy, gdzie na poboczu, obok wielkich samochodowych przyczep, stały sterty płaskich drewnianych skrzynek z napisami "Bulgaria". Tam owoce były przekładane do skrzynek, a te ładowane do wnętrza kontenerów. Domyśliłem się już tylko, że po kilku godzinach, gdy naczepy były załadowane, to podjeżdżały ciągniki samochodowe, zabierały je i jechały wprost do Krakowa, Warszawy, Pragi, Berlina itd. Wczesnym świtem, były one już na miejscu i za parę godzin skrzynki ze świeżymi owocami, bez jakiegokolwiek wtórnego przeładowywania, a także bez pośrednictwa chłodni, dojrzewalni czy konserwantów, znajdowały się na stoiskach sprzedażnych.

W dniu 27 sierpnia, skoro świt, w hotelu odbyło się wzajemne budzenie całej naszej grupy wycieczkowej. Wszyscy byliśmy już spakowani od wieczoru, załadowaliśmy się więc szybko do autokaru, który przewiózł nas na lotnisko w Burgas. Stamtąd za niewiele minut mieliśmy samolotem polecieć do Sofii. Te minuty zamieniły się jednakże w pięć czy sześć godzin, gdyż nad czarnomorskim wybrzeżem Bułgarii odbywały się akurat manewry lotnicze państw Układu Warszawskiego i wszelki cywilny ruch powietrzny został wstrzymany. Za to później w Sofii przesiadaliśmy się na samolot Tu-154 PLL "LOT" z wielkim pośpiechem i tylko "jedną" godzinę trwał jego lot do Warszawy. Oczywiście lecieliśmy pełne dwie godziny, a zysk jednej godziny wynikał jedynie z różnicy pomiaru czasu w Polsce i Bułgarii, jaki wtedy miał miejsce.

Inny świat, inne sprawy. Skończył się piękny i beztrioski urlop, wracała proza dnia codziennego, ale akumulatory naładowaliśmy skutecznie. Do Krakowa dotarliśmy pociągiem po 14 godzinach od momentu wyjazdu ze Słonecznego Brzegu. Grażyna z Warszawy pojechała wprost do Wrocławia.

W mieszkaniu czekała na nas stęskniona i nieszczęśliwa nasza kotka Czika, trzeba było rozpakować bagaże, Kasia zrobiła zakupy żywnościowe i pranie, ja porządky domowe, korespondencja, gazety. Od poniedziałku w biurze ostry start do pracy po sezonie urlopowym, większość pracowników PW-2 już swe urlopy wykorzystała, należało uruchomić nowe tematy projektowe, załatwiać zaległą korespondencję itd. Wieczorem zadzwoniłem do siostry we Wrocławiu z zapytaniem, jak udały się wczasy nad Bałtykiem, czy Grażyna podzieliła się już swymi wrażeniami z wycieczki do Bułgarii itp. Usłyszałem w odpowiedzi, że nasza mamusia nie żyje!

Kilka dni po wyjeździe cioci Neli z naszymi chłopcami do Krakowa, mama, źle się czując, poszła do lekarza. Stwierdził bardzo wysokie ciśnienie tętnicze i przepisał odpowiedni lek węgierski na jego obniżenie. Mama zażywała go i faktycznie czuła się jakby lepiej. W każdym bądź razie wszystko w domu i swym gospodarstwie robiła. Gdy odwiedziła ją na dwa dni Halina, to umówiły się na ponowny jej przyjazd w niedzielę 29 sierpnia. Przy czym przyjechać też miała Grażynka, by opowiedzieć o swych wrażeniach w Bułgarii.

Jednakże 22 sierpnia po południu mama zaczęła odczuwać silne bóle w klatce piersiowej i drętwienie lewej ręki. Udała się po radę do Jadzi, swej przyjaciółki, sąsiadki

z naprzeciwka. Oczywiście był to już początek stanu zawałowego i należało zawezwać karetkę pogotowia lekarskiego. Nie mając telefonu domowego, może dlatego też, że była to niedziela, wieczór, ale chyba przede wszystkim z braku własnej, właściwej diagnozy choroby, obie kobiety nie zrobiły tego. Pani Jadzia doradziła, by mama położyła się spać to, po odpoczynku, dolegliwości powinny minąć. Przeszły wobec tego przez ulicę do domu rodziców i umówiły się, że gdyby nastąpiły ponowne bóle, to mama zaświeci lampką w oknie, wtedy Jadzia natychmiast przyjdzie. Mama poszła więc do drugiego pokoju po lampkę, a za chwilę, wracając z nią w rękę, przewróciła się na wznak. I to był już koniec.

Za niewiele minut byli sąsiadki, przyjechał lekarz pogotowia, który stwierdził zgon, zawiadomiona została telefonicznie Halina we Wrocławiu. Przyjechała też ona niezwłocznie taksówką w środku nocy do Kępna. Na drugi dzień załatwiała wszelkie urzędowe formalności, związane z pogrzebem. Miała też zamiar powiadomić mnie w Bułgarii o śmierci mamy po przez radio, nie znając dokładniejszego adresu. Nie zrobiła tego, oceniając, że i tak nie zdążyłbym przyjechać na pogrzeb.

Pogrzeb mamusi był znacznie skromniejszy od pogrzebu ojca. Dość licznie przybyli krewni ojca z Ostrzeszowa, Kuźnicy i Bobrownik, brat mamy Henryk z rodziną, najbliżsi sąsiedzi i znajomi. Po ceremonii pogrzebowej dla członków rodziny odbyła się w domu rodzinnym skromna stypa. Ja o tym wszystkim dowiedziałem się w szczegółach dopiero w pierwszych dniach września po otrzymaniu listu od siostry. Wkrótce, wraz z Maćkiem, pojechalśmy ze swym wieńcem żałobnym na grób mej mamy, a jego babci, do Kępna. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się na jeden dzień we Wrocławiu. Ponieważ była piękna pogoda, więc zwiedziliśmy tereny wokół Hali Ludowej, w szczególności Park Szczytnicki, zaś w nim Ogród Japoński, pięknie wówczas odrestaurowany.



Przy grobowcu rodziców w Kępnie

Ponownie na grób rodziców udaliśmy się całą rodziną w okresie Świąt Bożego Narodzenia. Obchodziliśmy te święta we Wrocławiu u mej siostry. Była też wówczas ciocia Nela. Również wtedy zwiedziliśmy tereny wokół Hali Ludowej, a głównie wrocławski Ogród Zoologiczny przy moście Zwierzynieckim. W jednym dniu udaliśmy się wszyscy kursowym autobusem do Kępna na grób rodziców. Grobowiec nie był jeszcze urządzony, lecz grób ziemny był starannie utwardzony i ukwiecony. Była wówczas z nami pani Jadzia, która właśnie zajmowała się pielęgnacją grobu rodziców.



Przed Halą Ludową we Wrocławiu

W drugiej połowie 1971 r. PW-2 wykonywała szereg nowych tematów, z których najpoważniejszym były kolejne dwa XII-kondygnacyjne budynki biurowe przy ul. Mogilskiej w Krakowie. Opracowywał je A. Ścigalski, przy czym później zrealizowany został tylko jeden z nich. Projekt drugiego, przeznaczonego dla Biura Projektów Przemysłu Węglowego został wykonany tylko w fazie wstępnej, gdyż inwestor zrezygnował osta-

tecnie z realizacji obiektu, głównie z powodu trudności w uzyskaniu terenu.

Ja sam w IV kwartale 1971 r. opracowałem projekt adaptacyjny dla pawilonu handlowego na nowym osiedlu nowohuckim Mistrzejowice-Wiosenne. Był to pierwszy z serii kilku gotowych, prefabrykowanych pawilonów handlowych, jakie zakupione zostały w NRD dla Krakowa. Miały one różną wielkość i funkcję, a ten pierwszy był to parterowy supermarket spożywczy o wymiarach rzutu 24*24 metry i kubaturze 3000 m³. Adaptacja polegała na wykonaniu projektu zagospodarowania przestrzennego terenu inwestycji, posadowienia budynku, podłączeń instalacyjnych, drogi dojazdowej z placem wyładowniczym, zieleni na działce itd. Sam budynek składany był z gotowych, wielkogabarytowych elementów z ocieplanej blachy aluminiowej. Dostarczano je w specjalnych kontenerach trakcją kolejową i samochodową z Lipska, gdzie znajdował się główny zakład produkcyjny i następowała kompletacja dostaw.

Od 1 września mieliśmy w biurze nowego dyrektora naczelnego J. Skowyrę. Wszystkim pracownikom był doskonale znany, gdyż pracował w biurze już kilkanaście lat, awansując kolejno na coraz bardziej odpowiedzialne stanowiska.

Pod koniec miesiąca zawezwany zostałem na nadzór autorski na budowę Domu Wypoczynkowego "Energetyk" w Krynicy. Wcześniej byłem wzywany tylko raz na tę budowę, w trakcie wykonywania tak zwanego "stanu surowego". Chodziło wtedy o dodatkowe zabezpieczenia wykopów ziemnych przed osunięciem się i murów piwnicznych przed napływem wód opadowych. Tym razem budynek był już wykonany w stanie surowym zamkniętym i inwestor, wraz z głównym wykonawcą robót, chcieli uzgodnić ze mną rodzaj i kolorystykę materiałów wykończeniowych. Dotyczyło to drewnianych boazerii ściennych, posadzek mozaikowych i marmurowych, kolorystyki ścian itp.

DW „Energetyk”

Po tej "oficjalnej" części spotkania kierownik budowy i ja zostaliśmy zaproszeni przez inwestora na nieoficjalny obiad do regionalnej karczmy pod Krynica. Znana ona była szeroko lokalnym koneserom dobrego jedła, zwłaszcza ze swej specjalizacji w serwowaniu białych mięs. Po przyciężkim żurku, pieczeni z połówki indyka i płonącym deserze owocowym - bardzo na miejscu była wysokoprocentowa herbata zbójnicka. Nie pił jej chyba tylko kierowca samochodu, choć wcale nie jestem tego taki pewny.



W Muzeum Powozów w Łańcucie
oglądania licznych krajowych i zagranicznych modeli telewizorów w dużym, nowo

W październiku Kasia wraz z chłopcami wzięła udział w kilkudniowej wycieczce-rajdzie szlakiem miejsc martyrologii z okresu II wojny światowej i powojennych walk z ukraińskimi nacjonalistami na południu Polski. Odwiedzili miejsca pomników w rejonie Bieszczad, zwiedzili Rzeszów, barokowy Zamek z XVII wieku w Łańcucie z unikalnym Muzeum Powozów i inne.

W grudniu postanowiliśmy kupić nowy telewizor do mieszkania. Stary "Szmaragd" był już do cna wyeksploatowany, szwankowała w nim i fonia i wizja. Zabrałem na rekonesans po sklepach obu swych synków i zaczęliśmy od

otwartym salonie TV przy ul. Kijowskiej. Wszystkie oczywiście były czarno-białe, różnej wielkości i w różnych obudowach. Zamierzałem już pertraktować z obsługą sklepu, ale obaj chłopcy gdzieś mi się zapodziali w bocznej salce, a właściwie na zapleczu sklepowym. Tam akurat uruchamiano próbnie jeden kolorowy telewizor z bieżącej dostawy. Był to radziecki "Rubin", pochodzący z partii pierwszych 10 tysięcy sztuk kolorowych telewizorów, importowanych świeżo z okazji odbywającego się w Warszawie ogólnopolskiego Zjazdu PZPR, obradującego zresztą pod hasłem "Oby Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej!".

Wołałem synów do głównego salonu, by dokonać wspólnie wyboru jakiegoś telewizora, ale oni nie chcieli nawet patrzeć na czarno-białe ekrany i nie dawali się odciągnąć od kolorowej nowaliki. Zapytałem więc o jej cenę i zmroziło mnie, gdyż mógłbym za tę kwotę kupić trzy 17-calowe "Neptuny" lub dwa 21-calowe "Beryle". Nie miałem oczywiście tyle pieniędzy przy sobie, ale nie miałem także żadnego wyboru. Pojechałem więc do "swego" banku PKO w Rynku Głównym, pobrałem brakujące pieniądze i zapłaciłem za nowe cudo i niezbędne akcesoria, które wkrótce zostało przewiezione, wraz z tryumfującymi synami, firmowym samochodem i zainstalowane w moim mieszkaniu. Technicy sklepowi zamontowali też nowy wielgachny maszt antenowy na dachu i połączyli go fachowo koncentrycznym kablem z telewizorem.

Gdy Kasia wróciła z pracy, nowy mebel mrugał już wszystkimi kolorami tęczy. Być może był to w ogóle pierwszy odbiornik TV-kolorowej w prywatnym mieszkaniu w Krakowie. A ważyło to pudło 65 kilogramów i w środku miało 15 lamp elektronowych i bodaj tyleż samo tranzystorów. Niestety przez dłuższy czas, właściwie przez lata całe, TVP nadawała bardzo mało programów w kolorze, początkowo tylko w czwartki, i na ekranie naszego "Rubina" oglądaliśmy świat nadal głównie w czarno-białej tonacji.

Rok 1971 był kolejnym rokiem znaczących osiągnięć w dziedzinie podboju Kosmosu i nowych technologii przemysłowych. USA dokonały dalszych dwóch lądowań na Księżycu swych statków załogowych "Apollo 14" w styczniu i "Apollo 15" w lipcu. Tak więc już ośmiu kosmonautów amerykańskich miało możliwość przespacerowania się po Księżycu, a dwóch to nawet jeździło po Srebrnym Globie przez kilkanaście godzin specjalnym samochodem o napędzie elektrycznym. Natomiast ZSRR wystrzelił na orbitę wokółziemską dużą stację załogową "Salut 1", jako stałe laboratorium kosmiczne. W dziedzinie nowych technologii wynalezione zostały mikroprocesory, które stały się potem podstawą nowych generacji urządzeń elektronicznych, głównie komputerów. Między innymi, już w 1971 r. uruchomiona została w USA seryjna produkcja kieszonkowych kalkulatorów elektronicznych.

Najpoważniejszym wydarzeniem politycznym 1971 r. była niewątpliwie secesja pakistańskiej prowincji Bangladeszu, co stało się wnet powodem wojny pomiędzy Pakistanem i Indiami. W Polsce na początku roku nastąpiła zasadnicza zmiana ekipy rządzącej, sformowana wokół E. Gierka. Wraz z nią zmieniła się też polityka społeczno-gospodarcza kraju. Przyspieszone zostały inwestycje w przemyśle, produkującym towary powszechnego użytku, często przy korzystaniu z zagranicznych technologii; znacznie rozszerzony został import wielu towarów żywnościowych i przemysłowych; zwiększone zostały nakłady na budownictwo mieszkaniowe. W lutym 1972 odbyły się Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Sapporo w Japonii. Polska miała w nich swoje "5 minut", gdy 19-letni Wojciech Fortuna zwyciężył w konkursie skoków na wielkiej skoczni swych światowych rywali i uzyskał złoty medal dla polskiej ekipy.

Jak dotąd prawie wszystkie roczne urlopy dzieliłem na dwa po dwa tygodnie. Wykorzystywałem je najczęściej na rodzinne wczasy zimowe i letnie. Często te nasze wyjazdy zimowe przypadały na kwiecień, obejmując święta Wielkanocne. Wtedy w Krakowie, i w ogóle na nizinach, zimy już nie było, natomiast w Karkonoszach czy w Tatrach,

gdzie najczęściej te wczasy spędzaliśmy, było jeszcze sporo śniegu, zwłaszcza w wyższych partiach gór. W 1972 r. również dwukrotnie wyjeżdżaliśmy na wczasy, lecz jedynie w okresie lata, w lipcu do Zakopanego, zaś w sierpniu do Świnoujścia nad Bałtykiem. Dodatkowo nasi chłopcy byli na 10-dniowej wycieczce turystycznej we Francji.

Natomiast odmiennie niż zazwyczaj, święta Wielkanocne spędziliśmy w Krakowie, jak najbardziej rodzinnie. Na kilka dni przyjechała do nas cała rodzina mej siostry z Wrocławia, również ciocia Nela, a także Maciek z Wrocławia, syn brata mego szwagra.



Na nowych bulwarach Wisły pod Wawelem

jego oficjalne oddanie do użytku odbyło się później w przeddzień lipcowego Święta Odrodzenia. Ten piękny żelbetonowy most zaprojektowany został pod względem architektonicznym w moim biurze projektowym przez młodego architekta J. Chronowskiego i wykonany z zastosowaniem strunobetonowych belek. W wyniku publicznego plebiscytu, przeprowadzonego w Krakowie, nazwany on został później Grunwaldzkim. Nie obyło się oczywiście bez zwiedzania Wawelu, spaceru ulicami Kanoniczą i Grodzką oraz "popasu" na Rynku Głównym. Po świętach Wrocławiaczy odjechali, wracając do swych zajęć i nauki. Została tylko jeszcze nasza emerytowana ciocia Nela, ale po kilku dniach również i ona odjeżdżała do Próchenek, swego miejsca zamieszkania.

W ostatnim dniu roku szkolnego obaj chłopcy chwalili się swymi świadectwami szkolnymi. Maciek ukończył już piątą klasę, miał tylko dwa stopnie dobre z podrzędnych przedmiotów, pozostałe bardzo dobre. Z takim też stopniem ukończył kurs języka francuskiego I stopnia w Krakowskim Domu Kultury w "Pałacu Pod Baranami". Grześ na swym świadectwie z trzeciej klasy podstawowej miał też głównie stopnie bardzo dobre i kilka dobrych.



Zbiórka na wylot do Francji

Z inicjatywy i staraniem Kasi nasi chłopcy w czerwcu 1972 roku, tuż po zakończeniu roku szkolnego pojechali na wycieczkę do Francji. Zaczęło się od tego, że żona w swej pracy zawodowej miała kontakty z Komendą Chorągwi Związku Harcerstwa Polskiego w Krakowie. Przy okazji dowiedziała się, że krakowski ZHP organizuje latem 10-dniową wycieczkę turystyczno-krajoznawczą dla harcerzy krakowskich do Francji. Organizatorem faktycznym wycieczki był francuski Związek Harcerstwa, przy założeniu, że w przyszłym roku ZHP przyjmie w Krakowie grupę eklerów francuskich. Mieli oni korzystać wzajemnie ze schronisk harcerskich i prywatnych kwater rodzinnych.

Synowie mieli już swoje harcerskie lata, Maciek 12,

Grześ 9 lat, więc Kasia szybko zapisała obu do organizacji oraz kupiła im mundurki, plecaki i inny harcerski ekwipunek. W dniu zbiórki, bardzo wczesnym rankiem, chłopcy nasi stawili się na punkcie zbornym na Rynku Kleparskim. Cała grupa wycieczkowa liczyła około 40 dziewcząt i chłopców w wieku kilkunastu lat oraz kilku starszych harcmistrzów, wszyscy w paradnych mundurach i z wielkimi plecakami. Autokar powiózł ich na lotnisko w Balicach i po dwóch godzinach lotu odrzutowym Tu-134 cała grupa znalazła się w Paryżu.

Program przewidywał kilkudniowe zwiedzanie stolicy Francji i zamków nad Loarą, przy czym kwaterowali wtedy w kolejnych schroniskach eklerów francuskich. Jednak zasadniczą część wycieczki stanowił tygodniowy pobyt grupy w dużym 200-tysięcznym mieście Dijon w Burgundii w środkowo-wschodniej Francji. Zamieszkali tam na kwatery w rodzinach francuskich. Przez władze miasta Dijon przyjęci zostali z wielką atencją, a lokalne gazety zamieściły na pierwszych stronach kwieciste reportaże ze zdjęciami z apelu i powitania polskich harcerzy przez mera miasta na wielkim dziedzińcu jego merostwa.

Niezależnie od wielu wrażeń, jakie przeżyli obaj nasi chłopcy na tej czwartej już wycieczce zagranicznej, ale pierwszej do zachodniej Europy, wykorzystali ją oni do praktycznego zapoznania języka francuskiego. Mieli ze sobą oczywiście słownik francusko-polski, no i Maciek dwuletni, a Grześ roczny kurs francuskiego. Grześ dodatkowo zaprzyjaźnił się wielce z rodziną, u której przebywał, w tym chyba najbardziej z, jeszcze młodszą od siebie, córeczką gospodarza. Konsekwencją tego był późniejszy, po kilku latach, wyjazd Grzegorza do tegoż Dijon, potem także do Lionu i Paryża, w którym zresztą zakotwiczył w późnych latach 80-tych na stałe

Synowie wrócili ze swej wielkiej zagranicznej przygody już po 10 dniach. Pojechaliśmy wówczas, w drugiej połowie lipca, wszyscy razem w czwórkę, na normalne, rodzinne wczasy zakładowe do Zakopanego. Znow dominowały wycieczki po dolinkach i spacery po samym Zakopanem. Równolegle w stolicy Tatr przebywali nasi przyjaciele Tadek i Wanda Brachowscy ze swymi dwoma córeczkami. Było zresztą więcej dzieci i młodzieży w domu wczasowym i bawili się oni piłką, grali zwykle w kometkę i tenisa ziemnego.

Po powrocie z wczasów czekała na mnie w biurze niespodzianka. Był nią złoty krzyż zasługi, przyznany uchwałą Rady Państwa za całokształt pracy zawodowej, na wniosek zgłoszony przez moje biuro wiele miesięcy wcześniej. Było to najwyższe rangą odznaczenie, jakie w ogóle otrzymałem, ale dopiero trzecie, co do swej wagi, według mego osobistego uznania. Bardziej ceniłem, otrzymane znacznie wcześniej odznaki "Racjonalizatora Produkcji" i "Budowniczego Nowej Huty".

A Kasia, korzystając z utrzymującej się ładnej pogody, umówiła się z Wandą na niedzielną przejażdżkę statkiem wycieczkowym z pod Wawelu do Tyńca, odległego o 15 kilometrów. Zabrała obu synków, Wanda swe dwie córki i w rezultacie, przy pięknej pogodzie, bardzo miło spędzili wszyscy cały dzień na statku oraz zwiedzili dodatkowo stare, bardzo ciekawe opactwo bernardynów w Tyńcu, kościół i klasztor, pochodzące z XI wieku.

Również w 1972 roku skorzystaliśmy z oferty "Turysty". W dniu 15 sierpnia pojechaliśmy na drugie w tym roku dwutygodniowe wczasy rodzinne do Świnoujścia nad polskim Bałtykiem. Z Krakowa, ściślej z podkrakowskiego lotniska w Balicach, poleciliśmy do Szczecina, a właściwie do Goleniowa, samolotem. Trasę przelotu pokonaliśmy w niespełna dwie godziny na pokładzie turbośmigłowego Il-28, takiego samego, jakim lecieliśmy rok wcześniej w Bułgarii z Sofii do Burgas. Z Goleniowa do Świnoujścia dojechaliśmy już kursowym autobusem.



W porcie szczecińskim

wych, kilkadziesiąt samochodów i setki ludzi. Wyspę Wolin łączą z krajem już normalne mosty.

Zakwaterowaliśmy w niedużym, położonym w sosnowo-świerkowym lesie, domu wypoczynkowym na zachodnim skraju dzielnicy wypoczynkowo-zdrojowej. Do plaży mieliśmy dosyć daleko, bo około 500 metrów, dalej niż do państwowej granicy z Niemiecką Republiką Demokratyczną.

Polski Bałtyk różnił się znacznie od Morza Czarnego, przede wszystkim temperaturami wody i powietrza i w ogóle pogodą. Przynajmniej w czasie naszego pobytu słońca było nie wiele więcej od chmur. Były dni, że musieliśmy na plaży korzystać z wielkich dwuosobowych, wiklinowych koszy, które chroniły nas przed podmuchami wiatru. Trzeba było też samopoświęcenia się, żeby wejść do zimnej wody. Naszych chłopców to specjalnie nie odstraszało i pluskali się oni w morzu, jak dwie małe foki.

Plażowaliśmy głównie po niemieckiej stronie wyspy Uznam w przygranicznym kąpielisku Ahlbeck. Było to możliwe, gdyż od stycznia obowiązywała umowa między Polską i NRD o przygranicznym ruchu turystycznym, która pozwalała na przejście granicy jedynie za okazaniem dowodu osobistego. Praktycznie wyglądało to tak, że dwa szeregi ludzi przechodziły w przeciwnych kierunkach, bez zatrzymywania się, trzymając w rękach otwarte dowody osobiste, na które celnicy nie zwracali bynajmniej specjalnej uwagi. Interesowały ich jedynie większe bagaże. My mieliśmy tylko koce, materac dmuchany, ręczniki, piłkę, a Grzesiek dodatkowo plastikowy samolocik.

Ten samolocik, kupiony w Świnoujściu, zrobił zresztą furorę na niemieckiej plaży. Mianowicie był on bardzo zmyślnie skonstruowany, latał na lince jak latawiec, przy czym obracały się oba skrzydełka, wydając charakterystyczny warkot. Wciąż podchodzili do syna młodzi i starsi plażowicze i pytali skąd ma ten samolocik. Oczywiście Grześ nie rozumiał ani słówka po niemiecku i pokazywał palcem na mnie. Musiałem ciekawskim tłumaczyć, gdzie w Świnoujściu mogą te zabawki nabyć.

Pobyt na plaży w Ahlbeck miał jeszcze te zalety, że można tam było kupić smaczne i tanie lody. Raz, gdy było pochmurnie, pojechaliśmy autobusem na drugi kraniec wyspy do najbliższego miasta Wolgast. Było to stare, bardzo zadbane, miasteczko o charakterystycznej pruskiej, północno niemieckiej architekturze. Akurat trafiliśmy na obchody jakiegoś święta, gdyż głównymi ulicami, przy dźwiękach orkiestry dętej, paradowały grupy młodzieży w granatowych i czerwonych uniformach.

Wzięliśmy też udział we wszystkich wycieczkach, organizowanych przez instruktora k.o. naszego domu wypoczynkowego. Zwiedziliśmy więc sąsiednie znane kąpielisko Międzyzdroje na wyspie Wolin, największe Polsce Zakłady Rybne "Odra" w Świnoujściu, oraz stolicę województwa Szczecin. W zakładach rybnych oglądaliśmy statki łowcze, hale produkcyjne i wielkie, mroźne chłodnie, w jakich podziwiać można było prze-

różne egzotyczne ryby i stwory morskie.



Grześ przed wodolotem „Kometa-1”

budowane place świadczyły o tym, że Szczecin poważnie ucierpiał w wyniku II wojny światowej, chyba głównie na skutek bombardowań lotniczych. Zwróciło moją uwagę, że w Szczecinie jest bardzo dużo terenów wodnych i zieleni.

Od 26 sierpnia do 11 września 1972 r. odbyły się w Monachium Letnie Igrzyska Olimpijskie. Zostały one zakłócone 5 września przez polityczno-terrorystyczną akcję grupy komandosów palestyńskich, którzy zabili dwóch i wzięli na zakładników 9 zawodników izraelskich. Ich wypuszczenie na wolność warunkowali zwolnieniem 250 palestyńskich więźniów w Izraelu. W sytuacji odmowy spełnienia tego warunku, podczas próby odbicia zakładników, został wysadzony w powietrze helikopter, w którym wszyscy oni zginęli wraz z pięcioma terrorystami palestyńskimi. Igrzyska mimo to kontynuowano. Polska ekipa sportowa spisała się bardzo dobrze, uzyskując 21 medali, w tym 7 złotych. Wielką sensacją był zwłaszcza złoty medal polskiego zespołu piłkarskiego.

W jedną z wrześniowych niedziel namówiłem Kasię i chłopców na jednodniowy wyjazd do Jordanowa na Podhalu w Beskidzie Makowskim. Chciałem po 28 latach zobaczyć, jak wyglądają te "kąty", gdzie przebywałem z mamą i siostrą przez prawie 11 miesięcy w 1944/45 r. do dnia przepędzenia Niemców z Podhala. Niestety, po garbarni, w której zamieszkivaliśmy, zostały tylko resztki fundamentów, a cały teren obok uległ przeobrażeniu, gdyż pobudowano tam nową szosę obwodnicową. Tylko Rynek miasteczka niewiele się zmienił i wypiękniał, bo przybyło na nim kwiatnych rabatów.

Pewnego wrześniowego dnia, gdy normalnie urzędowałem w swym pokoju kierownika pracowni, zgłosił się do mnie jeden z tłumaczy, których zatrudniłem do pracy przy eksportowym projekcie miasta Mishraq w Iraku. Minął już przeszło rok od dnia wyeksponowania tej dokumentacji i zdumiałem się niepomniernie, gdy przybyły pan oświadczył, że nie otrzymał dotąd wynagrodzenia za wykonane przez niego prace tłumaczeniowe. Natychmiast udałem się z nim do głównego księgowego, który potwierdził według posiadanych dokumentów, że pan X faktycznie nie podjął swego wynagrodzenia. Teraz tłumaczył, iż dlatego, że według niego było zbyt niskie. Nie zgłosił się jednakże wówczas do mnie, ani w innej formie nie sprecyzował o co mu chodzi.

Dopiero po roku zdecydował się dochodzić swych pretensji i złożył odpowiedni pozew w sądzie. Faktycznie za kilka dni biuro otrzymało ten pozew z Sądu Powiatowego w Krakowie. Wyjaśniło się, że pan X bardzo ciężko pracował przy swych tłumaczonych tekstach, gdyż pełno w nich było określeń technicznych i że powinien być wynagrodzony wg wyższej stawki niż pozostali tłumacze, którzy zresztą tłumaczyli podobne teksty. Ale najważniejsze było to, że te tłumaczenia tak go angażowały, iż nie miał on czasu na

przeprowadzenie zamierzonego remontu swego samochodu i w związku z tym sprzedał go za bardzo niską cenę. W pozwie wyliczał stratę finansową, jaką przy tej transakcji poniósł, żądając jej pokrycia przez biuro itp.

Na takie roszczenia placowe obowiązywała jednakże prekluzja w rok po zaistnieniu faktu, więc pozew rozpoczął się inwokacją o tym, że w biurze panuje wielki bałagan i prowadzone są jakieś przestępcze machinacje. Sąd przerażony grozą zarzutów, uwzględnił ochoczo przeterminowany pozew, chodziło wszak o sprawy wagi państwowej i gwałcenie praw obywatelskich. Zaczął się więc długoletni proces typu "pyskówki". W większości posiedzenia sądu były odraczane z uwagi na niestawienie się powoda, gdy zaś się zjawiał, to po przez swego adwokata zgłaszał nowe okoliczności sprawy i nowe roszczenia, które sobie w międzyczasie przypominał.

Ja na wszystkich rozprawach sądowych występowałem jednoosobowo, nie podpierałem się nawet biurowym radcą prawnym. Składałem cierpliwie wyczerpujące, konkretne pisemne i ustne wyjaśnienia, chociaż niełatwo było mi udowodnić bezzasadności różnych insynuacji. Oczywiście powód nie musiał niczego udowadniać, wystarczyło że przedstawiał siebie jako biedną ofiarę niecných knowań biurowej szajki. W tym wszystkim zadziwiająco dla mnie, i nie małym doświadczeniem życiowym, było stanowisko pani sędziny. Sądzę, że do jego zrozumienia potrzebny byłby dobry psycholog, podobnie jak psychiatra do zrozumienia powoda.

Proces ciągnął się jak flaki z olejem, przeniósł się do Sądu Wojewódzkiego, potem wrócił do ponownego rozpatrzenia do Sądu Powiatowego, przy zmianie sędziny. Nowa straciła wreszcie swą cierpliwość po rozsupłaniu kolejnego roszczenia pieniacza. Mianowicie stwierdził on na kolejnym posiedzeniu, że tłumaczył dużo więcej tematów, niż wykazałem przy obliczaniu wynagrodzenia. Przyciśnięty, wydukał nawet nazwy tych dodatkowych obiektów. I oto na następne posiedzenie przyniosłem wszystkie rękopisy tłumaczeń, jakie na szczęście nie wyrzuciłem, jako nikomu już nie potrzebne. Te dalsze, niby jego tłumaczenia, były pisane wyraźnie innym charakterem pisma. Po konfrontacji, gdy zmuszony został do przyznania, że to nie są jego tłumaczenia, pani sędzina zderwowała się mocno i po prostu nakrzyczała na cwaniaczka.

Ostatecznie po pewnym czasie wpłynął do biura werdykt sądu, oddalający po kolei wyimaginowane roszczenia, ale zasądzający jednakże jakąś małą kwotę od biura na rzecz sfrustrowanego tłumacza. Poszedłem z tym do dyrektora z propozycją przygotowania odwołania od tej decyzji, że pieniaczowi nic się dodatkowo nie należy i że gdyby istniała faktyczna sprawiedliwość, to powinien on przede wszystkim ponieść koszty, na jakie naraził nas i sąd swymi zmyślonymi roszczeniami. Dyrektor jednak sprawę przeciął, wyjaśnił mi, że obiektywnej sprawiedliwości nie ma na tym świecie, że sędzina musiała coś dać na odczepnego tej ofierze losu, że on się procesuje zawodowo non stop ze wszystkimi swymi pracodawcami, jak również z byłą żoną, i że zapłacenie tych kilku groszy, to dla biura żadne pieniądze.

W dzień święta Wszystkich Świętych 1972 r. pojechałem na grób rodziców w Kępnie. Był już, staraniem siostry, urządzony i obudowany pięknie płytami kamiennymi i marmurowymi. Wraz z siostrą Haliną przyjechał również nasz wuj Henryk z Wrocławia, przyszła też Jadzia, sąsiadka rodziców z ul. Poznańskiej. Miałem okazję powspominać z siostrą o tych dziesiątkach przyjazdów do rodzinnego gniazda rodziców i licznych pobyków u nich naszych dzieci. Ich dom wraz z całą działką, ogrodem i polem siostra sprzedała, po czym nowy właściciel dokonał gruntownej modernizacji i przebudowy domu. W Kępnie pozostał nam więc już tylko ten kamienny grobowiec rodziców.

Chłopcy nam rośli, zmieniały się ich potrzeby, to też trzeba było zdecydować się na wymianę dotychczasowych, prowizorycznych mebli w ich pokoju. Zaprojektowane ongiś

przeze mnie indywidualne meblościanki do spania i nauki z płyt laminowanych na konstrukcji z metalowych rurek, oddaliśmy więc do komisji. W ich miejsce zakupiliśmy za 15.000 złotych duży zestaw fornirowanych meblościanek typu "Polan", który zajął trzy ściany pokoju. Umebłowania dopełniały tapczan, nowy rozkładany fotel-amerykanka do spania, stolik-jamniczek i kilka krzeseł. Całość bardzo funkcjonalna, praktyczna i estetyczna służyła potem naszym synom przez wiele lat.

Święta Bożego Narodzenia mieliśmy spędzić we Wrocławiu. Tak to przynajmniej wiele miesięcy wcześniej zaplanowaliśmy. Siostra jednakże nasz przyjazd do niej w ostatniej chwili odwołała z powodu nowej serii chorób. Szwagier Tadek miał mianowicie jakąś chorobę wrzodową, Janusz miał kłopoty w pracy, zaś Halina problemy z wątrobą.

W 1972 roku wiele działo się w gospodarce Polski, która rozwijała się wówczas bardzo dynamicznie. Między innymi zakończona została budowa jednej z największych w Europie elektrowni w Turoszowie o mocy 2 tys. MW, pracującej na węglu brunatnym. Szczególnie szybko wzrastały też nakłady inwestycyjne, np. aż o 40 procent w przemyśle lekkim i spożywczym, służących bezpośrednio zaspakajaniu potrzeb ludności. Przy czym wzrost nakładów inwestycyjnych o 22% w całym przemyśle też był rekordowy w skali europejskiej. Średnie tempo wzrostu dochodu narodowego było bardzo wysokie i wynosiło po 9 % rocznie. Wzrastało też zatrudnienie w gospodarce państwowej, która w krótkim czasie kilku lat wchłonęła cały aktualny wyż pokoleniowy, oferując 3 miliony nowych miejsc pracy w dekadzie gierkowskiej.

Następowało równocześnie unowocześnienie przemysłu przy wykorzystaniu technologii i pieniędzy pożyczanych na Zachodzie. Szeroko mówiło się o budowie "drugiej Polski". Ten boom inwestycyjny wyraźnie odczuwany był również w naszym biurze projektowym. W pracowni PW-2 rozpoczęliśmy opracowywanie dokumentacji projektowej na budowę nowych, wielkich osiedli krakowskich Krowodrza-Górka i Prądnik Czerwony. Ja osobiście opracowałem adaptację dużej strażnicy pożarniczej o kubaturze 6.500 m³ na 12 wozów bojowych dla Huty "Katowice". A także mały, ale ciekawy, projekt adaptacji pracowni RTG w Przychodni Zdrowia Budowlanych przy ul. Syrokomli. W skali całego świata można rok 1972 określić niewątpliwie jako odprężeniowy. W kwietniu 70 państw podpisało układ o zakazie stosowania broni bakteriologicznej, w lipcu zakończyła się wojna między Indiami i Pakistanem, prezydent USA Nixon wizytował Chińską Republikę Ludową, był również w Polsce. W czerwcu, po ratyfikacji układu pomiędzy RFN i Polską, Watykan ustanowił wreszcie polskich biskupów na ziemiach zachodnich i północnych Polski.

W dniu 16 lutego 1973 r. odbył się we Wrocławiu ślub mego siostrzeńca Janusza. Miał on już 24 lat i postanowił zmienić swój stan cywilny. Zrobił to z zaskoczenia, informując rodziców o swojej decyzji na kilka dni przed datą ślubu ze swą ukochaną Ewą. My nie zdążyliśmy wziąć w nim udziału.

W pierwszej połowie kwietnia Kasia wraz z chłopcami znów pojechała do swego zakładowego domu wczasowego w Szklarskiej Porębie. Tam w Karkonoszach panowała się jeszcze wówczas zima, nawet w samej Szklarskiej śnieg zalegał kilkunastocentymetrową warstwą. Na szczycie Szrenicy było natomiast co najmniej metr śniegu, mrozy, wietrznie jak zwykle i oblodzone schronisko. Chłopcy uczyli się jeździć na nartach, oczywiście głównie na pomniejszych górkach w samej Szklarskiej, ale dwa razy wyjechali wyciągiem krzeselkowym na szczyt kopiastej Szrenicy. W pewnym momencie Grzesiowi uciekła jedna narta i zjechała po stoku "w siną dal".

W drodze powrotnej zatrzymali się we Wrocławiu, gdzie również i ja dojechałem z Krakowa. Mianowicie były Święta Wielkanocne i na zaproszenie siostry spędziliśmy je, tym razem, u niej we Wrocławiu. Mieliśmy okazję poznać małą Ewę "od Janusza", która

od dwóch miesięcy powiększyła grono wrocławskiej rodziny mojej siostry. Przyjechała także, jak zwykle przy takich rodzinnych okazjach, ciocia Nela i było przez oba dni świąteczne u Haliny szumnie i rojno jak w prawdziwym ulu. A że była piękna wiosenna pogoda, więc zażywalimy długich spacerów wzdłuż naszych ulubionych szlaków: Park Szczytnicki, Hala Ludowa, ZOO, wały Odry, Sępólno.

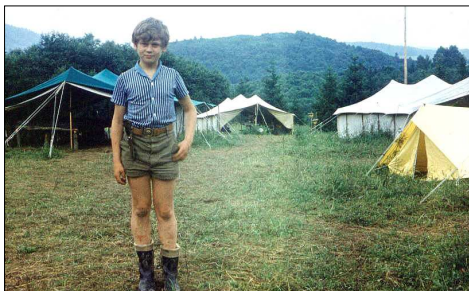
W 1973 roku, jakby barwniej, i z większym rozmachem, niżli w latach poprzednich, obchodzone były w Krakowie żakowskie juwenalia, Dni Krakowa i tradycyjne wianki. W każdym bądź razie moja rodzina brała w nich większy, niż dotychczas, udział. Oczywiście tylko w charakterze widzów. Kilka razy wraz z synami uczestniczyliśmy w różnych imprezach i widowiskach. Specjalnie dużo działo się w Ryнку Głównym, zwłaszcza w bezpośrednim sąsiedztwie "Adasia", czyli pomnika Adama Mickiewicza. W trakcie juwenalii u jego stóp kończyły się korowody przebierańców po wejściu na Rynek z ulicy Floriańskiej i jego okrażeńiu. Było to też ulubione miejsce dla różnych zbiorowych inscenizacji czy pojedynczych popisów i "wygłupów".

Inną tradycyjną trasę miał wąsaty "Lajkonik", który zaczynał swe harce spod swej restauracji "Lajkonik" przy ul. Zwierzynieckiej. Staliśmy w szpalerze gapiów przy "Jubilacie", gdy groźny Tatarzyn, wymachując buzdynem, wymusił pieniężny haracz od mych synów.

Wszak najokazalszą imprezą, kończącą 24 lipca obchody Dni Krakowa, było wielkie widowisko plenerowe "Światło i dźwięk", rozegrane wieczorem u stóp Wawelu wobec setek tysięcy widzów, zgromadzonych na bulwarach wiślanych. Reżyserował je z rozmachem znany dyrektor "Teatru Stu", Krzysztof Jasiński. Były historyczne sceny z hufcami słowiańskich wojów, wielkie stylizowane postacie królów, gigantyczny smok ziejący ogniem, snopy kolorowych baloników ulatujących w świetle reflektorów lotniczych, spływ Wisłą galarów z rodzajowymi scenkami folklorystycznymi i tradycyjne puszczanie wianków z zapalonymi świeczkami. Wszystko to zakończyło się o północy wielką, wielobarwną feerią ogni sztucznych i kanonadą petard.

W 1973 r. nasi chłopcy zgłosili chęć wyjazdu na harcerski obóz w Bieszczadach. W dniu 4 lipca obaj, wraz z dwoma, czy trzema drużynami, pojechali do miejscowości Stuposiany w Bieszczadach. Tam miał być ich obóz, a faktycznie to był dziewiczy las i leśne polany. Sami harcerze wycięli kilka drzew, karczowali krzewy, postavili namioty, kuchnię i jadalnię obozową, wysypali żwirkiem ścieżki i plac apelowy, zbudowali pomost sztandarowy, ogrodzenie i "małpi gaj" do ćwiczeń sprawnościowych. Mieli tam dobrą szkołę życia z pobudkami, apelami, gimnastyką poranną, myciem w zimnej wodzie potoku, wartami nocnymi, alarmami i pracami kuchennymi.

Synowie opisywali nam szczegółowo, zwłaszcza najtrudniejsze swe przeżycia. Był nim nie wątpliwie dwudniowy pobyt w dziewiczym lesie, gdzie sami urządzali sobie szałas na nocleg, palili ogniska dla podgrzania strawy i urządzali próby na odwagę. Polegały one na dotarciu w pojedynkę nocą do różnych odległych miejsc. Należało tam wyryc na drzewie swe inicjały, za co dostawało się nagrodę w postaci ogonka bobra, wyrzeźbionego na korze. Zdobyć 10 takich ogonków uprawniało do przynależności do zastępu "leśnych ludzi". Można było te ogonki zdobywać również w sportowych dyscyplinach, jakie organizowane były w "małpim gaju".



W obozie harcerskim w Bieszczadach

W połowie turnusu pojechaliśmy, Kasia i ja,

samochodem znajomych, którzy też chcieli odwiedzić swego syna na obozie w Bieszczadach. Po raz pierwszy byłem w tym prawie bezludnym, acz uroczym zakątku Polski. By dojechać do Stuposian, położonych dwa kilometry od granicy z Ukrainą, musieliśmy objechać pół pętli szosy bieszczadzkiej. Było nas, rodziców, odwiedzających swych harcerzyków, więcej i być może dla nas kierownictwo obozu zrobiło apel zastępu, połączony z wciągnięciem flagi na maszt, a później mogliśmy zwiedzać namioty obozowe i zaproszono nas na harcerski obiad oraz przydzielono nam namiot na nocleg.

Te znajomości z ZHP zaowocowały również naszą kolejną wycieczką zagraniczną. Mianowicie "doczepiliśmy się" do dwutygodniowej wycieczki Moskwa-Krym-Kijów, organizowanej przez Biuro Zagranicznej Turystyki Młodzieżowej "Juventur" dla młodzieżowego aktywu harcerskiego. Załatwiliśmy także udział w tej wycieczce mej siostry Haliny i jej męża. Uczestników wycieczki obowiązywał limit wieku 35 lat i właściwie to nasza 6-osobowa grupa tego limitu nie przekroczyła, licząc oczywiście przeciętnie i z uwzględnieniem naszych obu małaolatów. Zapłaciliśmy jednakże za wycieczkę więcej, niż wynosił przeciętny jej koszt, gdyż z dopłatą 30 % do czterech osób liczących powyżej 35 lat życia.

Impreza rozpoczęła się dla nas rankiem 3 sierpnia, gdy wyjechaliśmy pociągiem do Warszawy, gdzie była zbiórka całej 40-osobowej grupy wycieczkowej. Po południu byliśmy w Brześciu nad Bugiem, skąd po przestawieniu wagonów na szerokie tory, ruszyliśmy do Moskwy. Jechaliśmy wagonami sypialnymi, wyposażonymi w kuszetki. W wagonach, w których przeważali pasażerowie rosyjscy, panowała iście rodzinna atmosfera: wzajemne odwiedzanie się, pogawędki, przyśpiewki, częstowanie herbatą, biesiadowanie.

Na Dworzec Białoruski w Moskwie przyjechaliśmy o 10 rano następnego dnia. Stamtąd stary autokar przewiózł nas na peryferia miasta do trzeciorzędного hotelu "Altaj". A więc już od początku wycieczki ujawnił się jej raczej niski, taki harcersko-młodzieżowy, standard jakościowy, znacznie niższy niż na naszych poprzednich wycieczkach do Rumunii i Bułgarii. Ale była to bardzo tania impreza, a dla nas komfort warunków zakwaterowania i żywienia nie miał większego znaczenia. Najważniejszym

był program turystyczny wycieczki, a pod tym względem okazała się ona bardzo atrakcyjna, wprost fantastyczna.

Pierwsze popołudnie spędziliśmy na zwiedzaniu miasta, korzystając z przydzielonego wycieczce autokaru. Zobaczyliśmy: hotel "Kijów", jeden z siedmiu strzelistych wieżowców typu warszawskiego PKiN; reprezentacyjny Prospekt Gorkiego w samym centrum miasta; Wzgórze Leninowskie z najwyższym w Moskwie budynkiem Uniwersytetu im. Łomonosowa; stamtąd rozpościerała się rozległa panorama miasta; zespół otwartych basenów kąpielowych z podgrzewaną wodą, czynnych cały rok, nawet w czasie mrozów. Powróciliśmy do hotelu metrem i taksówką

W drugim dniu pobytu w Moskwie zwiedzanie rozpoczęliśmy od wyczekiwania w półkilometrowej kolejce. Stało w niej po cztery-pięć osób w szeregu, najpierw obcokrajowcy, za nami kilkuset elewów uczelni wojskowych, a następnie niekończący się wąż krajan. Szło to jednak stosunkowo szybko i po niespełna godzinie byliśmy u celu - przy sarkofagu z ciałem Lenina w jego mauzoleum na Placu Czerwonym. Wyglądał jak żywy. Następnie szybkie przejście



W tle Uniwersytet

wzdłuż murów kremlofskich z popiersiami i tablicami pamiątkowymi zmarłych polityków, marszałków, działaczy, uczonych: Kalinina, Świerdłowa, Stalina, Korolowa, Gagarina, Tupolewa i innych.

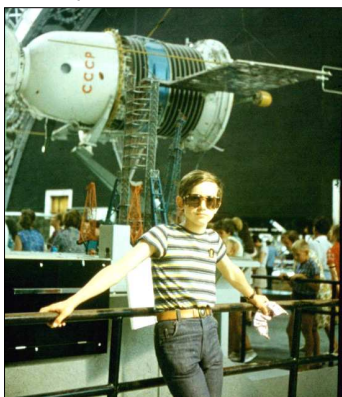
W następnej kolejności zwiedziliśmy na Kremlu Salę Kongresową na 6 tysięcy miejsc i dwie cerkwie, ze złoconymi kopułami, z pośród pięciu otaczających Plac Cerkiewny. Wewnątrz nich wielkie pozłacane ołtarze i setki średniowiecznych, bizantyjskich ikon z misternymi ornamentami z nitek złota, naklejanych czy tłoczonych na malowidłach. Na Placu Kremlofskim stały dwa wielkie dziwa: armata "Car-puszka" o średnicy lufy 80 centymetrów, która nigdy nie wystrzeliła, i olbrzymi dzwon wagi 196 ton. Miał on wisieć obok na wieży katedry Iwana Groźnego, ale przy pierwszych dzwonieniach odleciał kawał ściany dzwonnicy, więc go zdjęto.

Po południu zwiedziliśmy Galerję Tretiakowską malarstwa rosyjskiego z kilkudziesięciu salami, ukrytymi za pstrokato-kolorową fasadą niedużego, piętrowego budynku o neoklasycystycznej architekturze. Oczywiście z tyłu istnieją rozległe skrzydła, później dobudowane. Nazwa galerii wywodzi się od nazwiska założyciela, bogatego kupca Tretiakowa, który w połowie XIX wieku zgromadził 3 tysiące obrazów malarstwa rosyjskiego. W 1973 roku galeria zawierała 40 tysięcy obrazów, zgrupowanych według autorów. W pierwszej sali wiszą obrazy Rublowa, w następnych Srebrjakowa, Iwanowa, Pietrowa, Wierieszczagina itd. Zapamiętałem jeden wielki obraz z pierwszych sal, przedstawiający trzech wojów na koniach pt. "Czech, Lech i Rus".

Późnym popołudniem pojechaliśmy z częścią wycieczki metrem i taksówką do dzielnicy Ostankino, gdzie znajduje się olbrzymi Ośrodek TV moskiewskiej. Nas interesowała wieża telewizyjna, monstrum o wysokości 535 metrów, do 400 m żelazobetonowa, powyżej stalowy maszt antenowy. Prócz licznych kondygnacji technicznych na wieży są 3 platformy widokowe, 3 piętra restauracji, kilka kuchennych. Restauracje różnią się tylko kolorem wnętrza, stąd nazwy: złota, brązowa i srebrna. Usytuowane są one na platformach, wykonujących obrót wokół swych osi co 15 minut. My pojechaliliśmy bezzszelestną windą na wysokość 347 m, na główną, oszkloną platformę widokową. Oglądaliśmy panoramę miasta jakby z samolotu, ale nawet przez lornetkę nie można było zobaczyć krańców zabudowy. Restauracje oglądaliśmy jedynie z przeszkłonych korytarzy, schodząc kilka kondygnacji w dół schodami ewakuacyjnymi.

Na trzeci dzień pobytu w Moskwie zwiedzaliśmy Wystawę Osiągnięć Gospodarczych Narodów ZSRR, obejmującą 200 pawilonów wystawienniczych na 260 hektarach powierzchni z monumentalnymi założeniami kwietnych gazonów, wodotrysków, z wesołym miasteczkiem, rejonem zakupów pamiątek i konsumpcji. Pawilony wystawowe różnej wielkości, wiele ogromnych, bogato zdobionych, ze złoconymi, witrażami, kolumnami itp. W środku nich setki eksponatów, wykresów, fotosów, modeli itd. Trzeba by kilku dni, żeby to wszystko z grubsza oglądnąć.

My w trzy godziny "przelecieliśmy" przez pięć pawilonów: elektrotechniki, elektroniki, rolnictwa, komunikacji i kosmonautyki. Ten ostatni oczywiście najbardziej atrakcyjny i najliczniej odwiedzany. Wielka sklepiona hala, a w środku setki oryginalnych, lub modele, aparatów i urządzeń kosmicznych w skali 1:1. Pierwsze sputniki, obiekty telekomunikacyjne, statki załogowe, łunochod, rakiety przeróżnych typów, skafandry kosmonautów, zdjęcia Ziemi z Kosmosu, wielki globus Księżyca. Przed pawilonem, jako główny akcent na specjalnym wysięgniku umieszczona była rakietka "Wo-



W hali kosmonautyki

stok" wysokości 28 metrów, obok kilka samolotów odrzutowych, udostępnionych zwiedzającym. Wszystko to dla moich chłopców było bardzo ciekawe i co chwilę musiałem robić im zdjęcia na tle różnych dziwów kosmicznych.

W jednym z pawilonów wystawowych oglądaliśmy 20 minutowy film w cirkorامية, to jest kinie, jakby w formie beczi, z ekranami naokoło widzów, którzy stali w środku. Film był turystyczno-krajoznawczy, więc na przykład narciarze jechali wprost na nas, przejeżdżali obok i zjeżdżali w dół za nami. Albo taniec huculów wokół nas. Trzeba się było w kółko obracać, a przynajmniej kręcić ciągle głową.

W sumie Wystawa Osiągnięć Gospodarczych w Moskwie była kolejnym dowodem na lubowanie się Moskwiczów w gigantomanii. Zresztą przewodnicy wyliczali nam wciąż różne obiekty, znajdujące się w Moskwie, a będące największymi na świecie. Takimi "naj", obok Wystawy, były jeszcze: wieża TV w Ostankino, Uniwersytet im. Łomonosowa dla 40 tys. studentów, hotel "Rossija" na 6 tys. gości, Biblioteka im. Lenina - 10 kilometrów książka, przy książce, Galeria Tretjakowska z 40 tys. obrazów, kino "Rossija" też dla 6 tys. widzów, scena teatralna 80*40 m w Sali Zjazdów na Kremlu.

Po południu w programie było zwiedzanie panoramy bitwy pod Borodino. Znów wielkie kolejki, ale nas "innostranców" przepuszczono przed tubylcami. Wyłonił się natomiast inny problem - obyczajowy. Dwie dziewczyny z naszej grupy wycieczkowej ubrane były w szorty i obsługa nie wpuściła je do budynku, musiały czekać na zewnątrz przy wielkim konnym pomniku Kutuzowa. A w środku cały ceremoniał. Wpiero kilka sal z rycinami, portretami, obrazami, mapami, zdobycznymi sztandarami i innymi eksponatami, starannie i dokładnie objaśnianymi przez przewodników. Zwiedzający musieli wysłuchać całej historii wojennej wyprawy Napoleona na Rosję, którą rozpoczął z 640-tys. armią, by stracić 580 tys. żołnierzy, zabitych i wziętych do niewoli.

Potem dopiero właściwa panorama. Jest to rotunda o średnicy 35 m, długości obrotu 115 m, wysokości 15 m. Na obrazie widać bitwę tysięcy żołnierzy, z setkami armat, płoną domy. Pomiędzy obrazem, a barierką platformy widokowej, ziemia zryta okopami i pociskami, porożbijane działa, polne drogi, resztki obozowiska, popalone domy. Trudno było odróżnić, gdzie kończy się obraz, a zaczyna makietę. Zakładałem się ze szwagrem, czy kolejny słupek ogrodzenia to już prawdziwy palik, czy jeszcze obraz. Panorama była bardzo realistyczna i sprawiała rzeczywiście niesamowite wrażenie. Wieczorem robiliśmy zakupy w domu towarowym "Dietskij sad". Cztery kondygnacje, budynek ok. 200 tys. m³ kubatury, wszystko dla dzieci. My kupiliśmy pluszowego pieska, drewnianą rozkładaną babuszkę - cztery w jednej, miniaturę wieży TV w Ostankino i kilka prześlicznych lalek na upominki dla rodziny i znajomych w Krakowie.

Z wrażenia wycieczki nie sposób pominąć metra i w ogóle komunikacji publicznej w Moskwie. Metro jest bardzo głębokie, zbudowane 50-100 m pod powierzchnią. Pięć linii długości po 20-30 km każda, przecinały miasto w różnych kierunkach, zbiegając i krzyżując się w centrum. Dodatkowo połączone są one wszystkie przez szóstą linię obwodnicową, tak zwane "kalco", okrążającą śródmieście. Wówczas w 1973 r. było 54 stacji metra, prawie każda w innym wystroju. Te śródmiejskie, które oglądaliśmy, wykładane były różnokolorowymi marmurami, zdobione malowidłami, rzeźbami, witrażami. Przejazd metrem kosztował 5 kopiejek, jakie wrzucało się do automatu przy zejściach na ruchome schody.

Moskwa ma także rozbudowaną sieć trolejbusów, autobusów i tramwajów. Te ostatnie tylko na peryferiach. Bardzo tanie i popularne były taksówki, którymi były wyłącznie samochody "Wołgi", przypisane do poszczególnych rejonów miasta. Trzeba było się w tym orientować, żeby móc z nich korzystać.

W dniu 7 sierpnia nasza grupa wycieczkowa pożegnała się z hotelem "Altaj" i autokarem pojechaliśmy na lotnisko Wnukowo. Jechaliśmy pełne 20 minut przez niekończą-

ce się nowe osiedla mieszkaniowe Moskwy, z dominującą 8-9 kondygnacyjną zabudową. Moskwa nie posiada w ogóle przedmieść z niską zabudową, tak charakterystycznych dla polskich miast.

Na lotnisku ruch był olbrzymi, co chwilę startował, lub lądował, jakiś samolot. My poleciliśmy na Krym 120 osobowym, dwusilnikowym samolotem odrzutowym Tu-104, który to typ zapoczątkował w ogóle światowe cywilne lotnictwo odrzutowe. Samolot był pełny, a obsługiwała nas jedna stewardessa, częstując cukierkami do ssania przy starcie i lądowaniu oraz kubeczkami musu jabłkowego. Samolot leciał z szybkością 900 km/godz na wysokości 9000 m, obniżył swój pułap dopiero nad półwyspem Krymskim.

Zawsze myślałem, że północny, nizinny Krym to tylko step. Zobaczyłem natomiast szachownicę wielkich pól uprawnych z siecią kanałów nawadniających, odgałęziających się od wielkiego kanału biegnącego od zapory w Kachowce na Dnieprze do półwyspu Kercz, przecinającego na ukos cały Krym. Wśród pól regularnie rozmieszczone małe wsie sowchozowe z szeregi domków rodzinnych i zabudowaniami gospodarczymi. Lotnisko w Symferopolu, na którym wylądowaliśmy, położone było daleko od centrum miasta. Trolejbusem pojechaliśmy do śródmieścia, do umówionej restauracji na obiad, i celem zwiedzenia miasta. Niczym szczególnym się ono nie wyróżniało. Po powrocie na lotnisko mieliśmy jeszcze przez kilka godzin oczekiwać na przyjazd autokaru, który miał nas zabrać na miejsce zakwaterowania. Wraz z chłopcami wałęsałem się więc po lotnisku i najbliższej okolicy.

Dworzec lotniczy w Symferopolu przypominał mi bardzo polskie dworce kolejowe. Tak ze względu na duży ruch, jak i jego organizację. Na frontonie budynku wisiał wieloszpaltowy rozkład jazdy, wszędzie można się było swobodnie poruszać, nie było rozdziału na pasażerów przyjeżdżających i odjeżdżających. Na bagaż oddawało się tylko duże walizy i toboły, a ludzie taskali ze sobą nawet spore torby, siatki, widzieliśmy także kobiece z żywymi kurami w koszyku. Pasażerowie przychodzili w ostatniej chwili, bilety stanowiąły małe świstki papieru, zaś do samolotów podchodziło się na piechotę.

Można było to wszystko zrozumieć jedynie przy uwzględnieniu faktu, że podróż samolotami w ZSRR była bardzo tania i opłacało się jechać wszędzie już na trasach powyżej 100 kilometrów. Oczywiście na tych krótkich, niejako autobusowych, trasach latały przeważnie niewielkie samoloty, bynajmniej nie błyszczące elegancją i komfortem. W pewnym momencie przed budynkiem dworca zapachniało nam szaszłykami, smażonymi na ruszcie w barze na otwartym powietrzu. Chłopcy usiedli przy stoliku, ja stanąłem w przydługiej kolejce. Chciałem kupić jedną porcję, które zresztą były dość duże, by ją podzielić na trzy mniejsze. Dziwiło mnie natomiast, że wszyscy przede mną kupowali po 2-3 szaszłyki. Początkowo myślałem, że dla kilku osób, ale tubylcy mieli świetne apetyty i zżerałi w pojedynkę po kilka porcji. Gdy doszedłem do rusztu, zobaczyłem już tylko gołe pręty. Musieliśmy obejść się smakiem i pójść do naszej grupy wycieczkowej, gdyż przyjechał akurat nasz autokar.

Przez góry i ostre serpentyny zawieziono nas do odległej o 70 km Jałty, ale zatrzymaliśmy się, późnym już wieczorem, kilkanaście kilometrów dalej, w Gurzuf. Była to miejscina, licząca kilka tysięcy mieszkańców, dosłownie przyklejona do stoku góry nad niedużą zatoką morską. Miała kilka domów wczasowych, mały port rybacki, przystań, dom towarowy, kręte uliczki i rozle-



Na centralnym placu w Jałcie

głą, lecz bardzo wąską plażę. Tłumy wczasowiczów, chyba gnieździł się po prywatnych domach. My zamieszkaliśmy w 3-piętrowym hotelu "Družba", tuż nad brzegiem morza, do którego schodziło się kilkadziesiąt metrów w dół stromymi schodkami.

Lecz to wszystko ukazało się naszym oczom dopiero następnego dnia, gdy po śniadaniu wybraliśmy się na czarnomorską plażę. Była wąska na 10 metrów, od strony góry ograniczona betonową ścianą, i nie było na niej piasku. Po prostu plaża była sztucznie usypana z kamieni i żwiru, dowieszonego z gór, a leżało się na pryzkach z drewnianych łat. Przed pójściem na plażę informowano wszystkich o tym, że 10 metrów od brzegu zaczyna się głębia morska. A także ostrzegano przed nadmiernym opalaniem się wobec zdradliwości słońca, które działało ponoć z podwójną mocą, gdyż jego promienie odbijały się w morzu. Kupiliśmy więc niezwłocznie dla chłopców i szwagra białe, płócienne krymki, to jest czapki z bardzo długimi daszkami, chroniącymi przed słońcem. Ja mówiłem, że jako hucul jestem odporny i na mrozy i na upały, i czapki żadnej nie potrzebuję. Ta bufonada się nie sprawdziła, ale o tym potem.

Po południu, na własną rękę, zwiedzaliśmy miasteczko, zaś chłopcy objadali się lodami. Te "morożenoje" towarzyszyły nam zresztą od początku wycieczki, już w Moskwie. Gustowała w nich zwłaszcza moja siostra. Natomiast Kasia i nasi chłopcy, nie stroniąc bynajmniej od tych zimnych słodkości, objadali się, przy wszystkich możliwych okazjach, kawonami. Mnie te frykasy nie pociągały, za to musiałem płacić za nie swymi przydziałowymi rubelkami, bo normalnie "trzymałem kasę".

Następnego dnia cała nasza harcersko-młodzieżowa grupa wycieczkowa pracowała społecznie, wycinając w sąsiedztwie hotelu "Družba" chwasty, zamiatając podwórko, ścieżki i schodki na plażę itp. Lecz tylko przez jedną godzinę. Potem śniadanie i, zgodnie z turystycznym programem wycieczki, nastąpił wyjazd statkiem do Jałty.

Na całym wybrzeżu krymskim statki są podstawowym środkiem komunikacji między poszczególnymi miejscowościami. Na ogół nie mają one wzajemnych połączeń drogowych, bo góry tu i ówdzie schodzą wprost do morza. Na przykład trzeba serpentykami z Gurzuf wyjechać na rakadową drogę za szczytami Gór Krymskich, by potem podobnymi serpentykami zjechać do Jałty. Przejazd statkiem jest bezproblemowy i znacznie szybszy.

Jałta to największe uzdrowisko i port na południowym wybrzeżu Krymu. Liczy jednakże tylko 60 tys. mieszkańców, choć zabudowane zostały wszystkie okoliczne tarasy terenowe i stoki górskie. Główną reprezentacyjną część miasta stanowią szerokie, spacerowe bulwary nadbrzeżne, w sąsiedztwie których skupione są ciasno najważniejsze gmachy urzędów, sanatoria, domy wczasowe, ośrodki handlowe itp.

Jak zwykle, z Kasią i chłopcami, urwaliśmy się wycieczce i krętymi, stromymi uliczkami Jałty zapuściliśmy się daleko w głąb miasta, docierając do jakiegoś dużego targowiska kołchozowego. Był to dzień targowy i kłębił się tam tłum tubylców. My kupiliśmy za kilka kopiejek ulubione kawony, poczym spłynęliśmy szybko w dół na bulwary nadbrzeżne, zdobione fontannami, palmami i innymi egzotycznymi roślinami i gdzie głównym, słyszany językiem był angielski i niemiecki.

W kolejnym dniu pobytu w Gurzuf zwiedziliśmy Nikitski Ogród Botaniczny, położony niedaleko na stokach góry, z pięknymi widokami na morze. Założony został w 1812 roku i były tam chyba wszystkie dostojne drzewa tego świata: cyprysy, pinie, tuje, palmy, bambuse, cedry, a także setki gatunków krzewów i kwiatów.

Najbardziej turystyczny był jednak następny dzień, choć akurat padał chwilami deszcz. Do południa zwiedziliśmy pałac w Liwadii, w którym w lutym 1945 roku odbyła się konferencja przywódców trzech mocarstw alianckich: Roosevelta, Churchilla i Stalina. Na werandzie stały krzesła, na których oni wówczas siedzieli, a obok umieszczone były wielkie fotografie z tamtej Konferencji Jałtańskiej.

Po południu zwiedziliśmy miasteczko pionierów Artek. Nad piękną zatoką kilkanaście domków wczasowych, duże boisko, liczne place do gier i zabaw, bogaty egzotyczny drzewostan. Corocznie przez ośrodek przewijało się wtedy, w 40-dniowych turnusach, około 30 tysięcy dzieci, w tym wiele z zagranicy. Moi chłopcy, jak zresztą i część starszej młodzieży, uczestników wycieczki, wystąpili w mundurach harcerskich. Specjalnie mój Grzesiek cieszył się niebywałym zainteresowaniem obozowych pionierów, którzy oblegali go, bo miał na wymianę turystyczne odznaki polskich miast.



W dwóch ostatnich dniach krymskich zrobiła się słoneczna pogoda, a uczestnicy naszego Krymie szczytu wycieczki wrócili na ciasne plaże Gurzuf. Faktycznie tak ciasne, że gdyby wszyscy plażowicze zechcieli się równocześnie położyć, to dla połowy z nich nie starczyłoby miejsca. Mnie po wielogodzinym plażowaniu rozboleła głowa i dostałem lekkiego udaru słonecznego. Pilotka wycieczki natychmiast wezwała pogotowie lekarskie i miła pielęgniarka zaaplikowała mi bezlitośnie potwornie bolesny zastrzyk, który jednakże od razu postawił mnie na nogi.

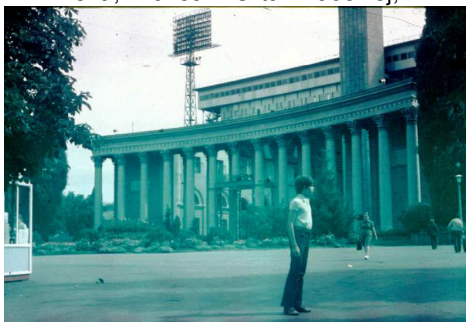
W Artek nad Morzem Czarnym

Potem, żeby ominąć zwodnicze słońce, zamiast pojechać na atrakcyjną wycieczkę statkiem w głąb Morza Czarnego, wybraliśmy się rodzinną czwóreczką do sąsiedniego ekskluzywnego Parku Sanatorium Ministerstwa Obrony. Byliśmy tam w towarzystwie rodziny inżyniera budowlanego z Dniepropietrowska na Ukrainie. Zaprzyjaźniliśmy się z nimi i prowadziliśmy później korespondencję listowną przez kilka lat.

W dniu 14 sierpnia zakończył się krymski etap wycieczki i, po przejeździe autokarem do Symferopola oraz 65 minutowej podróży odrutowym samolotem Tu-134, późnym wieczorem tegoż dnia znaleźliśmy się w Kijowie.

Kijów był trzecim co do wielkości miastem ZSRR, licząc 1.800 tys. mieszkańców, a więc nieco więcej od Warszawy. Podobnie jak stolica Polski, Kijów w czasie II wojny światowej został prawie doszczętnie zniszczony. Natomiast różnił się od Warszawy bardziej jednostajną zabudową. Przeważały domy o wysokości 8-9 kondygnacji, wykładane płytkami ceramicznymi koloru żółtego. Drugim kolorem dominującym w mieście była niewątpliwie zieleń, gdyż miasto jest pełne parków, skwerów - ponoć posiada najwięcej terenów zielonych, licząc na 1 mieszkańca, z pośród dużych miast na świecie.

W trakcie autokarowej wycieczki zwiedziliśmy główną ulicę Kreszczatik; zabytkowy zespół klasztorno-cerkiewny Ławry Peczerskiej z XI wieku; muzeum sztuki ludowej, prezentującej zwłaszcza ceramikę, samodziały i wyroby z drewna; a także centrum miasta z licznymi pomnikami. W ogóle tych pomników Kijów posiadał ponoć również najwięcej na świecie. A najważniejsze z nich to pomniki Tarasa Szewczenki, narodowego poety w XIX wieku, i Bohdana Chmielnickiego, który połączył Ukrainę z Rosją w 1654r. Zwiedziliśmy też centralny stadion sportowy "Kijów-Dynamo" na 105 tysięcy widzów. Wybudowany w 1941 r., miał być oddany do użytku akurat w dniu 22 czerwca 1941 roku, gdy Niemcy uderzyły na Rosję.



Maciek przed stadionem „Kijów-Dynamo”

W czasie wojny Niemcy zorganizowali na stadionie mecz piłkarski zawodników kijowskiego Dynama ze swą najlepszą reprezentacją Luftwaffe. Gdy do przerwy wynik był 3:1 dla Dynama, powiedziano ukraińskim zawodnikom, że jeśli Luftwaffe nie wygra, to zostaną oni rozstrzelani. Dowiedziała się o tym publiczność na stadionie i wszyscy drugą połowę meczu oglądali na stojąco i w absolutnej ciszy. Dynamo wygrało 5:3 i faktycznie jego zawodnicy zostali wtedy aresztowani. Na otwarciu stadionu w 1946 r., po powojennej odbudowie, zaproszono wszystkich tych, którzy posiadali bilety na ten pierwszy, planowany w 1941 roku, mecz piłkarski. Od 1970 roku, nieliczni żyjący z pośród nich, mieli wolny, bezpłatny wstęp na wszelkie imprezy na stadionie.

Kijów posiadał w 1973 roku jedną 20-kilometrową linię metra. Zjeżdżaliśmy do niego dwoma bardzo długimi schodami ruchomymi, a w przejeździe do lewobrzeżnej części miasta, dzielnicy Darnicy, kolej nagle wyjechała z tunelu na most na Dnieprze i dalej poruszała się na nasytach i estakadach nad powierzchnią ziemi. Bo prawy brzeg to płaskowyz, a lewy stanowi piaszczysta nizina. Po Dnieprze także odbyliśmy niewielką wycieczkę statkiem rzeczny, przejeżdżając pod pięcioma kijowskimi mostami, jakie łączyły oba brzegi rzeki, szerokiej na 400 metrów.

Wieczorem siostra kupiła w sklepie piekarniczym, znajdującym się obok naszego hotelu, bardzo tani torcik wielkości małego talerza. Okazał się również smaczny, więc zjedliśmy go niezwłocznie, zapijając "szampanskoje". Naszym wzorem uczyniła tak też cała reszta polskiej grupy wycieczkowej, wykupując wszystkie torty w tej piekarni.

Ostatni dzień wycieczki przebiegał pod znakiem zakupów. Akurat aura ku temu była bardzo sprzyjająca, gdyż padał ulewny deszcz. My, w pelerynach i pod parasolami, wybraliśmy się do największego w Kijowie domu towarowego "Ukraina": 5 kondygnacji, 200 metrów długości. Jako "bankier" rodziny miałem jeszcze nieco ponad 100 rubli, to jest równowartość 1.700 złotych polskich według oficjalnej taryfy, a faktycznie ponad dwa razy więcej. Wydaliśmy z przyjemnością całą tę kwotę, zakupując: aparat fotograficzny "Zenit", żelazko z nawilżaczem, elektryczną szczotkę z odkurzaczem, maszynkę do golenia, magnetyczne szachy, lampkę bateryjną, różne szkatułki ozdobne, perfumki i walizkę na to wszystko.

Stoiska były samoobsługowe, więc zakupy czyniło się łatwo, choć pewnym utrudnieniem był brak koszyczków i trzeba było towar trzymać w rękach. Natomiast w kilku przypadkach mieliśmy trudności z zapłatą należności, gdyż nie mogliśmy znaleźć właściwych kas. U nas na ogół wszystko to wyglądało w 1973 r. akurat odwrotnie. Wieczorem odjazd z Kijowa pociągiem do Warszawy, w sypialnych wagonach. W Brześciu nad Bugiem byliśmy około godziny 10-tej rano 17 sierpnia, w Warszawie o 15-tej, a w Krakowie dopiero o 22-giej. W ten sposób po 15 dniach, licząc z przejazdami, zakończyliśmy swą trzecią, pełną wrażeń, rodzinną wycieczkę zagraniczną.

Już na drugi dzień po powrocie z wycieczki Moskwa-Krym-Kijów poszedłem do biura, mimo iż była to sobota i miałem jeszcze urlop w tym dniu. Chodziło mi o to, żeby zapoznać się z wszystkimi sprawami i problemami, jakie miały miejsce w pracowni PW-2 w czasie mojej nieobecności. Przeglądałem też całą zaległą korespondencję i zabrałem ją do domu, by przygotować odpowiedzi czy informacje. Za to od poniedziałku funkcjonowałem już w pracowni tak, jakbym w ogóle nie był na urlopie.

W biurze zastałem kilka zleceń inwestorskich na opracowanie nowych poważnych dokumentacji projektowych. Dotyczyły one, między innymi, budowy wytwórni prefabrykatów wielkopłytowych. Mianowicie we wczesnych latach siedemdziesiątych budownictwo mieszkaniowe w Polsce wchodziło szybko w epokę technologii wielkopłytowych. Miały one umożliwić sprostanie ambitnym planom budowy po 300 tysięcy mieszkań rocznie w skali kraju. Wyliczono bowiem, że dopiero wtedy realnym będzie realizacja

ogólnonarodowego hasła: "Własne mieszkanie dla każdej rodziny".

Wcześniej niezbędna była budowa odpowiednich zakładów zamkniętych i poligonowych dla masowej, przemysłowej produkcji prefabrykatów wielkopłytowych. Również nasze biuro, także moja pracownia, miała w tym swój udział. W okresie kilku lat wykonaliśmy dokumentację projektową na budowę Wytwórni Prefabrykatów WUFT przy ul. Dobrego Pasterza w Krakowie oraz wytwórnie poligonowe w Rajsku, Chrzanowie, Kobierzynie i Tarnowie. W ogóle pierwsza wielka fabryka domów w Polsce uruchomiona została w Warszawie 19 września 1972 roku.

Totalna prefabrykacja objęła też budynki użyteczności publicznej. W tym czasie otrzymaliśmy, między innymi, zlecenie na adaptacje dokumentacji projektowej dla kolejnych trzech pawilonów handlowo-usługowych, importowanych z NRD dla Krakowa. Ja sam w okresie do końca 1973 roku opracowałem projekty zagospodarowania przestrzennego i adaptację rysunków roboczych dla dwóch kolejnych pawilonów, zlokalizowanych na osiedlu "Lotnisko" w Nowej Hucie i "Przy Bramie Hił". Oba z przeznaczeniem na supermarkety, o kubaturze 4.200 i 3.000 m³. Adaptację dokumentacji projektowej dla trzeciego pawilonu, zlokalizowanego przy Alei Pokoju, wykonał A. Ścigalski.

Z urlopowych wojaży przywoziłem prawie 300 zdjęć, kolorowych przeźroczy. Dałem je do wywołania, a potem ich oprawa w ramki i ponumerowanie zajęło mi kilka wieczorów. A kilka dalszych poświęciliśmy rodzinie na przeglądnięcie tych zdjęć. Zakupiłem w tym celu duży diaskop, to jest aparat do wyświetlania przeźroczy i specjalny rozwijany ekran wraz ze stojakiem.

Od września Grześ zaczął uczęszczać już do piątej klasy szkoły podstawowej, a Maciek do siódmej, kontynuując równocześnie naukę języka francuskiego na kursie III stopnia w "Pałacu pod Baranami" w Rynku Głównym. Podobnie jak dotąd nauka nie sprawiała im większych trudności czy problemów.

W jedną niedzielę września spotkaliśmy się z mą siostrą i jej mężem w Katowicach. Byliśmy w takim samym składzie jak na wycieczce w ZSRR, to znaczy ja z Kasią zabraliśmy obu naszych synów. Ich dzieci: Janusz, młody żonkoś, i Grażyna, dorosła pannica, oczywiście z rodzicami na urlopy i wczasy nie chcieli już jeździć. Za to oni oboje, za przyczyną bardzo udanej wycieczki do ZSRR, zarazili się, naszym przykładem, bakcylem zagranicznych wojaży i od tego czasu prawie co roku spędzali część swych urlopów za granicą. To spotkanie w Katowicach, przy pięknej, słonecznej pogodzie, to była taka mała jednodniowa krajowa reminiscencja naszych wspólnych zagranicznych wczasów.



Maciek przed katowickim „Spodkiem”



Ze szwagrem w Katowicach

Katowice zwiedzaliśmy z zainteresowaniem, gdyż to duże miasto w tamtych latach intensywnie się rozbudowywało. Śródmieście wypełniło się szeregiem nowych wieżowców, wybudowany został kolejny duży dom towarowy i przyśpieszono gruntowną przebudowę centralnego dworca kolejowego. Wielka hala widowiskowo-sportowa na około

10 tys. widzów, tak zwany "Spodek", usytuowana w centrum miasta naprzeciwko Pomnika Powstańców Śląskich, została już oddana do użytku i aktualnie odbywały się tam występy Zespołu Pieśni i Tańca im. Aleksandrowa.

Na początku lat siedemdziesiątych zapanowała moda na serwowanie przez Polską Telewizję długich seriali rodzimej produkcji. Po historycznych "Pan Wołodyjowski" i

"Potop" wyświetlane były seriale o tematyce aktualnej, między innymi "Czterdzieściolatek", a później "Dyrektorzy". Te ostatnie były już w kolorze. Wszystkie one miały bardzo duże powodzenie i podczas premierowych emisji dosłownie pustoszały ulice, gdyż ludzie gromadzili się przed swymi domowymi kinami. Faktycznie był to okres czasu, gdy telewizja w widoczny i natrętny sposób wkraczała w życie przeciętnych obywateli. Nie sposób było nie oglądać takich audycji jak np. czwartkowe "Kobry", niedzielne "Teatry TV", wywiadów, prowadzonych z ciekawymi ludźmi przez Irenę Dziedzic, "Spotkań z piosenką" Lucjana Kydryńskiego, relacji z festiwali w Sopocie i Opolu i szeregu innych.

To też co dziennie traciliśmy coraz więcej czasu przed szklanym ekranem. Dotyczyło to również całej mej rodziny, a ponieważ było nas czworo, to niekiedy występowały różnice zdań co do korzystania z pierwszego czy drugiego programu. Na szczęście więcej programów wtedy polska TV nie nadawała. Dylemat ten rozwiązałem jednakże w prosty sposób, zakupując drugi przenośny telewizor "Junost" z małym, bodaj 9-calowym ekranem. Oczywiście był to telewizor czarno-biały, kolorowych małych odborników na naszym rynku jeszcze chyba wtedy nie było.

Szybki rozwój telewizji w sposób oczywisty wpłynął na życie publiczne i zachowania społeczne obywateli. Przykuwając ludzi do domowych ekranów, odciągała ich ona wyraźnie od różnych innych form życia społecznego. Zaczęła szybko spadać frekwencja w kinach i teatrach, i zaczęły zanikać, dotąd szeroko praktykowane, różnego rodzaju spotkania, imprezy, filmy organizowane w zakładach pracy i tp. W moim biurze już nie wyświetlano filmów animowanych dla dzieci pracowników, miały one bowiem kina w swych własnych mieszkaniach. Ostały się tylko większe okazjonalne imprezy, jak akademie "ku czci" i bale taneczne. Taki właśnie bal zorganizowany został w moim biurze, z okazji 20-lecia jego powstania, w ostatnią sobotę października. Wziąłem w nim udział wraz z żoną, która miała okazję zapoznać mych współpracowników biurowych. Bal odbył się w pięknych salach Klubu Oficerskiego przy ul. Bitwy pod Lenino, był bardzo okazały i trwał całą noc.

Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy znów bardzo rodzinnie. To znaczy przyjechali do nas, do Krakowa, rodzina mej siostry Haliny wraz z synową, oraz ciocia Nela. Było nas więc razem dziesięcioro i znów czas wolny od konsumpcji i domowych dyskursów wykorzystywaliśmy przede wszystkim na spacer. Tym razem głównym ich teatrem był Zamek i Wzgórze Wawelskie. A głównym tłem dla zdjęć pamiątkowych był wielki, żelazny, uskrzydłony smok, autorstwa znanego rzeźbiarza krakowskiego J. Chromego, jaki od kilku miesięcy straszyl swym wyglądem spacerowiczów pod murami wawelskiego zamku.

W geopolityce w 1973 roku zdarzenia pozytywne i pokojowe dość równomiernie przeplatały się z tragediami i wojnami. Ostatecznie w lutym USA wycofały swe wojska z wojny wietnamskiej, ale trwała ona tam dalej jako wojna Północy z Południem. Dwa wojskowe zamachy ustrojowe: republikański w Afganistanie w lipcu zlikwidował władzę króla, zaś wrześniowy pucz gen. Pinocheta w Chile usunął (także fizycznie) panującego prezydenta Allende. W październiku rozgorzała czwarta wojna arabsko-izraelska, tym razem wszczęta przez Syrię i Egipt z zamiarem odbicia Półwyspu Synaj i Wzgórz Golan, co się jednakże nie udało

TELEWIZYJNA WYTWÓRNI FILMOWA

Generalny projektant * Targi Lipskie * Koncepcja TWF * Mangalia - Albena * Makieta TWF * Trójmiasto * Projekt techniczny

W dniu 1 stycznia 1974 roku Prezydent Miasta Krakowa i Przewodniczący Komitetu ds. Radia i Telewizji zawarli umowę o wspólnej realizacji, wyposażeniu i uruchomieniu Telewizyjnej Wytwórni Filmowej w Krakowie. Obie umawiające się strony uzgodniły, że władze Krakowa zabezpieczą lokalizację wspólnej inwestycji i sfinansują roboty budowlane, natomiast KRiTV przygotuje program i dokumentację techniczną budowy oraz poniesie koszty zakupu i montażu całego wyposażenia technologicznego. Inwestorem bezpośrednim z ramienia Urzędu m. Krakowa wyznaczona została Dyrekcja Rozbudowy Miasta Krakowa I, gdyż budowa TWF zlokalizowana została w Łęgu-Czyżynach, to jest w jej zasięgu terytorialnym. Natomiast KRiTV w Warszawie scedował część swych obowiązków koordynacyjnych, związanych z nową inwestycją, na Krakowski Ośrodek Telewizyjny.

Trzeba przypomnieć, że zamiar budowy realizacji nowej dużej inwestycji TV w Krakowie przypaść w okresie bardzo burzliwego rozwoju TVP i poważnej rozbudowy jej bazy produkcyjnej w Polsce. Szybko wzrastała produkcja i emisja programów telewizyjnych i trwała równoczesna rozbudowa i budowa kilku nowych regionalnych ośrodków TVP. W tym zakresie idealnie współgrały ze sobą hasła i dyrektywy najwyższych władz państwowych o przyspieszonym rozwoju kraju i menedżerskie talenty aktualnego Prezesa KRiTV Macieja Szczepańskiego.

Jednakże rychło okazało się, iż KRiTV nie ma już mocy produkcyjnych w swym własnym Biurze Studiów i Projektów RiTV na opracowanie dokumentacji projektowej na budowę kolejnej, nowej inwestycji w Krakowie. Zaproponowano więc, by jej opracowanie zlecić do jakiegoś większego krakowskiego biura projektowego. Faktycznie zlecenie to trafiło wkrótce, w lutym, bezpośrednio i imiennie do mnie. Po zapoznaniu się z programem inwestycji, zgodziłem się na podjęcie tematu i na przejęcie funkcji generalnego projektanta Telewizyjnej Wytwórni Filmowej w Krakowie, która jak się wnet okazało, stała się mym "tematem życia", używając projektanckiego żargonu.

Jako architekt miałem zająć się stworzeniem wizji architektonicznej i funkcjonalnej nowego obiektu, a jako kierownik pracowni koordynacją opracowania całej skomplikowanej dokumentacji projektowej. Rozwahałem wtedy ewentualną rezygnację z funkcji kierownika pracowni i zajęcia się wyłącznie pracami projektowymi, ale moja pracownia PW-2 funkcjonowała sprawnie i ostatecznie, za radą dyrektora biura, pozostałem kierownikiem pracowni na 3/4 etatu. Na bezpośrednie projektowanie miałem więc, formalnie biorąc 1/4 etatu i ... czas wolny od pracy.

Jak zwykle swe prace projektowe rozpocząłem od zapoznania się z problematyką i technologią produkcji telewizyjnej. Przede wszystkim zwiedziłem Krakowski Ośrodek TV. Otrzymałem stałą przepustkę na wejście do Ośrodka, miałem dostęp do wszelkiej dokumentacji projektowej, możliwość podglądu organizacji audycji TV, a kierownicy poszczególnych działów i warsztatów wtajemniczali mnie w arkana swej profesji. Otrzymałem w tym zakresie pełne wsparcie ze strony Dyrektora OTV Zbigniewa Skubackowskiego i pomoc ze strony energicznych i przesympatycznych Danuty Zapałowej i Teresy Nowak z Wydziału Inwestycji.

W marcu moje biuro zorganizowało kilkudniową wycieczkę autokarową do NRD na Targi Lipskie i do Drezna. Oczywiście wziąłem w niej udział. Kilka razy byłem na Mię-

dzynarodowych Targach w Poznaniu, spodziewałem się więc, że Targi Lipskie będą równie ciekawe. Faktycznie organizowane były na bodaj jeszcze większą skalę, niż poznańskie. Zapamiętałem zwłaszcza największe eksponaty, jakimi były gigantyczna



Targi Lipskie 1974 r.

gąsienicowa koparka czerpakowa dla kopalń węgla brunatnego oraz wielkie dźwigi i wywrotki na podwoziach kołowych, w których koła były znacznie większe od człowieka. W polskim pawilonie specjalnie okazałe prezentowały się stoiska z artykułami produkcji rolniczej, "Polmosu" i "Cepelii". Ale ja najwięcej czasu poświęciłem na zdobywaniu prospektów i oglądaniu urządzeń klimatyzacyjnych, a to w aspekcie ich zastosowania w projektowanej przeze mnie TWF.

Nasza wycieczka wiodła w ogóle przez trzy duże miasta: Lipsk, Halle i Drezno. Lipsk to 600 tys. miasto, wielki wszechstronny ośrodek przemysłowy, handlowy, naukowy i kulturalny. Zwiedziliśmy prócz Targów także centrum miasta i niedaleki monumentalny, prawie 100-metrowej wysokości, Pomnik Bitwy Narodów, który wzniesiony został w stulecie zwycięstwa koalicji Austrii, Prus i Rosji nad francuskimi armiami Napoleona I w 1813 roku.

O połowę mniejsze Halle to przede wszystkim wielki ośrodek przemysłowy, centrum górnictwa odkrywkowego węgla brunatnego. Miasto wyróżniało się bardzo nowoczesną, wysokościową zabudową swego śródmieścia. Na końcu, w drodze powrotnej do kraju, zwiedziliśmy Drezno nad Łabą. To ponad półmilionowe miasto pełne jest muzeów, pałaców i kościołów. Było ich w tej dawnej stolicy Królestwa Saksonii więcej, lecz zburzone w kwietniu 1945 roku w jednym dywanowym nalocie bombowców amerykańskich, nie zostały jeszcze do 1974 r. odbudowane. Najwspanialej prezentował się słynny Zwinger - zespół pałacowy z galerią malarstwa barokowego, zbiorami sztuki, zegarów i in. Zwiedziliśmy też jakieś muzeum z przebiegłymi zbiorami ceramiki oraz Drezdeńską Galerię malarstwa europejskiego m. in. z obrazem "Madonna Sykstyńska" Rafaela.



Jeden z licznych pałaców drezdeńskich

Z pobytu w Dreźnie zapamiętałem jeszcze kolacyjkę, jaką raczyłem się na jednej z centralnych ulic miasta. Mianowicie bardzo popularne były wówczas (są zapewne i dzisiaj) uliczne stoiska, sprzedające gorące kielbaski z musztardą i bułką. Tyle, że te porcje białej kielbasy były ogromne, miały chyba powyżej ćwierci kilograma wagi.

Za niewiele dni miałem możliwość dodatkowo ocenić wagę tych drezdeńskich "kielbasek", kupując porcję rodzimej, smażonej kielbasy na stoisku karczmy z Jeleśni, urządzonym na krakowskich Błoniach z okazji święta "Gazety Krakowskiej". W ogóle, w Krakowie w okresie wiosenno-letnim 1974 r. wiele się działo. Wszelkie obchody, jak właśnie wydawnictwa "Gazety Krakowskiej", juwenalia, Dni Krakowa czy "Wianki" urządzane były z rozmachem, głównie za sprawą jubileuszowego XXX-lecia Polski Ludowej. Z początkiem czerwca zorganizowany został również zlot harcerski dzielnicy "Krowodrza". Wzięli w nim udział obaj nasi synowie. Głównym punktem zlotu była paradna defilada ulicą 3-Maja wszystkich zastępów harcerskich dzielnicy. Potem my, rodzice,



Grześ i wigwamy na Błoniach Krakowskich
larnych w Łodzi i Centralnego Ośrodka TV w Warszawie.

możliśmy zwiedzać miasteczko wigwamów na Błoniach i oglądać różne pomniejsze imprezy i zawody organizowane w ramach zlotu.

Ja po kilku dniach pojechałem na 3-dniową delegację, związaną z opracowywaniem przeze mnie projektem TWF, do Łodzi i Warszawy. Pojechały też ze mną obie panie z Wydziału Inwestycji OTV, które przygotowały i załatwiały wszystkie sprawy związane z programem tegoż wyjazdu. A chodziło o zwiedzenie przeze mnie i zapoznanie się z rozwiązaniami architektonicznymi i technologicznymi Wytwórni Filmów Fabularnych w Warszawie.

W Warszawie zdążyłem jeszcze zauważyć prowadzone tam na wielką skalę budowy Centralnego Dworca Kolejowego, Trasy Łazienkowskiej z mostem przez Wisłę i Wisłostrady. Wszystko to znajdowało się w końcowej fazie robót i wkrótce, w lipcu na XXX-lecie PRL, część z tych inwestycji oddana została do użytku.

Po skończeniu roku szkolnego obaj nasi synowie wyjechali, staraniem Kasi, na 2-tygodniowe kolonie letnie do Nowego Targu. Żona dbała o to, aby chłopcy, obok komfortu troski rodzicielskiej, poznali również smak przebywania w środowisku rówieśników i uczyli się karności, dyscypliny i porządku, jakie zwykle na obozach i koloniach dla młodzieży panowały. Było to dla nich już trzecie takie doświadczenie życiowe bez "parasola" rodzicielskiego, po prewatoriach na Dolnym Śląsku i obozie harcerskim w Bieszczadach. Jak z listów ich wynikało, to dawali sobie doskonale radę, a najwięcej to grali w kometkę i w ping-ponga, w którym się wyspecjalizowali. Grześ dodatkowo fascynował się samolotami i szybowcami na sportowym lotnisku miejscowego aeroklubu i marzyło mu się wtedy, że zostanie pilotem.

Ja w tym czasie pojechałem do Kopenhagi w ramach służbowej delegacji Komitetu RiTV. Było nas czterech wycieczkowiczów, trzej pozostali to projektanci z Biura Projektów KRiTV: dwóch technologów kol.kol. J. Skrzypek i T. Torbus, pracujących dla TWF w Krakowie i architekt, projektant Ośrodka TVP w Gdańsku. Celem delegacji było zapoznanie się z rozwiązaniami obiektów i organizacją Duńskiej Telewizji Państwowej w Kopenhadze.

Polecieliśmy w dniu 1 lipca rejsowym samolotem "LOT"-u na okres jednego tygodnia. Po godzinie z minutami od startu w Warszawie byliśmy już na lotnisku Kastrup pod Kopenhagą. Wówczas było to jedno z najnowocześniejszych lotnisk w Europie, wyposażone w tzw. "tubusy" ewakuacyjne dla pasażerów. Wszystko na miejscu było już przygotowane, od zakwaterowania w hotelu, po oficjalne przyjęcie nas przez dyrekcję duńskiego odpowiednika polskiego Komitetu RiTV i umożliwienie nam zapoznania się z obiektami, organizacją oraz pracą tamtejszego ośrodka TV.

Zakwaterowaliśmy w hotelu, adaptowanym w kilku zabytkowych kamieniczkach mieszkalnych w centrum miasta. W kosztach hotelu mieliśmy już "szwedzkie" śniadania, natomiast obiady spożywaliśmy głównie w stołówce ośrodka, dwa czy trzy razy zresztą w ramach oficjalnego podejmowania nas przez dyrekcję TV. Kolacje najczęściej pitraliśmy sami w pokojach hotelowych, we własnym zakresie, korzystając z przywiezionego z Polski prowiantu. Nie mieliśmy bowiem nazbyt wielu duńskich koron, dysponując jedynie skromnymi dewizami "kieszonkowymi" (80 dolarów USA), otrzymanymi w Warszawie w ramach delegacji, a poza tym wszystko w Danii wydawało nam się bardzo drogie. Większość czasu przebywaliśmy w obiektach duńskiej TV, jednak kilka popołu-

dni i dwa pełne dni poświęciliśmy na zwiedzanie Kopenhagi i wycieczkę nad cieśninę Sund.

Od początku naszego pobytu przydzielono nam pracownika TV, mówiącego biegle po niemiecku, gdyż w tym języku wszyscy się głównie porozumiewaliśmy. Dwóch z naszej czwórki znało ponad to język angielski, którym też z częścią tubylców można się było dogadać. Ten nasz cicerone udostępniał nam pomieszczenia i dokumentację projektową Ośrodka, służył wszelkimi informacjami i był zwykle tłumaczem w kontaktach z innymi pracownikami przedsiębiorstwa. W Danii istniał tylko jeden, niedawno ukończony, centralny państwowy Ośrodek TV, za to dysponował on aż ośmioma studiami nagrań, zresztą różnej wielkości.

Zakład znajdował się właściwie już na peryferiach miasta, wśród niskiej zabudowy mieszkaniowej i przy wylocie głównej autostrady w głąb wyspy Zelandii, na której stolica Danii się znajduje. Dojeżdżaliśmy doń autobusem i już w pierwszym dniu pobytu kupiliśmy tygodniową kartę przejazdów na określonej trasie.

Z naszym cicerone rozmawialiśmy głównie o sprawach branży telewizyjnej. Ale również o różnych innych duńskich sprawach i problemach. Na przykład pytałem go w jakim stopniu Kopenhaga uległa zniszczeniu w trakcie II wojny światowej. Usłyszałem w odpowiedzi, że w żadnym, za to bardzo poważnie miasto ucierpiało podczas zbombardowania go przez flotę angielską w1813 roku, w czasie wojen napoleońskich, gdyż Królestwo Duńskie było wtedy wiernym sojusznikiem Francji.

Pytaliśmy o problem mieszkań dla pracujących. Czynsze były bardzo wysokie, większość nowego budownictwa realizowana była przez specjalizowane spółdzielnie, których członkowie zaciągali indywidualne kredyty państwowe. Były one udzielane na 40 lat i na stosunkowo niskie oprocentowanie. Dominowała zasada, że członkowie spółdzielni mieszkaniowych świadczyli swą pracę na budowach. Nasz opiekun pokazywał swe spracowane ręce i mówił, że od roku wszystkie wolne dni, niedziele i urlopy, poświęca na pracę na swej budowie. Te kolonie spółdzielczych domków, często szeregowych i podobnych do siebie, wszędzie były widoczne.

W drugim, czy trzecim dniu naszego pobytu w Danii, gdy wchodziliśmy do hotelu, zaintrygowały nas głośnie okrzyki dochodzące z salki telewizyjnej, znajdującej się w suterrenach obiektu. To liczni turyści niemieccy, mieszkający w tym czasie w hotelu, dopingowali swą drużynę piłkarską w meczu z polską reprezentacją, rozgrywanym w Monachium w ramach mistrzostw świata w piłce nożnej. Również my zeszliśmy na dół do świetlicy, by wesprzeć ekipę Z. Górskiego. Faktycznie Lato, Szarmach, Deyna grali rewelacyjnie, Tomaszewski obronił nawet rzut karny, ale ostatecznie w ostatnich minutach gry, w ulewным deszczu, ulegliśmy 0:1 Niemcom. A turyści niemieccy ciesząc się ze swej wygranej, równocześnie głośno chwalili naszą grę na boisku. Ostatecznie polska reprezentacja zajęła doskonale trzecie miejsce w rozegranych w 1974 roku Mistrzostwach Świata w piłce nożnej.

W tym samym czasie żona gościła w krakowskim mieszkaniu kilkunastu pracowników swej firmy, którzy wprośli się na oglądanie meczu na kolorowym ekranie naszego "Rubina". Podobno dopingowali polską drużynę tak, jakby sami byli na trybunach stadionu w Monachium.

W kolejne popołudnie, w związku z padającym wciąż deszczem, wybraliśmy się do nieodległego muzeum "Louis Tussaud". Mieści się ono w starym, piętrowym, raczej niepozornym, budynku z czerwonej cegły. Natomiast zawartość muzeum okazała się niezwykle interesująca. Obejmuje galerię figur woskowych, drugą co do wielkości i znaczenia, po londyńskiej, na świecie. Składają się na nią setki modeli różnych historycznych, legendarnych i najświeższej daty, postaci świata polityki, nauki czy sztuki, wyglądających nadzwyczaj realistycznie. Wiele z nich sprawia rzeczywiście duże wrażenie na

oglądających, zwłaszcza, mrozące krew w żyłach, "gabinety okropności" z Frankensteinem, Draculą, Kaligulą itp. Mnie najbardziej utkwiła w pamięci wielka figura celtyckiego wojownika, stojącego przy wejściu do głównej ekspozycji w podziemiach budynku galerii. Przepasany skórą jakiegoś dzikiego zwierza, z rogami na głowie i okrwawionym toporem w rękę, a pod nim napis w kilku językach: "Pierwszy turysta angielski w Danii".

Przez jedno południe i wieczór zwiedzaliśmy wesołe miasteczko "Tivoli", położone w centrum miasta. Stłoczone jest na małej powierzchni, to też każdy jej metr kwadratowy wykorzystano starannie nad i pod ziemią. Na powierzchni różnorakie kolorowe karuzele, pawilony gastronomiczne, kwietniki, wodotryski, również jezioro z łódkami, a na nim wysepka z trzypiętrową pagodą chińską. Zaś pod ziemią groty z różnymi dziwami i rozświetlone salony gry z setkami automatów "jednorękiego bandyty", przy których wiekowe turystki niemieckie mocowały się ze swoim "szczęściem".



Pomnik byka na Placu Ratuszowym

Wyraźnie dla cudzoziemskich turystów przeznaczone były także liczne lokale "sex-porno-film". Prawie z obowiązku odwiedziliśmy jeden z nich, zadawałając się najtańszym filmem za 1 koronę, na zaciemnionej salce byliśmy zresztą jedynymi widzami.

W kolejne popołudnie odbyliśmy przejażdżkę jedną z płaskodennych, pasażerskich barek, jakie cumowały na przystani kanału, znajdującego się w odległości zaledwie kilkuset metrów od Placu Ratuszowego. Wyjaśniło się szybko, dlaczego nasz statek jest taki niski i bez żadnych nadbudówek. Przejeżdżaliśmy bowiem pod bardzo niskimi mostami śródmiejskich ulic. Dopiero po kilkunastu minutach barka wypłynęła na szersze wody kanału portowego, oddzielającego Zelandię od małej wyspy Amager, na której rozlokowała się zresztą jedna z dzielnic i międzynarodowe lotnisko Kopenhagi.

Następnego dnia dodatkowo zwiedziliśmy port pasażerski, u nabrzeży którego cumował w tym czasie duży elegancki statek "Europa". W głębi po przeciwnej stronie zatoki widoczne były dwa polskie statki przy nabrzeżu węglowym. Polska była od długich lat stałym dostawcą węgla dla duńskiej gospodarki i nasze rudowęglowce dowoziły go nieustannie do Kopenhagi w swych wahadłowych rejsach ze Szczecina. Tuż obok odkryliśmy, właściwie przypadkowo, pomnik duńskiej syrenki na głazie, wystającym z wody. Podobna do syreny warszawskiej, lecz nie tak wojownicza, bo bez miecza i tarczy, a także bez rybiego ogona.



W głębi port węglowy dla polskich statków

W jednym z ostatnich dni pobytu, zaraz po śniadaniu pojechaliliśmy elektrycznym pociągiem na północny skraj wyspy Zelandii. Było to całkiem niedaleko i za około 30 minut znaleźliśmy się w małym miasteczku rybackim Helsingør, nad cieśniną Sund, w

miejscu jej największego przewężenia. Widzieliśmy wyraźnie ład po szwedzkiej stronie cieśniny i zabudowę miasta Helsingborg, leżącego dokładnie naprzeciw nas w odległości około 6 kilometrów. Na morzu między obu brzegami widać było kilka promów, kursujących wahadłowo tam i z powrotem. Nie było to jedyne połączenie promowe między obu państwami, ale zdecydowanie najkrótsze i chyba też najbardziej ruchliwe.

Nad samym brzegiem morza na niewielkim wzgórzu znajdował się duży i okazały zamek, który był zresztą również celem naszej wycieczki. Otoczony był niewysokimi murami obronnymi z licznymi XVIII-wiecznymi armatami. Weszliśmy do zamku, by go zwiedzić i ... szok. Wnętrza sal i komnat stanowiły jedną wielką ruinę, ściany bez tynków, stropy bez posadzek. I tylko, wzdłuż wyznaczonej trasy zwiedzania, małe wmurowane tabliczki informowały, że: "Tu były boazerie mahoniowe i lustra w złożonych ramach", lub "Tu była posadzka mozaikowa z kolorowych marmurów" itp. A generalnie już przy wejściu do zamku informowano zwiedzających, że zamek obrabowany został doszczętnie na początku XVIII wieku przez Szwedów. My w Polsce też doświadczyliśmy dwóch "potopów" szwedzkich, jeden w połowie XVII, drugi z początkiem XVIII wieku, ale za każdym razem nasi przodkowie robili co mogli, by zniszczenia odbudować i odrestaurować. Natomiast Duńczycy z ruin zrobili sobie atrakcję turystyczną.

W ostatnich kilku dniach każdy z nas starał się wydać swe przyoszczędzone "kieszonkowe" korony i porobić jakieś zakupy. Ja nie miałem z tym większych problemów, bo nie posiadałem żadnych dodatkowych koron, a to co miałem kupić, to mi synowie napisali wcześniej na karteczkach. Kupiłem więc dla Mačka jakieś drobne akcesoria do roweru, a dla Grzesia kilka plastikowych samolocików do sklejania. Prócz tego kilka czekoladek, figurkę duńskiej syrenki i inne podobne drobiazgi.

Zdumiewał mnie często absolutny brak klientów w sklepach, tak odmienny od naszego krajobrazu handlowego. Z kolegą chodziłem do dużego sklepu z tapetami, był tam olbrzymi ich wybór, ale on chciał koniecznie jakąś określoną ceglana tapetę i właściciel specjalnie dla niego mu ją ściągał z hurtowni czy tym podobne. Byliśmy więc w tym sklepie kilka razy, ale zawsze nieodmiennie jako jedyni klienci.

Pierwszym moim zadaniem, po podjęciu się wykonania dokumentacji na budowę Telewizyjnej Wytwórni Filmowej w Krakowie, było opracowanie projektu koncepcyjnego przedsięwzięcia inwestycyjnego, czyli jego wstępnej wizji przestrzennej. Otrzymywałem coraz więcej materiałów i danych wyjściowych do projektowania. Były to: szkicowy program produkcyjny i funkcjonalny; ustalenie działki terenowej oraz dokonanie jej pomiaru geodezyjnego i badania gruntu; informacje przedsiębiorstw komunalnych odnośnie możliwości i warunków zasilenia inwestycji w energię elektryczną, wodę, gaz, odprowadzenia ścieków itp.

Dodatkowo inwestor proponował, by na terenie Wytwórni przewidzieć montaż dużego prefabrykowanego magazynu o wymiarach 60*24 m, który znajdował się w jego posiadaniu. Był to dar HiL, z przeznaczeniem właśnie dla tej inwestycji. Ponadto zdecydowano, że inwestycja będzie realizowana w dwóch etapach, przy czym należało przewidzieć możliwość jeszcze dalszej rozbudowy. Opierając się na tych wszystkich wytycznych i materiałach wyjściowych, w okresie od marca do czerwca opracowałem kilka szkicowych koncepcji TWF. Zmieniały się one nieustannie w wyniku kolejnych konsultacji i uzgodnień z KRiTV i równoczesnego uściślenia programu produkcyjno-funkcjonalnego oraz dopracowania branż projektowych.

Główne uzgodnienia dokonywałem w Biurze Inwestycyjnym KRiTV, gdzie prowadziłem długie konsultacje z technologami i dyrekcją Biura. Podczas jednej takiej debaty, w ferworze dyskusji, w trakcie picia kawy w telewizyjnej kawiarni, naszkicowałem na serwetce schemat proponowanego przeze mnie rozwiązania TWF w formie zblokowa-

nego prostokątnego obiektu z wewnętrznym patio, dzielącym obiekt na dwa etapy realizacyjne. W każdym z nich dominowały w środku hale zdjęciowe o wymiarach 36*30 i 24*30 metrów. I tak już faktycznie zostało. Potem, dyr. Leszek Piątkowski, przy każdej okazji, przypominał mi, zresztą z sympatią, że Telewizyjną Wytwórnę w Krakowie zaprojektowałem w kawiarni na papierowej serwetce.

Ostatecznie w lipcu, po powrocie z Kopenhagi, narodziła się szósta już wersja koncepcji, która obejmowała docelowe rozwiązanie Wytwórni jako obiektu o dwóch halach zdjęciowych o zróżnicowanej ich wielkości (1000 i 650 m²), przewidując jego realizację w dwu etapach. Według tej ostatniej koncepcji powierzchnia użytkowa TWF wynosiła 23 tys. m², a kubatura 150 tys. m³.

Po reprodukcji opracowanie to przelałem do formalnego zaopiniowania przez Komitet Radia i Telewizji w Warszawie i Urząd Miasta Krakowa, a sam wybrałem się, wraz z rodziną, na letni urlop wypoczynkowy "do ciepłych krajów".

W dniu 15 lipca 1974 r. pojechaliśmy, już po raz czwarty z "Turystą", na dwutygodniową turystyczną wycieczkę zagraniczną. Tym razem, też po raz czwarty, nad Morze Czarne, do Rumunii i Bułgarii. Podobnie jak w 1971 roku byliśmy w piątkę, gdyż znów towarzyszyła nam moja siostrzenica Grażyna z Wrocławia. Pojechaliśmy w wagonach sypialnych pociągiem pośpiesznym Warna-Expres, tranzytem przez Ukrainę. Podróż trwała ok. 27 godzin, wliczając zmianę, na stacjach granicznych ZSRR, podwozi wagonów z wąskotorowych na szerokotorowe i odwrotnie. Na stacji docelowej, to jest w rumuńskiej Mangalii znaleźliśmy się dopiero 17 lipca w godzinach porannych

Nasza grupa wycieczkowa liczyła znów około 40 osób i zakwaterowani zostaliśmy w pięciopiętrowym hotelu "Melodia" w kąpielisku Mangalia Wenus. Byliśmy już w Mangalii w 1970 roku, ale wówczas zamieszkiwaliśmy w kurorcie Jupiter, znajdującym się kilka kilometrów na północ od Wenus. Wenus i Jupiter były to jakby nowe dzielnice miasta Mangalia, położonego jeszcze bardziej na południe, a faktycznie nowe miejscowości turystyczno-wypoczynkowe, budowane wzdłuż wybrzeża morskiego w odstępach 2-3 kilometrów. Należały jeszcze do nich Saturn, Neptun i Olimp. Każdy z tych kurortów zabudowany był wyłącznie hotelami i obiektami handlowo-gastronomicznymi, na 8-12 tysięcy turystów, licząc z polami campingowymi. Wszystkimi zarządzał wielki państwowy koncern turystyczny Krajowe Biuro Turystyki "Litoral", jak to wcześniej opisałem. W czasie poprzedniej bytności w Jupiter zwiedziliśmy również Wenus, Neptun i Saturn. W międzyczasie ta planetarna rodzina rozrosła się jeszcze o kolejny kurort Olimp, usytuowany 3 kilometry za Neptunem. Gdy byliśmy w Jupiterze przed czterema laty, to z okien naszego hotelu widziałem daleko na horyzoncie jakieś jasne plamy w zielonej linii,

zakrzywionego nieco wybrzeża. Ale było za daleko, by dopatrzeć się jakichś szczegółów i budynków.

Teraz, po czterech latach, szosą wzdłuż wybrzeża, przez wszystkie Mangalie, jeździła elektryczna kolejka drogowa z kilkoma otwartymi wagonikami dla turystów. Postanowiliśmy skorzystać z niej i na drugi czy trzeci dzień pojechaliśmy do Jupitera i Neptuna, przypominając sobie te siostrzyce Mangalii. Lecz kolejka jechała jeszcze dalej, więc pojechaliśmy i my, i doświadczyliśmy szokującej przygody.

Zobaczyliśmy olbrzymi, czynny już, kompleks supernowoczesnych 7-9 kondygnacji



Grześ na tarasach Mangalii „Olimp”

cyjnych hoteli, pobudowanych tarasami na wysokim stoku brzegu morskiego. Wszystkie olśniewająco białe, połączone wzajemnie pergolami i galeriami, w głębi których usytuowane były bary, kawiarnie, sklepy, placiki z rzezbami i fontannami. U stóp hoteli, wśród bujnej zieleni, otwarte baseny kąpielowe o fantazyjnych kształtach, a przed nimi szeroka piaszczysta plaża i morze ze swymi falami i błękitem. Wszystko zapelnione tłumem kąpiących się i plażujących turystów. Z całą pewnością nie było wśród nich Polaków. Od tamtego czasu z uwagą oglądam foldery, widokówki, obrazy telewizyjne przeróżnych ekstrawaganckich hoteli Nicei, hiszpańskiego Costa del Sol, wysp Balearskich, Kanaryjskich i innych Hawajów, często bardzo eleganckich, ale zawsze mniej imponujących od rumuńskiego Olimpu.



W Mangalii „Wenus”. Ja, Grażynka i Maciek
kilometrów nad Czarne Morze?

Zgodnie z programem "Turysty" byliśmy na całodzienniej wycieczce w Konstancy i Mamai. Konstanca to największe miasto na rumuńskim wybrzeżu Morza Czarnego, liczyło wówczas prawie 200 tysięcy mieszkańców. Jest największym portem morskim i znaczącym ośrodkiem przemysłowym w Rumunii. Początki miasta łączy się z osadnictwem greckim w VI wieku p.n.e. Swoją nazwę otrzymało już w czasie panowania Rzymian w I wieku, gdy stanowiło duży ośrodek administracyjny prowincji. Z tego też okresu, i późniejszego panowania Bizancjum, w mieście jest wiele wykopalisk i ruin budowli, które zwiedzaliśmy. Zwiedzaliśmy również port rybacki, centrum miasta, muzeum oceanograficzne z wielkim akwariem, egzotyczne delfinarium, z amfiteatrem dla widzów, oraz secesyjne kasyno gry na bulwarze nadmorskim.

Później autokarem pojechaliśmy do Mamai, dużego i najstarszego rumuńskiego uzdrowiska nadmorskiego. Bardzo zostało ono rozbudowane po II wojnie światowej i właściwie stanowiło już chyba część Konstancy. Mamaia była ostatnią większą miejscowością na wybrzeżu rumuńskim, licząc od granicy z Bułgarią, odległej o 70 kilometrów. I tylko ten pas wybrzeża liczył się dla Rumunii gospodarczo i turystycznie. W kierunku północnym, aż do granicy z Mołdawią, jest wprawdzie jeszcze około 150 km wybrzeża rumuńskiego, ale tereny te stanowią głównie zatoki i jeziora limanowe oraz wielkie, bagienne rozlewiska delty Dunaju. I tam już turyści nie jeżdżą, a co najwyżej botanicy, ornitolodzy i myśliwi.

W drodze powrotnej zwiedziliśmy, ale tylko z okien autokaru, jeszcze jeden duży

Również w Mangalii Wenus przybyło kilka dużych, nowych hoteli, które przybliżyły ten kurort do Jupitera. Zgodnie z panującą ówczesnie modą architektoniczną, miały one kształty wielkich piramid, ze skrzydłami, opadającymi tarasami w dół. Posiadały też, zgodnie z panującą modą w budownictwie hotelowym, własne sztywne, otwarte baseny kąpielowe. W ten sposób goście hotelowi nie musieli chodzić 200-300 metrów na piaszczystą plażę, by się wykąpać w ciepłej, zielonkawej wodzie morskiej. Bardzo to miłe, tylko po co ci turyści jechali setki i tysiące



Maciek przed kasynem gry w Konstancy

zespół wypoczynkowo-turystyczny Eforie Nord i Eforie Sud. Położone w pasie wybrzeża, pomiędzy morzem a wewnętrznym jeziorem, ośrodki te dysponują też dziesiątkami sanatoriów, wykorzystujących lecznicze właściwości wód jeziora. A wszystkie obiekty obu kurortów wprost skrywały się w wielkim parku o przegobatej szacie roślinnej.

Te turystyczne wycieczki odbywały się częściowo nową autostradą, jaką Rumuni budowali wzdłuż całego swego turystycznego wybrzeża, poza wszystkimi miejscowościami nadmorskimi. Przy okazji zobaczyliśmy rumuńskie żniwa, o których rozpoczęciu dowiedziałem się zresztą kilka dni wcześniej z lokalnej gazety. Na pierwszej jej stronie był sążnisty artykuł, informujący o tym fakcie, i zdjęcie prezydenta Ceausescu, podającego rękę kierowcy, siedzącemu w kombajnie zbożowym. Podczas jazdy autokarem bacznie te żniwa obserwowałem. Na rozległych, ciągnących się po horyzont polach, nie było ani jednego człowieka. Natomiast co kilka kilometrów widziałem stada 4-8 czerwonych kombajnów żniwnych i kręcące się między nimi ciężarówki z przyczepami na ziarno. A za kombajnami pozostawały na ściernisku tylko rzędy kostek sprasowanej słomy. Nie widziałem żadnych kosiarek konnych czy traktorowych, snopowiązałek, wozów, snopków, tak charakterystycznych dla polskiego krajobrazu żniwnego.

Po tygodniowym pobycie w Rumunii cała nasza grupa wycieczkowa spakowała się i autokar powiózł nas do Bułgarii na drugą część turystycznej eskapady. Po około trzech godzinach, uwzględniając odprawę paszportowo-celną na granicy bułgarskiej, znaleźliśmy się w ośrodku wypoczynkowym Albena, odległym od Mangalii o sto kilka kilometrów. Albena była nieco młodszym kurortem niż Słoneczny Brzeg, w którym przebywaliśmy w 1971 roku, gdyż pierwsze hotele w Albanii wybudowano dopiero w 1968 roku. Tym nie mniej w czasie naszego pobytu funkcjonowało już tam prawie 40 hoteli na 10 tysięcy łóżek i duży plac campingowy na 1500 miejsc.

Ośrodek położony w kotlinie nad małą zatoką morską, otoczony był z trzech stron zalesionymi wzgórzami. Architektura hoteli bardzo nowoczesna, dominowały budynki tarasowe w kształcie trójkątów równoramiennych, lub prostokątnych. Moja rodzina została zakwaterowana w hotelu "Dobrotica" w skrajnych pokojach na piątym piętrze i dysponowaliśmy właśnie dużym tarasem nad niższą kondygnacją. Można się było na nim opalać na leżakach, nie wychodząc nawet na plażę. Ale raczej wychodziliśmy, bo Albena dysponowała wspaniałą, rozległą i szeroką plażą z drobnutkim żółto-popielatym piaskiem.

Nie było dużych fal w zatoce, może dlatego bardzo popularne były przejażdżki rowerami wodnymi, dużymi

łódkami motorowymi na kilkanaście osób, jazda na nartach wod-

nych za motorówką oraz inne gry i zabawy na wodzie. Chłopcy nasi byli w swym żywiole, mieli zresztą piłkę wodną i nadmuchiwane materace. Ja z Kasią i Grażyną woziliśmy się z przyjemnością na wodnych rowerach. Te przejażdżki pozwalały mi też na wykonywanie zdjęć fotograficznych panoramy Albanii od strony morza.

Zatoka była płytka, a boje, wyznaczające głębię, pływały w odległości setek metrów od



Stožki w Albanii



Maciek z Grzesiem na rowerze wodnym

brzegu. Na plaży stały długie szeregi kolorowych parasoli przeciwsłonecznych, urządzono tu też liczne natryski oraz brodziki dla małych dzieci. W sumie doskonałe warunki dla przebywających w tym ośrodku rodzin z małymi dziećmi.

Zgodnie z programem, znów jeden dzień przypadł na autokarową wycieczkę. Byliśmy w Warnie i Złotych Piaskach. Warną to 250-tysięczne miasto, trzecie co do wielkości w Bułgarii, z dużym portem, rozbudowanym przemysłem i bardzo bogatą historią. Występuje w niej znamienity wątek polski, któremu poświęcone jest duże mauzoleum, znajdujące się na peryferiach miasta. Mianowicie w 1444 roku na polach pod Warną odbyła się bitwa pomiędzy Turkami, którzy kilkadziesiąt lat wcześniej opanowali tereny dzisiejszej Bułgarii, a wojskami chrześcijańskimi wyprawy przeciwtureckiej, którymi dowodził król Polski i Węgier, syn Władysława Jagiełły, Władysław III Warneńczyk. Zginął on w tej bitwie. Mauzoleum, jakie zwiedziliśmy ma nad swym głównym, sklepionym wejściem wielki napis "Vladislao Varnensi", nad nim godło Korony, a po bokach godła Litwy i Węgier.

Również Warną, podobnie jak Konstanca, pełna jest zabytków z czasów rzymskich i bizantyjskich. Zwiedziliśmy ruiny rzymskich term i baszt obronnych oraz wielką bizantyjską cerkiew. Oglądaliśmy również dużą, bardzo oryginalną architektonicznie, halę widowiskową, dopiero co wybudowaną, w której z pośpiechem przygotowywano się do festiwalu taneczno-śpiewaczego "Warneńskie lato", jaki miał rozpocząć się za kilka dni.

Natomiast Złote Piaski bardzo przypominały nam rumuński kurort Eforie. Głównie ze względu na usytuowanie na stokach bogato zazielenionych wzgórz przybrzeżnych. Uzdrowisko to było wtedy chyba najbardziej znane poza granicami Bułgarii, jako jedno z najstarszych i posiadające wiele ekskluzywnych hoteli oraz szeroki wachlarz usług, również artystycznych. My też byliśmy przypadkowymi świadkami jakichś występów taneczno-muzycznych bułgarskiego zespołu folklorystycznego na jednym z placów Złotych Piasków. Wycieczka Rumunia - Bułgaria 30 lipca dobiegła końca i, tym razem autokarem, wróciliśmy do Polski. W Krakowie byliśmy dopiero w dniu 1 sierpnia w godzinach wczesnorannych.

Po powrocie ze słonecznego urlopu, przede wszystkim zainteresowałem się losami mojej koncepcji projektowej na budowę Telewizyjnej Wytwórni Filmowej w Krakowie. Została ona wkrótce rozpatrzona przez warszawskiego inwestora, to jest Komitet d/s Radia i Telewizji, oraz przez Wydział Architektury Urzędu Miejskiego m. Krakowa. Przez obu decydentów inwestycyjnych koncepcja została przyjęta pozytywnie z niewielkimi tylko uwagami programowymi i lokalizacyjnymi. Można było przystępować do opracowywania kolejnej fazy projektowej, czyli założeń techniczno-ekonomicznych inwestycji. Przygotowałem umowę na ich opracowanie przez moje Krakowskie Biuro Projektowo-Badawcze Budownictwa Ogólnego (jak się od kilku lat, po kolejnej rozbudowie, nazywało), z terminem ukończenia i dostarczenia ZTE zleceniodawcy w marcu 1975 roku.

Termin umowy był dość odległy, ale też przedsięwzięcie inwestycyjne było duże i skomplikowane. W zakres umowy wchodziły również założenia technologiczno-funkcjonalne, które opracowywało warszawskie Biuro Studiów i Projektów Komitetu RiTV. Głównymi moimi partnerami w tym biurze byli właśnie obaj projektanci technodolży telewizyjni, z którymi byłem na delegacji służbowej w Kopenhadze. Szereg rzeczy uzgodniliśmy zresztą już w czasie tej delegacji.

Inne tematy projektowe kontynuowane były w pracowni PW-2 bez większych komplikacji. Niektórzy byli jeszcze na urloпах pracowniczych, zaś ci, którzy z urlopów już wrócili, ochoczo kończyli stare lub zaczynali nowe tematy projektowe. A roboty było dużo, zwłaszcza związanych z projektowaniem pawilonów handlowych, szkół, żłobków itp. na nowych osiedlach krakowskich. Również dla tych tematów musiałem opracować

stosowne umowy dla inwestorów.

Trwały wakacje szkolne, Kasia miała jeszcze dwa tygodnie urlopu do wykorzystania, więc zabrała chłopców i 18 sierpnia pojechali pociągiem na ostatni w sezonie wakacyjnym dwutygodniowy turnus wczasowy do Unieścia. Po wędrownkach po czarnomorskich kurortach, pojechali dla odmiany do małej "dziury", schowanej za Mielnem na przesmyku między Bałtykiem i jeziorem Jamno. Woda, piasek na plaży i niebo nawet były tam podobne jak w Bułgarii, lecz niestety przez kilka pierwszych dni turnusu wiał zimny, porywisty wiatr i trzeba było chodzić w sweterkach, zaś na plaży spacerowały tylko mewy. Wietrzne warunki sprzyjały jedynie puszczeniu samolotu-latawca, takiego samego, jaki Grześ miał dwa lata wcześniej w Świnoujściu.

Na szczęście po kilku dniach zaświeciło słońce, zrobiło się bardzo ciepło, morze uspokoiło się i wszyscy turyści Unieścia wyszli na plażę ze swymi leżakami, a co odważniejsi zażywali kąpeli. Należał do nich zwłaszcza Grzesiek, który normalnie w wodzie czuł się jak przysłowiowa "ryba".

Rodzinka moja nie zaniedbała też okazji do zwiedzenia pobliskiego rybackiego portu Darłowo oraz dwu większych miast Koszalina i Kołobrzegu. W drodze powrotnej bardzo się spieszyli i załatwili sobie przelot sezonowym samolotem z Kołobrzegu do Krakowa. Po powrocie chwalili sobie spokojny i jodowy pobyt nad rodzimym Bałtykiem. Nie mieli jednakże zbyt wiele czasu na relacje ze swych wywczasów, gdyż na drugi dzień, po powrocie, Kasia poszła do pracy, a synowie do szkoły: Maciek już do ósmej klasy, Grzegorz do szóstej.

Ja ten wakacyjny jeszcze, dla mej rodziny, okres wykorzystałem oczywiście do pracy. Zacząłem rysować podkłady architektoniczne projektowanych obiektów TWF, nie czekając na całkowite ukończenie pełnych wytycznych technologicznych przez warszawskich projektantów. Ustaliłem z nimi zresztą w Kopenhadze, że będziemy pracować równolegle, konsultując się wzajemnie na bieżąco. Polegało to na tym, że jeździłem co kilka tygodni do warszawskiego biura ze swoimi aktualnymi rysunkami i tam, kolejno z poszczególnymi technologami, uzgadniałem wszelkie problemy projektowe. Niekiedy konsultacje te odbywały się w obecności dyr. Piątkowskiego, lub nawet w jego gabinecie, gdzie zapadały wiążące decyzje, dotyczące organizacji i struktury Wytwórni, rodzaju zastosowanego sprzętu TV, importu wyposażenia itp.

Te wyjazdy były dla mnie dość uciążliwe. Jechałem, skoro świt, do Warszawy pociągiem ekspresowym i od razu tramwajem na ul. Woronicza. Tam już na mnie czekali z materiałami i natychmiast rozpoczynały się konkretne uzgodnienia. Przechodziłem z pracowni do pracowni, bywało, że kontynuowałem konsultacje także w czasie obiadu w stołówce ośrodka TVP. Wracałem w tym samym dniu do Krakowa ostatnim ekspresem. Niekiedy, by zdążyć, odwożono mnie samochodem służbowym na Dworzec Centralny. Te bieżące robocze konsultacje były jednakże bardzo celowe i materializowały się w szybkim postępie prac projektowych.

Generalnie program inwestycji obejmował docelowo budowę wytwórni filmowej do produkcji w zamkniętym cyklu technologicznym około 148 godzin różnych materiałów filmowych, w tym 45 godzin filmu fabularnego i estradowego. Cała produkcja dotyczyła filmów i materiałów filmowych barwnych oraz telewizji kolorowej. Wytwórnia miała posiadać wszystkie konieczne do samo dzielnej działalności wydziały produkcyjne, a między innymi wydziały udźwiękowienia i synchronizacji oraz obróbki taśmy filmowej. Przewidywano również stosowanie magnetycznego zapisu obrazu, co zresztą zawarto w tytule inwestycji: Telewizyjna Wytwórnia Filmowa. Ustalono, że wytwórnia stanowić będzie dwuhalowy zespół o zróżnicowanych wielkościach hal zdjęciowych.

Z uwagi na wielkość inwestycji i możliwości finansowania, podzielono jej realizację

na dwa podstawowe etapy, z których każdy miał stanowić oddzielne przedsięwzięcie inwestycyjne. I etap obejmował halę zdjęciową 30*36 m oraz wszystkie niezbędne do jej pracy wydziały, za wyjątkiem wydziałów dźwięku i obróbki taśmy, a także większą część infrastruktury komunikacyjnej i uzbrojenia terenu.

Etap II objął halę zdjęciową 24*30 m wraz z odpowiednim zapleczem produkcyjnym, budynkiem biurowym i budynkiem wydziału dźwięku i obróbki taśmy. Celem zapewnienia pełnosprawnej produkcji filmowej po ukończeniu budowy I etapu Wytwórni, dokonano w projektach dla tego etapu pewnych adaptacji funkcjonalnych, zabezpieczających obsługę produkcji w zakresie nagrań dźwiękowych, prac krawieckich, magazynowania kostiumów itp., na okres do czasu ukończenia realizacji II etapu. Realizacja I etapu miała umożliwić osiągnięcie zdolności produkcyjnych w skali roku w wysokości 18 godzin filmu fabularnego i estradowego, 23 godzin innych samodzielnych form filmowych oraz 80 godzin materiałów filmowych, jako usług dla OTV. Czyli łącznie 121 godzin emisji.

Po około dwóch miesiącach opracowałem podkłady projektowe, to jest planszę sytuacyjną oraz rzuty i przekroje budowli, dla branż projektowych i do szczegółowego usprzętowania technologicznego. Od tego momentu moja praca w większości sprowadzała się do koordynowania opracowań branżowych. Te z nich, które opracowywane były w biurze krakowskim, wykonywali główni projektanci zaangażowani wcześniej przy eksportowym projekcie budowy miasta Mishraq w Iraku. Konstrukcje budowli należały do Z. Piątka, instalacje sanitarne i uzbrojenie terenu do R. Flisowskiego, zaś instalacje elektroenergetyczne i sieci energetyczne do A. Schillera.

Nie mieli oni łatwego zadania. Konstrukcje budynków przewidywałem jako prefabrykowane, więc Zdzychu musiał te prefabrykaty wymyślić i wyliczyć. Rysiek miał do zaprojektowania wszystkie instalacje sanitarne, grzewcze i bardzo skomplikowaną klimatyzację oraz duży osadnik ścieków sanitarnych i ich pompowanie na odległość półtora kilometra. Natomiast do Olka należało m. in. zaprojektowanie stacji transformatorowej na 2 GW mocy (jak dla małego miasta) i zasilania kablowego z odległości prawie kilometra.

Budowę I etapu przedsięwzięcia przewidywano w latach 1976-79. Ale już w 1975 roku miał być wybudowany główny magazyn (rekwizytów i materiałów dekoracyjnych), prowizoryczna trafostacja, dojazdy drogowe oraz sieć wodociągowa na plac budowy. W szczególności budowa magazynu, zresztą bardzo duże go, bo o wymiarach 60*24 m, sprowadzała się do montażu gotowych prefabrykowanych elementów, które inwestor już posiadał. Na moją propozycję ten docelowy magazyn rekwizytów miał w trakcie budowy służyć generalnemu wykonawcy robót na składowanie materiałów i sprzętu budowlanego, wyposażenia instalacyjnego i technologicznego. Tak też się później stało, magazyn oddany został do użytku w marcu 1976 r. i pozwolił uniknąć budowy różnych prowizorycznych magazynów dla potrzeb generalnego wykonawcy i podwykonawców robót.

Na święta Bożego Narodzenia 1974 r. pojechaliśmy znów do mej siostry we Wrocławiu. Był dodatkowy, nowy powód dla tego rodzinnego spotkania. Zapoznaliśmy się z Krzysztofem, naręczonym mej siostrzenicy Grażyny. Wyróżniał się on co najmniej dwoma istotnymi cechami: miał jak Fidel Castro gęstą, czarną brodę dookoła twarzy i dobrze grał w brydża.

Główne przyjęcie wigilijne odbyło się w nowej willi brata mego szwagra, Wieśka. Był on inżynierem sanitarnym i pracował na stanowisku kierowniczym w swej branży w Kombinacie Górniczo-Hutniczym Miedzi w Lubiniu. Dobrze zarabiał, był samotny, zakład pracy pomógł pożyczkami i brygadą budowlaną - dorobił się więc okazałej, piętrowej willi na Oporowie we Wrocławiu.

Oba dni świąteczne były słoneczne, bez śladu śniegu, to też spacerowaliśmy chętnie, po trudach biesiadowania, po Parku Szczytnickim, w rejonie Hali Ludowej i wzdłuż brzegów Odry. Z Grzesiem wybrałem się dodatkowo na objazd nowych osiedli wrocławskich. Wszak czułem się Wrocławianem i wszystko, co działo się w tym mieście, żywo mnie interesowało.

Piękna pogoda utrzymywała się nadal, więc już z Krakowa, w czasie zimowych ferii szkolnych, Kasia z obu synami pojechali jeszcze, przy jakiejś okazji, na kilka dni do Krynicy Górskiej. Również i tam nie było śniegu. Najwyraźniej zima 1974/75 bardzo się opóźniała i omijała nawet nasze górskie kurorty, które normalnie żyją ze śniegu. Ja rodzinie do Krynicy nie towarzyszyłem, urlop oszczędzałem na okres letni, a poza tym, jak zwykle, miałem dużo pracy w swym biurze projektowym. Punkt ciężkości opracowywania założeń techniczno-ekonomicznych na budowę wytwórni TV przesunął się wprawdzie na zespoły branżowe, ale zajmując się głównie koordynacją całości prac, wykańczałem jeszcze swe autorskie opracowania. Poza tym otrzymałem nowe zlecenie z krakowskiego Ośrodka TV.

Dotyczyło opracowania koncepcji własnego hotelu OTV w bezpośrednim sąsiedztwie istniejącego Ośrodka, na południowym stoku Wzgórza "Krzemionki". Były tam pola uprawne bez jakichkolwiek zabudowań, a nawet bez drzew. Dobre miejsce do budowy nie tylko jednego budynku, lecz całego zespołu wielokondygnacyjnych obiektów. Zaczęłem robić szkice zagospodarowania i zaproponowałem lokalizację trzech sporych hoteli oraz krytego basenu kąpielowego o wymiarach 50*20 m. Hotele rozwiązałem jako 4-5 kondygnacyjne budynki tarasowe, połączone wspólnym łącznikiem i piętrowym pawilonem gastronomiczno-świetlicowym, o łącznej kubaturze 33 tys. m³ i powierzchni użytkowej 8 tys. m². Tylko jeden z nich, na 120 miejsc hotelowych, miał być realizowany dla potrzeb OTV, dwa pozostałe proponowałem jako rezerwę perspektywiczną. Natomiast budynek kąpieliska, o kubaturze 37 tys. m³, był ofertą dla Klubu Sportowego "Korona", którego główny stadion sportowy znajdował się tuż obok.

Te dwie koncepcje projektowe ukończyłem jednakże już po przekazaniu zleńciodawcy gotowych, kompletnych założeń techniczno-ekonomicznych na budowę I etapu TWF, co nastąpiło w marcu 1975 r. Po tym terminie wykonywaliśmy jeszcze dla TWF jedynie dużą makietę, dodatkowo zleconą przez inwestora. Bezpośrednio tę bardzo pracochłonną makietę przez kilka miesięcy wykonywał Kazio Morawiec w moim zespole projektowym. Makietą była kolorowa, bardzo realistyczna, miała wymiary 70*100 cm i obejmowała oba etapy realizacyjne, oraz dodatkowo (przez dokładanie) propozycję perspektywicznej rozbudowy Wytwórni o trzecią halę zdjęciową. Wykonana była rzeczywiście wspaniale.



Makieta Telewizyjnej Wytwórni Filmowej

Po opracowaniu kilku koreferatów i analiz, założenia I etapu TWF zostały w dniach 9 i 10 czerwca 1975 r. rozpatrzone i zatwierdzone przez połączone zespoły opiniujące Miejskiej Komisji Planowania w Krakowie i Komitetu Radia i Telewizji w Warszawie. Przygotowałem więc i wysłałem inwestorowi zastępczemu tj. DBOR-KM umowę na opracowanie projektów technicznych wszystkich obiektów wchodzących w skład I etapu inwestycji i dostarczenie ich sukcesywnie w terminach do dnia 30 czerwca 1976 roku. Od tego momentu nie pozostawało mi nic innego, jak czekać na przyjęcie oraz podpisanie umowy przez inwestora i zainteresować się własnym urlopem.

W czerwcu 1975 r. Grzegorz ukończył naukę w szóstej klasie, zresztą z bardzo dobrymi ocenami. Zaś Maciek uzyskał świadectwo ukończenia 8-klasowej szkoły podstawowej. Miał tylko dwie oceny dobre z języków polskiego i rosyjskiego, wszystkie pozostałe zaliczył z oceną bardzo dobrą. Zakwalifikował się też do okręgowych olimpiad matematycznej i fizycznej, uzyskując w nich znaczące, nagradzane miejsca. Otrzymał w związku z tym skierowanie do V Liceum Ogólnokształcącego im. A. Witkowskiego w Krakowie, ze specjalnością matematyki i fizyki. W załączonej do świadectwa karcie informacyjnej ucznia także oceniony został w samych superlatywach: b. pilny, systematyczny, samodzielny, wytrwały, zrównoważony, pracuje szybko, właściwie ocenia swe możliwości.

Maciek ukończył też z wynikiem dobrym czteroletni kurs języka francuskiego w Krakowskim Domu Kultury "Pałac pod Baranami". Niewątpliwie zasłużył sobie na jakąś nagrodę od swych rodziców. Wybrał ją sam w sklepie ze sprzętem sportowym przy ul. Szewskiej. Kupił mu wyścigowy rower "Jaguar" o wąskich oponach i z przerzutkami biegów, szczyt nowości i marzeń nastolatków. Dotychczasowy składak, jaki posiadał, przypadł w udziale Grzesiowi. Maciek nie miał jednakże wiele czasu, by się swym nowym rowerem nacieszyć, gdyż jeszcze w czerwcu, tuż po zakończeniu roku szkolnego, pojechaliśmy na dwutygodniowe wczasy do Sopotu nad polskim Bałtykiem.

Tym razem też skorzystaliśmy, już po raz piąty, z usług "Turysty", lecz nie były to wczasy grupowe, lecz typowo indywidualne, bez określonego programu pobytu i bez przewodnika. Zakwaterowani zostaliśmy w prywatnym domu rodzinnym, gdzie mieliśmy wygodne dwa pokoje z łazienką i dostępem do kuchni. Na podstawowe posiłki chodziliśmy do małej jadalni, znajdującej się także w prywatnym domu jednorodzinnym. Te warunki bytowe stanowiły dla nas zupełnie wystarczającą bazę dla realizacji naszego głównego celu wczasów, jakim było nasycenie się powietrzem i widokami morskimi oraz zwiedzenie Trójmiasta: Gdańska, Sopotu i Gdyni. Rolę przewodnika spełniałem ja sam po zaopatrzeniu się w mapy i foldery turystyczne Trójmiasta.

Nasi chłopcy nie wymagali już trzymania za ręce, by nie zgubili się w tłumie ludzi i nie pobłądzili w gąszczu ulic. Przez ostatnie 2-3 lata bardzo wydorosli pod każdym względem. Piętnastoletni Maciek przerastał już swą mamę o pół głowy, a trzynastoletni Grześ zrobił się szczupły jak wykrzyknik i też piał się ostro w górę. Mój scenariusz wycieczek musiał te nowe okoliczności naszych kolejnych wczasów rodzinnych uwzględnić, chociażby np. przez wieczorne zahaczanie o sopockie dyskoteki. Ale nie musiałem zmieniać generalnego zamierzenia naszego pobytu, czyli zwiedzenia Trójmiasta, w którym wszyscy byliśmy po raz pierwszy przez dłuższy czas.

Zaczęliśmy oczywiście od Sopotu, zaliczając go w znacznej mierze już pierwszego popołudnia w jednym dłuższym spacerze przez półkilometrowe molo, skwer i plażę w sąsiedztwie dostojnego Grand Hotelu oraz główny deptak handlowo-rozrywkowy od Placu Zdrojowego do Dworca PKS. Najwyraźniej deptak ten stanowił najchętniej odwiedzane przez turystów miejsce w Sopocie. Kuśił kolorowymi dekoracjami, balonikami, efektownym oświetleniem wieczornym i oferowanymi usługami, głównie konsumpcyjnymi. Jak przystało na wczasy z podrastającą młodzieżą, dzień zakończyliśmy w wielkiej, błyskającej kolorowymi światłami, dyskotecie. Na mój gust było zdecydowanie za dużo hałasu w tym tanecznym przybytku, ale widać decyzje były w modzie i trzeba było się z tym pogodzić. Miało to tę zaletę, że w czasie tańca nie dało się rozmawiać.

Kilka dni poświęciliśmy na zwiedzenie Gdańska. Pojechaliśmy do tego największego polskiego miasta nad Bałtykiem najwygodniejszym środkiem komunikacji Trójmiasta, czyli szybką koleją miejską, wybudowaną w kilka lat po wojnie. Z dworca kolejowego

wędrowaliśmy różnymi ulicami, ale zawsze w kierunku Długiego Targu, mijając po drodze konny pomnik Jana III Sobieskiego, przeniesiony swego czasu ze Lwowa, oraz nowo wybudowany okazały teatr "Wybrzeże".

A ulica Długa i Długi Targ to taki centralny deptak Gdańska z Ratuszem, pomnikiem Neptuna z trójzębem i dziesiątkami pięknie odbudowanych kamieniczek.

Wojna całą gdańską Starówkę zamieniła w jedno wielkie gruzowisko, zupełnie tak samo jak Starówkę Warszawską i Śródmieście Wrocławia. Tylko determinacja centralnej, silnej władzy państwowej mogła z gruzów tych wskrzesić na powrót tętniące życiem ulice i kwartały domów, budując je właściwie na nowo, jako zabytkowe relikty przeszłości. W 1975 roku Starówka Gdańska jeszcze nie w pełni była odbudowana, ale właśnie oddano do użytku kilka "nowych" ulic, równoległych do Długiego Targu. Zwiedzaliśmy te odbudowane ulice, katedrę Św. Marii Panny, największą w Polsce, a także Nabrzeże Motławy z Żurawiem i Bramą Chlebnicką.



Przed ul. Długi Targ

Podczas jednego z pobytów na Długim Targu, odpoczywaliśmy na kamiennej ławie, gdy od strony ul. Długiej nagle zagaęściło

się od ludzi i usłyszeliśmy oklaski. Za chwilę obok nas środkiem deptaka przeszła spora grupa ludzi, a wśród nich w pierwszym szeregu, zresztą najwyżsi wzrostem, szli prezydent Francji Valéry Giscard d'Estaing i premier Piotr Jaroszewicz z małżonką. Prezydent Francji, oklaskiwany przez szpaler gapiów, zgromadzonych wzdłuż Długiego Targu, odwzajemniał się machaniem ręki. Po czym cała grupa osób, w tym liczni lokalni promieniści gdańscy, weszła do budynku Ratu-



Prezydent Francji i premier Jaroszewicz

sza. Giscard był prezydentem od niespełna roku, został nim po śmierci swego poprzednika Pompidou. Była to jego pierwsza oficjalna wizyta w Polsce, związana z pogłębianiem się wszechstronnej współpracy obu państw.

W jednym dniu specjalnie przyjechaliśmy do Gdańska na Przystań Żegluga Gdańskiej na Motławie przed Długim Targiem, by pojechać statkiem na wycieczkę na Westerplatte. Dołączyliśmy do jakiejś zorganizowanej grupy, która miała swego przewodnika. Jechaliśmy wiele kilometrów meandrami Motławy i Martwej Wisły, a po bokach cały czas mieliśmy dość chaotyczny krajobraz przemysłowy. Zwiedzanie samego Półwyspu Westerplatte to też kilometrowy spacer: ulicą mjr. Sucharskiego, obrońcy polskiej placówki w 1939 r., pomnik-czołg T-34 z 1 brygady Pancernej, ruiny wartowni, wreszcie monumentalny pomnik Obrońców Westerplatte na sztucznie usypanym wzgórzu i, dzięki temu, górujący nad całą okolicą. Akurat jakaś młodzieżowa grupa składała kwiatowe wieńce u stóp pomnika, więc nasi chłopcy, jakby przyłączyli się do tej grupy.



Maciek na Westerplatte

Bodaj przez trzy dni zwiedzaliśmy Gdynię. Również do tego miasta najwygodniej jechało się elektryczną kolejową linią miejską. Punktem startowym w mieście był dla nas Skwer Kościuszki z pięknymi fontannami. Wiele godzin zabawiliśmy na moło południowym, cumował przy nim jakiś duży, elegancki statek pasażerski. Zwiedziliśmy muzeum



Grześ przed historycznym ORP „Burza”

oceanografii z wielkim akwariem morskim, targi rybne, basen jachtowy, a przede wszystkim wysłużony ORP "Burza", stojący przy nabrzeżu jako pływające muzeum. Okręt ten wslawił się walkami z Kriegsmarine w czasie II wojny światowej, weteran m. in. kampanii morskiej w rejonie Narwiku. Odwiedzały go głównie młodzieżowe wycieczki. Nasz Grześ zabawiał się w artylerzystę, sadowiąc się na stanowisku obsługi działka przeciwlotniczego i kręcąc nim na wszystkie strony.

Druga trasa naszej marszruty wiodła na Kamienną Górę, na której szczycie, z platformy widokowej, można było z góry obserwować morze, port, stocznię i pół miasta. Zwłaszcza, że mieliśmy dobrą wojskową lornetkę. Potem zejście pięknymi tarasowymi skwerami na podnóże Góry pod pomnik gdyńskich harcerzy i wędrownka po śródmiejskich ulicach. Oczywiście Kasia co chwile zaglądała do co okazalszych sklepów, głównie odzieżowych. Po za tym duże i eleganckie sklepy Gdyni wydawały się jej lepiej zaopatrzone niż krakowskie. Na tych sondażach skorzystał Maciek, który wypatrzył dla siebie w jednym z magazynów konfekcyjnych niebieski garnitur, o jakim chyba marzył od pewnego czasu. Tak nalegał i marudził, że mu go kupiliśmy, co nie było takie proste, bo wprawdzie musiałem pobrać w banku odpowiednią kwotę na książeczkę oszczędnościową.

Każde zwiedzanie Gdyni kończyliśmy kilkugodzinnym pobytem na plaży przy Bulwarze Nadmorskim. Byliśmy też oczywiście kilka razy na plażach w Sopocie i Jelitkowie. Zaliczyliśmy również, zagubiony w gęstym lesie, sopocki amfiteatr Operę Leśną, w którym zaczęto właśnie renowacyjne roboty przygotowawcze do sierpniowego festiwalu. W Oliwie zwiedziliśmy przepiękny Park Oliwski i gotycką katedrę z pierwszej połowy XIII wieku. We wnętrzu kościoła podziwialiśmy słynne XVIII-wieczne organy, na których, od czasu odbudowy w 1958 roku, co roku odbywają się festiwale muzyki organowej.

W drodze powrotnej z nadmorskich wczasów pojechaliśmy wprawdzie do Wrocławia na ślub Grażyny. Wychodziła za mąż za znanego nam już Krzysztofa Bernackiego. Huczne przyjęcie weselne odbyło się u jej wujka Wiesia na Oporowie. Miał tam dużą willę, w której bez problemu pomieściło się kilkudziesięciu biesiadników. W czasie przygotowań weselnych, gdy wszystkie panie były zajęte, porwałem Grzesia i Janusza i w trójkę powalęsaliśmy się po Świdnickiej, Rynku i okolicy. Bo nazajutrz wracaliśmy już do Krakowa.

Gdy pojawiłem się w biurze, sekretarka pracowni poinformowała mnie w pierwszym rzędzie o tym, że umowa na opracowanie techniczno-roboczej fazy dokumentacji projektowej na budowę Telewizyjnej Wytwórni Filmowej w Krakowie została już przez inwestora podpisana. Należało więc jak najszybciej przystąpić do roboty, bo był to temat największy w pracowni, zresztą także w całym biurze, a czasu na opracowanie całości dokumentacji nie było zbyt wiele.



Ślub Grażyny

Tak się składa, że w zasadzie wszelkie prace projektowe, dotyczące obiektów kubaturowych, zaczyna, a także kończy, architekt. Na początku musi on opracować podkłady projektowe, to jest głównie rzuty budowli, dla zespołów branżowych. Na końcu zaś w swym projekcie architektonicznym musi uwzględnić i nanieść wszystkie podstawowe szczegóły budowlane i instalacyjne z branżowych opracowań. Zabrałem się więc ostro do pracy, zaczynając od obrysowania podkładów dla segmentu B-1. Mianowicie cały duży blok główny TWF podzieliłem na 9 części, oddzielonych zresztą od siebie dylatacjami budowlanymi. Pozwoliło to na oddzielne i sukcesywne opracowywanie poszczególnych segmentów. Było to też konieczne ze względu na rozmiar rysunków, wykonywanych w skali 1:50, bo nie mogły one być większe od wymiarów stołu kreślarskiego.

Przed wszystkim zgłosiłem dyrektorowi, że wobec ogromu własnych prac projektowych, powinienem zrezygnować z dotychczasowych 3/4 etatu kierownika pracowni i przejść na pełny etat projektanta. Stało się na tym, iż najdalej do końca września zostanie jednak nadal na stanowisku kierownika pracowni w dotychczasowym wymiarze etatu, a Dyrekcja w międzyczasie poszuka i zaangażuje następcę. Tymczasem zorganizowałem sobie pracę w ten sposób, że dwa dni w tygodniu wyłączałem się całkowicie ze spraw kierowniczych i pracowałem przy stole rysunkowym. Poza tym wypożyczyłem z biura drugi stół kreślarski, jaki zainstalowałem w swym mieszkaniu. Po pracy w biurze przechodziłem więc do pracy w domu, lub w ogóle całymi dniami nie chodziłem do biura. Zresztą na pracę przeznaczałem również 2 tygodnie swego urlopu wypoczynkowego i poświęcałem jej po 12-15 godzin dziennie.

A do narysowania miałem 28 arkuszy samych rzutów podkładowych dla głównego bloku TWF, zaś dwa razy tyle, jeśli uwzględnić także przekroje i elewacje budynków. Rysowało się jednak szybko, zwłaszcza, że dysponowaliśmy w biurze najnowocześniejszym, bardzo sprawnym sprzętem z importu. Na przykład w miejsce dawnych prymitywnych grafionów do rysowania tuszem, miałem nowoczesne rapidografy z własnymi zbiornikami tuszu i z końcówkami o różnej grubości, które nie wymagały żadnej regulacji. Na wszystkie swe rysunki stosowałem też najwyższej jakości fińską kalkę techniczną, na której można było wiele razy przedrapywać i zmieniać czy poprawiać rysunki.

Nic dziwnego, że w tej sytuacji arkusze podkładowe dla pierwszego segmentu TWF dostarczyłem zespołom konstrukcyjnemu i instalacyjnemu już po dwóch tygodniach, a dla następnych segmentów kolejno w odstępach średnio co 10 dni. Wszyscy zaangażowani przy temacie TWF, w tym ponad połowa pracowników PW-2, mieli więc wkrótce pełne ręce roboty i podjęli wyścig z czasem, wyznaczonym przez terminy umowne dostarczenia dokumentacji zleconodawcy.

W miesiącach lipcu i sierpniu 1975 r. moja rodzina nadal kontynuowała letnie wakacje szkolne. Jeszcze w pierwszej połowie lipca obaj synowie wyjechali po raz drugi na dwutygodniowe kolonie do Nowego Targu. Przebywali tam bowiem już w poprzednim roku i repetując je, spędzali czas w podobny sposób. Głównie na zespołowych grach, zabawach, kąpielach w Dunajcu i na wycieczkach po okolicznych, pięknych terenach podgórskich. Maciek na turnusie sprawował dodatkowo funkcję kierownika sekcji sportowej całego obozu kolonijnego.

Natomiast w sierpniu Kasia z chłopcami pojechali z "Juventurem" na dwutygodniowe wczasy do Bułgarii. Cała grupa wycieczkowa poleciała samolotem czarterowym do Burgas, a stamtąd autokar zawiózł ich do Primorska, położonego nad Morzem Czarnym, niespełna 40 kilometrów od granicy bułgarsko-tureckiej. Primorsko to spory ośrodek turystyczno-wypoczynkowy, ale przede wszystkim międzynarodowy młodzieżowy ośrodek wypoczynkowy z dwoma hotelami i polami campingowymi. W jednym z tych hoteli zakwaterowała właśnie moja rodzinka, gdyż i w tym przypadku synowie, jako

harcerze, byli gośćmi tego młodzieżowego ośrodka.

Niestety pobyt w Primorsku zaczął się dla moich milusińskich fatalnie. Po pierwsze zachorował Grzesiek i część turnusu przeleżał w łóżku. Po prostu przeziębził się, chyba po butelce zimnej pepsi, jaką wypił na lotnisku w Balicach, tuż przed odlotem samolotu. A po wtóre, w dniu ich przybycia do Bułgarii, w rejonie Primorska wystąpiły bardzo ulewne deszcze, powodując powódź w mieście i zalewając po dachy samochody na pobliskim campingu. Z konieczności poszkodowani turyści samochodowi zostali potem rozlokowani w stałych hotelach i w pokoju zajmowanym przez moją rodzinę zamieszkała dodatkowo, na okres kilku dni, jakaś para małżeńska.

Oczywiście w dalsze dni turnusu było słonecznie i gorąco, jak na Bułgarię przystało, to też wiele czasu moja familia spędziła na spacerach, wycieczkach autokarowych, a głównie na plaży czarnomorskiej. Na plaży Grzegorz zabawiał się puszczaniem swego samolotu-latawca, z obracającymi się na wietrze skrzydełkami, który przywiózł z Polski. Samolocik ten zrobił wśród wielonarodowych turystów w Primorsku furorę nie mniejszą, niż kilka lat wcześniej na plaży w niemieckim Ahlbecku.

W sumie ten czwarty już pobyt wakacyjny mej rodziny nad Czarnym Morzem nie był jednak całkowicie udany i tylko Maciek wspomina go z wielką sympatią, bo jedynie on korzystał w pełni z przyjemności plaży i licznych rozrywkowych spotkań, gier, występów estradowych w lokalnym amfiteatrze, oraz zabaw z różnojęzyczną młodzieżą ośrodka w Primorsku.

Wraz z czarnomorskimi wczasami skończył się też czas wakacji szkolnych i obaj synowie kontynuowali swą naukę. Maciek zaczął uczęszczać do klasy pierwszej V Liceum Ogólnokształcącego przy ul. K. Świerczewskiego, odległej od naszego miejsca zamieszkania około 600 m, więc chodził na piechotę. Grzegorz do klasy siódmej Szkoły Podstawowej nr 19 im. J. Gagarina, przechodził więc nadal tylko przez ulicę.

Ja oczywiście przez cały wakacyjny czas, w lipcu i sierpniu, usilnie pracowałem nad swym projektem techniczno-roboczym I etapu realizacyjnego TWF. Obejmował on obiekty o kubaturze 90 tys. m³ i 13.400 m² powierzchni użytkowej. Były to: zdecydowanie największy budynek główny, magazyn rekwizytów i techniczny budynek pomocniczy z rozdzielnią energetyczną. W budynku głównym znajdowało się ponad 300 pomieszczeń różnej wielkości i o różnorodnym przeznaczeniu. Tworzyły one wydziały funkcjonalne Wytwórni: administracji, organizacji produkcji, żywienia, obsługi aktora, kostiumersko-perukarski, techniki zdjęciowej, rejestracji telewizyjnej, fundusu i rekwizytów, montażu dekoracji i warsztaty budowy dekoracji.

Największym pomieszczeniem była hala zdjęciowa o powierzchni 1000 m² i wysokości 11,40 m. Według informacji, jakie podano mi w KRiTV, była to podówczas największa hala studyjna w Europie. Została zaprojektowana i wykonana potem tak, że nawet odgłos upustu pary w elektrociepłowni w Łęgu, lub przelatującego odrzutowca, nie docierał do jej wnętrza. Nie miała własnego ogrzewania, natomiast posiadała pełną klimatyzację, działającą zresztą automatycznie według założonych parametrów. Prócz nawiewu świeżego powietrza, o określonej wilgotności i temperaturze, głównym celem klimatyzacji było usunięcie nadmiaru ciepła, wydzielanego przez setkę reflektorów studyjnych, zawieszonych na specjalnym suficie rusztowym. Dla obsługi klimatyzacji zastosowałem 4 wielkie bloki klimatyzacyjne produkcji NRD, jakie rok wcześniej wypatrzyłem na Targach Lipskich.

Z większych pomieszczeń TWF można by wymienić jeszcze kawiarnię, restaurację z zapleczem, reżysernię wizji i fonii, obszerne montażownie dekoracji, a także zespół warsztatów budowy dekoracji. Ten ostatni obejmował stolarnię ręczną i mechaniczną, tapicernię, malarnię, sztukatornię, szklarnię, ślusarnię, kuźnię i obróbkę mechaniczną.

W trakcie projektowania musieliśmy rozwiązać szereg problemów, między innymi związanych ze złymi warunkami geologiczno-inżynierskimi terenu inwestycji. W tym miejscu przebiegało kiedyś koryto Wisły, w wyniku czego na fragmencie działki występowała kurzawka oraz wysokie, zmienne zwierciadło wody gruntowej. Staralem się posadowić projektowane budynki możliwie najwyżej, ale i tak w części piwnic segmentu B-1 okazało się niezbędne zastosowanie szczelnej wanny żelbetowej. Natomiast magazyn główny, usytuowany częściowo na kurzawce gruntowej, posadowiliśmy na betonowych palostudniach o długości ok. 5 metrów. Ten magazyn główny generalny wykonawca robót budowlanych, którym zostało Zjednoczenie Budownictwa Miejskiego "Budopol" w Krakowie, rozpoczął realizować już w połowie 1975 roku. Projekt techniczny na jego budowę przygotowaliśmy bowiem wcześniej, na początku roku, równoległe z założeniami technicznymi I etapu TWF.

Gotową ukończoną dokumentację techniczno-roboczą dla segmentów B-1 i B-2 budynku głównego biuro przekazało inwestorowi już w listopadzie, zgodnie z harmonogramem, załączonym do umowy. Następne segmenty kończyliśmy sukcesywnie w odstępach co 1-2 miesiące.

Którejś wrześniowej niedzieli odwiedziła nas moja siostrzenica Grażyna, wraz ze swym mężem Krzysztofem. Kupiłem wtedy od niego kalkulator elektroniczny amerykańskiej firmy "Texas Instruments". Była to absolutna nowość, w ogóle pierwsze kalkulatory elektroniczne na świecie wyprodukowane zostały przez tę właśnie firmę w 1971 roku. Egzemplarz, jaki kupiłem, był kolejną mutacją pierwowzoru, miał kształt łódki i posiadał już ciekłokrystaliczny wyświetlacz cyfrowy. Używałem go do różnych egzotycznych obliczeń, jak np. objętości i powierzchni słońca, wzrostu masy ciał poruszających się z szybkością bliską światłu itp. A zapłaciłem za to чудо aż 10 tys. złotych, to jest kwotę, za jaką dwie osoby mogłyby pojechać na dwutygodniowe wczasy zagraniczne.

Od 1 października wróciłem w pełnym wymiarze etatu na stanowisko starszego projektanta architektury. Kierownictwo pracowni PW-2 przejął nowo zaangażowany do biura, nieco starszy ode mnie, inżynier budowlany Franciszek Cedrowski. Sprawował już wcześniej różne stanowiska kierownicze w innym biurze projektowym, był dobrym organizatorem, pełen energii i pomysłów. Ja, w każdym bądź razie, mogłem wreszcie całkowicie skoncentrować się na kontynuowaniu swego "projektu życia", to jest Telewizyjnej Wytwórni Filmowej.

Zachowałem dotychczasowe warunki płacy, a mianowicie pensję w wysokości 5 tys. złotych plus premia, liczona według tak zwanego przerobu. W miejsce dodatku funkcyjnego za kierownictwo pracowni, otrzymałem dodatek funkcyjny 700 zł za sprawowanie funkcji generalnego projektanta TWF na okres do czasu ukończenia realizacji tego obiektu.

W latach 1974 i 1975 najbardziej dalekosiężnym wydarzeniem gospodarczym i geopolitycznym w świecie była znacząca podwyżka cen ropy naftowej, dokonana przez państwa OPEC, żądające opuszczenia przez Izrael okupowanych terytoriów arabskich. Państwa rozwinięte zareagowały szerokimi programami oszczędnościowymi, a wierzycciele podnieśli oprocentowanie, udzielonych przez nich wcześniej, pożyczek finanso-



My z Maćkiem i Grażyną z Krzysztofem

wych. Uderzyło to podwójnie w Polskę, która w 1975 r. miała trudności w spłaceniu rat od dolarowych kredytów pieniężnych, pobranych w pierwszych latach dekady. Po drugie złudnym okazały się plany eksportowe towarów, produkowanych w licznych nowowybudowanych zakładach przemysłowych, na rynki zachodnie.

W 1974 roku dokonał się przewrót wojskowy w Portugalii, określany jako rewolucja "czerwonych goździków", zaś w następnym wybuchły wojny domowe w Etiopii i Libanie. W kwietniu 1975 zakończyła się ostatecznie wojna na Półwyspie Indochińskim, gdy rząd Południowego Wietnamu ogłosił bezwarunkową kapitulację swych wojsk wobec Vietcongu i rozpoczął się proces jednoczeniowy obu państw wietnamskich. Do ważniejszych wydarzeń geopolitycznych 1975 r. zaliczyć jeszcze można wybuch wojny domowej w Libanie pomiędzy Muzułmanami i Chrześcijanami, a także ponowne otwarcie kanału Sueskiego, unieruchomionego w 1967 r. w trakcie wojny izraelsko-arabskiej. Z drugiej strony w Helsinkach zawarty został międzynarodowy układ, regulujący zasady pokojowego współistnienia państw o różnych ustrojach politycznych. Zaś w Kosmosie nastąpiło spektakularne połączenie dwóch statków kosmicznych: radzieckiego "Sojuz 19" i amerykańskiego "Apollo", jako wyraz współpracy naukowej między obu tymi państwami.

W Polsce w 1975 roku, w ramach reorganizacji administracyjnej kraju, utworzono 49 nowych województw w miejsce dotychczasowych 17-tu, przy równoczesnej likwidacji powiatów. Chodziło oczywiście o umocnienie i większą centralizację władzy państwowej, a wzorowano się na podziale Francji na 90 podobnej wielkości departamentów. Tam ta struktura departamentów dobrze służy stabilnej, zintegrowanej państwowości niezmiennie od czasów Ludwika XIV, który wprowadził ten podział kraju wbrew ówczesnym podziałom narodowościowym, aspiracjom dynastycznym i ambicjom lokalnych elit władzy. Natomiast likwidację powiatów uzasadniano tym, że spełniały one dobrze swą rolę w okresie komunikacji konnej, zaś dla epoki szybkich samochodów lepsze są odpowiedniej wielkości województwa, jako podstawowe, pośrednie ogniwa zarządzania między gminami a stolicą

50 LAT ŻYCIA

**Rysunki detali i wnętrz TWF * Strajki radomskie * Praga - Budapeszt *
Moda na wczasy * Łącko - Szczawnica * 50 lat życia**

W końcu stycznia 1976 r., w okresie szkolnych ferii, wykorzystując służbową delegację i piękną pogodę, pojechałem na trzy dni do Warszawy, zabierając ze sobą obu synów. Chciałem pokazać im i samemu spokojnie przyjrzeć się licznym nowym inwestycjom, zrealizowanym w stolicy w ostatnim okresie czasu. Zakwaterowaliśmy w hotelu "Polonia" w samym centrum miasta. W Telewizji Polskiej na ul. Jana Pawła Woronicza załatwiłem swe sprawy projektanckie w kilka godzin, więc dwa pełne dni mogliśmy w trójkę pobłądzić trochę po stołecznym mieście.



W Muzeum Wojska Polskiego

na kawie, a także na tarasie widokowym na XX. piętrze. W Muzeum Wojska Polskiego zabawiliśmy kilka godzin, bo bogate kolekcje wszelkiej broni, zwłaszcza ciężkiej, jak samoloty i czołgi, bardzo interesowały moich prawie "poborowych" chłopców.

Chciałem też w tym zimowym okresie zrelaksować się, po forsownej pracy, na świeżym powietrzu i pojechaliśmy wkrótce z Grzesiem na 10-dniowy pobyt w schronisku "Spalona" w Górach Bystrzyckich. Nie wiem dlaczego zdecydowałem się na to, zupełnie mi nieznane, schronisko i teren, prawdopodobnie nie było w "Juventurze", gdzie się zgłosiłem, żadnej innej oferty. Schronisko znajduje się kilkanaście kilometrów na zachód od Bystrzycy Kłodzkiej, skąd autobus dowiózł nas późnym popołudniem na odległość około jednego kilometra od schroniska, tam wysiedliśmy dosłownie w lesie. Były zasypane śnieżne, oraz bardzo mroźno, i z niemałym trudem dobrnęliśmy do celu, kierując się światłami w oknach, gdyż zrobiło się zupełnie ciemno.

W starym, drewnianym budynku, o wdzięcznej nazwie "Jagodna", pełno było młodzieży, raczej starszej od Grzesia. Nic mi się nie podobało: warunki spartańskie, byle jakie wyżywienie, zimny pokój, jeszcze zimniej w jadalni-świetlicy, przerobionej z wernandy. Wypożyczyliśmy sanki i Grzegorz zjeżdżał na nich na pobliskiej górze, na której inni jeździli raczej na nartach. Mróz trzymał ostro, nie było szans na jakieś wycieczki, czy spacer, więc wytrzymaaliśmy w tych warunkach tylko trzy dni i zabraliśmy się z powrotem do Krakowa.

Na Wielkanoc 1976 r. znów gościliśmy "Wrocławiaków", jak mawialiśmy na rodzinę mej siostry Haliny. Przyjechali jednakże bez Grażyny i bez Ewy. Grażyna święta spędzała w gronie rodzinnym swego męża, Krzysztofa, we Wrocławiu. Natomiast Ewa nie była już żoną Janusza, rozwiedli się po niespełna dwu latach swego małżeństwa. Obchody juwenaliów żakowskich i Dni Krakowa w 1976 r. były podobnie jak w poprzed-

nich 2-3 latach również bardzo huczne. Studenckie korowody przebierańców, girlandy lampionów i kolorowe transparenty na ulicach Starówki, galeria wielkich kukieł historycznych postaci w Rynku, kiermasze, spektakle, wystawy, wreszcie imponujące widowisko "Światło i dźwięk" u stóp Wawelu, kończące ponad miesięczny festiwal imprez i uroczystości w podwawelskim grodzie. Braliśmy w tym wszystkim udział, zwykle z inspiracji naszych chłopców, oczywiście jako widzowie, często wśród tłumów Krakowian, a także turystów, których z roku na rok w Krakowie wyraźnie przybywało. Zwłaszcza bardzo znacznie zwiększyła się ilość turystów z Czechosłowacji i Niemieckiej Republiki Demokratycznej oraz Polonii Amerykańskiej.



Na Juwenaliach w Krakowie

Od listopada 1975 r. biuro przekazywało już inwestorowi gotowe projekty techniczne poszczególnych segmentów Wytwórni Telewizyjnej. Moja praca od tego czasu polegała na wykańczaniu projektów technicznych architektury, a najwięcej roboty przysparzały mi rysunki detali i wnętrza architektonicznych. Były one opracowane w odrębne tomy, które też dostarczaliśmy inwestorowi sukcesywnie. Tomów tych było sześć, a na każdy składało się średnio po 25 arkuszy rysunków. Niektóre z nich były proste i nieskomplikowane, jak zestawienia stolarki drzwiowej i okiennej, szaf różnego rodzaju, ślusarki oraz niektóre szczegóły budowlane, jak okna, parapety, balustrady. Te rysunki opracowywali głównie asystenci w moim zespole. Wiele jednakże było indywidualnych autorских rozwiązań, nowatorskich i skomplikowanych, te w większości rysowywałem sam.

Sporo pomieszczeń wymagało opracowania projektów wnętrza, jak np. kawiarnia, stołówka-restauracja, holl główny - wykonywał je nasz pracowniany projektant wnętrz K. Morawiec. Niektóre wnętrza rysowałem sam, a dotyczyły one np. telewizyjnych reżyserni światła i fonii, pracowni krawieckich, charakteryzatorni, fryzjerni, sal przeglądowych i nagrań dźwiękowych itd.

Najwięcej czasu zajęły mi jednak szczegóły budowlane i wnętrza hali zdjęciowej. Składały się na nie: ślusarka dwóch stalowych pięter ażurowych galerii wraz ze schodami, obudowa wewnętrzna ścian hali i tak zwany strop świetlny. Przy projektowaniu wszystkich tych elementów korzystałem ze znajomości rozwiązań w ośrodkach TV w Krakowie, Warszawie i Kopenhadze. Podobnie jak w Krakowie na ścianach hali do wysokości 4 m zastosowałem wykładzinę ze specjalnych pustaków ceramicznych. Przedsionki wejściowe wyłożyłem akustycznymi, perforowanymi płytami gipsowymi o wymiarach 60*60 cm, oferowanymi przez "Pregips" w Płaszowie. Powyżej ściany wyłożyłem, montowanymi pionowo, blaszanymi, perforowanymi panelami koloru ciemnożółtego. Odpowiednie ich wykonanie i dostawę uzgodniłem w "Metalplacie" w Tychach.

Zastosowany w hali zdjęciowej stalowy strop świetlny to cała skomplikowana konstrukcja, podwieszona do dźwigarów dachowych hali. Na stropie tym ustawionych jest około stu specjalnych wózków świetlnych, z zamocowanymi w nich pionowymi, wysuwanymi teleskopowo, aluminiowymi rurami, na których u dołu zawieszono są pojedyncze reflektory. Wózki reflektorowe można na stropie odpowiednio przetaczać i ustawiać w miejscach wyznaczonych przez reżysera światła. Dodatkowo na stropie świetlnym zamocowanych jest 24 brezentowych, harmonijkowych tubusów klimatyzacyjnych, średnicy 50 cm, które można opuszczać na wysokość dwa metry od posadzki hali i regulować w ten sposób dopływ świeżego powietrza wg wskazań reżysera. Te tubusy,

jak również teleskopy, podpatrzyłem w Kopenhadze.

Oczywiście na ścianach i górnym stropie hali, oraz pod halą, zaprojektowanych zostało kilka warstw różnych materiałów izolacji akustycznej, których efekt był potem sprawdzany przy pomocy specjalnej akustycznej aparatury pomiarowej.

W skład dokumentacji projektowej TWF, oprócz budynku głównego, wchodził jeszcze budynek techniczny i plan zagospodarowania przestrzennego wraz z infrastrukturą uzbrojenia instalacyjnego, drogami i małą architekturą.

Budynek techniczny nie był duży, miał tylko 3.800 m³ kubatury, ale nafaszerowany był urządzeniami technologicznymi. Oprócz dużej stacji energetycznej o mocy 2 GW, mieścił jeszcze centralę chłodniczą dla klimatyzacji z wieżami chłodniczymi, hydrofornię z zewnętrznym zbiornikiem wody p.poż. i składane komory do suszenia drewna. Zagospodarowanie terenu dotyczyło działki gruntowej o powierzchni 14,7 ha przy ul. Nowohuckiej. Integralną częścią zagospodarowania były: sieć wodociągowa, rozdzielcza kanalizacja opadowa i sanitarna, podłączenie gazowe, sieć centralnego ogrzewania i pary technologicznej, kablowe zasilanie energetyczne, sieć energetyczna i oświetlenia terenu, doprowadzenie kanalizacji teletechnicznej, drogi wewnętrzne oraz parkingi na 290 samochodów.

Przez całe pierwsze półrocze przekazywaliśmy inwestorowi kolejne kompleksowe projekty techniczne poszczególnych segmentów Wytwórni. Każdy z nich obejmował architekturę, konstrukcję, instalacje sanitarne, grzewcze, klimatyzacyjne i elektroenergetyczne oraz kosztorysy. Przekazaliśmy również rysunki detali i część wnętrza architektonicznych, kompleksowy projekt budynku technicznego i projekty zagospodarowania przestrzennego wraz z sieciami uzbrojenia terenu.

W zasadzie nasze biuro projektowe w pełni wywiązało się wobec inwestora z warunków umownego dostarczenia opracowań technicznych na budowę TWF w terminie do 30 czerwca 1976 roku. Po tym terminie w pracowni PW-2 wykonywaliśmy nadal już tylko projekty wnętrz kawiarni i restauracji oraz osadnika retencyjnego kanalizacji sanitarnej. W opracowaniu znajdowały się jeszcze również niektóre projekty technologiczne, wykonywane przez Biuro Warszawskie KRiTV, oraz różne dokumentacje podzlecane do specjalistycznych biur projektowych. Dotyczyło to np. projektu wózków świetlnych dla hali zdjęciowej, wielkiej stalowej bramy akustycznej o wym. 5x4 m z mechanizmami jej zawieszenia i przesuwania, centrali chłodniczej dla klimatyzacji i mechanicznej suszarni drewna. Na te specjalistyczne opracowania zawarliśmy oczywiście z inwestorem stosowne porozumienia dodatkowe do umowy podstawowej.

Generalnie można powiedzieć, że wygraliśmy w pracowni PW-2 trudną batalię o szybkie opracowanie dokumentacji projektowej na realizację dużej inwestycji - Telewizyjnej Wytwórni Filmowej, przydatnej szczególnie w Krakowie, będącym centrum kultury w kraju. Mogła ona, w niedługiej przyszłości, stanowić bardzo atrakcyjne miejsce pracy dla dziesiątków krakowskich aktorów, reżyserów, scenografów, piosenkarzy, muzyków, artystów baletowych itp.

Również obaj moi synowie w czerwcu 1976 ukończyli kolejny rok swej nauki. Maciek już pierwszą klasę licealną o profilu matematycznym w Liceum Ogólnokształcącym im. A. Witkowskiego, uzyskując po 6 bardzo dobrych i dobrych ocen na świadectwie. Natomiast Grzegorz na swym świadectwie ukończenia siódmej klasy podstawowej miał 12 ocen bardzo dobrych i dwa dobre. Z reguły ja chodziłem na szkolne wywiadówki synów, siadałem zwykle w ostatnich ławkach i nie zabierałem głosu w ogólnych dysputach. Rzadko też kiedy zatrzymywałem się dłużej, by usłyszeć od pań wychowawczyń, że nie mają one żadnych krytycznych uwag o nauce i zachowaniu się synów.

W międzyczasie wziąłem udział w 3-miesięcznym kursie w zakresie organizacji i

zarządzania dla kadry kierowniczej biur projektowych w jednostkach budownictwa ogólnego. Zorganizowany został przez Oddział Krakowski PZITB, odbywał się w świetlicy naszego nowego biurowca i obejmował 122 godzin wykładów, które prowadzone były stosunkowo na bardzo wysokim poziomie. Zakończony został pisemnymi pracami kontrolnymi, wykonywanymi przez uczestników. Moja oceniona została na dobrze.

Przy narożu budynku, w którym mieszkalem, znajdowała się stara, kryta gontami, drewniana chałupa. Rozebrana ona została dopiero w połowie lat 80-tych, by ustąpić miejsca 4-piętrowemu blokowi mieszkalnemu, jaki obok wybudowano, zabierając nieco słońca mieszkańcom naszego budynku. Tymczasem rzeczona chałupa wykorzystywana była przez zamieszkujących ją starszków na melinę dla stałej grupy młodych ludzi. Może byli oni krewniakami, kolegami wnuków lub tp, w każdym bądź razie wieczorami, w niedziele niekiedy już od rana, dochodził stamtąd gwar podochoconych głosów, przyspiewki i głośne rozmowy, przeplatane obficie gwarowymi słówkami na "k".

Pewnego czerwcowego dnia 1976 roku, późnym już wieczorem - było ciepło, więc okno w moim narożnym pokoju było otwarte - wśród powodzi słów usłyszałem wielokrotnie powtarzane słowo "Radom". Domyśliłem się, że coś się w Radomiu wydarzyło i włączyłem radio. Wyjaśniło się, dokładniej już w następnym dniu, że w tym mieście doszło do strajków robotniczych, jako protestu przeciwko uchwaleniu przez Sejm podwyżek detalicznych cen podstawowych artykułów żywnościowych.

Podwyżki te były bardzo duże: mięso drożało o 70 %, sery i masło o 50, drób o 30, cukier nawet o 100 %. Pracujący mieli otrzymać, celem rekompensaty, odpowiednio wyższe zarobki, ale mało kto wiedział i interesował się tym. Natomiast spontaniczne strajki wybuchły w wielu miastach, największe w Radomiu, Ursusie i Łodzi. W Radomiu doszło przy tym do poważnych zaburzeń: podpalenia gmachu wojewódzkiego komitetu PZPR, splądrowania dziesiątków sklepów, starć z milicją, licznych aresztowań. Obserwowałem 25 czerwca telewizyjną transmisję obrad Sejmu, gdzie problemy te omawiano. Gdy poirytowany premier Jaroszewicz trzepnął papierami o mównicę i odwołał podwyżkę - powiedziałem do obrazu, czyli telewizora: "To wielki błąd, który zemści się za 5 lat!". Chyba były to prorocze słowa.

No właśnie. Polska szybko się rozwijała, przybywało ludności, zwłaszcza miejskiej, fabryk, szkół, rosła produkcja przemysłowa, dochody ludności. Tylko ceny podstawowych artykułów spożywczych od około 15 już lat nie zmieniały się. Cukier niezmiennie kosztował 10,50, a bochenek chleba 4 złote, mimo, że faktyczne koszty produkcji cukru i buraków wciąż rosły i coraz więcej płacono rolnikom za ziarno w skupie państwowym. Niezmiennie bilet tramwajowy kosztował 1 złoty, znaczek na list 0,50, gazeta 1 zł i tylko cena wódki, reperując budżet państwa, wciąż rosła. Kosztowała ona w 1974 r. 100 zł, zaś w 1976 aż 120 złotych za butelkę 1/2 litrową.

Ta nie licząca się z prawami ekonomiki polityka cenowa, stwarzała państwu co raz większe problemy budżetowe. Np. tani chleb stał się, z biegiem lat, jedną z podstawowych pasz dla drobiu i trzody chlewnej. W ciągu dekady lat siedemdziesiątych państwo zmuszone zostało do importu pszenicy, głównie z USA, za 8 miliardów dolarów kredytu. Mielono ją na mąkę częściowo w Czechosłowacji, bo polskie młyny nie nadążały z przemiałem, budowano coraz to dalsze piekarnie-giganty, a i tak z trudem zaspakajano rosnący wciąż popyt.

W mej skali wyglądało to tak, że po pracy na ogół nie mogłem już kupić zwykłego chleba, za to niejednokrotnie widziałem, jak stojący przede mną w kolejce, wykupywali po 8-12 bochenków. Mianowicie niedaleko na mej ulicy były końcowe przystanki kilku linii autobusowych do miejscowości i przysiółków na zachód od Krakowa. Ich mieszkańcy, pracujący w Krakowie, wracając do swych gospodarstw, wieźli zwykle wielkie toboły

chleba.

Rząd próbował w 1970 roku podnieść trochę ceny głównych artykułów żywnościowych, z wiadomym jednakże gdyńsko-gdańskimi skutkami. Wyszło na to, że "naród roboczy" nie pozwolił również na drugą próbę zwwyżki cen detalicznych żywności w 1976 roku. Możliwe to stało się dopiero w stanie wojennym 1982 roku, przy starannie przygotowanych rekompensatach płacowych, a ostatecznie po 1989 r. w ramach wolnej gry kapitalistycznej gospodarki rynkowej, już bez większych ceregieli rekompensacyjnych.

W lipcu 1976 r. znów pojechaliśmy na zagraniczną wycieczkę, korzystając, podobnie jak w roku poprzednim, z usług "Juventuru". Tym razem była to bardzo atrakcyjna, tylko jednotygodniowa, ściśle turystyczna, wycieczka autokarowa do Pragi i Budapesztu. Ja w Pradze Czeskiej już gościłem i zwiedzałem ją starannie, ale zdarzyło się to dawno, bo 14 lat wcześniej, więc byłem ciekaw, czy znów to miasto zachwyci mnie, jak ongiś. Kasia i nasi chłopcy stolicy czeskiej jeszcze nie widzieli, a wszyscy razem po raz pierwszy jechaliśmy do Budapesztu.

W centrum Pragi Wycieczka miała przewodnika, w trakcie zwiedzania miast korzystaliśmy z własnego autokaru, więc bardzo dużo zobaczyliśmy i dowiedzieliśmy się o obydwu wielkich miastach. Kwaterowaliśmy w peryferyjnych, trzeciorzędnych hotelach, a serwowane nam posiłki nie dla wszystkich były jadalne, jak choćby czeskie knedliczki. Za to sam program turystyczny, jak i dwie biesiadne kolacje - jedna z krwistym befsztykiem i śpiewami w praskiej piwiarni "U Kalicha", druga z pięprzonym gulaszem, przy cygańskiej muzyce, w zajeździe na Wzgórzach Gellerta w Budapeszcie - były fantastyczne.

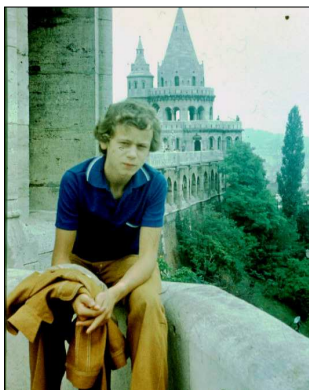


W centrum Pragi

Zaś w pobliżu, na stoku wzgórza, "Złata ulicka" z miniaturowymi kamieniczkami i sklepikami, wypełnionymi drobiazgami pamiątkowymi.

W dniu na "dowolne zajęcia" rodzinnie przejechaliśmy się pierwszą, czynną już od dwóch lat, 16-kilometrową linią metra na kierunku północ-południe. Pojechaliśmy gdzieś daleko, gdzie metro wyszło z tunelu na wiadukt nad jakąś doliną, rzeczką i parkiem czy lasem. W czasie naszego pobytu budowana była intensywnie druga linia praskiego metra na kierunku wschód-zachód. W związku z tym w południowej części placu Vac-lavske Namesti były wielkie wykopy, w tym bowiem miejscu obie linie się krzyżowały. Stacje metra i tabor trakcyjny w Pradze były bardzo nowoczesne, stacje błyszczały marmurami, aluminium, szkłem i światłami.

Po trzech dniach spędzonych w pięknej Pradze, autokar zawiózł naszą grupę wycieczkową do stolicy WRL. Budapeszt skupia prawie 1/5 ludności Węgier i odgrywa podobną dominującą rolę w państwie, jak Kopenhaga w Danii. Natomiast, podobnie jak Praga, posiada bardzo malowniczą lokalizację, rozpościerając się na wzgórzach nad Dunajem, wśród bogatej zieleni. Z tym, że wzgórza te wznoszą się na prawym brzegu rzeki, gdzie znajduje się dzielnica Buda, a lewobrzeżny Peszt leży na równinie. Natomiast architektonicznie Budapeszt podobny jest do Wiednia, chyba dlatego, że śródmieścia obu miast ukształtowały się w drugiej połowie XIX wieku, w najlepszym okresie Cesarstwa Austro-Węgier.



Na Wzgórzu Zamkowym zeńw autokarem objechaliśmy szereg dzielnic Budapesztu, a zwiedziliśmy głównie: Wzgórze Zamkowe z Zamkiem Królewskim i kościołem św. Macieja, Wzgórze Gellerta, mosty śródmiejskie, mozaikową wieżę. W sąsiedztwie kościoła koronacyjny królów węgierskich, mury obronne z koronkowymi wieżami, a wszystko wykonane w białym kamieniu, co nadawało całości swoisty koloryt. Za murami znajdował się stromy stok wzgórza, opadający wprost przed bulwary naddunajskie, można było zejść na dół długimi serpentynami schodów. Z góry natomiast rozciągał się widok na Dunaj i nieomal cały Peszt, sięgający aż po horyzont. Podobne widoki rozciągały się ze Wzgórza Gellerta, na którego szczycie stał monumentalny Pomnik Zwycięstwa w II wojnie światowej.

Po zwiedzeniu wzgórz Budy zeszliśmy na bulwar nad Dunajem przy przyczółku oryginalnego stalowego mostu wiszącego św. Małgorzaty. Most ten jest bardzo podobny do mostu Grunwaldzkiego we Wrocławiu, tylko znacznie dłuższy i zapewne starszy. Metrem dojechalśmy do Placu Arpada, którego dominującym akcentem jest konny pomnik księcia Arpada, założyciela państwa węgierskiego. Plac z jednej strony ograniczony jest półkolistą kolumnadą z pomnikami królów węgierskich, a po bokach dużymi klasycystycznymi budynkami muzeów. Zwiedziliśmy jedno z nich, w którym, między innymi, była kolekcja, jeśli tak można powiedzieć, mumii faraonów egipskich, jakie pierwszy raz zobaczyłem. Za kolumnadą placu był duży park, a nieco dalej Wesołe Miasteczko, pełne różnorodnych karuzel i grot skalnych z różnymi urządzeniami rozrywkowymi.



Na drugim brzegu Dunaju gmach Parlamentu

Z Wesołego Miasteczka wracaliśmy metrem. Budapeszt miał wtedy dwie linie metra. Jedno krótkie, 3,5-kilometrowe, wybudowane u schyłku XIX w., jako najstarsze w kontynentalnej Europie. Jego niewielkie stacje i ciasne wagony służyły już raczej głównie jako atrakcja turystyczna. Dla celów szybkiej komunikacji miasto miało nową 20-kilometrową linię, wybudowaną w latach 60-tych, a bardzo podobną do metra praskiego.

Na własną rękę zwiedziliśmy jeszcze wyspę św. Małgorzaty na Dunaju, położoną w samym centrum miasta, słynną z licznych kąpielisk krytych i otwartych, zasilanych ze źródeł termalnych i mineralnych wód, jakich wiele w mieście. Oraz olbrzymi koronkowy gmach Parlamentu Węgierskiego i jego okolice: duży plac z jakimś konnym pomnikiem, bulwary naddunajskie i kawiarenkę, w której raczyliśmy się kawą i pysznymi lodami.

Od 17 lipca do 1 sierpnia 1976 r. odbyły się w Montrealu kolejne Igrzyska Olimpijskie. Startująca w nich polska reprezentacja sportowa odniosła znów, podobnie jak w poprzednich olimpiadach, spory sukces, zdobywając 24 medale, w tym 7 złotych. Między innymi Irena Szewińska w biegu na 400 m zdobyła już swój trzeci złoty medal na olimpiadach. Wielką niespodzianką było złoto młodego Jacka Wszoły w skoku wzwyż. Natomiast 28 lipca wydarzyło się w Chinach tragiczne trzęsienie ziemi, które spowodowało śmierć około 750 tys. ludzi. Był to kataklizm przyrody, jaki przyniósł największe ofiary w XX wieku, a być może także w całej historii ludzkości.

Drugie trzęsienie, tym razem o skutkach politycznych, miało miejsce w Chinach 9 września, gdy zmarł przywódca państwa, faktyczny twórca Chińskiej Republiki Ludowej, Mao Zedong. Jego śmierć zakończyła tzw. "Rewolucję kulturalną", jaka od kilku lat skutecznie wyniszczała polityczne i gospodarcze struktury tego największego państwa na świecie. Ostatecznie Chiny weszły wtedy na drogę budowy rynkowej gospodarki socjalistycznej.

Pewnego sierpniowego wieczoru na melinie pod naszymi oknami było szczególnie hałaśliwie. Zaczęło się, jak zwykle, bardzo niewinnie, od gry na gitarze i przyśpiewek. W miarę upływu czasu i alkoholu, robiło się jednakże coraz głośniejsze i zmuszony byłem pozamykać okna, jak czyniłem to już wielokrotnie, by oszczędzić swoje, a zwłaszcza synów, uszy przed potokiem "gwarowych" słówek. Około godziny dziewiątej to już był tylko jeden wielki wrzask i klótnie. W pewnym momencie usłyszałem jeszcze jakiś pojedynczy okrzyk, bodaj "ORMO!" i zapadła nagle cisza. Skoczyłem do okna i zobaczyłem między drzewami kilka cieni, próbujących przeskoczyć płot i żywopłoty oraz wbiegających gęsiego przez furtkę do ogródka kilkunastu cywili. Po chwili wyprowadzili oni wszystkich wyłapanych uczestników libacji na ulicę. Zdarzenie to utkwilo mi mocno w pamięci, bo od tego czasu podokienna melina przestała funkcjonować na okres około 5 lat.

Po ośmiu latach gościliśmy w naszym mieszkaniu znajomego Kasi z pracy, któremu żyrowała pożyczkę w banku. Przyszedł on ze swym kolegą, drugim żyrantem. Rozmawialiśmy o różnych sprawach i opowiedziałem im o tej sąsiedzkiej melinie. Wtedy ten kolega kolegi żony zaczął się śmiać i wyjawiał, że to on kierował grupą ormowską, która melinę zlikwidowała. Zapytałem, co wówczas zrobili, że przez tyle lat było spokojnie. Wyjaśnił szczerze, iż bynajmniej nie zaprowadzili delikwentów na komendę MO, dostaliby oni wówczas jakieś małe mandaty, a melina funkcjonowałaby dalej. Natomiast zawieźli wszystkich nyską do kamieniołomu w Zakrzówku i tam, po kolei, każdy z nich otrzymał porcję ojcowskich pasów na gołe siedzenie. Z równoczesnym ostrzeżeniem, że jeśli zagoszczą powtórnie na melinie, to rodzona matka ich nie pozna. To faktycznie poskutkowało znakomicie.

W latach 70. wyjazdy na zorganizowane wczasy krajowe, a także zagraniczne, stały się bardzo powszechne i stanowiły właściwie normę życiową znacznej większości społeczeństwa polskiego. Głównie mieszcuchów, ale także, w co raz większym stopniu, również mieszkańców wsi.

Wyjeżdżało się zwykle na wczasy zakładowe, to znaczy organizowane przez związki zawodowe poszczególnych zakładów pracy we własnych domach wypoczynko-

wych. Duże i bogate przedsiębiorstwa najczęściej same budowały dla siebie, niekiedy bardzo okazałe, domy wypoczynkowe w renomowanych miejscowościach wypoczynkowo-turystycznych. Przodowały w tym zakresie zakłady i związki zawodowe górnicze, hutnicze i budowlane. Na przykład akurat oddane zostały do użytku dwa duże reprezentacyjne obiekty sanatoryjno-wypoczynkowe "Budowlanych" w Krynicy i Szczawnicy.

Mniejsze zakłady pracy zadawały się wynajmowaniem na wypoczynek dla swych pracowników kilku mieszkań, czy pokoi, w istniejących, najczęściej prywatnych domach. Tak na przykład czyniło moje biuro projektowe, wynajmując 6 pokoi w dużym, prywatnym domu mieszkalnym w Zakopanem. Gospodarze, starsze małżeństwo, zatrzymali dla siebie tylko 2 pokoje. Reszta została odremontowana i umeblowana, za pieniądze naszego biura, na pokoje hotelowe, w jednym urządzono wspólną kuchnię z kuchenką na gaz z butli, a w suterrenach małą świetlicę z telewizorem i stołem ping-pongowym.

Biuro zakupiło też pełne wyposażenie dla tego własnego "ośrodka", łącznie z odkurzaczem i naczyniami kuchennymi. Nadzór i opiekę nad nim, oraz rozdzielnictwo skierowań, należały oczywiście do zakładowego koła związkowego. I trzeba powiedzieć, że wykorzystywany był praktycznie przez cały rok. Ja sam jeździłem tam wielokrotnie z żoną, w latach późniejszych, gdy nasi synowie chadzali już własnymi ścieżkami.

W każdym bądź razie w latach 70. miał miejsce bardzo szybki rozwój zakładowej bazy turystyczno-wypoczynkowej. Równie intensywnie budowało nowe hotele, na ogół o bardzo wysokim standardzie, Polskie Biuro Podróży "Orbis", które przejmowało całą turystykę zagraniczną. Jeszcze bardzo dużą, ale szybko relatywnie malejącą, rolę w obsłudze krajowej turystyki i wypoczynku spełniał Fundusz Wczasów Pracowniczych. Dysponował wielką ilością domów wypoczynkowych, zwłaszcza w Karkonoszach i na Wybrzeżu środkowo-zachodnim i oferował bardzo tanio swe usługi, zwykle w nieco niższym standardzie niż ośrodki zakładowe. Istniały jeszcze inne, liczne instytucje i organizacje zajmujące się wypoczynkiem, a zwłaszcza turystyką, jak PTTK, "Turysta", "Juventur", "Almatur", "Gromada", ale miały one znacznie mniejszy zasięg i znaczenie.

Generalnie biorąc, mimo bardzo szybkiej rozbudowy bazy wypoczynkowo-turystycznej w Polsce - w latach 70. popyt w tym zakresie, jeszcze szybciej wzrastający, przewyższał podaż. Wymyślono więc nową, szybko szeroko spopularyzowaną, formę spędzania urlopów, tak zwane "wczasy pod gruszą", czyli zorganizowany pobyt urlopowy w prywatnych kwaterach na wsi. Organizatorzy, a zajmowały się tym prawie wszystkie agencje turystyczne, wynajmowali pomieszczenia w domach prywatnych, opłacali wyżywienie w miejscowych gospodach i organizowali jakiś program wycieczkowo-kulturalny dla swych klientów.

W sierpniu 1976 roku, korzystając z usług Ogólnokrajowej Spółdzielni Turystycznej "Gromada", wybraliśmy się rodzinnie właśnie na takie dwutygodniowe wczasy "pod gruszą" do Łącka. Jest to duża wieś w Beskidzie Żywieckim, 20 km na zachód od Nowego Sącza. Znana jest jako ośrodek sadownictwa, który funkcjonuje na zasadzie zblokowania niewielkich indywidualnych sadów w duże arealy, uprawiane i pielęgnowane zespołowo, przy wykorzystaniu najnowszych doświadczeń i technologii sadowniczych. Wieś ponadto znana jest też z domowej produkcji wódki śliwowicy, zgodnie z nadanymi jej przed kilkuset laty przywilejami królewskimi.

Mieliśmy przed sobą urlopową perspektywę spokojnego wylegiwania się na brzegu rzeki Dunajca z widokami zielonych wzgórz, bez zgiełku i hałasu ludzkiego. Faktycznie kilka dni przeleżeliśmy z Kasią na leżakach, opalając się, gdy chłopcy grali w kometkę. Grzesiek ponadto malował olejny obraz. Właściwie to od najmłodszych lat ujawniał on zamiłowanie i talent do rysowania. Rysował dużo i chętnie, najwyraźniej z wewnętrznej potrzeby, kolejno zmieniając kolorowe kredki na akwarelę i pastele, a od kilku miesięcy korzystał z farb olejnych. Właśnie do Łącka zabrał ze sobą mały, już zagruntowany,

blejtram płócienny i komplet moich farb olejnych, z zamiarem namalowania górskiego pejzażu. Wypatrzył odpowiednie miejsce widokowe, usadowił się na małym zydelku i w ciągu dwu dni, z przerwami, zrealizował swój plan. Nawiasem mówiąc, ten widok zakreślu Dunajca na tle zalesionych wzgórz, oczywiście oprawiony w ramki, wisi w moim mieszkaniu do dzisiaj.

Po kilku dniach takiego biernego wypoczynku ruszyliśmy jednakże na turystyczne szlaki, wiodące w pobliże Pieniny. Najpierw wszakże zwiedziliśmy Nowy i Stary Sącz, urocze, zadbane, najwidoczniej wówczas dobrze gospodarzone, miasta. Nigdy w nich wcześniej nie byłem.

Pieniny zdobywaliśmy, wraz z kilkunastoosobową grupą, z Krościenka, do którego dojechalśmy autobusem. Rok wcześniej ta właściwie duża wieś została połączona z odległą o 2 kilometry Szczawnicą w jeden organizm miejski. Marsz na Trzy Korony, najwyższy szczyt w Pienińskim Parku Narodowym, był dosyć forsowny, gdyż różnica wysokości, jaką musieliśmy pokonać, wynosiła prawie 600 m. Na szczęście tu i ówdzie szło się schodkami wykutymi w skale, przy korzystaniu ze stalowych poręczy. Trud wspinania wynagrodziła nam wspaniała panorama widokowa za szczytu na przełom Dunajca, wijącego się na dole między kopami zielonych wzgórz.

Kolejnego dnia, też z liczną grupą turystyczną, pojechalśmy autobusem do Czorsztyna, gdzie zaczyna się przełom Dunajca przez pasmo Pienin. Tam, na przystani rzecznej, załadowaliśmy się na tratwy, wiązane z pięciu długich koryt drewnianych, i góralscy flisacy powieźli nas w dół rzeki. Rok 1976 był bodaj ostatnim, w którym spływ tratw przełomem Dunajca rozpoczynał się w Czorsztynie. W następnym roku rozpoczęła się tam budowa wielkiej zapory retencyjnej i przystań dla tratw przeniesiona została do Sromowic Wyżnych.

Początkowo spływ był spokojny, gdy jednak minęliśmy ruiny zamku w Niedzicy i Sromowice Wyżne, nurt stał się bardziej bystry, a koryto Dunajca węższe. Wjechaliśmy w wąski kanion między wysokimi wzgórzami. Kilka razy flisak kazał nam zgadywać, w jaką stronę tratwa popłynie, gdy minimy leśne ściany. Faktycznie trudno było się tego domyślić. Po około 3-godzinnym spływie tratw, przycumowaliśmy do końcowej przystani w Szczawnicy.

Spływ Dunajcem

W doskonałych humorach, po pełnej wrażeń rzecznej wędrówce i opowieściach flisackich, wybraliśmy się na zwiedzanie Szczawnicy. Byłem w tym mieście w latach 50-tych, jeszcze w czasach swego kawalerstwa, i mogłem ocenić, że bardzo się ono zmieniło. Drewnianych pensjonatów-szop było już niewiele, natomiast przybyło sporo nowych, nowoczesnych domów sanatoryjno-wypoczynkowych. Szczawnica, jak sama nazwa wskazuje, ma bowiem bogate złoża mineralnych wód szczawiowo-alkalicznych, które wykorzystywane są w celach leczniczych, głównie do leczenia chorób układu oddechowego.

Nie mieliśmy wszak za dużo czasu na



Kasia z Maćkiem w Szczawnicy na spacerze

zwiedzanie miasta, gdyż po obiedzie w dużej, też nowiutkiej, restauracji, wraz z naszą grupą wycieczkową poszliśmy do Wąwozu Homole. Była to również wspaniała, chociaż nieco forsowna, wycieczka. Słońce prażyło, więc chłopcy porozbiegali się do pasa. Wreszcie wyszliśmy na płaskowyż z rozległymi łąkami, usianymi białymi skałkami, pomiędzy którymi pasły się stada owiec.

Do Szczawnicy przyjechaliśmy jeszcze raz następnego dnia, już bez grupy wycieczkowej, ze specjalnym zamiarem jej zwiedzenia. Przez dłuższą chwilę wypoczywaliśmy w holu najwyższego w mieście 12-kondygnacyjnego obiektu sanatoryjno-wypoczynkowego "Budowlanych", który całkiem niedawno został oddany do użytku. Zabawiliśmy w pięknym kurorcie właściwie cały dzień, nie wracając nawet na obiad do Łącka. Był to ostatni dzień naszego pobytu w tym uroczym zakątku ziemi sądeckiej. Pod każdym względem nasze wczasy "pod gruszą" były bardzo udane, a zakończyły się ściągnięciem bulgarskimi upałami.

We wrześniu szesnastoletni Maciek rozpoczął naukę w drugiej klasie licealnej, prawie dorównywał mi wzrostem i nosił wąsy. Trzynastoletni Grześ rozpoczął naukę w ostatniej ósmej klasy szkoły podstawowej, nosił długie włosy, przerósł swą mamę wzrostem i rósł szybko dalej, a trzymał się tak prosto, jakby kij połknął. Mimo, że obaj mieli już swe własne sprawy i problemy, oraz zdanie w różnych kwestiach, to nie trzeba było wiele ich namawiać do wspólnych wycieczek i spacerów. W ogóle w sposób absolutny połknęli bakcyła podróży, co ujawnić się miało wyraźnie za 3-4 lata, gdy zaczęli swe liczne wojaże zagraniczne, oczywiście bez naszego, rodziców, towarzystwa.

Tymczasem chętnie wszędzie z nami chodzili. Ja jesienią 1976 r., po skończeniu prac przy dokumentacji projektowej na budowę Telewizyjnej Wytwórni Filmowej, miałem zdecydowanie więcej czasu dla siebie. Postanowiłem więc również pochodzić nieco po Krakowie i zobaczyć co nowego w mieście w ostatnich latach wybudowano. Z Grzesiem zwiedziliśmy całą starą Nową Hutę i jej nową dzielnicę Bieńczyce. Różniły się one między sobą przede wszystkim tym, że stara NH to jakby jeden wielki park, a w Bieńczycach drzew jest znacznie mniej i jeszcze wówczas nie wiele wyrosły. Za to o wiele więcej było tam wysokich, kilkunasto kondygnacyjnych budynków mieszkalnych.

Potem spenetrowaliśmy rejon ul. Reymonta, wzdłuż której zrealizowany został cały kwartał gmachów dydaktycznych i usługowych dla Akademii Górniczo-Hutniczej. Jeśli uwzględnić wybudowane za nim miasteczko akademickie, to powstał wzdłuż ul. Reymonta pas nowej zabudowy o długości 1.400 i szerokości 200-300 metrów. Kilkaset metrów dalej funkcjonował już oddany latem do użytku 12-kondygnacyjny hotel Holiday-Inn. Oglądnęliśmy estetyczne wnętrza restauracyjne i hole, ja dodatkowo interesowałem się rozwiązaniem klimatyzacji w budynku. Dzięki recepcjoniście co nieco podglądałem. W każdym bądź razie przewody wentylacyjne wykonane zostały przez francuskiego inwestora w sposób nowoczesny z rur z tworzywa sztucznego, podczas gdy w TWF zaprojektowaliśmy przewody tradycyjnie z blachy ocynkowanej.

Nawet w starym Parku Jordana sporo się zmieniło. Usypana została tam wysoka górką saneczkowa dla dzieci, przy czym z drugiej jej strony wykonano widownię amfiteatralną nad sadzawką-brodzikiem dla maluchów. Urządzono również miasteczko rowerowe z asfaltowymi alejkami do nauki i trenowania jazdy na rowerkach dla dzieci i młodzieży. Nasi chłopcy chętni z nich potem korzystali.

Wiele razy zaglądaliśmy, przy okazji różnych imprez, i bez specjalnych okazji, do wspaniałego krakowskiego Rynku Głównego. Zwykle spacer ten kończył się ciastkami, kawą lub lodami, w jednej z licznych kawiarenek Starówki. Nie gardziliśmy również spacerami na Kopiec Kościuszki, gdzie na dachu fortu poaustriackiego urządzona została kawiarenka z widokami na cały Kraków.

Nasza syjamka Czika miała już 10 lat i była leciwą kocią staruszką. Jednakże niezmiennie cieszyła się serdeczną opieką całej naszej rodziny, a największym uczuciem darzył ją Grzesiek. Z nim zresztą spała w nocy. Lubiła ona gryźć świeżą trawę i Grześ latem niekiedy brał ją na łączkę, gdzie "pasła" się na smyczy. Do mnie chętnie przychodziła, gdy coś pisałem, czy rysowałem, przy stole, i sadowiła mi się wygodnie na szyi i ramionach.

W drugim półroczu 1976 r. budowa TWF w Łęgu prowadzona była już szerokim frontem. Generalny wykonawca to jest ZBM "Budopol" zagospodarował już plac budowy przez wybudowanie prowizorycznych dróg transportowych, doprowadzenie rurociągu wodnego, budowę baraku kierownictwa budowy i tymczasowej stacji transformatorowej oraz ogrodzenie całego rozległego terenu inwestycji. Ukończony został również montaż wielkiego magazynu rekwizytów filmowych, który w okresie budowy TWF służył z powodzeniem na magazyn budowlany.

Rozpoczęta została także budowa segmentów B-1 i B-2 budynku głównego, na które najwcześniej biuro dostarczyło dokumentację realizacyjną. Od samego początku tempo robót było bardzo szybkie. Tempo to potem utrzymane zostało jeszcze przez 3 lata, do czasu ukończenia stanów surowych całości budynku głównego TWF. Załamanie cyklu inwestycyjnego nastąpiło jeszcze później, w latach 1980-81, które spowodowały opóźnienie uruchomienia Wytwórni o 10 lat, w stosunku do terminu pierwotnie planowanego. Cały czas kierownikiem budowy z ramienia generalnego wykonawcy był Ludwik Kania.

We wrześniu opracowałem w biurze dwie koncepcje projektowe. Jedna z nich dotyczyła Domu Pracy Twórczej KRiTV w Zakopanem. Mianowicie TVP zakupiła okazję, z własnych funduszy, duży dom jednorodzinny w rejonie ul. Strążyskiej. Właścicielka wyjeżdżała do USA, do swych synów, i zmuszona była sprzedać swój rodzinny dom. Prezes TVP M. Szczepański zdecydował, by przebudować go na dom wypoczynkowy dla pracowników telewizyjnych. Zlecenie na opracowanie stosownej dokumentacji projektowej trafiło do mnie osobiście. Otrzymałem tylko dwie dyrektywy. Po pierwsze, żeby w budynku wygospodarować możliwie jak najwięcej pomieszczeń hotelowych, a po drugie, że ośrodek ma mieć najwyższy standard jakościowy.

Pojechałem na wizję lokalną na kilka dni, zatrzymując się zresztą w naszym biurowym domu pracy twórczej przy ul. Za Strugiem, skąd akurat miałem niedaleko. Wykonałem rysunki inwentaryzacyjne przebudowywanego obiektu i, konsultując się potem z dyrekcją krakowskiego OTV, szybko opracowałem zleconą mi koncepcję. Z zewnątrz budynek prezentował się zupełnie dobrze i nie wymagał żadnych poważniejszych zmian. Wewnątrz doprojektowałem klatkę schodową na obszerne poddasze, wykorzystując je na kilka pomieszczeń gościnnych. W suterenie zaprojektowałem małą salkę konferencyjną-swiećlicę, saunę i komórkę na piec centralnego ogrzewania, gdyż zlikwidowałem dotychczasowe piece węglowe. W parterze też pokoje gościnne i utrzymałem istniejącą kuchnię, z możliwością korzystania z niej przez wszystkich pensjonariuszy.

Przewidywałem, że większość pomieszczeń zostanie wyłożona drewnianą boazerią, pomieszczenia sanitarne flizami na całą wysokość, posadzki w korytarzach płytkami marmurowymi, a w pokojach wykładziną dywanową itp. Koncepcja została od razu zaakceptowana z jednym zaleceniem, by kuchnię powiększyć i wyposażać tak, żeby



Grześ z Czika

mogła serwować pełne posiłki dla wszystkich pensjonariuszy, względnie uczestników różnych konferencji, czy przebywających w ośrodku gości zagranicznych. Odpowiedziałem, iż za mało jest miejsca, aby urządzić taką pełnoprofilową kuchnię typu restauracyjnego, a w każdym razie nie można spełnić warunków techniczno-sanitarnych, jakie wymaga normatyw projektowania takich kuchni. Wymagał on na przykład oddzielenia ruchu czystego (naczynia, potrawy) od ruchu brudnego (odpady) itp.

Zostałem więc zawezwany przez prezesa M. Szczepańskiego do Warszawy. Tam jego zastępca p. J. Patyk tłumaczył mi w swym gabinecie, że to jest niezbędne. Ja się uparłem i powiedziałem, że doskonale go rozumiem, ale nie mogę projektować niezgodnie z normatywem, wbrew bardzo ostrym, niestety, przepisom sanitarnym. Chyba się nieco zdenerwował. Po czym prezesi ocenili, że wystarczy im taki projekt, jaki wykonałem, a kuchnię sobie sami zaprojektują.

Faktycznie Komitet zadziałł błyskawicznie. Wydelegowano do Zakopanego pracownika Wydziału Inwestycji OTV-Kraków, energiczną D. Zapałową, dając jej odpowiednie pełnomocnictwa finansowe. Na miejscu angażowała ona ekipy budowlane i instalacyjne, cieśli, fliziarzy, dokonywała zakupów materiałowych i wyposażenia i na sezon letni następnego roku ośrodek był już czynny. Nie wiem, nie pytałem, jak rozwiązano dylemat kuchni, ale z przyjemnością oglądałem część pomieszczeń, jakie pilnujący obiektu sąsiad-portier mi udostępnił później na jesieni 1980 r.

Drugim tematem, jaki wtedy opracowałem, była koncepcja projektowa dużego ośrodka szkoleniowo-wypoczynkowego dla potrzeb KRITV w Rytrze. Znow pojechałem na wizję lokalną, wyobraziłem sobie na miejscu, jak obiekt mógłby wyglądać, i po powrocie szybko w małej skali narysowałem. Według opracowanej koncepcji ośrodek miał 250 miejsc hotelowych w dwu czterokondygnacyjnych blokach, połączonych parterową przeziąską, grupującą pomieszczenia ogólnousługowe o łącznej kubaturze 25 tys. m³. Oba skrzydła hotelowe miały być realizowane w nowoczesnej technologii monolitycznej z zastosowaniem szalowań typu "Antinard", stosowanych akurat przy budowie Hotelu Kongresowego "Forum" w Krakowie. Projekt niestety nie miał swej kontynuacji, gdyż KRITV zadowolili się ostatecznie zakupem jakiegoś mniejszego, istniejącego obiektu wypoczynkowego.

Ostatniego dnia września 1976 r. Kasia urządziła przyjęcie urodzinowe. Normalnie nie obchodziliśmy rocznic urodzinowych, a jedynie imieniny. Ale tym razem okazja była szczególna. To ja musiałem, za jednych razem, zdmuchnąć palące się świece na torcie urodzinowym. Nie miałem z tym problemów, bo świeczek było tylko pięć. Tyle, że każda z nich symbolizowała dziesięć lat życia. Chyba ciekawego i nie zmarnowanego.

W dniu 16 października 1976 r. w Krakowie miało miejsce wielkie patriotyczno-państwowe wydarzenie, którym było odsłonięcie odbudowanego Pomnika Grunwaldzkiego na placu Matejki. Głównym akcentem pomnika jest konny posąg króla Jagiełły, stojący na wysokim postumencie, otoczonym przez symboliczne postacie rycerzy. Ogólny kształt monumentu, zaprojektowanego przez znanego rzeźbiarza krakowskiego Mariana Koniecznego, wzorowany był na przedwojennym pomniku Grunwaldzkim, jaki Niemcy zburzyli już w pierwszych dniach okupacji we wrześniu 1939 r. Tym niemniej rekonstrukcja pomnika wywołała kilkuniesięczne zażarte spory i dyskusje w krakowskiej prasie, a chodziło głównie o ustawienie rzeźby konia bokiem, łbem, lub ogonem od strony Barbakanu, gdy z drugiej strony placu jest kościół św. Floriana.

Ostatecznie posąg konny Jagiełły stoi przodem do Barbakanu, przy czym jego montażowi przyglądały się tłumy Krakowian. A był on bardzo spektakularny. Mianowicie mosiężny odlew posągu wykonany został w Gliwicach i stamtąd przetransportowany przez helikopter na Błonia Krakowskie. Sam montaż odbył się również z powietrza, przy

pomocy wielkiego helikoptera Mi-4, który przy pięknej pogodzie, w samo południe 16 października, przeniósł posąg ponad Śródmieściem i zawisł na kilkanaście minut nad kamiennym postumentem, w którym został on na stałe zakotwiony.

2 listopada 1976 r. wybrany zostałem uchwałą Rady Narodowej m. Krakowa na ławnika ludowego do Sądu Wojewódzkiego w Krakowie na trzyletnią kadencję 1977-1980. Nie wiem w jakim trybie odbywała się ta nominacja, prawdopodobnie kandydaturę zgłosiło moje biuro projektowe, a przy wyborze kierowano się wiekiem, stażem pracy, posiadanymi odznaczeniami itp. W każdym bądź razie wyznaczoną mi nową, egzotyczną funkcję przyjąłem jako wyróżnienie i wziąłem udział w kilku szkoleniowych spotkaniach nowych ławników, które odbyły się w następnych dwóch miesiącach. Złożyłem odpowiednie ślubowanie, otrzymałem legitymację ławnika, po czym zostałem poinformowany, że przez pewien czas traktowany będę jako ławnik rezerwowy. Faktycznie przez ponad pół roku nie byłem wzywany na żadne rozprawy.

Lata siedemdziesiąte były bardzo korzystne dla biur projektowych. Chyba wszystkie pracowały na pełnych obrotach, niekiedy z trudem nadążając z realizacją powodzi zleceń inwestorskich na coraz to nowe inwestycje. Trwał bowiem w Polsce wielki boom inwestycyjny w ramach gierkowskiej dekady ożywienia gospodarczego. Budowało się wszędzie bardzo dużo, a jeszcze więcej przygotowywano dokumentacji projektowej.

Nakłady inwestycyjne na rozbudowę gospodarki w poszczególnych latach były bardzo wysokie i wynosiły po około 30 % całego dochodu narodowego. To też bardzo szybko wzrastała produkcja materialna, na przykład w 1976 r. wyprodukowano stali 16, cementu 18, węgla 180 milionów ton, mieszkań 250 tysięcy. W setkach tysięcy sztuk liczyła się również roczna produkcja licencyjnych samochodów Fiat-125 na Żeraniu w Warszawie i Fiat-126p w nowych fabrykach w Tychach i Bielsku-Białej.

To ożywienie gospodarcze lat 70-tych dotyczyło również naszego biura projektowego KBPBBO. Widoczne też było ono we wzroście zarobków projektanckich, także moich. Średnia zarobków w gospodarce społecznej w Polsce w 1975 roku wynosiła około 3.200 złotych. Natomiast moja płaca podstawowa wynosiła 5000 zł, zaś moje zarobki brutto, wraz z kwartalnymi premiami, oscylowały w latach 1971-76 pomiędzy 10 i 12 tys. zł. Premie przewyższały więc nieco pensje, co było możliwe dzięki mej dużej wydajności pracy i nienormowanemu czasowi pracy w systemie akordowo-rozliczeniowym, jaki w biurach projektowych wówczas obowiązywał. Zarabiałem więc ponad trzykrotnie więcej niż wynosiły średnie zarobki w kraju. Można powiedzieć, że swe obowiązki zapewnienia bytu materialnego rodzinie wykonywałem wzorowo.

Jednakże żona "przebijała" mnie pod tym względem, bowiem ja tylko produkowałem pieniądze, natomiast ona, zarabiając więcej niż 1/3 tego co ja, miała dodatkowo na swej głowie całą resztę sfery rodzinnej. Prowadziła kuchnię, czyli wykonywała zakupy żywności i przyrządzała oraz gotowała posiłki. Doszła w tym do takiej wprawy, że np. na przyjęciach "nokautowała" biesiadników. Na pewno mogłaby prowadzić jakąś ekskluzywną restaurację. Ubierała też całą rodzinę, a miała w tym względzie zawsze dobry gust i rozeznanie aktualnej mody. Więc ona i synowie "nosili się" jak modele w żurnalach, a i dla mnie kupowała wszystko od butów i skarpetek po kapelusze i krawaty. Również mieszkanie z bieżącymi zakupami mebli, sprzętów, wyposażenia, oraz utrzymanie w nim porządków i czystości, było w jej gestii. Zrozumiałe, że w takim wariacie gospodarki rodzinnej Kasia "trzymała" kasę, zresztą bez zbędnej dla niej uwagi. Niebagatelnym obciążeniem naszej wspólnej kasy były także, co najmniej dwukrotnie w ciągu roku, wyjazdy na wczasy i wycieczki, często zagraniczne. Czyniąc bilans życiowy, z perspektywy wielu, wielu lat uważam jednak, że były to najlepsze inwestycje poczynione w moim życiu.

MANEWR GOSPODARCZY

**Stożki w Ustroniu * Grześ w Liceum Plastycznym * Drezno - Berlin *
Szkoła Brzącowice * Wczasy w Augustowie * Polski papież**

Po niespełna dwóch latach pracy F. Cedrowski, kierownik pracowni PW-2, zrezygnował z pracy w KBPBBO. Dyrektor biura zaproponował mi, bym z powrotem objął tę funkcję, którą zresztą sprawowałem przedtem przez 9 lat. Ukończyłem już prace projektowe, związane z budową I-szego etapu Telewizyjnej Wytwórni Filmowej, i aktualnie nie opracowywałem żadnego większego tematu. Zgodziłem się więc i znów od lutego 1977 r. w ramach $\frac{3}{4}$ etatu kierowałem pracownią, zaś w $\frac{1}{4}$ etatu prowadziłem własny architektoniczny zespół projektowy. Pracownia nadal miała w miarę „pełne ręce” roboty, choć zleceń inwestorskich było wyraźnie mniej niż w poprzednich sześciu latach. Zmieniła się też nieco problematyka prac projektowych w pracowni. Dominowały wytwórnie prefabrykatów wielkopłytowych, osiedla i budynki mieszkalne oraz pawilony handlowe.

W marcu 1977 r. znów pojechalśmy na dwutygodniowe, rodzinne wczasy, tym razem do Ustronia Śląskiego. Jest to kilkunastotysięczne miasteczko w Beskidzie Śląskim na trasie pomiędzy Skoczowem i Wisłą. Doskonały punkt wypadowy do zwiedzania całego regionu Beskidu Śląskiego od Cieszyna po Szczyrk. W pierwszym rzędzie zaczęliśmy od spacerów po samym Ustroniu, który w latach siedemdziesiątych bardzo się rozbudował. W ogóle do Ustronia jechaliśmy z Katowic autobusem nową, wielopasmową szosą typu autostrady, której budowę doprowadzono ówczesznie do rejonu Skoczowa, a która pomyślana była jako szybkie, wygodne połączenie aglomeracji śląskiej z Ustroniem, Wisłą i Szczyrkami. Te trzy miejscowości stawały się bowiem w dekadzie lat 70. zagłębiem wypoczynkowo-sanatoryjnym dla całego robotniczego Śląska.

W Ustroniu przybyły dwie nowe dzielnice Jaszowiec i Zawodzie, obie zabudowane dziesiątkami domów wypoczynkowych. W Jaszowcu, położonym w malowniczej dolinie rzeczki Jaszowiec, dopływu Wisły, chyba wszystkie ośrodki, na ogół nieduże i średniej wielkości, już funkcjonowały. Na nowszym Zawodziu pracujących domów wypoczynkowych było niewiele, kilka znajdowało się aktualnie w budowie, a na kilku roboty budowlane najwyraźniej zostały wstrzymane. Kilkanaście tych obiektów miało charakterystyczne kształty wielkich 10-piętrowych stożków. Zapewne realizowane były według powtarzalnej dokumentacji, ale różniły się balkonami, ślusarką, kolorystyką elewacji, parterami i standardem wykończenia.



Stożki sanatoryjne w Ustroniu-Zawodziu

W sumie poszczególne budynki prezentowały się bardzo okazale, podobnie jak i całe osiedle hotelowych stożków. Nastrój jego zwiedzania mąciła jednakże świadomość wstrzymania części budów. Było to wyraźnym rezultatem „przegrzania” inwestycyjnego, jakie w 1975-1976 latach zaistniało, zresztą w całej Polsce. Gospodarka kraju, a ściślej finanse państwa, nie były w stanie kontynuować tej lawiny inwestycji, jaką zbyt lekko-myślnie, bez dostatecznej kontroli, uruchomiono w poprzednich latach. Nie starczało środków budżetowych, ani pożyczek zagranicznych, zwłaszcza, że nadszedł już czas spłaty kilkumiliardowych pożyczek dolarowych, zaciągniętych w pierwszych latach sie-

demdziesiątych.

To też rząd wymyślił tak zwany „manewr gospodarczy”. Polegał on na zakazie rozpoczynania nowych inwestycji, wstrzymania niektórych mniej zaawansowanych i ważnych, oraz na koncentracji środków na kończeniu budów ważnych z punktu widzenia gospodarki narodowej. Hotelowe stożki w Ustroniu zakwalifikowane zostały najwidoczniej do tej drugiej kategorii i ich budowę „zawieszono na kołku” na kilka lat, a jak się później w praktyce okazało, faktycznie na lat kilkanaście. Podobny los spotkał też budowę gigantycznego 11-kondygnacyjowego szpitala-sanatorium w Zawodziu, który w tym czasie był zrealizowany w stanie surowym. Gdy byliśmy w Ustroniu, trwały przy nim już tylko pewne roboty zabezpieczające i wywózka maszyn budowlanych.

W ciągu pierwszego tygodnia naszego turnusu wczasowego w Beskidzie Śląskim była piękna, słoneczna pogoda, śnieg zalegał tylko na górskich szczytach. Wykorzystując tę pogodę, już w pierwszych dniach „zdobyliśmy” obie, zdobiące Ustron, ponad 900 metrowe góry - Równicę i Czantorię. Zwiedziliśmy także Cieszyn, Skoczów i Wisłę. W Cieszynie byłem już wcześniej, lecz moja rodzina po raz pierwszy mogła podziwiać to piękne, gospodarne miasto. Również Wisłę zwiedziłem kilkanaście lat wcześniej, ale od tego czasu miasto bardzo się rozrosło. Przybyło wiele nowoczesnych domów wypoczynkowych i sanatoryjnych, które wypełniły całe miasto i stoki otaczających je wzgórzy. Dojechalśmy autokarem aż do zapory energetycznej na jeziorze Czarniańskim, do którego wpływają Czarna i Biała Wiselka i z którego wypływa już jedna rzeka Wisła.

Niestety w połowie turnusu niespodziewanie wróciła zima w Beskid Śląski. W ciągu jednej nocy wszystko dokoła pokryła gruba śnieżna kołdra. Z tego też powodu nie udało się wycieczka do Szczyrku. Autokar dojechał jedynie do przełęczy przy Białym Krzyżu. Dalej z powodu zasp śnieżnych nie można było już jechać i zawróciliśmy do Ustronia. Zamieniliśmy wtedy plener na wizytę u naszych znajomych w DW „Dom Nauczyciela” w Jaszowcu.

Na Święta Wielkanocne 1977 r. po raz kolejny zaproszeni zostaliśmy przez moją siostrę Halinę do Wrocławia. Pojechalśmy również rodzinnie, w czwórkę. Przesiadając się na dworcu PKP w Katowicach, mieliśmy kilka godzin czasu, który wykorzystaliśmy na spacer po centrum miasta trasą od dworca do pomnika Powstańców Śląskich. Nieco dłużej zatrzymaliśmy się jedynie w wielkim nowoczesnym domu towarowym, oddanym niedawno do użytku.

Moja wrocławska rodzina nieco się powiększyła, gdyż Grażynce urodziła się mała Ania. Rzecz jasna kilkumiesięczne niemowlę było tematem rozmów wszystkich pań, więc odciągnęliśmy od tego żeńskiego grona mego szwagra i z nim pochodziliśmy po Wrocławiu. Po raz n-ty wałęsaliśmy się po Rynku Głównym, Ostrowie Tumskim, Świdnickiej, Parku Szczytnickim i ZOO. Ale akurat te fragmenty Wrocławia są tak urokliwe, że można je zwiedzać w nieskończoność, zawsze znajdując jakieś nowe, ciekawe miejsca. Tym razem podziwialiśmy, całkowicie już odnowioną, Katedrę Wrocławską z jej jasnymi wnęttrzami, oświetlonymi przez wielkie kolorowe witraże.

Po powrocie do Krakowa zastałem dwa nowe, nieduże zlecenia dla mnie. Jedno z nich dotyczyło opracowania projektu techniczno-roboczego na ogrodzenie terenu Ośrodka TV w Krakowie. Jest on zlokalizowany na szczycie Wzgórza „Krzemionki” i zajmuje dużą, około 8 ha działkę o obwodzie ponad 1000 metrów. Problemem było tylko to, że część działki leży na stromym stoku, a samo ogrodzenie przebiegało przez teren mocno zadrzewiony, krzewiasty, skalisty i przez place. Projekt zajął mi kilkanaście dni.

Drugie zlecenie dotyczyło wygoszparowania w jednym zbędnym pomieszczeniu montażowni dekoracji w Ośrodku TV na Krzemionkach niedużego studia telewizyjnego

dla emisji kameralnych programów m.in. „Kroniki Krakowskiej”. Chodziło przede wszystkim o sprawdzenie, czy odpowiednia adaptacja pomieszczenia w ogóle jest możliwa, zwłaszcza w aspekcie izolacji dźwiękowej, gdyż w pomieszczeniu były świetliki dachowe, a w niedalekim sąsiedztwie hałaśliwe warsztaty stolarskie. Dodatkowe trudności wiązały się z rozwiązaniem reflektorowego oświetlenia studyjnego i wystroju wnętrz. Projekt nie stanowił wszakże dla mnie większych problemów, bo po opracowaniu Telewizyjnej Wytwórni Filmowej w Łęgu, mogłem uważać się za specjalistę w projektowaniu studiów telewizyjnych, a także hal zdjęciowych.

Za takiego specjalistę potraktowano mnie też najwidoczniej w KRiTV, gdzie zaproponowano mi opracowanie wielkiego centrum telewizyjnego w Lagos, stolicy Nigerii. Biuro Projektowe TV otrzymało bowiem zlecenie na projekt tegoż centrum i rozpoczęło opracowywanie założeń programowych na jego budowę, która zresztą także miała być realizowana przez stronę polską. Inwestycja ta jednak nie doszła do skutku z bardzo prostego powodu tamtejszego „przegrzania” inwestycyjnego.

Mianowicie władze państwowe republiki Nigerii zachłyszawszy się zwiększonym napływem, w pierwszej połowie lat 70-tych, miliardów petrodolarów, rozpoczęły iście gierkowski program inwestycyjny w swym kraju. Rychło jednak ujawniły się przeróżne bariery i trudności, związane z „przetrawieniem” nadmiernych inwestycji w tym zacofanym, acz bardzo ludnym państwie.

Np. z braku odpowiedniej infrastruktury portowej, na redzie w Lagos całymi miesiącami kotwiczyły dziesiątki statków z importowanym cementem, który po pewnym czasie do niczego się nie nadawał, a zapłacić za niego trzeba było. Więc po kilku latach takiego marnotrawstwa inwestycyjnego, braku kadr do eksploatacji nowych obiektów przemysłowych itp., władze gospodarcze Nigerii musiały ograniczyć swe inwestycyjne ambicje i bardziej starannie przyglądać się swoim petrodolarom. Z budowy wielkiego centrum TV więc tymczasem zrezygnowano.

Natomiast kontynuowano w Nigerii wielkie programy budowy zapór wodnych i hydroelektrowni rzecznych. I w tym zakresie nasze biuro projektowe, jako doświadczone już w eksportowych projektach do Iraku, otrzymało oferty na zatrudnienie specjalistów projektantów w tym państwie. Z mej pracowni wyjechali wtedy projektanci instalacji sanitarnych R. Flisowski i elektryk A. Schiller. Skończyła się więc moja z nimi współpraca przy wszystkich większych mych projektach. Obaj zrobili potem w Nigerii wielkie kariery. Rysiek został pełnomocnikiem rządowym dla spraw gospodarki wodnej, zaś Olek głównym projektantem systemu energetycznego całego państwa.

Pewnego majowego popołudnia, przechodząc ulicą Szewską w kierunku Rynku, zobaczyłem długi wąż młodzieży studenckiej, wchodzący i wychodzący z jednej z bram starej, zabytkowej kamienicy, po nieparzystej stronie ulicy. Według informacji, jaką uzyskałem, w klatce schodowej tegoż budynku dwa dni wcześniej został zamordowany przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa student Stanisław Pyjas. Był on współpracownikiem opozycyjnego Komitetu Obrony Robotników i to właśnie miało być przyczyną jego zabójstwa. Od tego czasu interesowałem się, czytałem i wysłuchiwałem wszelkie publikacje i enuncjacje, związane z tą sprawą.

Wcześniej denat nie był w ogóle szerzej znany. Pośmiertne publikacje w prasie podały, że jego zgon nastąpił w nocy na 7 maja, a powodem był upadek zmarłego, będącego w stanie nietrzeźwym, na schodach, znajdujących się w prześwicie, i zakrzuszenie się własną śliną, czy krwią. Prowadzone śledztwo nie potrafiło jednak jednoznacznie ustalić, gdzie przebywał i co robił denat krytycznego wieczoru, z kim się spotykał, o której godzinie wrócił do domu itp. Były jedynie wzmianki o jakimś lokalu restauracyjnym, zeznaniach dwóch kelnerów, że Pyjas w towarzystwie pił wódkę, ale generalnie

pisano o przeróżnych hipotezach, nie było konkretnych świadków, faktów, ustaleń.

Na okoliczność zakrzuszenia się śliną była robiona rutynowa obdukcja zwłok w Zakładzie Medycyny Sądowej, która hipotezę tę potwierdziła i stwierdziła wysoki promień alkoholu we krwi. Oczywiście została od razu zakwestionowana przez opozycję korowską. Wobec tego przeprowadzono powtórna, kolegialną obdukcję pod kierunkiem ordynatora, najlepszego specjalisty, która potwierdziła pierwotną diagnozę. Nie miało to jednak żadnego wpływu na przeświadczenie kręgów opozycyjnych, że Pyjas został z premedytacją zabity przez pracowników UB. Odbłyły się liczne msze żałobne, pochód z czarnymi flagami i ze świeczkami na cześć zmarłego, bojkot juwenaliów, rozpowszechniano ulotki i komunikaty, oskarżające władze państwowe itp. Wszystko to miało służyć utrwalaniu wiary o morderstwie. Funkcjonuje ona zresztą do dzisiaj.

W międzyczasie oskarżony o kłamstwo profesor AM, dokonujący obdukcji, wytoczył proces oskarżycielom, który oczywiście wygrał. Wznawiano dwukrotnie, już w latach 90-tych, śledztwa, gdyż Pyjas umieszczony został na liście koronnych ofiar PRL. Śledztwa te nic nie wykazały, ale pozostała pewność, że właściwe dowody zabójstwa znajdują się w tajnych aktach krakowskiego UB. Ostatecznie w 1996 r. zostały one jednak odtajnione i udostępnione komisji, wyznaczonej do badania zbrodni PRL. Od tego dopiero czasu zapadła całkowita cisza na temat jakichkolwiek materiałów dowodowych. Oczywiście niezłomna wiara, że student S. Pyjas został przez UB zamordowany, utrzymywana jest nadal przez wszystkich, którzy mają takie zapotrzebowanie.

W czerwcu 1977 r. Grzegorz ukończył ósmą klasę szkoły podstawowej. Na świadectwie miał same bardzo dobre oceny - duża satysfakcja także dla nas, rodziców. Już wcześniej, w maju, poczynił starania o przyjęcie go do Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych, które znajduje się zresztą ok. 300 metrów od miejsca naszego zamieszkania. Do podania o przyjęcie dołączył kilkanaście swych prac malarskich i rysunkowych, w tym wiele świetnych i oryginalnych. W ogóle w tym okresie czasu, również później, rysował bardzo dużo i namiętnie. Bywało, że wstawał rano skoro świt i udawał się w zielony plener lub zaufki Starówki krakowskiej, by narysować, czy namalować jakieś krajobrazy, fragmenty budynków zabytkowych itp. Po egzaminie rysunkowym dla kandydatów, przyjęty został do PLSP bez dodatkowych problemów, a także bez jakichkolwiek starań swych rodziców. Odpowiednią decyzję otrzymał jeszcze w czerwcu, więc czekały go spokojne, beztrioskie, dobrze zasłużone, ferie letnie.

Natomiast Maciek ukończył drugi rok nauki w liceum, również z bardzo dobrym świadectwem, otrzymując 8 stopni bardzo dobrych, 4 dobre i jedno dostateczne z języka rosyjskiego.

Obaj synowie w lipcu 1977 r. znów, już po raz trzeci, zdecydowali się pojechać na letnie kolonie młodzieżowe w Nowym Targu. Mieli tam wiele zajęć ruchowych, kąpali się w Dunajcu. Grzegorz w kolonijnym turnieju szachowym zdobył I miejsce, a w turnieju tenisa stołowego II miejsce, pokwitowane ozdobnymi dyplomami.

Kolonie letnie naszych chłopców skończyły się 25 lipca, a już za cztery dni pojechalibyśmy całą rodziną na kolejną wycieczkę zagraniczną, tym razem do NRD. Była to siedmiodniowa wycieczka do Drezna i Berlina, zorganizowana przez Biuro Turystyki Młodzieżowej „Juventur”. Grupa wycieczkowa nie dysponowała autokarem, przejazdu do Drezna i Berlina, oraz z powrotem, odbyliśmy pociągami, zaś w obu tych miastach przemieszczaliśmy się środkami komunikacji miejskiej.

Z Krakowa wyjechalibyśmy pociągami po południu 29 czerwca, na miejscu w Dreźnie byliśmy następnego dnia w godzinach wczesnorannych. W mieście tym byłem już trzy lata wcześniej. Wypadało mi więc znów zwiedzać te same muzea w centrum miasta, na

czele ze słynnym późnobarokowym zespołem pałacowym Zwinger, gdyż one są główną atrakcją turystyczną miasta. Lecz i tak, licząc łącznie, zobaczyłem tylko część tych olbrzymich ilości obrazów, rzeźb i innych wytworów sztuki, jakie w owych muzeach są zgromadzone. Mych synów zainteresowały szczególnie zbiory zbroi, zwłaszcza rycerskiej. Podziwialiśmy też przebogate zbiory wyrobów ze szkła, kryształów i fajansów, prezentowane w odrębnym wielkim muzeum, którego zwiedzanie nie było objęte oficjalnym programem naszej wycieczki. Położone ono było kilka ulic dalej od Zwinger Hof wśród morza wojennych ruin.



W zespole pałacowym Zwinger Hof

nach przedmieściu, zresztą w porządnym mieszkanych barakach, z których część zajmowana była przez robotników polskich przedsiębiorstw budowlanych, realizujących w mieście jakieś przedsięwzięcia inwestycyjne. Było to powodem niedospania drugiej nocy naszego pobytu przez część uczestników krakowskiej wycieczki. Mianowicie była to sobota i w pobliżu naszych parterowych kwater odbywały się do późnej nocy solowe i zbiorowe popisy wokalne, „dyskusje” oraz kłótnie polsko-polskie. Pilotka wycieczki interweniowała oczywiście w kierownictwie i straży miasteczka barakowego, ale byli to Niemcy i bali się oni podjęcia próby uspokojenia zapitych sarmatów, żeby nie sprowokować wybuchu patriotyzmu narodowego z ich strony, a być może i wojny polsko-niemieckiej.

Nazajutrz rano, niedospani, po skonsumowaniu śniadania, pojechaliśmy autobusem do śródmieścia Drezna, a stamtąd pociągiem przez Cottbus w kierunku Berlina. Wysiedliśmy w małej miejscowości lotniskowo-wypoczynkowej Wendisch-Rietz, położonej malowniczo wśród lasów i jezior, 60 kilometrów od Berlina. Tu miały być nasze kwatery, na które składała się cała kolonia małych parterowych drewnianych domków campingowych. Należały one do jakiejś młodzieżowej organizacji niemieckiej i noclegi w nich zapewne były bardzo tanie. Do Berlina na całe dni dojeżdżaliśmy szybką elektryczną koleją podmiejską.

W tym największym mieście niemieckim moja rodzina była po raz pierwszy. Na jego zwiedzanie program wycieczki przewidywał trzy dni. Oczywiście dotyczyło to tylko milionowego Berlina Wschodniego, będącego stolicą NRD. Natomiast dwumilionowy Berlin Zachodni był dla nas niedostępny. Na ogół zwiedzanie miasta miało charakter zorganizowany, grupę prowadziła planowo nasza pilotka, korzystaliśmy też częściowo z młodzieżowych przewodników niemieckich, mówiących po polsku. Było także sporo wolnego czasu do dyspozycji wycieczkowiczów. Wtedy ja zamieniałem się w przewodnika, z czym, dysponując planem miasta i znajomością języka niemieckiego, nie miałem większych trudności.

Głównym terenem naszej penetracji było śródmieście, w tym m.in. ulice Unter den Linden, Spandauer, Karola Liebknechta oraz place Aleksandra i Karola Marksa, z licznymi monumentalnymi budowlami, pomnikami itp. Dla nas najbardziej interesującą była wieża TV,



Grzeź przed fontannami w Berlinie

wysokości 361 m, zwieńczona antenami telewizyjnymi i wielką szklaną kulą z restauracjami. W jednej z nich zafundowaliśmy sobie lody, w trakcie konsumpcji których oglądaliśmy, przesuającą się przed nami, panoramę całego Berlina.



Na Unter den Linden

szczególnie moją żonę. W ostatnim dniu pobytu w Berlinie pojechaliśmy autobusem na wojskowy cmentarz-mauzoleum w Parku Treptowskim w południowej części miasta. Mieliśmy wtedy już bagaże ze sobą i wieczorem 4 sierpnia załadowaliśmy się na centralnym dworcu Berlina do ekspresowego pociągu, jadącego do Krakowa i Przemysła.

W drugiej połowie sierpnia 1977 r. Kasia z chłopcami zafundowali sobie kolejne dwutygodniowe wczasy wypoczynkowe i pojechali do Rewala nad Bałtykiem. Rewal to mała wioska na zachód od Kołobrzegu, jest tam kilka pensjonatów wypoczynkowych i kilka kilometrów piaszczystej plaży pod stromym klifowym urwiskiem. Przez cały czas pobytu mej rodziny w Rewalu było względnie pogodnie i słonecznie, to też opalili się wszyscy na Murzynów. Na plaży zabawiali się grą w kometkę i odbywali długie spacery wzdłuż brzegu morza. Pod koniec turnusu zwiedzili sąsiedni Kołobrzeg.



Zwiedzanie Kołobrzegu

W drugiej połowie 1977 r. opracowałem dwa projekty, które dotyczyły dużej strażnicy pożarniczej dla Huty w Ostrowcu Świętokrzyskim i szkoły podstawowej w Brzączowicach koło Dobczyc. Stara, pamiętająca jeszcze czasy XIX wieku, huta żelaza w Ostrowcu Świętokrzyskim była aktualnie modernizowana i poważnie rozbudowywana. Program rozbudowy przewidywał też budowę własnej strażnicy pożarniczej. Zlecenie trafiło do mnie w związku z wcześniejszym zaprojektowaniem przeze mnie strażnicy p.poż. w Hucie „Katowice”, a która oddana już została do użytku. Nowy projekt nie był nadto skomplikowany i po kilku miesiącach inwestor otrzymał gotową kompleksową dokumentację na budowę obiektu.

Temat szkoły w Brzączowicach związany był z budową w rejonie Dobczyc dużego

zbiornika retencyjnego na rzece Rabie. Miał on służyć jako ujęcie wody pitnej dla Krakowa, odległego o około 20 kilometrów. Budowana zapora spiętrzająca podnosiła lustro wody w zbiorniku o kilkanaście metrów, w związku z czym zachodziła konieczność rozbiórki i przeniesienia z terenów zalewowych setki domów mieszkalnych i różnych obiektów użyteczności publicznej. Między innymi dotyczyło to szkoły podstawowej we wsi Brzączowice. Należało po prostu wybudować nową szkołę w wyższej części wsi. Podjęcie się tego tematu przez pracownię zaowocowało kilkoma dalszymi zleceniami, udzielonymi przez Urząd Gminy w Dobczycach, które później wykonywaliśmy. Były to projekty na budowę pola biwakowego i kina w Dobczycach, pawilonu handlowego w Brzączowicach i na modernizację parku miejskiego.

W skali globalnej rok 1977 był względnie spokojny. Miał miejsce pucz wojskowy w Pakistanie, niepokoje i zmiany polityczne w Indiach, krwawe rozprawienie się z opozycją w Ugandzie przez prezydenta Idi Amina. Najbardziej nagłośnie były jednakże rokowania pokojowe pomiędzy Beginem i Sadatem, to jest Izraelem i Egiptem, którym patronował prezydent Stanów Zjednoczonych Jimmy Carter.

Tenże prezydent Carter gościł w grudniu z oficjalną wizytą w Polsce. Natomiast nieco wcześniej przebywał w Polsce również kanclerz Niemiec Helmut Schmidt. Miałem przypadkowo okazję zabezpieczać niemieckiego kanclerza na wiecu w Rynku Głównym w Krakowie. Odkryło się to w bardzo prosty, a skuteczny i bezkosztowy sposób. Mianowicie w trakcie wystąpień na otwartych przestrzeniach ochraniani dostojnicy otaczani byli szerokim, zwartym ludzkim pierścieniem, który tworzyły, wyznaczone przez organizatorów wieców, grupy członków oddziałowych organizacji partyjnych różnych większych zakładów pracy. Ludzie ci oczywiście znali się wzajemnie, a dostawali tylko jedno, konkretne polecenie, by stworzyć bardzo ciasny, zwarty kordon i nie przepuszczać absolutnie nikogo obcego. Służby bezpieczeństwa i porządkowe zabezpieczały trasy przejazdów dostojników, obrzeża zgromadzenia i sąsiednie budynki, a nie musiały martwić się o jądro wiecu.

W grudniu tegoż roku miało też miejsce pewne, nieduże wydarzenie w Krakowie, mianowicie władze miasta podjęły uchwałę o budowie pomnika Stanisława Wyspiańskiego. Niby błaża sprawa, a w Krakowie wywołała wielką dyskusję i spory, głównie wokół lokalizacji pomnika. Początkowo mówiło się o ustawieniu monumentu na Placu Szczepańskim przed Pałacem Sztuki. Ostatecznie usytuowano go z boku placu przedwejściowego do Muzeum Narodowego. Ponieważ stoi on na b. niskim postumencie, na tle szpalery wysokich drzew i odlew jest koloru czarnego, więc praktycznie jest mało zauważalny. Sam pomnik to wyniosła postać wieszczka, otoczonego kilkoma alegorycznymi postaciami z jego utworów.

W 1978 r. urlop znów skonsumowałem w dwu częściach. Pierwszą były dwutygodniowe wczasy w Krynicy w czasie zimowych ferii szkolnych. Pojechaliśmy bowiem, jak zwykle dotąd, wszyscy czworo. Zamieszkaliśmy w jednym bardzo starym pensjonacie orbisowskim, położonym w centrum miasta, nad potokiem Kryniczanką. Byłem już wcześniej w Krynicy w latach 50-tych, lecz od tego czasu uzdrowisko bardzo się rozbudowało i zagaęściło. Przybyło chyba więcej nowych obiektów wypoczynkowych i sanatoryjnych, niż ich było w Krynicy przedwojennej. Mogła by to zilustrować ilość kuracjuszy, których w połowie lat 50-tych było około 30 tysięcy w ciągu roku, zaś w połowie lat 70-tych pięciokrotnie więcej.

W czasie naszego pobytu było mroźnie i śnieżnie, ale równocześnie pogodnie i słonecznie, to też wiele spacerowaliśmy po uzdrowisku. Z przyjemnością wysiadawali-

śmy na ławkach przed muszlą koncertową obok Nowego Domu Zdrojowego i Głównej Pijalni. Zwłaszcza, że regularnie korzystaliśmy z usług pijalni, racząc się wodami mineralnymi, jakie tam serwowano. Zaglądaliśmy także do, co okazalszych, nowych domów



Przed DW „Budowlani”

wypoczynkowych, szczególnie upodabialiśmy sobie DW

„Budowlani”, z jego holami i kawiarnią, ozdobionymi kolorową mozaiką ceramiczną i bogatą zielenią. Nawiasem mówiąc, to w budowie tego obiektu partycypowało również moje biuro, przeznaczając przez kilka lat na inwestycję jakiś procent zysku biura. Dzięki temu nasi pracownicy mieli później ułatwioną możliwość pobytu w sanatorium. Jedna z pań z mojego zespołu projektowego spędzała tam wczasy prawie co roku, ja nie wykorzystywałem tej możliwości ani razu.

W okresie naszego przebywania w Krynicy rozgrywane były jakieś zawody sportowe na torach slalomowym i saneczkowym na Górze Parkowej. Kilka razy przyglądaliśmy się tej imprezie, jak również wiele spacerowaliśmy po alejkach Góry Parkowej.

Rok 1978 był pierwszym, w którym nasi synowie zaczęli jeździć sami na swe własne wycieczki i wczasy. Na przykład Maciek w marcu na 2-3 dni pojechał do Jeleniej Góry w odwiedziny do swej koleżanki, zapoznanej wcześniej na jakichś wczasach. W maju z grupą kilkunastu licealnych kolegów i koleżanek był w Muszynie. Natomiast Grzegorz bawił kilka dni z kolegami w Zakopanem.

W biurze w tym okresie wykonywałem serię drobnych projektów modernizacyjnych, obejmujących osiem istniejących budynków szkolnych na terenie południowego Krakowa, w których Dzielnicowy Zarząd Ekonomiczno-Administracyjny Szkół w Podgórzu planował różne przebudowy i dobudowy. Więc np. w szkole przy ul. Sierankiewicza 1 miała być wygoszpodarowana w suterenie centralna szatnia uczniowska, przy ul. Ćwikłowej 1 rozbudowana kuchnia, przy ul. Golikówka 52 dobudowana sala gimnastyczna, a przy Krasińskiego 34 pawilon z basenem pływackim.

W pierwszym rzędzie chodziło o sprawdzenie, czy te propozycje inwestycyjne są możliwe pod względem technicznym i ile będzie kosztować ich realizacja. W tym celu opracowałem odpowiednie architektoniczne koncepcje projektowe i przeprowadziłem niezbędne uzgodnienia w zakresie zasilania dobudów w instalacje grzewcze i elektryczne, a z dyrektorami szkół w zakresie funkcji. Koncepcje te były podstawą do decyzji o wprowadzenie poszczególnych obiektów do rocznych planów inwestycyjnych i zlecenia nam przez DZEAS opracowania fazy technicznej dokumentacji na ich realizację. Kilka projektów technicznych wykonałm jeszcze w 1978 roku.

Na drugie dwutygodniowe rodzinne wczasy wypoczynkowe pojechaliśmy w sierpniu do Augustowa na Suwalszczyźnie. Nigdy wcześniej nie byłem w tej części Polski, położonej na północ od Warszawy. A jest to specyficzna kraina jezior i lasów. W szczególności Augustów leży na skraju największej w kraju Puszczy Augustowskiej i sąsiaduje z kilkoma jeziorami. Zaś samo miasto przecina rzeka Netta i Kanał Augustowski, łączący rzeki Biebrzę i Czarną Hańczę, a poprzez nie Wisłę z Niemnem. Ongiś kanał miał duże znaczenie gospodarcze, obecnie liczy się jedynie jako szlak turystyki wodnej.

Sam 20-tysięczny Augustów jest miejscowością turystyczno-uzdrowską o znaczeniu ogólnopolskim. Na jego terenie jest kilkadziesiąt różnej wielkości domów wypoczynkowych, hoteli, schronisk, restauracji. My zamieszkaliśmy w ośrodku wypoczynko-

wym, składającym się z mrowia małych drewnianych domków campingowych i jednego większego budynku murowanego, mieszczącego ogólnoużytkowe pomieszczenia, jak jadalnię z kuchniami, świetlicę, pomieszczenia sanitarne i administrację. Wszystko to położone było na leśnej polanie i wśród wielkich strzelistych sosen.



Niestety po kilku dniach pogodnych w Augustowie rozpadały się deszcze, było mgliście, a w naszej „psiej budce” panowała przenikająca wszystko wilgoć. Żartowałem, że do oddychania w tej sytuacji bardziej przydatne byłyby skrzela niż płuca. Jednak nawet w tych niesprzyjających warunkach pogodowych potrafiliśmy interesująco zagospodarować czas swego pobytu w tym uroczym zakątku Polski. Wypożyczyliśmy w administracji ośrodka cztery rowery, i dysponując nieprzemakalnymi pelerynami, odbywaliśmy wielokilometrowe rajdy, zwiedzając bliższe i dalsze okolice Augustowa, w promieniu kilkunastu kilometrów. Szczególnie wygodnie jeździło się prostymi i płaskimi drogami leśnymi, na których bardzo rzadko pokazywały się jakieś samochody. Zwiedzaliśmy jeziora, mostki i śluzy na kanałach oraz wioski na skrajach puszczy.

Na rowerach wokół Augustowa

Jednego dnia pojechaliśmy autobusem do Suwałk, które były stolicą województwa. Miasto to, niewiele większe od Augustowa, prezentowało się bardzo nieciekawie. Zwiedziliśmy w nim właściwie tylko dwa obiekty: jakiś bardzo stary zabytkowy klasztor i dom rodzinny Marii Konopnickiej, zamieniony na muzeum jej pamięci.

Zaplakany pobyt w Augustowie skróciliśmy o dwa dni, przeznaczając je na zwiedzenie Białegostoku i Warszawy. W Białymstoku też nigdy wcześniej nie byłem, więc ciekaw byłem tego miasta, ale na „biegi” po ulicach mieliśmy tylko kilka godzin do odjazdu pociągu do Warszawy. Tym niemniej wystarczyło to, by ocenić, że miasto ma swoistą, ciekawą architekturę i rozbudowywane jest z rozmachem.

W Warszawie zatrzymaliśmy się na dwa dni, nocując w hotelu. Mieliśmy sporo czasu by, w miarę gruntownie, zwiedzić znaczną część nowego Śródmieścia, a także odbudowaną Starówkę. Był to zresztą ostatni wspólny pobyt mej czteroosobowej rodziny w stolicy.



Powakacyjne zwiedzanie stolicy

Po powrocie z wczasów kontynuowałem w biurze prace projektowe związane z modernizacją szeregu szkół i przedszkoli w dzielnicy Podgórze w Krakowie. Rozciągnęły się one na wiele kwartałów. Równolegle opracowałem koncepcję projektową znacznie większego przedsiębiorstwa inwestycyjnego, jakim była Szkoła Chorażych Pożarnictwa przy ul. G. Morcinka na obrzeżu Nowej Huty. Miała ona spełnić dwa podstawowe cele: kształcić kadry dla straży pożarnych oraz stanowić rezerwę operacyjną w zakresie ochrony p.poż. na terenie województw południowej Polski.

Program inwestycji Szkoły Chorażych pomyślany został z wielkim rozmachem. Na działce o powierzchni 11 hektarów miały powstać obiekty dydaktyczne oraz internaty z zapleczem żywieniowym dla 700 kadetów, a ponadto budynki: operacyjny na 14 wozów

bojowych i administracyjny z ambulatorium, warsztaty, dwie sale gimnastyczne, kryta pływalnia, kotłownia i in. Program przewidywał również budowę stadionu sportowego z boiskiem 55x100 m i trybuną na 120 osób, a także zespołu boisk gier małych.

Mimo pewnych uproszczeń, jakie wprowadziłem do programu, postulowanego przez Komendę Główną Straży Pożarnych, obiekty szkoły miały łącznie 150 tys. m³ kubatury i 33.500 m² powierzchni użytkowej. Byłaby to więc inwestycja o 50 % większa kubaturowo od I-go etapu Telewizyjnej Wytwórni Filmowej w Łęgu. Bardzo pasjonował mnie ten projekt, bo zawierał w większości obiekty, w projektowaniu jakich się wyspecjalizowałem, jak strażnica pożarnicza, budynek szkolny, internaty, kryty basen kąpielowy, stołówka, kotłownia. Dodatkowo byłby to temat bardzo dogodny do opracowania w pracowni, gdyż poszczególne budynki kubaturowe można byłoby projektować po kolei.

Ponad to od roku nie mieliśmy już natłoku zleceń, więc byłby to po prostu także dobry „kawalek chleba” dla mego zespołu projektowego i pracowni. Ale od początku zlecenie pachniało mi gigantomanią i nie wierzyłem w jego realizację, gdy tu i ówdzie przerywano już rozpoczęte inwestycje. Dlatego koncepcję opracowałem w ograniczonym zakresie, w małej skali i bez angażowania projektantów branż instalacyjnych. A podczas prezentacji koncepcji dostojnym generałom i pułkownikom w Komendzie Głównej Pożarnictwa w Warszawie akcentowałem raczej trudności i koszty inwestycji. Faktycznie ostatecznie na koncepcji się skończyło, a szkoła chorych pozostała na swym dotychczasowym, acz małym i ciasnym, miejscu, to jest w budynku strażnicy pożarniczej na os. C-1, której budowę nadzorowałem w 1952 roku na początku swej nowohuckiej kariery zawodowej.

We wrześniu zmarła moja ciocia Aniela. Chorowała ona około roku i przebywała w tym czasie we Wrocławiu. Leczyła się w jednym z wrocławskich szpitali i pierw przez kilka tygodni mieszkała u mej siostry Haliny, a następnie u swego brata Henryka. Pochowana została na Cmentarzu Grabiszyńskim we Wrocławiu. Tak więc z ośmiorga rodzeństwa mojej mamy żyły już tylko trzy osoby: wuj Henryk, ciocia Janka, mieszkająca w Tczewie, i Edek w Anglii.

W dniu 16 października całą Polskę zelektryzowała wiadomość, że Polak, kardynał krakowski Karol Wojtyła, wybrany został papieżem Kościoła rzymsko-katolickiego. Była to rewelacja na skalę światową również z tego względu, że tradycyjnie, od prawie 500 lat, papieżami zostawali tylko biskupi włoscy. Wojtyła przyjął imię Jana Pawła II, kontynuując w ten sposób imiona poprzedniego papieża Jana Pawła I, który zmarł nagle po bardzo krótkim, 35-dniowym, pontyfikacie. Nowy papież jakby chciał podkreślić w ten sposób wolę kontynuowania jego prac, jak również poprzedzającego go nowatorskiego papieża Pawła VI.

Jednak głównymi wydarzeniami w skali całego 1978 roku były wydarzenia, dziejące się w Iranie. Od początku roku trwały tam zamieszki i niepokoje ludności, skierowane przeciwko polityce panującego cesarza Rezy Pahlawi i wspierających go Stanów Zjednoczonych. Zakończyły się one pod koniec roku dymisją rządu i strajkiem generalnym w całym kraju. Zmusiło to szacha do opuszczenia Iranu, do którego wkrótce z emigracji we Francji powrócił, w majestacie władzy, kierujący opozycją ajatollah Chomeini. Drugim, jakby dyżurnym tematem roku, było wszystko to, co działo się na Bliskim Wschodzie, gdzie w wyniku negocjacji w Camp David Izraelczycy ewakuowali półwysep Synaj, zwracając go Egipcjom. Ponad to trwały jeszcze wojny w południowym Libanie i w Zairze. W Kosmosie najważniejszym wydarzeniem, przynajmniej z polskiego punktu widzenia, był kilkudniowy lot majora Mirosława Hermaszewskiego na stacji orbitalnej „Sałut 6 - Sojuz 29”.

OSTATNIE WCZASY RODZINNE

Papież odwiedza Kraków * Maciek studentem * Synowie w Paryżu * Wczasy w Szklarskiej Porębie * Manewr inwestycyjny w Krakowie * Pociąg Przyjaźni * Rozprawy sądowe

Rok 1979 rozpoczął się od fali mrozów w Polsce i całej środkowo-wschodniej Europie. Pękały szyny kolejowe, linie energetyczne, sieci wodociągowe. W niektórych regionach kraju zasy py śnieżne sparaliżowały komunikację kolejową i samochodową. W kilku miejscach użyte zostały helikoptery wojskowe do ewakuacji pasażerów z „zasypanych” pociągów. A kolejarze wymyślili zastosowanie, zamontowanych na platformach kolejowych, odrzutowych silników samolotowych jako miotaczy ognia do usuwania oblodzenia i śniegu na torach i zwrotnicach. Przez pewien czas nieczynne były szkoły, a także część zakładów pracy.

Niedługo po „zimie stulecia”, w marcu i kwietniu, na skutek gwałtownej odwilży wystąpiły w Polsce powodzie. Dotknęły one szczególnie dorzecza Bugu i Narwi oraz Warty i Noteci. Zalane zostały tysiące hektarów upraw i dziesiątki miast. Sytuacja kryzysowa wystąpiła też w Krakowie, gdzie w obawie przed „zniesieniem” mostu Dębnickiego przez wezbrane wody Wisły, obciążono go dziesiątkami samochodów z blokami betonowymi.

W pierwszym półroczu wykonywałem w swym biurze dokumentację projektową na rozbudowę hoteli robotniczych przedsiębiorstwa budowlanego „Zetbeem”, zlokalizowanych na osiedlu Kozłówek w Krakowie. Program inwestycji dotyczył dobudowy pomieszczeń dydaktycznych, sportowych i dużej świetlicy-jadalni z zapleczem kuchennym. Rozwiązałem to w ten sposób, że trzy istniejące wolnostojące, czteropiętrowe bloki hotelowe połączyłem w poziomie parteru szerokim, przeszklonym korytarzem, który prowadził do budynku stołówki. Przy korytarzu tym, pomiędzy poszczególnymi hotelami, zaprojektowałem kolejno małe pawilony z salkami wykładowymi i z salami gier zespołowych oraz dużą świetlicę-jadalnię.

W dniu 2 czerwca rozpoczęła się wizyta papieża Jana Pawła II w Polsce. W ciągu 9 dni odbył on pielgrzymkę szlakiem wszystkich polskich „stolic”: Warszawy, Gniezna, Częstochowy i Krakowa. Wszędzie witały go rozentuzjasmowane tłumy rodaków. Do Krakowa przybył 6 czerwca późnym wieczorem. Z Błoń, gdzie wylądował helikopter, papież przejechał Alejami Trzech wieszczów na Wawel. Tam rozpoczął się oficjalny, bardzo pracowity, program jego pobytu w Krakowie, który trwał przez cztery dni.

W tym czasie prawie wszystko, co działo się w Krakowie, dotyczyło papieża, o nim tylko mówiono i pisano. Odbył on podróże do Kalwarii Zebrzydowskiej, rodzinnych Wadowic i Nowego Targu, wiele spotkań ze społecznością i duchowieństwem Krakowa i celebrował kilka mszy w opactwie Cystersów w Nowej Hucie, na Wawelu, w kościele Mariackim. Kulminacyjnym punktem pobytu Jana Pawła II była uroczysta msza dla miliona wiernych na Błoniach Krakowskich. Przybyli oni z całej Polski południowej, niektórzy wczesnym świtem, lub zgola nocowali na Błoniach. Zakończenie wizyty-pielgrzymki i pożegnanie papieża nastąpiło rano w dniu 10 czerwca na lotnisku krakowskim w Balicach, skąd specjalnym samolotem LOT-u odleciał do Rzymu.

W dniach 2-4 lipca 1979 r. Maciek zdawał egzaminy wstępne przed Wydziałową Komisją kwalifikującą na studia na Wydziale Elektrotechniki, Automatyki i Elektroniki Akademii Górniczo-Hutniczej im. St. Staszica w Krakowie. Sam dokonał wyboru rodzaju

studiów, od pewnego czasu marzył mu się bowiem zawód elektronika. Wydział ten był wprawdzie bardzo oblegany i ilość zgłoszonych kandydatów bodaj czterokrotnie przekraczała limit przyjmowanych na studia, jednakże Maciek miał spore szanse. Mianowicie oba podstawowe egzaminy z matematyki i fizyki zdał z wynikiem bardzo dobrym, gorzej było tylko z egzaminem z języka angielskiego, z którego otrzymał ocenę dostateczną. Ale uzyskał dodatkowe punkty kwalifikacyjne za pierwsze miejsca w licealnych olimpiadach matematycznej i fizycznej.

Zaraz po tym obaj synowie polecili samolotem, wraz z kilkunastoma harcerzami Krakowskiej Chorągwi ZHP, do Francji. Była to jakby reminiscencja podobnej wycieczki z 1972 roku, w której wzięli udział obaj nasi synowie, jako świeżo upieczeni harcerze. Nowa wycieczka organizowana była przez UNESCO i miała charakter obozu lingwistycznego, którego celem było pogłębienie znajomości języka francuskiego. A nasi chłopcy od wielu już lat uczęszczali na kursy tego języka w Instytucie Francuskim w Krakowie. Oczywiście wszyscy pojechali w paradnych mundurach harcerskich, prezentując się bardzo okazale.

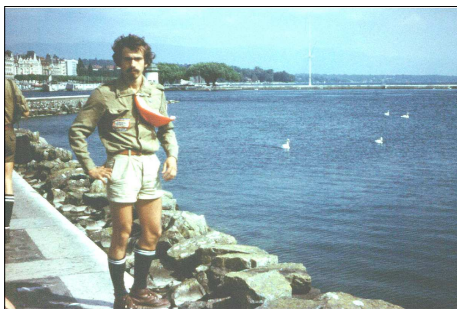
Nasi harcerze przebywali we Francji głównie w Paryżu, zwiedzając go w miarę szczegółowo. Zwiedzili również Wersal oraz kilka dni bawili w Alpach Sabaudzkich w Chamonix. W drodze powrotnej do Paryża zatrzymali się w Dijon, w którym przebywali również w 1972 roku. Grzegorz zdążył nawet odwiedzić rodzinę, u której wówczas mieszkał.



Maciek w Paryżu (po prawej)



W Chamonix w obozie harcerskim (po prawej)



Nad Jeziorem Genewskim w Szwajcarii



Grześ w ogrodach Wersalu

W czasie pobytu synów we Francji, gościła u nas moja siostrzenica Grażyna z mężem Krzysztofem i swymi dwoma dziećmi. Ania miała już trzy latka, a Artur jeden rok. Było upalnie i słonecznie, więc przez wiele godzin wygrzewaliśmy się na plaży kąpieliska w Kryspinowie.

W dniu 13 lipca w dziekanacie Wydz. Elektroniki AGH ogłoszona została lista kan-

dydatów przyjętych na studia na tym wydziale. Oboje z Kasią poszliśmy do AGH, by dowiedzieć się, czy nasz Maciek został na studia przyjęty. Nie musieliśmy nawet wchodzić do gmachu Wydziału, gdyż lista przyjętych wywieszona była na zewnątrz, na drzwiach wejściowych do budynku. Ku naszemu zadowoleniu Maciek figurował na tej liście. On sam dowiedział się o tym dopiero za kilka dni, po przylocie z Paryża.

W 1979 r. tylko jeden raz byliśmy na wczasach rodzinnych. Były to zresztą w ogóle ostatnie wczasy, na jakie pojechaliśmy razem z synami. Pierwszy raz, nie licząc pobytów u dziadków w Kępnie, wspólny urlop spędziliśmy na dwutygodniowych wczasach FWP w Szklarskiej Porębie Górnej w kwietniu 1967 roku. Grześ wtedy miał cztery latka, Maciek niespełna siedem. Od tego czasu przebywaliśmy na różnych krajowych wczasach 20 razy, a na zagranicznych 9 razy.

W sierpniu 1979 r. kończyliśmy ten 13-letni festiwal wczasowy tam, gdzie go zaczynaliśmy, czyli w Szklarskiej Porębie, tyle że domy wczasowe, w których kwaterowaliśmy, usytuowane były dokładnie na przeciwnych krańcach tej uroczej miejscowości.

Ostatnie wspólne wczasy spędziliśmy bardzo czynnie. Prócz spacerów po całej Szklarskiej Porębie, do huty szkła „Julia”, wodospadów Kamieńczyk i Szklarka oraz na Szrenicę - kilka dni poświęciliśmy na wyjazdy do Karpacza, Cieplic i Jeleniej Góry. Było to więc jakby pożegnanie się z tym, chyba najpiękniejszym, zakątkiem Polski, jakim jest region Karkonoszy.

Faktycznie to jeździłem tam także w późniejszych latach, ale tylko z żoną, bez synów. W 1979 roku Maciek miał już 19, a Grześ 16 lat i podróże z rodzicami przestały ich bawić. Ruszyli na swe własne szlaki, które w najbliższych latach wiodły, najprościej mówiąc, głównie na południe i zachód Europy.



Przy wodospadzie Szklarka

We wrześniu 1979 r. minęło 20 lat mej pracy w Krakowskim Biurze Projektowo-Budawczym Budownictwa Ogólnego. W tym czasie biuro kilka razy zmieniło swą nazwę, rozbudowało się do ponad 300 pracowników i trzykrotnie zmieniło swą siedzibę. Od czterech lat mieliśmy własny 10-piętrowy biurowiec przy ul. Powstańców Warszawy. Zaprojektowany on został w naszym biurze, a na budowę zaciągnęliśmy kredyt bankowy, jaki następnie spłacaliśmy z zysku przedsiębiorstwa do końca lat osiemdziesiątych.

Biuro wykonywało głównie kompleksową dokumentację projektową na nowe osiedla mieszkaniowe w Krakowie. W latach 70. były to osiedla zachodniej części Bieńczyca, Mistrzejowickie, Podwawelskie, Krowodrza Górka, Prądnik Czerwony, Prądnik Biały, Cegielniana i zespół osiedli Ruczaj, w których łącznie w tym dziesięcioleciu zamieszkało ponad 100 tysięcy ludzi. Opracowaliśmy również dwa osiedla na zlecenia eksportowe. Były to osiedle Mishraq w Iraku i duże osiedle Peitz w NRD.

Kondycja biura była w tym czasie bardzo dobra, uchwałą Rady Pracowniczej wprowadziliśmy m.in. dodatek za wysługę lat dla pracowników, zatrudnionych w biurze przez okres ponad 15 lat. W 1979 roku ustanowiliśmy wewnętrzną odznakę „Zasłużony pracownik KBPBO”, jakie po raz pierwszy wręczone zostały kilkunastu pracownikom w dniu 24.X.1978 r. z okazji 25-lecia istnienia biura. Ja otrzymałem tę odznakę z kolejnym numerem 2, zaś we wrześniu 1979 r. „Dyplom uznania za 20-letni staż pracy w Biurze”.

Natomiast bardzo poważnie w drugiej połowie lat 70. zachwiana została kondycja

inwestycyjna państwa. Mianowicie wystąpiły trudności związane głównie z finansowaniem nowych inwestycji, a to na skutek wyraźnego „przegrzania” inwestycyjnego. W 1978 i 1979 latach zastosowano wówczas odgórnie tak zwany „manewr gospodarczy”, który polegał przede wszystkim na czasowym wstrzymaniu realizacji określonych przedsięwzięć inwestycyjnych. Manewr dotyczył również Krakowa i objął kilkanaście dużych inwestycji, jakich w mieście było wiele.

Przed wszystkim realizowane były w Krakowie cztery olbrzymie inwestycje komunalne o zasadniczym znaczeniu dla aglomeracji miejskiej. Były to rozbudowa Elektrociepłowni w Łęgu-Czyżynach, budowa zbiornika retencyjnego wraz z ujęciem wody pitnej na Rabie w Dobczycach, oczyszczalni miejskiej i autostrady obwodnicowej z mostem na Wiśle. Żadna z tych inwestycji nie została wstrzymana. Przydarzyło się to później, po kilku latach, oczyszczalni ścieków i budowie autostrady. Natomiast w elektrociepłowni w latach 80. zrealizowano wszystkie 3 etapy rozbudowy, zabezpieczając w ciepło grzewcze cały Kraków na dziesięciolecie. Podobnie dokończenie zbiornika-ujęcia wody w Dobczycach i budowa dwóch rurociągów tłocznych, każdy o średnicy 1 m, rozwiązały radykalnie problem zaopatrzenia miasta w dobrą wodę pitną.

Kontynuowano również, choć z pewnymi przestojami, budowę ogromnego wielooddziałowego szpitala miejskiego na 800 łóżek w Bieńczycach. Natomiast wstrzymano na kilka lat budowę wielkiej hali sportowej KS „Wisła” przy ul. Reymonta i częściowo budowę Wydziału Mechanicznego Politechniki na oś. Lotnisko w Bieńczycach oraz Centrum Prasy przy al. Pokoju. Szpital, po wielu perturbacjach, uruchomiono etapami w latach 1985-1992, podobnie obiekty Politechniki w Bieńczycach, zaś halę KS „Wisła” ukończono już w 1987 roku.

Centrum Prasy składało się z 3 budynków: administracyjnego, produkcyjnego i socjalnego. Wieżowiec administracyjny miał służyć dla redakcji większości krakowskich dzienników i czasopism. Jego budowę przerwano, gdy był już wykonany w stanie surowym zamkniętym. Ostatecznie, po przebudowie w latach 90-tych, znalazły tu swą siedzibę Bank PKO S.A. i dziesiątki różnych pomniejszych firm prywatnych. Budynek produkcyjny kontynuowano bez zahamowań, by w 1985 roku uruchomić w nim najnowocześniejsze centrum poligrafii w Polsce (obok podobnej drukarni w Gdańsku). W 1992 r. sprzedano jednak obiekt niemieckiemu koncernowi prasowemu Bertelsmana, bodaj za kwotę poniżej kosztów inwestycyjnych. Budynek socjalny, który miał zawierać stołówkę, świetlicę, szatnie itp. dla pracowników drukarni, wykończony został z kilkuletnią zwłoką.

Na zawsze przerwano budowę biurowca NOT przy Rondzie Mogiłskim. Obiekt ten to w ogóle jaskrawy przykład niefrasobliwości inwestycyjnej lat siedemdziesiątych. Naczelna Organizacja Techniczna posiada swe biura przy ul. Straszewskiego, ale ambitny zarząd a prezes w szczególności, umyślili sobie wybudować, za państwowe pieniądze, nową siedzibę bez mała na skalę Montparnasse w Paryżu. A więc: najwyższy w Krakowie wieżowiec biurowy, sala audiowizualna na 500 osób, liczne sale wystawowe i wykładowe, restauracja, kawiarnia, bary, hotel dla gości, wszystko z pełną klimatyzacją. Projekty wstępne opracowane zostały niby w czynie społecznym, a budowa rozpoczęta bez formalnego zatwierdzenia założeń techniczno-ekonomicznych. I nie wiadomo na jakiej podstawie Mostostal szybko zmontował cały stalowy szkielet 24-piętrowego wieżowca. W 1979 r. budowę przerwano, bez jakiegokolwiek nadziei na kontynuację jako siedziby dla NOT. A po dwudziestu latach stalowa konstrukcja skorodowała i właściwie dziś to najwyższe „szczęście” Krakowa nie nadaje się chyba nawet na zyletki.

Natomiast Telewizyjna Wytwórnia Filmowa w Łęgu uniknęła tymczasem groźby czasowego wstrzymania budowy w ramach „manewru gospodarczego” i kontynuowana była pełną parą. Jeszcze w drugim kwartale 1979 roku ukazała się w „Gazecie Południowej” notatka o szybkim postępie robót budowlanych. Faktycznie gotowe już wtedy

były w stanie surowym zamkniętym bloki B1, B2, C, F, w których w najbliższym czasie miały się rozpocząć roboty instalacyjne, oraz kończył się, prowadzony przez Mostostal, montaż stalowej konstrukcji dachu hali zdjęciowej. Artykuł optymistycznie wieścił, że zakończenie budowy I etapu TWF nastąpi w 1980 r. Tak się jednakże nie stało. Faktycznie to pierwsze obiekty Wytwórni oddane zostały do użytku w roku 1987, a całość I etapu zaczęła pracować dopiero w 1991 roku. Było kilka powodów tego opóźnienia w realizacji inwestycji.

Po pierwsze w latach osiemdziesiątych zmalała ranga inwestycji TV, podczas gdy priorytetowe stało się budownictwo szpitalne i mieszkaniowe. Więc w 1980 r. cała załoga budowlana Wytwórni oddelegowana została do budowy nowego, dużego pawilonu łóżkowego przy Szpitalu Okulistycznym w Witkowicach, a następnie, po jego ukończeniu, do budowy kilku bloków mieszkaniowych na osiedlu Biezańów Nowy. Ostatecznie realizację inwestycji wznowiono dopiero od 1984 r., ale już bez pierwotnego tempa.

Drugim powodem były zmiany programowo-technologiczne, wprowadzone w związku z bardzo szybkim rozwojem techniki telewizyjnej. Zrezygnowano między innymi całkowicie ze stosowania tradycyjnej, optycznej techniki filmowej na rzecz zapisu elektronicznego. Zmieniła się nawet nazwa inwestycji na Telewizyjne Studio Widowskowe OTV w Krakowie. Równocześnie niemiecki kontrahent z Lipska odmówił dostawy swych bloków klimatyzacyjnych, gdyż całą produkcję skierował na obiekty sportowe budowane w Moskwie w związku z igrzyskami olimpijskimi w 1980 r.

Po trzecie stało się jasne, że drugi etap przedsięwzięcia inwestycyjnego nie będzie realizowany bezpośrednio po ukończeniu etapu pierwszego, jak to pierwotnie zakładano. Zresztą z II etapu realizacji potem zupełnie zrezygnowano.

Tak więc zaistniała potrzeba wprowadzenia poważnych zmian do dotychczasowej dokumentacji projektowej. Miałem znów, wraz z zespołami branżowymi, wiele roboty na kilka kwartałów i z trzyletniej przerwy w realizacji TW byłem raczej zadowolony, gdyż pozwoliła uniknąć przeróbek i strat z tego tytułu na budowie.

W październiku znalazłem się w szpitalu przy ul. A. Galla w Krakowie. Mianowicie przez wiele tygodni robiły mi się na brodzie małe ropnie, które swędziały, utrudniały golenie się i w ogóle wyglądały obrzydliwie. Lekarz, do którego się zwróciłem, orzekł, że jest to zapewne spowodowane uczuleniem na jakieś pożywienie lub tp. Co kilka dni rezygnowałem więc z jakiejś potrawy, ale żadnego efektu nie było. Wreszcie Kasia, nieomal „na siłę” ulokowała mnie w szpitalu na wydziale internistycznym-gastrycznym, celem przeprowadzenia odpowiednich badań i obserwacji.

Po raz pierwszy znalazłem się w szpitalu i po raz pierwszy przeszedłem cały szereg różnych badań, jak morfologia krwi, rtg przewodu pokarmowego i klatki piersiowej, sonda dwunastnicy, elektrokardiogram, badania wątroby, nerek, gardła, oczu. Po raz pierwszy dowiedziałem się też, jaką mam grupę krwi, co wpisano także do mego dowodu osobistego. Wyniki tych badań ujęte zostały później w jednym dokumencie - karcie informacyjnej. Wynikało z niej właściwie, że jestem okazem zdrowia, chociaż znaleziono nieznaczne zaburzenia w ukrwieniu mięśnia sercowego i kazano wyrwać jeden ząbek. Ale wszystkie te badania nie dawały odpowiedzi na co jestem uczulony i jak usunąć uciążliwe ropnie na brodzie.

Badania przeciągnęły się w czasie, bo do niektórej aparatury były kolejki, określone dni pracy itp. Leżałem więc w sumie aż 11 dni na ogólnej pięciolóżkowej sali chorych. Nie zmarnowałem jednakże tego czasu na wylegiwanie się na łóżku i stękanie, jak to czynili pozostali pacjenci, chyba autentycznie chorujący. Wstawałem rano, ścieliłem pościel, siadałem na krzeselku i studiowałem podręczniki projektowania uzbrojenia i instalacji sanitarnych, wentylacyjnych i grzewczych, robiłem sążniste konspekty, pisa-

łem referaty, czytałem czasopisma, książki itp. Byłem cały czas w pełni sprawny fizycznie i psychicznie, gdyż otrzymywałem co dzień rano porcję lekarstw w kubeczku wyrzucałem skrycie przez okno. Domyślałem się, że między innymi były tam pigułki relanium, bo pacjenci w szpitalu powinni być spokojni, apatyczni, śpiący i bezwolni.

Dopiero przedostatniego dnia swego pobytu w szpitalu znalazłem się w gabinecie dermatologa. Był nim wysoki, młody lekarz, znany z tego, iż lubił gawędzić z pacjentami. W moim przypadku popatrzył, o coś zapytał i powiedział krótko: „Ja pana wyleczę!”. Po czym wypisał receptę na jakąś miksturę według własnego pomysłu i kazał nią smarować wredne ropnie. Apteka przyszpitalna wykonała w tym samym dniu przepisaną maść, która wyglądała jak towot i śmierdziała okropnie. Na drugi dzień, już będąc w domu, zacząłem nią smarować chorą brodę i ropiejące bąbelki w ciągu dwóch dni zniknęły bez najmniejszego śladu.

Od 1978 roku wykonywałem szereg różnych projektów na terenie gminy Dobczyce, związanych z budową zbiornika wody pitnej dla Krakowa na Rabie. Dotyczyły one szkoły podstawowej, pawilonu handlowego i POM w Brzączowicach, szkoły w Brzezowej, zaś w samych Dobczycach projektowaliśmy duże pole campingowe i park miejski. Te prace, jak i cała moja działalność projektowa dla Krakowa, były powodem przyznania mi w czerwcu złotej odznaki „Za Zasługi dla Ziemi Krakowskiej”. Z kolei ta odznaka spowodowała, że zostałem zakwalifikowany do udziału w wycieczce „Pociągiem przyjaźni” do Związku Radzieckiego. Koszt wycieczki wynosił 7.500 złotych, więc był raczej wysoki, ale organizator wycieczki, to jest PBP „Orbis”, gwarantował wysoki standard imprezy pod każdym względem. Ponad to uczestnicy mogli wykupić w formie kieszonkowego po 80 rubli na osobę.

Wycieczka była ogólnopolska, zbiórka uczestników miała miejsce na Dworcu Centralnym w Warszawie, skąd o północy 11 listopada nasz pociąg, złożony tylko z wagonów sypialnych, ruszył w pierwszy etap podróży do Mińska. Przedziały wagonów miały jedynie po 4 miejsca noclegowe, więc podróżowaliśmy bardzo wygodnie. Ja spałem smacznie do rana, do momentu przyjazdu do Kuźnicy Białostockiej. Przesiadka i postój na granicy trwały kilka godzin, więc w Grodnie byliśmy o 11,10, a do Mińska przyjechaliliśmy dopiero o 21,30, przy uwzględnieniu dwugodzinnej różnicy czasu strefowego. W składzie pociągu były dwa wagony restauracyjne, mieliśmy więc zapewnione wszystkie posiłki w godzinach wyznaczonych dokładnie dla poszczególnych wagonów.

W Mińsku czekało na nas 10 autokarów, które rozwiozły uczestników wycieczki do kilku hoteli. Moja krakowska grupa zamieszkała w nowym 12-kondygnacyjnym hotelu „Jubilejnaja”, w komfortowych pokojach 2-osobowych z natryskami. Podczas wystawnej kolacji w hotelowej restauracji przygrywała orkiestra, to też niektórzy tańczyli ochoczo na parkiecie.

Na drugi dzień rano, po śniadaniu, złożonym m.in. z salami, jajecznicy, żółtego sera i dżemu, pojechaliśmy autokarami na objazd miasta.

Hotel „Planeta” w Mińsku

Mińsk to 1,4 milionowe miasto, rozległe, ma dużo parków, liczne nowe, kolorowe osiedla mieszkaniowe, dzielnicę wysokich budynków rządowych.

Obiad zjedliśmy w jednej z centralnych restauracji miasta. Składał się z przystawki z szynki, potem rosół z makaronem, befsztyk z frytkami, groszkiem i kapustą, na deser



Mam 52 lata



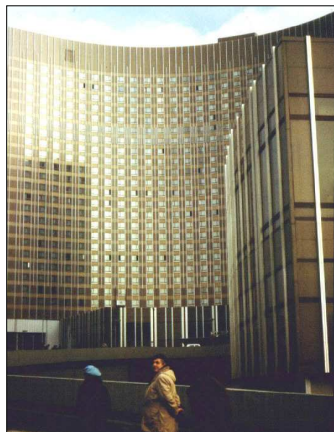
kompot lub piwo, kawa i lody. Po południu natomiast zwiedzaliśmy Muzeum II Wojny Ojczyźnianej na Ziemi Białoruskiej: zdjęcia, obrazy, broń, mundury, dokumenty, spisy oddziałów partyzanckich, krótkie seanse filmowe itd.

Popołudnie trzeciego dnia poświęcone było na wyjazd w okolice Mińska, gdzie zwiedziliśmy spaloną w sierpniu 1943 roku wieś, zamienioną na muzeum. Kikuty komi-nów, rzeźby, tablice ze spisami obozów zagłady na Białorusi, sarkofagi z prochami 158 wsi, w których Niemcy zabili wszystkich mieszkańców, dzwony dzwoniące co pół godziny. Oprawdzał nas jeden z dwu ocalałych ludzi z tej wsi, który cudem przeżył, jako małe dziecko, nakryty ciałem swej matki. Makabryczne historie.

Po obiedzie mieliśmy czas do własnej dyspozycji. Ja wybrałem się do śródmieścia na drobne zakupy. Byłem też świadkiem nietypowej scenki, jak dwóch cywili z opaskami na ramionach, prowadzili pijanego osobnika. Potem dowiedziałem się, że przebywanie w miejscach publicznych w Mińsku w stanie nietrzeźwym jest zabronione. Tych, którzy łamią ten przepis, tamtejsze ORMO, patrolujące ulice, odstawiało do izby wytrzeźwień, co sporo delikwentów kosztowało.

Trzecią noc wycieczki spędziliśmy znów w pociągu. Obudziłem się dopiero, gdy było już widno. Przez okno widać było tylko niekończące się lasy, przetykane gęsto białymi pniami brzoź. Wreszcie o 9,30 zatrzymaliśmy się na dworcu Białoruskim w Moskwie. Na peronie powitała nas orkiestra kolejarska, prezes TPRP oraz przedstawiciele „Inturistu” i ambasady polskiej. Po czym były krótkie przemówienia i autokary zabrały nas od razu na zwiedzanie miasta. Bowiem śniadanie zjedliśmy wcześniej w pociągu.

Moskwę już zwiedzałem sześć lat wcześniej i część trasy wycieczkowej się powtarzała: Kreml, Wzgórza Leninowskie, Łuźniki, Prospekty Kalinina i Mira. Wreszcie późnym popołudniem wylądowaliśmy w hotelu „Kosmos” na wprost Wystawy Osiągnięć Gospodarczych. Został on oddany do użytku dosłownie w przeddzień naszego przyjazdu, tak że obsługa zdejmowała w naszych pokojach pokrowce z foteli i uzupełniała jeszcze różne drobiazgi w wyposażeniu. Hotel wybudowany został „pod klucz” przez Francuzów i Jugosłowian, miał 3 tysiące łóżek, 30 pięter, różnej wielkości windy strefowe, marmury, brązy, w przyziemiach rozliczne restauracje, bary, sklepy, sale konferencyjne, baseny, sauny itd.



Hotel „Kosmos” w Moskwie

W swym pokoju nie bardzo umiałem sobie poradzić ze zdalczynnym uruchamianiem lamp i kinkietów, telewizora, żaluzji i zasłon okiennych itd. Ale to później, bo zaraz, po rozpakowaniu rzeczy, zjechaliśmy wszyscy do hotelowej restauracji. I znów był koncert kulinarny: przystawka z łososia i sałatek, barszcz czerwony z mięsnym krokiem, pieczeń wołowa z frytkami i groszkiem, lody, kawa. Po obiedzie wraz z kilkoma uczestnikami wycieczki pojechaliśmy na zakupy do „GUM” i „Dietskij Mir”. Wieczorem w telewizji była akurat godzinna audycja polska o



Plac i ul. A. Gorkiego w Moskwie

naszych osiągnięciach w historii olimpiad, prowadzona świetnie przez Hopfera i Bohdana Tomaszewskiego.

Następnego dnia program przewidywał zwiedzanie Kremla. Ja zwiedzałem go do-

kładnie w 1973 roku, więc wybrałem się solo na Wystawę Osiągnięć Gospodarczych, głównie do pawilonu „Kosmos”, w którym w międzyczasie przybyło wiele nowych obiektów satelitarnych, rakiet itd. Po obiedzie znów zwiedzaliśmy centrum Moskwy, trochę pobłądziliśmy metrem. Potem pakowanie się, zbiórka w holu i o północy przejazd na dworzec Leningradzki.

W Leningradzie znaleźliśmy się następnego dnia o godz. 9,30. Znów od razu ruszyliśmy na zwiedzanie miasta. Ma ono niewątpliwie swój własny, niepowtarzalny charakter. Duże przestrzenie, sporo placów, kolorowa, koronkowa architektura, mnóstwo pałaców i pomników, dużo zieleni, kanałów, mostów. Na rzece Newie, szerokiej na 800 i o głębokości 21 metrów, spławnej dla statków morskich, wszystkie mosty są zwodzone. Autokary przewiozły nas przez centrum miasta, byliśmy m. in. przed pałacami Smolnym i Zimowym.



Krażownik „Aurora” na Newie

Po obiedzie składaliśmy wieniec na Cmentarzu Ofiar Wojny Ojczyźnianej, na którym pochowanych jest ponad pół miliona ludzi, zmarłych z głodu, zimna i bombardowań, głównie w 1942 roku. Kilkadziesiąt pryzm grobowcowych w równych rzędach, na każdej płyta z datą zgonu i biały kwiat. Środkiem cmentarza przebiega aleja z rzędami drzew, na jej początku dwa muzea ze zdjęciami oblężonego przez Niemców miasta. Na końcu wielka ściana marmurowa z rzeźbami i napisami, obok monumentalny posąg kobiety, szeregi głośników ze ściszoną muzyką żałobną. Duże wrażenie!

W kolejnym dniu zwiedziliśmy muzeum „Ermitaż”. Obejmuje ono kilka budynków, połączonych galeriami, około 2.000 sal, zawiera łącznie 2.700 tysięcy eksponatów. Sale przebogate: rzeźby, stiuki, kasetony, marmury, kryształowe żyrandole, parkiety mozaikowe, antyczne meble. Wystawiane głównie malarstwo XV-XVIII wieku: rosyjskie, holenderskie, francuskie, flamandzkie, również rzeźby, porcelana itp. Po południu zwiedziliśmy Twierdzę Pietropawłowską, a w niej m.in. cerkiew z trumnami 22 carów.

W trzecim, ostatnim dniu pobytu w Leningradzie autokarami pojechaliśmy do Carskiego Sioła. Jest to duży zespół pałacowy, odbudowany po całkowitym zniszczeniu w czasie wojny, jako filia muzeum „Ermitażu”. Więc znów obrazy, rzeźby w niekończących się amfiladowych salach o przebogatych wnętrzach.

Popołudnie poświęcone było na zakupy w „Uniwermagu”. Jest to zabytkowy, największy w mieście dom handlowy, jest tylko piętrowy, ale o wymiarach 500x500 metrów. Zawiera niekończące się amfiladowe pasaże. W samym środku budynku jest stacja metra. Niektórzy uczestnicy wycieczki wracali do hotelu obładowani towarami niczym wielbłądy. Najwidoczniej dysponowali znacznie większymi kwotami niż wynosiło oficjalne kieszonkowe 80 rubli. Zresztą obserwowałem, że po kątach hoteli, w których mieszkaliśmy, prowadzone były jakieś potajemne sprzedaże towarów przywiezionych z Polski, najczęściej wyrobów półdżinsowych. Ja miałem około 100 rubli, bo na miejscu wymienilem trochę polskich pieniędzy. A kupilem statyw fotograficzny, lampę błyskową, lornetkę teatralną, ozdobne szkatułki, misie pluszowe, lalki, zabawki mechaniczne i inne takie drobiazgi. W każdym bądź razie w Leningradzie wydałem wszystkie swe rubelki, dosłownie do ostatniej kopiejki.

Wieczorem ruszyliśmy w naszych sypialniach na kółkach w dalszą drogę, do ostatniego celu naszej wycieczki, jakim było Wilno. Na miejscu byliśmy znów o godzinie 9-tej, już po konsumpcji śniadania, więc, podobnie jak w Moskwie i Leningradzie, od razu ruszyliśmy na zwiedzanie miasta. Wilno to bardzo piękny gród, malowniczo położony na

kilku wzgórzach, ma dużo zieleni, liczne nowe, kolorowe osiedla mieszkaniowe o dobrej architekturze.



Również przeurocza jest wileńska Starówka z dziesiątkami kościołów. Oczywiście zwiedziliśmy przede wszystkim XVI-wieczną Ostrą Bramę z kaplicą na 1-szym piętrze, która rozczarowała mnie o tyle, że znajduje się jakby na korytarzu. Niestety sporo budynków na Starym Mieście było zrujnowanych. Wykonywano wszak aktualnie dość duże roboty renowacyjne. Przy czym nasz przewodnik chwalił się, że ostatnio remonty zabytkowych budynków prowadzone są według krakowskich wzorów w sposób kompleksowy, to jest całymi kwartałami.

Przewodnik zaprowadził nas także szybko do wielkiego sklepu z wyrobami z bursztynu, zajmującego partery kilku zabytkowych kamieniczek. Tam nasi Polacy dosłownie oszaleli. Nie mogłem się nadziwić skąd moi towarzysze podróży mieli jeszcze tyle pieniędzy. Kupowali jak leci: naszyjniki, branzolety, wisiorki, pierścionki. Wybór był przeogromny, a wszystko ponoć tanie jak „barszcz”. Ja

Fragment Starówki Wilna mogłem się tylko „oblizywać” widokiem, bo nie miałem już złamanej kopiejki. A wystarczyłoby kilka rubelków, by kupić żonie na pamiątkę chociażby niewielką, mieniającą się złotem, bursztynową broszkę. Faktycznie to te bursztyny najbardziej utkwiły mi w pamięci z całej 11-dniowej wycieczki „Pociągiem przyjaźni”.

13-godzinny pobyt w Wilnie zakończony został hucznym bankietem w wielkiej ekskluzywnej restauracji i występami w teatrze. Ten bankiet to było właściwie wielkie „zarcie”, okraszane czarnym kawiozem i podlewane obficie różnymi trunkami. Miał charakter jak najbardziej oficjalny, mianowicie podejmowani byliśmy przez nadzwyczaj sympatyczną I-szą sekretarz KPZR Litwy. Wygłosiła ona stosowne, acz bardzo krótkie, przemówienie i potem wzniosła pierwszy toast na cześć swych polskich gości, zapełniających całą salę. Oczywiście na jednym toaście się nie skończyło. I dlatego nie wszyscy wzięli potem udział w specjalnie dla naszej wycieczki zorganizowanym przedstawieniu w nieodległym teatrze.

Na estradzie występowały głównie litewskie zespoły taneczne i śpiewacze, ale także polskie, a nawet odegrano fragment „Halki” Moniuszki. Było to wielce sympatyczne i miłe, ale bardzo się następnie śpieszyliśmy na dworzec kolejowy, gdzie cierpliwie czekał nasz specjalny pociąg. Zresztą wyjechał z Wilna ze sporym opóźnieniem, a towarzystwo wagonowe jeszcze długo śpiewało, dopijało i ... chowało po kątach „ponadnormalne” ilości towarów, by nie dobrali się do nich celnicy na granicy. Nawet ja pewnej starszej, skromnej pani przewiozłem usłużnie jakąś część jej wielkich zakupów.

Zdażyłem się wyspać, nim dobiłszy do Grodna i granicy, w Warszawie byliśmy 21.XI o godz. 10-tej. Wykorzystując swój pobyt w stolicy, pojechałem jeszcze na ul. Jana Pawła Woronicza do Biura Projektowego KRiTV i tam przez kilka godzin załatwiałem swoje służbowe sprawy. Do Krakowa wróciłem dopiero wieczornym ekspresem.

Z wydarzeń światowych w 1979 roku najpoważniejszym było zaatakowanie i zajęcie Kambodży przez oddziały wojskowe Wietnamu. Powodem były uprzednie liczne incydenty graniczne i ludobójstwo, dokonywane przez reżym Pol Pota we własnym kraju. W odwecie Chiny rozpoczęły wielomiesięczną, ograniczoną wojnę przeciwko Wietnamowi. Również USA i państwa zachodnie pospieszyły z pomocą Pol Potowi, który schronił się w Tajlandii, skąd prowadził potem przez kilka lat wojnę partyzancką.

W Wielkiej Brytanii rządy przejęła partia konserwatywna, a premierem po raz pierwszy została kobieta, Margaret Thatcher. Zdobyła ona później przydomek „żelaznej damy” za swą bezkompromisową liberalną politykę gospodarczą. W lipcu we Wiedniu podpisany został przez główne mocarstwa układ SALT II o ograniczeniu zbrojeń, zwłaszcza nuklearnych. Natomiast w grudniu ZSRR rozpoczął wojskową interwencję w, trwającej już od kilku lat, wojnie domowej w Afganistanie, występując przeciwko islamskim rebeliantom. Tych ostatnich wsparły wydatnie Pakistan, Iran i USA. Wojna zapo-
wiadala się więc na bardzo długo.

W Polsce rok 1979 był rekordowym pod względem wielu wskaźników rozwoju go-
spodarczego. Produkcja niektórych wyrobów i surowców przemysłowych osiągnęła
najwyższe pułapy w historii Polski. Dotyczyło to siarki, miedzi, stali, cementu, a także
różnych gotowych wyrobów, jak pralki, radia, maszyny do szycia, statki i in. Na przykład
w 1979 r. wydobyto w Polsce 201 mil. ton węgla kamiennego, poczym jego produkcja w
latach 80. już tylko systematycznie malała, by w dekadzie lat 90. zmniejszyć się do 106
mil. ton, zresztą z zapowiedzią dalszej likwidacji tego dotychczas „narodowego” działu
przemysłu wydobywczego.

Jednym z głównych tematów pracowni PW-2 w latach 70. była dokumentacja pro-
jektowa na budowę nowego osiedla Prądnik Biały Wschód w Krakowie. Jest ono poło-
żone w północnej części miasta przy ul. Opolskiej i przewidywane było na 10 tysięcy
mieszkańców. Autorem projektu urbanistycznego była H. Malinowska, a budynki kuba-
turowe realizowano według dokumentacji autorstwa różnych projektantów krakowskiego
biura. Ja sam opracowałem projekty rejonowej przychodni lekarskiej przy ul. Bałtyckiej i
dużego wielobranżowego pawilonu handlowo-usługowego w środku osiedla. Przychod-
nia później wybudowana została w dwa lata i po wyposażeniu oddana do użytku. Nato-
miast pawilon handlowy dwukrotnie zmieniał swych użytkowników i głównego inwestora,
jego dokumentacja projektowa ulegała zmianom, a realizacja obiektu rozpoczęła się
dopiero w 1988 roku.

Bezpośrednio po ukończeniu prac, związanych z osiedlem Prądnik Biały Wschód,
kol. Malinowska zajęła się opracowywaniem projektu urbanistycznego kolejnego osiedla
mieszkaniowego „Cegielniana”, tym razem w południowej części Krakowa, pomiędzy ul.
Zakopiańską i rzeczką Wilgą. Również na tym osiedlu współpracowałem z nią, projek-
tując w 1980 r. cztery wysokie 11-kondygnacyjne budynki mieszkaniowe. Zostały one
potem szybko, w ciągu 3 lat zrealizowane.

W 1979 i 1980 roku uczestniczyłem w charakterze ławnika, czyli, jak to się mówiło,
„sędziego ludowego”, w kilkunastu procesach cywilno-karnych. Z reguły w procesach
tych poszczególni obywatele występowali o odszkodowania finansowe ze strony Skarbu
Państwa za poniesione straty lub krzywdy, doznane w wyniku działalności organów
państwowych.

Najczęstsze, wprost seryjne, były pozwy „ekologiczne”. Na przykład właściciel ma-
łej szklarni na ogródku działkowym w Pleszowie, za kombinatem hutniczym, domagał
się od przedsiębiorstwa odszkodowania za zniszczenie jego upraw przez dymy kombi-
natu. W pozwie opisał szczegółowo ile zasadził sadzonek kwiatowych, jakich gatunków,
ile zużył nawozów sztucznych, środków czyszczących na mycie szyb szklarni itd. Wy-
chodziły wielkie sumy, bo oczywiście uprawiał najdroższe gatunki kwiatów, przy czym
liczył koszty niedosłej sprzedaży, i mył szyby inspektów bez przerwy, gdyż huta bardzo
dymiała. Na okoliczność tych wyliczeń adwokat powoda przedstawił świadka z tegoż
Pleszowa.

Potem powód określił stopień zniszczenia swych upraw na 70% i na tyle ocenił

straty, które powinna mu huta zrekompensować. W trakcie tego wywodu pomyślałem naiwnie, że powód zapewne jest bardzo bogaty, gdyż i te 30 % to było sporo. Na końcu rozprawy przedłożył on jednakże sądowi świadectwo ubóstwa z gminy, które zwalniało go od wszelkich opłat sądowych. Sędzina orzekła, że wyrok zostanie wydany później i zarządziła następną rozprawę. Znowo zdumiałem się, gdyż nikt nie wyszedł, ani nie wszedł na salę. Okazało się za chwilę, że następna rozprawa dotyczy podobnej sprawy zniszczenia przez hutę uprawy na działce ogrodniczej w Pleszowie. Z tym, że tym razem powodem był świadek z poprzedniej rozprawy, a tamten powód występował obecnie w roli świadka. Cała reszta, jak wyliczenie strat, wysokość dochodzonego odszkodowania itd. były identyczne.

W trakcie „narady” po rozprawie zgłosiłem swe wątpliwości sędzinie, uważając, że powinna być przeprowadzona co najmniej wizja lokalna dla sprawdzenia, czy przedmiotowe działki w ogóle istnieją, czy są na nich inspekty i ślady upraw itd. Sędzina była moim stanowiskiem oburzona, więc złożyłem votum separatum od postanowienia sądu.

Sporo było pozwów ludzi „skrzywdzonych” przez organa władzy państwowej. Na przykład ok. 40-letni mężczyzna żądał wysokiego zadośćuczynienia pieniężnego za krzywdy doznane przed pięcioma laty ze strony MO i krakowskiej Izby Wyrzeźwień. Z odczytanego pozwu wynikało, że poszkodowany, chory na epilepsję, siłą zabrany został z tramwaju nr 2 na przystanku Salwatorskim, poczym zawieziono go do Izby Wyrzeźwień. Tam bez żadnego przebadania lekarskiego, wleczono go za nogi korytarzem, w wyniku czego doznał stałego urazu głowy, ponadto ukradziono mu 200 złotych, jakie miał przy sobie. W związku z tym adwokat powoda żądał wysokiego odszkodowania, zwrotu skradzionej kwoty i ustalenia stałej renty inwalidzkiej.

Obecni przedstawiciele milicji i Izby Wyrzeźwień tłumaczyli wysokiemu sądowi, że taki przebieg wypadków nie mógł zaistnieć wobec obowiązujących i stosowanych procedur przyjmowania pacjentów. Np. przyjęcie rzeczy do depozytu dokonywane jest przez 3 osoby, w Izbie stale funkcjonuje lekarz itd. Ale jak faktycznie udowodnić, że 5 lat temu prezentowane wypadki nie miały miejsca? Nikt tego nie pamiętał, lekarz z tego okresu już nie pracował itd. Oczywiście sam powód nie musiał nic udowadniać.

Wyznaczona została druga rozprawa za tydzień, a w tym czasie w Komendzie MO miano w archiwum odszukać dokumenty dotyczące sprawy. Rzeczywiście na kolejne posiedzenie rzecznik MO przedłożył i odczytał protokoły milicyjne sprzed 5 lat. Według nich powód zabrany został z ławki na Plantach w stanie wyraźnie nietrzeźwym, co potwierdziło przeprowadzone w Izbie badanie. Wówczas sędzina zwróciła się do adwokata: „Co pan na to?” Tenże, z ledwo skrywanym uśmiechem, odpowiedział, że nie zmienia to istoty zaskarżenia, które zawiera dużo więcej zarzutów, z jakich oskarżenia nie są w stanie się wybronić.

Na moje proste poczucie sprawiedliwości, to przede wszystkim powód wraz z adwokatem powinni ponieść konsekwencję za beczelne kłamstwo, a pozostałe zarzuty powinny być potraktowane, w tej sytuacji, jako niewiarygodne. Ja akurat projektowałem budynek Izby Wyrzeźwień, znałem formalne procedury jej działalności (lekarz, depozyty), zaś wszystkie posadzki w części budynku, przeznaczonej dla podopiecznych, zaprojektowałem jako miękkie, wykładane gumolitem, więc nawet nie było o co rozbić sobie głowę. To też i w tym wypadku złożyłem votum separatum do wyroku sądowego.

Częste też były sprawy dotyczące nieszczęśliwych wypadków. Na przykład mamusia dochodziła od Skarbu Państwa pokrycia dodatkowych kosztów prywatnego leczenia kilkunastoletniej córki, poparzonej w wyniku wybuchu gazu w jej mieszkaniu. Odszkodowanie za dokonane zniszczenia w kuchni, w której nastąpił wybuch, zostały już wcześniej wypłacone. W pozwie chodziło o rekompensatę za dodatkowe, poza szpitalne, prywatne leczenie córki, która doznała oparzeń twarzy i ręki. Składały się na nie opłaty

za codziennie angażowaną pielęgniarkę i jej dojazdy taksówką, wyjazd z Krakowa dwóch osób, również taksówką, do najlepszego specjalisty w Warszawie, prywatne koszty tegoż specjalisty, oraz dolarowe leki ze Stanów Zjednoczonych. Wyjątkowo, na tej rozprawie, opiekuńcza matka częściej od adwokata zabierała głos, opisując ze łzami w oczach swą tragiczną sytuację i stan psychiczny swej córki. Córka siedziała na sali, lecz ją samą nikt o nic nie pytał. Ja starałem się wypatrzeć te straszliwe oparzenia na jej twarzy, ale nic nie zauważyłem, być może ze względu na odległość, albo może zastosowane leczenie było rzeczywiście niezwykle skuteczne

Te procesy miały pewne wspólne cechy. Zawsze powodowie mieli swych prywatnych adwokatów, którzy zabierali głos w ich imieniu, zachowując się z reguły bardzo pewnie, wprost beczelnie. Gdy w poszczególnych sprawach odbywało się kilka rozpraw, to zwykle adwokaci rozszerzali roszczenia i zgłaszali co raz to nowe okoliczności. Ale najistotniejsze było to, że skarżący prezentowali się jako biedne, nieszczęsne ofiary, pokrzywdzone i maltretowane przez bezwzględną biurokrację, milicję, przedsiębiorstwa państwowe itd. I były te pozwy z reguły przyjmowane przez sąd jako dogmaty, nie wymagające dowodów. Żle to wróżyło dla stanu i trwałości państwa, gdy sądy a priori działały przeciwko interesowi państwa. Lecz było to w tamtym okresie czasu odbiciem stanów emocjonalnych i nastrojów społecznych, kształtowanych w coraz większym stopniu antypaństwowo. A tymczasem, przynajmniej te moje kilkanaście rozpraw, w jakich brałem udział w charakterze „bezwolnego” ławnika, były, w znacznej większości, jedynie prostym, łatwo czytelnym, sposobem na wyłudzenie przez różnych cwaniaczków i pieniaczy jak największych pieniędzy z państwowej kasy.

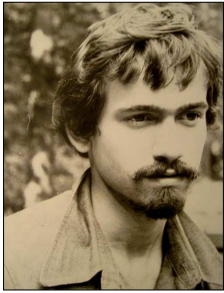
W maju żona, po wielu staraniach, uzyskała skierowanie na 3-tygodniowy pobyt w sanatorium w Busko Zdroju. Odwiedziłem ją tam, przyjeżdżając na trzy dni do tego starego miasta, funkcjonującego jako uzdrowisko od początków XIX wieku. Kasia zamieszkiwała z jakąś starszą panią w dwuosobowym pokoju w starym, przedwojennym budynku sanatoryjnym, położonym tuż obok Parku Zdrojowego w centrum miasteczka. Chodziła więc na spacerować do parku, a także na występy muzyczne i wokalne, jakie odbywały się w muszli koncertowej na terenie tegoż parku. Oczywiście przede wszystkim chodziła na zabiegi lecznicze, to jest kąpiele siarczane i masaże vibracyjne, związane z ujawnieniem się początków schorzenia kręgosłupa, które to dolegliwości faktycznie potem ustąpiły. Nadto jeździła całymi popołudniami na rowerze, wypożyczonym w sąsiednim domu wypoczynkowym. Robiła na nim dalekie wyprawy za miasto, dojeżdżając aż do Wiślicy, Pińczowa i Jędrzejowa.

Zagościłem na prywatnej kwaterze w pobliżu i razem z Kasią zwiedzaliśmy uzdrowisko i spacerowaliśmy po parku. Było w nim wiele wiewiórek, które biegały po drzewach i alejkach i wcale ludzi się nie bały. Po wypożyczeniu drugiego roweru, przez wiele godzin jeździliśmy razem po okolicznych drogach i bezdrożach. Razem wróciliśmy do Krakowa.

W czerwcu Grzegorz ukończył trzecią klasę Liceum Sztuk Plastycznych. Potwierdził się prawidłowy wybór specjalizacji zawodowej, dokonany przez niego, gdyż wszystkie oceny na świadectwie, dotyczące rysunku, malarstwa, rzeźby itp. były bardzo dobre. Można się więc było spodziewać, że na wyższe studia młodszy syn w przyszłości wybierze Akademię Sztuk Pięknych lub Architektura Politechnice Krakowskiej. Faktycznie zdecydował się studiować architekturę.

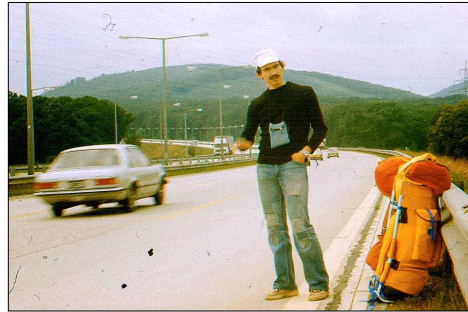


Grześ 1980



Zaś Maciek ukończył już I rok studiów na Wydz. Elektroniki AGH. I od razu zaangażował się od 1 lipca, na okres 2 miesięcy, do pracy w przedsiębiorstwie „ELTOR” w Krakowie na stanowisku elektromontera napowietrznych linii energetycznych. Chodziło oczywiście głównie o odbycie wymaganego przez uczelnię stażu pracy zawodowej w trakcie studiów. Z drugiej strony pełnoetatowa, niezłe płatna, praca dawała Maćkowi możliwość zarobienia własnych pieniędzy, jakie były mu bardzo potrzebne, gdyż pod koniec ferii wybierał się, wraz z kilkoma kolegami, na wycieczkę turystyczną do Bułgarii, którą później zamienili na Włochy.

Za miesięczną pracę otrzymał rzeczywiście sporo, bo prawie 4 tysiące złotych. Następnie w sierpniu, wraz ze swymi kolegami Przemkiem i Mirkiem, udał się na podobój słonecznej Italii. Między innymi zwiedzali, rzecz jasna, Wenecję. Jedną noc spędzili na Placu św. Marka, zresztą wśród dużej rzeszy młodych turystów. Tam ktoś z nich, lub jakiś tubylec, ukradł Maćkowi, w czasie snu, woreczek z wszystkimi posiadanymi lirami, który nieostrożnie włożył do plecaka. Nie pozostawało mu wtedy nic innego, jak powrót do kraju, oczywiście za pożyczzone od kolegów pieniądze. Po czym pojechał do Wiednia, z zamiarem podjęcia tam jakiejś sezonowej pracy zarobkowej. Przez kilka dni roznosił ulotki reklamowe po mieście, a następnie zatrudnił się „na czarno” w małej firmie budowlanej do prac pomocniczych.



Maciek atostopem na szosach Austrii

Grzesiek też zorganizował sobie zagraniczne ferie z dużym rozmachem. W dniu 9 sierpnia poleciał z Warszawy samolotem do Mediolanu. We Włoszech zabawił kilkanaście dni u Izy, kuzynki Kasi, zamieszkałej w Gallarate nad jeziorem Maggiore przy granicy szwajcarskiej. Iza, która wyjechała z Polski do Włoch jako młoda dziewczyna, znalazła tam swą szczęśliwą przystań życiową. Przez kilka lat pracowała jako kosmetyczka, po czym wyszła za mąż za Włocha, lekarza-laryngologa, z bardzo zasobnej rodziny. Mieli bogato urządzone, obszerne mieszkanie i dwójkę dzieci w wieku 5 i 2 lata. Razem z Izą Grzegorz zwiedził kilka okolicznych miast nad brzegami jeziora Maggiore, piękne wysepki na nim, i najważniejsze zabytki Mediolanu: teatr operowy La Scala wraz z muzeum oraz kościół S. Maria della Grazia z „Ostatnią wieczerzą” Leonarda da Vinci.



Grześ na dachu Katedry w Mediolanie

Na drugą część swej zagranicznej eskapady pojechał pociągiem do Dijon we Francji. Zagościł w rodzinie, u której przebywał już w 1972 roku jako harcerz, a którą odwiedził również w 1979 r. podczas drugiego „harcerskiego” pobytu we Francji. Wówczas uzgodnił z nimi, że przyjedzie także w następnym roku. W międzyczasie przenieśli się oni do swej nowej wili w Mirabeau, ok. 20 km od Dijon. Grzegorz gościł tam u nich przez kilka tygodni, odbywając również z nimi, i ich córką Isabell, atrakcyjne samochodowe wycieczki do Dijon, Besancon i w głąb Alp.

W dniach 19.VII do 3.VIII 1980 r. odbyły się w Moskwie światowe igrzyska olimpijskie. Jednakże, już od początku roku, polityczne koła Zachodu, głównie Stanów Zjednoczonych, postulowały bojkot tych igrzysk, w związku z oskarżaniem ZSRR o agresję na Afganistan. W ogóle w pierwszym półroczu 1980 roku miało miejsce wyraźne natężenie przejawów zimnej wojny. Dotyczyły one nałożenia przez USA różnych sankcji gospodarczych na Związek Radziecki i szerokiej propagandy przeciwko odbyciu Olimpiady w Moskwie. Ostatecznie nie wzięły w niej udziału Stany Zjednoczone, NRF i jeszcze kilka innych państw Europy Zachodniej i Ameryki Południowej. W tej sytuacji, przy ograniczonej liczbie uczestników Olimpiady, ekipa polska uzyskała rekordową ilość 32 medali, w tym 3 złote. Wielką sensacją były skok o tyczce Kozakiewiczza i bieg z przeszkodami Malinowskiego.

W związku ze zorganizowaniem sobie ferii letnich przez naszych synów we własnym zakresie - po raz pierwszy od wielu lat, na dwutygodniowy urlop wypoczynkowy do Zakopanego pojechaliśmy z Kasią sami, we dwójkę. Nie staraliśmy się o żadne zorganizowane wczasy pracowniczy, zakwaterowaliśmy w pokojach, wynajmowanych przez moje biuro w prywatnym domu przy ul. Za Strugiem 1. Sami przygotowywaliśmy sobie posiłki i sami zagospodarowaliśmy czas urlopowy. Poświęciliśmy go prawie w całości na łąkę po okolicy i dolinkach Zakopanego. Zwiedziliśmy, na własnych nogach, kolejno wszystkie te dolinki - od Doliny Gąsienicowej po Chochołowską, przemierzając szlak grubo ponad sto kilometrów.

Nie interesowaliśmy się przez ten czas żadnymi zewnętrznymi sprawami. Dopiero na kilka dni przed końcem naszego pobytu, gaździna powiedziała nam, że w kraju dzieją się jakieś niedobre rzeczy, wszędzie strajki, a niektórzy mówią, że będzie wojna. Faktycznie w TV i radiu podawano o strajkach w Gdańsku, Gdyni i Szczecinie. Początkowo nie rozumiałem zupełnie o co w nich chodzi.

Jeszcze przed naszym wyjazdem do Zakopanego były pewne niepokoje i ograniczone strajki w fabryce traktorów „Ursus” i kolejarskie w Lubelskim, spowodowane wprowadzeniem w dniu 1 sierpnia rozszerzonej sprzedaży komercyjnej mięsa i wędlin. W sytuacji ich niedoborów na rynku po niskich cenach urzędowych, było to oczywiście równoznaczne z podwyższeniem cen na te towary. Ale rząd szybko wycofał się z tych podwyżek i zaczął wypłacać dodatki drożyzniane. Wydawało się więc, że podobnie jak w 1970 i 1976 roku sytuacja strajkowa została rozładowana.

Tym razem strajkującej załodze Stoczni Gdańskiej chodziło o przywrócenie do pracy jednej osoby - suwnicowej Anny Walentynowicz, wcześniej karnie, chyba za strajk, zwolnionej. Do tego strajku stoczniowców solidarnie przyłączyły się wkrótce załogi szeregu innych zakładów pracy w Gdańsku i Gdyni. Dziwna była ta skala strajku o jedną osobę. Zwłaszcza, jeśli ocenić go z perspektywy 20 lat, gdy z zakładów pracy zwalnianych jest tysiące pracowników, a bezrobotnych w kraju mamy ponad dwa miliony.

Więc już wtedy można było domniemać, że nie chodzi bynajmniej o nieznaną nikomu A. Walentynowicz. Szybko oceniłem, że to znacznie poważniejsza sprawa, a oficjalnie zgłoszony powód strajku jest tylko pretekstem. To też skróciliśmy sobie, z żoną, urlop i wróciliśmy do Krakowa o dwa dni wcześniej, niż planowaliśmy. O wybuch wojny się nie obawiałem, zresztą kto z kim miałby wojować? Było natomiast niejasne, czy rozwój wypadków wzmocni, czy też osłabi państwo polskie. Zależne to było oczywiście od tego, czy po przez protesty strajkowe przebijie się wola naprawy sposobu rządzenia i funkcjonowania państwa, jego gospodarki i struktur, czy też zwyciężą postawy antypaństwowe, by rwać jak najwięcej z tej płachty sukna, jaką jest Rzeczpospolita, choćby miały z niej pozostać tylko strzępy.

Osobiście przez kilka tygodni byłem optymistą, zwłaszcza po częstochowskiej ho-

mili kardynała Stefana Wyszyńskiego, wzywającego do przerwania strajków. Obserwując jednakże działalność powstałego w Stoczni Gdańskiej Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, kierowanego przez L. Wałęsę i włączenie się „ekspertów-doradców” w osobach ludzi z kręgów opozycji: Mazowieckiego, Geremka, Cz. Bieleckiego, Wielowieyskiego, Lityńskiego itd., zmieniłem swe zdanie. Ocenilem szybko, że nie chodzi bynajmniej ani o A. Walentynowicz, ani o wycofanie podwyżek cen mięsa, ani nawet o szumne „21 postulatów robotniczych”. Już we wrześniu-październiku przeczuwałem, że to dopiero początek „rewolucji”, czy „kontrewolucji”, jak mówili niektórzy, której celem rzeczywistym są ambicje, pieniądze, władza i zmiana ustroju. Że koło historii dokonuje swego pełnego obrotu, nawet nie o lat pięćdziesiąt, lecz o dwieście.

W roku 1980 miało 50 lat od czasu, gdy w świadomy sposób zacząłem postrzegać świat otaczający mnie wokół. Swe wspomnienia osobiste z tych lat spisałem w tej książce. Stąd tytuł opowiadania: „WSPOMNIENIA 1930-1980”. Przypomniłem też ważniejsze wydarzenia, dziejące się aktualnie w Polsce i na świecie, bo one też były częścią mego życiorysu.

Pół wieku to okres niemały, jak na jedno ludzkie życie, i wystarczająco długi dla opisu własnych przeżyć i wspomnień. Zwłaszcza, że wspomnienia potrzebują pewnego dystansu czasowego od dnia bieżącego. Poza tym układają się zwykle określonymi etapami-rozdziałami, związanymi z życiem rodzinnym, pracą zawodową, miejscem zamieszkania, wydarzeniami społecznymi w kraju.

Dla mnie rok 1980 stanowił niewątpliwie zamknięcie określonego etapu rodzinnego, związanego z usamodzielnieniem się synów, którzy sami zaczęli decydować o swym życiu. Równocześnie zaczęły zmieniać się warunki mej pracy zawodowej, przez wyraźnie zarysowującą się dezintegrację stosunków międzyludzkich w zakładzie pracy. Wreszcie rok 1980 zapoczątkował gruntowną zmianę stosunków społeczno-politycznych w Polsce.



Rodzina w komplecie anno Domini 1980

Kraków, grudzień 1999 r.